

ZAPIERAJĄCA DECH W PIERSIACH HISTORIA MŁODEJ UCZONEJ,
KTÓRA PODEJMUJE ŚMIERTELNE RYZYKO, BY URATOWAĆ DZIEDZICTWO AMAZONEK!

ANNE FORTIER



ZAGINIIONE
WOJOWNICZKI



WYDAWNICTWO
BONA ERPAGA

ANNE
FORTIER

ZAGINIONE
WOJOWNICZKI

Z języka angielskiego przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Tytuł oryginału:
THE LOST SISTERHOOD

Copyright © 2014 by Anne Fortier
Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Mariusz Kulan
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Jolanta Olejniczak-Kulan

ISBN: 978-83-7999-380-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Prolog](#)

[Część I. Zmierzch](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Część II. Świt](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Część III. Słońce](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Część IV. Zenit](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Część V. Zaćmienie](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Część VI. Ekwinokcjum](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Od autorki](#)

[Przypisy](#)

Amazonki

Mityczne plemię wojowniczek. Nazwa ta jest powszechnie rozumiana jako „bezpierśne” (*a-* bez; *maza* – pierś) – wieść niesie, że Amazonki wrywały sobie albo wypalały prawą pierś, by nie przeszkadzała im w rzucie włócznią [...]. Społeczność Amazoнок służy za dowód, że w czasach prehistorycznych istniał matriarchat. Taka koncepcja stanowi kuszącą kontrę dla męskich uprzedzeń, ale wypacza istotę mitu.

OKSFORD CLASSICAL DICTIONARY

Kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość.

GEORGE ORWELL

MAPA REJONU MORZA ŚRÓDZIEMNEGO OK. 1250 R. P.N.E.



PROLOG

Młodzi mężczyźni w rekordowym tempie ukończyli trening. Było to jeden z nielicznych pogodnych poranków w Oksfordzie, gdy mgły podnosiły się znad rzeki tuż przed dziobem, jakby natura czekała na tę chwilę i na tę załogę, by wreszcie się zaprezentować.

Haz czuł się niezwykły, gdy wraz z kolegami wracał do kolegium, przecinając Christ Church Meadow w blasku wschodzącego słońca. Jego euforię szybko jednak zgasił pedel, który przywołał go szorstkim gestem, gdy tylko mężczyźni weszli na czworokątny dziedziniec.

– To przyszło do pana. – Uwalany atramentem kciuk wskazał przedmiot leżący na blacie. – Jakies dziesięć minut temu. Właśnie miałem wzywać dziekana...

– Co to jest? – spytał Haz, wyciągając szyję. – I skąd...? – Urwał, gdy tylko poznał zawartość płóciennego kosza. Na poduszce, przykryte kocym, spało dziecko.

Haz nie umiał znaleźć właściwych angielskich słów, by wyrazić chaos, który powstał w jego głowie. Widywał już w życiu niemowlęta, oczywiście, ale nie spodziewał się zobaczyć jedno z nich w wilgotnej portierni, w otoczeniu worków z pocztą i zapomnianych parasolek.

– Właśnie, proszę pana. – Pedel ściągnął kosmate brwi w wyrazie krępującego współczucia. – Ale może w tym liście – podał młodzieńcowi kopertę przymocowaną sznurkiem do kosza – znajdzie pan jakieś wyjaśnienie.

CZĘŚĆ I

ZMIERZCH

ROZDZIAŁ 1

*Dni dziewięć wciąż pędzony wichrami zajadłem,
Aż w dziesiątym nareszcie dobiełem do ziemi
Lotofagów...¹*

HOMER, *Odyseja*

OKSFORD W ANGLII
CZASY OBECNE

Na swój niejasny sposób babcia dołożyła wszelkich starań, by przygotować mnie na okrucieństwa i rzezie. Tętent kopyt, pędzące rydwany, bezwzględni łupieżcy... dzięki niej już jako dziesięciolatka mniej więcej orientowałam się w tych tematach.

Niestety, również dzięki babci sądziłam, że świat to wspaniałe pole walki, podczas gdy okazał się on zupełnie inny. Powody do walki były mizerne, ludzie nijacy i tchórzliwi; moje umiejętności Amazonki wydawały się w tych okolicznościach bezsensowne i niepotrzebne. A już na pewno żadna z nauk, które babcia przekazała mi w czasie naszych długich popołudni przy herbatce miętowej w towarzystwie przywidzianych potworów, nie przygotowała mnie na walkę ze szkwałami i prądami środowiska akademickiego. W tej kipieli nie miałam szans utrzymać się na powierzchni.

W to konkretne październikowe popołudnie – w dniu, gdy wszystko się zaczęło – powalił mnie nagły podmuch gniewu w połowie prelekcji, którą wygłaszałam na konferencji. Za namową wszechmocnego profesora Vandeboscha siedzącego w pierwszym rzędzie moderatorka dyskusji zerwała się na równe nogi i niepewnie przeciągnęła palcem po gardle, powiadamiając mnie, że na dokończenie wystąpienia mam dokładnie zero minut. Zerknęłam na zegarek i upewniłam się, że idealnie mieszczę się w czasie. Od łaskawości znamienitych uczonych zależała moja kariera

naukowa.

– Kończąc już... – zerknęłam na profesora Vandenboscha, który siedział ze skrzyżowanymi rękoma i nogami, przyglądając mi się wojowniczo – podkreślę, że wbrew wszelkim plastycznym opisom owych zwyczajów godowych greccy autorzy awanturnicze Amazonki postrzegali tylko jako fikcyjne, quasi-erotyczne *playmate*.

Przez audytorium przetoczył się szmer uznania. Wszyscy byli przemoczeni i dość pośepni, ponieważ przyszedli tu z zalanego deszczem dziedzińca, ale moja prelekcja najwyraźniej odrobinę podniosła temperaturę w pomieszczeniu.

– Niemniej – skinieniem głowy zapewniłam moderatorkę, że zbliżam się do końca – świadomość, że krwiozercze wojowniczeki są czystą fikcją, nie powstrzymała naszych pisarzy przed wykorzystaniem ich postaci w powiastkach umoralniających traktujących o zagrożeniach związanych z nieograniczoną swobodą niewieścią. Dlaczego? – Rozejrzałam się po słuchaczach, usiłując oszacować liczbę sojuszników. – Dlaczego Grecy uważali, że żonę trzeba zamknąć w domu? Nie wiadomo. Ale na pewno to straszenie Amazonkami służyło do uzasadniania ich mizoginii.

Gdy tylko ucichły oklaski, profesor Vandenbosch, lekceważąc moderatorkę, wstał i powiódł dokoła surowym wzrokiem. Samym spojrzeniem skosił wiele ochoczo podniesionych rąk. Następnie odwrócił się do mnie z uśmiechem na szacownej twarzy.

– Dziękuję, doktor Morgan. Z satysfakcją stwierdzam, że nie jestem już najbardziej staroświeckim badaczem w Oksfordzie. Ze względu na panią mam nadzieję, że na uczelni pewnego dnia znowu pojawi się zapotrzebowanie na feminizm; reszta z nas, podkreślę z ulgą, dawno już minęła ten etap i zakopała topór wojenny.

Chociaż ukrył swój atak pod pozorami żartu, był on tak szokujący, że nikt się nie roześmiał. Nawet ja, uwięziona za mównicą, byłam zbyt wstrząśnięta, by próbować riposty. Większość słuchaczy stała po mojej stronie, to na pewno – a jednak nikt się nie ośmielił wystąpić w mojej obronie. Na sali zapadła cisza tak całkowita, że dało się słyszeć słaby brzdęk kropel deszczu o miedziany dach.

Dziesięć zenujących minut później mogłam nareszcie uciec z auli w wilgotną październikową mgłę. Owijając się ciasniej szalem, próbowałam

wyobrazić sobie dzbanek z herbatą czekający na mnie w domu... ale i tak ciągle czułam, jak szaleje we mnie wściekłość.

Profesor Vandenbosch nigdy mnie nie lubił. Jak mi złośliwie doniesiono – swego czasu zabawiał kolegów fantazją, że zostałam uprowadzona z Oksfordu, by zagrać w dziewczynskim serialu telewizyjnym. Osobiście wyznawałam teorię, że wykorzystuje mnie w rozgrywkach ze swoją rywalką, a moją mentorką Katherine Kent, sądząc, że zdoła osłabić jej pozycję przez atakowanie jej faworytów.

Katherine oczywiście ostrzegła mnie przed wygłaszaniem kolejnej prelekcji o Amazonkach. „Jeśli dalej będziesz podążać tą drogą badań, staniesz się akademicką padliną” – powiedziała, jak zawsze bezceremonialna.

Nie chciałam jej wierzyć. Uważałam, że pewnego dnia temat rozgorzeje i profesor Vandenbosch nie zdoła zdusić płomieni. Gdybym tylko znalazła czas, by dokończyć swoją książkę, albo – tak by było najlepiej – dopadłabym *Historii Amazonum*. Jeszcze jeden list do Sztambułu, tym razem pisany odręcznie, i może magiczna komnata Grigora Reznika wreszcie stanie przede mną otworem. Musiałam spróbować, byłam to winna babci.

Biegąc deszczową ulicą, z kołnierzem bluzki podniesionym w obronie przed żywiołami, nawet nie zauważyłam, że ktoś za mną podąża, aż ten ktoś dogonił mnie na przejściu na High Street i pozwolił sobie osłonić mnie swoim parasolem. Wyglądał na żwawego sześćdziesięciolatka i na pewno nie był naukowcem; pod nieskalanym trenczem dostrzegłam drogi garnitur i podejrzewałam, że skarpetki ma dopasowane do krawata.

– Doktor Morgan – zaczął, zdradzając akcentem południowoafrykańskie pochodzenie. – Podobało mi się pani wystąpienie. Poświęci mi pani chwilę? – Ruchem głowy wskazał Grand Café po drugiej stronie ulicy. – Mogę pani postawić drinka? Sądząc z wyglądu, na pewno by się przydał.

– Bardzo to miłe z pańskiej strony – zerknęłam na zegarek – ale niestety jestem już spóźniona na inne spotkanie. – I naprawdę byłam spóźniona. Przez cały tydzień trwał nabór do uniwersyteckiego klubu szermierczego i obiecałam, że wpadnę po godzinach pomóc w demonstracji sprzętu. Jak się okazało, to zadanie idealnie się zgrało w czasie z moim obecnym nastrojem, bo chętnie bym teraz pchnęła kilku wyimaginowanych przeciwników.

– Ach. – Nieznajomy nadal podążał za mną ulicą, końcami drutów

parasola dżgając mnie we włosy. – A później? Ma pani wolny wieczór?

Zawahałam się. W oczach tego mężczyzny było coś niepokojącego; miały nadzwyczajną przenikliwość i nutę cynizmu. Trochę skojarzyły mi się z oczyma sów przycupniętych na szczycie biblioteczki w gabinecie mojego ojca.

Zamiast skręcić w ciemną i na ogół pustawą Magpie Lane, stanęłam na rogu z przyjaznym, w założeniu, uśmiechem.

– Chyba nie dosłyszałam pańskiego nazwiska?

– John Ludwig. Proszę... – Chwilę przetrząsał kieszenie, ale ostatecznie się skrzywił. – Nie mam wizytówek. Nieważne. Mam dla pani zaproszenie. – Przyjrzał mi się uważnie, jakby chciał się upewnić co do mojej wartości. – Fundacja, z którą współpracuję, dokonała sensacyjnego odkrycia. – Przerwał i ściągnął brwi, najwyraźniej niezadowolony z obecności w miejscu publicznym. – Na pewno nie mogę pani postawić drinka?

Wbrew wcześniejszym obawom nie mogłam powstrzymać ciekawości.

– Może umówimy się na jutro? – zaproponowałam. – Na szybką kawę?

Pan Ludwig spojrział na paru skulonych przechodniów i pochylił się ku mnie.

– Jutro – powiedział, zniżając głos do szeptu – będziemy już w drodze do Amsterdamu. Pani i ja. – Widząc wstrząs na mojej twarzy, miał czelność się uśmiechnąć. – Pierwszą klasą.

– Jasne! – Wysunęłam się spod parasola i ruszyłam w Magpie Lane. – Miłego dnia, panie Ludwig...

– Proszę poczekać! – Popędził za mną i bez trudu mnie dogonił na nierównym chodniku. – Mówię o odkryciu, które zmienia historię, pisze ją od nowa. To najnowsze wykopalisko, wszystko w najgłębszej tajemnicy, i proszę sobie wyobrazić, że chcielibyśmy, by to pani mu się przyjrzała.

Zwolniłam kroku.

– Dlaczego ja? Nie jestem archeologiem. Jestem filologiem. Jak niewątpliwie pan wie, filologia nie zajmuje się kopaniem, lecz odczytywaniem i rozszyfrowywaniem...

– Właśnie! Nic dodać, nic ująć. – Pan Ludwig znowu sięgnął do kieszeni, w których wcześniej na próżno szukał wizytówki. Teraz wyjął pogięte zdjęcie. – Szukamy kogoś, kto zdoła to odczytać.

Nawet w panującym na Magpie Lane mroku dojrzałam, że fotografia

przedstawia napis na czymś, co wygląda na starożytny mur.

– Gdzie to zrobiono? – spytałam.

– Tego nie mogę pani powiedzieć. Dopóki nie zgodzi się pani pojechać. – Pan Ludwig przysunął się bliżej, mówił głosem tak tajemniczym, że aż cichym. – Widzi pani, znaleźliśmy dowód, że Amazonki rzeczywiście istniały.

Ze zdumienia omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Niech pan sobie nie żartuje...

Pan Ludwig wyprostował się gwałtownie.

– Proszę wybaczyć, ale ja absolutnie nie żartuję. – Rozłożył ręce, razem z parasolem, żeby zademonstrować ogrom zagadnienia. – To pani dziedzina. Pani pasja. Nie mam racji?

– Ma pan, ale... – Zerknęłam na zdjęcie, nie mogąc się oprzeć pokusie. Mniej więcej co pół roku natykałam się na artykuł o archeologu, który twierdził, że znalazł ślady pochówku Amazonki albo wręcz legendarne miasto kobiet, Temiskyrę. Artykuły zwykle były opatrzone nagłówkiem **NOWE ZNALEZISKO DOWODZI, ŻE AMAZONKI ISTNIAŁY NAPRAWDĘ**, a ja zawsze ochoczo zabierałam się do lektury i zawsze na koniec odczuwałam tylko rozczarowanie. Owszem, kolejny ogorzały charakterniak w kurtce z kapturem spędził całe życie na przeczesywaniu regionu Morza Czarnego w poszukiwaniu kobiet pochowanych z bronią i końmi. I owszem, od czasu do czasu taki zatwardzialec znajdował dowód na istnienie prehistorycznego plemienia, które nie zabraniało kobietom jazdy konnej czy noszenia broni. Aby twierdzić jednak, że te kobiety żyły w wyłącznie kobiecej amazońskiej społeczności, która od czasu do czasu ścierała się ze starożytnymi Grekami w widowiskowych bitwach... cóż, to trochę tak, jakby znaleźć szkielet dinozaura i wydedukować, że kiedyś naprawdę żyły na Ziemi zionące ogniem baśniowe smoki.

Pan Ludwig patrzył na mnie sowimi oczami.

– Naprawdę mam uwierzyć, że spędziwszy jakieś dziewięć lat na poszukiwaniu Amazonek, ani trochę nie chce pani udowodnić, że one rzeczywiście istniały? – Ruchem głowy wskazał fotografię, którą trzymałam. – Patrzy pani na dotychczas nieodczytane pismo Amazonek i proszę przyjąć do wiadomości: to pani właśnie ma szansę być pierwszym badaczem, który spróbuje je odczytać. Poza tym zamierzamy sownie wynagrodzić pani

poświęcony czas. Pięć tysięcy dolarów za tydzień pracy...

– Chwileczkę – powiedziałam, szcękając zębami z zimna i szoku. – Skąd pewność, że ta inskrypcja ma cokolwiek wspólnego z Amazonkami? – Machnęłam mu przed nosem fotografią. – Dopiero co mi pan powiedział, że jeszcze tego nie odczytano...

– Aha! – Pan Ludwig wymierzył palec w mój nos, niemal go dotykając. – Takiego właśnie bystrego umysłu nam trzeba. Proszę – sięgnął do wewnętrznej kieszeni, po czym podał mi kopertę. – To pani bilet na samolot. Jutro po południu odlatujemy z Gatwick. Do zobaczenia przy odprawie.

I tyle. W ogóle nie czekając na moją reakcję, pan Ludwig po prostu się odwrócił i odszedł, po czym zniknął wśród przechodniów na High Street, ani razu nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 2

*Gwiazdy migocące wokół księżyca
natychmiast tracą swoje światło, bledną,
kiedy on, wspaniały, srebrnym blaskiem
świeci nad ziemią²*

SAFONA

Zanim dotarłam do Senior Common Room, większość wydziału zdążyła się zebrać przy drinkach. Z powodu pospiesznej wizyty w klubie szermierczym nie miałam już czasu się odświeżyć i gdy weszłam na salę, usłyszałam kilka szeptanych uwag na temat Miss America, która znów się spóźnia na kolację. Ale uśmiechnęłam się tylko i udałam, że ich nie słyszę. Mogłam przecież siedzieć w bibliotece pogrążona w letargu nad starożytnym rękopisem w jakimś zakurzonym kącie – co stanowiło bezwzględnie doskonałą wymówkę, by się pojawić w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu, wyglądając jak przybysz co najmniej z renesansu. Oni wszyscy mieli w zwyczaju tak właśnie robić.

Niestety, wiedziałam doskonale, że tytuł Miss America nie jest w zamierzeniu komplementem. Choć trudno zaprzeczyć, że jestem o pół głowy wyższa od większości ludzi, a natura mnie wyposażyła – jak zauważał ojciec, ilekroć rozpuszczałam blond włosy – w zwodniczo anielską powierzchowność, to przezwisko niewątpliwie miało się odnosić do moich manier, czy raczej do ewidentnego ich braku. Wyglądało na to, że zawsze będzie mnie prześladować fakt, że moja matka jest Amerykanką i że to jej słownictwo rządziło w naszym domu. Choć mój ojciec jest Brytyjczykiem w każdym calu, a ja dorastałam w otoczeniu Brytyjczyków, amerykańskie wyrażenia na ogół przychodziły mi naturalnie. Najwyraźniej ktoś ze starszyny wydziału podsłuchiwał, jak zamieniam kosz na śmieci w śmietnik – a niewykluczone nawet, że widziano, jak biegam wyłącznie w prostackim

celu zachowania formy – i niezwłocznie orzeczono, że głębsza analiza mojej osobowości jest absolutnie zbędna.

– Diana! – Moja mentorka Katherine Kent niecierpliwym gestem wezwała mnie do swego boku. – Jak poszło na konferencji?

Jej sposób bycia niezmiennie przywodził na myśl skojarzenie z karabinem maszynowym i zawsze mnie tym zbijiała z tropu. Poczułam, że moja odwaga pierzcha.

– Całkiem nieźle. Frekwencja wręcz dopisała, można by...

– Przypomnisz mi temat swego wystąpienia?

– Cóż... – Próbowałam się uśmiechnąć. Nie dało się w bezpieczny sposób przekazać informacji, że zignorowałam jej radę. – Trochę się spieszyłam...

Oczy Katherine Kent zamieniły się w szparki. Osadzone w twarzy naznaczonej dyscypliną mentalną, okolonej włosami ostrzyżonymi tak krótko, że można je było niesłusznie uznać za ekstrawagancję, były zawsze uderzająco żywe, a do tego miały rzadki, olśniewająco turkusowy kolor. Wyglądały jak kryształy osadzone w cynowym naczyniu. Zazwyczaj połyskiwały irytacją, ale nauczyłam się już, że to jej naturalny sposób obcowania z ludźmi, którzy tak naprawdę zasłużyli sobie na jej szacunek.

Właśnie przez salę przepłynęła fala entuzjazmu. Z ulgą stwierdziwszy, że Katherine na chwilę się zdekoncentrowała, zrobiłam w tył zwrot, by zobaczyć, kto zdołał przybyć jeszcze później niż ja, a i tak został powitany jak bożyszcze.

Ależ oczywiście. James Moselane.

– Tutaj! – Ramię Katherine raz jeszcze powędrowało w górę, z niecierpliwym pstryknięciem palców, którego nikt nigdy nie ośmielił się zlekceważyć.

– Kate. – James powitał szacowną damę uściskiem dłoni, zgodnie z jej oczekiwaniem. – Dziękuję za recenzję w „Quarterly”. Nie wątpię, że na nią nie zasłużyłem. – Dopiero teraz mnie zauważył. – Och, witaj, Morg. Nie widziałem cię.

Co idealnie mi odpowiadało. Bo ilekroć James Moselane wchodził do pomieszczenia, w którym się znajdowałam, potrzebowałam kilku minut na okiełznanie płatów czołowych. To straszne, że w dojrzałym i odpowiedzialnym wieku dwudziestu ośmiu lat musiałam z takim trudem szukać choćby odrobiny wyrafinowania, a do tego – co jeszcze bardziej

denerwujące – byłam pewna, że wszyscy dokoła widzą, że się czerwienię, i wyciągają absolutnie trafne wnioski.

W porównaniu z innymi uczonymi James był niezwykle atrakcyjnym okazem. Jakoś przeczył starej maksymie, że ci, co stali pierwsi w kolejce po wybitny umysł, w kolejce po urodę wylądowali na końcu. Choć wypchana ilością szarej materii wyższą niż średnia, jego głowa była zwieńczona gęstą grzywą kasztanowych włosów, a twarz, mimo że należała do trzydziestotrzylatka, pozostała nieskalaną skarbnicą chłopięcego uroku. Jakby tego było mało, ojciec Jamesa, lord Moselane, posiadał jedną z najświetniejszych kolekcji starożytnej rzeźby w kraju. Innymi słowy, ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkałam, James jako jedyny był bardziej księciem niż zabłą.

– Diana wygłosiła dzisiaj prelekcję – poinformowała go profesor Kent. – Właśnie próbuję wyciągnąć od niej jej temat.

James zerknął na mnie porozumiewawczo.

– Słyszałem, że dobrze jej poszło.

Wdzięczna za wybawienie, roześmiałam się i starłam z czoła kroplę wilgoci.

Był to pot od maski szermierczej, który uwiązał mi we włosach, ale miałam nadzieję, że James uzna go za pozostałość po niedawnym prysznicu.

– Jesteś dla mnie zbyt łaskawy. A u ciebie co nowego? Studentki dostały ci jakieś listy samobójcze?

Nagle zadzwoniono na kolację i wszyscy zaczęli wychodzić gęsiego z pomieszczenia dla wykładowców. Rozmowa została chwilowo zawieszona, gdy nasza mała procesja pokonała schody, w mżawce przecięła dziedziniec i uformowana w dostojne pary weszła do wielkiej sali kolegium.

Wszyscy studenci wstali ze swoich ławek, podczas gdy my podążaliśmy przejściem do Wysokiego Stołu, ustawionego na podwyższeniu w głębi pomieszczenia, a kiedy siadłam na wyznaczonym mi krześle, aż nadto poczułam na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. A raczej wszyscy obecni wpatrywali się w Jamesa, który usiadł obok mnie, a wyglądał niezmiernie przystojnie i niezwykle swobodnie w swojej czarnej todze. Całkiem jak księżę Tudor na dworze.

– Głowa do góry, młoda damo – rzucił pod nosem, gdy steward nalewał wina. – Wiem z wiarygodnego źródła, że twojej dzisiejszej prelekcji niczego

nie brakowało.

Spojrzałam na niego z nadzieją. W powszechnej opinii James był akademicką supergwiazdą, a już sama lista jego publikacji sprawiała, że większość jego rówieśników wyglądała jak blade księżycy uwiązane do swych nudnych orbit.

– Więc dlaczego nikt nie mówi absolutnie nic?

– A co mieliby mówić? – James z lubością zabrał się za swoją przystawkę. – Przypuściłaś na nich atak spoconych wojowniczek w futrzanych butach i druczianych bikini. To są naukowcy, na miłość boską. Ciesz się, że nikt nie padł na zawał.

Roześmiałam się w serwetkę.

– Powinnam była zrobić pokaz slajdów. Może wreszcie pozbyłabym się profesora Vandeboscha...

– Morg... – James spojrzał na mnie TYM wzrokiem. Wzrokiem, który mówił, że widzę tylko wierzchołek jego myśli. – Wiesz, że profesor Vandebosch ma czterysta lat. Był tu na długo przed nami i będzie tu jeszcze długo po tym, jak my pójdziemy na zieloną trawkę. Nie drażnij się z nim.

– Och, daj spokój!

– Nie żartuję. – Po raz kolejny orzechowe spojrzenie Jamesa ucięło nasze wesołe prześmiechy. – Jesteś niebywale utalentowana, Morg. Mówię poważnie.

Ale żeby tutaj odnieść sukces, talent ci nie wystarczy. – Uśmiechnął się, może by osłodzić krytykę. – Posłuchaj doświadczonego szefa kuchni: nie możesz wiecznie gotować zupy na kościach starych Amazonek. – Z tymi słowami podniósł kieliszek w porozumiewawczym toaście, ale równie dobrze mógł chlusnąć mi w twarz jego zawartością.

– Oczywiście. – Spuściłam wzrok, by ukryć swoje cierpienie. Te słowa nie były dla mnie nowością, ale gdy padły z jego ust, przeszyły bólem moje serce. – Rozumiem.

– Świetnie. – James zakołysał kilkakrotnie winem i dopiero wtedy je wypił.

– Za młode – brzmiał jego ostateczny werdykt, gdy opuścił kieliszek. – Za mało złożone. Cóż za paskudztwo, u diabła.

James i ja urodziliśmy się dosłownie o rzut kamieniem, ale w dwóch zupełnie różnych światach. Z rodziny Moselane'ów my, śmiertelnicy, widywaliśmy jedynie drogie samochody z przyciemnionymi szybami jadące

o wiele za szybko przez naszą spokojną wioskę i przystając na kilka sekund, gdy otwierała się brama elektryczna, odsłaniając bezkres podjazdu. I jeszcze od czasu do czasu przez zarośla jeżynowe otaczające ich prywatny raj mogliśmy rzucić okiem na ludzi grających w oddali w krykieta albo w tenisa na trawie w parku należącym do posiadłości. Podmuch wiatru niósł ich śmiech jak papierek po cukierku.

Chociaż wszyscy w miasteczku znali imiona i wiek dzieci jaśnie państwa Moselane'ów, one same były nam równie dalekie jak postacie z książek. Młody pan James i jego siostry chodzili do szkół z internatem – najlepszych w kraju, oczywiście – więc nigdy nie pojawiali się w okolicy w ciągu roku szkolnego, a niemal wszystkie swoje wakacje spędzali bodajże z kolegami w dalekich zamkach Szkocji.

Choć syn i dziedzic lorda Moselane'a był zaledwie szopą kasztanowych włosów w pierwszej ławce podczas dorocznej mszy bożonarodzeniowej, i tak wiódł doskonale pełnoprawne życie w moich marzeniach. Ilekroć wychodziłam z rodzicami na niedzielny spacer – i przez jakiś czas również z babcią – w podskokach wypuszczałam się przed nich przez las w nadziei, że napotkam go jadącego konno, a jego domniemana peleryna będzie trzepotała stylowo na wietrze... nawet jeśli wiedziałam, że on przebywa akurat w Eton, a później w Oksfordzie, i że w pobliżu nie ma nikogo poza mną i moimi niepoważnymi wymysłami.

W tym swoim wyobrażonym świecie nie żyłam jednak całkiem sama. Bo odkąd pamiętam, moja matka usychała z tęsknoty, by zaznajomić się z Moselane'ami, bądź co bądź naszymi sąsiadami. Według jej obliczeń fakt, że mój ojciec pełnił funkcję dyrektora miejscowej szkoły, powinien umieścić nas w szeregu osób szanowanych i cenionych i w ten sposób uczynić nas widocznymi nawet z posiadłości na wzgórzu. Gdy jednak większość swojego zamężnego życia spędziła na próżnym wypatrywaniu zaproszenia na kolację opatrzonego tłoczonym krzyżem, ostatecznie musiała uznać, że nasi jaśniepaństwo używają innego towarzyskiego liczydła niż ona.

Zawsze stanowiło dla mnie zagadkę, dlaczego moją matkę – taką z krwi i kości Amerykankę – pomimo tych wszystkich gorzkich rozczarowań niezmiennie ciągnęło ku wielkopańskiej posiadłości. Tyle lat wolontariatu w przedsięwzięciach charytatywnych milady w nadziei, że zostanie rozpoznana. Tyle lat skrupulatnego przycinania jakichś sześciu metrów

ligustrowego żywopłotu, który zrzędzeniem losu oddzielał najdalszy zakątek parku jaśniepaństwa od naszej grządki kapuścianej za domem... wszystko na nic.

Zanim przeniosłam się do Oksfordu robić doktorat, nabrałam przekonania, że obie już dawno się wyleczyłyśmy z tych bezowocnych bzdur, a przekonanie to było tak silne, że ponad rok zajęło mi rozszyfrowanie tajnego planu, w ramach którego matka odwiedzała mnie co trzy tygodnie, a przy każdej wizycie nalegała, byśmy razem odkrywały uroki szacownego grodu.

Zaczęłyśmy od zwiedzania każdego gmachu kolegium w mieście i trzeba przyznać, że świetnie się bawiłyśmy. Mojej matce nigdy dość gotyckich dziedzińców i krużganków, tak innych od wszystkiego, co poznała w dzieciństwie.

Ilekcję sądziła, że nie patrzę, ukradkiem starała się zwędzić coś do torebki w charakterze małej pamiątki – jakiś kamyczek, ołówek zostawiony na stopniu schodów, gałązkę tymianku z zielnika – a ja czułam trochę wstyd na myśl, że po tylu latach wciąż niewiele wiem o tym, co się dzieje w jej wewnętrznym świecie.

Po obejściu kolegów zaczęłyśmy chodzić na koncerty i inne imprezy, w tym dziwne zawody sportowe. Moja matka nagle poczuła nienaturalne zainteresowanie krykietem, następnie rugby, a wreszcie tenisem. Oczywiście z perspektywy czasu wiem, że powinnam była zgadnąć, że te z pozoru impulsywne zajęcia stanowiły część kampanii, której cel był zawsze ten sam.

James.

Nie wiedzieć czemu, nigdy nie przyszło mi do głowy, jak doskonale systematyczne są nasze eskapady po mieście i jak pieczołowicie moja matka planuje trasy, a później trzyma się ich bez względu na pogodę... aż do dnia, gdy wreszcie chwyciła mnie za łokieć i wykrzyknęła głosem krzyżowca, którego oczom w końcu ukazał się Święty Graal: „No, jest!”.

I rzeczywiście, był, wychodził z Blackwell's na Broad Street, balansując stosem książek i kubkiem z kawą. Gdyby nie moja matka, w życiu bym go nie rozpoznała, ale też nie spędziłam ostatnich dziesięciu lat na aktualizowaniu danych o procesie dorastania naszego celu za pomocą lornetki i tabloidów. Dla mnie James Moselane wciąż był pokwitającym księciem w

zaczarowanym lesie, podczas gdy z księgarni wychodził dorosły mężczyzna o doskonałych proporcjach – wysoki i wysportowany, aczkolwiek całkowicie nieprzygotowany na czekającą nań zasadzkę.

– Cóż za zbieg okoliczności! – Moja matka przeszła przez Broad Street i odcięła mu drogę, zanim zauważył jej nadejście. – Nawet nie wiedziałam, że jest pan w Oksfordzie. Zapewne nie poznał pan Diany...

Dopiero wtedy mama zdała sobie sprawę, że mnie nie ma obok niej, i obróciła się, by uraczyć mnie miną aż nadto wymowną. Nigdy nie należałam do bojaźliwych, ale porażona ogromem potworności nagłego odkrycia, że o to, właśnie o to nam cały czas chodziło, niemal rzuciłam się do ucieczki.

Chociaż James nie mógł zobaczyć jej wścieklej miny, ponad wszelką wątpliwość zauważył jej gorączkowe gesty i zdruzgotanie na mojej twarzy. Tylko ktoś nadzwyczajnie powolny nie pojąłby sedna sytuacji w mgnieniu oka. James jednak, trzeba mu to przyznać, powitał nas z doskonałą serdecznością.

– I jak ci się podoba w Oksfordzie? – spytał mnie, wciąż balansując kawą na szczycie sterty książek. – Przepraszam, mogłabyś powtórzyć, jak się nazywasz?

– Diana Morgan – odparła moja matka. – Tak jak lady Diana. O, zapiszę panu. – Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kawałek kartki, niepomna moich trącań i szeptanych błagań. – A jej kolegium, oczywiście...

– Mamo! – Musiałam zmobilizować całą siłę woli, by powstrzymać ją od zapisania również mojego numeru telefonu, ona zaś była na mnie niezwykle wściekła, że ją mityguję, zanim zdążyła wyczerpać cały swój bezwstydną repertuar.

Nie dziwota, że od tego czasu nie widziałyśmy Jamesa na oczy. Najpewniej nigdy bym go już nie zobaczyła, gdyby nie Katherine Kent. Tuż przed Bożym Narodzeniem następnego roku zaprosiła mnie na przyjęcie w Ashmolean Museum – przyjęcie, jak się okazało, z okazji niedawnego podarowania starożytnych artefaktów przez Moselane Manor Collection.

– Chodź! – Odciągnęła mnie od świetnego posągu egipskiej bogini Izydy i pewnym kursem prowadziła przez wytworny tłum. – Chcę cię komuś przedstawić.

Moselane'owie są bardzo przydatni. – Jako kobieta o znikomej cierpliwości Katherine doprowadziła do perfekcji sztukę wcinania się w

cudze rozmowy w samym środku i porywania upatrzonej ofiary. – James! To Diana. Wyjątkowo uzdolniona. Chce wiedzieć, kto wybielił waszą Izydę.

Niemal zakrztusiwszy się szampanem, James odwrócił się do nas. W swoim garniturze i krawacie wyglądał tak kusząco przystojnie, że moje niegdysiejsze fantazje w okamgnieniu wróciły galopem na miejsce.

– Ja ją tylko podziwiałam – zapewniłam pospiesznie. – Ktokolwiek ją znalazł i przywiózł do Anglii, musiał się narazić na klątwę faraona.

– Mój przodek. Pierwszy lord Moselane. – Zadziwiająco, ale James sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie pamiętał naszego poprzedniego spotkania. A jego uśmiech wręcz sugerował, że na spotkanie właśnie takiej kobiety jak ja miał nadzieję dzisiejszego wieczoru. – Zmarł w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat we śnie, w spokoju. W każdym razie my lubimy tak myśleć. – Uścisnął mi dłoń i nie spieszył się, by ten uścisk zakończyć. – Bardzo mi miło panią poznać.

– Szczerze mówiąc – niechętnie cofnęłam dłoń – poznaliśmy się w zeszłym roku. Przed Blackwell's. – Jeszcze zanim te słowa wypłynęły z moich ust, wzdrygnęłam się na swoją zdradziecką szczerłość. Już po kilku sekundach trybiki w Jamesowej głowie zaskoczyły, i patrzeć na to nie było miłe.

– Rzeczywiście – powiedział powoli. – Zgadza się. Tak... już mieliśmy przyjemność...

Ale wyraz jego orzechowych oczu zupełnie nie kojarzył się z przyjemnością.

W istocie, w najbliższych miesiącach, ilekroć posłusznie umawialiśmy się na kawę – zawsze nakłaniani przez Katherine Kent – pierwsze pytanie Jamesa, a mianowicie: „Co u twojej matki?“, ustawiało ton naszej rozmowy i przypominało mi, dlaczego nasza kawa nigdy nie ewoluuje w lunch. Był uprzejmy, oczywiście, i od czasu do czasu posyłał mi spojrzenie, od którego nadzieja trzepotała w moim ciele. Ale na ogół nieustannie traktował mnie z niezłomną rycerskością, jakbym była nietykalną dziewicą, którą chronić poprzysiągł.

Może to wszystko wina mojej matki. A może częściowo tego, że James – jak to kiedyś niezmiernie trafnie ujął mój ojciec – urodził się ze srebrną łyżeczką w dupie. Czystość błękitnej krwi, te rzeczy. W takim wypadku mogłabym się stroić i wygładzać piórka ile wlezie. Synowi lorda Moselane'a

nigdy nie przyjdzie do głowy, że należymy do tego samego gatunku.

Z tych rozmyślań snutych przy Wysokim Stole wyrwała mnie ręka, która zabierała talerz z moją nietkniętą przystawką. James siedział obok z głową nachyloną jak do modlitwy, sprawdzając telefon pod krochmaloną serwetką.

Sięgnęłam dyskretnie do swojej torebki, wyjęłam zdjęcie, które dostałam od pana Ludwiga, i podsunęłam mu.

– Co z tego rozumiesz?

James przechylił się, by obejrzeć je dokładnie.

– Szacowana data?

– Powiedziałyby, że dziesięć dni – zażartowałam – sądząc z zagiętego narożnika i zniszczonych krawędzi. Jeśli chodzi o inskrypcję... wiem tyle co ty.

Zmrużył oczy, wyraźnie zaintrygowany.

– Kto ci to dał?

– Tajemniczy mężczyzna – odparłam z rozmyślnym dramatyzmem – który powiedział, że to zdjęcie stanowi dowód na istnienie Amazonek...

– Co to takiego? – Katherine Kent wyciągnęła rękę, by wyrwać zdjęcie z mojej dłoni i przyjrzeć mu się w blasku świecy. – Gdzie to zrobiono?

– Nie mam pojęcia. – Mile zaskoczona ich zainteresowaniem, szybko nakreśliłam sedno dziwnego popołudniowego spotkania. Kiedy jednak dotarłam do oferty pana Ludwiga dotyczącej odczytania pisma Amazonek, James z jękiem opadł na oparcie.

– Irytujące! – Katherine oddała mi zdjęcie ze zdumioną miną. – To zdjęcie mogło być zrobione gdziekolwiek. Gdybyśmy tylko znali nazwę jego fundacji...

Skurczyłam się pod jej groźnym spojrzeniem. Najwyraźniej uważała, że popełniłam błąd, nie wyciągając więcej informacji od pana Ludwiga, i miała rację.

– Myślę, że mają siedzibę w Amsterdamie – powiedziałam. – Bo chce, żebym tam właśnie się udała.

– A to naprawdę ma jakieś znaczenie? – wtrącił się James. – Oczywiście, nie zamierzasz...

– Tak naprawdę – odparowałam, nie mogąc się oprzeć pokusie podrażnienia go choć trochę – byłam dość blisko przyjęcia propozycji. Niecodziennie jakiś nieznajomy na ulicy proponuje mi pięć tysięcy

dolarów...

– Właśnie. – James uraczył mnie spojrzeniem pełnym potępienia. – Jakiś nieznajomy na ulicy. I co ty na to?

Uśmiechnęłam się, bo schlebiało mi, że potraktował to wszystko tak poważnie.

– Jestem zaciekawiona.

James pokręcił głową i pewnie rzuciłby kolejną szyderczą uwagę, gdyby Katherine – korzystając z przewagi geniuszu – nie uniosła ręki, by uciszyć nas oboje.

– I powiedział, że spotkacie się na lotnisku?

Zmieszana powagą w jej głosie, odchrząknęłam.

– Tak mi się wydaje.

James nie mógł dłużej milczeć.

– Oczywiście – wtrącił, mnąc serwetkę w kulę – nie zachęcasz Morg, by naprawdę odleciała z tym... Ludwigiem? Bóg jeden wie, do czego on jest zdolny...

Katherine wyprostowała się gwałtownie.

– Oczywiście, że nie! Nie mów głupstw. Próbuję jedynie rozgryźć, o co chodzi... kim są ci ludzie.

Dokładając usilnych starań, by nasza rozmowa odzyskała przyjazny ton, roześmiałam się.

– Ani trochę się nie zdziwię – powiedziałam – jeśli okaże się, że to któryś z moich leniwych studentów...

James spojrzał na mnie surowo.

– Mnie się to nie wydaje zabawne. Ktoś się zwrócił konkretnie do ciebie i nie sądzę, by chodziło o studenckie figle. Pamiętaj, żeby dokładnie zamknąć na noc drzwi.

ROZDZIAŁ 3

Kto bowiem spogląda na przyjaciela, spogląda jakby na własne odbicie.

CYCERO, *O przyjaźni*

Ciągle padało, gdy James odprowadził mnie do mojego mieszkania po drugiej stronie brukowanego dziedzińca, ostrożnie krocząc przez atramentowo czarne kałuże. Nigdy wcześniej nie odprowadzał mnie do domu. W najgorszym wypadku chociaż za ten miły postępek mogłam być wdzięczna panu Ludwigowi.

– Słuchaj, Morg – James wyciągnął ramię, by osłonić mnie przed deszczem, gdy stanęłam, by wyjąć klucze – sądzę, że nie powinnaś wyjeżdżać z kolegium na kilka dni. W każdym razie sama. Nigdy nie wiadomo...

Wpatrywałam się w niego, jakoś nie wierząc w jego szczerłość.

– Nie bądź śmieszny.

– Jeśli będziesz chciała wyjechać – podjął, a deszcz kapał mu z włosów i kroplami sunął po jego szlachetnym obliczu – zadzwoń do mnie, a pojedę z tobą.

Nie same słowa, ale głęboki ton jego głosu zakradł się prosto do mojego ucha i odbił echem w jaskiniach moich uśpionych nadziei. Spragniona dalszego ciągu spojrzałam mu w oczy... ale deszcz i ciemność zepsuły efekt. Po niezręcznej pauzie wreszcie wydusiłam sztywne: „To bardzo miło z twojej strony”, na co James odrzekł po prostu głosem błahym jak zawsze: „Drobiazg. Musimy o ciebie dbać, prawda?”.

I odszedł, z rękoma w kieszeniach, pogwizdując zwawą melodię, podczas gdy ja wreszcie uciekałam do swojego mieszkania. Albo raczej do wielkiego, gustownie umeblowanego mieszkania służbowego, które technicznie rzecz biorąc nie było moje; należało do szanowanego profesora Larkina, który dogodnie został zaproszony na rok do Yale. Nie tylko ja ubiegałam się o

roczne stanowisko wykładowcy zastępczego, ale byłam kobietą, a w kadrze kolegium od dawna brakowało tej konkretnej odmiany gatunkowej. W każdym razie takiego argumentu użyła Katherine Kent, by mnie zatrudniono.

Nie dostawałam pełnego uposażenia, ale dzięki przejęciu stanowiska profesora Larkina mogłam porzucić zawilgocone lokum na mieście i zamieszkać w kolegium. Jedynym problemem związanym z wykładaniem było obciążenie pracą. Miałam dni tak wypełnione zajęciami, że prawie nie zostawało mi czasu na własną pracę badawczą. A jeśli do końca roku nie dorobię się zestawu świeżych, oszałamiających publikacji pod swoim nazwiskiem, najpewniej nie mam szans na żaden etat. Wrócę do swojej sutereny na upiornej Cowley Road i będę pisać bezbarwne podania o pracę, odganiając myszy od czerstwych drożdżówek.

Nastawiłam czajnik, by zaparzyć sobie herbatkę na sen, i myślami powędrowałam ku wydarzeniom dnia. Skończyłam – nie dziwota – na panu Ludwigu. W ciągu paru chwil ten obcy człowiek zaprezentował mi się z olśniewającą gamą pokus: akademicka chwała, przygoda i tyle pieniędzy, by wystarczyło na pół roku wolności, poświęcenia się własnym badaniom. Może nawet wcisnęłabym w ten plan podróż do Stambułu, gdzie osobiście odwiedziłabym Grigora Reznika i namówiłabym go, by pokazał mi *Historię Amazonum* – jedyny oryginalny dokument o Amazonkach, którego jeszcze nie czytałam. W mojej głowie aż kipiało od pomysłów.

W zamian jednak pan Ludwig poprosił o tydzień mojego cennego czasu, i nawet gdybym była na tyle nieroztropna, by rozważyć jego propozycję, nie miałam jak usprawiedliwić takiej nieobecności ledwie miesiąc po rozpoczęciu nowej pracy. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby mi pokazał jakiś oficjalny dokument, podpczętowany i podpisany, nakreślający dokładnie, o co prosi mnie jego fundacja i jak to cudownie będzie wyglądało w moim CV... ale w obecnym stanie cała sprawa była zbyt niekonkretna, zbyt ryzykowna. Rzeczywiście, jak to Katherine Kent i James jasno wyłożyli przy kolacji – trzeba by kompletnie oszaleć, żeby tak po prostu odlecieć w nieznane.

Gdyby tylko pan Ludwig nie wypowiedział jednego magicznego słowa.
Amazonki.

Najwyraźniej wiedział o mojej naukowej obsesji na ten temat, bo w przeciwnym wypadku nie zwróciłby się do mnie. Ale co miałam

wywnioskować z jego założenia, że zawzięcie szukam dowodu na istnienie Amazonek? Oczywiście nie mógł wiedzieć, jak bliski jest prawdy.

No bo skąd?

Zdaniem większości naukowców Amazonki żyły wyłącznie w mitologii greckiej, a ci, którzy twierdzą inaczej, to w najlepszym wypadku szaleni romantycy. Oczywiście całkiem możliwe, że świat prehistoryczny zamieszkiwały również wojowniczkami, ale mity o Amazonkach oblegających Ateny albo biorących udział w wojnie trojańskiej należało uznać za wytwory bajaran, którzy pragnęli oczarować swoich słuchaczy jak najbardziej fantastycznymi opowieściami.

Amazonki literatury klasycznej, zawsze wyjaśniałam swoim studentom, należało postrzegać jako poprzedniczki wampirów i zombie zamieszkujących dzisiejsze biblioteczki. Były to wytwory wyobraźni, straszliwe i nienaturalne ze swoimi zwyczajami szkolenia córek w rzemiośle wojennym i raz do roku łączące się w pary z przypadkowymi osobnikami płci męskiej. A jednocześnie te dzikie niewiasty miały – przynajmniej w oczach antycznych rzeźbiarzy i malarzy zdobiących wazy – ludzkie cechy na tyle pociągające, by wzbudzić nasze sekretne namiętności.

Zawsze bardzo uważałam, by nie wyjawiać własnych odczuć w tej kwestii; zainteresowanie wiedzą o Amazonkach już i tak źle o mnie świadczyło, ale ujawnienie wiary w ich istnienie byłoby jednoznacznym aktem akademickiego samounicestwienia.

Przygotowałam sobie herbatę i zasiadłam do studiowania fotografii od pana Ludwiga z użyciem szkła powiększającego. Spodziewałam się, że w inskrypcji na ścianie natychmiast rozpoznam jeden ze zwyczajnych alfabetów starożytnych. Gdy tak się nie stało, poczułam lekki dreszcz emocji. A po kolejnych kilku minutach wnikliwej analizy i rosnącej dezorientacji prawdopodobne ewentualności zaczęły przeskakiwać pomiędzy moimi neuronami z szybkością meldunków z pola bitwy.

Najbardziej zaintrygowała mnie uniwersalność symboli, która niemal uniemożliwiała powiązanie ich z konkretnym czasem i miejscem. Mogły zostać nakreślone na spękanej ścianie chwilę przed zrobieniem zdjęcia w ramach jakiegoś wymyślnego oszustwa, ale mogły też liczyć kilka tysięcy lat. A jednak... im dłużej na nie patrzyłam, tym silniej odczuwałam upiorne wrażenie, że je znam. Zupełnie jakby gdzieś, w dalekim zakątku mojej

podświadomości, wierciła się drzemiąca bestia. Czy już się kiedyś zetknęłam z tymi symbolami? Jeśli tak, to ku mojej frustracji kontekst całkowicie mi umykał.

Tak się składało, że moja przyjaciółka z dzieciństwa, Rebecca, od trzech lat pracowała na stanowisku archeologicznym na Krecie i byłam pewna, że doskonale wie, jakie organizacje prowadzą tam wykopaliska i czego szukają. Niewątpliwie gdyby ktoś się natknął na takie inskrypcje gdziekolwiek w rejonie Morza Śródziemnego i jakoś by je powiązał z Amazonkami, doktor Rebecca M. Wharton pierwsza by o tym wiedziała.

– Wybacz, że przerywam ci nocną orgię – zaczęłam, kiedy wreszcie odebrała komórkę. Nie rozmawialiśmy od ponad miesiąca i słysząc po drugiej stronie jej zachwycone prychnięcia, uświadomiłam sobie, jak bardzo za nią tęskniłam. Ten śmiech rozpoznałabym wszędzie. Kojarzył się z kaczem po whisky, ale w wypadku Rebekki był tak naprawdę dość prozaiczną konsekwencją faktu, że na całe dni chowała swą dociekliwą głowę w jakiejś pylistej dziurze.

– Właśnie o tobie myślałam! – wykrzyknęła. – Chór ślicznych greckich chłopców karmi mnie tu winogronami i naciera oliwą.

Skwitowałam śmiechem tę wizję. Szanse na to, że Rebecca utrzymuje zażyłe relacje nie tylko z odłamkami starożytnych garnków, wynosiły, niestety, zero do dziesięciu. Buntowniczką w swojej czapce z daszkiem i w obciętych džinsach, pełzająca na czworakach w mrowiu fascynujących archeologów płci męskiej... ale wzrok miała utkwiony wyłącznie w przeszłość. Chociaż dużo gadała, wiedziałam, że moja piegowata przyjaciółka w głębi duszy wciąż jest córką pastora.

– Czy dlatego właśnie nie miałaś czasu zadzwonić do mnie z epokowymi wieściami?

Przez chwilę słyszałam szuranie, z którego wywnioskowałam, że Rebecca usiłuje trzymać telefon ramieniem.

– Jakimi epokowymi wieściami?

– No właśnie słucham, jakimi. Kto wykopał Amazonki na waszym podwórku?

Wydała charakterystyczny, przeszywający krzyk egzotycznego ptaka.

– Co?!

– Rzuć okiem. – Wychyliłam się, by sprawdzić zdjęcie na monitorze

komputera. – Właśnie wysłałam ci zdjęcie mailem.

Gdy czekałam, aż Rebecca dopadnie laptopa, szybko nakreśliłam jej sytuację, uzupełnioną o obawy Jamesa Moselane'a, że padnę ofiarą kawału i że grozi mi jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo.

– Oczywiście nie pojedę – zastrzegłam – ale strasznie chciałabym wiedzieć, gdzie zrobiono to zdjęcie. Jak widzisz, wygląda na to, że inskrypcja zajmuje część większej ściany, z tekstem ułożonym w pionowych kolumnach. Jeśli chodzi o samo pismo – nachyliłam się jeszcze bliżej, próbując lepiej ustawić lampkę – mam takie dziwne poczucie... ale zupełnie...

Chrupanie zasugerowało, że Rebecca przeżuwa jakieś orzechy – niechybny znak, że sprawa ją zaintrygowała.

– Czego oczekujesz ode mnie? – spytała. – Mogę cię zapewnić, że tego zdjęcia nie zrobiono na mojej wyspie. Gdyby na Krecie ktoś trafił na taką ścianę, wierz mi, wiedziałabym o tym.

– Już ci mówię, czego od ciebie oczekuję. Przyjrzyj się dokładnie tej inskrypcji i powiedz mi, gdzie wcześniej widziałam te symbole.

Wiedziałam, że to strzał w ciemno, ale musiałam spróbować. Rebecca zawsze miała talent do dostrzegania czegoś więcej niż oczywistości. To ona właśnie, gdy byłyśmy dziećmi, odkryła tajemny zapas batoników czekoladowych mojego ojca w starej skrzyni narzędziowej w garażu. A i tak, choć uwielbiała słodczyce, nie zaproponowała, żebyśmy się poczęstowały. Czysty triumf z dokonania odkrycia – i z tego, że mogła mnie o moim ojcu nauczyć czegoś nowego – był wystarczająco ekscytujący.

– Dam ci jeszcze chwilę... – powiedziałam.

– A może – odparowała Rebecca – dasz mi kilka dni, żebym rozpytała?

Prześlę to zdjęcie do pana Telemakhosa...

– Czeka! Nikomu tego zdjęcia nie pokazuj!

– Dlaczego?

Zawahałam się, świadoma nieracjonalności swojego zachowania.

– Bo coś w tych znakach wydaje mi się mocno znajome... w jakiś przedziwny sposób. Zupełnie jakbym to widziała zapisane atramentem...

Odpowiedź nasunęła się nam obu jednocześnie.

– Zeszyt twojej babci! – zachłysnęła się Rebecca, szeleszcząc szaleńczo po drugiej stronie. – Ten, który jej dałaś na Boże Narodzenie...

Przeszedł mnie dreszcz niepokoju.

– Nie, to niemożliwe. To chore.

– Dlaczego? – Rebecca była zbyt zakręcona, by cackać się z kwestią, o której wiedziała, że jest moją emocjonalną piętą achillesową. – Zawsze mówiła, że zostawi ci instrukcje, prawda? I że je dostaniesz w chwili, gdy najmniej się ich będziesz spodziewać. Więc może to właśnie to. Wielkie wezwanie od babci. Kto wie... – Głos Rebekki przeszedł na przekorną nutę, gdy prawdopodobnie zdała sobie sprawę ze skandaliczności swojej propozycji. – Może to ona czeka na ciebie w Amsterdamie.

ROZDZIAŁ 4

AFRYKA PÓŁNOCNA
SCHYLEK EPOKI BRĄZU

Na migoczącym horyzoncie pojawiły się dwie postaci.

O tej jasnej, prażącej porze dnia niebo i ziemia schodziły się w srebrzystej mgiele i nie sposób było odróżnić jedno od drugiego. Ale powoli, w miarę pokonywania słonej płaszczyzny, dwie drżące postaci nabrały wyglądu kobiet – jednej zdecydowanie dorosłej i drugiej nie do końca.

Myrina i Lilli wędrowały od wielu dni, tylko we dwie. Cel ich wyprawy był oczywisty, z ich ramion na skórzanych pasach zwisały wszelkiego rodzaju łupy i broń. Gdy zbliżały się do widocznej już przed nimi osady, przyspieszyły kroku.

– Ależ mama będzie dumna! – wykrzyknęła Lilli. – Mam nadzieję, że powiesz jej, jak schwytałam w sidła tego zająca.

– Nie ominę żadnego szczegółu – obiecała Myrina, wichrząc splątane włosy młodszej siostry – może poza tym momentem, kiedy omal nie skręciłaś sobie karku.

– Tak. – Lilli schowała głowę w ramiona i chwilę szła zabawnie jak żółw, jak zawsze w chwili zakłopotania. – Lepiej o tym nie wspominać, bo już nigdy nie pozwoli mi się z tobą wyprawić. A szkoda by było, prawda? – Podniosła na Myrinę wzrok, uśmiechając się z nadzieją.

Ta przytaknęła stanowczym skinieniem głowy.

– Wielka szkoda. Masz zadatki na wielkiego myśliwego. A poza tym – nie mogła się powstrzymać, musiała zachichotać – jesteś niewyczerpanym źródłem uciechy.

Lilli się skrzywiła, ale Myrina wiedziała, że siostra w głębi duszy się raduje.

Mała jak na dwunastolatkę, za wszelką cenę chciała sprawdzić się w tej eskapadzie, a Myrinę mile zaskoczyła jej wytrzymałość. Głodna czy zmęczona, Lilli nigdy nie odmówiła wykonania zadania, nigdy nie uroniła łzy. W każdym razie nie na oczach siostry.

Całe sześć lat od niej starsza i na pewno równie sprawna jak każdy mężczyzna w jej wieku Myrina uważała za swój obowiązek uczyć siostrę sztuki polowania. Ten pomysł jednak napotkał emocjonalny opór ich matki, która ciągle widziała w Lilli małe dziecko i nadal śpiewała jej do snu.

Gdy teraz zbliżały się do domu, gdy widziała wcześniej nieobecną dumę w postawie dziewczynki, Myrina nie mogła się doczekać, by złożyć to wszystko u stóp ich matki: wspaniały łup, liczne opowieści i najmłodszą córkę wracającą z dziczy bezpieczną i z uśmiechem, z krwawym znakiem myśliwego nakreślonym na czole.

– Myślisz, że upieką to wszystko naraz? – spytała Lilli, przerywając rozmyślenia Myriny. – Ale byłaby uczta. Chociaż – spojrzała na pęk niewielkich ryb zwisających z jej paska na paśmie wełny – niektóre łupy są małe i w ogóle niewarte wzmianki.

– Z doświadczenia wiem – odparła Myrina – że małe są najsmaczniejsze...

Urwała. Minęły zakręt przy pastwisku, osada Tamasz leżała dokładnie przed nimi. Tu właśnie zawsze wybiegały na powitanie psy, wiedząc, że jej nadejście zapowiada kęsy mięsa i szpik.

Ale dzisiaj żadne psy nie przybiegły. A gdy Myrina przystanęła, nasłuchując, nie dotarły do niej z osady żadne typowe odgłosy, tylko ochryple krzyki ptaków i dziwne, uporczywe brzęczenie tysięcy pszczoł na kwietnej łące. Oznaki życia ograniczały się do grubych słupów dymu wznoszących się gdzieś spomiędzy chat i rozplywających się w bezkresnym błękitcie.

– Co się dzieje? – spytała Lilli, otwierając szeroko oczy. – Co słyszysz?

– Nie jestem pewna – odparła Myrina, czując, jak każdy najmniejszy włoszek na jej skórze staje z lęku. – Może zostaniesz tutaj? – Chwyliła Lilli za ramiona i zatrzymała.

– Dlaczego? Co się dzieje? – Głos dziewczynki zabrzmiał ostro, a kiedy Myrina ruszyła, tamta podążyła za nią. – Powiedz mi, proszę!

Teraz w końcu Myrina zobaczyła jednego z psów. Był to łaciaty szczeniak, który zawsze przychodził spać u jej stóp w czasie burzy – szczeniak, którego już kiedyś odkarmiła, boby zdechł, i który czasami wpatrywał się w nią

oczami niemal ludzkimi.

Jedno spojrzenie na zwierzaka – ukradkowe, służalcze zachowanie, nerwowe ziewanie – powiedziało Myrinie wszystko.

– Nie dotykaj go! – krzyknęła, gdy Lilli wyciągnęła do psa rękę.

Ale było za późno. Jej siostra już chwyciła szczeniaka za kark i zaczęła go głaskać z czułością.

– Lilli! – Myrina gwałtownym ruchem poderwała dziewczynkę z ziemi. – Nie słyszałaś mnie? Niczego nie dotykaj!

Dopiero wtedy dojrzała na jej twarzy pierwsze oznaki zrozumienia.

– Proszę – powiedziała Myrina, łagodząc głos tak bardzo, że zaczął drżeć – bądź teraz grzeczna i zostań tutaj, a ja... – znowu rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę cichych domów przed nimi – ...upewnię się, że wszystko w porządku.

Wchodząc do osady, z rękoma zaciśniętymi na włócznie, Myrina zewsząd wypatrywała oznak dramatu. Pewnie osadę zaatakowało wrogie plemię albo dzikie zwierzęta, gotowała się na przerażające widoki, ale to, co znalazła, całkowicie ją zaskoczyło.

– Ej, ty! – Z wnętrza mijanej chaty dotarł do niej ochryply, nienawistny głos, a po chwili wyłoniła się skulona kobieta, o ciele zlanym potem. – To twoja matka nam to zrobiła. – Kobieta splunęła na ziemię, a ślinę miała szkarłatną od krwi. – Twoja matka wiedźma!

– Nena, przyjaciółko. – Myrina cofnęła się o kilka kroków. – Co tu się stało?

Kobieta znowu splunęła.

– Nie słyszałaś mnie? Twoja matka przeklęła nas wszystkich. Ściągnęła plagę i powiedziała, że zabije każdego, kto nie godzi się na jej rozpustę.

Myrina szła dalej, a gdziekolwiek spojrzała, widziała chorobę i boleść.

Mężczyźni, kobiety i dzieci tłoczyli się w cieniu, dygocząc ze strachu i gorączki; inni klęczeli na tłących się paleniskach, w milczeniu nacierając się popiołem.

A w miejscu, gdzie stała chata jej matki, teraz nie było nic, tylko stos czarnych węgla, do którego bezceremonialnie wrzucono znajome przedmioty.

Myrina nie była w stanie w pełni pojąć, co widzi. Uklękła, by podnieść niewielki poczerniały krążek wystający z popiołów. Była to bransoleta z

brązu, którą matka nosiła na nadgarstku. Zarzekała się, że pozostanie tam do końca jej dni.

– Tak mi przykro, kochana – powiedział słaby głos. Myrina odwróciła się i zobaczyła starą sąsiadkę matki, opartą na lasce. Wokół ust miała otwarte rany. – Lepiej odejść. Oni szukają kozła ofiarnego. Próbowałam przemówić im do rozumu, ale nikt nie chce słuchać głosu rozsądku.

Przyciskając dłoń do ust, Myrina ruszyła z powrotem, ignorując rzucane za nią obelgi. „Dziwka!” – krzyczeli mężczyźni, nie dlatego, że z nimi kiedykolwiek zległa, lecz dlatego, że tego nie uczyniła. „Wiedźma!” – krzyczały kobiety, zapominając, że to matka Myriny przychodziła nocą trzymać je za rękę i sprowadzać na świat ich dzieci... i zapominając, że to Myrina robiła dla tych dzieci zabawki ze zwierzęcych kości.

Gdy wreszcie wróciła do Lilli, dziewczynka siedziała na głazie przy drodze, sztywna od strachu i gniewu.

– Dlaczego nie mogłam pójść z tobą? – spytała, kołysząc się w przód i w tył z rękoma skrzyżowanymi na piersi. – Długo cię nie było.

Myrina wbiła włócznię w ziemię i usiadła obok niej.

– Pamiętasz, co matka powiedziała, gdy wyruszałyśmy? Że cokolwiek się wydarzy, musisz mi ufać.

Lilli podniosła wzrok, jej twarz ściągnęła się od złego przeczucia.

– Oni wszyscy nie żyją, prawda? – wyszeptała. – Tak jak ludzie w moim śnie. – A gdy Myrina nie odpowiedziała, dziewczynka zaczęła łkać. – Chcę zobaczyć mamę. Proszę!

Siostra objęła ją mocno.

– To niemożliwe.

ROZDZIAŁ 5

*Groza z przeszłości ukrycia
Rzecz dawną budzić do życia...³*

SOFOKLES, *Edyp w Kolonie*

COTSWOLDS, ANGLIA

Ojciec odebrał mnie z dworca w Moreton-in-Marsh. Pomimo wczesnej pory sprawiał wrażenie zdumiewająco zwawego i szykownego. Spodziewałam się szczeniastego opryskliwca i wzuszyłam się, widząc, że włożył dość porządne sztruksowe spodnie, a nie dół od piżamy, który zaczął nosić po domu w weekendy.

Obawiałam się, że tylko czekać, a ten dół wyprawi się na podwórko po gazetę, a najpewniej znajdzie też drogę do samochodu, by udać się na jakąś okazjonalną, nieoficjalną eskapadę.

– Nie chciałbym być nachalny... – Ojciec nie uznał za konieczne kończyć zdania. W taki sposób mówił: „Dlaczego na miłość boską chciałeś wyjechać z Oksfordu o siódmej rano?”.

– Och... – Wyjrzałam obojętnie przez okno, walcząc z dziecinną pokusą zdradzenia prawdziwego powodu mojej wizyty. – Myślałam, że to na tyle późno, że nie sprawię kłopotu. Przywilej jedynaczki.

Moi rodzice mieszkali w pełnej zakamarków chacie zbudowanej ze złotych kamieni przez jakiegoś dawnego przodka, który musiał mieć najwyżej metr pięćdziesiąt, sądząc po klamkach na wysokości kolan. Jemu budynek kojarzył się pewnie ze strzelistą rezydencją; mnie – zawsze wysokiej jak na swój wiek – wydawał się ciasny, a jako dziecko często wyobrażałam sobie, że jestem olbrzymką uwięzioną w leśnym kopcu przez dwa trolle.

Po wyprowadzce z domu oczywiście nawet utrapienia dzieciństwa

nabrały czarownego blasku. Bo teraz przy każdej wizycie odkrywałam, że stałam się jeszcze bardziej ślepa na jego niedostatki... do tego stopnia, że jego pokrzepiająca przytulność wydawała mi się rozkoszna.

Weszliśmy do środka jak zawsze przez garaż i przystanęliśmy w niewielkim przedsionku, by zdjąć buty. Zapchane płaszcami, schnącymi kwiatami i setkami orzechów laskowych zwisających z haczyków pod sufitem w nylonowych pończochach, było to niewątpliwie najbardziej zabałaganione pomieszczenie w domu. A jednak lubiłam tu się zatrzymywać, bo roznosił się tu kojący, znajomy zapach – zapach impregnowanych kurtek i rumianku, i wciąż, po latach, kosza jabłek, którego zapomnieliśmy kiedyś na piecu.

Gdy tylko ojciec wsunął stopy w kapcie, ruszył do kuchni i stamtąd do jadalni. Trochę zdumiona tą trasą, przyłączyłam się i zobaczyłam, jak ukradkiem zbliża się do okna wychodzącego na ulicę.

W ogrodzie za oknem stał nowy karmnik, najwyraźniej przeznaczony dla pierzastych przyjaciół ojca. Na podeście jednak siedziała czarna wiewiórka objadająca się ziarenkami wyłożonymi dla ptaszków.

– To znowu ona! – Nawet nie zadał sobie trudu, by coś wyjaśnić, tylko wypadł przez tylne drzwi, w tych kapciach, by położyć kres złośliwym intrygom natury. Kiedy się go widziało w tym wydaniu, jak krząta się po podwórku w swojej dzianej kamizelce włożonej tyłem do przodu, trudno było uwierzyć, że ten sam człowiek, Vincent Morgan, jeszcze niedawno był dyrektorem tutejszej szkoły i że napępiał przerażeniem serca chłopców i dziewcząt. W całej okolicy mój ojciec był znany jako Morgan Gorgona, a ilekroć jako dziecko sama wychodziłam z domu, narażałam się na to, że będzie się za mną włókła banda chłopców skandujących „Mała Gorgona”, aż wyjdzie rzeźnik w swoim zakrwawionym fartuchu i ich przepędzi.

Dopiero na emeryturze mój ojciec obrócił swoje działa przeciwko ogrodowi.

Nigdy nie zaliczał się do zwolenników zmian i uporczywie snuł pełne lamentu i nostalgii opowieści o tym małym rodowym kawałku ziemi. Jabłka nigdy nie były tak cierpkie, jak pamiętał z dzieciństwa, ani maliny nigdy nie obradzały tak obficie jak w czasach, gdy był małym chłopcem i zbierał ich pełne koszyki, by zanieść je do kuchni pani Winterbottom.

Te romantyczne epizody były zawsze starannie opracowane, by się pozbyć

kłopotliwych szczegółów. Zniknął ojciec pracoholik i matka stale przebywająca w szpitalu. Zniknął fakt, że pani Winterbottom – gospodyni domowa z zawodu – była surową, odzianą w plastik osobistością, pośród której wydajności i schludności brakowało miejsca na wrażliwość. Został tylko mały chłopiec i jego ogród, okolony sezonowym listowiem i zawsze lekko podkolorowany.

Wetknąwszy głowę do piwnicy, zgodnie z oczekiwaniem zobaczyłam grupkę kobiet na rowerach stacjonarnych. Na ekranie naprzeciwko nich leciał film z ćwiczeniami.

– Cześć, mammo! – zawołałam. – Witam panie!

– Cześć, skarbie! – Moja matka była ubrana w żółtą dzianinę, którą dałam jej na Boże Narodzenie, a srebrnego boba odgarnęła za pomocą bandany. Jako jedna z niewielu znanych mi kobiet nie bała się pocić, a fakt ten przez lata był dla mnie źródłem ogromnego zakłopotania, teraz zaś stał się czymś, co najbardziej w niej podziwiałam. – Jeszcze dziesięć minut!

Gdy wróciłam na górę i stwierdziłam, że ojciec wciąż zajmuje się karmnikiem na podwórku, poczułam, jak żołądek zaciska mi się z nerwów.

Dziesięć minut. Właśnie tyle potrzebowałam.

Gabinet mojego ojca był zakurzoną kanciapą ze wszystkimi atrybutami właściwymi dla wiktoriańskiego dżentelmena. Na ścianach wisiały zapchane wypaczone półki na książki, a gdzieś tam pomiędzy tymi tomiszczami stały jego wyjątkowe skarby: przyszpilone owady w drewnianych pudełkach, robaki i węże zakonserwowane w szklanych pojemnikach, a także nieżywe ptaki lypiące jasnymi szklanymi oczami z górnych półek jak drapieżniki przycupnięte na grani. Odkąd pamiętałam, zapach w tym pokoju uważałam za niebezpiecznie frapujący; była to woń historii, wiedzy i występnych chwil, gdy jako dziecko wyprawiałam się tu pomimo zakazu.

Teraz starsza, ale tak samo zdenerwowana, przypadkiem przewróciłam kubek stojący niepewnie na biurku. W ciągu kilka sekund długopisy, linijki i spinacze rozprysły się we wszystkich kierunkach. Roztrzęsiona z poczucia winy zebrałam drżącymi rękoma wszystko z powrotem do kubka i podstawiłam go na miejsce, czyli na stos rachunków.

W drzwiach stanął mój ojciec.

– Och, no proszę! – wykrzyknął, a jego krzaczaste brwi złączyły się groźnie.

– Czy ma mi pochlebiać, że uznałaś moją korespondencję za tak interesującą?

– Strasznie przepraszam – szepnęłam. – Szukam mojego aktu urodzenia. Brwi złagodniały.

– Ach. Może ja poszukam... – Siadłszy ciężko na krześle, otworzył i zamknął kilka szuflad, nim wreszcie znalazł to, czego szukał. – Voilà! – Wyjął całkiem nową teczkę podpisaną moim imieniem. – To są wszystkie twoje dokumenty. Trochę posprzątałem. – Uśmiechnął się w końcu. – Pomyślałem, że oszczędzę ci fatygi.

Wpatrywałam się w niego, próbując zajrzeć pod ten uśmiech.

– Nie... nie wyrzuciłaś nic chyba, prawda?

Zamrugął kilka razy, zakłopotany moim nagłym zainteresowaniem jego zajęciami.

– Nic ważnego, jak sędzę. Większość wsadziłem do kartonu. Dokumenty rodzinne i takie tam. Może będziesz chciała je spalić, ale... decyzję zostawiam tobie.

Drzwi na strych skrzypiały, więc wizyt tam niemal nigdy nie dało się zachować w sekrecie.

Jako dzieci Rebecca i ja chowałyśmy w rogu tego mrocznego pomieszczenia małe pudełko ze skarbami, wepchnięte głęboko pod dach. Ilekroć zebrałyśmy się na odwagę, wymykałyśmy się tu, by do niego zajrzeć. Było tam miniaturowe mydełko z hotelu w Paryżu, suszona róża z bukietu ślubnego, piłka golfowa z Moselane Manor Park... i kilka innych skarbów, które nie mogły wpaść w niepowołane ręce.

– Co wy tam robicie na tym strychu? – spytała moja matka pewnego razu przy lunchu, na co Rebecca rozlała na stół swoją lemoniadę.

– Nic – odparłam z wymuszoną niewinnością.

– Więc bawcie się na dworze. – Moja matka zużyła większość rolki ręcznika papierowego do uprzątnięcia lemoniady, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. W końcu Rebecca była córką pastora. – Nie chcę, żebyście przebywały w tak zakurczonym pomieszczeniu.

I tak jak dzieci uczą się spełniać oczekiwania swoich rodziców, jeżdżąc na rowerach i szybko zasypiając w Wigilię, tak ukradkiem rozwijają inne umiejętności, często wiążące się z przechowywanymi w niebezpiecznych miejscach puszkami po ciasteczkach oraz – tak jak w moim wypadku –

zdolnością otwierania i zamykania skrzypiących drzwi na strych absolutnie bezszmerowo.

Chociaż sztuczki tej nie potrzebowałam całe lata, z radością stwierdziłam, że nadal umiem ją wykonać. Przystanąwszy w progu, chwilę nasłuchiwałam dźwięków z dołu, ale słyszałam wyłącznie sporadyczny brzęk porcelanowych naczyń. W ciągu dnia moi rodzice kultywowali tylko jeden przewidywalny zwyczaj, a było to wspólne czytanie gazety po lunchu. W tym czasie daremne byłyby próby wciągania ich w rozmowy trójstronne; gdy tylko naczynia znikwały ze stołu, a kawa trafiała do filiżanek, ochoczo zatracali się w świecie krykieta i skorumpowanych polityków.

Niemniej aż nazbyt czułam ich obecność na dole, gdy włączałam jedyną żarówkę, która zdawała się zwisać z sufitu na grubych niciach pajęczyny.

Ruszyłam w głąb strychu, próbując sobie przypomnieć, które deski skrzypią, a które nie... ale szybko zrozumiałam, że zbyt wiele lat rozdzieliło mnie i ścieżkę niegdyś tak dobrze mi znaną.

Wciśnięty pod stromy dach strych był w zasadzie stożkowatą kryptą pozbawioną źródła naturalnego światła, jeśli nie liczyć półokrągłego okna w północnej ścianie szczytowej. Chociaż zakurzony i pusty, zawsze budził we mnie osobliwą fascynację; ilekroć jako dziecko zaglądałam do starej skórzanej walizki albo do drewnianego kufra, oczekiwałam, że znajdę tam coś magicznego. Może zapomniane puzderko na biżuterię albo postrzępioną flagę piracką, albo pakunek kruszących się listów miłosnych... w tym mrocznym pomieszczeniu i jego urokliwym zapachu cedru i kulek na mole zawsze kryła się zapowiedź rodzinnych tajemnic i drzwi prowadzących do innych światów.

A pewnego dnia, gdy miałam dziewięć lat, magiczne drzwi wreszcie stanęły otworem.

Babcia.

Ciągle ją widzę, jak tam stoi, odwrócona plecami, całymi godzinami wygląda przez półokrągłe okno... nie z tęskną rezygnacją, której można by się spodziewać po kimś trzymanym pod kluczem, lecz z aktywną determinacją, jakby trzymała wartość, spodziewając się jakiegoś nieuniknionego ataku.

O matce mojego ojca zawsze wiedziałam tylko tyle, że jest chora i przebywa w szpitalu w dalekim kraju. Ten daleki kraj sama zmyśliłam,

prawdopodobnie by zrozumieć, dlaczego nigdy jej nie odwiedzaliśmy, tak jak jeździliśmy do dziadka w trakcie jego długiej nienazywanej z imienia choroby. Nie zastanawiając się nawet nad tym za bardzo, wyobrażałam ją sobie, jak leży tak jak on, z plastikowymi rurkami wychodzącymi spod ubrań i niknącymi wśród nich, ale w obcym otoczeniu bielonych ścian i z krucyfiksem wiszącym nad łóżkiem.

Nagle pewnego mżącego popołudnia, bez żadnego ostrzeżenia, po powrocie ze szkoły zastałam w domu obcą wysoką kobietę. Stała na środku salonu, z wyrazem niezwykłego spokoju na twarzy, z małą walizeczką u nogi.

– Diana! – powiedziała moja matka, niecierpliwie przywołując mnie gestem.

– Chodź przywitać się z babcią.

– Cześć – szepnęłam, chociaż już wtedy czułam, że takie powitanie jest wybitnie niewłaściwe. Coś w tej obcej wysokiej osobie było całkowicie nie na miejscu, widziałam to dokładnie, ale pamiętam, że nie umiałam określić, co to jest.

Mógł to być fakt, że ciągle miała na sobie prochowiec, przez co wyglądała, jakby była przypadkowym przechodniem czekającym na autobus, jakby mogła odjechać w każdej chwili. A może zbił mnie z tropu fakt, że według moich doświadczeń – z oczywistych względów raczej ograniczonych – w ogóle nie wyglądała jak babcia. Zamiast kalafiorowatej trwałej ondulacji ulubionej przez miejscowe damy, miała siwe włosy splecione w warkocz spływający na plecy, a na jej twarzy nie widać było niemal żadnych zmarszczek. Wręcz w ogóle wydawała się bez wyrazu. Moja nowa babcia po prostu patrzyła na mnie otwartym, szczerym spojrzeniem, a w tym spojrzeniu nie było jakiegóż szczególnej ciekawości ani śladu emocji.

Pamiętam poczucie rozczarowania jej bezosobowym zachowaniem, ale wiedziałam także, z niezachwianą pewnością typową dla dziecka, że ponieważ jest moją babcią, w sposób nieunikniony mnie pokocha. Więc uśmiechnęłam się, wiedząc, że pisana jest nam przyjaźń, i zobaczyłam maleńki przebłysk ubawienia w jej szaroniebieskich oczach. Nadal jednak się nie uśmiechała.

– Dzień dobry – odparła po prostu, z tym swoim dziwnym akcentem, który sprawiał, że wydawało się, iż powtarza słowa, nie do końca rozumiejąc

ich znaczenie.

– Babcia chorowała – wyjaśniła moja matka, zdejmując mi z pleców tornister i przysuwając mnie bliżej babci – ale już się czuje lepiej. I teraz będzie mieszkać z nami. Cudownie, prawda?

Przy tej konkretnej okazji nic więcej nie powiedziano. Babcia wprowadziła się na strych, który jak właśnie odkryłam, wysprzątało i umeblowano, i chociaż była nadzwyczajnie wysoka i miała – w mojej ocenie dziewięciolatki – wyjątkowo wielkie stopy, zachowywała się tak cicho, że nikt by nie odgadł, że tam jest, gdyby nie skrzypienie drzwi na strych, ilekroć szłam się z nią zobaczyć.

Po latach, gdy analizowałam tamten okres, śmiałam się z siebie, że zwiódł mnie ten pogodny nastrój i że uznałam milczenie babci za jakąś konsekwencję jej długiej, tajemniczej choroby. Denerwowało mnie, że może godzinami siedzieć w fotelu w naszym salonie, nie robiąc absolutnie nic, podczas gdy moja matka biegała tam i z powrotem, krzątając się i sprzątając i traktując teściową jak kolejny mebel stojący jej na drodze.

„Podnieś nogi” – żądała i babcia posłusznie usuwała stopy z drogi odkurzacza. Parę razy, gdy nie nastąpiła natychmiastowa reakcja i odkurzaczy nieoczekiwanie się zatrzymywał, w końcu matce przyszło do głowy dodać: „Proszę”.

W swoich lepszych chwilach matka wyrzucała sobie niecierpliwość wobec babci i przypominała sobie i mnie: „To lekarstwa. Ona nic nie może na to poradzić”. Przechodząc przez pokój, przystawała na chwilę, by poklepać żyłastą starą dłoń spoczywającą na poręczy fotela, chociaż rzadko wywoływało to jakąkolwiek reakcję.

Minęło kilka miesięcy od przybycia babci, zanim odbyłam z nią prawdziwą rozmowę. Kiedy wreszcie do tego doszło, przesiedziałyśmy w jej strychowym mieszkanku większość sobotniego popołudnia, skazane na swoje zdecydowanie niepasjonujące towarzystwo, gdy moi rodzice pojechali do miasta na pogrzeb.

Pisałam wyjątkowo nudne szkolne wypracowanie i przez dłuższą chwilę – ku swojej rosnącej irytacji – czułam wzrok babci na moim długopisie. W pewnym momencie, gdy przerwałam z braku natchnienia, wychyliła się wyczekująco, jakby tylko czekała na okazję, i syknęła: – Zasada numer jeden: nie lekceważ ich. Zapisz to.

Wytrącona z równowagi jej nagłym zaangażowaniem, posłusznie zapisałam słowa w środku wypracowania, a gdy ona zobaczyła efekt, kiwnęła głową z aprobatą.

– To dobre, co robisz. Że piszesz.

W sumie nie wiedziałam, co powiedzieć.

– A ty... nie umiesz pisać?

Przez chwilę patrzyła wstrząśnięta, a ja się zastanawiałam, czy aby jej nie obraziłam. Potem babcia spuściła wzrok, nagle przestraszona.

– Umiem. Umiem pisać.

Na Boże Narodzenie tamtego roku podarowałam jej zeszyt – jeden z moich nieużywanych czerwonych zeszytów szkolnych – a do tego trzy niebieskie długopisy, które kupiłam w sklepie. W pierwszej chwili nic nie powiedziała, ale gdy tylko moi rodzice zajęli się własnymi prezentami, chwyciła mnie za rękę i ścisnęła tak mocno, że aż zabolęło.

Czerwony zeszyt zobaczyłam ponownie dopiero po latach, gdy babci już od dawna nie było. Podśluchiwałam rozmowę, którą po kolacji prowadzili moi rodzice ze szkolnym kolegą ojca, doktorem Trelawnym, psychiatrą, wówczas pracującym w Edynburgu. Przycupnąwszy u szczytu schodów, mogłam śledzić ich rozmowę toczącą się w salonie, a jednocześnie w razie potrzeby miałam szansę szybko uciec do swojego pokoju.

Tym akurat razem tematem ich rozmowy była babcia, a ponieważ wszystkie moje pytania na jej temat zwykle napotykały pełne wyrzutu milczenie, oczywiście postanowiłam ignorować dokuczliwy ziąb klatki schodowej, byle tylko przyswoić jak najwięcej informacji.

Ojciec najwyraźniej pokazywał doktorowi Trelawnemu dokumentację medyczną, ponieważ rozmawiali o takich rzeczach jak „schizofrenia paranoidalna”, „leczenie elektrowstrząsami” i „lobotomia”, z czego większość była dla mnie wówczas niezrozumiałym bełkotem. W pewnym momencie nastąpiło dłuższe szeleszczenie papierami, przerywane okrzykami doktora Trelawnego: „Nadzwyczajne!” i „To zupełnie niesamowite!” – a wszystko sprawiło, że rozpalona ciekawością po prostu musiałam zejść kilka stopni i wyciągnąć szyję, by zobaczyć, co się dzieje.

Przez uchylone drzwi dostrzegłam moją matkę siedzącą na naszej żółtej kanapie, nerwowo bawiącą się frędzlami szala, podczas gdy mój ojciec i doktor Trelawny stali przy kominku. Ich szklanki z whisky widziałam na

jego gzymisie.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że przedmiotem wywołującym takie podniecenie u apatycznego na ogół doktora jest czerwony zeszyt, który sześć lat wcześniej dałam babci na Boże Narodzenie. Najwyraźniej z trzech niebieskich długopisów babcia zrobiła dobry użytek, bo sądząc po ekscytacji, którą budziła u doktora każda kolejna kartka, zeszyt był zapisany od pierwszej do ostatniej strony.

– Co o tym myślisz? – spytał w końcu ojciec, sięgając po swoją whisky. – Pokazałem to paru specjalistom w Londynie, ale mówią, że taki język nie istnieje.

Urojony słownik, tak to nazwali.

Doktor Trelawny gwizdnął głośno, nie zważając na ostrzegawczą minę mojej matki.

– Fikcyjny język fantazjującego umysłu. Myślałem, że widziałem już wszystko, ale to coś całkowicie nowego.

Niestety, z powodu gwizdnięcia moja matka zamknęła drzwi do holu, skutecznie odcinając mnie od reszty rozmowy.

Od tamtego wieczoru miałam ochotę zobaczyć, co dokładnie babcia zapisała w zeszycie. Ilekroć jednak ośmieliłam się poruszyć ten temat, matka porzucała bieżące zajęcie z okrzykiem: „Ach, a właśnie! Diano, chcę ci coś pokazać...”

I wyruszałyśmy na górę, by przejrzeć jej ubrania albo buty, albo torebki w poszukiwaniu czegoś, do czego pożyczania dorosłam czy stałam się należycie odpowiedzialna. Domyślałam się, że w ten sposób przeproszała mnie za wszystkie nieudzielone odpowiedzi.

Pewnego razu niechcący zaskoczyłam mojego ojca, gdy siedział przy biurku nad tym zeszycem – wepchnął go do szuflady z takim nieporadnym pośpiechem, że nabrałam pewności, iż zdecydowanie nie chciałby o nim rozmawiać. Tak więc czekałam i czekałam, wyraźnie wyczuwając obecność zeszytu pośród rodzinnych papierów, aż pewnego dnia nie mogłam już tego dłużej znieść.

Rebecca i ja na cały dzień zostałyśmy w domu same, rozrabiałyśmy jak zwykle, aż wreszcie stanęłyśmy na progu gabinetu ojca.

– Masz prawo znać prawdę – nalegała Rebecca, gdy zobaczyła, że się waham. – Nie mogą trzymać tego w tajemnicy przed tobą. To bardzo złe.

Jestem pewna, że wręcz niezgodne z prawem. Przecież masz szesnaście lat.

Zachęcona jej oburzeniem, wreszcie otworzyłam szufladę z rodzinnymi papierami i następną godzinę spędziłyśmy na wertowaniu ojcowskich teczek w poszukiwaniu czerwonego zeszytu.

W czasie tamtej godziny znalazłyśmy tyle wstrząsających dokumentów, że nim ostatecznie odkryłyśmy zeszyt, stracił on na znaczeniu. Tak, owszem, zawierał długą listę angielskich słów pozornie przetłumaczonych na grupy dziwacznych symboli, ale słowniczek babci, jak się okazało, nie był nawet w połowie tak interesujący jak listy od lekarzy ze złowieszczo brzmiącymi terminami relacjonującymi w skrócie jej leczenie, w tym przyprawiający o mdłości opis zabiegu chirurgicznego zwanego lobotomią.

Niejako oszołomione tą nieoczekiwaną pulą informacji, ostatecznie odłożyłyśmy wszystko do teczek, w tym czerwony zeszyt, i wyszłyśmy z gabinetu ojca z kiełkującym przekonaniem, że rodzice nie bez powodu ukrywają przed dziećmi niektóre rzeczy.

Od tamtego dnia dwanaście lat temu na oczy nie widziałam pieczołowicie spisane go przez babcię słownika. Wręcz nie pozwalałam mu zaistnieć w moich myślach. Najwyraźniej jednak jątrzył tam, w jakimś mózgowym ustroniu, i kiedy stałam na strychu w tamto deszczowe październikowe popołudnie, wiedziałam, że nie spocznę, dopóki nie wezmę go do ręki.

Znalezienie kartonu z rodzinnymi dokumentami nie zajęło mi dużo czasu.

Tak jak sądziłam, ojciec bez entuzjazmu ukrył go pod złożonym parasolem ogrodowym, i był to jedyny karton w pomieszczeniu, na którego boku nie opisano pieczołowicie zawartości. Centymetr po centymetrze zdzierałam oklejającą go taśmę, wciąż nasłuchując kroków na schodach; kiedy nabrałam pewności, że nikt nie nadchodzi, uklęknęłam i zaczęłam przeglądać teczki.

Wreszcie zobaczyłam czerwony zeszyt, a tak mi było spieszno do zweryfikowania szalonego pomysłu, który zrodził się w mojej głowie poprzedniego wieczoru, że niemal przeoczyłam dwa wyrazy, które babcia zapisała na okładce: „Dla Diany”.

Odkrywszy, że zeszyt od zawsze był przeznaczony dla mnie, poczułam nagle gorączkową pewność. Drżącymi palcami przewróciłam okładkę i już po pobieżnym przejrzaniu kilku pierwszych stron wiedziałam, że swoim

starannym niebieskim pismem babcia zostawiła mi klucz do języka symboli, na które nigdzie indziej nigdy się nie natknęłam... Aż do dnia, gdy na Magpie Lane zatrzymał mnie nieznajomy, który dał mi zdjęcie i bilet do Amsterdamu.

ROZDZIAŁ 6

AFRYKA PÓŁNOCNA

Lilli! Udało nam się!

Myrina chwiała się na niestabilnych kamieniach koryta rzeki, z której niewiele zostało. Kiedyś niewątpliwie płynęła tu huczająca woda, ale teraz została po niej długa wąska rysa w spieczonej ziemi. Myrina była już jednak tak wyczerpana, że nie czuła żadnego rozczarowania, tak wyczerpana, że czuła tylko delikatne pulsowanie, gdy nierówne kamienie zdrapywały ostatnie skrawki skóry z jej udreńczonych stóp.

– Rzeka! – Padłszy na kolana na skraju wody, mogła wreszcie odplątać chude ramiona Lilli, zaciśnięte na jej szyi od wschodu słońca. – Słyszysz mnie? To rzeka! – Opuściła na ziemię bezwładne ciało siostry i zaczęła wlewać wodę w jej usta, które cały dzień pozostawały niepokojąco milczące. – No pij, pij.

Myrina nie sądziła, że pustynia okaże się aż tak wielka. Ich wypełnione wodą kozie pęcherze wyschły, zanim dziewczyny dotarły do połowy tego bezkresu.

Ona ciągle zapewniała Lilli, że widzi drzewa na horyzoncie, za palącym płaskowyżem, i miała nadzieję, że jej słowa się ziszczą. Ale gdy mijały kolejne godziny bez cienia czy wody, rozmowa sióstr stawała się coraz bardziej zdawkowa, aż w ogóle przestały się odzywać.

W trakcie wędrówki przez ostatnie kilka dni Myrina wciąż słyszała cierpliwy, spokojny głos matki, który zachęcał ją, by się nie poddawała. „Musicie dotrzeć do rzeki” – mówił z cichą powagą. – „Nie zatrzymujcie się. Musicie iść nieustannie”. Te słowa nie milkły ani na chwilę. Matka tak jak nigdy nie odstępowała Myriny w czasie tych wszystkich nocy dziecięcych chorób i strachów, tak pozostała wiernie u jej boku przez te ostatnie pełne

potknięć godziny, kiedy ona nie miała już się czego trzymać prócz tych kilku uporczywych słów tętniących jej w głowie. „Muszę dotrzeć do rzeki. Na końcu rzeki leży morze. Nad morzem leży miasto. W mieście mieszka Bogini Księżycyca. Tylko ona ma moc, by uleczyć moją siostrę”.

Kiedy Lilli się wreszcie ocknęła, rozejrzała się dokoła swoimi biednymi, niewidzącymi oczyma, a potem zaczęła płakać. Jej szczupłe ramiona dygotały w rozpacz.

– To nie rzeka – łkała. – Mówisz tak tylko, żeby mnie pocieszyć.

– Ależ rzeka! Zobacz. – Myrina wsunęła dłonie siostry do płytkiego strumienia. – Przysięgam ci, że to rzeka. – Rozejrzała się po zapyłonym rumowisku. Mnogie drzewa musiały porastać brzegi tej rzeki w jej kwiecie wieku, ale teraz zamieniły się w kruszejące szkielety przewracające się na boki w poszukiwaniu wsparcia – smutne szczątki nieistniejącego już żyźnego świata. – To na pewno rzeka.

– Ale ja w ogóle nie słyszę wody – powiedziała Lilli, dzielnie wycierając łzy.

Przechyliła głowę, by nasłuchiwać. – To musi być bardzo cicha rzeka.

– Rzeczywiście – przyznała Myrina. – Stara i zmęczona rzeka. Ale jeszcze żyje i zaprowadzi nas do morza. No już, pij.

Przez jakiś czas nic nie mówiły, sycąc się wodą. Z początku Myrina miała wrażenie, że jej gardło zapomniało, jak się przelika, ale gdy już wlała w nie kilka pierwszych łyków, poczuła, jak zimny płyn przepływa przez jej ciało, przywracając życie w każdy zakątek, w który dociera.

Gdy już napęłniła brzuch, położyła się na kamieniach i zamknęła oczy. Tyle dni bez odpoczynku i ostatni, bardzo bolesny odcinek bez wody. Jak długo niosła Lilli? Całe dwa dni? Nie, to niemożliwe.

Zerwała się, słysząc pełen przestachu krzyk i gwałtowny trzepot skrzydeł.

Ujrzała przerażoną siostrę machającą rękoma w obronie przed niewidocznym przeciwnikiem i natychmiast wyciągnęła nóż zza pasa.

– Tu był ptak! – krzyknęła Lilli, jak szalona pocierając nogę. – Dziobnął mnie! Dokąd on uciekł? Nie pozwól mu, żeby mnie znowu ugryzł!

Myrina zasłoniła się dłonią przed słońcem i przyglądała się dwóm cherlawym sępom krążącym w górze.

– Podłe szkodniki! – burknęła, odkładając nóż i sięgając po łuk. – Czekają, żeby nas dzisiaj zeżreć...

– Dlaczego bogowie tak nami gardzą? – Lilli kołysała się w przód i w tył, obejmując się w kolanach. – Dlaczego chcą, żebyśmy umarli?

– Nie marnowałamby czasu na rozmyślania o bogach. – Myrina wyjęła z kołczanu swoją najlepszą strzałę na ptaki. – Gdyby naprawdę chcieli nas zabić, mogliby to już zrobić ze czterdzieści razy. – Przyłożyła strzałę do cięciwy, wstała powoli i napięła łuk. – Najwyraźniej jakieś moce chcą nas utrzymać przy życiu.

Później, kiedy pod rozgwieżdżonym niebem leżały przy niewielkim ogniu z drzewa wyrzuconego przez wodę, trawiąc swój niesmaczny posiłek, Lilli przytuliła się do Myriny.

– Wiesz, mama po mnie przyszła – powiedziała. – Widziałam ją tak wyraźnie...

Nic nie mówiąc, Myrina po prostu mocniej przytuliła siostrę.

– Wyglądała na szczęśliwą – ciągnęła Lilli. – Chciała mnie objąć, ale potem zobaczyła ciebie, a ja pomyślałam, że ona się boi, że się zezłości na nią, że mnie zabiera... więc mnie nie zabrała.

Przez jakiś czas leżały w milczeniu.

Ich życie tam, w domu, wydawało się teraz takie odległe. Jednocześnie wszak wspomnienie o utraconej rodzinie i przyjaciółach pozostało na tyle silne, że siostry milczały ze zdławionym gardłem, a Myrina wiedziała, że zawsze już będzie czuła w nosie ten straszliwy, paskudny odór choroby i śmierci.

Po opuszczeniu osady zapadły na jakieś drgawki i konwulsje. Myrina była przekonana, że umrą – prawdę mówiąc, wręcz się z tego cieszyła. Ale potem powoli zaczęła odzyskiwać siły, podobnie jak Lilli, chociaż u niej gorączka utrzymała się na tyle długo, że uszkodziła jej wzrok. Przez kilka straszliwych poranków dziewczynka budziła się z niespokojnego snu, widząc coraz gorzej, aż wreszcie nie zobaczyła nic.

– Czy niedługo będzie świtać? – spytała tego ostatniego dnia, bezradnie wypatrując jasnego słońca.

– Już za chwilę – wyszeptała Myrina, tuląc Lilli w uścisku i całując ją raz za razem, podczas gdy straszna prawda dławiała jej gardło.

Ale ciągle żyły. Przetrwały zarazę, a teraz przetrwały też pustynię. Od tej chwili wszystko będzie tylko lepiej. Tej myśli Myrina zamierzała się trzymać.

– Jesteś pewna... – zaczęła Lilli, tak jak co noc. Tym razem jednak nie

dokończyła zdania, tylko po prostu zagryzła wargę. Obie wiedziały, że nie będzie odpowiedzi na ważne pytanie Lilli, dopóki nie dotrą do celu wędrówki. Czy Bogini Księżycyca w wielkim mieście zdoła odwrócić zniszczenie dokonane przez gorączkę i dziewczynka odzyska wzrok? Tylko Bogini znała odpowiedź na to pytanie.

– Jestem pewna jednego – powiedziała Myrina, skrajem tuniki polerując bransoletę matki. Pod uporczywymi resztkami sadzy znajdował się wąż z głową szakala, pamiętała go tak dobrze, jak wpatrywał się w nią poczerwiałymi ślepiami.

– Matka byłaby dumna, gdyby cię teraz zobaczyła.

Lilli podniosła wzrok pytająco, nie mogąc skupić go na twarzy Myriny.

– Nie sądzisz, że byłaby na mnie zła za to, że jestem bezużyteczna?

Myrina przyciągnęła ją bliżej.

– Bezużyteczni są rolnicy, którzy nie uprawiają roli, i pasterze, którzy nie wypasają stada. Pamiętaj, że jesteś siostrą. Siostra nie potrzebuje oczu, żeby być użyteczna, musi mieć tylko uśmiech i waleczne serce.

Lilli westchnęła ciężko, jej ramiona opadły, gdy oparła się o sakwę.

– Dla ciebie jestem tylko siostrą przyrodnią. Może dlatego nie mam twojej odwagi. Gdybym miała tego samego ojca co ty, może też bym miała twoje serce myśliwego.

– Nie mów tak! Ojcowie przychodzą i odchodzą, ale Ziemia jest ciągle ta sama. Siostra to siostra i koniec.

– Pewnie tak – szepnęła Lilli. – Ale nadal nie jestem pewna, czy jeszcze się kiedykolwiek uśmiechnę.

– A ja jestem pewna. – Myrina oparła brodę na głowie dziewczynki. – Pamiętaj, że ta, która rzuca wyzwanie lwu, sama staje się lwem. Rzucimy temu lwu wyzwanie, staniemy z nim do walki, i jeszcze się uśmiechniemy.

– Ale lwy się nie uśmiechają – szepnęła Lilli, wciąż obejmując sakwę.

Myrina jęknęła i zaczęła gryźć siostrę w szyję, aż obie się rozchichotały.

– No to je nauczymy.

Przez dziesięć dni wędrowały wzdłuż rzeki.

Teraz miały dużo wody do picia, ale wszędzie dokoła ziemia była jałowa.

Ilekroć Myrina trafiała na żywą roślinkę, która smakowała choć trochę jadalnie, przeżuwała kilka liści albo bulw, potem czekała chwilę, by zaobserwować skutki na swoim żołądku, i dopiero wtedy podawała ją Lilli. A

wszędzie, gdzie leniwy nurt wylewał się nieco, tworząc zbiornik lekko chłodniejszej wody, Myrina krążyła po jego obrzeżach, by nadzieć na włóczęgi samotną rybę.

W szczególnie gorące dni nad rzeką pojawiała się jakieś zwierzę i piło z zapamiętaniem, a wówczas dzięki łukowi i kilku strzałom Myrina mogła podać na kolację pół tuszy nieznanego mięsa. To były dobre chwile. Siostry udawały się na spoczynek dopiero późną nocą, jadły ile się dało i nieuchronnie powoli wracały do niegdysiejszego życia.

Jakże błahe wydawały się teraz codzienne troski ich osady. A o ileż większe wszystkie małe przyjemności. Radość płynąca z obecności rodziny, troski i plotki... wszystko to mieszało się razem w jasnym i szczęśliwym śnie, niemożliwy niewinny świat, który przetrwał tylko w słowach.

Ponieważ obie urodziły się w osadzie Tamasz, zawsze utożsamiały ją z domem. A kiedy inne dzieci od czasu do czasu szydziły z nich, że są obce i żyją jak obce, ich matka zbywała to, nazywając ignorancją. „Oni sądzą, że to złe, jeśli kobieta ma dzieci z różnymi mężczyznami” – mówiła, wznosząc oczy do nieba.

„Nie wiedzą, że sami też może mają innych ojców, niż im się wydaje”.

Nie dość, że matce zarzucano rozwiążność, dochodziła jeszcze sprawa tajemniczych umiejętności, dzięki którym potrafiła zrobić użytek z ziół i korzonków. Pozostałe kobiety z wioski całymi dniami mogły plotkować o jej grzesznym życiu, ale w razie najdrobniejszej dolegliwości stawały na jej progu, błagając o lekarstwo.

Nie raz i nie dwa starszyzna osady przychodziła do jej chaty w swoich szykownych szatach i z rzeźbionymi kijami, prosić Tallę, by już nie uprawiała nieznanych sztuk. Ale ona tylko kręciła głową, wiedząc, że żony nigdy nie pozwolą mężczyznom na wypędzenie jej z osady. Przy jednej szczególnej okazji Myrina przypomniała sobie, jak jej matka drwiła z naczelnika, mówiąc: „Myślisz, że rzuciłam klątwę na twojego jednookiego ptaszka, Nholo? Może gdybyś na nim nie przesiadywał całe dni, gadając głupoty, wzniósłby się jeszcze na wyżyny”.

Ale nawet te chwile, kiedyś uważane za mroczne, teraz, w złotym świetle pamięci wydawały się szczęśliwe. Urazy poszły w zapomnienie, przewiny zostały wybaczone. Myrina nie mogła się nadziwić, że śmierć tak łatwo zatarła wszystkie dręczące szczegóły ich życia, a całą osadę oczyściła z

małostkowości, pozostawiając ludzi wyłącznie przyjaznych.

Dzień za dniem upływał im na jednostajnej wędrówce, a one ciągle wracały do tych samych kilku wspomnień, jakby za każdym razem czerpały z nich jeszcze większą przyjemność: „A pamiętasz... – mówiła Lilli, niemal chichocząc – jak mama goniła starego koguta...? Ależ była wściekła! I ci wszyscy młodzieńcy, co się tak rozpaczliwie w tobie kochali, a nie mieli śmiałości się do ciebie uśmiechnąć...”

Myrina nigdy nie poprawiała Lilli, gdy ta tak wspominała. Śmiała się wraz z nią po prostu i pozwalała siostrze sycić się tą wymyśloną przeszłością ile się dało.

Wiedziała, że terażniejszość i tak szybko nadejdzie.

Jedenastego dnia rzeka poszerzyła się, formując deltę, i teraz wreszcie Myrina zaczęła dostrzegać ślady ludzkiej obecności. Wąskie wykopane kanały nawadniające utworzyły w okolicy całą pajęczą sieć, a pól i tak nie nawilżała ani strużka wody. Gleba była tak wysuszona jak u nich w domu i nigdzie nie było widać żadnego rolnika.

– Co się dzieje? – spytała Lilli, zaniepokojona długim milczeniem siostry.

– Nic. – Myrina siła się na ton pogodny, ale po prawdzie miała dość trosk.

Gdziekolwiek spojrzeła, widziała porzucone narzędzia rolnicze i opuszczone pastwiska. Jedyne widoczne zwierzęta to wychudłe kruki krążące po niebie. Gdzie się podziali ludzie?

– Ćśśś. – Lilli przerwała gwałtownie i podniosła dłoń. – Słyszysz to?

– Co? – Myrina słyszała jedynie krzyki ptaków.

– Głosy. – Lilli obracała głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Ludzkie głosy.

Przepętniona nadzieją, Myrina wspięła się na wielki głaz, żeby mieć lepszy widok. Przed sobą ujrzała linię wybrzeża i wielką masę wody – widok ten nappełnił ją ulgą.

– Morze! – krzyknęła, wskazując przed siebie ręką w próżnym geście. – Jest ogromne... tak jak mama opowiadała.

W ich osadzie nikt prócz ich matki nigdy nie widział morza. Ale starsi często o nim mówili w cieniu drzewa figowego, kiwając zgodnie głowami. Było wielkie, niebieskie i niebezpieczne, powiadali, z roztargnieniem oganiając się od much, a na jego dalekich brzegach stoją miasta pełne

niebezpieczeństwa i cierpienia, miasta pełne złych obcych...

Ich matka zawsze śmiechem kwitowała te opowieści, przypominając córkom, że ludzie mają zwyczaj żywić niechęć do spraw, których nie rozumieją.

– Miasto jest tak samo złe jak wioska – powiedziała kiedyś, machając na to wszystko ręką oblepioną ciastem chlebowym. – Ale tamtejsi ludzie są o wiele mniej zawistni niż tutejsi.

– Więc dlaczego stamtąd odeszłaś? – chciała wiedzieć Myrina, dosypując mąki na matczyne ręce. – I dlaczego nie możemy tam wrócić?

– Może wrócimy. Teraz jednak jesteśmy tutaj, bo tego chce Bogini.

Myrina nie dała się zwieść. Wiedziała, że matka ukrywa coś, co wiąże się z Boginią Księżyca. Ale choćby nie wiadomo jak formułowała swoje pytania, nie otrzymywała odpowiedzi, na które miała nadzieję. Matka niezmiennie mówiła tylko: „Jesteśmy jej wiernymi sługami, Myrino. Bogini zawsze tam będzie, zawsze będzie za nami stała. Nigdy w to nie wątp”.

Gdy siostry brnęły przez lepkie wodorosty w ujściu rzeki, Myrina stwierdziła, że morze jest zadziwiająco płytkie i grzaskie. Z wody wyrastały wysokie trzciny, fal w zasadzie nie było, ledwie dałoby się powiedzieć o zmarszczkach.

– Nie podoba mi się to – szepnęła Lilli w pewnym momencie, gdy brnęły po kolana w błocie i obślizgłej trawie morskiej. – A jeśli tu są węże?

– Nie sądzę – skłamała Myrina, dźgając włócznią wodę przed sobą. – Węże nie lubią otwartych wód.

Nagle dobiegły je donośne głosy.

– Właśnie to słyszałam wcześniej! – Lilli nerwowo przytuliła się do pleców siostry. – Widzisz ich?

Myrina drzewcem włóczni odgarnęła na bok trzciny. Przez plątaninę zielonych łodyg ujrziała niewielką łódź z trzema rybakami. Tak byli zajęci swoimi sieciami, że nie zauważyli dziewcząt, a ona szybko uznała, że to pracowici ludzie, a zatem godni zaufania.

– Chodź! – Pociągnęła Lilli przez wodę, starając się dotrzeć do łodzi, nim ta zniknie. Myśl o spędzeniu kolejnej nocy w zapyłonym korycie rzeki albo w tym marszu rojącym się od robaków była nie do zniesienia. Dokądkolwiek zmierzali ci trzej rybacy, ona i Lilli też tam się udadzą.

Gdy tylko znalazły się na tyle blisko, by je zauważono, Myrina zawołała

mężczyzn, wymachując włócznią w powietrzu. Teraz stała w wodzie po pas, z Lilli na plecach. Nic dziwnego, że mężczyźni wpatrywali się w nią z niedowierzaniem.

– Zobaczyli nas! – wydyszała, brnąc przez błotnistą wodę niepewnymi krokami. – Uśmiechają się i kiwają, że mamy wsiąść na łódkę... – Ale gdy się zbliżyła do łódki, zobaczyła, że mężczyźni wcale się nie uśmiechają. Szaleńczo wymachiwali rękoma, a twarze mieli wykrzywione strachem.

Już po chwili ochocze dłonie wciągnęły na pokład najpierw młodszą siostrę, potem starszą, po czym mężczyźni opadli z ulgą i wskazali jakiś kształt w wodzie, tłumacząc coś w obcym języku.

– O co chodzi? – pytała Lilli, przytulona do zabłoconej tuniki siostry. – Co oni mówią?

– Nie mam pojęcia – szepnęła Myrina. Sądząc po ich wyglądzie, rybakami byli ojciec i dwóch dorosłych synów, i nie sprawiali wrażenia mężczyzn, którymi łatwo wstrząsnąć. – Myślę...

W tej samej chwili łódka się zakołysała, a młodsi mężczyźni natychmiast wyciągnęli ręce, by przytrzymać ojca. Myrina dostrzegła, że zerkają nerwowo do wody, i wreszcie zrozumiała, co ich zaalarmowało.

Długi cętkowany kształt otaczał łódź, a jego wielkie cielsko sunęło przez grzęzawisko. Wielka ryba? Ale nie widziała ani głowy, ani ogona, tylko niekończące się ciało grube jak ludzkie. Olbrzymi wąż.

– O co chodzi? – chlapała Lilli, wyczuwając napięcie. – Powiedz mi!

Myrina nie mogła wydobyć głosu. Widywała już w życiu wielkie węże, oczywiście, ale czegoś takiego jeszcze nigdy.

– Nic wielkiego – wydusiła wreszcie. – Wodorosty przyczepiły się do kadłuba.

Po kilku pełnych napięcia chwilach wąż jakby stracił zainteresowanie łódką, mężczyźni zaś się odprężyli i zaczęli znowu rozmawiać. Sprawdzili jeszcze kilka sieci, ich połów jednak był mizerny. Kilkanaście ryb i kilka węgorzy, ale rybacy mimo to byli chyba w dobrym nastroju, gdy chwycili żerdzie, by mozolnie popychać łódkę krótkimi rytmicznymi ruchami.

– Dokąd płyniemy? – wyszeptwała Lilli, dygocąc ze zmęczenia.

Myrina przyciągnęła głowę siostry do swojej piersi i pogłaskała jej brudny policzek.

– Płyniemy do wielkiego miasta, lewku. Tam czeka na nas Bogini

Księżycu, pamiętasz?

CZEŚĆ II

ŚWIT

ROZDZIAŁ 7

Amazonki [...] ci sercem ochoczym dalszą wskażą drogę⁴

AJSCHYLOS, *Prometeusz w okowach*

LOTNISKO GATWICK

Nawet jeśli pana Ludwiga zaskoczył widok mojej osoby siedzącej przy stanowisku odpraw i kartkującej porzucony magazyn o łódkach, nie okazał tego.

Skinął tylko głową, jakby mojej obecności się spodziewał, i spytał: – Kawy?

Gdy tylko się oddalił, wyczerpana odetchnęłam z ulgą. Choć udawałam spokój, ostatnie kilka godzin niewątpliwie należało do najbardziej zwariowanych w moim życiu, i od chwili znalezienia na strychu babcinego zeszytu byłam w nieustannym szaleńczym galopie. Na szczęście mój ojciec z wielkim entuzjazmem włączył się w to przedsięwzięcie i nalegał, że odwiezie mnie aż na lotnisko. „Aczkolwiek muszę się przyznać do odrobiny ciekawości” – dodał, parkując na chwilę przed moim kolegium w Oksfordzie, gdy ja usiłowałam pospiesznie wcisnąć wypchaną walizę na tylną kanapę mini. Trudno mu było odmówić prawa do tej ciekawości.

– To tylko na jedną noc, może dwie – odparłam, wsuwając się na fotel pasażera i poprawiając rozczochrany koński ogon. – Najwyżej trzy.

Silnik ciągle pracował, a ojciec trzymał kierownicę, ale samochód nie ruszył z miejsca.

– A co z twoimi zajęciami?

Poruszyłam się niespokojnie.

– Ani się obejrzysz, już wrócę. To podróż badawcza. Ktoś wręcz płaci mi za to, żebym się udała do Amsterdamu...

– Rozumiem, że to nie młody Moselane jest twoim dobroczyńcą? –

Mówiąc te słowa, ojciec wpatrywał się w lusterko wsteczne, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Jamesa wychodzącego z kolegium z rakieta tenisową na ramieniu.

Nagle zrobiło mi się gorąco, i to nie było miłe odczucie. Oto on, wcielony rozum, cudowny jak zawsze... Czyż nie byłoby mądrze poinformować go, że wyjeżdżam, zamiast się tak wymykać?

– Oż cholera – stęknęłam, zerkając na zegarek. – Naprawdę musimy już jechać.

Ojciec wciąż zerkał w lusterko, jadąc Merton Street. Prawdopodobnie zastanawiał się, jak przedstawić ten niezbyt obiecujący obrót wydarzeń mojej matce, a ja czułam, jak z każdym tikiem jego powieki rośnie mi w gardle dławiące poczucie winy. Ale jak miałam mu powiedzieć prawdę? On nigdy nie podjął żadnych kroków, żeby porozmawiać o babci, nigdy nie wspomniał słowem o zeszycie, który babcia ewidentnie zostawiła mnie. Zaczynanie tego tematu teraz, w drodze na lotnisko, z szaloną, jak na niego, prędkością, nie byłoby dobrym pomysłem.

– Przykro mi, tato – szepnęłam, poklepując go po ramieniu. – Wyjaśnię wszystko po powrocie.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Kątem oka widziałam, jak wrodzona niechęć do konfrontacji walczy w nim z rosnącą troską rodzicielską, aż wreszcie zaczerpnął powietrza i rzekł: – Obiecuj mi tylko, że to nie jest jakaś... – musiał wziąć mały rozbieg, by wyartykułować to słowo – ucieczka kochanków? Wiesz, że bezwzględnie jesteśmy w stanie zapłacić za każde wesele...

Tak mnie zszokował, że wybuchnęłam śmiechem.

– Tato, no naprawdę!

– No a co ja mam myśleć? – Sprawiał wrażenie niemal rozszuszczonego, gdy tak siedział pochylony nad kierownicą. – Przyjeżdżasz do domu na trzy godziny, pytasz o swój akt urodzenia... a teraz odlatujesz do Amsterdamu. –

Spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłam przeblysł autentycznego strachu. – Obiecuj, że nie chodzi o żadnego... mężczyznę. Twoja matka by mi tego nie wybaczyła.

– Tatusiu! – Przechyliłam się, by pocałować go w policzek. – Wiesz, że w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. Prawda?

Kiwnął głową bez przekonania, i pewnie trudno mu się dziwić. Chociaż

temat rzadko się pojawiał, nie miałam wątpliwości, że moi rodzice wydedukowali sporo z menażerii chłopaków, których Rebecca zbiorczo określała mianem Jeźdźców Apokalipsy, chociaż żaden z nich nie zasługiwał na tak świetny tytuł.

Nie wiedzieć czemu z mężczyznami nigdy mi nie szło. Może u źródeł tego stanu rzeczy leżało moje upodobanie do samotności, a może – jak kiedyś zasugerowała Rebecca, na chwilę zapominając o moim dziecięcym zakochaniu w Jamesie Moselanie – miałam jakąś genetycznie uwarunkowaną niezdolność do romansowania, odziedziczoną po babci. Ilekroć związek kończył się niedobrze, łzami i raniącymi słowami, czasami budziło się w mojej głowie podejrzenie, że może ja po prostu nie lubię mężczyzn i dlatego mam w biurku rosnący stos listów pożegnalnych zarzucających mi – oczywiście wymyślniejszymi słowami – że jestem oziębłą suką.

Za zachętą Rebekki, zdalną, bo przekazaną mi z Krety z okazji moich dwudziestych siódmych urodzin, postanowiłam sprawdzić, czy mój problem da się rozwiązać przez proste przeniesienie zainteresowania z mężczyzn na kobiety. Ale po rozważeniu tej kwestii przez jakiś tydzień doszłam do wniosku, że kobiety intrygują mnie jeszcze mniej niż mężczyźni. Smutna konkluzja musiała więc brzmieć tak, że przeznaczeniem Diany Morgan jest samotność. Ma być ona jedną z tych żelaznych dam, których dziedzictwo to nie wnuki, lecz na przykład trzykilogramowa monografia dedykowana jakiemuś zmarłemu profesorowi.

Trzy dni później pojawił się Federico Rivera.

Jako długoletni stały członek Klubu Sermierczego Uniwersytetu Oksfordzkiego uodporniłam się już na postawnych mężczyzn, ale zrozumiałam od razu, że nowy hiszpański mistrz to coś więcej. Nie był za bardzo przystojny, ale równie wysoki jak ja i w doskonałej formie, a co więcej – miał w sobie energię wybuchową, która okazała się absolutnie odurzająca. Federico był perfekcjonistą, nie tylko w szermierce, lecz także w sztuce uwodzenia, a chociaż na pewno oboje wiedzieliśmy od początku, jakie będą konsekwencje naszych wieczornych prywatnych lekcji, przez kilka miesięcy skupiał się na moich wypadach i ripostach i niczym więcej... aż wreszcie zaprowadził mnie pod prysznic i bez słów nauczył *coup d'arrêt*.

Nasz romans trwał całą zimę i pomimo nalegań Federica, by zachować go

w tajemnicy, ślepo mu wierzyłam, gdy nazywał mnie miłością swego życia.

Pewnego dnia, niedługo ujawnimy swój związek... pobierzemy się... będziemy mieli dzieci... Nigdy nie zostało to powiedziane wyraźnie, ale zawsze pozostawało domyślne. A kiedy nagle odleciał do Hiszpanii, z dnia na dzień, bez pożegnania, byłam tak wstrząśnięta, tak pękło mi serce, że myślałam, iż już nigdy nie będę szczęśliwa.

Potem przyszły wszystkie straszne odkrycia: liczne romanse Federica w całym Oksfordzie, wściekła narzeczona w Barcelonie, i jego sromotne usunięcie z klubu szermierczego... A jednak pisałam do niego kolejne rozdzierające listy, zapewniając o swojej miłości i wyrozumiałości i błagając o odpowiedź.

I odpowiedział. Kilka miesięcy później z akademii szermierki w Madrycie nadeszła zaadresowana do mnie pękata koperta. Zawierała wszystkie moje listy do niego – przy czym większość była nieotwarta – oraz pięćset euro. Ponieważ nie był mi winien żadnych pieniędzy, musiałam przyjąć, że w ten sposób wynagradza mi moje usługi.

Byłam tak wściekła, że dopiero po wielu tygodniach dotarło do mnie, że mistrz Federico Rivera w swojej libertyńskiej mądrości musiał mnie rozmyślnie obrazić, by przyżegać moją ranę, a także by w swoim perfekcjonizmie dopełnić lekcje fechtunku, ucząc mnie najczcigodniejszego ciosu ze wszystkich: *coup de grâce*.

Chociaż nigdy nie powiedziałam o nim rodzicom, na pewno wiedzieli, że w tajemnicy doznałam złamania serca. Wręcz niekiedy podejrzewałam, że uporczywa obsesja mojej matki na punkcie Jamesa Moselane'a jest po prostu jej sposobem na pocieszenie nas obu. A cóż bardziej kojącego niż wizja mojej osoby w idealnej przyszłości, w której mieszkam w posiadłości za rogiem, szczęśliwa po wieki?

Kiedy pan Ludwig wrócił z naszą kawą, odłożyłam magazyn i przesunęłam kurtkę, tak by mógł usiąść koło mnie.

– Dziękuję – powiedziałam, biorąc jeden z kubków i rozgrzewając na nim swoje nerwowe palce. – A swoją drogą, nie podał mi pan nazwy fundacji, która finansuje nasz obecny luksus.

Pan Ludwig zdjął pokrywkę ze swojej kawy.

– Jestem ostrożny. – Upił trochę napoju i skrzywił się. – Co Brytyjczycy mają z tą kawą? Tak czy owak proszę bardzo: Fundacja Skolsky. Cukru?

Kilka chwil później, gdy szaleńczo googlowałam Fundację Skolsky, usłyszałam, jak pan Ludwig chichocze, i podniosłam wzrok, by stwierdzić, że bezwstydnie zagląda mi w telefon.

– Online nic pani nie znajdzie – poinformował mnie. – Pan Skolsky woli latać poza zasięgiem radarów. Taki kaprys miliardera.

Może miało to zabrzmieć zabawnie, ale ja się jakoś nie ubawiłam. Dokoła nas na stanowisku odpraw kłębił się tłum przedstawicieli linii lotniczych i podróżnych żywiących nadzieję na wejście na pokład w pierwszej kolejności, ale ja w zasadzie wciąż nic nie wiedziałam o naszej wyprawie.

– Z zażenowaniem muszę wyznać, że nigdy nie słyszałam o Fundacji Skolsky – odezwałam się. – Ale jak rozumiem, ma ona swoją siedzibę w Amsterdamie?

Pan Ludwig schylił się, by odstawić na podłogę swoją kawę.

– Jak wspominałem, pan Skolsky to osoba prywatna. Przemysłowiec interesujący się archeologią. Finansuje wykopaliska na całym świecie.

Wpatrywałam się w niego, czekając na rozwinięcie. Skoro nie nastąpiło, wychyliłam się trochę do przodu, dając jasno do zrozumienia, że oczekuję czegoś więcej.

– Na przykład...?

Pan Ludwig się uśmiechnął, ale coś w jego drapieżnych oczach zdradzało rosnącą irytację.

– Nie mogę pani powiedzieć, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Protokół Skolsky'ego.

Tak mnie wytrąciło z równowagi jego lekceważące zachowanie, że nagle w innym świetle ujrzałam nie tylko okropną kawę, lecz także zyczliwe słowa przestrogi, które poprzedniego wieczoru usłyszałam od Jamesa. Rzekoma inskrypcja Amazonek mogła być mistyfikacją, albo i czymś gorszym. Tak to ujął, a ja znowu zaczęłam się zastanawiać, na czym ma polegać moje zadanie. Stawało się boleśnie jasne, że pan Ludwig nie czuje już potrzeby przypochlebiania mi się, a podejrzewałam, że taka zmiana nie wróży dobrze na nadchodzący tydzień. Każda normalna osoba wzięłaby pod uwagę sygnały ostrzegawcze i wycofałaby się, póki jeszcze czas... tylko że ja nie mogłam tak zrobić. Czerwony zeszyt babci ukryty w mojej torebce już dawno odebrał mi zdrowy rozsądek.

– Gotowa? – Pan Ludwig wyjął kartę pokładową. – Idziemy.

Po kilku minutach podążaliśmy rękawem do samolotu. Nadal nie byłam pewna, dlaczego lecimy do Amsterdamu, ale wiedziałam już, że nie mam co pytać.

Nie rozjaśniło mi się w głowie, kiedy pan Ludwig – zamiast wsiąść do samolotu – zatrzymał się, by zamienić kilka słów z mężczyzną w kombinezonie roboczym i wielkich pomarańczowych nausznikach.

Mężczyzna obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, po czym otworzył drzwi w ścianie rękawa i sprowadził nas oboje po chwiejnych stalowych stopniach, aż stanęliśmy na asfalcie, obok samolotu. Nawet na zewnątrz powietrze było gęste od hałasu i spalin, a gdy otworzyłam usta, by spytać, co się dzieje, stwierdziłam, że duszę się od wyciewów odrzutowca i że sama się nie słyszę.

Po krótkiej przejażdżce pikapem, manewrującym pomiędzy furgonetkami z cateringiem i cysternami, podjechaliśmy do innego samolotu. Dopiero gdy zobaczyłam, jak moja walizka przechodzi z rąk do rąk i znika w luku bagażowym, zaświtało mi, że nasz rzekomy lot do Amsterdamu był tylko pieczołowicie zaplanowaną zmyłką.

Nie było jednak czasu na pytanie pana Ludwiga o zmianę celu podróży, ponieważ pośpiesznie wprowadzono nas tylnym trapem do samolotu po wyjątkowo pobieżnej kontroli.

– Niezła bransoleta – zauważył pan Ludwig, gdy skaner piknął przy ozdobie z brązu na moim ręku. – Używa pani tego jako broni?

– Jeszcze nie, ale nie wykluczam – odparłam, zsuwając na powrót rękaw.

Nie musiał wiedzieć, że bransoleta należała do mojej babci i że wykopałam ją spod mojej bielizny ledwie kilka godzin wcześniej, na znak rozpoczęcia tej nieoczekiwanej przygody. Pan Ludwig zakładał, że przyjechałam zwabiona pieniędzmi i perspektywą akademickiej chwały. Nie chciałam, żeby wiedział, jak bardzo osobista jest dla mnie ta wyprawa. Skoro pan Skolsky latał poza zasięgiem radarów, ja też mogłam.

Gdy samolot kołował do pasa startowego, a my siedzieliśmy już bezpiecznie przypięci pasami w pierwszej klasie, spytałam swojego towarzysza: – Może teraz już uznałby pan za słuszne zdradzić mi cel naszej podróży?

Pan Ludwig stuknął swoim kieliszkiem szampana o mój.

– Na Dżerbę – odrzekł. – Za owocną podróż. Przepraszam za ten podstęp,

ale stawka jest zbyt wysoka.

Kusiło mnie, żeby wyciągnąć telefon i sprawdzić go, ale od startu dzieliły nas dosłownie minuty. O ile wiedziałam, Dżerba to niewielka wyspa na Morzu Śródziemnym, u wybrzeży Tunezji, znana głównie z kompleksów hotelowych i przyjemnego klimatu. Nigdy nie natknęłam się na informację, że ma coś wspólnego z badaniami archeologicznymi, ale też wątpiłam, czy to na Dżerbie właśnie są prowadzone dotyczące nas wykopaliska. Najpewniej chodziło o Tunezję, tyle że o stały ląd.

Co miało jak najbardziej sens.

Dzisiejsza Tunezja jest stosunkowo niewielkim krajem wciśniętym pomiędzy Algierię a Libię, ale dwa tysiące lat temu na tych terenach istniał wielki rywal Cesarstwa Rzymskiego. W konsekwencji starożytna stolica tego państwa, Kartagina, została zniszczona przez Rzymian, którzy jej mieszkańców sprzedali w niewolę i unicestwili jej archiwa. Niemal żadne źródła pisane nie przetrwały tego całkowitego kulturobójstwa. Zupełnie jakby ojczyzna Hannibala istniała jedynie w legendach.

Ale to był stosunkowo niedawny okres historii w porównaniu z czasami, gdy – zdaniem niektórych – stąpali po ziemi bohaterowie mitologii greckiej. Takie znakomite postaci jak Herakles, Jazon i Tezeusz należały do prehistorycznego świata potworów i magii. Amazonki też.

To prawda, że większość starożytnych pisarzy – bez względu na to, czy wierzyli w legendy czy nie – umieszczała ojczyznę Amazonek na wschodzie, najczęściej na wybrzeżu Morza Czarnego, w północnej Turcji, ale część twierdziła, że naród wojowniczek pochodził z Afryki Północnej. Po części złożoność problemu wynikała z faktu, że rozmaite podania umieszczały początki Amazonek w trzech epokach, różniących się ogromnie zarówno pod względem czasu, jak i miejsca.

W ostatniej z tych trzech epok Amazonki miały siedzibę w Temiskyrze, swej legendarnej stolicy nad Morzem Czarnym, a ze wszystkich stron coraz bardziej naciskali na nie wrogowie, aż wreszcie wymarły albo zostały wchłonięte przez sąsiednie plemiona. Można by powiedzieć, że ten okres był długą, powolną jesienią, która osiągnęła kulminację w ostatnim rozkwicie około roku 330 p.n.e., gdy królowa Amazonek rzekomo złożyła wizytę Aleksandrowi Wielkiemu i poprosiła, by ona i kobiety z jej otoczenia mogły spędzić z nim dwa tygodnie, w nadziei że w tym czasie żywa legenda

poczenie z nimi potomstwo. Zanim pojawili się Rzymianie – mniej więcej stulecie później – po Amazonkach ślad zaginął.

Bez wątplenia okres ich świetności przypadał na epokę środkową, a mianowicie na wojnę trojańską, którą większość badaczy umieszcza jakieś trzy tysiące lat temu, gdzieś pomiędzy 1300 a 1100 rokiem p.n.e. Wtedy to przebijał je mieczem Achilles pod wysokimi murami Troi i wtedy też na obrzeża trojańskiego królestwa wyprawiał się Herakles, by położyć łapę na pasie królowej Amazonek w ramach jednej z dwunastu swoich prac. W tym też okresie Amazonki podobno zaatakowały Ateny, a w konsekwencji zasłużyły sobie na miejsce na fryzie Partenonu – znanym też jako marmury Elgina.

Ale wcześniej nastąpiła wiosna sporadycznych wypraw Amazonek – relacja z najważniejszej z nich wspominała legendarne jezioro Tritonis w Afryce Północnej. Niektórzy twierdzili, że to ojczyzna sławnych wojowniczek, które podobno zebrały wielką armię i najechały sąsiednie kraje.

W porównaniu jednak z późniejszymi Amazonkami czarnomorskimi istnienie tych wczesnych było słabiej uzasadnione historycznie i często widziałam wiele walecznych niewiast, jak wznoszą oczy do nieba na wzmiankę o micie o jeziorze Tritonis, nie zdając sobie przy tym sprawy, że zdaniem amazonkosceptyków to trochę tak, jakby wyznawcy Wróżki Zębuszki natrzęsali się z Zajączka Wielkanocnego.

Sprawę oczywiście komplikuje fakt, że klimat Afryki Północnej przeszedł ogromnie zmiany od epoki brązu i że jezioro Tritonis – jeśli kiedykolwiek istniało – zniknęło dawno temu. Wielu archeologów bardzo chciałoby prowadzić prace w tym rejonie... ale gdzie zacząć? Sahara to ogromna kołdra przykrywająca wszystkie najśłodsze marzenia o nieodkrytych cywilizacjach, ale szanse na to, że pojedziesz tam ze swoim szpadlem i znajdziesz chociaż pluskwę, są bliskie zeru.

Zatem fakt, że w tej chwili zdążaliśmy do Tunezji, gdzie zdaniem niektórych znajdowało się kiedyś jezioro Tritonis, był rzeczywiście ekscytujący. Czy to możliwe, że Fundacja Skolsky znalazła dowód istnienia wojowniczego społeczeństwa matriarchalnego? Potencjalny efekt takiego odkrycia przyprawiał o zawrót głowy.

– To na Dzierbie żyli Lotofagowie Homera – powiedział pan Ludwig,

przerywając mi rozmyślenia. – Przeróżające zombie naćpane miejscowym listowiem. – Założył opaskę na oczy, ale nie zasłoniła ona jego samozadowolenia.

– Moim zdaniem wygląda to na idealne miejsce dla naukowca.

Ta uwaga w tak oczywisty sposób miała mnie sprowokować, że o dziwo dość łatwo zbyłam ją śmiechem.

– Muszę się zdać na pańską znajomość tematu. Ale nie zaprosił mnie pan na listowie, prawda? – Wpatrywałam się w jego twarz, a kusilo mnie, by zajrzeć pod opaskę i sprawdzić, czy mnie słucha. – Chodzi o Amazonki, mam rację?

Pan Ludwig poprawił nadmuchiwaną poduszkę pod głową i zdołał dodać kilka warstw do swojego już i tak obfitego podbródka.

– Proszę mnie nie pytać. Ja nigdy nie miałem nic wspólnego z wykopaliskami. Nawet nie jestem pewien, co robię w Europie, skoro dżungla amazońska znajduje się w Ameryce Południowej. Ale – ze wzruszeniem ramion splótł dłonie na brzuchu – kiedy pan Skolsky mówi, że mam coś zrobić, ja to robię.

Nie pozwalałam sobie na komplikacje w postaci samodzielnego myślenia.

Prawdopodobnie dobrze się stało, że po tej krótkiej wymianie zdań przysnął, bo zaczynaliśmy działać sobie na nerwy. Pomimo pozornej szczodrości – albo w każdym razie gotowości do wydawania pieniędzy pana Skolsky'ego – od pana Ludwiga była jakaś pełna samozadowolenia małostkowość, która mnie się wydała naprawdę okropna.

Co gorsza kusilo mnie, by wyciągnąć zeszyt babci. Odkąd go znalazłam przed paroma godzinami na strychu, bardzo chciałam sprawdzić, czy jakieś części napisu na ścianie z fotografii odpowiadają wyrazom w zeszycie. Ale cały czas nie miałam ani jednej chwili, by się spokojnie i wyjąć swoją lupę.

Może to było głupie z mojej strony, że trzymałam ten zeszyt w tajemnicy przed panem Ludwigiem, lecz gdy tam siedziałam, wertując w tę i z powrotem magazyn dla pasażerów, słuchając wszystkich jego parsknięć i prychnięć, gdy pokonywaliśmy kolejne pełne turbulencji warstwy angielskiej pogody, zdecydowanie czułam, że to nie jest człowiek godzien zaufania. Mniejsza o jego wyjątkowo wprawną tajemniczość, jeśli nie wręcz nieuczciwość, ale czy to tylko gra mojej wyobraźni, czy patrzył na moją bransoletę z czymś więcej niż zwykłą ciekawością?

Kuta opaska z brązu miała kształt węża, ale z osobliwą psią głową o spiczastych uszach, dwukrotnie oplatała nadgarstek i szczerze mówiąc, trudno się dziwić, że zaintrygowała mojego towarzysza podróży. Ale odziedziczyłam ten klejnot w takich okolicznościach, że wszelkie jego pytania, choćby i niewinne, wprawiłyby mnie w zakłopotanie.

Babcia nosiła tę bransoletę nieustannie, jak inni noszą obrączki ślubne, i zdaniem moich rodziców została z nią pochowana. Nigdy nie ośmieliłam się im powiedzieć, że pewnego dnia, jakiś rok po rozpoczęciu studiów podyplomowych w Oksfordzie, znalazłam niewielką kopertę bąbelkową bezceremonialnie wciśniętą do mojej przegródki na korespondencję w portierni. W kopercie nie było żadnej wiadomości, tylko bransoleta z szakalem, o której kiedyś powiedziała mi, że może ją nosić wyłącznie prawdziwa Amazonka.

Otrzymawszy nieoczekiwanie ten wyjątkowy skarb od anonimowego nadawcy z Berlina, odczułam jednocześnie strach i niedowierzenie. Czy to oznaczało, że babcia umarła? Czy też bransoleta była wezwaniem? Jeśli tak, to na pewno powinnam się doczekać jakichś wyjaśnień.

Ale żadne wyjaśnienia nie nadeszły, a ja ostatecznie schowałam kopertę do szuflady z bielizną, nic nikomu nie mówiąc. Parę razy zastanawiałam się, czy nie pokazać jej Rebecce, w nadziei, że zdoła ją poddać jakiejś analizie naukowej czy coś w tym rodzaju... ale to z kolei by oznaczało wznowienie kłopotliwego tematu.

A pomimo tylu naszych wspólnych dziecięcych sekretów prawda o zniknięciu babci była czymś, czym z nikim nigdy się nie podzieliłam, nawet z nią.

Zanim wylądowaliśmy na Dżerbie, zapadł mrok. Gdy tylko drzwi się otworzyły i wyszliśmy na schodki, pomimo późnej pory otuliło nas ciepłe, wonne powietrze, które niemal mnie przyprawiło o zawrót głowy. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz czułam dreszczyk wywołany południowym klimatem, i aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, jak bardzo za tym tęskniłam.

Rebecca zawsze twierdziła, że to Oksford zamienił mnie w taką herbatkową domatorkę, i nigdy jej nie zaprzeczyłam. Prawda była taka, że najchętniej tak jak wszyscy regularnie wyruszałabym na wyprawy odczytywać antyczne zwoje w Jordanii albo analizować dyskusyjne foliały w

wielkiej starej bibliotece w Rzymie... ale nie było mnie na to stać. Pisanie przekonujących wniosków o fundusze najwyraźniej nie należało do moich najświetniejszych umiejętności.

Tak więc nie ruszałam się z miejsca, ograniczałam swoją działalność do spraw pozostających w zasięgu roweru i prowadziłam życie pośrednie dzięki pocztówkom na wspólnej lodówce.

– Jak się pani czuje? – spytał pan Ludwig, gdy podążaliśmy razem przez senne lotnisko. – Proszę się nie martwić, niedługo się pani mnie pozbędzie.

Po krótkiej przejażdżce taksówką wysiedliśmy przed białym budynkiem, mniej okazałym niż większość wyrastających jak grzyby po deszczu hotelowców, które mijaliśmy po drodze. Skromne drzwi wejściowe hotelu Dar el Bhar otworzyły się jednak na zaskakująco kuszące królestwo elegancji i spokoju, i chociaż jego bielone ściany i portyki w niczym nie przypominały gargulcowego gotyku Oksfordu, od razu poczułam się jak u siebie.

Za rejonem recepcji znajdował się wewnętrzny dziedziniec z wysokimi drzewami rosnącymi na wielkich klombach i migotliwymi lampionami stojącymi bezpośrednio na ziemi. Tutaj powietrze wypełnione było wonnymi przyprawami, a gdzieś z ciemności tego czarownego ogrodu nadpływał ciurkający dźwięk fontanny.

Nie jestem pewna, jak długo tam stałam, wpatrując się w roślinę w doniczce z wielkim żółtym owocem i zastanawiając się, czy oto po raz pierwszy widzę drzewo cytrynowe, ale w końcu pan Ludwig podał mi klucz do pokoju i rzekł: – Jest pani zameldowana jako doktor Mayo. To taki środek ostrożności.

Gdybyśmy się jutro nie zobaczyli – wyciągnął rękę – życzę powodzenia. Zastąpi mnie teraz kolega.

Rozejrzałam się, sądząc, że mnie komuś przedstawi, ale nikogo nie zobaczyłam.

Pan Ludwig się uśmiechnął.

– Nigdy się nie kontaktujemy osobiście.

– Niech zgadnę: protokół Skolsky'ego?

Jego uśmiech zrobił się kpiący.

– Raczej kwestia harmonogramu. Ahmed żyje w swojej osobistej strefie czasowej.

Umieszczono mnie w pokoju na górze, a wchodziło się do niego z portyku

biegnącego dokoła dziedzińca i zapewniającego wyjątkowy widok na korony drzew tej prywatnej dżungli. W pięknym apartamencie przystrojonym czerwonymi poduszkami z frędzlami powitała mnie misa daktyli, w tym momencie byłam jednak tak zmęczona, że oczy same mi się zamykały. Dopiero dochodziła północ, ale z drugiej strony – minionej nocy z ekscytacji nie mogłam zasnąć, a przedostatnią spędziłam na cyzelowaniu prelekcji na konferencję.

Niemniej odkąd wyszłam z domu rodziców dzisiejszego popołudnia, wyczekiwałam chwili, gdy zabiorę się za zeszyt babci. Tak więc po lekkim, podanym do pokoju posiłku złożonym z chleba i hummusu spryskałam twarz wodą i usiadłam do wnikliwego ponownego badania zdjęcia pana Ludwiga, tym razem w poszukiwaniu konkretnych zestawów symboli, które mogły być pojedynczymi słowami, aby potem je ewentualnie odnaleźć w gęstym odręcznym piśmie babci.

To wyzwanie okazało się zaskakująco trudne i moje początkowe podniecenie wywołane odkryciem, że dwa systemy pisma są identyczne, szybko zgasło, gdy uświadomiłam sobie ogrom zadania, którego się podjęłam.

Nawet za pomocą szkła powiększającego nie byłam w stanie dojrzeć żadnych kropek ani myślników, które oddzielałyby słowa. Miałam więc tylko długie pasmo liter albo sylab w języku całkowicie mi nieznanym. Co więcej, „słownik” babci nie został sporządzony w porządku alfabetycznym, ani po angielsku, ani – jak się zdawało – w tym drugim języku. Wszystko sprawiało więc frustrujące wrażenie przypadkowości i nie mogłam zignorować nieśmiałego wewnętrznego głosu, który mówił, że – może na próżno – próbuję dopatrzeć się sensu w obsesyjnych gryzmołach wariatki.

Po dwóch godzinach skupionej pracy byłam skonana. Gdybym miała ufać zeszytowi babci, pierwszym słowem napisu był „księżyc”, „woda” albo „kobieta”.

Uznałam, że tym się zadowolę, i poszłam umyć zęby.

Pomijając zagadkową inskrypcję, najważniejsze pytanie brzmiało: jak babcia poznała ten pradawny język? Może jej urojenia były po prostu niefortunnym efektem ubocznym tego, że kiedyś studiowała archeologię albo chociaż filologię jak ja. Nie można też było wykluczyć takiej opcji, że to pismo zostało już kiedyś odkryte, a może nawet odczytane przez jakiś mały

znany zespół naukowców, którzy nigdy nie opublikowali wyników swoich badań. Albo może opublikowali, a nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by je przeczytać.

Choć byłam naprawdę wyczerpana, nie mogłam się odprężyć, położyłam się więc tylko w ciemnościach, rozkoszując się ciepłym wiatrem wpływającym przez otwarte okno. Nadzwyczajna różnorodność owadów i ptaków już zapowiadała wschód słońca gorączkowym szelestem i wszelkiego rodzaju piskami i skrzekami, a za tą kakofonią fauny gdzieś z daleka dobiegał miarowy, pulsujący dźwięk morza.

Pewnego letniego popołudnia, gdy miałam dziewięć lat, moi rodzice zorganizowali garden party dla wszystkich sąsiadów. Kilka wieczorów przed imprezą siedziałam na schodach i podsłuchiwałam rodziców dyskutujących o tym, czy babcia powinna wziąć udział w tym przedsięwzięciu, czy lepiej jej na to nie pozwolić.

– Wiesz, że to będzie katastrofa – nie ustępowała matka. – Na pewno kogoś obrazi albo powie coś szalenie niestosownego. I... wyobraź sobie, jaką minę ludzie zrobią na wieść, że u nas na strychu mieszka wariatka!

U mojego ojca choć raz doszła jednak do głosu niezłomna praktyczna strona natury.

– Nie ulega wątpliwości – rzekł wreszcie – że przedstawiając ją sąsiadom w cywilizowany sposób, dopilnujemy, by nie stała się jakimś tajemniczym potworem żyjącym w naszej wyobraźni. Gdy tylko nasi sąsiedzi zobaczą ją z Dianą, zrozumieją, że jest całkowicie nieszkodliwa.

Tak więc wyznaczono mi zadanie towarzyszenia mojej nowej babci przez całe przyjęcie. Miałam ją przedstawiać gościom i pomagać jej przy bufecie.

W zasadzie plan się powiódł. Nasi goście zwracali się do niej jak do zwyczajnej osoby, wygadując grzeczne brednie na temat ogrodu, a babcia uśmiechała się i kiwała głową, jakby ją to cokolwiek obchodziło.

W pewnym momencie jednak znalazłyśmy się w dziarskiej grupie dam, którym udało się osaczyć pod gruszą nowego administratora kościoła, człowieka stanu wolnego.

– A ty, moja droga – spytał biedak babcię, pragnąc zmienić tor konwersacji – też pochodzisz stąd?

– Nie – odparła, spokojnie upijając kolejny łyk wina, które miałam wcześniej wymienić na lemoniadę. – Pochodzę z gór Hodna. Mam na imię

Kara. Jestem zastępczynią dowódcy.

Administrator wsunął palec pod kołnierzyk, zapewne by wpuścić trochę powietrza.

– Dowódcy czego dokładnie? Jeśli można...

Babcia rzuciła mu pełne obrzydzenia spojrzenie.

– Amazonek, oczywiście. Kto cię uczył wiedzy o świecie? Nic nie wiesz.

Dlaczego się do mnie odzywasz? Tacy mężczyźni jak ty... – Strzeliła palcami lekceważąco i odmaszerowała.

Później, w bezpiecznym schronieniu strychu, spytałam ją, czy to rzeczywiście prawda, że kiedyś była Amazonką o imieniu Kara. Całkiem mi się podobała wizja babci jako młodej wojowniczkę, zbrojnej, na koniu, strzałami i okrzykami bojowymi nękającej administratora i stare plotkary.

Zdaniem matki Rebekki, która jako żona pastora uważała się za specjalistkę od zjawisk paranormalnych, barwne Amazonki nie były niczym innym jak owocem pogańskiej ignorancji.

„Samo zapatrywanie – powiedziała na którymś wyjątkowo pamiętnym spotkaniu szkółki niedzielnej – że grupa kobiet byłaby zdolna żyć bez mężczyzn, jest haniebne i niedorzeczne. W życiu nie słyszałam o równie anormalnym zachowaniu...”

„A zakonnice?” – odparowałam, szczerze próbując zrozumieć. Pani Wharton udała jednak, że mnie nie słyszy.

– Więc to prawda? – spytałam babcię ponownie, podskakując na krześle z ekscytacji. – Naprawdę byłaś Amazonką?

Ale teraz, ku mojemu rozczarowaniu, zbyła wszystko z jękiem i zaczęła chodzić po pomieszczeniu, poprawiając po kilka razy każdy mebel, każdy bibelot, z obsesyjną starannością.

– Nie słuchaj mnie. Jestem starą wariatką. Zapomniałam o zasadzie numer dwa. Nigdy nie zapominaj o zasadzie numer dwa.

Z rozczarowania uszło ze mnie powietrze.

– Jak brzmi zasada numer dwa?

Babcia stanęła z dłońmi na oparciu krzesła i popatrzyła prosto na mnie.

– Zawsze pilnuj – powiedziała powoli, sprawdzając, czy słucham jej uważnie – żeby cię lekceważyli. To bardzo ważne. Oni muszą cię lekceważyć.

– Ale dlaczego? – spytałam. – I kim są oni?

Na to pytanie babcia się wzdrygnęła, na paluszkach obeszała krzesło i

uknęła u moich stóp.

– Mężczyźni w zielonych ubraniach – wyszeptała, z oczyma nagle wielkimi od strachu. – Zaglądają ci do głowy i wycinają rzeczy, o których masz nie myśleć.

Więc musisz się nauczyć nie myśleć o niczym. Oni nie mogą wiedzieć, kim jesteś, pamiętaj. Umiesz tego dopilnować?

Jej powaga, napięcie tak mnie przeraziły, że mało się nie rozplakałam.

– Ale ja nie jestem Amazonką...

– Ćśśś... – Babcia ścisnęła mnie za ramiona, aż zabołało. – Nigdy nie wypowiadaj na głos tego słowa. Nawet o nim nie myśl. Rozumiesz? –

Dopiero gdy zobaczyła, że jedyne, na co mogę się zdobyć, to łzawe przytaknięcie, ujęła w dłoń moją głowę i dodała już łagodniej: – Jesteś dzielna. Wiążę z tobą wielkie nadzieje.

Nie zawieź mnie.

ROZDZIAŁ 8

JEZIORO TRITONIS

Myrina i Lilli spędziły całe popołudnie na łódce płynącej wzdłuż bagnistego wybrzeża. Rybacy sprawdzali sieci, na ogół puste. W porze wieczornego spokoju, gdy Myrina już zaczęła się bać, że spędzą noc na morzu w otoczeniu gigantycznych węży, mężczyźni wreszcie wpłynęli do zatoczki, nad której brzegiem stały chaty.

Po długiej samotnej wędrówce widok krzątających się mężczyzn i kobiet napełnił Myrinę radością i obawami jednocześnie. Ich matka zawsze powtarzała, że ludzie żyjący nad morzem są najbardziej przyjaźni, ale mówiła też o przejrzystej niebieskiej wodzie i piaszczystych plażach – ani jedno, ani drugie nie okazało się prawdą. Barwa morskiej wody była błotniście zielona, a woda w zatoczce przywodziła na myśl nieruchomą zupeę z ptasich piór i gnijących wodorostów.

Gdy tylko ich łódź dobiła do brzegu, a mizerny połów został przekazany kobiecie z wielkim koszem, jeden z rybaków gestem nakazał Myrinie i Lilli, by podążyły za nim. Cały czas uśmiechał się i kiwał głową, jakby chciał je zapewnić, że ma dobre zamiary. Zabrał je na spotkanie ze starcem w długiej czerwonej pelerynie, siedzącym z godnością na słomianej macie przed chatą i jedzącym orzechy ze szklawionej misy. Domyślając się, że to naczelnik wioski, Myrina wraz z Lilli uklękła w łupinach u jego stóp.

– Witaj – powiedziała w swoim języku. Kiedy nic nie odrzekł, potwórzyła powitanie w trzech innych znanych sobie językach: starym języku, języku ludzi gór i języku nomadów. Żadna z jej wcześniejszych prób nie powiodła się z rybakami na łodzi, ale kiedy teraz przemówiła w języku pustynnych nomadów, mężczyzna w uniesieniu złożył ogorzałe dłonie.

– Mówisz językiem wielbłądzich ludzi!

– Trochę – odparła. – Skąd znasz wielbłądzych ludzi?

– Przyjeżdżają tu handlować. – Chudym ramieniem mężczyzna wykonał gest w powietrzu, jakby chciał wskazać, że wszystko się zmieniło, i to nie na lepsze. – Tu był dobry handel, gdy rzeka płynęła całą mocą. Ale już nie płynie.

Chociaż Lilli nigdy się nie uczyła języka nomadów, chyba instynktownie rozumiała, co mówi mężczyzna, i siedzieli chwilę w ciszy, dzielając jego zgryzotę. Potem mężczyzna zaproponował gościom wodę z tykwy i spytał z zainteresowaniem: – Teraz wasza kolej. Jak mogę wam pomóc, młode panie?

– Zmierzamy na spotkanie z Boginią Księżycy – zaczęła Myrina. – W wielkim mieście. Moja siostra straciła wzrok w chorobie, ale mamy nadzieję, że Bogini ją uzdrowi.

– Przykro mi z powodu twojej siostry. – Mężczyzna z żalem pokręcił głową.

– Wielu, bardzo wielu ludzi zdążyło do Bogini Księżycy. Jest bardzo zajęta.

– Mimo wszystko – odparła Myrina – chcemy się z nią zobaczyć.

Mężczyzna sprawiał wrażenie nieco rozdrażnionego, ale wzruszył ramionami i wyrzucił ręce w górę, jakby zrobił wszystko co w jego mocy.

– To niedaleko. Wskażę wam drogę, tylko najpierw musicie się posilić i wyspać.

Przed wschodem słońca, stojąc już na progu przebudzenia, Myrina czuła obecność śpiących ciał obok siebie, słyszała ciche szepty matek i przez chwilę myślała, że jest w domu.

Za rogiem, wyobrażała sobie, leży jej starsza siostra Lana, z nowym dzieckiem wtulonym mocno pod pachą. A tu, obok niej leży Lilli, ciepła, milutka i słodka...

Odór przywrócił Myrinę do rzeczywistości. Niemyte od tygodni, z bryłkami brudu i krwawymi strupami wplątany w skręcone powrósła, włosy Lilli stały się okrutnym przypomnieniem, ile straciły.

Myrina odwróciła głowę i zacisnęła zęby, wypędzając to wszystko ze swojej świadomości – dźwięki, zapachy i każdy drogi znajomy kształt. „Przestań myśleć” – rozkazywała sobie raz za razem, aż nie zostało już nic prócz tych dwóch słów i ich uporczywego echa.

Gdy wstało słońce i nadeszła chwila, by wyruszyć w drogę, Myrina zdjęła naszyjnik i dała go rybakom w podziękowaniu za gościnę. Wszyscy pokręcili głowami i odmówili jego przyjęcia, ale Myrina nie ustępowała. Chociaż były

z Lilli biedne, miały jeszcze swoją godność.

Na naszyjnik składało się dwanaście delikatnych pączków – nie roślinnych, lecz ze słonych równin, które niekiedy rodziły kamienne kwiaty nadzwyczajnej urody. Dostała go jej matka od ojca Myriny z okazji narodzin córki – miała to być pamiątka od nomady, który nazywał siebie mężem, ale nigdy nie przebywał z nią na tyle długo, by tym mężem być.

– Możesz go wziąć – powiedziała matka Myriny pewnego dnia, gdy dziewczyna przeglądała jej kosztowności. – Ze zdecydowaną miną zamknęła palce córki na naszyjniku. – Jeśli ty będziesz go nosić, może on, gdziekolwiek jest, przypomni sobie, że ma córkę.

Od tamtego dnia Myrina nie ośmieliła się zdjąć naszyjnika ze strachu, że tym samym na zawsze oddzieliłaby się od ojca. Ale teraz, gdy ich dom zamienił się w kupkę popiołu, wiedziała, że ojciec nigdy już nie zdoła jej odnaleźć, z naszyjnikiem czy bez.

Tak więc opuściły osadę rybacką wypoczęte, z pełnymi żołądkami, wyspane, ale biedniejsze niż zawsze. W kołczanie Myriny nie została ani jedna strzała, a skoro nie miała już też naszyjnika, nie mogły raczej liczyć na posiłek, dopóki nie dotrą do celu.

– Możemy jeszcze sprzedać bransoletę matki – szepnęła Lilli, gdy szły ramię w ramię drogą do miasta.

– Nie! – Myrina wyrwała siostrze sakwę. – Tego by nie chciała. A teraz jesteśmy już tak blisko...

Ale na widok miasta wznoszącego się przed nimi na horyzoncie, z ostrymi, stworzonymi ludzką ręką kolejnymi górami budynków błyszczącymi w porannym słońcu nawet Myrina zwątpiła, czy na pewno zbliżają się do kresu podróży. Dla kogoś, kto nigdy nie widział miasta większego niż rodzinna osada o niespełna czterdziestu chatach, miasto tak wielkie jak to było sprzeczne z naturą.

Droga szybko się zapełniła ludźmi i wozami mijającymi je niecierpliwie, nieprzystającymi, by je pozdrowić czy spytać, skąd przybywają. Chociaż Myrina nie powiedziała tego na głos, podziałało to na nią bardzo zniechęcająco. W takim przestronnym i ruchliwym miejscu, gdzie ludzie wydawali się nie bardziej uważni czy serdeczni niż żuki, zaczęła się obawiać, że – pomimo wszystkich matczynych zapewnień – stwierdzą z siostrą, że i dla Bogini Księżycy, i dla wszystkich innych nie znaczą nic.

– Powiedz mi, co widzisz! – błagała Lilli. – Widzisz już świątynię?

Ale Myrina nie widziała niczego, co by przypominało okazałą budowlę z opowieści matki. Świątynia Bogini Księżycy miała być równie wysoka jak szeroka, zbudowana z lśniących kamieni z innego świata. Z tego przepychu wyniosłej siedziby Bogini kontrolowała falowanie wody, leczyła dolegliwości kobiece i przeciwstawiała się śmiało panowaniu Słońca, bo rzucała mu wyzwanie, rozświetlając niebo za jego plecami. Przez całą długą podróż Myrina była pewna, że gdy dotrą z Lilli do miasta nad morzem, w porównaniu ze świątynią tego potężnego bóstwa wszelkie budowle świata zbledną. Jakże się myliła. Szła przez tętniące życiem ulicy, ciągnąc za sobą Lilli, i widziała wiele wspaniałych konstrukcji, niektóre nieprawdopodobnie wysokie, ale wszystkie wyglądały na sklecone z suszonych na słońcu cegieł.

Największym jednak teraz zmartwieniem było przemieszczanie się w ciżbie ludzi, którzy poruszali się chaotycznie i nieprzewidywalnie. Myrina zdezorientowana nieraz sięgała do noża przy pasie. Na szczęście większość mieszkańców miasta była całkowicie pochłonięta własnymi sprawami; niektórzy szli z narzędziami i drabinami, jakby zamierzali budować albo remontować dom, a inni pędzili ulicami, zapewne na targ, żywy inwentarz, który muczał, beczał albo gdakał.

Jeszcze inni krążyli w tłumie, ewidentnie szukając kupca na swój towar.

Niektórzy ze sprzedających ubrania i kosztowności byli tak zuchwali, że zarzucali swoje towary na szyję Lilli, zanim Myrina zdążyła ich odepchnąć. Inni proponowali swoje usługi ochryplymi, cichymi głosami, po czym wycofywali się w ciemne zaułki. Dość szybko grzeczna ciekawość przybysza przerodziła się w Myrinie w nieufną wzgardę. Nauczyła się unikać kontaktu wzrokowego z kimkolwiek z pozoru beczynnym, a także uchylać się czy uskakiwać, ilekroć podchodził do niej ktoś z szerokim uśmiechem.

Nie musiała siostrze wyjaśniać, co robi; Lilli instynktownie rozumiała.

Pozwoliła Myrinie ciągnąć się przez tłum. Gdy ulice wreszcie stały się szersze, gdy już mogły się zatrzymać i odetchnąć, dziewczynka cała dygotała.

– Och, Myrino! – krzyknęła. – Pomyśleć, że to miasto cały czas tu było... z tymi wszystkimi ludźmi. To jest takie wspaniałe!

– Nie wiem, co w tym tak wspaniałego... – zaczęła Myrina, ale zaraz pożałowała tych słów. Tak długo czekała, aż Lilli odzyska swą zwykłą radość

życia. Nie zniszczy tego.

– Co to za straszliwa woń? – Lilli z obrzydzeniem chwyciła się za nos. – Ohydztwo!

Stały na obrzeżu wielkiej otwartej przestrzeni wypełnionej ludźmi i zwierzętami. Sądząc z obecności starych potłuczonych muszli na ubitym piasku, ta pochyłość jeszcze niedawno była brzegiem morza – może nawet miejscem, do którego kupcy dobijali swoimi statkami. Gdziekolwiek Myrina się obróciła, widziała stosy melonów i kopce barwnych przypraw wyłożonych na matach, a kakofonia szalonych ryków zdradzała, że rzeźnicy zarzynają zwierzęta tu na miejscu, pośrodku tego całego chaosu.

– To targ – powiedziała siostrze. – Ogromny, nie wyobrażasz sobie, jaki ogromny. Ale jest tu też... – wyciągnęła szyję, by sięgnąć wzrokiem poza ten zamęt – dom. Wielki. Z szerokimi schodami od frontu i wysokimi, bardzo wysokimi kamiennymi kolumnami.

Gdy brnęły przez tłum, kierując się do imponującego budynku, Myrina poczuła w brzuchu dreszcz podniecenia. Bo nad wysokimi kolumnami rozciągał się długi barwny obraz przedstawiający wszystkie fazy Księżyca, przy czym Księżyc w pełni znajdował się pośrodku, dokładnie nad ogromnymi drzwiami wejściowymi.

– Nie jestem pewna – powiedziała, przystając – ale to chyba tu.

– Nareszcie! – Lilli przestępowała z nogi na nogę, chcąc ruszać dalej. – Dlaczego ciągle stoimy?

– Mamy niełatwie zadanie. – Myrina powiodła wzrokiem po kołyszącej się hordzie zebranej przed świątynią, wyraźnie szukając pomocy. Jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi zebranych w jednym miejscu. – Chodź. – Pociągnęła Lilli za rękę, niepewnie ruszyła, starając się omijać chorych leżących na matach albo wychudzone matki pocieszające zawodzące dzieci. Nie uszła daleko, bo drogę zastąpiła jej staruszka, szydząc w niezrozumiałym języku.

– Chyba musimy poczekać na swoją kolej. – Myrina rozejrzała się po cuchnących kałużach. Odór był nie do zniesienia. – Ci ludzie są tu od wielu dni, może od tygodni. Ale nic się nie martw. – Wzięła Lilli mocno za ramiona, zdecydowana, że tu, w otoczeniu przenikliwych lamentów i sączących się ran, spędzą najwyżej noc. – Znajdziemy inną drogę.

Ciągnąc siostrę, Myrina szybko wyszła z tłumy i ruszyła, by zobaczyć, co się znajduje po drugiej stronie świątyni. Zaintrygowana odkryła wysoki mur,

który okalał jakieś skupisko domów należących do świątynnego kompleksu. Dostrzegła coś jeszcze bardziej zachęcającego: na tyłach, w otoczeniu kolczastych zarośli, rosły spokojnie dwie palmy, a jedna pochylała się łagodnie ku muirowi świątyni.

Dla kogoś o sercu myśliwego widok ten stanowił nieodpartą pokusę.

– A ty myślałaś, że bogowie nam nie sprzyjają. – Myrina oparła się plecami o pień palmy, sprawdzając jego wytrzymałość. – Mówię ci, są po naszej stronie.

Jeśli się nie mylę, Bogini Księżycyca otworzyła przed nami tylne wejście. Teraz zostań tu – podała Lilli kołczan i łuk, a sakwę przewiesiła przez ramię – podczas gdy ja poszukam kogoś, kto życzliwie mnie wysłucha.

Słońce w zenicie wlewało się złotem na dziedziniec świątyni i odbite od wody w pięknie zdobionym płytkami basenie rozświetlało otaczające mury migotliwymi gwiazdami. Kilka kobiet wypoczywających w tym prywatnym rajy spało na matach w cieniu drzew, przesłaniając oczy elegancko ułożonymi rękawami długich białych sukni. Dopiero po chwili ktoś zauważył postać stojącą na szczycie ogrodowego muru z rękoma uniesionymi na powitanie.

– Przychodzę z przyjaźnią! – Takie słowa Myrina wybrała na tę okazję, a chociaż nie oczekiwała, że ktokolwiek ją zrozumie, była pewna, że samym uśmiechem przekona obecnych o swoich życzliwych zamiarach.

Kobiety jednak najwyraźniej ujrzały w niej brudnego złodzieja, który zamierza wtargnąć do ogrodu, zeskakując z muru, bo w mgnieniu oka spokojne ustronie wypełniło się panicznym krzykiem.

– Nie! Proszę... – Myrina uchyliła się, gdy jedna z kobiet cisnęła w nią kamieniem. Delikatna ręka w cieniuteńkim białym rękawie najwyraźniej nigdy nie ćwiczyła, bo kamień z nieszkodliwym pluśnięciem wpadł do fontanny.

Niemniej Myrina postanowiła opuścić swoją ryzykowną pozycję. Odbiegła kilka metrów i zeskoczyła na niższy mur, a stamtąd na stos słomianych mat leżących na ziemi. Gdy tylko złapała równowagę, podniosła ręce ponownie i uśmiechnęła się do kobiet.

– Przybyłam w pokojowych zamiarach – oznajmiła. – Nie mam broni. To tutaj – wskazała niewielki nóż przy pasie – służy tylko do polowania. Rozumiecie?

Nie wiedzieć czemu, kobiety znowu zaczęły krzyczeć, a Myrina rozejrzała się dokoła, zastanawiając się, dokąd uciec. Ujrzała kilkoro ciemnych drzwi... ale żadnych nie zdążyła dopaść.

Gdzieś za sobą usłyszała sapanie ciężkich ciał, a odwróciwszy się, zobaczyła biegnących w jej stronę trzech olbrzymich mężczyzn. Nieprzygotowana, próbowała uskoczyć, ale dwóch już zarzuciło na nią liny, jakby była dzikim zwierzęciem, a że Myrina próbowała się uwolnić, trzeci włożył jej worek na głowę.

Gdy ją wynosili, próbowała protestować w każdym znanym sobie języku, wyjaśniając, że przysła tu ze względu na siostrę – biedną siostrzyczkę, słabnącą za murem w upale. Ale z zakurzonego worka do jej gardła przedostał się pył i jej prośby wkrótce utonęły w potężnym ataku kaszlu.

W rozpacz nie była w stanie określić, w jakim kierunku mężczyźni ją unoszą. Związana jak tucznik i oślepią, z dźwięków wywnioskowała tylko, że podążają długim korytarzem pełnym stłumionych głosów, w dół schodami, i znowu w dół... aż wreszcie rzucili ją na twardą zimną posadzkę i ściągnęli jej worek z głowy.

Mrugając powiekami, próbowała zrozumieć, gdzie się znajduje, ale zanim jej oczy przyzwyczyły się do słabego, migoczącego światła jedynej pochodni, usłyszała dźwięk metalu przesuwającego się ciężko po kamieniu. Mężczyźni odsłonili czarną dziurę w podłodze, tuż u jej stóp.

Myrina próbowała się odsunąć, ale jej nie puszczali.

Bez słowa pchnęli ją przez krawędź otworu, a ona z krzykiem spadła w ciemności.

ROZDZIAŁ 9

Jakże mi drogi ten zakątek ziemi²

HORACY, *Pieśni*

DŻERBA, TUNEZJA

Ze stanu nieświadomości wybudził mnie niezwykle dzwonek staromodnego aparatu telefonicznego. Stał na stoliku nocnym, w zasięgu ręki, o pół świata ode mnie.

– Halo? – wymamrotałam, wciąż nie do końca świadoma, gdzie się znajduję.

– Proszę o wybaczenie, że dzwonię tak wcześnie – usłyszałam świergoczący głos konsjerża – ale przyszedł pan Ahmed.

– Kto? – Dopiero teraz zdołałam w pełni się wydostać z głębokiej studni snu.

Zgodnie ze wskazaniem zegarka byłam nieprzytomna przez ponad dwie godziny, a filigrany światła na czerwonych płytkach podłogowych potwierdzały, że za okiennicami ciemności przeszły w świt.

– Pan Ahmed czeka – powtórzył stanowczy głos. – Mówi, żeby zaraz przyjść.

Wyszłam do portyku, zamroczona z powodu tak szybkiego przerwania niezbędnego wypoczynku. Hotel wydawał się jeszcze pogrążony we śnie. Chociaż kazano mi się spieszyć, przystanęłam na chwilę, by wychylić się przez poręcz i nacieszyć spokojem podwórka. Samotny kot przechadzał się cicho pomiędzy donicami, pozycją ogona obwieszczając swoje panowanie; jedynym dźwiękiem zakłócającym poranny spokój było ciche szuranie słomianej miotły uprzątającej kamienną podłogę.

Dopiero wtedy dojrzałam postać czającą się w kolumnadzie niedaleko

repcji. Mężczyzna odziany w długą białą szatę, w chuście przytrzymanej sznurem, zdecydowanie wyglądał na Araba, a ja zdałam sobie sprawę, że to musi być Ahmed, i trochę się przestraszyłam.

Gdy tylko dotarłam na dół, podszedł do mnie niecierpliwie, jakbym trzymała go tu całymi godzinami. Stałam niepewna. Jeśli to rzeczywiście Ahmed, myślałam, hamując falę mdłości, trudno było pogodzić jego wygląd z domniemanym powiązaniem z wytwornym panem Ludwigiem i oczywistym dobrobytem Fundacji Skolsky. Oglądana z bliska, biała szata Ahmeda okazała się urozmaicona bezlikami plam i rozdarć, a jeśli chodzi o niego samego, to mroczne rysy jego twarzy przysłaniały niechlujna czarna broda i tanie plastikowe okulary przeciwsłoneczne.

– Doktor Mayo? – Wyciągnął brudną rękę.

– Kto? Ach... – Byłam tak zamroczona, że zawahałam się dłużej, niż powinnam. Trwało to najwyżej dwie sekundy, na pewno, ale na tyle długo, że Ahmed cofnął rękę, stęknąwszy z przerażeniem.

– Tędy – rzekł, odwracając się do wyjścia.

Zbyt wstrząśnięta, by o cokolwiek spytać, jak automat podążyłam za nim przez recepcję i dalej, na zewnątrz, gdzie oślepiło mnie jasne poranne słońce.

Przed hotelem, dokładnie w miejscu, w którym poprzedniego wieczoru wysiadłam z taksówki wraz z panem Ludwigiem, teraz stała obita ohyda, która musiała być dżipem Ahmeda – o ile słowo „dżip” stanowiło właściwe określenie dla tego pojazdu.

– Proszę! – Przytrzymał mi drzwi pasażera, prawdopodobnie powodowany raczej niecierpliwością niż galanterią. – Widzę, że podróżuje pani z niewielkim bagażem. To dobrze.

Wpatrywałam się w niego, osłaniając ręką oczy przed słońcem.

– Chce pan powiedzieć... że nie wracamy do hotelu?

Chociaż nie widziałam nic za brudnym czarnym plastikiem okularów Ahmeda, poczułam, że przewierca mnie wzrokiem.

– John pani nie poinformował?

– John? – Podsunęłam wyżej zamek swetra.

– Tak. – Ahmed się zawahał, jakby też nagle zwątpił w nasze powiązanie. – John Ludwig. Człowiek, który tu panią przywiózł.

– Oczywiście! – Zdołałam się zmusić do uśmiechu. Pan Ludwig. Człowiek, który obiecał mi sławę naukową i pięć tysięcy dolarów.

– Przy dobrych wiatrach to dwanaście godzin jazdy. – Ahmed rękawem przetarł fotel pasażera. – A już jesteśmy spóźnieni. Więc jedźmy!

Muszę przyznać, że gdy wreszcie wyszłam z hotelu ze swoim bagażem, mój nowy towarzysz sprawił wrażenie nieco bardziej cywilizowane.

– Przepraszam – powiedział, chowając coś na kształt telefonu komórkowego w fałdy rozpadającej się szaty – ale nikt mnie nie uprzedził, że pani przyjechała tak późno. Wezmę to. – Chwycił moją walizkę i ze zdumiewającą sprawnością wrzucił ją na tył dżipa, za pałąk. – Gotowa do drogi?

Gdy ruszyliśmy spod hotelu, dotarło do mnie, co robię. Gdybym wcześniej w dowolnym momencie swojego życia zetknęła się z ankietowym pytaniem, czy chętnie wsiadłabym do samochodu z obcym mężczyzną niejasnej przynależności etnicznej odzianym w łachmany i pozwoliła mu się zabrać do nieujawnionego celu podróży w obcym kraju, niewątpliwie postawiłabym ptaszka przy odpowiedzi „bardzo nieprawdopodobne”.

A jednak tak się właśnie stało.

Wiatr, który smagał mi twarz i szarpał mnie za włosy, choć październikowy, był ciepły i suchy – tak niepodobny do chłodnej wilgoci Oksfordu, że poczułam się całkowicie oderwana od rzeczywistości, jakbym przybyła do Tunezji w wehikule czasu. Moja pospiesznie zapakowana walizka zawierała głównie rzeczy przydatne w jesiennym Amsterdamie, do których optymistycznie dorzuciłam parę letnich ubrań. Ale dzisiaj rano, w pośpiechu, włożyłam tylko džinsy i sweter, które miałam na sobie poprzedniego dnia.

– Kawy? – Sięgnąwszy za fotel, Ahmed wyjął dwa batoniki granola i potwornie brudny termos.

– Nie zaliczam się do kawoszy – odparłam.

– Proszę. – Rzucił mi na to butelkę wody. – Zamknięta fabrycznie.

Podczas gdy jadłam batonik, przejechaliśmy most, który łączył Dzerbę z kontynentalną częścią kraju. Podążaliśmy w głąb lądu, z dala od wybrzeża, a krajobraz zmieniał się dramatycznie. Bez łagodzącego działania morza i bohaterских wysiłków hotelowych ogrodników roślinność stopniowo się przerzedzała, aż przerodziła się w gładkie fale piasku nadpływające od południa.

Pola, gaje, sady... Chociaż zbyt subtelne, by dostrzec je okiem, kremowe

fale pustyni były niepowstrzymane i coraz częściej zauważałam, że przydrożni straganiarze handlują uroczymi kawałkami piaskowca w różnych kształtach i rozmiarach.

– Róże pustyni – wyjaśnił Ahmed, gdy zobaczył, że obracam się, by je obejrzeć. – Minerale. Tutaj tworzą się naturalnie. Turyści je kupują.

Siedziałam w milczeniu, chłonąc bezmiar otaczającej nas pustyni i przypominając sobie, że to, co widzę, to tylko nieskończenie mała kropla w oceanie piasku zwanym Saharą. Tysiące lat temu te regiony były urodzajne, wznosiły się tu tętniące życiem miasta, ale natura rzuciła zaklęcie i ułożyła je do snu pod kołdrą drobnoziarnistego zapomnienia, którego żadna ilość wiedzy naukowej nie miała szansy odwrócić.

– Mogłabym zadzwonić? – spytałam wreszcie.

– O ile nie powie pani rozmówcy, gdzie pani jest – odparł Ahmed. – I nie może pani użyć własnego telefonu. Pod żadnym pozorem. Proszę. – Odstawił kubek z kawą na deskę rozdzielczą i sięgnął do kieszeni. – Niech pani skorzysta z tego. To telefon satelitarny, więc będzie pani słyszała rozmówcę z pewnym opóźnieniem.

Choć pokryty warstwą potu i brudu, telefon Ahmeda zapewnił mi doskonałe połączenie z Anglią i z jedyną osobą, do której musiałam zadzwonić: z Jamesem Moselane'em. James był nie tylko niezrównany, jeśli chodziło o pociąganie za sznurki w kolegium bez alarmowania nieodpowiednich osób, ale też słowa, które wypowiedział na moim progu dwa dni temu, rozbudziły we mnie nieśmiałą wiarę, że przejmuje się moim bezpieczeństwem bardziej, niż do tej pory sądziłam.

Byłam świadoma oczywiście, że James ani trochę się nie ucieszy z mojego wyjazdu, i poczułam szczerą ulgę, gdy od razu włączyła się poczta głosowa.

Posługując się jak najbłahszymi i najbardziej ogólnymi określeniami, zostawiłam krótką wiadomość z prośbą, żeby zechciał, jeśli nie sprawi mu to za dużo kłopotu, odwołać moje zajęcia w nadchodzącym tygodniu. Najlepiej tak, żeby nie dowiedział się o tym profesor Vandenbosch.

Oddałam telefon Ahmedowi, a przy okazji wyśledziłam uśmiech gdzieś w wiewiórczym gnieździe jego brody i postanowiłam uznać to za zachętę.

– Jakim człowiekiem jest pan Skolsky? – spytałam.

– Pan Skolsky? – Ahmed nakręcił kubek na termos i rzucił go przez ramię na tył dżipa, gdzie z brzękiem wylądował na stosie butli z propanem. – Nie

mam pojęcia. Nigdy go nie poznałem.

Powiodłam wzrokiem po wyludnionej okolicy i zobaczyłam chłopca pędzącego stado kóz przez słoną równinę.

– Ale pracuje pan dla niego?

Pomimo lekceważącego sposobu bycia Ahmed mnie zaintrygował. Ze swoim beduińskim wyglądem i dość zachodnim stylem bycia najwyraźniej był osobą pełną sprzeczności. Pomijając akcent, jego angielski wydawał się zaskakująco kolokwialny. Wręcz zrodziło się we mnie podejrzenie, że to po prostu jakiś świrnięty Amerykanin ze słabością do przebieranek, ale wtedy właśnie zadzwoniła komórka i Ahmed odebrał – mówił po arabsku z prędkością karabinu maszynowego.

– Coś się stało? – ośmieliłam się spytać, gdy się rozłączył.

– Jak człowiek ma do czynienia z rządem, musi się coś stać – burknął, bębniąc palcami o kierownicę. – Ale nie, wszystko w porządku. Ustalamy tylko, gdzie najlepiej przekroczyć granicę.

Nie wiedzieć czemu, moje tętno przyspieszyło do galopu.

– Jaką granicę?

Ahmed pokręcił głową.

– Pani doktor... jesteśmy w Tunezji i jedziemy na zachód. W tych waszych drogich szkołach nie uczą geografii?

Na swoje dziesiąte urodziny Rebecca dostała wielkie puzzle z mapą świata od jakiejś rozwiedzionej ciotki, której prezenty zawsze były trochę przewrotne.

Puzzli Rebecca nie mogła układać w domu; podobno obrazek złożony z tysiąca kawałków zająłby za dużo miejsca na skromnej plebanii.

Podobnie jak uczyniliśmy z wieloma innymi wywrotowymi przedmiotami w minionych miesiącach, ostatecznie zaniósłszy puzzle do babci na strych.

Rozłożyliśmy je na podłodze pod oknem i zaczęliśmy od oddzielenia brzegów od pozostałych klocków. Do obiadu zdołaliśmy skończyć cztery rogi i kilka innych kawałków.

Gdy następnego dnia wróciłyśmy ze szkoły, obrazek leżał gotowy na stole warsztatowym na środku pomieszczenia.

– Mój Boże! – krzyknęła Rebecca, kładąc dłoń na ustach z pełną wdzięku afektacją. Bardzo w tym momencie przypominała swoją matkę. – Pani sama

to wszystko zrobiła, pani Morgan?

Gapiliśmy się na moją babcię, która siedziała na swoim fotelu, jak zwykle wpatrując się w okno pozbawionym wyrazu wzrokiem, założywszy nogę na nogę, przy czym jedna z tych nóg kopała nie wiadomo co. Trochę się zdenerwowałam, że Rebecca została pozbawiona przyjemności ułożenia własnego prezentu urodzinowego.

– Jak mogłaś?! – spytałam.

Babcia wzruszyła ramionami.

– To było łatwe. Ale mapa jest błędna...

– Nie. – Rebecca weszła na krzesło, by podziwiać układankę z góry. – Jest doskonała. Popatrz, Diano... twoja babcia zrobiła nawet oceany!

– Tu jest napisane – babcia w końcu wstała, machając pokrywą od pudełka – że to mapa świata. Ale to nieprawda. – Wskazała puzzle. – Ten świat jest błędny.

– Naprawdę? – spytała Rebecca zaintrygowana. – Jak to możliwe?

Jeszcze zanim babcia wyraziła na głos swoje spostrzeżenia, wiedziałam, że brniemy w jakąś zagmatwaną niedorzeczność, która wprawi mnie w zażenowanie.

Niezbyt bym się przejmowała, gdybyśmy były z babcią same, ale bolało mnie, ilekroć widziałam tę minę Rebekki: wyraz bezgranicznej grzeczności, który wynikał z bezpośredniego zetknięcia z szaleństwem.

– Po pierwsze – zaczęła babcia, pochylając się nad układanką ze zmarszczonym czołem – o co chodzi z tym tu nonsensem?

Podążyłyśmy wzrokiem za jej palcem.

– Ma pani na myśli Amerykę? – spytała moja przyjaciółka z oczyma okrągłymi z konsternacji.

– To wszystko mam na myśli. – Babcia zamaszystym ruchem ręki ogarnęła cały Nowy Świat. – A miejsce tego – wskazała Statuę Wolności – jest tu.

Podążyłyśmy z Rebeccą ponownie śladem palca i zobaczyłyśmy, że umieszcza on sławną figurę w Algierii.

– Nie wydaje mi się, pani Morgan – powiedziała Rebecca tym swoim pewnym głosem, którego tak jej zazdrozczę. – Widzi pani, to Sahara, pustynia. Tu się nic w sumie nie dzieje. No chyba że się grubo mylę...

– Mylisz się! – Babcia wychyliła się do przodu raptownie, jakby chciała

przyłapać puzzle na przeobrażeniu. – To wszystko próba zatuszowania. Trzy wielbłądy i nic poza tym? Śmieszne! Nie widzisz? – Postukała kłykiem w granicę tunezyjsko-algierską. – Tutaj się urodziłyśmy. Tu się wszystko zaczęło.

– Co się zaczęło? – spytała Rebecca, nie zwracając uwagi, że ciągnę ją za rękaw. – Chce pani powiedzieć, że się urodziła w Algierii? Nie wygląda pani na Algierkę. Co prawda w życiu żadnej Algierki nie widziałam...

Na twarzy babci pojawił się grymas bólu. Rebecca oczywiście nie miała pojęcia, że pochodzenie babci to temat tabu w naszej rodzinie, ponieważ mój dziadek – zgorzkniały starzec – wszystkie te informacje zabrał ze sobą do grobu.

Jeśli chodzi o samą babcie, miała taki mętlik w głowie i była tak nieobliczalna, że nikt prócz mnie w ogóle nie zwracał sobie głowy pytaniem jej o cokolwiek. Bez względu na temat moi rodzice zgodnie dyskredytowali jej wypowiedzi słowami „gadanie na prochach” albo „no a czego oczekiwać od osoby, która przeszła to wszystko?”. W mojej obecności nigdy wprost nie wspomnieli o lobotomii.

Gdybym nie widziała tego słowa czarno na białym w biurku ojca tamtego dnia, po latach, gdy węszyłam z Rebeccą, może nigdy bym się o niej nie dowiedziała.

Niestety, gdy jeszcze babcia była z nami, nigdy do końca nie rozumiałam przyczyn jej częściowej amnezji, jej napadów lęku i czasami zawstydzającej dziecinności. Dla mnie była to przede wszystkim kwestia woli; gdyby naprawdę chciała, oczywiście, że pamiętałaby dzieciństwo. I doprowadzało mnie do łez, że tylu rzeczy nie chciała – w moim rozumieniu – ze mną dzielić.

Skąd to wszystko pochodziło, te nadzwyczajnie szerokie usta i mieniące się oczy znad Morza Północnego, które najwyraźniej po niej odziedziczyłam?

Rozpaczliwie chciałam zakotwiczyć narrację o moim pochodzeniu w narodzie ludzi takich jak my – wysokich, marzycielskich, z włosami o barwie dojrzałego żyta – żeby nie czuć się tak, jak często się czułam: że jesteśmy dwójką zdezorientowanych obcych, którzy próbują wmieszać się w tłum Ziemi o ciasnym umyśle.

– Chyba pamiętam – powiedziała babcia, znowu pochylając się nad puzzlami Rebekki – że byłam tu. – Wyciągnęła rękę nad Krete, potem nad

Grecję kontynentalną, przebierając palcami, jakby chciała wyczuć jakiś niewidoczny prąd.

– Albo może to było tam. – Ręka przesunęła się nad zachodnią Turcję i wędrowała dalej na północ do Bułgarii i Rumunii. – Nosiałam ubrania ze skór. Kiedyś w jedenaścioro dzieci musiałyśmy się podzielić jednym jajkiem. Pamiętam jeszcze...

– Jakim jajkiem? – musiała wiedzieć Rebecca.

Pytanie wybiło babcię z transu, spojrzała na nas z wyrazem rozczarowania.

– Nie wiem. Pewnie kurzym.

Gdy wróciłam do tematu tamtego wieczoru, przyglądając się, jak babcia szcztokuje włosy, ona sprawiała wrażenie, jakby zupełnie zapomniała o całej rozmowie.

– Ładna ta twoja koleżanka – tylko tyle powiedziała, patrząc na mnie w lustrze. – Ale mówi za dużo. Nie jest myśliwym.

Na tym zakończyły się moje poszukiwania korzeni babci, nigdy nie posunęłam się dalej. Choćbym nie wiadomo ile map i atlasów przemycała na strych pod swetrem, jedynym, co zdołałyśmy we dwie ustalić, było to, że Afryka Północna jest, ogólnie rzecz biorąc, całkowicie niedocenionym miejscem.

Klepanie w ramię wyrwało mnie z drzemki. Zobaczyłam przed nosem telefon Ahmeda.

– Do pani. James Moselane.

Drżąc ze zdenerwowania, przyłożyłam telefon do ucha.

– Bardzo cię przepraszam za kłopot...

– Morg! – James chyba był gdzieś na dworze, i to w ulewie. – Mam rozumieć, że ty naprawdę pojechałaś do Amsterdamu?

To bezpośrednie pytanie zbiło mnie z tropu. Chciałam odrzec: „Nie”, ale tym samym wywołałabym następne pytanie, na które bym nie mogła odpowiedzieć.

– Bardzo by ci przeszkadzało – odparłam więc – gdybym cię poprosiła o jeszcze jedną przysługę?

Usłyszałam szelest, trzaśnięcie metalowych drzwi, a potem charakterystyczny szum i brzęk maszyny na siłowni.

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem – zapewnił James tonem, który

poinformował mnie, że przeceniłam siły, ale on i w tej sytuacji zachowa się jak dżentelmen.

– W moim mieszkaniu stoi akwarium – zaczęłam. – Zapomniałam napomknąć o nim w wiadomości. Ono mniej więcej samo się sobą zajmuje...

– Śmiało.

Odchrząknęłam, świadoma, że przesadzam.

– W lodówce jest karma dla rybek. – Szybko wyjaśniłam, jak się karmi gupiki profesora Larkina. Miałam nadzieję, że mój wesoly ton osłodzi prośbę.

Gdy James wreszcie się odezwał, z ulgą usłyszałam w jego głosie uśmiech.

– Muszę wyznać, że oczekiwałem zadania bardziej arturiańskiego. Dlaczego nie poprosisz studentów, by się zajęli rybkami? To by im zapewniło zajęcie do twojego powrotu.

Nasza rozmowa zakończyła się nutą humoru, ale i tak czułam się po niej podle. W Jamesie było coś takiego, jakaś staromodna prawość, która zawsze mnie zmuszała do zachowania całkowitej szczerości. A jednak proszę, okłamywałam go i wykorzystywałam jego uprzejmość.

Kiedyś nawet powiedziałam mu o chorobie babci, przy kawie, chociaż wiedziałam, że może sobie pomyśleć – tak jak sama czasami myślałam – że moje geny są skażone szaleństwem. Zdrada Federica wciąż mnie prześladowała jak złowieszczy cień, więc zasłaniałam się pozą brawurowo wyzywającą i nie za bardzo dbałam o pozory, nawet przed Jamesem.

– W skali od jednego do dziesięciu – powiedziałam wtedy, ustawiając śmietankę i cukier na przeciwnych końcach naszego małego stoliczka – gdzie dziesięć oznacza całkowite szaleństwo, kaftan bezpieczeństwa, seryjnego mordercę, a jeden ciebie i mnie, powiedziałabym, że babci należała się czwórka. – W odpowiednim miejscu ustawiłam swoją filiżankę. – Rozumiesz, w ogólnym rozrachunku jedynym jej problemem było to absurdalne przekonanie, że jest Amazonką, wojowniczką o imieniu Kara. Nie chodzi o to, że spiskowała, jak by tu wysadzić w powietrze pałac Buckingham...

– Cóż, przede wszystkim – James wysunął bardziej rękę, by odsunąć śmietankę jeszcze dalej, rozsiewając bardzo przyjemny zapach drzewa sandałowego – muszę zaprotestować: nie jestem jedynką. Pozwolisz, że będę zerem?

Nasze oczy się spotkały i gdzieś w jego uśmiechu, pod platonyczną fasadą, widziałam, że on cholernie doskonale wie, że dla mnie ani trochę nie jest zerem.

– Po drugie – podjął, podsuwając do przodu własną filiżankę – obawiam się, że babcię trzeba będzie zdegradować do trójki, aby pomieścić mojego wujka Teddy’ego, który był tak absolutnie, całkowicie stuknięty, że chciał poślubić swojego konia i napisał dwadzieścia dziewięć listów do biskupa, przekonując go do zasadności tego związku. – Filiżanka Jamesa przytuliła się do mojej. – To, Morg, jest czwórka. – Rozparł się wygodnie i skrzyżował nogi w kostkach. – A czemu nie piątka? Bo widzisz, wujek Teddy najpierw ożenił się był z dziewczyną o imieniu Charlotte...

Kiedy James wreszcie skończył opowieść, rodzina Moselane’ów zaanektowała każdy dostępny nam kawałek zastawy, a babcia została relegowana do popielniczki na sąsiednim stoliku.

Właśnie tamtego popołudnia, gdy wracałam rowerem do college’u w rzadko spotykanym blasku słońca, po raz pierwszy przyznałam przed sobą, że naprawdę jestem beznadziejnie zakochana w Jamesie i że nigdy jego miejsca nie zajmie żaden inny mężczyzna, choćbym miała żyć sto lat bez choćby zdawkowego pocałunku.

W południe dotarliśmy do algierskiej granicy. Sądząc po nieskalanych hałdach piasku zdobiących drogę, od wielu godzin nikt tędy nie przejeżdżał, może nawet od wielu dni, i zaczynałam rozumieć, dlaczego Ahmed potrzebował czegoś więcej niż zwyczajny napęd na cztery koła.

Zbliżaliśmy się do niewielkiego posterunku, więc sięgnęłam do torby po paszport. Gdy pochylałam się, przetrząsając swoje rzeczy, samochód nagle gwałtownie skręcił w lewo, potem w prawo, a ja walnęłam głową o schowek na rękawiczki.

– Auć! – jęknęłam, prostując się. – Co...?

Posterunek graniczny był teraz za nami.

– Wszystko w porządku? – spytał Ahmed, ale w jego głosie nie słyszałam przesadnej troski.

– Nie! – Obróciłam się na fotelu. – Właśnie objechał pan szlaban graniczny!

Wzruszył ramionami.

– Tam nikogo nie ma. Zamknięte.

– Ale nie możemy tak... – W sumie nie wiedziałam, jak wyrazić swoje oburzenie. Przez głowę przemknął mi obraz pograniczników z karabinami maszynowymi.

– Co? – Nawet na mnie nie spojrzał. – Naprawdę chce pani wracać, szukać innego posterunku, składać wniosek o wizę i czekać dwa dni? – Ruchem głowy wskazał mój paszport. – Proszę mi zaufać, nie chce pani tam takiego stempla.

– Nie chcę też spędzić dwudziestu lat w algierskim więzieniu.

Ahmed uraczył mnie szerokim uśmiechem, odsłaniając imponujący zestaw klawiszy.

– Przynajmniej posiedzimy tam razem.

Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć. Cała ta sytuacja wydawała się absurdalna, a jego sarkazm był może zrozumiały. Za nami stał porzucony budynek wielkości szopy na narzędzia mojego ojca. Jedynym wyznacznikiem granicy był półtorametrowy szlaban – nikt się nim nie przejmował choćby na tyle, żeby nim operować. Żadnego muru, żadnego ogrodzenia, drutu kolczastego...

W mgnieniu oka zobaczyłam siebie w wieku siedmiu lat, jak po raz pierwszy wracam ze szkoły sama. Oczywiście dopadło mnie dwóch piegowatych szkolnych zbirów, którzy niedawno zostali surowo upomniani przez mojego ojca. Podeszli do mnie, uśmiechali się szeroko i ciągnęli mnie za włosy, a jeden w błocie narysował patykiem wokół mnie kółko.

– Stój tu, Gorgona – rozkazał. – Aż pozwolimy ci się ruszyć.

Nawet gdy już chłopcy zniknęli, śmiejąc się i bijąc o patyk, bałam się ruszyć.

Po pewnym czasie zaczęło padać, a linię zmyło, ale ja nie byłam pewna, czy to oznacza, że mogę pójść.

Wtedy właśnie zaprzyjaźniłam się z Rebeccą, która chodziła do klasy wyżej.

Nadbiegła w podskokach, śpiewając głośno, i niemal wpadła na mnie, gdy stałam w kałuży, ściskając tornister.

– Panno Morgan kochana! – wykrzyknęła wesołym, wysokim tonem, którym jej matka zawsze zwracała się do starszych wiekiem parafian. – Cóż pani tu porabia w tak okropną pogodę? Chodź. – Chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła z niewidocznego już kręgu. – Spójrz tylko na siebie! Wyglądasz

okropnie!

Na to wspomnienie się skrzywiłam. Najwyraźniej w wieku dwudziestu ośmiu lat nadal potrzebowałam innych, żeby mnie przeciągnęli przez linię nakreśloną na piasku przez nieobecnych bandziorów.

Ahmed spojrział na mnie, może zastanawiając się, czy to jego niestosowna uwaga tak mnie zdegustowała.

– Na wypadek gdyby się pani nie zorientowała, próbujemy zacierać pani ślady.

– Zdołałam już to sobie uświadomić – odparłam, żałując wybuchu. – Po prostu nie rozumiem dlaczego. Może zechciałby mnie pan oświecić, z łaski swojej?... Mogę do pana mówić Ahmed?

Poruszył się gwałtownie, jakby ten temat wywoływał w nim napięcie.

– Ma pani pojęcie, jak wielki jest czarny rynek antyków? Wie pani, ilu ludzi jest zaangażowanych w nielegalne wykopaliska, plądrowanie grobów, grabieże? – Wyciągnął telefon i upuścił mi go na kolana. – Może zadzwoni pani do swojego chłopaka? On może pani niejedno powiedzieć o ratowaniu dziedzictwa innych narodów.

Tak mnie zbił z tropu, że wydawało mi się, że się przesłyszałam.

– Zna pan Jamesa?

– Znam tę rodzinę. A kto ich nie zna? A swoją drogą, nie mam na imię Ahmed. Nazywam się Nick Barrán. Może pani mówić do mnie Nick.

Wpatrywałam się w niego, wciąż nie znajdując słów.

– Nick jak Nicholas?

– Od razu widać, że nie od parady ma pani tytuł doktorski.

Ten wyrafinowany bon mot ustawił ton na resztę naszej podróży. Przez następne kilka godzin pod każdym możliwym kątem próbowałam poruszyć temat Fundacji Skolsky, ale na próżno. Jeśli chodzi o taktykę uników i złośliwe uwagi, przy Nicku nawet pan Ludwig sprawiał wrażenie dyletanta.

Wreszcie uznałam, że to nie ma znaczenia. Przecież zanim dzień się skończy, ten irytujący człowiek wypełni swoje zadanie polegające na transportowaniu mnie, a ja wreszcie poznam ludzi, którzy mnie wybrali i zaprosili.

Do celu dotarliśmy jakieś pół godziny po zapadnięciu zmroku. Dawno temu zasnęłam na fotelu pasażera, używając swojej torby jako poduszki, a teraz obudziły mnie urywki rozmowy i dźwięk otwierającej się stalowej

bramy. Noc na pustyni była czarna jak schowek na szczotki i przez dłuższą chwilę nie mogłam się zorientować w szorstkich głosach i ostrych białych światłach migoczących na mojej twarzy.

Z początku odniosłam wrażenie, że wjechaliśmy do stoczni, ponieważ otaczały nas kontenery i dźwigi, wszędzie biegali mężczyźni w kaskach i kombinezonach roboczych, a w wysiłkach pomagały im oślepiające reflektory na stalowych słupach. Ale zanim zdołałam spytać Nicka, gdzie jesteśmy, podszedł się z nami przywitać mężczyzna o krzaczastych bokobrodach i z lampą na kasku.

– W sam raz na kolację! – krzyknął. – Mówiłem Eddiemu, żeby zostawił trochę klopsików. – Następnie odwrócił się do mnie i dodał już grzeczniej: –

Doktor Mayo? Jestem Craig, kierownik robót. – Ostrożnie uścisnął moją dłoń, jakby bał się, że ją zgniecie w swojej potężnej szkockiej garści. – Witamy na odwiercie Tritonis.

– Prawdę mówiąc – powiedziałam, ochrypla po śnie – nazywam się Diana Morgan.

Craig zerknął na Nicka nieco zmieszany.

– Proszę się nie martwić. – Uśmiechnęłam się do nich obu, obejmując torbę, w której krył się zeszyt babci. – Jestem właśnie tą osobą, której potrzebujecie.

ROZDZIAŁ 10

ŚWIĄTYNIA BOGINI KSIĘŻYCA

Gdy Myrina się ocknęła, najpierw pomyślała o Lilli.

Ale Lilli nie było. W ciemnościach czaiło się co innego. Od razu zrozumiała, że coś jej grozi. Usłyszała szelest... ślizg... syczenie. Coś zimnego przesunęło się po jej kostce. Domyśliła się, że to mała żmija, najpewniej jadowita. Nagle pojawiła się następna, już nie taka mała, przemknęła zaraz przy uchu. Zagryzając wargę, Myrina powstrzymała się od ruchu i przestała oddychać. Leżała na czymś papkowatym. Stos gałęzi i zgniłych liści? Cokolwiek to było, od zapachu zgnilizny zbierało się jej na wymioty. A potem wreszcie sobie przypomniała. Strażnicy świątynni wrzucili ją do dziury.

Powoli, bezszelestnie Myrina zaczęła uwalniać ręce z więzów. Na szczęście mężczyźni zbyt się spieszyli, by spętać ją porządnie. Pewnie oczekiwali, że zginie w wyniku upadku, bo sądząc po bladym świetle wpadającym przez metalową kratę w górze, dziura była głęboka jak studnia – wręcz pewnie była to stara studnia, teraz sucha.

Myrina walczyła z dygotem wściekłości i bólu. Wściekłości na ludzi, którzy potraktowali ją jak zwierzę, bólu na myśl o Lilli, która czekała na nią skulona na palącym słońcu. W porównaniu z nim cichł nawet pulsujący ból w plecach, skutek brutalnego upadku.

Nagle syczenie ucichło i przez kilka chwil panowała cisza. Małe żmije uciekły. Myrinie gardło zacisnęło się ze strachu. Nadchodziło coś groźniejszego.

W napięciu nadstawiała uszu i wreszcie to usłyszała: ciężkie cielsko przesuwające się po kamieniu.

Wyciągnęła nóż z za pasa i przygotowała się. Jeśli trafnie odgadła, bestia w tej chwili okrążająca zewnętrzną ścianę studni i szukająca do niej dostępu

była wielkim węzem, takim jak te, które okręcają się wokół swoich ofiar i wyciskają z ich ciał życie, a potem połykają je w całości. W jej okolicy mniej więcej co dwa lata ktoś ginął w taki makabryczny sposób. Myrina pamiętała jeszcze okropny przypadek syna sąsiadów, który zaginął, a gdy po kilku dniach rozcięto wielkiego węża, w środku znaleziono bezbarwne ciało chłopca.

Wieśniacy mówili o nich „błotne demony”. Każdej wiosny starsi wychodzili do wodopoju w długiej procesji, z bębnami, pieśniami i gałęziami kwitnących drzew, by to pradawne zło błagać o pokój.

Od najmłodszych lat Myrina podejrzewała, że ta ceremonia odbywa się na próżno. Nie dlatego, że węże nie słuchały, lecz dlatego, że przejmowanie się nie leżało w ich naturze. Ojciec jej tak powiedział, tak samo jak powiedział jej wiele rzeczy, gdy razem wyruszali na dzikie pustkowia. Węże nie mają szacunku myśliwego do swojej ofiary, wyjaśnił, gdy Myrina kiedyś płakała nad martwą sarenką. Gady nie są zdolne do litości. Nie czują ani miłości, ani nienawiści. Nie znają emocji.

I żeby z nimi walczyć, też trzeba się całkowicie pozbyć emocji.

Myrina wstała, podniosła ręce nad głowę i czekała, aż wąż ją znajdzie.

Gdyby w studni było więcej światła, mogłaby się lepiej przygotować, ustawić. Ale w obecnej sytuacji oczy na nic się jej nie przydawały. Miała tylko uszy i nóż w dłoni.

Pomimo całej swej odwagi niemal zemdląca z przerażenia, gdy wąż wreszcie znalazł drogę do zamkniętej przestrzeni. Wiedziała, że zaraz poczuje na skórze dotyk jego zimnych gładkich łusek, ale nie podejrzewała, że potwór będzie taki ogromny. Gdy owinał się wokół jej stóp i ud, samym swym ciężarem sprawił, że z jękiem ugięła kolana.

Wbiła nóż w twarde cielsko, które już owijało się wokół jej talii. Z początku ostrze nawet nie przebiło się przez zbitą łuskowatą skórę, ale jej siła rosła wraz z rozpaczą i wkrótce poczuła, że wąż reaguje. Znieruchomiał, jakby zdezorientowany, i nagle, w słabym świetle z góry, Myrina przez ułamek sekundy zobaczyła straszną otwartą paszczę, zanim ta zamknęła się na jej lewym ramieniu.

Z krzykiem uderzała łeb węża, celując w oczy. Ból w ramieniu był tak dojmujący, że niemal nie wiedziała, czy w ogóle wyrządza bestii jakąkolwiek szkodę. W końcu wąż szarpnął się z wielką mocą i Myrina straciła resztki

równowagi. Przewróciła się, spleciona z potężnym cielskiem, a z jej płuc uciekło całe powietrze, i poczuła, jak nóż wysuwa się jej z dłoni.

Umierała.

A jednak ciągle oddychała. Ogromny wąż nadal ją przygniatał swoim miażdżącym ciężarem, ale już się wokół niej nie owijał.

Choć każdy ruch wymagał od niej potężnego wysiłku, teraz, gdy straszliwe szczęki potwora zwolniły nacisk, mogła ostrożnie uwolnić rękę z jego haczykowatych zębów. Następnie kawałek po kawałku wydostała się z jego zwojów, na koniec uwalniając nogi i stopy.

Miała szczęście, bo chociaż ramię jej pulsowało i było śliskie od krwi, krwotok był nieznaczny i nie złamała się żadna kość...

Myrina za bardzo się zajęła oglądaniem ran, by zwracać uwagę na to, co się dzieje w górze, aż nagle usłyszała, że metalowa krata się odsuwa. Podniosła wzrok i zobaczyła migoczącą pochodnię i dwie twarze wykrzywione obrzydzeniem.

Następnie spłynął deszcz oskarżeń w języku, którego nie rozumiała, i ujrzała coś, co wyglądało na jej sakwę. Mięsista pięść potrząsała nią w powietrzu. Walcząc z chęcią, by też odpowiedzieć krzykiem, Myrina wstała, z krwawiącą ręką, oparła stopę na wielkim cielsku, które właśnie pozbawiła życia, i podniosła dłonie na znak przyjaźni.

– Wypuście mnie stąd – powiedziała w starym języku, a głos aż jej drżał, tak bardzo chciała, by tamci ją zrozumieli. – Wypuście mnie, a powiem wam wszystko.

Na jedną krótką potworną chwilę mężczyźni zniknęli z pola widzenia, a Myrina przestraszyła się, że znowu odeszli. Potem coś runęło z góry, a dokładnie przed nią zawisł węzeł.

Lina.

Kiedy mężczyźni po raz drugi ściągnęli jej z głowy zakurzony worek, Myrina z ulgą stwierdziła, że znajduje się w wielkim pomieszczeniu świątynnym, z wysokim sklepieniem wspartym na potężnych filarach. Nie było okien, nigdzie nie dostrzegła żadnego naturalnego światła; pomieszczenie oświetlały niezliczone migoczące ognie palące się na szczycie wysokich trójnogich tac, i dopiero po chwili Myrina zrozumiała, że dokoła stoi tłum i wpatruje się w nią przez tańczące cienie.

Ponieważ były to same kobiety, wszystkie odziane w białe szaty i

wszystkie z przerażeniem na twarzy, Myrina uznała, że to kapłanki służące Bogini Księżycy, nieprzyzwyczajone do widoku krwi i sińców. Zdziwiła się, że do pleców mają przypięte łuki i kołczany, bo żadna z nich nie wyglądała na łuczniczkę.

Chaotyczne myśli przerwał jej rozkazujący głos z góry, i po chwili dezorientacji oraz kilku niecierpliwych szturchnięciach mężczyzn stojących tuż za nią Myrina odwróciła się i zobaczyła przerażającą postać siedzącą na wymyślnym siedzisku na szczycie kamiennego podium. Domyśliwszy się, że patrzy oto na Najwyższą Kapłankę, Myrina z szacunkiem schyliła głowę. Uklękały też, ale mężczyźni zbyt ciasno ją związali.

– Zostałaś oskarżona – zaczęła kobieta na podium doskonale płynnym starym językiem – że wdarałaś się na nasze terytorium. I że zapewne jesteś mordercą. Masz świadomość, jaką karę wymierza się za te występki?

Myrina pokręciła głową, z przerażenia nie mogąc wydobyć głosu.

– Jeśli nie odpowiesz na moje pytania – podjęła kobieta – będę musiała przyjąć, że jesteś winna. I muszę przekazać cię urzędnikom miejskim... a tego wolałabym uniknąć. – Podniosła niewielki przedmiot i dopiero wtedy, gdy ten zamigotał w świetle ogni, Myrina rozpoznała bransoletę matki. Wówczas nagle wszystko nabrało sensu – mężczyźni wściekle wymachujący jej sakwą nad studnią, a potem prowadzący ją na przesłuchanie.

Nie tylko Myrina rozpoznała bransoletę; sam jej widok wywołał zbiorowy okrzyk zdumienia kapłanek.

– Powiedz mi więc – ciągnęła Najwyższa Kapłanka głosem odrobinę cichszym – jak weszłaś w jej posiadanie.

Myrina wyprostowała się pod uważnym spojrzeniem kobiety.

– Należała do mojej matki. Ona nosiła ją na ręku każdego dnia swego życia.

Gdy tylko te słowa wybrzmiały w głuchym pomieszczeniu, rozległy się stłumione okrzyki zmieszania. I dopiero kiedy zobaczyła, jak kapłanki obracają się na boki w poszukiwaniu wyjaśnienia, Myrina zauważyła, że wszystkie mają na nadgarstkach podobne bransolety.

– Cisza! – rozkazała Najwyższa Kapłanka, srogim wzrokiem tocząc po pomieszczeniu. I znowu zwróciła się do dziewczyny: – Jak miała na imię twoja matka?

– Talla.

– Talla? – Najwyższa Kapłanka pochyliła się do przodu, chwytając poręcz tronu. – Twoją matką była Talla, a ty śmiesz tu wracać?

Gdy poczuła, że mężczyźni za jej plecami poruszają się niespokojnie, jakby się przygotowywali, by znowu ją gdzieś zaciągnąć, Myrina poczuła falę przerażenia.

– Błagam! – krzyknęła. – Przyszłam, bo moja matka zawsze mówiła, że należymy do Bogini Księżyca. Całe życie wiernie jej służyła...

Najwyższa Kapłanka zerwała się z miejsca.

– Talla złamała reguły tej świątyni. Zadała się z mężczyzną i została pohańbiona. Gdyby nie uciekła, została by wrzucona do studni tak jak ty.

Myrina cieszyła się, że lina jest zawiązana tak ciasno, że nie pozwala jej upaść.

– Rozumiem – wydusiła z trudem. – Jeśli musicie, wrzucie mnie z powrotem do studni, ale – podniosła wzrok na Najwyższą Kapłankę – zlitujcie się, błagam, nad moją młodszą siostrą. Ona cały czas czeka na zewnątrz. Jest ślepa i nie ma jedzenia. – Myrina znowu próbowała ugiąć kolana, ale nie dała rady. – Rozwiążcie mnie – powiedziała – a padnę na klęczki, by was przebłagać.

Najwyższa Kapłanka zeszła po kamiennych stopniach krokiem miarowym i dostojnym.

– Powiedz mi – podjęła, przystanąwszy przed Myriną – dlaczego młoda kobieta wtargnęła na nasze terytorium. – Wyciągnęła rękę i dotknęła krwawych śladów po zębach na ramieniu Myriny. – By cierpieć taką udrękę?

– Jestem z siostrą – odrzekła Myrina, starając się nie dygotać z bólu. – Dlatego. Przyszłam tu w nadziei, że Bogini wyleczy oczy Lilli... Teraz widzę, że byłam naiwna i że moja pomyłka zaszkodziła siostrze jeszcze bardziej. Z tego powodu cierpię.

Najwyższa Kapłanka przez chwilę przyglądała się jej twarzy.

– Twoja odwaga mnie intryguje. Eunuchy mówią, że zabiłaś potwora.

– Jestem myśliwym – odparła Myrina. – To moje zajęcie.

Lekki uśmiech podziwu przemknął przez usta Kapłanki.

– Większość mężczyzn powiedziałyby, że kobiety nie mogą być myśliwymi.

– Może wieśniacy by tak powiedzieli. – Myrina wysunęła podbródek do przodu. – Ale inni twierdzą, że kobiety są najlepszymi myśliwymi. Bo są

zwinne, ciche i cierpliwe. – Zawahała się i dodała: – Mój ojciec jest nomadą. On mnie nauczył, jak polować.

Najwyższa Kapłanka się skrzywiła.

– Gdzie jest teraz twój ojciec?

Myrina odwróciła wzrok.

– Kiedyś przychodził i odchodził, jak to nomada. Zawsze mówił, że kiedy dorosnę, będziemy razem wędrować przez świat. Ale... nomadzi nie trzymają się jednego szlaku, więc przestał się pojawiać.

Najwyższa Kapłanka powoli skinęła głową.

– Ilu mężczyzn kochałaś?

To pytanie tak zdumiało Myrinę, że niemal zapomniała o strachu.

– Żadnego. Nigdy nikogo nie kochałam. Poza rodziną.

– Nie to miałam na myśli...

– Wiem, co miałaś na myśli, pani. I odpowiedź brzmi: żadnego. Nie lubię mężczyzn, a oni są tak mili, że odwzajemniają mi się tym samym. Żaden mężczyzna nie lubi kobiety, która biega szybciej od niego albo celniej strzela.

Najwyższa Kapłanka chwilę stała w milczeniu. Następnie się odwróciła i z wielkim wdziękiem wróciła na swój tron na podwyższeniu.

W pomieszczeniu zapadła całkowita cisza. Wszyscy w napięciu czekali na ostateczny wyrok. Nawet trzech eunuchów stało niezgrabnie znieruchomiałych, z wielkimi rękoma zwieszonymi bezwładnie u boków.

Najwyższa Kapłanka rozsiadła się na kamiennym tronie i namyślała tak długo, że Myrina zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle się jeszcze odezwie.

Wreszcie wydała werdykt.

– Przez całe swoje życie – obwieściła Kapłanka – nigdy nie widziałam tak wyrazistej boskiej interwencji. W nieskończonej sprawiedliwości Bogini zaznałaś ukarania matki i przeżyłaś tę karę, co zatem obie was oczyszcza z winy. Po wysłuchaniu zaś twojej prośby w sprawie siostry – spojrzała po milczących kapłankach – oznajmiam, że pomyślnie przeszłaś próbę. A jakie jest wasze zdanie, córki Bogini? Nie zgadzacie się ze mną?

Rozległ się szmer niechętniej zgody.

Strzeliwszy palcami na eunuchów, Najwyższa Kapłanka kazała im w końcu rozwiązać Myrinę.

– Ocaliła cię twoja odwaga – powiedziała, uśmiechem kwitując swą życzliwość. – Ciebie i twoją siostrę. Dziś, kiedy wzejdzie księżyc, przyjmiemy

cię do naszego siostrzeństwa.

Myrina niepewnym krokiem postąpiła do przodu, wydostając się z pęt liny.

– To znaczy...?

Najwyższa Kapłanka skinęła głową.

– Będiesz jedną z nas. Prawdę mówiąc, sędzę, że już nią jesteś. – Jej uśmiech ustąpił powadze. – Rola kapłanki to niełatwe zajęcie. Widziałaś ten niesforny motłoch na zewnątrz. Ich ziemia wysycha, głodują. Każdego miesiąca spływają do nas doniesienia o piratach łupiących wybrzeże. Czasy są ciężkie. – Smętnym gestem wskazała krąg kapłanek. – A nas jest o wiele za mało jak na zadania, które musimy wykonywać.

– Ze względu na siostrę, spróbuję – powiedziała Myrina. – Ale mój śpiew jeszcze nigdy nikogo nie uradował.

Najwyższa Kapłanka pokręciła głową.

– Nie po to tu jesteś. Bogini wezwała cię do swojej świątyni, by nas zawstydzić. Twoja siła i odwaga, umiejętność posługiwania się bronią... – Znowu wskazała gestem kapłanki, a był to gest oskarżycielski. – Spójrz na nas! Jesteśmy bladymi cieniami niegdysiejszych świetnych postaci. Nazywamy siebie generałami armii Księżycowej Bogini, ale w rzeczywistości – Najwyższa Kapłanka z odrazą opadła na oparcie tronu – jestem otoczona głupimi ślimakami, łasuchami, które by nie napięły łuku w obronie tej świątyni!

Myrina czuła, jak ze wszystkich stron wwiercają się w nią pełne urazy spojrzenia. Bardzo chciała przemówić i jakoś złagodzić krytykę, ale nie ośmieliła się zaryzykować. Lilli ciągle była na zewnątrz, więc im szybciej ta sprawa się zakończy, tym lepiej.

– Ale teraz wszystkie podziękujmy Bogini – podjęła Najwyższa Kapłanka, podnosząc ręce, tak że rozkloszowane rękawy jej szaty rozłożyły się jak skrzydła feniksa. – Dziękujemy ci, Pani, że przysłałaś tę młodą kobietę, by nas szkolila.

Prosimy, niech pomoże nam zwalczyć naszą głupotę i słabość, byśmy znowu z napiętymi łukami stanęły na straży twego promienistego majestatu.

ROZDZIAŁ 11

Zachodnią część Libii, na granicach zamieszkanego przez ludzi świata, zajmowało niegdyś plemię, w którym rządziły kobiety. Lud ten wiódł życie odmienne od naszego.

DIODOR SYCYLIJSKI, *Biblioteka historyczna*

ALGERIA

Moja pierwsza noc na stanowisku archeologicznym Tritonis okazała się jednym wielkim rozczarowaniem. Szybko zdałam sobie sprawę, że nie czeka na mnie żaden komitet powitalny z szampanem i kwiatami. Wyglądało na to, że Nick jest tu jedynym przedstawicielem Skolsky'ego.

Po letnim posiłku w pustej stołówce kierownik Craig zabrał mnie do maleńkiej przyczepy, która przez najbliższy tydzień miała być moim domem.

Ucieszyłam się, że wreszcie zostałam sama, a ledwie zamknęły się za nim drzwi, wyciągnęłam zeszyt babci. Pomimo zmęczenia chciałam kontynuować pracę nad nim i wiedziałam, że następnym krokiem powinno być ustawienie obcych symboli w coś na kształt porządku alfabetycznego. Ale niebieskawe światło burczącej lampy pod sufitem ani trochę mi nie pomagało. Miało zainstalowany wyłącznik czasowy, więc mniej więcej co dwie minuty musiałam wstawać i pociągać sznurek z plastikowych koralików, a kiedy zrobiłam to jakieś pięćdziesiąt razy, nie uczyniwszy jednocześnie żadnych szczególnych postępów z zeszytem, wreszcie się poddałam i poszłam do łóżka.

Rano od razu po śniadaniu, gdy tylko wyszłam ze stołówki, stwierdziłam, że Craig i Nick czekają na mnie z trzema wielbłędami. Niebo było jeszcze ciemne, ale eksplozje fioletu i pomarańczu na wschodzie zapowiadały nadejście słońca.

W porannym powietrzu panował miły chłodek. Podejrzewałam, że

niedługo zrobi się gorąco.

– Mam nadzieję, że przywiozła pani ze sobą pejcz – powiedział Craig, przerywając milczenie. – Pojazdy silnikowe nie mogą wjeżdżać na teren stanowiska.

Spojrzałam na wielbłądy, które sprawiały wrażenie majestatycznie znudzonych.

– Podejrzewam, że pejcz to nie jest sposób na zjednanie sobie sympatii tych istot?

Craig uśmiechnął się szeroko do Nicka.

– Widzisz? Ona nie jest taka nieogarnięta, jak sądzisz.

Po kilku chwilach byliśmy w drodze, a ja z radością stwierdziłam, że dumne wierzchowce idą miarowym, flegmatycznym tempem, umożliwiającym mi podziwianie krajobrazu. Pustynia wokół nas powoli zmieniała barwy. Gdy słońce wspięło się na nieboskłon, piasek ożył, jakby zamienił się w bezkresne palenisko żarzących się węgli, rozpalające się przy pierwszym tchnieniu świtu. Jechałam na wielbłądzie, kołysząc się łagodnie w przód i w tył, i odnosiłam wrażenie, że oglądam z balkonu gigantyczną grę cieni na wydmach; bo każda jasna połać zmieniała swój czarny cień po drugiej stronie wzniesienia, i z każdą minutą te atramentowe rozlewiska malały do rozmiaru rzek, potem do linii, wreszcie znikły, gdy słońce w pełni objęło świat w posiadanie.

Nasz pustynny spektakl wkrótce zeszpeciły jednak ślady obecności człowieka. Gdy wspięliśmy się na szczyt wydmy i spojrzeliśmy w dół na głęboki piaskowy basen, zobaczyliśmy niestosowny widok rozrzuconych narzędzi i urządzeń wiertniczych oraz przewróconą metalową wieżę. Pośrodku tego wszystkiego stał brązowy namiot beduiński, przed którym uwiązano dwa konie.

– Odkryliśmy budowlę, szukając najlepszej lokalizacji na wieżę – wyjaśnił Craig, gdy zjeżdżaliśmy ku samotnemu namiotowi. – Znajduje się dokładnie pod nami, dosłownie parę metrów w dół, ale z jakiegoś powodu nasze obrazowanie nigdy nie wykazało jego obecności... brało go za osady wzdłuż brzegu dawnego jeziora.

– Tutaj było jezioro? – Rozejrzałam się, próbując sobie wyobrazić masę wody w spieczonym krajobrazie.

– O tak. – Craig kiwnął głową. – Prawdopodobnie śródlądowe morze,

które zajmowało część Algierii i Tunezji i łączyło się z Morzem Śródziemnym czymś w rodzaju kanału. Na mapach paleohydrologicznych można zobaczyć jego kształt.

Ale to było przed tysiącami lat. Z czasem morze zamieniło się w jezioro, jezioro w bagno, a bagno w pustynię. – Uśmiechnął się krzywo. – Zmiany klimatyczne; tak było zawsze, i nic nie możemy na to poradzić. To ten gość na górze – kciukiem wskazał słońce – dyktuje warunki.

Gdy zbliżyliśmy się do namiotu, ze środka wyszło nam na powitanie dwóch mężczyzn. Mieli na sobie mundury paramilitarne, przy boku nosili broń znacznych rozmiarów. Chociaż obaj powitali Nicka i Craiga uśmiechami, a mnie grzecznym skinieniem głowy, podświadomie czułam, że ci mężczyźni, jeśli uznają, że nie mają wyjścia, bez wahania użyją zabójczej siły – wręcz może taka perspektywa sprawia im przyjemność.

Jak się okazało, namiot Beduinów był nie tyle schronieniem dla strażników, co osłoną zejścia pod ziemię. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak wielka stalowa beczka postawiona na środku namiotu; gdy zajrzałam do środka, zdałam sobie sprawę, że ta beczka nie ma dna. Patrząc w owalną dziurę o szerokości nieco ponad pół metra, dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, że teraz tam właśnie się udamy: w dół zaimprovizowanej zsuwni pośrodku piaskowego oceanu.

Podniosłam wzrok, gotowa na głos się poskarżyć, że ściągnięto mnie tak daleko, nie ostrzegłszy o potencjalnym niebezpieczeństwie ostatniego etapu. Ale Nick podawał mi już uprząż i czołówkę, i nawet Craig wyglądał, jakby wskakiwanie do podziemia przez wielką słomkę było czymś absolutnie normalnym.

– Nie martw się – powiedział do mnie, pewnymi palcami zakładając mi uprząż. Założył mi elastyczną opaskę na głowę, a usta i nos zasłonił maseczką. – Pamiętaj tylko, żeby oddychać powoli. Szybko się przystosujesz.

– Do czego? – chciałam spytać, ale Craig już stał okrakiem na obrzeżu stalowej rury i bez słowa śmignął w ciemności.

Czując się dziwnie bezcielesna, jakbym była gapiem na występie własnego cyrku, bezwolnie patrzyłam, jak Nick i strażnicy pomagają mi wejść do rynny, jak wsadzają mi kask na głowę, jakby to naprawdę cokolwiek zmieniało. Następnie, co sobie uświadomiłam, to fakt, że opuszczają mnie do otworu, i przez kilka długich chwil nie słyszałam nic oprócz niepokojącego

skrzypienia liny przymocowanej do mojej uprząży oraz swojego spanikowanego oddechu wzmocnionego przez maskę i otaczający mnie metal.

I nagle znalazłam się w rurze, a wszystkie znajome dźwięki rozproszyły się w wielką zimną pustkę. Zwisiałam jak konik polny na haczyku, zastanawiając się, jakież to potwory czają się w tym ciemnym zapomnianym świecie.

Kiedyś przy niedzielnym obiedzie babcia wpadła w trans nad zapiekanką z kurczaka. Dopiero gdy matka po raz trzeci poprosiła ją, by podała sól, ona drgnęła, przebudziła się z zamyślenia i spojrzała na mnie ponad stołem.

– Wszystko jest na dole – powiedziała, jakby odpowiadając na moje pytanie.

– Pod powierzchnią. Musisz to tylko znaleźć.

– Na każdego przypadają po trzy kawałki kurczaka – przerwała jej moja matka, z fuknięciem biorąc solniczkę – rozłożone równo w całym naczyniu.

– Myślą, że tego nie ma – ciągnęła babcia. A jej szaroniebieskie oczy nie odrywały się ode mnie. – Ale to nieprawda. Myślą, że mogą to zniszczyć, a my zapomnimy, ale to nieprawda. To wielki błąd.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że babcia ani chybi odnosi się do wycinków prasowych, które mój ojciec niedawno zdjął ze ścian jej pokoju na strychu. Dla mnie, wówczas dziecka, babcine archiwum artykułów rosło stopniowo i dzięki temu jakoś nie wydawało mi się wstrząsające; za każdym razem, gdy przynosiłam jej wyrzuconą przez ojca gazetę, dwa, trzy wycinki trafiały do jej zbiorów, a potem na skośne ściany, przyklejone drobinką szkolnego kleju.

– O czym to jest? – spytałam raz czy dwa. – Te wszystkie artykuły.

W odpowiedzi babcia wskazała najnowszy wycinek, jeszcze leżący na stole.

Tytuł brzmiał: PISARKA UCIEKA Z ARESZTU DOMOWEGO. Przeczytałam go uważnie, dwukrotnie, ale nie dostrzegłam żadnego powiązania z babcią ani z nikim sobie znanym.

Widząc moje zdziwienie, babcia uśmiechnęła się w ten swój dziecięcy sposób i wyszeptała: „Amazonki!”. Po czym zaczęła krążyć po pokoju, wskazując na wycinki zwisające ze ścian, jeden po drugim: „Amazonki” – mówiła, a jej głos nabierał pewności. – „To wszystko Amazonki”.

Stanęłam pod artykułem, który wisiał nieco niżej niż pozostałe. Tytuł brzmiał: CHANABAD: KAMIENOWANIE KOŃCZY SIĘ CHAOSEM. Na czarno-białym zdjęciu widziałam mężczyzn i zakwefione kobiety za czymś w rodzaju barykady, trzymali się za głowy.

– Te kobiety to Amazonki? – spytałam, rozpaczliwie próbując zrozumieć.

Babcia podeszła do mnie, ale tylko parsknęła z oburzeniem.

– Nie! Te kobiety są tak samo złe jak ci mężczyźni! Ale dostały to, na co zasłużyły. Popatrz na nie!

– Ale... – Nie wiedziałam w sumie, co powiedzieć. – Co to znaczy „kamienowanie”?

W tej samej chwili nagły powiew przebiegł po pokoju, a wycinki zatrzepotały jak suche liście.

Obróciłam się i zobaczyłam, że w drzwiach stoi moja matka i w milczącym przerażeniu zasłania usta dłonią. Dziesięć minut później przyszedł mój ojciec z wiadrem i bez słowa pościągał wszystkie wycinki, zostawiając tylko gwiazdną mapę wysuszonych kapek kleju. Gdy to robił, ani razu na nas nie spojrzał; jeszcze nigdy w życiu nie widziałam go tak bladego i zdenerwowanego.

Babcia tylko patrzyła, jak znika jej starannie zgromadzone archiwum wyobrazonej działalności Amazonek, a z każdym zerwanym artykułem jej twarz tężała coraz bardziej.

Chociaż od tego zajścia minęło kilka dni, oczy babci wciąż były pełne żalu, i bardzo niechętnie zgodziła się zejść na dół, by zjeść z nami niedzielny obiad – pewnie dlatego, że wiedziała, iż w przeciwnym wypadku nie dostanie jeść.

– Obiad ci smakuje, jak sądzę – zagaiła moja matka wreszcie, nigdy nie rezygnując z okazji do wytknięcia teściowej braku manier.

Obecna przy nas myślami jak nigdy, babcia odpowiedziała od razu, głosem tak pełnym nienawiści, że w pokoju zrobiło się zimno.

– Zasada numer trzy: nigdy nie sądz.

Oczywiście matka nic już nie powiedziała na ten temat, ale spojrzenie, które posłała mojemu ojcu, wystarczyło, by jedzenie utknęło mi w gardle. Wieczorem siedziałam na schodach jak zawsze, słuchając, jak rodzice kłócą się w salonie.

W sumie nie była to kłótnia – nigdy się nie kłócili – ponieważ udział

mojego ojca ograniczał się zasadniczo do głębokich westchnień i nieustannego przemierzania pokoju.

– Tak nie może być! – mówiła moja matka z rosnącą rozpaczą. – Musimy myśleć o Dianie. Nie zniosę już tych obsesyjnych zachowań. Bóg raczy wiedzieć, co ona znalazła w tych gazetach. Vincent, powiedz coś!

Gdy wreszcie umilkli, usłyszałam charakterystyczne skrzypienie podłogi na strychu i zrozumiałam, że babcia też podsłuchiwała. Zmarznięta i nieszczęśliwa, tak bardzo chciałam pójść na górę i ją pocieszyć, ale bałam się, że jeśli mama odkryje, że nie ma mnie w łóżku, jeszcze bardziej się zdenerwuje.

Tej samej nocy, gdy leżałam w ciemnościach, mama weszła do mojego pokoju. Pewnie myślała, że śpię, bo oczy miałam zamknięte, a ona pochyliła się, pocałowała mnie i wyszeptwała: – Nie pozwolę, żeby stała się ci się krzywda.

Od tamtej chwili żyłam w nieustannym strachu, że stracę babcię. Może pewnego dnia, myślałam, wrócę ze szkoły, a jej nie będzie? Rodzice zaś nie będą chcieli mi powiedzieć, gdzie jest? Uznają, że usuwając ją z mojego świata, zdołają zniweczyć jej wkład w moje życie. Dla nich zawsze milczenie było lekarstwem na wszystko i aplikowali je szczerze tam, gdzie widzieli potrzebę – zwykle mnie.

To był ich wielki błąd.

Zwisając z liny gdzieś pod powierzchnią algierskiej pustyni, byłam tak zaabsorbowana własnymi pierwotnymi strachami, że gdy ktoś chwycił mnie za nogi, krzyknęłam zaskoczona.

– To tylko ja! – Zadudnił Craig, opuszczając mnie na ziemię i odpinając moją uprząż. – Zły duch jest dzisiaj na chorobowym.

Za wszelką cenę starałam się oddychać spokojnie w chłodnym nieruchomym powietrzu, Craig zaś włączył latarkę i podniósł ją między nami, a w jej upiornym świetle zobaczyłam, że stoimy w pomieszczeniu tak wielkim, że nie widziałam jego ścian. Gdzieś tam leżały łachy piasku, który musiał się tu dostać przez pęknięcia w dachu, zanim pustynia w pewnym momencie pochłonęła cały budynek.

– Niesamowite – powiedziałam. W moim głosie słychać było cały mój strach. Długo odbijał się w ciemnościach od ścian. – Nie do wiary, że to się nie zapadło pod ciężarem piasku.

– To trochę cud – przyznał Craig – ale nasz mineralog może pani przedstawić dobre wyjaśnienie. Coś tam ze stężeniem soli w piasku.

W odpowiednich warunkach tworzy ona skorupę i w tym wypadku najwyraźniej spowodowała powstanie muru oporowego. Uwaga!

Odsunęliśmy się, bo dołączył do nas Nick. Zsunął się po linie, jakby nigdy w życiu nie używał schodów, fundując nam mały pokaz koordynacji i zwinności, który dziwnie kontrastował z brudnym odzieniem i niechlujną brodą.

– W porządku? – spytał, oślepiając mnie swoją czołówką.

Panowie ruszyli, ale ja byłam zbyt przejęta wszystkim, co mnie otaczało, by za nimi nadążyć. Odgłosy naszych kroków najpierw znikaly, a potem wracały jako słabe, dalekie echo, budynek musiał więc być przeogromny, a jego wysoki strop wspierał się na kilkudziesięciu filarach.

– Niesamowite! – powiedziałam do Craiga, głosem stłumionym przez maskę.

– To musi być jakiś pałac królewski. – Podeszłam do jednego z filarów i przyjrzałam mu się uważnie, na ile się dało w słabym świetle. – Gdybym tylko mogła się lepiej przyjrzeć... Ale pewnie jestem za bardzo nieogarnięta, żeby mi powierzyć latarkę. – Cofnęłam się o krok i wskazałam liczne półeczki i haki zamocowane w kamieniu. – Spójrzcie! Może to było jakieś kryte targowisko.

– Jesteśmy niemal pewni, że to była świątynia – rzekł Craig, podnosząc lampę. – A te półki i haki pewnie były przeznaczone na wota. Niektóre do dziś tam zostały. Niewielkie urny, pewnie z ludzkimi prochami. – Ale – spojrzał na mnie z lekko drwiącym uśmiechem – mieliśmy nadzieję, że właśnie pani nam to powie.

Gdy szliśmy dalej środkową nawą, próbując dogonić Nicka, mój początkowy niepokój co do tego miejsca wzrósł do pełnoobjawowego złego przeczucia. Gdyby Craig naprawdę chciał wiedzieć więcej o tych starożytnych artefaktach, pomyślałam, potrzebowałyby całej armii archeologów, a nie jednego filologa.

Wzdłuż nawy stały wysokie metalowe paleniska, niektóre przechylone pod niebezpiecznym kątem, inne przewrócone. A na końcu wznosiło się podwyższenie z wielkim kamiennym tronem, do którego prowadziły stopnie. Obecność tego jedyne go mebla – choć surowego i bezosobowego –

kazała mi się zastanowić nad ludźmi, którzy tu niegdyś żyli, nad tym, co się z nimi stało.

Craig wyczuł mój dyskomfort.

– Bóg raczy wiedzieć, jak wielki był ten kompleks budynków. Próbowaliśmy zmapować podziemie – przerwał, by pokazać mi dziurę w podłodze, z wąskimi kamiennymi schodami prowadzącymi w dół – ale chłopcy nie dali rady. Na dole jest cały świat grot i wszystkich nas mocno przeraziła... populacja zwierząt.

Gdy wreszcie dogoniliśmy Nicka, stał w drzwiach na końcu głównej świątyni, światłem latarki wskazując ciemne kąty kolejnego, mniejszego pomieszczenia. Domyśliłam się, że sprawdza, czy nie ma tam nieproszonych gości.

– Zapraszam do sanktuarium! – Craig przystanął w progu i podniósł lampę. – I co, pani doktor, widziała pani kiedyś coś takiego?

Zbyt byłam do tej pory zajęta wypatrywaniem Nicka, by się rozejrzeć, a teraz wreszcie podniosłam wzrok i stanęłam twarzą w twarz z inskrypcją ze zdjęcia pana Ludwiga – tajemniczymi symbolami, które sprowadziły mnie aż z Oksfordu. Oto one: trzy ściany pokryte pismem, gdzieniegdzie widniał czerwono-czarno-żółty malunek. A pośrodku podłogi stał wielki kanciasty kamień, który mógł służyć za ołtarz.

– Wygląda to tak, jakby malowidła pojawiły się najpierw – powiedziałam, wchodząc głębiej do pomieszczenia. Pierzchły wszelkie myśli o czających się cieniach. – A napisy później. Widzicie? – Wzięłam lampę od Craiga i podniosłam ją wysoko, by zademonstrować, o co mi chodzi. – Zwróćcie uwagę, jak litery podchodzą do samych figur.

Zostawiwszy ich wgapiionych w ściany, z lampą w górze obeszałam szybko pomieszczenie. Z bliska inskrypcja sprawiała wrażenie, jakby wznosiła się nade mną w obfitości barw, a ja z radością stwierdziłam, że zdjęcie pana Ludwiga ani trochę nie oddawało jej rzeczywistego wyglądu. Dostrzegłam interesujące zmiany gęstości farby i wielkości samych liter, jakby piszący kreślił to wszystko w wielkim pośpiechu, używając wszelkich dostępnych odcieni, i uzupełniał symbole przez dodawanie coraz większych ilości spoiwa – zapewne jajka albo oleju – do takiego stopnia, że gdzieniegdzie symbole stały się niemal niewidoczne.

Ponadto przyglądając się tekstowi z bliska, stwierdziłam, że owszem,

występują w nim podziały na wyrazy. Powodem, dla którego fotografia ich nie wychwyciła, był ich bardzo blady kolor. Trochę przypominały małe żółte gwiazdki wciśnięte między poszczególne symbole; najczęściej występowały pojedynczo, i te uznałam za koniec wyrazu, a obecność dwóch – za koniec zdania.

Byłam tak podekscytowana, że nie mogłam się powstrzymać. Wyciągnęłam rękę, dotknęłam gładkiej zimnej ściany i poczułam mrowienie w koniuszkach palców na myśl, że wrócę tu z zeszytem babci.

Wyjęłam aparat i zaczęłam robić zbliżenia podzielników słów, ale przerwał mi Nick pstryknięciem palców.

– Idziemy, czas do pracy.

Patrzyłam, jak wraz z Craigiem podchodzą do ołtarza pośrodku pomieszczenia i pchają kamień. Dopiero przy trzeciej próbie górna część drgnęła, jakby było to gigantyczne wieko, i wspólnym wysiłkiem obrócili je o dziewięćdziesiąt stopni. Okazało się, że wielki kamienny blok jest w środku pusty.

– Idziemy się przywitać – ponaglił mnie Craig, machając, bym podeszła bliżej.

Wyciągnęłam szyję, by zajrzeć do środka.

– To sarkofag? Zwykle... nie zajmuję się sarkofagami.

Nick wyprostował się i otrzepał ręce.

– Nie przewiozłem pani przez pół Sahary, żeby pani tu beczynnienie stała.

Może więc zechce pani podejść tu i powiedzieć nam, co mamy teraz robić.

Poprawiłam maskę i podeszłam do kamiennej trumny, szykując się na widok mumii w bandażach. Ale w środku nie znajdowało się nic straszliwie dramatycznego, tylko zwyczajny zarys szkieletu spoczywającego na stosie pyłu.

– O Boże – powiedziałam i zaraz zrobiło mi się przykro, że nie zdobyłam się na komentarz wyrażający więcej szacunku. – Niewiele tego. Żadnych osobistych skarbów, żadnych ofiar dla bóstw zaświatów...

– Właściwie... – zaczął Craig, ale Nick uciszył go spojrzeniem.

– Może uprzedzili nas starożytni złodzieje grobów? – zasugerowałam.

– Nie sądzę. – Craig wskazał wewnątrz sarkofagu. – Widzi pani bransoletę?

Nie zostawiliby jej. Ale co więcej... Nie widzi pani nic nadzwyczajnego? – Ponieważ nie odpowiedziałam, wskazał raz jeszcze. – Proszę popatrzeć. Nie

ma głowy.

– Niesamowite – wyszeptałam, ale mój wstrząs mniej dotyczył braku głowy, a bardziej bransolety, którą zmarła nosiła na prawym ramieniu, tuż nad nadgarstkiem, i która tam ciągle była, częściowo zakryta pyłem. Kształt miała charakterystyczny, ale to przecież niemożliwe...

– Więc... – powiedział Nick, zdejmując czołówkę. – Czego pani potrzebuje?

– Potrzebuje? – Cofnęłam się od sarkofagu. – W zasadzie niczego. Tylko czasu. – Skinieniem głowy wskazałam ściany. – Odczytanie tego trochę potrwa.

– Ściany są nieważne – odparł Nick. – Sarkofag został otwarty w zeszłym tygodniu. Trzeba zabezpieczyć szczątki.

– Obawiam się, że w tym nie mogę wam pomóc – powiedziałam, świadoma, że Craig śledzi naszą wymianę zdań z rosnącym niepokojem. – Nie jestem archeologiem.

– Słucham? – Nick spojrzał na mnie groźnie. – Kazałem Johnowi przywieźć archeologa...

– Przepraszam bardzo – przerwałam, zdecydowana ratować twarz – ale pan Ludwig wyraźnie powiedział, że potrzebujecie filologa... kogoś, kto umie odczytać te inskrypcje. – Zamaszystym ruchem wskazałam tekst wołający do nas z każdej ściany. – Nie chciałabym sprawić wrażenia nieskromnej, zapewniam, ale jeśli chcecie wiedzieć, co tu jest napisane...

Nick podniósł dłoń, mrużąc oczy, jakbym nagle zaczęła emanować jasnym, oślepiającym światłem.

– W porządku. Nie jest pani archeologiem. Przyjechała tu pani z powodu inskrypcji. Świetnie. Ile zajmie odczytanie ich?

Wzruszyłam ramionami i rozejrzałam się.

– Trudno powiedzieć. Może to potrwać kilka dni... albo kilka tygodni. Albo i lat. Wszystko zależy... – urwałam. Nie mogłam im powiedzieć, że wszystko zależy od dokładności zeszytu babci.

– Lat? – Nick wpatrywał się we mnie z dziwnym wyrazem oczu.

Uśmiechnęłam się uspokajająco.

– No cóż, w doskonałym świecie...

– Nie – mówił spokojnie, jakby do siebie. – To się nie uda. Wiedziałem.

Odstawimy panią do bazy. Natychmiast.

Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że zaraz zostanę pozbawiona

swojej przygody. Chwyciłam go za rękaw.

– Ale wy mnie potrzebujecie! Jestem specjalistką od Amazonek...

Nick spojrział groźnie na moją rękę.

– Od czego?!

– Od Amazonek – wydukałam. – Z mitologii greckiej. Myślałam...

Zapadła krótka, ale niemiła cisza. A potem on po prostu pokręcił głową, odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ 12

ŚWIĄTYNIA BOGINI KSIĘŻYCA

Myryna się uśmiechnęła, ale nikt tego uśmiechu nie odwzajemnił.

Siedziały już przy długich stołach w jadalni, pochylone nad nakryciami w zażyłych gromadkach – prawie czterdzieści odzianych w biel kapłanek powitało milczeniem dwie nowe siostry.

Myryny to nie zaskoczyło. Widziała w ich oczach, że nadal uważają ją za brutalnego intruza, który ledwie parę godzin temu przeżył próbę wężowej studni, a Lilli za jakieś pośrednie stworzenie, które ślepotą uczyniła też głuchym i niemym. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Najwyższa Kapłanka tak bardzo je wszystkie zawstydziła. Jeśli chciała rozbudzić niechęć do nowo przybyłych, nie mogła wybrać lepszego sposobu.

Walcząc ze swoją frustracją, Myryna napomniwała się, że ta świątynia, to siostrzeństwo, to najlepsza szansa dla Lilli na przeżycie w ginącym świecie i że tylko Bogini Księżycy ma moc przywrócenia jej wzroku. „Matka chciałaby, żebym właśnie to zrobiła” – powiedziała sobie, gdy eunuchowie odkładali jej broń myśliwską, by odprowadzić ją oraz Lilli do wielkiej podziemnej łaźni. Tam przekazali je w ręce wiedźmy o kamiennej twarzy, a ona zgoliła ich zniszczone włosy, wrzuciła ich ubrania do ognia i wyszorowała je całe mydłem i olejem, aż skóra je szczypała. Dla Myryny ta gehenna była szczególnie bolesna; kobieta szarpała jej posiniaczone członki bez śladu współczucia. Wręcz wydawała się ucieszona, że Myryna się krzywi i jęczy, gdy gruntownie czyściła mydłem jej wielką ranę po ugryzieniu, a potem bandażowała jak najciaśniej. „Bezpieczeństwo Lilli jest ważniejsze od wolności” – napominała się dziewczyna raz za razem. „Dla jej dobra zniosę i to”.

Naga i drżąca, Lilli próbowała się schować za siostrą, ale nie było ucieczki

przed gryzącymi konopnymi szatami i szpiczastymi czapeczkami, które naznaczały je jako sługi Bogini.

– Ale pięknie wyglądasz! – powiedziała Myrina, biorąc siostrę w objęcia. – Jeszcze nigdy nie widziałam cię tak czystej.

– Wolałabym być oblepiona błotem – burknęła dziewczynka, pocierając oczy wściekłymi pięściami. – I wędrować z tobą po pustkowiach.

Obie jednak wiedziały, że pustkowia to nie miejsce dla Lilli. Nawet przed chorobą, kiedy jeszcze widziała, wołała wygodę osady niż samotną wędrówkę.

Myrina, owszem, nauczyła ją polować, ale Lilli znajdowała radość w zajęciach związanych z gospodarstwem, które Myrinie z kolei wydawały się nużące: sianie ziarna, dogłądanie pędów i karmienie drobiu. Nieskończona rutyna, wymagająca akurat tej cierpliwości, której Myrina nie miała za grosz.

Ich matka zawsze mawiała, że każda z jej trzech córek odziedziczyła ręce po swoim ojcu. „Tamte – zauważyła kiedyś, wskazując ich starszą siostrę Lanę, gdy wszystkie siedziały przy ogniu, łuskając fasolę – to ręce, które opowiadają wielkie historie. Ręce, które naiwną dziewczynę nakłonią do wszystkiego, do złamania wszystkich reguł”. Skrzywiła się na wspomnienie pierwszej miłości, której imienia nigdy nie chciała zdradzić, a która podobno mieszkała w wielkim mieście nad morzem. „A te – zwróciła się do Myriny, drugiej w kolejności – te lubują się w niebezpieczeństwie, i zapamiętaj moje słowa, będą go szukać w najdalszym zakątku świata”.

Wszystkie dziewczęta siedziały dokoła, uczestnicząc w tęsknym milczeniu matki, aż Lilli wyciągnęła swoje dłonie pobrudzone ziemią.

– A moje ręce, mamó?

– Twoje ręce – powiedziała matka, całując po kolei wszystkie paluszki – opowiadają cudowne opowieści o uroczym mężczyźnie. – Zamilkła na chwilę, walcząc z naporem smutku. – To ręce stworzone do karmienia i ochrony. Ale nie mogą się zmierzyć z dzikimi zwierzętami polującymi na stado. Więc ty, kochana moja – przyciągnęła do siebie najmłodszą córkę – lepiej zostań w pobliżu ognia, tam, gdzie lwy boją się podejść.

Szlakiem jaskrawych płatków kwiatowych Myrina i Lilli podążyły z upokorzających obrządków w łaźni do inicjacji w sanktuarium. Widok kamiennej podłogi usianej wesołymi barwami niewątpliwie miał je

uradować, ale Myrinie skojarzył się ze ścieżką ziarna prowadzącą do sideł.

Przez całą ceremonię trwała w stanie oszołomienia i zaprzeczenia. Nawet po ich przysiędze, gdy Najwyższa Kapłanka wzięła z ołtarza straszliwy nóż ofiarny i zrobiła głębokie cięcie na jej i Lilli piersi, by upuścić krwi do złoconej misy ofiarnej, Myrina prawie nie czuła bólu. Albo może tak się skupiła na reakcji Lilli, że własnej nie zauważyła. Dziewczynka jednak była dzielna, i gdy tak stały razem, trzymając się za ręce, Myrina poczuła wielki podziw dla siostry.

– Radujcie się! – zawołała Najwyższa Kapłanka, gdy założyły na nadgarstki święte bransolety Bogini Księżycy, takie same jak bransoleta ich matki. – Wasza krew połączyła się z naszą krwią i teraz jesteście jednymi z nas. Ta obręcz to znak naszego świętego siostrzeństwa i dowód waszej przysięgi, że nigdy nie pozwolicie żadnemu mężczyźnie zbrukać waszej czystości. Jeśli ktoś was zaatakuje, ten ostry brąz wspaniale posłuży wam za broń. Ale pamiętajcie: jeśli zdradzicie Boginię albo swoje siostry, ten złoty szakal stanie się waszym wrogiem i same poczujecie jego ugryzienie. Jako że psy myśliwskie Bogini są zawsze wierne; jeśli będziecie posłuszne jej boskim rozkazom, będą chronić was za cenę swego życia; jeśli będziecie nieposłuszne, wytropią was i rozedrą na strzępy.

Taka właśnie przemowa powitała Myrinę i Lilli w świątyni. A jednak gdy stały w progu jadalni, z bransoletami na widoku, napotkały groźne spojrzenia, zupełnie niesiostrzane.

W końcu Myrina postąpiła krok do przodu.

– Chciałabym się dowiedzieć – przemówiła – kto rzucił we mnie kamieniem, gdy stałam na murze ogrodu.

Całkowita cisza.

– Pytam – dodała Myrina, stojąc przed hordą nieufnych oczu – bo to był świetny rzut. Wyrazy uznania.

Po sali przebiegł pomruk. Nagle ktoś krzyknął: – Animone rzuciła tym kamieniem! – I pomruk przeszedł w awanturę.

W jadalni pewnie szybko zaczęto by rzucać jedzeniem, gdyby Myrina nie gwizdnęła głośno.

– A zatem Animone – podsumowała, gdy tylko zapewniła sobie uwagę wszystkich zgromadzonych – to moja pierwsza przyjaciółka! I chcę, żeby poznała Lilli. – Podniosła siostrę, by wszystkie ją zobaczyły. – Najśłodsza

siostrę, jaką w życiu miałyście i będziecie miały. Nic jej nie jest, poza tym, że nie widzi waszych skwaszonych min. A to moim zdaniem błogosławiona strata.

Myrina z przyjemnością odnotowała szok, nawet wstyd, w oczach kapłanek, gdy jej słowa krążyły po pomieszczeniu w wielu językach. Kilka kobiet nadal siedziało z zaciśniętymi ustami i rozmyślnie unikało jej wzroku, ale szybko zostały zagłuszone przez ogólną ekscytację.

Trzy młode kapłanki – Animone, Pitana i Klito – teraz wydawały się chętne do nawiązania przyjaźni.

– Jak przeżyłaś w wężowej studni? – Chciała wiedzieć ta pierwsza, a jej wzrok pobiegł ku bandażowi na ramieniu nowej siostry. – Powiedz nam, jak zabiłaś potwora.

– Zrobię coś lepszego. – Myrina pochyliła się ku nim konspiracyjnie. – Pokażę wam, jak to zrobiłam.

Ukradkowa nocna wyprawa Myriny i jej trzech nowych przyjaciółek do podziemia świątyni ponad wszelką wątpliwość dowiodła, że córki Bogini Księżyca rzeczywiście bardzo potrzebują szkolenia. Nawet ta trójka, która sama chciała z nią iść, cofnęła się w przerażeniu, gdy Myrina wrzuciła linę do studni i kazała im ruszyć na dół.

– Ale tam są węże! – krzyknęła pobudliwa Animone, z obrzydzeniem machając rękoma.

– Jak sądzicie, dlaczego najpierw wrzuciłam tam pochodnie? – Myrina skinieniem głowy wskazała oświetloną grootę, gdzie leżał martwy wielki wąż dusiciel. – Węże boją się ognia. Dalej...

– Nie jestem pewna, czy umiem schodzić po linie – powiedziała Pitana, gamoniowata dziewczyna, wzrostem niemal dorównująca Myrinie, ale zupełnie pozbawiona mięśni. – Mam ręce tak długie, że nie mogą być silne. Może dam radę zejść, ale w życiu nie znajdę siły, żeby wrócić na górę.

– Klito? – Myrina zwróciła się do ostatniej z trzech: pięknej, zdrowo wyglądającej dziewczyny z oczyma pełnymi śmiałości.

Ale nawet Klito nie chciała podjąć wyzwania.

– Będę na ciebie patrzeć z góry – obiecała, kiwając głową z entuzjazmem – i będę cię zachęcać.

Myrina pokręciła głową i zaczęła schodzić po linie, swój dopiero co odzyskany nóż myśliwski wetknął między zęby. Trzy kobiety patrzyły

zafascynowane, gdy ona sprawiała wielkiego węża i zwijała nakrapiane łuski w wielki rulon.

– W życiu nie widziałam nic obrzydliwszego – zauważyła śmiała Klito. – Nie zabieraj tego na górę, proszę.

– Oczyszczę to i wysuszę – odparła Myrina – i zrobię z tego ubranie.

Zobaczycie. A teraz mi to wciągnijcie na górę. Obiecuję, że dam wam po kawałku do noszenia.

– Wiesz co – powiedziała Animone, kręcąc głową – nie jestem pewna, czy chcę być twoją przyjaciółką.

To był dopiero początek.

Nie minął tydzień, a Najwyższa Kapłanka kazała wszystkim zacząć na dziedzińcu treningi z bronią.

– Nasze szkolenie będzie nadzorować Myrina – powiedziała do nich w starym języku, tonem nieznoszącym sprzeciwu – i będzie się odbywać codziennie po śniadaniu. Animone będzie tłumaczyć słowa Myriny tym, które nie rozumieją jej mowy. Zostaniecie podzielone na grupy po sześć osób, bez wyjątków!

Naturalnie nowe ustalenie zostało skwitowane dzikim oporem, gdy tylko Najwyższa Kapłanka odeszła. Po co nagle te bzdurne ćwiczenia z bronią? Dlaczego nie może być tak jak do tej pory? Szczególnie starsze kapłanki nie rozumiały powodu zmiany i szybko stały się mistrzyniami wymówek.

Największym jednak wyzwaniem Myriny okazała się garstka młodych kobiet przyzwyczajonych do dyrygowania. Chociaż nie miały żadnych oficjalnych tytułów zapewniających im więcej władzy niż reszcie, jakoś zdołały przyjąć rolę zwierzchniczek. Dla nich podporządkowanie się naukom przybysza było niewyobrażalne. Jedna z nich, łaniooka wichrzycielka Kara, postawiła sobie za punkt honoru opuścić absolutnie wszystkie treningi – nie unikała dziedzińca, ale udawała, że drzemie na hamaku, doskonale widząc pozostałe siostry.

Pomimo tych trudności Myrina szalenie się cieszyła, że spędza poranki na dworze, robiąc to, co kocha. Już po kilku dniach znużyła się ceremonią wewnątrz świątynnego budynku; nawet liczne wyeksponowane złote i srebrne wota połyskujące tak urzekająco w świetle padającym z tacek szybko straciły swój powab. Co więcej, Najwyższa Kapłanka kazała Lilli zachować milczenie aż do pełni księżyca, aby w ten sposób zjednać sobie względy

Bogini i zasłużyć na wyleczenie ślepoty, i Myrina czuła, że powinna się trzymać z daleka od siostry, by nie kusić jej do rozmowy.

Pamiętając bezlitosny krytycyzm swego ojca, tak często utrudniający jej osiągnięcie celu, Myrina zaczęła treningi od zachęty. Pochwaliła święte siostry za ich umiejętności taneczne oraz zwinne stopy i kazała im codziennie zaczynać od ćwiczeń akrobatycznych, bo wiedziała, że lubią je doskonalić.

Potem, by nie zniechęcić ich do ćwiczeń z bronią, sprawdziła wszystkie ich łuki i pokręciła głową.

– Jak miałybyście coś z tym zrobić? – powiedziała. – Drewno jest za stare, za suche. Musimy zamówić nowe. Tymczasem – zebrała wszystkie siostry dokoła siebie i ściszyła głos: – pobawmy się i udawajmy, że trenujemy.

Tak więc zaczęły od przeciągania liny i podnoszenia wiader wody; dopiero gdy Myrina była pewna, że każda siostra w grupie jest w stanie naciągnąć łuk, zaczęła je szkolić w strzelaniu.

Ale cokolwiek robiła, nieliczna klika Kary pozostawała wroga i utrudniała treningi. Zawieruszały swoje łuki i łamały strzały... wyraźnie zachęcane przez samą Karę, która z hamaka nagradzała je wybuchami śmiechu.

– Nie zajmuj się nią – powiedziała Animone pewnego wieczoru, gdy rozbierała się w dormitorium z Myriną. – Nikt jej nie lubi. Zawsze podkreśla, że jest córką naczelnika, a do twojego przybycia na pewno uważała się za naszą panią.

Obie zerknęły ukradkiem na Karę, która brylowała przy umywalni, rozdając łakocie swoim towarzyszkom.

– Dlaczego miałyby się czuć zagrożona przeze mnie? – spytała Myrina, usiłując się uwolnić od ciągle nieoswojonej sukni kąpielniczki. – Mnie nie kusi bycie czyjąkolwiek panią.

– Bo jesteś wszystkim, czym ona nie jest. Spójrz na siebie! – Animone przesunęła pełną zachwyty dłonią po napiętej skórze Myriny. – Jesteś naprawdę żywa. Prawie jak mężczyzna...

Myrina zaczęła się śmiać, ale bardzo szybko spoważniała.

– Gdybym była mężczyzną, nie trzymaliby mnie tak w zamknięciu. Gdybym była mężczyzną... – przebiegła wzrokiem po dormitorium, gdzie kąpielniczki wciąż trajkotały i gdakały jak kurczaki – nie zachowywałybyśmy się

tak. Prawda? – Spojrzała w oczy Animone, szukając odpowiedzi, ale znalazła tylko podziw.

Czy w domu było tak samo? Myrina nie chciała tak myśleć. O ile w osadzie Tamasz często dochodziło do sprzeczek, na pewno nikt nikogo nie okładał pięściami z powodu zniszczonej szczotki do włosów. Z powodu ukradzionych narzędzi rolniczych, owszem, albo zdradzieckiego kochanka... ale takie spory dla Myriny miały sens, podczas gdy błahe troski kapłanek nie.

Powinnam wszystkie was wyprowadzić z sobą do buszu, pomyślała, rzucając ostatnie, pełne obrzydzenia spojrzenie na Karę i jej łakocie. Nie przetrwałybyście nawet jednego dnia. Nawet gdybym was nauczyła wszystkiego, co umiem, nie wystarczyłoby. Tak by powiedział mój ojciec, gdyby był tu teraz: możesz kota uczesać tak, by miał grzywę, ale nie uczynisz z niego lwa.

Nie trzeba było długo czekać, by jednostronna wojna Kary z nowo przybyłą osiągnęła szczyt w scenie przed Wielką Kapłanką, której znużony wyraz twarzy zdradził Myrinie, że w życiu świątynnym takie błahe spory są na porządku dziennym.

– Ona próbowała powiedzieć tym brudnym ludziom, że ich syn ma zapewnione miejsce w komnatach Bogini! – krzyknęła Kara, oskarżycielskim palcem mierząc w Myrinę. – Chociaż ja im powtarzałam, że ich wota są zbyt żałosne. Ja przestrzegam reguł, a ona – Kara zadygotała na tę myśl – mówi, co chce.

– Wszyscy się bardzo zdenerwowali – poparła ją jedna z powiernic, drobna dziewczyna o imieniu Egee, przesywającym głosem nadrabiając mizerię ciała. – Musiałyśmy wezwać eunuchów. To był niemal bunt.

Najwyższa Kapłanka zwróciła się do Myriny z uniesionymi pytająco brwiami.

– Szczerze – odparła ta, krzyżując ramiona na piersi – nie rozumiem, dlaczego nie możemy tym ludziom mówić tego, co chcą usłyszeć. Skąd mamy wiedzieć, komu pisane życie wieczne, a komu nie? – Przysunęła się o krok w stronę Najwyższej Kapłanki, wierząc w dobroć jej serca. – Oni płakali. To było ich dziecko!

Myrina zagryzła wargę. Chciała, żeby Najwyższa Kapłanka bardziej przypominała jej matkę, dla której miłość pomiędzy rodzicami a dziećmi była świętością. Wciąż pamiętała dzień, gdy grupa wieśniaków zebrała się

potajemnie za gnojowiskiem, by omówić los dziecka, którego rodzice byli uważani za niedoskonałych. „Naszym zdaniem najlepiej będzie – rzekł jeden z nich – zabrać chłopca i wychować go należycie w innym domu”.

Myrina była jeszcze dzieckiem, nie do końca rozumiała dyskusję. Ale na pewno rozumiała, że jej matka rozwścieczona przerwała im, mówiąc: „Jak możecie proponować, że oddzielicie małego chłopca od ludzi, których on kocha najbardziej na świecie? Nawet jeśli teraz waszym zdaniem cierpi, to nic w porównaniu z udręką rozdarcia na strzępy więzi rodzinnych. Idźcie do domu, do swoich spraw, wścibscy sąsiedzi – wytknęła ich gestem, jakby sama ich obecność nappełniała ją obrzydzeniem – i wstyďte się za swoje zbłąkane serca”.

Najwyższa Kapłanka jednak tylko zastukała kłykciami w poręczę swojego tronu i powiedziała: – Nie możemy sobie pozwolić, by kierowała nami litość, Myrino. Wyobraź sobie, gdyby wszyscy mieli żyć wiecznie w komnatach Bogini... ten hałas! To byłoby nie do zniesienia.

– Ale może – ośmieliła się Myrina, pomimo przerażonych min Animone sygnalizującej jej, że powinna przestać – Bogini, w swej boskości, dopilnuje, żeby ci hałaśliwi zostali oddzieleni, na przykład murem, od tych cichych...?

– Dość tego, Myrino! – Najwyższa Kapłanka zerwała się z miejsca. – Wracaj do swoich obowiązków i od teraz przestrzegaj reguł.

Jakich reguł? Myrina rozejrzała się w poszukiwaniu odpowiedzi, ale żadnej nie dostała. Animone skłoniła głowę zakłopotana, a Kara się uśmiechała – triumfalnym, znaczącym uśmiechem, który pozostał na jej twarzy cały wieczór i zabolął Myrinę bardziej niż tydzień pogardliwych spojrzeń.

Tego samego wieczoru przy kolacji Animone wskazała łyżką ścianę jadalni i powiedziała: – To wszystko jest tam. Reguły świątyni. Ktoś powinien ci powiedzieć.

Pewnie zapomnieliśmy. Jesteśmy do nich przyzwyczajone.

– Gdzie? – Myrina wbiła wzrok w ścianę, ale widziała tylko zdobny czarny wzór na kremowym tynku. Co więcej, w głowie się jej jeszcze kręciło od wysiłku ogarniania słów Animone; przy kolacji wszystkie mówiły oficjalnym językiem świątyni, a chociaż samych słów szybko się uczyła, wciąż z trudem rozumiała nawet najprostsze zdania. Sytuację utrudniał fakt, że Lilli wciąż była związana swoim ślubem milczenia; chociaż dziewczynka siedziała na

ławie obok nich, drżąc z wysiłku, by nie przerwać milczenia, nie wiadomo było, ile rozumie.

– Na ścianie! – Wskazała raz jeszcze Animone. – To wszystko jest tam napisane. Co możemy, a czego nam nie wolno. Nie widzisz?

Kolejna kobieta włączyła się do rozmowy. Była od nich starsza, siwiejące włosy miała starannie zaczesane pod czapkę.

– To się nazywa pismo – wyjaśniła Myrinie, patrząc na nią ciepło i szczerze.

– Wszystkie te wzorki na ścianie. – Widząc zmieszanie dziewczyny, kobieta wzięła garść soli i rozsypała ją cienką warstwą na stole. – Kiedy mówimy, używamy ust, by wydawać dźwięki. Kiedy piszemy, używamy rąk do kreślenia symboli. Ale to ta sama idea. Widzisz. – Palcem nakreśliła dwie postaci w soli. – Ja Ky-me. Mogę to powiedzieć, ale mogę to też napisać. Rozumiesz?

– Co to jest Kyme? – spytała Myrina.

Kobieta się roześmiała.

– To ja. Mam na imię Kyme. Mój ojciec był skrybą. Tak się nauczyłam pisać i czytać. Nie powinnam się oczywiście uczyć, ale miałam wielkie uszy. Popatrz. – Kyme starła swoje imię i napisała coś innego, a jej oczy błyszczały z ekscytacji. – My-ri-na.

Myrina wpatrywała się we wzorek zafascynowana. Ale gdy tylko wyciągnęła rękę, by go dotknąć, w pomieszczeniu rozległ się stłumiony okrzyk, a Kyme szybkim ruchem ręki zgarnęła sól.

W drzwiach stał eunuch.

– Jedz! – Nerwowo pochylona nad talerzem Animone trąciła łokciem Myrinę. – To Dais. Nie patrz na niego.

Eunuch powoli obszedł pomieszczenie, przystając na chwilę przy ich stole, najwyraźniej szukając okazji do wymądrzania się. Ponieważ żadnej nie znalazł, dokończył swoją rundę i wyszedł.

– Nie powinnyśmy znać alfabetu – teraz Animone ośmieliła się wyszeptać, gromiąc wzrokiem Kyme, że naraziła je na kłopoty. – Ani marnować soli. Tak mówią reguły.

Myrina oderwała wzrok od ściany i spojrzała na stół, gdzie zostało kilka kryształków soli.

– Reguły mówią, że nie wolno nam przeczytać reguł? – spytała.

Animone wzruszyła ramionami.

– No, i tak wszyscy wiedzą, co reguły mówią.

– Zobacz. – Kyme rozsypała kolejną garść soli, ignorując błagalne szepty dokoła. – Oto, co ja myślę. – Narysowała nowy wzór, tym razem dłuższy, pewnym, przekornym palcem.

– Co tu jest napisane? – spytała Myrina.

Kyme z dumą prześledziła słowa.

– Dais – ma – piersi.

Cała jadalnia parsknęła śmiechem. Jedynie Animone zachowała powagę.

– Mój ojciec był żeglarzem – powiedziała do Myriny, przechodząc na stary język. – Nie marnował czasu na niepoważne gierki. – Ruchem głowy wskazała świątynne reguły na ścianie. – Znam je wszystkie na pamięć, bo często ich wysłuchiwałam. Wszystkie je poznałyśmy w ten sposób. Jakie są korzyści z czytania?

Zgodnie z regułami posiłki podawano punktualnie trzy razy dziennie, i pewne obowiązki trzeba było wykonywać o określonych godzinach. Witac pielgrzymów, odbierać od nich dary, wysłuchiwać ich modlitw... i codziennie w południe zabawiać wszystkich gości – głównie bełkoczących cudzoziemców – śpiewającą procesją w rytm uroczystych uderzeń bębna ze skóry wołowej.

– Co oni wyprawiają? – wyszeptała Lilli, zapominając o ślubie milczenia, gdy po raz pierwszy były z Myriną świadkami tego przedstawienia.

– Odrobina pieśni i tańca – odpowiedziała Myrina szeptem – w zamian za wszystkie dary, jak sądzę.

Ale nie wszyscy pielgrzymi byli zadowoleni z tego bezosobowego widowiska. Niektórzy jawnie się burzyli, gdy okazywało się, że pomimo kosztownych podarków złożonych Bogini Księżycy nie doczekają się natychmiastowych rezultatów. Wielu przybyło z daleka, powierzono im nadzieje i życie całych wiosek, i nie chcieli opuścić świątyni, dopóki na własne oczy nie zobaczą Bogini.

– Wzywasz eunuchów! – powiedziała Animone, gdy Myrina spytała, jak należy się zachować w takich momentach. – Cokolwiek zrobisz, nigdy nie wpuszczaj obcych do sanktuarium. Oni nie rozumieją.

Myrina tylko kiwnęła głową, tak jak należy. Ona także nie rozumiała. Po ich inicjacji pierwszego dnia próbowała opisać siostrze Boginię Księżycy, ale

stwierdziła, że tylko używa pięknych słów.

– Wygląda jak kobieta, ale nią nie jest – wyjaśniła wtedy. – Jest o wiele wyższa od prawdziwego człowieka i całkiem czarna, oprócz białek oczu. Można powiedzieć, że się uśmiecha. Takim tajemniczym uśmiechem.

Ale w głębi duszy, tam gdzie nosiła nadzieję na to, że Lilli odzyska wzrok, Myrina czuła prawdę, twardą jak pestka owocu. Tak daleką drogę przeszły, by poznać Boginię Księżycy, a ona nawet nie była żywą istotą. Była wykuta z kamienia.

I o ile Myrina się nie myliła, to ta nieporuszona kamienna bogini nie większe miała szanse odpowiedzieć na ich błagania niż święty gład u nich w domu czy węże w rzece. Jakkolwiek smutne opowieści przedstawiali pielgrzymi i cokolwiek składali w ofierze, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, susza się nie kończyła i rzeki nie wracały. Ani też Lilli, pomimo swoich milczących błagań, nie odzyskiwała wzroku.

A Bogini Księżycy, stojąca wysoko na swoim piedestale, wciąż się uśmiechała.

ROZDZIAŁ 13

*Bacz jednak na to, że Ares niekiedy Wstąpi w niewiaścę...*⁶

SOFOKLES, *Elektra*

ALGERIA

Rebecca miała kiedyś bizona fryzyjskiego, który wabił się Spencer.

Odbyłyśmy z tym pieskiem setki spacerów i całymi godzinami wybierałyśmy mu rzepy z sierści na brzuchu. Raz nawet zabrałyśmy go do babci w nadziei, że swawolny Spencer ją rozbawi. Jej reakcja jak zawsze była gwałtowna.

– To nie pies! – krzyknęła, gromiąc wzrokiem swojego czteronożnego gościa. – Spójrzcie tylko na niego! Zapomniał, że powinien być wilkiem. Myśli, że świat jest puszysty i pełen ciasteczek. Musicie go chronić, żeby nikt go nie zjadł.

Rebecca zmarkotniała, bałam się, że wybuchnie płaczem – czego moja babcia nie znosiła.

– Jak? – spytałam, stając pomiędzy nimi. – Łukami i strzałami?

Babcia zaczęła chodzić w tę i z powrotem, tak jak zawsze przy omawianiu strategii.

– Łuki – przypomniała mi – są bronią dalekosiężną. Świetną dla wprawnego łuczника i wobec przeciwnika niespodziewającego się ataku. Ale wy nie jesteście wprawne, a wasz przeciwnik będzie szybki i nieprzewidywalny.

Zerknęłam na Rebecę i po jej szeroko otwartych oczach z ulgą stwierdziłam, że jej cierpienie przechodzi w fascynację.

– No to może nożem?

– Nóż – podjęła babcia, a mina jej sugerowała, że jest jak zawsze zła na

mnie, że nie pamiętam rzeczy, które już tyle razy mi mówiła – to broń na małą odległość. I tylko dla kogoś o silnym ramieniu i nieustraszonym sercu. Ja bym zalecała, żebyście nigdy nie wyprowadzały tego futrzaka – zerknęła na Spencera – bez kija w rękę. Dobrego, solidnego kija, długości mniej więcej twojej nogi i ostrego na końcu. – Patrzyła na nas z wielką powagą. – Uzbrojenie to nie przywilej, moje małe. To powinność.

Rebecca nigdy nie potraktowała poważnie porady babci. Ilekroć ja jej towarzyszyłam na spacerze, wznosiła oczy do nieba, że przynoszę kij. Ale pewnego dnia, gdy myszkowałyśmy po lesie ze Spencerem, nagle usłyszałyśmy, że gdzieś w pobliżu krzyczą ludzie. W tych głosach była tak nieprawdopodobna desperacja, że stanęłyśmy i czekałyśmy.

I nagle zobaczyłyśmy: niewielki rudawobrazowy zwierz biegł na nas jak strzała, przelatując nad kamieniami i leżącymi gałęziami, ledwie dotykając łapami ziemi. Pies? Bardziej wyglądał na wściekłego lisa.

Z początku wszystko się toczyło za szybko. Ja tylko stałam, oszołomiona, podczas gdy Rebecca odruchowo schyliła się po Spencera i przytuliła go do piersi.

A ponieważ działała w wielkim pośpiechu, straciła równowagę i przewróciła się, właśnie w chwili, gdy napastnik rzucił się na biały tobołek w jej objęciach.

Gdy okropny warczący kundel przeleciał nad moją przyjaciółką, po czym natychmiast rzucił się do następnej próby, wreszcie zaczęłam myśleć. Usłyszałam, że Rebecca krzyczy, nie mogąc wstać, bo trzyma Spencera tak kurczowo, i zobaczyłam, jak groźny rudawobrazowy stwór znowu szybuje w powietrzu...

Wreszcie sobie przypomniałam, że mam w rękę kij.

Rzuciłam się naprzód i jakoś zdołałam kijem zatrzymać atak, tak że zwierz tylko chwycił Rebeccę zębami, ale jej nie ugryzł. A gdy wściekły kundel nadbiegł ponownie, tym razem bez rozpędu, miałam czas zamachnąć się kijem i uraczyć go doskonałym uderzeniem z bekhendu, aż ze wściekłym skowytym wylądował kawałek dalej na ziemi.

Jak powiedziała mi później Rebecca, miotałam tak nieprawdopodobne przekleństwa, że aż się przestraszyła, że nawiedził mnie jakiś leśny zły duch. A gdy wreszcie pojawili się właściciele psa, krocząc dumnie przez suche liście w swoich nowiuteńkich jesiennych strojach – typowi turyści –

zachowali się tak, jakbyśmy to my stanowiły zagrożenie, a nie ich potworny zwierzak.

– Dość! – krzyknął do mnie mężczyzna. – Natychmiast przestań, bo wezwę policję!

– Właśnie! – warknęłam, gdy krwiożerczego psa tuliła do piersi kochająca mamusia. – Proszę bardzo! Jestem pewna, że posterunkowy Murray z rozkoszą zamieni z państwem kilka słów.

Nic dziwnego, że para wycofała się pospiesznie i zapewne resztę weekendu spędziła, ukrywając się w swoim wynajętym domku. W każdym razie taką miałam nadzieję.

– Och, pani Morgan! Szkoda, że nie widziała pani Diany! – krzyczała Rebecca, gdy po powrocie pobiegłyśmy na górę opowiedzieć babci o zajściu. – Była groźna! Niemal równie groźna jak tamten pies!

Babcia kiwnęła głową ze swojego fotela, z rękoma splecionymi nieruchomo na podołku.

– To dobrze. – Spojrzała na moje ubłocone nogi, na rozerwany zamek i zarumienioną twarz i w jej oczach pojawiła się mroczna satysfakcja. – Bardzo się cieszę, że masz to coś.

Nick powiedział, że mam się spakować i przygotować do wyjazdu po lunchu. Ale ja go nie posłuchałam. Posłusznie zwinęłam pościel na łóżku w mojej małej przyczepie i usiadłam na szczycie stosu z zeszytem babci w rękę, zdjęciem od pana Ludwiga i moim aparatem, zdecydowana zastosować do napisu moją nową wiedzę o gwiazdkowych separatorach.

Tym razem, używając zrobionych rano zdjęć z bliska, szybko rozwikłałam pierwsze zdanie. Brzmiało ono: „Księżyc znak przybycie bestie statki” albo, gdybym miała dokonać przekładu bardziej wolnego: „Księżyc zapowiedział przybycie statków bestialskich ludzi”.

Podwójna gwiazdka po „statkach” sugerowała koniec zdania i początek następnego, które brzmiało prosto: „Kapłanki modlić bogini chronić” – które to oznajmienie nie za bardzo wymagało interpretacji. Najwyraźniej mieliśmy do czynienia z relacją z bieżących wydarzeń, pracowicie wrytą na tynku w czasach prehistorycznych. Jakakolwiek opowieść rozwijała się na ścianie, sam fakt, że mogę ją odczytać, zakrawał na cud. Pal diabli Grigora Reznika i jego *Historię Amazonum...* Odręczny słownik babci przeniósł mnie w całą nową sferę nauki.

Uzbrojona w swój fantastyczny instrument i pospiesznie nałożoną szminkę, nie marnowałam czasu, tylko wypadłam z przyczepy i pobiegłam szukać Nicka. Po naszej głośnej wymianie zdań w świątyni i w trakcie nieprzyjemnej drogi powrotnej do bazy pozostawał absolutnie głuchy na moje argumenty za pozostaniem na miejscu. Z jakiegoś absurdalnego powodu ten człowiek, który wiozł mnie setki kilometrów, teraz był zdecydowany pozbyć się mnie jak najszybciej. Sądziłam, że jeśli zdołam mu pokazać, że już zrobiłam postęp z odczytaniem inskrypcji, pójdzie po rozum do głowy.

Poprzedniego wieczoru Craig wskazał mi kwaterę Nicka. Wyglądało na to, że Fundacja Skolsky uznała za odpowiednie umieszczenie swojego najważniejszego przedstawiciela w środkowym pawilonie w niewielkiej wiosce splewiałych brązowych beduińskich namiotów – takie ustawienie skojarzyło mi się z obrazem, na który wystarczająco często natykałam się w literaturze starożytnej: przedstawiał on obozowisko barbarzyńskiego watażki na obrzeżach cywilizacji.

Gdy brnęłam przez piasek, kilku mężczyzn w chustach na głowie przyglądało mi się z niespokojną ciekawością. Nie do końca pewna protokołu obowiązującego w wypadku wizyt w konstrukcjach z tkaniny, zawahałam się przed płóciennymi drzwiami, które były otwarte, i wsparte na dwóch słupkach tworzyły baldachim. Po kilku sekundach niepewności odchrząknęłam głośno w nadziei, że to wystarczy, by uprzedzić Nicka.

Ponieważ nie doczekałam się żadnej reakcji z głębi namiotu, zajrzałam do środka i zaraz odskoczyłam, porażona nagłym krzykiem. Zdaje się, że rozmawiał przez telefon. Na zmianę perorował i milkł, a chociaż nie miałam pojęcia, o czym jest mowa, odniosłam wrażenie, że Nick jest rugany.

Zdecydowanie nie pierwszy raz w życiu pożałowałam, że nie uczyłam się arabskiego, ale nigdy tak bardzo jak teraz. Bo o ile się nie myliłam, w potoku agresywnej samoobrony Nicka co najmniej trzykrotnie powtórzyło się nazwisko Moselane.

Właśnie kiedy się wycofywałam spod namiotu, uświadomiwszy sobie, że podsłuchuję, Nick wypadł na zewnątrz i niemal mnie przewrócił. I natychmiast zmrużył oczy.

Skręcając się z zakłopotania, podniosłam fotografię od pana Ludwiga.

– Zrobiłam to – wypaliłam. – Pierwsze dwa zdania. Umiem to zrobić!

Nawet nie spoglądając na zdjęcie, Nick chwycił mnie za łokieć i wprowadził do swojego namiotu.

– Usiądź.

Rozejrzałam się po jego kryjówce. Mebli jak na lekarstwo, a otwarty laptop stał bezpośrednio na perskim dywaniku obok talerza z częściowo zjedzoną jajecznicą. Jedynym miejscem do siadania była dość okazała otomana, prawdopodobnie pełniąca też rolę łóżka.

– Właśnie przyszedłam, by przekazać ci dobre wieści – powiedziałam, odwracając się do niego. W panującym w namiocie półmroku widziałam niewiele więcej niż brodę i groźną minę, którą znałam aż za dobrze. Mój zmysł zapachu dopełnił całości obrazu. Nick potrzebował kąpieli, a ostry odór jego ciała przyprawił mnie o zawrót głowy. – Oczywiście jeśli inskrypcja was nie obchodzi, nie ma sprawy, ale jeśli was obchodzi, sugeruję, żebyśmy zaczęli od początku. – Uśmiechnęłam się najbardziej czarująco, jak zdołałam w tych okolicznościach. – Co ty na to?

Odniosłam wrażenie, że Nick przywołuje swoje myśli z odległości wielu kilometrów.

– Złamałaś kod? – odezwał się w końcu, spoglądając na fotografię w mojej ręce. – Szybko. Jak ci się to udało?

Cofnęłam się o pół kroku.

– Jestem filologiem, pamiętasz? Gdybyś był moim pracodawcą, mogłabym ci wyjaśnić technikę. – To zdanie zawiesiłam w powietrzu.

– W porządku – rzekł, krzyżując ramiona na piersi. – Przepraszam.

Przyjrzałam mu się z umiarkowaną wzgardą, podekscytowana, że wreszcie zyskałam przewagę.

– Nie interesują mnie przeprosiny. Interesuje mnie, co robimy dalej. Jakieś sugestie?

W ponurej ciszy, która zapadła po moim pytaniu, miałam wyraźne poczucie, że Nick najchętniej wyjąłby szpicrutę. Nic już nie mówiąc, schyliłam się pod płóciennymi drzwiami i ruszyłam zdenerwowana przez piasek.

Niewiele czasu minęło, nim dogonił mnie i zagroził mi drogę.

– Co powiesz na dziesięć tysięcy dolarów?

– Za co dokładnie? Za rolę twojego worka treningowego?

– Za to, że zostaniesz zgodnie z planem do końca tygodnia?

Zdumiona i trochę podejrzliwa, zasłoniłam się zdjęciem przed słońcem, przyglądając się jego twarzy w poszukiwaniu haczyka.

– Proponujesz mi podwojenie zapłaty?

Nawet w oślepiającym świetle jego oczy były ciemne.

– Tak.

– W porządku, przyjmuję. Ale... dlaczego? – Moja ulga nadeszła z chwilowym opóźnieniem i niemal przyprawiła mnie o zawrót głowy. – Zrobiłabym to za darmo.

Nick odwrócił wzrok, jego twarz na tle pustynnego nieba wydawała się nieprzenikniona.

– Wiem.

Gdy tylko wróciłam do swojej przyczepy, ogarnęła mnie nieodparta potrzeba zadzwonienia do Rebekki. Oczywiście w czasie naszej długiej drogi z Dzerby Nick wyłożył absolutnie jednoznacznie, że nie mogę używać swojego telefonu, ale na skutek jego niedawnego gburowatego zachowania nie za bardzo mnie wypełniało miłe i mgliste poczucie lojalności.

Stwierdziwszy, że mój telefon się wyładował, a wtyczka nie pasuje do gniazdka w ścianie, poszłam do biura spytać Craiga, czy może mi pomóc.

– Nie martw się – powiedział, przyglądając się mojej topornej trójbolcowej brytyjskiej ładowarce – zaraz go nakarmimy. – I po małej improwizacji mój telefon obudził się do życia.

Od wyjazdu z Oksfordu dostałam trzy wiadomości głosowe. Pierwszą zostawił mój ojciec, zachęcający mnie do rozkoszowania się urokami Amsterdamu.

Słyszałam, jak matka krzyczy w tle: „Powiedz, że ją kochamy, bez względu na wszystko!”, nastawiając mikrofalówkę. Zerknąwszy do wnętrza domu, znowu poczułam w gardle aż za dobrze znaną kluskę poczucia winy.

Drugą wiadomość zostawiła Rebecca, która na swój zwykły zdyszany sposób poinformowała mnie, że ma mi do powiedzenia coś absolutnie niesamowitego, ale nie dała choćby cienia wskazówki, co to jest.

Z przejęciem stwierdziłam, że trzecia i ostatnia wiadomość jest od Jamesa, a zostawił ją parę godzin temu. Gdy słuchałam tej wiadomości, moja radość szybko zgasła. „Nie wiem, gdzie jesteś – powiedział głosem, który brzmiał gorzko, nietypowo dla niego – ale powinnaś chyba wiedzieć, że telefon, z którego wczoraj skorzystałaś, jest zarejestrowany na Fundację

Aqrab. Pamiętasz, co ci mówiłem o fanatykach restytucji z Dubaju? No, to są właśnie ci ludzie. – James westchnął, jakby zachowanie spokoju przychodziło mu z trudem. – Nie mam pojęcia, czego oni od ciebie chcą, Morg, ale nie podoba mi się, że z nimi jesteś. Proszę, zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mogła”.

Gdy skończyłam odsłuchiwać wiadomość, ręce mi się trzęsły. Jeśli James miał rację – a oczywiście, że miał – Nick mnie okłamał. Nie pracował dla Fundacji Skolsky, która pewnie w ogóle nie istniała, tylko dla niegodziwego pana al-Aqraba – człowieka, którego nazwisko przyprawiało o dreszcz brytyjskich muzealników.

Kilka miesięcy temu przy kawie James opisał mi szczegółowo Fundację Aqrab i jej bezwzględne metody. Powiedział, że od dziesięciu lat ludzie al-Aqraba nękają brytyjskie muzea, domagając się zwrotu starożytnych artefaktów do krajów, z których pochodzą. Groźby użycia siły czy aktów terrorystycznych wcale nie były poniżej godności pana al-Aqraba. Wyglądało na to, że ten bezwstydnny dubajski miliarder bezgranicznie nienawidzi Brytyjczyków, a zwłaszcza oksfordzkich naukowców.

Stwierdziłam, że wpatruję się nieobecny wzrokiem w Craiga, próbując to wszystko zrozumieć. Miły Szkot najwyraźniej postanowił wykorzystać moją obecność do zmobilizowania się do uprzątnięcia biurka i właśnie przyglądał się pleśni rosnącej w kubku. Do jakiego stopnia on uczestniczył w tym oszustwie?

A przede wszystkim: co ja tu robiłam? Jeśli al-Aqrab rzeczywiście postrzegwał Oksford jako swojego wroga numer jeden, dlaczego przysłał pana Ludwiga, żeby mnie wynajął? Pomimo całej swojej wiedzy nie jestem jedynym filologiem na świecie.

Mignął mi przed oczami zeszyt babci. Ale to był absurd. Byłam pewna, że jej amazonkowe urojenia pozostały dobrze strzeżoną tajemnicą rodzinną.

Miałam szczerzy zamiar natychmiast oddzwonić do Jamesa, z ustronia własnej przyczepy. Nie udało mi się. Gdy tylko wyszłam z biura Craiga, dostrzegłam dwóch mężczyzn stojących na baczność po drugiej stronie piaszczystego dziedzińca. Kilka chwil później Nick dopadł mnie, gdy wchodziłam po schodkach swojej przyczepy.

Wiedziałam, czego chce, gdy tylko wyciągnął rękę. Ale nie podobała mi się sugestia, że za dziesięć tysięcy dolarów kupił sobie prawo tyranizowania

mnie – nie wspominając o okłamywaniu w kwestii tożsamości pracodawcy – więc spojrzałam w szkła jego ciemnych okularów z udawanym zaskoczeniem.

– Czym mogę ci służyć?

– Swoim telefonem – odrzekł, nie bawiąc się w subtelności. – Myślałem, że wyraziłem się jasno...

– Owszem – przerwałam, stawiając śmiały krok na schodek. – I słyszałam cię. Mam rozumieć, że mi nie ufasz?

Strzelił tylko palcami na znak, że ciągle czeka. Od tego gestu moje policzki zaczerwieniły się z wściekłości.

– Co to ma być? Gułag?

– Z jednym wyjątkiem. Możesz w każdej chwili odejść, jeśli chcesz.

Coś w jego tonie powiedziało mi, że sam w głębi duszy chce, bym odeszła.

Choć z pozoru się starał zawrzeć ze mną zgodę, to nie on zaproponował mi dziesięć tysięcy dolarów, żebym została na tydzień. To był ktoś inny. Ale kto? I dlaczego?

Położyłam swój telefon na jego dłoni, okazując tyle godności, na ile zasługiwała ta sytuacja.

– Dziękuję – powiedział, wsuwając aparat do kieszeni. – Wiesz, co jest na dole. Wiesz, dlaczego muszę to zrobić.

– Szczerze mówiąc – wściekłymi palcami zwijałam kabel od ładowarki, by wsadzić ją do swojej kieszeni – jakoś nie mogę zrozumieć, dlaczego twój pan Skolsky – powstrzymałam się od zrobienia sugestywnej miny, wypowiadając fałszywe nazwisko – uważa, że ta świątynia należy do niego.

– Tak właśnie to rozumiesz?

– A jakie inne wnioski miałabym wyciągnąć? – Spojrzałam na niego z całą powagą, jaką zdołałam zmobilizować, ale małe okienko współdziałania, które dopiero co otworzył, znowu było hermetycznie zamknięte.

– Właśnie dlatego – rzekł tylko – muszę ci zabrać telefon.

Późnym wieczorem Craig zabrał mnie na wieczorny spacer pod gwiazdami.

Chociaż słowem o tym nie wspomniał, podejrzewałam, że wie o zajściu z telefonem i próbuje poprawić mi humor.

Gdy tak szliśmy, ogromnie mnie kusilo, by zadać mu pytania o Fundację Aqrab, ale wiedziałam, że popełniłabym błąd, zdradzając im, że znam

prawdę.

Nawet jeśli Craig nie był najęty przez Agrab, należał do ich zespołu. Bo dlaczego by ich zawiadomił – i tylko ich – gdy jego robotnicy znaleźli świątynię?

– Dla jakiej firmy pracujesz? – spytałam ostatecznie, siląc się na ton niezobowiązującej konwersacji. – A Nick? Pracujecie dla tych samych ludzi?

Craig kilka razy zaciągnął się fajką.

– Lepiej spytaj kogoś innego. Ja jestem zwykłym wyrobnikiem. – Gdy dostrzegł moje rozczarowanie, jego uśmiech stał się gorzki. – Słuchaj, nie wiem, co oni ci powiedzieli. Wolę się trzymać od tego z daleka.

– Oto, co mi powiedzieli – odparłam, trochę rozdrażniona jego tchórzostwem. – Powiedzieli mi, że chodzi o Amazonki. Że to miejsce – gwałtownym ruchem ręki wskazałam ukrytą pod ziemią świątynię – w jakiś sposób dowodzi ich istnienia. Ale jak słyszałeś dzisiaj rano, Nick nie dostał tego okólnika.

– Spojrzałam na Craiga z resztkami nadziei. – A ty? Słyszałeś jakkolwiek wzmiankę o Amazonkach? Od kogokolwiek? W ogóle?

Skrępowany wzruszył ramionami.

– Wybacz, dziewczyno. Nie mnie powinnaś pytać.

Szliśmy dalej w milczeniu, aż dotarliśmy do zwykłej stalowej bramy.

Z powodu ciemności dopiero po chwili zrozumiałam, że stoimy przed płotem i że nie jesteśmy sami, bo jacyś inni ludzie opierają się w milczeniu o słupki ogrodzenia.

Craig bez słowa kiwnął głową, a ja zajrzałam na padok i stwierdziłam, że poruszają się tam powoli dwie postaci – czarny koń na linie i mężczyzna ubrany tylko w białe spodnie. Po chwili rozpoznałam w tym mężczyźnie Nicka i chociaż wzbierał we mnie cynizm wobec niego, coś w jego powolnym tańcu w świetle księżyca odebrałam jako niebywale hipnotyzujące.

– Patrz – powiedział bezgłośnie Craig.

Nick ukląkł na piasku. Czarny koń przeszedł kawałek, po czym zbliżył się i w końcu wyciągnął szyję, by oprzeć łeb na jego nagim ramieniu.

Ludzie zebrani przy ogrodzeniu wydali pomruk, a Craig uśmiechnął się do mnie promiennie. Fajka podskakiwała mu z radością w kąciku ust.

– Postawiłem na dziesięć dni. On to zrobił w pięć. Ma to w genach, cholera.

– Co? – spytałam, nie mogąc oderwać oczu od Nicka.

Craig wskazał fajkę, a w jego oczach błyskał skryty uśmiech.

– Konie arabskie są bardzo bystre. Rozgryzają człowieka. Nie złamiesz ich.

Musisz czekać, aż cię zaakceptują. Patrz!

– Cóż... – Odwróciłam się od widowiska, każdą komórką swojego ciała czułam wydarzenia mijającego dnia. – Obawiam się, że na mnie pięć dni nie wystarczy.

Uśmiech Craiga zniknął.

– Jeśli chcesz mojej rady...

– Bardzo!

– Bierz pieniądze, rób, co do ciebie należy, i znikaj. Nie oglądaj się za siebie.

I bez względu na to, co się wydarzy – zajął mi głęboko w oczy, pilnując, bym wysłuchała go uważnie – nie zadzieraj z tymi ludźmi. Nie spodoba im się to.

ROZDZIAŁ 14

ŚWIĄTYNIA BOGINI KSIĘŻYCA

Atak nastąpił nocą.

Pod osłoną zachmurzonego nieba pięć obcych okrętów przepравиło się przez teren wielkich bagien i wdarło na brzeg nieopodal Świątyni Bogini Księżycy.

Gdyby nadpłynęły trzy miesiące wcześniej, nie pokonałyby płytkiej wody. Sukces zawdzięczały szczególnie mokrej porze deszczowej, która chociaż na krótko przywróciła dawną linię brzegową.

Nawet gdy smołowane stępki rozorały piasek, nie zaszczekał żaden pies, nie odezwała się żadna gęś. Wszystkie dźwięki stłumiła ciężka wilgoć powietrza, tak charakterystyczna o tej porze roku, gdy niebo i ziemia wreszcie nasycali się wodą.

W tę zdradziecką mgłę właśnie pięć statków wyrzuciło swój zabójczy ładunek: mężczyzn ze świetną bronią i wypełnionych bestialskim pragnieniem, żądzą podsyconą przez długie tygodnie spędzone na morzu.

Inwazja przebiegała w takiej ciszy, że Myrina nie pojęła zagrożenia, dopóki nie obudził jej mały łokieć wbity w zębra.

– Słyszałaś to? – syknęła Lilli, siadając gwałtownie. – Słuchaj.

Całkowicie niezgodnie z regułami świątyni – ale z sekretnym błogosławieństwem Najwyższej Kapłanki, która cieszyła się z pomysłu, że Myrina będzie trzymała wartę – siostry spędzały większość nocy na dachu. Wolały świeże powietrze niż zamknięte dormitorium. Lilli z początku się wahała, naturalnie obawiając się niebezpiecznej wspinaczki po drabinie ze sznura. Ale gdy tylko się nauczyła, gdzie umieścić ręce i stopy, i skoro Myrina szła tuż za nią, szybko polubiła conocne ucieczki. Bo tu na górze, same na dachu, siostry mogły porozmawiać swobodnie o wydarzeniach

dnia.

Nawet w czasie pory deszczowej dalej tam spały, skulone pod niewielką plandeką i zawinięte w jeden pled. Gdy wytęskniona woda wciąż wzbierała, morze podkradło się w głąb lądu, tak że utworzyło wielkie zielone rozlewiska widoczne z dachu świątyni. Od czasu do czasu wczesnym rankiem Myrina siadała i cieszyła się wschodem słońca nad wodą, próbując opisać Lilli zmieniające się kolory.

Wspominały swoich przyjaciół rybaków i zastanawiały się, czy w taką pogodę mają lepsze połowy.

Ale wzbierające morze ożywiło nie tylko wspomnienia.

Ostatnio Lilli miała koszmary o obcych okrętach i nieraz budziła się z krzykiem, przekonana, że ktoś atakuje świątynię. „To nie sen!” – upierała się, ilekroć Myrina próbowała ją uspokoić. „To wizja. Przestroga”.

Bogini Księżycy w zamian za utracony wzrok dała Lilli dar proroctwa.

W każdym razie tak utrzymywała Najwyższa Kapłanka, odkąd stało się jasne, że dziewczynka nigdy już nie będzie widzieć. Lilli, ślepa na wszystkie rzeczy materialne, widziała przyszłość. A w przyszłości widziała krew.

Gdy zdarzały się te koszmary, Myrina po prostu tuliła siostrę w milczącym uścisku i kołysała ją do snu, tak jak kiedyś robiła ich matka. Lilli zawsze miała żywe sny, a odkąd Myrina pamiętała, dziewczynka budziła się co najmniej co drugą noc, drżąc ze strachu. A zatem nie było wielkim zaskoczeniem dla niej, gdy teraz mała nagle poderwała się, przyklęła i syknęła: – Co to było? Słyszałaś te głosy?

Myrina natychmiast usiadła i rozejrzała się dokoła.

– To pewnie...

Urwała, uciszona dotykiem przerażonej dłoni na swoim ramieniu.

– Mężczyźni. Broń. – Lilli słuchała z natężeniem. – Są tutaj. Czarne okręty.

Cały dzień to czułam.

Wciąż śpiąca, Myrina wstała i mrużąc oczy, wyteęzała wzrok w ciemnościach, i próbowała rozpoznać brzeg morza. Dopiero gdy chmury się rozchyliły, a księżyc na chwilę błysnął ostrzegawczo, zobaczyła ich – zarysy statków wyciągniętych na brzeg i cienie podkradające się w stronę wejścia do świątyni.

– Nie słyszysz tego? – naciskała Lilli, biorąc przerażone milczenie Myriny za niedowierzenie. – To oni!

– Cicho! – Myrina posadziła siostrę, tak by nie było jej widać. – Muszę ostrzec resztę. Zostań tutaj i bądź cicho! Zrozumiałaś?

Gdy tylko przerażona Lilli kiwnęła głową na zgodę, Myrina pomknęła przez dach. Nie było czasu na drabinę. Zeskoczyła na dziedziniec tak jak pierwszego dnia, pół roku temu.

Jakże złowieszczo wyglądał dzisiejszej nocy, spowity cieniami... tym razem to ona poszła po eunuchów, nie tak jak wtedy.

– Wstawać! – krzyknęła, łomocząc do ich zamkniętych okiennic. – Wstawajcie i strzeżcie wejścia!

Gdy minęła wyłożony płytkami basen, ze zdumieniem dostrzegła serię rytmicznych zmarszczeń na wodzie. Przystanęła, wyteżając słuch, aż rozpoznała dalekie uderzenia drewna o drewno, i chociaż nie rozumiała, co wywołało ten dźwięk, pojęła, że oznacza zniszczenie.

Gdy wreszcie dotarła do dormitorium, stwierdziła, że nie ma tam żywego ducha, wszędzie leżały rozrzucone prześcieradła i odzież. Z ulgą uznała, że kapłanki szybko dostrzegły niebezpieczeństwo i zajęły pozycje, i podbiegła do sekretnej skrzyni... tam jęknęła załamana.

Wszystko leżało na miejscu, cała broń, dokładnie tam, gdzie ją odłożyła po ostatnim treningu, cztery dni temu. Gdziekolwiek zniknęły kapłanki, były równie nieuzbrojone i bezbronne jak zawsze.

Chwyciła tyle łuków i strzał, ile zdołała, i szybko ruszyła dalej korytarzem, do głównej świątyni, od czasu do czasu przystając, by poprawić brzemię. Dopiero gdy dotarła do sanktuarium, usłyszała pisk, wrzaski i płaczliwe błagania.

Wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć, i ujrzała Najwyższą Kapłankę za ołtarzem, z ramionami skrzyżowanymi na znak sprzeciwu, otoczoną przez gromadę zawodzących kobiet.

– Co tu się dzieje? – Myrina upuściła swoje brzemię na podłogę. – Szybko chwytajcie za broń!

Na brzęk obróciły się wszystkie głowy, ale nikt się nie ruszył, by wykonać jej polecenie.

– Mówi, że Bogini Księżycy nakazuje jej zostać – krzyczała Pitana, górując nad pozostałymi i z irytacją wymachując długimi ramionami w stronę Najwyższej Kapłanki. – A one jej nie porzucą. Och, Myrino, porozmawiaj z nią, przekonaj ją!

– Nie ma na to czasu! – Myrina przedarła się do ołtarza i chwyciła Najwyższą Kapłankę za rękaw. – Chodź! Musimy zająć pozycje...

– Odejdź! – Najwyższa Kapłanka odepchnęła ręce Myriny i sięgnęła po koronę ofiarną leżącą na ołtarzu, potężny diadem zdobiony aureolą węży z brązu. – Zostanę tutaj. Moim świętym obowiązkiem jest bronić Bogini...

Myrina zgrzytnęła zębami.

– Bogini sama się obroni. Tak nas uczyłaś, pamiętasz? – Chwyciła koronę w niecierpliwe ręce i odłożyła ją na ołtarz. – A teraz chodź! To ty mi kazałaś szkolić wszystkich i przygotować się na najgorsze.

Jej śmiałe zachowanie wywołało wyłącznie opór. Nic już nie mówiąc, Najwyższa Kapłanka ponownie wzięła koronę i włożyła ją sobie na głowę.

Zakołysała się lekko pod jej ciężarem.

Schylając się, by uniknąć sterczących węży, Myrina chwyciła Najwyższą Kapłankę za ręce.

– Dlaczego tak bardzo chcesz nas zatrzymać? – spytała. – Nasza nadzieja umiera z każdym uderzeniem w te drzwi. Nie rozumiesz tego?

Zapadła chwila ciszy, w trakcie której Myrina niemal sobie wmówiła, że Najwyższa Kapłanka zaczyna zdawać sobie sprawę ze swej tragicznej pomyłki, ale odgłos rozłupywanego drewna pozbawił znaczenia wszelkie takie spekulacje.

W mgnieniu oka świątynię zajęły hordy wyjących demonów. Błede, podobne do małą stworzenia o dzikich twarzach, z wyliniętymi brodami skakały na wszystkie strony ze swoimi tarczami i mieczami, szukając ciał do przeszywania i skarbów do zrabowania. Samą swą obecnością budziły takie przerażenie, że Myrina już nie próbowała zbroić siostr, nawet nie ośmieliła się poszukać własnej broni w stosie leżącym na posadzce. Uwięziona w sanktuarium, pozbawiona sił przez strach, mogła już tylko czekać i modlić się.

Przez jakiś czas najeźdźcy byli zajęci bogactwami w głównej świątyni.

Wota, ściągane kolejno ze ścian, trafiały na rosnący stos na kamiennej podłodze.

Nagle wzrok przywódcy padł na otwarte drzwi do sanktuarium i zgromadzone tam przerażone kobiety. Wrzeszcząc jakieś rozkazy w języku zbyt gardłowym, by zdołały go zrozumieć, przedarł się przez zgiełk, kopniakiem odsunął stos łuków i strzał Myriny i stanął na progu świętego

pomieszczenia.

Stał tak przez jakąś chwilę, wpatrując się w nie wszystkie.

Nagle wzrok jego padł na Najwyższą Kapłankę.

– Chodź, błagam! – Myrina raz jeszcze spróbowała ukryć starszą kobietę w anonimowym tłumie, ale ponownie spotkała się z zaciętym oporem.

– Nie! – Najwyższa Kapłanka oparła dłonie na piersi dziewczyny i odepchnęła ją z całej siły. – Zostaw mnie, Myrino, ja tu dowodzę!

Powstrzymywana przez Animone i Pitane, mogła już tylko stać z boku żałośnie, gdy mężczyzna ruszył do przodu, doskoczył do ołtarza i – bez cienia szacunku czy wahania – zamachnął się mieczem na Najwyższą Kapłankę.

Głuchy na krzyki kobiet, podniósł straszliwą odciętą głowę i uniósł ją wysoko, jakby dzierzył trofeum, a sam był zasłużonym zwycięzcą.

Potem nadciągnęli jego kamracy i wdarli się do pomieszczenia niczym robaki. Zanim Myrina zdołała coś zrobić, na jej głowę spadł cios, po którym nastąpiła ciemność.

Kiedy się ocknęła, stwierdziła, że sunie po posadzce głównej świątyni, a jej ciałem wstrząsają drgawki. Ktoś ją ciągnął za włosy, jakby była martwym łupem, ona zaś krzyczała z bólu, gdy oprawca szedł po kamiennych stopniach i dalej przez szczątki opuszczonego miasteczka pielgrzymów.

Zostawił ją na stosie łupów na plaży i tam Myrina leżała jakiś czas, jęcząc, pewna, że ma połamane wszystkie kości. Dokoła w szarej mgle świtu widziała inne kapłanki, w szatach rozdartych i umazanych czerwienią, a ilekroć któraś z nich odzyskiwała przytomność i próbowała usiąść, natychmiast spadało na nią włochate ramię albo skórzany but. Widząc to, Myrina nawet nie próbowała się poruszyć.

Została na miejscu, walcząc z nieprzerwanie płynącą strugą krwi i torsjami, słuchając krzyków ze świątyni.

Lilli.

Modliła się, by jej siostrzyczka pozostała bezpieczna na dachu. Najbardziej na świecie pragnęłaby mieć teraz przy sobie swoją broń. Nóż myśliwski... łuk i kołczan... Ale gdyby je miała, co mogłaby zrobić? Jaki pożytek z jednego łuku przeciwko całej armii zła?

Gdy ciemności żalosnej nocy ustąpiły przed bezlitosnym porannym słońcem, najeźdźcy zaczęli ładować na swoje pięć statków przedmioty, które

uważali za najbardziej wartościowe. W pewnym momencie wybuchła kłótnia pomiędzy przywódcą a pozostałymi, najwyraźniej o to, co zrobić z Boginią Księżycą, którą zdołali zdjąć z postumentu w sanktuarium i zawlec aż na plażę z pomocą sznurów i drągów.

Sądząc z pomruków i zgrzytania zębami, bogini była zniechęcająco ciężka i niewątpliwie naraziłaby na szwank stabilność przewożącego ją statku. Ale przywódca był zdecydowany i na jego rozkaz posąg z trudem zaciągnięto na jego okręt wraz z innymi świętymi przedmiotami, w tym krwawym workiem skrywającym, jak się obawiała Myrina, głowę Najwyższej Kapłanki.

Potem nadszedł moment podziału łupów i ładowania ich na statki. Kiedy już wszyscy najeźdźcy nasycili żądzę posiadania wspaniałych trofeów, pozostałą przestrzeń na pięciu statkach zaczęli wypełniać kobietami. Niektóre kapłanki – a wśród nich piękną Klito – wniesiono na pokład bez wahania; inne obnażono i poddano skrupulatnej ocenie, by niektóre odrzucić z szyderstwem.

Myrina znalazła się wśród odrzuconych. Żeglarze zerknęli na jej krzepkie ciało i niewielkie piersi i wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich zdawał się przedstawiać argumenty za jej młodzieńczą siłą, ale został szybko zakrzyczany.

Gdy tylko ośmieliła się odczołgać, myśląc, że już z nią skończyli, poczuła piekący ból w plecach. Obróciła się, by sprawdzić, co się stało, i zobaczyła, że jeden z najeźdźców wyszarpuje z jej ciała swoją włócznię. Padła na piasek, nie czując przerażenia, lecz tylko dziwną ulgę.

Bogowie podziemia przyjęli ją w swoich ciemnych komnatach, wycięli jej serce i położyli na swojej wadze... ale uznali je za niedoskonałe. Czegoś brakowało. Dopiero kiedy wysłali ją do komnaty prawdy, gdzie szakalogłowe demony rzuciły się na jej ciało, w końcu sobie przypomniała.

Lilli.

Pazurami się wydzierając z pieczar śmierci, Myrina wróciła do światła w górze i ponownie legła na brzegu jeziora, pod nienasyconym słońcem. Gdy wreszcie otworzyła oczy, świat pokrywała złota mgielka, a ona czuła się nieważka.

Wstała i szła w zadziwieniu, nie czując żadnego bólu. Niebo zakręciło się wokół niej raz i dwa, a plaża próbowała ją połknąć, jakby się znalazła w piaskowym kominie w klepsydrze... ale ona była nieustraszona.

Widząc, że jest zupełnie sama na brzegu jeziora, Myrina wróciła do stopni świątyni. Zastanawiała się, czy najazd nie był tylko fantastycznym snem wywołanym udarem słonecznym. Ale gdy tylko weszła do budynku i zobaczyła zniszczenia, zrozumiała, że to wszystko wydarzyło się naprawdę i że z jakiegoś powodu, którego może nigdy nie pojmie, bogowie osłonili ją obronną ręką.

Wszędzie dokoła leżały potłuczone naczynia i podarta odzież i teraz w końcu Myrina poczuła, że złota mgiełka się rozwiewa, że ona odzyskuje zmysły, i zdała sobie sprawę, że w niektóre z tych zakrwawionych szat wciąż obleczone są ciała.

Pełna obaw, sprawdzała, kogo spotkała tak brutalna śmierć. Przerazona, że nikogo nie rozpoznaje, czuła narastającą falę rozpacz i szła dalej.

Ocalone zebrały się w dormitorium, przykucnięte w małych zastraszonych grupkach na podłodze. Myrina nie znalazła wśród nich Lilli.

– Kochana! – Podbiegła do niej Kyme, jej siwiejące włosy zwisały w nieładzie, a twarz miała rozdartą bólem. – Myślałyśmy, że nie żyjesz! Och, jakaż straszliwa rana!

Nagle mnóstwo rąk próbowało ją położyć, ale Myrina je odepchnęła.

– Gdzie jest Lilli? – spytała, czując, jak piaskowy lej wsysa ją coraz głębiej.

– Uspokój się – zachęcała Kyme, przykładając jej do czoła lodowato zimną rękę. – Odpocznij.

Położyła się na posłaniu, czując, jak osuwa się w ciemność. W momencie, gdy pomyślała, że już dłużej nie wytrzyma, do dormitorium weszła Animone.

Myrina nie od razu rozpoznała przyjaciółkę, bo owalny kształt, który pojawił się przed nią we mgle, był tak zniekształcony, tak inne miał barwy, że przypominał nie twarz, lecz melon, który spadł z wozu i gnije na poboczu.

– Popatrz na nas – wymamrotał kształt, pochylając się, by pocałować ją w policzek drżącymi ustami. – Nam dopisało szczęście.

Myrina próbowała coś powiedzieć, ale jej język okazał się zbyt ciężki.

– Ty umrzesz świętą śmiercią – ciągnęła Animone – a ja... – głos się jej załamał, ale zmusiła się, by mówić dalej. – Ja wolę zostać zgwałcona przez bezimiennego zbira niż każdego dnia przez resztę życia być gwałcona przez kogoś, kto nazywa się moim panem. A Bogini Księżycy...

Resztkami sił Myrina chwyciła Animone za ramię, tuż nad bransoletą z

szakalem.

– Gdzie ona jest?

Przyjaciółka prychnęła z odrazą.

– Bogini? A niech ją sobie zatrzymają! Co zrobiła, by nas chronić?

Służyłyśmy jej przez całe swoje życie, dla niej zachowałyśmy czystość. I jak nas nagrodziła? Uciekając z bandą gwałcicieli!

Myrina szarpnęła Animone za ramię i wpatrywała się w nią z gorączkową niecierpliwością.

– Pytam o Lilli! Gdzie ona jest? Zostawiłam ją na dachu...

– Cichutko... – Pojawiła się wysoka Pitana, przygarbiona z niepokoju. – Powinnaś odpocząć. – Poglaskała ją drżącymi palcami. – Jesteś bardzo chora...

– Powiedźcie mi! – zażądała Myrina, wpatrując się w dwie przyjaciółki. – Gdzie ona jest?!

Animone zamknęła oczy i pochyliła głowę.

– Też zniknęła. Podobnie jak Kara. Pomimo całego jej sprytu... naprawdę jej żałuję...

– Zabrali ją? – Myrina próbowała usiąść, ale nie mogła. – Dokąd? Dokąd ją zabrali? Kim były te potwory? Animone, twój ojciec był żeglarzem... musisz coś wiedzieć. Chodź, pomóż mi wstać. Gdzie mój łuk?

– Łuki są dla myśliwych – szepnął ktoś.

– A my kim jesteśmy? – odparowała Myrina. – Ofiarami? – Wreszcie zdołała usiąść. – Ofiara się boi. Wije się. Jest pozerana. – Wpatrywała się w nie wszystkie po kolei, w te udręczone, skonsternowane twarze. – Skąd te przerażone spojrzenia?

Czyż księżyc w pełni nie jest odwiecznym sprzymierzeńcem łowcy?

Myrina zamierzała powiedzieć więcej, o wiele więcej, ale jej siły już dawno się wyczerpały. Z jękiem padła znów na posłanie i tak leżała, nieruchoma jak śmierć, przez dwa dni, a jej siostry się zastanawiały, jaka to nadprzyrodzona siła zachowuje ją przy życiu. I dlaczego.

ROZDZIAŁ 15

*Błądząc przez bezdroża, bory, skalne urwiska dotarłem do siedziby Gorgon.
Po drodze widziałem w polu ludzi i zwierzęta, które Meduza zamieniła w skały^Z*

OWIDIUSZ, *Przemiany*

ALGERIA

Cztery dni zajęła mi praca nad tekstem z sanktuarium. Choć wiedziałam już o gwiazdkowych separatorach, choć wiele nocnych godzin spędziłam, ziewając, na ustawianiu w porządku alfabetycznym słownika babci, nadanie sensu ściennej opowieści i tak okazało się ogromnym wyzwaniem.

W pracy nie pomagał mi fakt, że w tynku widniały niezliczone pęknięcia i uszczerbki, prawdopodobnie spowodowane przez zmiany wilgotności albo ruchy konstrukcji.

W niektórych miejscach poodpadały całe wielkie płyty o postrzępionych, nieregularnych kształtach, a w efekcie brakowało mniej więcej jednej trzeciej napisu.

To, co pozostało, tworzyło niekompletną relację apokaliptycznych wydarzeń i budzącej obrzydzenie przemocy. Zniszczenie, gwałt i mord znaczyły koniec tej starożytnej, nieznannej cywilizacji, i chociaż lista babci nie obejmowała wszystkich słów użytych przez narratora – delikatnie mówiąc – zrozumiałam tyle, by złożyć sobie obraz całości.

Gdy wreszcie dotarłam do końca wielkiej ściany, położyłam się na chwilę na macie, zastanawiając się, gdzie to wszystko wpasować w obraz starożytnego świata, który podobno tak dobrze znałam. Nie miałam wątpliwości co do tego, że świątynia liczy co najmniej trzy tysiące lat i że patrzę na dziedzictwo cywilizacji z epoki brązu, po której nie zostały żadne ślady, a jedynie mity. Pytanie brzmiało: które mity?

Pan Ludwig wyraźnie powiedział, że Fundacja Skolsky znalazła szczątki

Amazonki, a jednak napis nie wspominał o wojowniczkach. Wręcz przeciwnie.

Czy wiedząc, że Fundacja Skolsky to fałszywka, powinnam przyjąć, że powiązanie z Amazonkami też jest nieprawdziwe? Czy to wszystko było po prostu sprytnym zwabieniem mnie w pułapkę?

Jeśli tak, dlaczego ktoś na wysokich szczeblach Fundacji Aqrab zdecydował, że wyśle do Algierii mnie zamiast archeologa, o którego prosił Nick? Ponieważ nie miałam telefonu, nie byłam w stanie wyszukać pana al-Aqraba. Ale pamiętałam, jak James mi mówił, że to jeden z tych typowych łajdackich nuworyszy, którzy mają pole golfowe na dachu i najchętniej wynajęliby cały wycieczkowiec na przyjęcie urodzinowe swojej żony. Musiałam sobie postawić pytanie, dlaczego taki człowiek przejmował się fragmentaryczną opowieścią na prehistorycznej ścianie, nie mówiąc już o rozpoczynaniu takich olbrzymich wykopalisk?

I znowu powróciłam myślami do babci. Czy ona wiedziała o tej zapomnianej cywilizacji? Wydawało się to niemożliwe. A jednak oto trzymałam w ręku jej zeszyt...

Moje spekulacje zakończyły się, gdy do sanktuarium wszedł Craig, z uśmiechem kręcąc głową.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. Daj spokój, doktoro! Jest piątek wieczór, zabijamy tłuste ciele.

Jak się okazało, tłuste ciele przybrało postać kolejnego tajemniczego gulaszu ze stołówki, ale sytuację poprawił fakt, że Craig zaprosił mnie, bym dołączyła do niego i kolegów przy ognisku w miasteczku namiotowym. Nad nami i dokoła nas miriady migających gwiazd czyniły bezkresną czerń wszechświata odrobinę mniej onieśmielającą, a po wielu godzinach spędzonych albo w podziemiu, albo w ciasnej przyczepie, odczując się rozkoszowaną pustynną nocą, nie wspominając o towarzystwie ludzi.

– A teraz, pani doktor – powiedział Craig, okrywając moje ramiona firmowym polarem – proszę nam powiedzieć, co pani znalazła na dole. Kim jest ten bezgłowy czaruś w sarkofagu?

Sądząc po zakłopotanych pomrukach dokoła, niektórzy dopiero teraz dowiedzieli się o szkielecie.

– To nie jest mężczyzna – powiedziałam. – To kobieta. Odcięto jej głowę.

Doszło do napaści. Niewielka flotylla obcych okrętów... – Rozejrzałam się i

zobaczyłam mężczyzn wpatrujących się we mnie z nieskrywaną fascynacją. – Zawsze to samo, prawda? – ciągnęłam. – Grabieże i łupiestwo. Mężczyźni mają skłonność do destrukcji, a kobiety...

Jeszcze gdy to mówiłam, przyszło mi do głowy, że ja, samotna kobieta, siedzę w obozie pełnym mężczyzn, nic mi się nie dzieje, i jem z nimi kolację. Moje praprababcie uznałyby, że to niemożliwe. W świetle długiej historii kobiet ciągnącej się od żalonych wydarzeń opisanych na ścianie do czasów teraźniejszych to moja sytuacja była anomalią.

– Większość kapłanek została zamordowana – ciągnęłam, owijając się ciasno polarem. – Niektóre uprowadzono, pewnie co ładniejsze. Nie jestem do końca pewna, co się stało z resztą żyjących tu ludzi, ale napis sugeruje chyba, że najeźdźcy przed odpłynięciem podłożyli ogień w mieście. – Widząc wyraz twarzy otaczających mnie mężczyzn, pokręciłam głową. – Przykro mi. Niezbyt radosna ta opowieść, prawda?

– A laska w sarkofagu? – przypomniał Craig. – Czym się wyróżniała?

– Wygląda na to, że była to Najwyższa Kapłanka. – Wyciągnęłam z torby laptop i przejrzałam zdjęcia z sanktuarium. – Ziemską przedstawicielka Bogini Księżyca. Którą zresztą też zrabowano. To znaczy posąg. Najwyższa Kapłanka najwyraźniej miała nakrycie głowy z jadowitymi węzami. – Zamilkłam, by zrobić powiększenie fragmentu ściany z obrazkiem przedstawiającym groźną kobietę z węzami wyrastającymi z głowy. – Spójrzcie. – Podniosłam laptop, tak by wszyscy mogli to zobaczyć. – Dość niezwykła, prawda?

Mężczyźni wyciągnęli szyje, by zobaczyć postać na monitorze, więc puściłam laptop dokoła. Gdy dotarł do Craiga, ten zakrzyknął: – Wygląda jak moja teściowa!

Zaczekałam, aż śmiech umilknie, po czym podjęłam: – W mitologii greckiej Perseusz podróżuje na odległy ląd, by zabić węzowowłosego potwora, Meduzę. Ale nie tylko ją zabija. Odcina jej głowę i zabiera ją ze sobą, używa jej jako broni. Podobno Meduza była tak przerażająco brzydka, że sam widok jej twarzy mógł zamienić człowieka w kamień.

– To naprawdę moja teściowa! – krzyknął Craig.

Kontynuowałam, ignorując chichoty.

– Meduza miała żyć właśnie tutaj, w Afryce Północnej. Według greckiej literatury te regiony były siedzibą wielu różnych... no, głównie potworów.

– I dokąd Perseusz ją zabrał? – chciał wiedzieć Craig. – Tę głowę?

– Trochę ją powoził – odparłam. – Zresztą to dość przydatny przedmiot. Kto by nie chciał od czasu do czasu pozamieniać bliźnich w kamień? Naprawdę interesujące jest jednak to, że ta wężowowłosa głowa wylądowała jako przerażająca dekoracja na tarczy Ateny. Znacie boginię olimpijską Atenę? Pomogła Odyseuszowi w czasie jego długiej drogi powrotnej z Troi.

Teraz Craig i paru pozostałych kiwnęło głowami na znak, że się orientują.

– Co więcej – ciągnęłam, ośmielona ich wyraźnym zainteresowaniem – grecki filozof Platon twierdził, że sama bogini Atena jest owocem importu z Afryki Północnej. Pewnie taki właśnie był los zrabowanego posągu Bogini Księżyca. – Chwyciłam się dłonią za czoło, by nie umknęła mi ta nić euforycznego olśnienia. – Jeśli została zabrana do starożytnej Grecji i przemianowana na Atenę? To by wyjaśniało, dlaczego nosiła na tarczy głowę Meduzy i dlaczego Homer i Hezjod mówili o niej Tritogeneja. Nie rozumiecie? Przybyli do Grecji w tym samym czasie: bogini Atena i jej tajna broń, jedyne dwie ocalałe ze wspaniałej zaginionej cywilizacji znad jeziora Tritonis. To wszystko się idealnie składa!

– Nikt inny nie ocalał?

Podskoczyłam na dźwięk głosu Nicka. Od kilku dni go tutaj nie było, uznałam, że wybrał się na poszukiwania archeologa, który mnie zastąpi. A teraz patrzył na mnie przez drżące płomienie.

– No – odparłam – te uprowadzone można uznać za martwe. Czarne kobiety porwane do świata białych... – Pokręciłam głową.

– Skąd wiesz, że były czarne?

Zawahałam się, zaskoczona jego wyzywającym tonem.

– Jak wiesz, kobiety przedstawione na ścianach świątyni mają barwę brązową, a napis wspomina, że najeźdźcy mieli bladą skórę...

– A te, które nie zostały uprowadzone? Musiał ocaleć ktoś jeszcze. Kto umieścił relację na ścianie?

– Niestety – powiedziałam, zirytowana, że tak przy wszystkich rzuca mi wyzwanie – w tekście jest luka...

– Jaka luka?

Zgromiłam go wzrokiem. Jego pogardliwe zachowanie zdradzało, że cholernie dobrze wie, jaka luka. A luka była wielkim wylotem. Czegoś brakowało. Tak jak on mi nie powiedział, że pracuje dla Fundacji Agrab. Albo

jak mnie nie przeprosił za swoje grubiaństwo. Albo jak mi nie oddał telefonu.

– W ścianie jest dziura – rozłożyłam ramiona – tej wielkości. Ale owszem – uprzejmie skinęłam głową – niektóre kapłanki ocalały. Najwyżej garstka. I jeśli wierzyć tej inskrypcji, wyruszyły na poszukiwanie porwanych przyjaciółek.

Nick podszedł bliżej, w jego oczach odbijały się tańczące płomienie.

– Dokąd się udały?

Zawahałam się. Myślałam, że on tymi pytaniami po prostu się ze mnie natrzęsa. Teraz zrozumiałam, że to nie ma ze mną nic wspólnego.

– Nie wiem – odparłam. – Tej części brakuje.

Rozczarowanie malujące się na jego twarzy było ogromne. Już bez słowa odwrócił się i odszedł, a ja zostałam, by się zastanawiać – znowu – nad motywacją Fundacji Aqrab i celem, dla którego mnie wynajęli.

Kiedy tydzień temu w Oksfordzie podszedł do mnie pan Ludwig, on i fundacja nie mogli mieć pojęcia, że zdołam odczytać napis. Zapłaciliby tysiące dolarów i przewieźliby mnie przez kilka stref klimatycznych na próżno. A do tego, wybierając mnie, teoretycznie powiadomili o odkryciu całej Oksford.

Moja dezorientacja tylko wzrosła, gdy później wróciłam do swojej przyczepy i na łóżku znalazłam swoją komórkę z kartką: „Dzwoń”.

Oczywiście skrzynkę głosową miałam zapchaną nieodsłuchanymi wiadomościami. Moi biedni rodzice byli coraz bardziej skonsternowani moją nieobecnością, Rebecca nie wiedziała, co począć, skoro nie oddzwoniłam, a James – może nie całkiem nieracjonalnie – zaczął się bać, że zostałam porwana przez jakiegoś pustynnego szejka, a on będzie wydzielał rybne confetti do końca roku akademickiego. „A swoją drogą, twoi studenci gadają – podjął, już poważniej. – Stara jędza wie, że uciekłaś. Powinnaś do niej zadzwonić”.

Starą jędzą była moja mentorka Katherine Kent, z którą James i ja zjedliśmy kolację wieczorem przed moim wyjazdem. Miałam nadzieję, że swój wyjazd zachowam w sekrecie przed nią, jako że niewątpliwie nazwie mnie głupcem, że porzuciłam swoje oksfordzkie obowiązki w ferworze trymestru jesiennego, choćby tylko na tydzień.

Szybko sprawdzwszy, która jest godzina, od razu do niej zadzwoniłam.

Tak jak podejrzewałam, nie było jej w gabinecie, więc zostawiłam krótką wiadomość, mniej więcej taką: „Wybacz, że tak zniknęłam, ale naprawdę mam tu coś absolutnie wyjątkowego. Zdecydowanie warto było. Zupełnie nowe pismo, coś niewiarygodnego. Jestem niemal pewna, że rozpracowałam, jak je odczytać. Nie mogę się doczekać, żeby ci to pokazać”.

Skoro to załatwiłam, wróciłam myślami do uwagi Jamesa o pustynnym szejku. Czyżby wiedział, że jestem w Afryce Północnej? Czy tylko poszedł tym tropem, że Fundacja Aqrab ma siedzibę w Dubaju? Najwyraźniej dla Jamesa, który był przecież historykiem, fakt, że zostałam praktycznie porwana przez bandę fanatyków restytucji, czynił sytuację szczególnie niebezpieczną. Jeśli rzeczywiście wojska pana al-Aqraba obległy brytyjskie muzea, to ja w takim razie, można to tak ująć, trafiłam za linie wroga.

Sobota była moim ostatnim dniem pracy w świątyni. Z grubsza skończyłam już odczytywać inskrypcje, i spędziwszy poranek na dopracowywaniu angielskiego zapisu, wróciłam do sanktuarium po południu, by zrobić jeszcze kilka szczegółowych fotografii ścian i pewnie żeby się pożegnać z tym miejscem.

Ani Craigowi, ani Nickowi nie powiedziałam, że wracam do świątyni po lunchu. Sądziли, że z zapalem pakuję walizkę i – jak to ujął Craig – zaplatam złoty warkocz przed powrotem do wieży z kości słoniowej.

Tyle razy już jechałam w tę i z powrotem, że wiedziałam, iż świątynia znajduje się stosunkowo niedaleko od obozu – dotarcie do niej wymaga nie więcej niż pół godziny szybkiego spaceru przez wydmy. A ponieważ mieliśmy wyruszyć do Dzerby już za kilka godzin, bardzo się cieszyłam na myśl o pożegnalnych badaniach w samotności.

Strażnicy w namiocie chyba uznali za nieco dziwne, że wróciłam na stanowisko sama i piechotą. Ale nie płacono im za zadawanie pytań, więc ochoczo opuścili mnie przez rynnę.

Wkrótce reszta świata straciła znaczenie. Oto byłam znowu w świątyni, daleko od gwaru, sama ze swoimi myślami. Zatechłe, zakurzone i ciemne, na pewno trudno było uznać, że to miejsce zapewnia komfort, i fizyczny, i psychiczny, ale cuda ścian w sanktuarium szybko pozwoliły mi zapomnieć o fakcie, że znajduję się pod ziemią, a ze światem w górze łączy mnie tylko dyndająca w powietrzu lina.

Zdążyłam już poznać kobiety na ścianach, i gdy przebywałam tu na dole,

gdy oddychałam tym samym powietrzem co one kiedyś, czułam z nimi jakąś ponadczasową więź. Bez względu na wydarzenia z przeszłości, bez względu na to, co nadejdzie, to ciche miejsce było naszym wspólnym schronieniem i mimowolnie czułam ukłucie żalu, że będę musiała je wkrótce opuścić. Nick przysiągł, że odstawi mnie do Oksfordu najpóźniej w poniedziałek rano, i biorąc pod uwagę to, jak bardzo chciał się mnie pozbyć, wiedziałam, że dotrzyma obietnicy.

Niedługo, myślałam, wędrując w ciszy po sanktuarium, w świątyni zaroi się od archeologów, a media będą się głośno domagały dostępu do sensacyjnego odkrycia. Tymczasem ja w Oksfordzie będę stawać na głowie, by napisać fachowy artykuł o inskrypcji, nie zdradzając, jakim cudem zdołałam przetłumaczyć tajemnicze symbole na angielski.

Wyjęłam aparat i zrobiłam jeszcze kilka zbliżeń malowideł i napisów.

Spiesząc się z odczytaniem pisma, haniebnie mało czasu poświęciłam barwnym obrazom, starszym niż tekst. Większość przedstawiała sceny ofiarne – jedna szczególnie chyba sugerowała, że w ofierze nie zawsze składano zwierzęta. Inne malowidło kojarzyło mi się z mitem o Meduzie: Najwyższa Kapłanka w nakryciu głowy z wijących się węży wyciągała ręce do kobiety w białej szacie, chyba dźgając ją wielkim nożem. Jakikolwiek był to rytuał i jakikolwiek los spotkał ofiary, rozmyślałam, może nie dziwota, że ta węzowowłosa niewiasta przeszła do mitologii jako potwór.

Trzymając lampę w górze, przyjrzałam się uważniej postaci Najwyższej Kapłanki. Tynk był uszkodzony, ale niemal miałam pewność, że poza przerażającym nakryciem głowy kobieta nosi taką samą bransoletę z głową szakala, jaką dojrzałam na ręce szkieletu w sarkofagu... że nie wspomnę o tej na moim ramieniu, ukrytej pod rękawem swetra.

Ale szkielet, kapłanka i ja nie byłyśmy jedynymi kobietami w pomieszczeniu, które łączył szakal z brązu. Przeszedłszy całe sanktuarium, oświetlając latarką ściany, doliczyłam się ośmiu postaci, które nosiły podobne bransolety. Wszystkie były ubrane w białe szaty, i chociaż włosy miały zakryte małymi spiczastymi czapeczkami, ich piersi i szerokie biodra sugerowały, że to kobiety.

Tak jak robiłam już wiele razy wcześniej, zaczęłam się zastanawiać, do jakiego stopnia te kobiety w bieli są powiązane z legendą o Amazonkach.

Pomijając wojownicze czyny, może patrzyłam właśnie na bardziej

kameralne, nawet tajemne elementy ich życia, a mianowicie na rytuały i kultury, które pierwotnie je ze sobą związały, które legły u podstaw świętego siostrzeństwa. Ale z kolei jeśli rzeczywiście tworzyły taką organizację, dlaczego się nie obroniły przed najeźdźcami? Czyżbym patrzyła na ostatnie godziny ginącej cywilizacji Amazonek?

Czy na jej początek?

Wciąż pamiętałam, jak babcia pokazywała mi swoją bransoletę i mówiła, że szakal jest nieśmiertelny. Najwyraźniej pomimo swego bezruchu metalowy pies był żywy i wyjątkowo wybredny co do swoich ludzkich właścicieli. „Nie możesz jej odziedziczyć – wyjaśniła. – Musisz na nią zasłużyć. Dopiero wtedy szakal wybierze ciebie”.

W owym czasie potraktowałam to osobiście, myśląc, że ona mówi konkretnie do mnie, i niejako się obraziłam na sugestię, że nie zasługuję na jej biżuterię. Dobra, nie ma sprawy, pomyślałam sobie, po dziecięcemu, bo i byłam dzieckiem. Kto by chciał być wybrany przez szakala?

Ale prawdę mówiąc, wyglądało na to, że właśnie to się wydarzyło: bransoleta babci wybrała mnie na swojego właściciela. Choćbym nie wiadomo jak próbowała, nie byłam w stanie ściągnąć jej z ręki; nie pomagało ani mydło, ani olej. Oczywiście na widok szkieletu w sarkofagu pomyślałam przede wszystkim o niej; wiedziałam, że muszę mieć pewność, że Nick nie zauważy mojej bransolety, nie może się zastanawiać nad powiązaniem. Nawet w tym całym tutejszym zamęcie wciąż próbowałam ją zdjąć... na próżno.

Wyglądało na to, że to jedno z tych upiornych, niewytłumaczalnych zjawisk: gdy się już bransoletę włożyło, nie było odwrotu. Albo może upał na pustyni spowodował u mnie obrzęki. I znowu, tu na dole, w świątyni zawsze było zimno, ale najwyraźniej niczego to nie zmieniało. Pod wpływem kaprysu włożyłam bransoletę i teraz byłam na nią skazana.

Czy to samo przydarzyło się babci?

Jeśli należała do zespołu archeologów w swojej zapomnianej młodości i pracowała nad odczytaniem nieznanego języka, można było sobie wyobrazić, że przyswoiła niektóre rytuały starożytnej kultury, w której odkryciu wzięła udział.

Może w ramach dowcipu przywdziała świeżo wykopaną bransoletę i też się przekonała, że nie może jej zdjąć. Albo może nie chciała.

Podeszłam do sarkofagu, postawiłam lampę na podłodze i raz jeszcze próbowałam ruszyć kamienną pokrywę. Ale oczywiście nic nie wskórałam. Nawet Nick nie był w stanie jej ruszyć.

Tyle samotnych godzin spędziłam w tym pomieszczeniu przez ostatnie dni...

tak blisko szkieletu, ale nie byłam w stanie potwierdzić, że bransoleta na jego ręce jest dokładnie taka sama jak moja. A teraz wyjeżdżałam...

Moje rozważania przerwał dziwny cichy odgłos, jakby drapania. Przez chwilę stałam nieruchomo, próbując rozeznaczyć się, skąd pochodzi dźwięk, ale na próżno...

Wszystkie włoski na moich rękach, jeden po drugim, wstały z przerażenia.

Od pierwszej wizyty w świątyni sześć dni temu bałam się, że to wszystko zwali mi się na głowę. Ale dźwięk, który teraz słyszałam, nie przypominał odgłosu zapadania się cegieł. Raczej był to odgłos organiczny, jakby ktoś gdzieś ciągnął po posadzce ciężki worek.

Gdy tak stałam, słuchając w skupieniu, niemal sobie wmówiłam, że słyszę również głosy. Nie głębokie, stanowcze głosy Craiga czy Nicka, ale słabe, widmowe szepty, które wiły się wokół mnie, aż ledwie mogłam oddychać.

Zbyt przerażona, żeby pozostać na miejscu, uwięziona w sanktuarium, przemknęłam do głównej świątyni – raptem kilka niepewnych kroków. Nigdy nie czułam się dobrze w tym ogromnym pomieszczeniu, wypełnionym urazą i echem, i zawsze się trzymałam z dala od czarnego kwadratowego otworu w podłodze, który – zgodnie z tym, co mówił Craig – prowadził w nieznaną.

Omiatając światłem latarki przestrzeń wokół siebie, próbowałam zdecydować, czy naprawdę jestem sama. Ale zobaczyłam tylko nieskończone rzędy kolumn i cieni bawiących się z promieniem latarki w chowanym.

Zawołałam niespokojnie w ciemności. Bez odpowiedzi.

Od chwili gdy weszłam tu po raz pierwszy, monumentalna świątynia nappełniała mnie przerażeniem. A ilekroć wracałam do pracy nad napisem, zawsze spieszyłam do sanktuarium, gdzie czułam się stosunkowo swobodnie. Można by odnieść wrażenie, że ludzie, którzy tu kiedyś żyli i umierali, zostawili wykrzywione, demoniczne ślady w powietrzu dokoła – wizerunki czekające, by skoczyć na mnie, gdy tylko stracę czujność. Żadna

liczba wizyt nie zmniejszała mojego dyskomfortu wywołanego tą zimną kimeryjską pustką, która skrywała tyle tajemnic. A teraz, gdy powoli szłam wielką galerią z podniesionym kołnierzem, ścigając nieokreślone dźwięki, przerażenie tak mnie zmroziło, że musiałam zaciskać usta, by nie szczekać zębami.

Z rozpędu wyprawiłam się dalej niż kiedykolwiek, daleko za otwór z liną, przez całą nawę świątyni. Craig mówił, że na drugim końcu znajdują się wielkie dwuskrzydłowe drzwi, prawdopodobnie pierwotne wejście do budynku, ale jeszcze ich nie widziałam.

Pomimo wszystkich zamasztych gestów Craig nie oddał drzwiom sprawiedliwości. Były tak wielkie, że dałoby się przejechać przez nie na wielbłądzie, i w porównaniu z nimi wszystko dokoła mnie wydawało się małe – włącznie z moją domniemaną wiedzą o wiekach minionych. Jakiego rodzaju świat istniał kiedyś za tymi drzwiami? Czy zamieszkiwali go ludzie tacy jak ja, czy może silniejsza, zdolniejsza rasa? Nie miałam pojęcia.

Gdy tak stałam, znowu wstrząśnięta umiejętnościami inżynierskimi tej zaginionej cywilizacji, przyszło mi do głowy, że z drzwiami jest coś nie tak. Nie chodziło o to, że najwyraźniej zostały zniszczone, a potem naprawione, ale że zostały zablokowane wielką belką.

Zaryglowane od środka.

Ktokolwiek to zrobił tysiące lat temu, najwyraźniej dokonał wyboru, że pozostanie wewnątrz świątyni, by strzec jej tajemnic. Czy był to jakiś wielki gest samobójczy dla dobra bransoletowego siostrzeństwa? Czy też może ze świątyni prowadzi inna droga, o której nie wiem?

Craig mówił, że podziemie to labirynt grot i że nie zdołał przekonać swoich ludzi, by którąkolwiek z nich spenetrowali do końca. To miejsce odstraszało nawet twardzieli od wierceń. Mimowolnie zaczęłam się zastanawiać, co takiego znaleźli na dole.

Czy to stamtąd dochodziły te dźwięki? Z podziemia świątyni?

I znowu nasłuchiwałam z uwagą.

Aż nagle usłyszałam kroki. Tuż za sobą.

Obróciłam się z wrzaskiem, podniosłam latarkę, gotowa zdzielić intruza w łeb.

– To ja! – warknął Nick, chwytając mnie w pasie. – Co ty tu robisz?

– Usłyszałam coś... – zaczęłam drżącym głosem.

– Chodź! – Wziął latarkę i ruszył do rynny, ciągnąc mnie za sobą. – Czas na nas.

Mój strach przerodził się w irytację.

– Muszę wrócić po kurtkę.

Biegając w ciemnościach, miałam za drogowskaz jedynie słaby blask lampy, którą zostawiłam w sanktuarium. Za sobą słyszałam krzyki Nicka, który próbował mnie zatrzymać; ton jego głosu stawał się coraz bardziej nieuprzejmy. W kieszeni kurtki był zeszyt babci, a na tym zeszycie zależało mi bardziej niż na pozytywnej ocenie Nicka.

Gdy wreszcie dotarłam do sanktuarium, wszystko było dokładnie tak jak wcześniej. Oprócz...

– Diana! – Nick mnie dogonił. – Nie mamy czasu...

– To dziwne. – Podniosłam kurtkę i sprawdziłam, czy zeszyt jest na miejscu, a jednocześnie rozglądałam się po pomieszczeniu. – Coś tu się stało...

– Chodź! – Nick próbował zabrać mi zeszyt. – Idziemy.

– Czeka! – Nagle poczułam, jak cała tężeję. – Patrz! – Wskazałam sarkofag.

– Jest otwarty! Ktoś go otworzył!

Nick nawet nie spojrzał. Z zaniepokojeniem malującym się na twarzy chwycił mnie tylko za ramię i pociągnął.

Gdy wybiegaliśmy z sanktuarium, usłyszałam przerażający dźwięk, który mój mózg przetworzył dopiero po kilku zapierających dech sekundach. Był to odgłos stłumionego wybuchu, gdzieś niedaleko, i zapadających się cegieł.

ROZDZIAŁ 16

*Niczym samotna jest niewiasta, nie wspiera jej Ares...*⁸

AJSCHYLOS, *Błagalnice*

Gdy tylko dotarliśmy do wylotu rynny, Nick chwycił linę i pokazał mi, jak zaczepić karabińczyk, który już doskonale znałam ze swoich poprzednich wertykalnych podróży.

– Za chwilę przyczepisz to do swojej uprząży – powiedział. – Ja będę na górze – te słowa poparł gestem – i wyciągnę cię. Rozumiesz?

Poczułam kolejny irytujący przyływ paniki.

– Dlaczego strażnicy nie mogą...?

– Nie ma strażników. – Nick ściągnął swoją workowatą koszulę i zerknął w górę z obawą. – A teraz daj mi chwilę.

Dopiero gdy wytarł dłonie o spodnie, zdałam sobie sprawę, że zamierza wspiąć się po linie, zostawiając mnie na dole.

– Zaczekaj! – krzyknęłam. Mój strach rósł. – Co się dzieje? Dlaczego nie ma strażników?

Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął mną trochę.

– Nic ci nie będzie. Obiecuję. Tylko oddychaj.

Po jego słowach nastąpił daleki grzmot i widziałam w jego oczach, że ten odgłos jego też wytracił z równowagi. Już nie próbując mnie uspokajać, zaczął się wspinać. Na linie nie było węzłów ułatwiających zadanie. Dysponował jedynie siłą swoich dłoni i ramion; wspierał się też na stopach, wokół których owijał linę.

Nigdy w życiu nie czułam się tak porzucona jak w chwili, gdy zniknął w stalowej rurze. Drżącymi palcami przypinając do uprząży karabińczyk, rozejrzałam się w ciemnościach. Czułam wyraźnie, że niebezpieczeństwo jest coraz bliżej, że nadciąga ze wszystkich stron. Bo za każdym razem, gdy

zgodnie z instrukcją brałam oddech, wydawało mi się, że kolejna fala gruzu spada gdzieś pode mną albo po drugiej stronie ściany... trudno było określić źródło hałasu.

Równie niepokojący był słaby, ale przybierający na sile warkot, który sprawiał, że pod moimi stopami drżała posadzka. Czując rosnącą panikę, niemal sobie wyobrażałam, że jakiś prehistoryczny potwór rozgniewał się gdzieś w pieczarach pod tym kolosalnym budynkiem i że ta przerażająca bestia zmierza teraz ku mnie, stawiając ciężkie kroki.

Gdy wreszcie poczułam silne szarpnięcie liny przymocowanej do mojej uprzęży, podciągające mnie gwałtownie w powietrze na jakieś pół metra, krzyknęłam z ulgą. Najwyraźniej Nick wydostał się na powierzchnię i teraz robił wszystko co w jego mocy, by mnie wyciągnąć.

Już wisiałam w powietrzu, gdy nastąpił kolejny wybuch, tym razem bliżej.

Odruchowo zasłoniłam twarz, gdy w moje ciało uderzyła fala ostrego piasku.

Ośmieliłam się na powrót otworzyć oczy, ale zobaczyłam tylko pył i ciemność. Oddychając przez zwiniętą kurtkę, próbowałam rozpoznać słaby blask lampy, którą zostawiłam w sanktuarium, ale zniknął. Nie widziałam też pokrzepiającego punktu dziennego światła na końcu rynny, hen, w górze.

Rozpaczliwie pragnąc przyspieszyć ucieczkę z zapadającej się świątyni, chwyciłam linę i próbowałam się podciągnąć, ale oczywiście nie dałam rady.

Osiągnęłam tylko tyle, że Nick opuścił mnie o całe ciężko zdobyte pół metra i usłyszałam, jak na mnie wrzeszczy.

Na dźwięk jego głosu uspokoiłam się trochę i bardzo się starałam nie wiercić. Po kilku chwilach stanęłam bezpieczna na ziemi, a Nick odpinał moją uprzęż, z oczyma zdradzającymi zdenerwowanie.

– Czy my... – zaczęłam, ale cokolwiek zamierzałam powiedzieć, przerwał mi odgłos kolejnej podziemnej eksplozji.

– Szybko! – Nick wyciągnął mnie z namiotu na oślepiające słońce.

Podbiegliśmy do konia przywiązanego do słupka. – Ja wsiadam pierwszy. – Szybko odwiązał zwierzę i wskoczył na jego grzbiet. – Wsadź tu stopę. – Podsunął mi strzemień, bym siadła za nim, a gdy tylko chwyciłam go w pasie, dziko spał rumaka.

Uciekaliśmy galopem, a ziemię pod nami rozdarła seria wybuchów;

zupełnie jakby ostrzeliwał nas niewidoczny samolot. W panice koń zatrzymał się i stanął dęba, zrzucając nas na strome zbocze wydmy.

– Boże drogi! – jęknęłam, z głową pełną gwiazd i ustami pełnymi piasku. – Nic ci nie jest?

Ale Nick już zdążył wstać i starał się uspokoić konia. I nagle to zobaczyłam, dokładnie za nim: namiot Beduinów zapadał się i zniknął, wessany w grzmiący lej piasku.

– Spójrz! – krzyknęłam. – Musimy...

Nick zorientował się, o czym mówię, i oboje zaczęliśmy wdrapywać się na wydmy, nawet nie próbując dosiąść konia. Za nami ryk zniszczenia wzniósł się do straszliwego crescendo. Gdy wreszcie dotarliśmy na grzbiet, ośmieliłam się obejrzeć po raz ostatni i zobaczyłam tylko wszytkožerny krater pędzącego piasku.

Wszystko zniknęło – namiot, rynna, rozrzucone narzędzia i urządzenia; cała dolina zamieniła się w gigantyczną paszczę, łapczywie zasysającą każdy kawałek rzeczywistości, aby wypełnić pustkę brakujących tysiącleci.

Kiedy Nick pozałatwiał swoje sprawy i odbył rozmowy telefoniczne, znalazł mnie dokładnie tam, gdzie mnie zostawił: na ławce w pustej stołówce, wpatrzoną w kubek herbaty.

– Lepiej się czujesz? – spytał, siadając po drugiej stronie stołu ze swoją kawą. Wyglądał o wiele spokojniej, wręcz jakby w ogóle przeszło mu całe zdenerwowanie. A może tylko udawał, by podnieść mnie na duchu.

– Zapomniałam ci podziękować – powiedziałam, prostując się – za uratowanie mi życia.

Nick skinął głową.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nie musiałeś, wiesz... – ciągnęłam, obracając kubek z herbatą. – Nie należę do twoich... ulubieńców. Prawda?

Upił łyk kawy.

– Nie chcę żadnych problemów z Moselane'ami.

Ogłuszyło mnie.

– Słucham? – Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że żartuje. Jak zawsze, broda Nicka uniemożliwiła mi właściwą interpretację jego słów. Jakby swoje prawdziwe intencje obsadził kręgiem kolczastych krzewów. Pokręciłam głową, nagle czując się zupełnie wyczerpana. – Proszę, powiedz mi, co się

dzieje.

Wzruszył ramionami.

– Ktoś postanowił wysadzić świątynię...

– Ktoś?

Unikając mojego wzroku, Nick odchylił się i podrapał po karku.

– Craig odebrał anonimowy telefon. Że podłożono bombę. Dlatego postanowiłem ewakuować strażników. I dobrze zrobiłem, bo nie dowiedziałbym się, że jesteś na dole.

– Ale to niedorzeczne! – wykrzyknęłam. – Kto by to zrobił? Dlaczego? I jak, na miłość boską?! – Od tych pytań zakręciło mi się w głowie i musiałam kilka razy odetchnąć głęboko, by opanować mdłości. – To szaleństwo – podjęłam, już spokojniej. – Kimkolwiek byli ci ludzie, teraz nie żyją, prawda?

Nick wzruszył ramionami.

– Pewnie odpalili ładunki zdalnie.

– Ale te dźwięki, które słyszałam...

Znowu wzruszył ramionami.

– Spekulacje nie mają sensu. Nigdy się nie dowiemy.

– Doprawdy?! – Wpatrywałam się w niego, rozpaczliwie pragnąc odpowiedzi. Ale on tylko jednym łykiem dopił kawę, odsunął kubek i wyjął plik banknotów. Dopiero gdy zaczął je odliczać i kłaść na stół, zrozumiałam, co robi, i poczułam irracjonalny gniew na jego spokój. Dla Nicka najwyraźniej to był tylko interes. Bomby, liny, siniaki... zwyczajny dzień w Fundacji Agrab.

– Dziesięć tysięcy dolarów – rzekł w końcu, przesuwając pieniądze w moim kierunku. – Chyba tyle ci jestem winien.

– Cóż, dziękuję – odparłam, raczej wściekle, wpatrując się w absurdalny stos banknotów. – Pewnie nic więcej nie dostanę? Żadnych wyjaśnień?

Nick wstał, w jego oczach nie było krztyny emocji.

– Możemy tak dalej rozmawiać. Ale nie zdążysz na samolot.

Opuściliśmy stanowisko w złotym świetle popołudnia. Pomimo wszystkich dramatycznych wydarzeń Nick nadal chciał odstawić mnie do Dzerby, żebym zdążyła na samolot na Gatwick następnego ranka – tak bardzo, że gotów był jechać nocą.

Gdy usiadłam w samochodzie obok niego, zbyt wykończona, by czuć cokolwiek poza zbawiennym otępieniem, on bębnił palcami w kierownicę.

– Pewnie chciałybyś wiedzieć – rzekł – że do zamachu przyznała się grupa obrońców środowiska. Przysłali faks chwilę przed naszym wyjazdem z takimi samymi jak zawsze durnowatymi antykapitalistycznymi bzdurami.

Spojrzałam na niego. Słońce mieliśmy za plecami, więc jego twarz skrywał cień. Pomyślałam, że chyba zawsze tak jest.

– Jakże wygodne – powiedziałam, sama zdumiona własnym sarkazmem. – To wszystko wyjaśnia.

Spojrzał na mnie.

– Nie kupujesz tego?

– A tego po mnie oczekujesz? Ty też w to nie wierzysz, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Dla mnie to nie ma sensu. Miałem nadzieję, że dla ciebie będzie miało.

– Zastanówmy się. – Rozparłam się na siedzeniu, doceniając nieoczekiwane zaproszenie do omówienia incydentu, który omal nie pozbawił nas życia. – Jedziesz aż do Algierii, żeby oprotestować wiercenia, ale zamiast na miejscu się przykuć do wieży wiertniczej czy też namalować sprayem na przyczepach swoje hasła, czołgasz się po tunelach zamieszkałych przez nie wiadomo jakie stworzenia, żeby wysadzić miejsce światowego dziedzictwa? Nie. Dla mnie to nie ma sensu.

Ktokolwiek wysłał ten faks, stara się ukryć prawdę.

Nick się zawahał.

– A jaka jest prawda?

Patrzyłam na mijaną oazę czy raczej na samotną kępę pięciu palm na tle ogromnej nicości napierającej na nie ze wszystkich stron.

– Dobre pytanie. Na pewno możemy powiedzieć jedno: ten, kto to zrobił, nie jest ani moim, ani twoim przyjacielem. W końcu ludzie nie wysadzają swoich przyjaciół w podziemnych świątyniach. Mam rację?

– Pewnie tak – odparł Nick, ale w jego głosie nie słyszałam przekonania.

– A skoro już jesteśmy w temacie. – Zdjęłam buty, a nogi w skarpetkach położyłam na desce rozdzielczej. – Ciągle chciałabym usłyszeć, dlaczego jakiś inny filolog nie zasłużył sobie na przywilej prawie wysadzenia w powietrze. Dlaczego pan Ludwig zgłosił się do mnie? Wiadomo przecież, że ty mnie w tej świątyni nie chciałeś. Całe jego gadanie o Amazonkach... skąd to się wzięło?

Nick poruszył się niespokojnie na fotelu.

– Z Johna już taki żartowniś.

– Chyba chciałeś powiedzieć błazen – poprawiłam go, zdecydowana nie dać się zbyć. – Błazen ma tylko jeden cel: ubawić króla. Więc powiedz mi, ponieważ należysz do tego samego dworu, dlaczego twój potężny król kazał swemu błaznowi podpuścić mnie gadką o Amazonkach?

Ponieważ Nick nie odpowiedział od razu, trąciłam go lewą stopą. W końcu za parę godzin mieliśmy się rozstać na zawsze, i wiedziałam, że jeśli chcę rozwiązać zagadkę tej wyprawy, to moja ostatnia szansa.

– Daj spokój – powiedziałam, siląc się na kumpelski ton. – Nie możesz mnie trzymać w takiej niepewności.

Nick się uśmiechnął, ale raczej ponuro.

– Zakładasz, że ten potężny król zwierza się swoim skromnym rycerzom.

Otóż nie.

– No to może weźmiemy twój rycerski telefon i zadzwonimy do jakiegoś księcia czy diuka, który wie?

– Jest niedziela. W biurze nikt nie pracuje. – Rzucił mi spojrzenie z ukosa.

– A swoją drogą, dlaczego tak się interesujesz Amazonkami? Nie wystarczy, że jesteś jedynym filologiem na świecie, który miał szansę odczytać to pismo?

– Które leży teraz pod tysiącami ton piasku.

– Ale i tak – Nick zdjął z kierownicy jedną rękę, by odliczać na palcach – masz zdjęcia. Tekst. Konkretną historię. Nie wspominając o dziesięciu tysiącach dolarów w kieszeni. Czego więcej chcesz?

Westchnęłam głośno, zniecierpliwiona, że wracamy do punktu wyjścia.

– Chcę wyjaśnienia!

Nick zacisnął szczękę.

– No to pukasz do niewłaściwych drzwi. Ja jestem chłopcem na posyłki.

Mogę ci tylko powiedzieć, że ten faks od obrońców środowiska wysłano z kawiarenki internetowej w Stambule. – Zerknął na mnie i wydało mi się, że w jego oczach pojawił się podejrzliwy błysk. – Co wiesz o Grigorze Rezniku?

Pytanie tak mnie zaskoczyło, że zaczęłam się śmiać.

– O tym kolekcjonerze? Niewiele. – Urwałam, by zebrać wiedzę, i dodałam: – Pisałam do niego ze dwa razy, prosząc o umożliwienie mi dostępu do starożytnego rękopisu, który kupił w zeszłym roku, do *Historii*

Amazonum. Ale nie odpowiedział.

Nick się skrzywił.

– To normalne w wypadku złodzieja, którego pytasz o łup.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kiedy Reznik ma do czynienia z antykami – Nick znowu bębnił palcami po kierownicy – zwykle pojawia się przemoc. Skąd pochodził ten rękopis? Kto mu go sprzedał?

Pytania Nicka wprawiły mnie w zakłopotanie. Moja mentorka Katherine Kent powiedziała coś podobnego, gdy popełniłam ten błąd, że wspomniałam o swoich listach do Reznika, ale uznałam jej wątpliwości za owoc nieuzasadnionych pogłosek.

– Dobra – powiedziałam, ustępując wobec opinii, jak się okazuje, większości – może Reznik jest trochę niekonwencjonalny...

– Delikatnie mówiąc! – Nick spojrział na mnie z wyrzutem. – To oszust i złodziej! Nie przymykaj na to oczu tylko dlatego, że przypadkiem on ma coś, na czym ci zależy.

Straszliwie mnie kusiło, by w tym momencie przejść niepostrzeżenie do kwestii jego pracodawcy, czyli Fundacji Aqrab, ale postanowiłam na razie zachować w kołczanie tę akurat strzałę.

– Cóż, niektórzy twierdzą, że Reznik przeżył odnowę moralną – powiedziałam tylko. – Zdaje się, że w zeszłym roku stracił syna w wypadku samochodowym, i to go absolutnie zdruzgotało...

– Nie łączmy w jednym zdaniu wyrazów „Reznik” i „moralny” – przerwał mi Nick. – A jeśli chodzi o jego syna Alexa, możesz mi wierzyć: małemu Szatanowi się to należało. Mówi ci coś określenie „snuff film”? – Widząc, że mówi, ponuro kiwnął głową. – Ten podły śmieć zasłużył na coś więcej niż wypadek samochodowy. Dzięki niemu wiadomo, że piekło istnieje.

– Można by odnieść wrażenie, że dobrze go znałeś – zauważyłam.

– Niejedno o nim wiem. A to zdecydowanie wystarczy. W niektórych kręgach był znany jako Krojczy, dodam, żebyś miała większe pojęcie.

– Dzięki za ten wyczerpujący wizerunek.

– Proszę bardzo. A teraz bardziej interesujące pytanie: dlaczego Grigor Reznik zawraca sobie głowę starym rękopisem. Nie jest intelektualistą. Wyjaśnij mi to, proszę.

– Dlaczego? Bo twoim zdaniem to on stoi za wybuchem?

Nick wzruszył ramionami.

– Próbuję tylko poskładać puzzle. Faks wysłano ze Stambułu. Reznik jest w Stambule...

– Ale nie jest idiotą – odparowałam, ręką osłaniając się przed pyłem, gdy mijaliśmy ciężarówkę. – Gdyby to rzeczywiście on stał za tym faksem, to czy nie wysłałby go z innego miejsca? Jakiegokolwiek?

– Może. A może to nadawca faksu chciał go w to wplątać. Ale dlaczego?

– Jedyne, co mogę ci powiedzieć – odparłam – to że w *Historii Amazonum* podobno znajdują się informacje o losie ostatnich Amazoнок i legendarnym – pomachałam rękoma w powietrzu, żeby trochę udramatyzować wypowiedź – Skarbie Amazoнок.

– Skarbie?

– Właśnie. Oczywiście nawet zdaniem tych, którzy wierzą w Amazonki, to tylko legenda. Tak samo jak to obcinanie piersi, żeby lepiej strzelać z łuku. –

Przerwałam, by zastanowić się nad własną opinią na ten temat, i uznałam, podobnie jak wiele razy wcześniej, że nie wierzę również w Skarb Amazoнок. – Jeśli o to chodzi Reznikowi, to on jest nie tylko zły, lecz także szalony. Niebezpieczne połączenie. Nie jestem pewna, skąd się wzięła ta absurdalna bajka, że zgraja niemających wędrownych wojowniczek włóczyłaby się ze złotym skarbem, ale zapewniam cię, że to tylko bajka.

– Podobnie jak same Amazonki – dodał Nick.

Kiwnęłam głową.

– Tak by powiedziała większość badaczy.

– Amazonki, po których świątyni dopiero co chodziliśmy.

Zdumiona aż się obróciłam na fotelu, by na niego popatrzeć.

– Pięć dni temu nawet nie znałaś słowa „Amazonki”. Może teraz jest dobry moment, żebyś mi powiedział, co się wydarzyło od tego czasu?

– Może teraz jest dobry moment, żebyś mi powiedziała o swojej bransolecie?

Wstrząśnięta, że wpadłam w zasadzkę, położyłam dłoń na nadgarstku.

– Nie jestem pewna...

– Naprawdę sądziłaś, że nie zauważę?

Poruszyłam się niespokojnie, dotkliwie odczuwając brak możliwości ucieczki.

– Moim zdaniem to zupełnie nie twoja sprawa...

– Serio? – Koleżeńskość Nicka zniknęła bez śladu, jakby cały czas była tylko maską. – Widzę, że nie różnisz się od swoich rodaków. Przywłaszczanie sobie starożytnych artefaktów nie jest nawet kwestią do dyskusji.

Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że on tak naprawdę wcale mnie nie pyta o bransoletę babci. Nie, on mnie oskarża, że ukradłam tę z sarkofagu. Jeśli jednak zaprzeczę kradzieży, zrodzi się pytanie, jak weszłam w posiadanie swojej bransolety. W obecnych okolicznościach wołałabym za wszelką cenę uniknąć tego tematu.

Tak więc podjęłam szybką decyzję i jak najspokojniej powiedziałam: – Gdybym jej nie wzięła, przepadłaby na zawsze. Prawda? Ale nie martw się, nie zamierzałam jej zatrzymać, chciałam ją tylko zabezpieczyć. – Odwróciłam głowę i znowu spojrzałam na Nicka. Gdy wygłaszałam swoją mowę obrończą, jego twarz wydawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona niż zwykle. – W każdym razie moim zdaniem ona należy do ciebie tak samo jak do mnie. Powinna trafić do muzeum, tak żeby każdy mógł ją oglądać...

– Więc ją zdejmij. Dopilnuję, żeby trafiła do muzeum. Właściwego. – Gniewna mina Nicka zdradziła, że brytyjskie placówki nie należą do tej kategorii.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Pomimo wieczornego chłodnego powiewu cała się pociałam, gdy mój umysł wykonywał oszałamiające wygibasy, by ratować sytuację. Ostatecznie postanowiłam trzymać się prawdy.

– Nie mogę jej zdjąć.

Nick spojrzał groźnie na mój nadgarstek, najwyraźniej mi nie wierząc.

Podsunęłam mu swoją rękę.

– Proszę bardzo. – Nie blefowałam. Wiedziałam, że on też nie zdoła jej zdjąć.

Nawet nie próbował.

Tamtej nocy, gdy spałam w samochodzie, śniła mi się babcia.

Stałyśmy razem na urwisku, patrzyłyśmy na pustynny krajobraz ze snu. Ja miałam na sobie piżamę, a babcia postrzępiony stary szlafrok, rozpuszczone długie siwe włosy spływały jej na plecy. Za nami moi rodzice siedzieli w swoim mini, klócili się głośno, myśląc, że ich nie słyszymy.

– To nie może tak trwać – mówiła moja matka. – Dzisiaj rano znowu

znalazłam w łóżku Diany jeden z tych rysunków.

Chodziło jej o moje rysunki wyobrażonych Amazonek, a większość z nich była owocem wspólnej pracy babci i mojej. Powstały w twórczej gorączce w te nieliczne cenne dni, gdy nie obserwowali nas widziani przez babcię mężczyźni w zielonych ubraniach. Siedząc przy stole na strychu, rysowałyśmy amazońskie wojowniczkę bardzo szczegółowo, używając kredek we wszystkich kolorach.

Zwykle dbałam, by skrupulatnie pochować wszelkie efekty naszych potajemnych działań na dnie szafy, ale od czasu do czasu tak się zakochałam w którymś wizerunku, że spałam z nim, schowanym pod poduszką. Niewątpliwie to jeden z tych właśnie rysunków wpadł w ręce mojej matki i niewątpliwie wolałaby trafić na liścik od usychającego z miłości kolegi niż na kobietę na koniu i z toporem w dłoni.

– A gdyby była chłopcem – podsunął mój ojciec, w rzadkim momencie sprzeciwu – czy wówczas też byś się martwiła tymi rysunkami?

Moja matka jęknęła z irytacji. Nie była przyzwyczajona do sprzeciwu, a już na pewno nie ze strony kochającego męża. Poznali się w autobusie turystycznym w Londynie jakieś dwanaście lat wcześniej; ona – amerykańska turystka – zaliczała punkty obowiązkowe, kolejnymi zdjęciami podbijając Stary Świat, on – roztargniony kawaler wsiadł do tego pojazdu przypadkiem, pomyliwszy go z linią N199 do Finsbury Park.

Te role nigdy nie uległy zmianie.

– Niełatwo mi to mówić – podjęła matka, tonem kończącym wszelkie spory.

– W końcu jesteś jej synem. Ale ona jest chora, Vincencie...

Zakryłam dłońmi uszy, żeby nie słyszeć jej dalszych słów. Nie mogłam się jednak odciąć od tego, co nieuniknione. Babcia też o tym wiedziała.

– Nie płacz, malutka – wyszeptała, dotykając mojego policzka. – Wiadomo było, że tak się to skończy. – Zacisnęła pasek szlafroka i spod zmrużonych powiek popatrzyła na bezmiar pustyni. – Muszę wracać do swoich...

– Ale ja nie chcę, żebyś wyjeżdżała! – Objęłam ją ramionami. – Nie mogą cię zmusić. Jeśli to zrobią, ucieknę z domu...

– Nie! – Zdjęła z siebie moje ręce. – Musisz wyrosnąć na silną kobietę mającą pojęcie o świecie. Musisz się dowiedzieć wszystkiego co się da o Amazonkach, ale nigdy nie mów nikomu, że jesteś jedną z nas. – Chwyliła

mnie za ramiona i utkwiała we mnie spojrzenie niebieskich oczu. – Pamiętaj, że zostawiłam ci instrukcje.

Otarłam łzy.

– Jakie instrukcje?

Nigdy nie doczekałam się odpowiedzi. W przypiływie surrealistycznej inwencji tak charakterystycznej dla moich snów z jej udziałem babcia przeszła przez skraj urwiska i zniknęła. Rzuciłam się naprzód i dostrzegłam przez ułamek sekundy jej szlafrok, gdy z trzepotem leciała ku ziemi daleko, daleko w dole, i w końcu spoczęła na dziewiczej wydmie. Po samej babci nie było ani śladu.

I w mgnieniu oka szlafrok też został wchłonięty przez nagły wir piasku i zniknął w nienasyconych trzewiach pustyni.

Nick odprowadził mnie aż do kontroli bezpieczeństwa, by dopilnować, że wszystko przebiegnie gładko, tak bym się nie spóźniła na samolot. Patrzyłam, jak w końcu odchodzi przez pusty hol lotniska, i poczułam odrobinę żalu. Wbrew jego sprzeciwom byłam przekonana, że zna odpowiedzi na większość moich pytań, a teraz już nigdy nie będę miała szansy ich z niego wyciągnąć.

Gdy tylko minęłam bramki, zadzwonił mój telefon. Rebecca.

– Tak się o ciebie martwiłam – powiedziała, wysłuchawszy mojego nieskładnego raportu. – Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie dzwonicz.

– No to jestem – zapewniłam ją. – Jadę do domu.

– Zaczekaj! Musisz przyjechać i obejrzeć moje znalezisko. – Odniosłam wrażenie, że słyszę w głosie Rebekki triumfalną nutę, choć nie pasowała ona do mojej smętnej relacji. – I przywieź zeszyt babci.

Stanęłam jak wryta na środku przejścia.

– Dlaczego?

– Bo... – Jak zawsze Rebecca była rozdarta pomiędzy pragnieniem zachowania tajemnicy a wewnętrznym przymusem wyznania wszystkiego niezwłocznie. – Po prostu przyjeźdź. Przebukuj bilet. Naprawdę muszę ci to pokazać.

– Bex! – Nie miałam nastroju na kolejne zagadki. – Ten ostatni tydzień to było całkowite szaleństwo...

– To gliniany dysk – wypaliła Rebecca – a na nim są dokładnie te same symbole co na zdjęciu, które mi przysłałaś. Leży tu, w naszym magazynie.

Próbowałam zrobić zdjęcie, ale mój telefon jest beznadziejny. Musisz to zobaczyć osobiście, ale teraz, zaraz, zanim wróci mój kierownik...

Po części chciałam Rebeccę uspokoić, zapewnić, że przecież na pewno tak się nie spieszy, a jednak... jeśli naprawdę znalazła antyczny dysk z symbolami podobnymi do pisma w algierskiej świątyni i do pisma w zeszycie babci, nie spocznę, póki go nie wezmę do ręki. Jeśli teraz polecę prosto na Krete, może jeszcze zdążę wrócić do Oksfordu na poniedziałek. Czym była jeszcze jedna doba wobec zagadki wszechświata?

CZEŚĆ III

SŁOŃCE

ROZDZIAŁ 17

KRETA

Słońce świeciło jej w twarz, a wiatr wiał w plecy.

Myrina stała na dziobie łodzi z rękoma na relingu, czuła każde wznoszenie się i opadanie fal. W jej sercu kiełkowała nadzieja. To był jej pierwszy dzień bez choroby morskiej, pierwszy dzień, gdy w pełni doceniała, że wreszcie są w drodze.

Przy pomocy Animone Myrina włożyła wiele trudu w przekonanie ocalonych sióstr, by porzuciły swoje zrujnowane życie i wraz z nią wyruszyły w nieznaną. Słodka Lilli, Kara, córka wodza i piękna Klito z zuchwałością w oczach... gdzie teraz były? W sumie uprowadzono ich dziewięć. Czy da się je odnaleźć?

Chociaż wyprawa ratunkowa wydawała się beznadziejna, Myrina się nie poddała, póki nie przekonała wszystkich. Świat, który pozostawili po sobie najeźdźcy, był koszmarny, brutalny, z bandami złodziei przewalającymi się po ulicach, wygrzebującymi wszystko, co może mieć jakąś wartość, a niepochowane zwłoki kończyły jako pożywienie dla szczurów i psów. Czy niepewna wyprawa nie była lepsza od pewnej żalosnej bierności?

Animone twierdziła, że na Krecie znajdą życzliwe ucho i odpowiedzi na pytania. Snując opowieści o swoim dziadku żeglarzu, upierała się, że statki chętnie zawijały na kwitnącą wyspę pośrodku wielkiego północnego morza, bo stanowiła dogodną miejscę do uzupełniania zapasów wody pitnej i jedzenia. Na pewno złe czarne okręty były znane Kreteńczykom... wręcz niewykluczone, że najeźdźcy też tam zawijali w drodze do domu.

Kiedy już decyzja zapadła, dwanaście kapłanek wspólnym wysiłkiem zamieniło swą spustoszoną świątynię w grobowiec. Z pustego kamiennego ołtarza usunęły przedmioty sakralne, a w środku umieściły okaleczone ciało

Najwyższej Kapłanki, na kopczyku prochów zamordowanych sióstr i w otoczeniu ich bransolet.

Gdy już grobowiec został starannie zamknięty, Kyme na ścianach sanktuarium napisała pełną relację z tych ostatnich bolesnych dni. „W przyszłych wiekach – wyjaśniła pozostałym – ludzie wejdą do tej świątyni i spytają, co tu się stało. Chcę, żeby się dowiedzieli, tak by mogli uczcić nasze zmarłe siostry, które już nie mogą mówić za siebie”.

Tymczasem Myrina zebrała wszelką broń, jaką zdołała znaleźć, dopilnowała, by każda z sióstr miała chociaż nóż, łuk i kołczan pełen strzał. Tym razem jako jedyna zaprotestowała Egee, wierna towarzyszka hardej Kary, która nie znosiła, gdy Myrina mówiła im, co mają robić.

– Po co mi ciągle dajesz te straszne rzeczy?! – krzyczała, odmawiając przyjęcia broni. – Na sam ich widok robię się chora.

– Chora? – Myrina przymknęła oczy, by zachować spokój. – A co powiesz na widok wyrżniętych sióstr? Co ci się robi od tego? Albo na myśl o porwanej przyjaciółce? – Wcisnęła Egee do rąk łuk i kołczan. – Wiesz, od czego ja się robię chora? Od widoku zdrowej, sprawnej kobiety, która nie chce się bronić, bo uważa, że broń jest zła. – Położyła dziewczynie dłoń na ramieniu i uścisnęła je pojednawczo. – Żli byli mężczyźni, którzy tu przybyli. A ten, kto ci wpoił te błędne sądy, na zawsze splamił sobie ręce krwią niewinnych.

W końcu gotowe, w strojach wzmocnionych skórą węża – kiedyś tak odpychającą nawet dla najbliższych towarzyszek Myriny, ale teraz, gdy ich wiara w siebie tak podupadła, mile widzianą jako pancierz – wspólnymi siłami umieściły dodatkową belkę na gigantycznych drzwiach świątyni, by zaryglować je jak najlepiej. I po ostatniej modlitwie do nieobecnej Bogini Księżycy Myrina poprowadziła niewielką grupkę ze świątyni przez ogromny system podziemnych grot – grot, które już dawno zbadała sama, gdy reszta zażywała popołudniowego odpoczynku.

– Tędy! – Poganiała je, trzymając nisko pochodnię, by odstraszać węże. – Ogień zaraz przygaśnie, więc spieszcie się!

Skoro Bogini Księżycy zniknęła, a Najwyższa Kapłanka zginęła, kobiety dość szybko przypomniały sobie umiejętności i pasje poprzedniego życia. Spośród ocalonych najbardziej znała się na rzeczy Animone, która zawsze twierdziła, że się świetnie orientuje w nawigacji na otwartym morzu, i która teraz wreszcie miała sposobność zademonstrować swoje umiejętności

reszcie.

– Dlaczego mi nie wierzycie? – krzyknęła kiedyś, wskazując porzuconą łódź rybacką, którą wraz z Myriną w pocie czoła przeciągnęły wzdłuż brzegu. – Mówię wam, że wiem, jak tym pływać. Ale najpierw musimy ją naprawić. Potrzebne nam liny – zaczęła odliczać na palcach, przepełniona dawno zapomnianą ekscytacją – potrzebne nam tyczki, solidny sznurek i igły, no i mocne płótno na żagle.

Jeśli chodzi o Myrinę, to z uporem twierdziła, że jest myśliwym. Tylko i aż.

Ubrana w tunikę z wężowej skóry, ze swoim cennym łukiem i kołczanem na ramieniu, nie uzurpowała sobie prawa do dowodzenia. Ale ponieważ pozostałe wciąż czekały na jej odpowiedzi i zachęty, właśnie na nią w sposób nieunikniony spadło przywództwo. Dokądkolwiek by poszła, pozostałe ruszyłyby za nią; nawet Egee nie ośmieliła się protestować.

Ziemia Kreteńczyków leżała na morzu jak odpoczywający olbrzym.

Długie odcinki wybrzeża groźne i nieprzystępne nie nadawały się do lądowania. Nawet najbardziej kuszące zatoczki były zdaniem Animone zbyt zdradzieckie dla niewyszkolonych żeglarzy. Pod migoczącym turkusem tych łagodnych fal, wyjaśniła, skały ostre jak zęby i pokryte śliskimi wodorostami tylko czekały, by rozszarpać nieszczęsnych przybyszów.

Myrina wiedziała, że lepiej się nie spierać. Gdyby nie Animone, od chwili opuszczenia swoich bagien wiele razy by zginęły. Pochłonięte przez ogromne fale, rozbite o klify albo na nieznanym wybrzeżach... Tak czy inaczej zginęłyby na długo, nim oczom ich się ukazał kreteński brzeg. To dzięki wiedzy o nawigacji, którą zachowała córka żeglarza, dotarli tak daleko.

– Jest! – wykrzyknęła Animone, wskazując przed siebie. – Tu przybijają statki handlowe. Pałac królewski znajduje się niedaleko. Ale oni o swoim władcy nie mówią król. Jestem pewna, że dziadek mi powiedział, że ten władca nazywa się Minos.

Mrużąc oczy pod słońce, Myrina z wielkim zainteresowaniem przyglądała się ruchliwemu wybrzeżu. Jednostki rozmaitej wielkości i barwy wchodziły do portu albo z niego wychodziły, ale żadna nie przypominała czarnych okrętów, które uprowadziły Lilli i inne biedaczki. Chociaż Myrina chciałaby je zobaczyć, wiedziała także, że nie jest jeszcze gotowa na bitwę z tamtymi bestiami. Gdy stała na dziobie ich dzielnego stateczku, osłaniając dłońmi

oczy, rana na plecach przypomniła jej, że jeszcze nie do końca wyzdrowiała i że pomimo jej wielkich słów zachęty, pomimo ćwiczeń z łucznictwa całej grupy ona i siostry nadal stanowią łatwy łup.

– Jesteś pewna, że będziemy tu mile widziane? – spytała Pitana, dołączając do nich przy relingu i swobodnie opierając umięśnione ramiona na zniszczonym drewnie. Okazało się, że pomimo długiego i chudego ciała Pitana wykazuje się siłą niemal równą sile Myriny. Pod wpływem tego niedawnego odkrycia na zawsze przestała się garbić.

– Za czasów mojego dziadka – odparła Animone – było to największe targowisko świata. Kupcy wszelkiego koloru, mówiący różnymi językami przybywali tu ze wszystkich zakątków morza, by w spokoju wymieniać towary i uzyskiwać wiedzę o szlakach i wiatrach, i – głos jej zadrżał – o losie ukochanych.

Najpierw jednak musiały znaleźć jedzenie. Ich skromne zapasy dawno się już skończyły i ostatnie trzy dni przeżyły w zasadzie na starej wodzie z kozich pęcherzy, od czasu do czasu posilając się rybą złapaną na haczyk dzięki miłosiernym morskim duchom.

Jakby tego było mało, urzędnik portowy powiadomił je, że jeśli chcą zostać na noc, muszą wnieść opłatę. Wygłosił swój niegościnnie przekaz w kilku językach, zanim wreszcie trafił na ten używany w Świątyni Bogini Księżyca – język, nad którego opanowaniem Myrina ciężko pracowała, odkąd została kapłanką.

– W życiu nie słyszałam o takiej opłacie – powiedziała Kyme do tego mężczyzny, tonem sugerującym, że wie o świecie o wiele więcej, niż mu się wydaje. – I kim ty jesteś, człowieku?

Mężczyzna wysunął do przodu brodaty podbródek.

– Jestem poborcą podatkowym. Handel podupada, a zatem – ruchem ręki wskazał panujący dokoła zamęt – musimy zadbać o utrzymanie portu. Kiedy wrócą wasi mężczyźni, wyjaśnijcie im wszystko.

– Może handel by nie podupadał – zauważyła Kyme – gdybyście nie nakładali opłat.

Ale mężczyzna był niewzruszony. Przed zachodem słońca musiały wnieść opłatę, najlepiej w postaci miedzianych monet, chociaż dopuszczalne też były smakowite artykuły spożywcze.

– Gdybym tylko miała gdzie zapolować – zaczęła Myrina, patrząc na

zabudowany teren, gdzie w zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa.

– Proszę – odezwała się Egee, która nawet po tylu dniach żeglugi pozostała wroga wobec Myriny – nie wypowiadaj już słowa „polować”. Robię się od tego chora.

– Polowanie nic nam tu nie da – dołączyła Animone. – Tak samo jak kłótnie.

Pomyślmy i znajdziemy rozwiązanie.

Opuściły świątynię, nie mając nic wartościowego prócz jedzenia i broni.

Najeźdźcy, bestialscy i brutalni, wyjątkowo skrupulatnie pozbierali z pótek wszystkie złote i srebrne wota i nigdzie indziej też nie zostawili ani jednego wartościowego przedmiotu. Aż do tej pory kapłanki nie miały również pojęcia o istnieniu miedzianych monet ani też na pewno nigdy żadnej nie widziały na oczy.

– Już samo to słowo mi się nie podoba – powiedziała Kyme, kręcąc nosem i korzystając z przywileju bycia najstarszą. – Złoto i srebro to rozumiem, ale monety? Co za monety? Nie, chodźmy do miasta i wymieńmy coś na żywność.

Wszystko, czego ten wstrętny poborca nie weźmie, same zjemy. Bo naprawdę, jestem tak głodna, że zjem pąkle z tego nabrzeża, jeśli nie znajdziemy nic jadalnego.

– Wymieńmy coś na jedzenie – powtórzyła Egee. – Ale co? Nie mamy nic.

Chociaż – wyjęła zza pasa nóż – niektórzy mogliby to uznać za wartościowe.

– Nie oddamy broni! – Myrina z powrotem wcisnęła Egee nóż za pas. – Ależ ty masz krótką pamięć. Owszem, przybyliśmy do miasta względnie spokojnego, ale wszystkie wiemy, jak szybko może się to zmienić.

I tak dwie siostry zostały na straży, a reszta zeszła ze statku i ruszyła przez wiele łączących się mostów i nabrzeży. Gdy wreszcie stanęły na stałym lądzie, zakołysały się od dziwnego, bo zapomnianego uczucia i musiały usiąść na chwilę, czekając, aż ziemia pod ich stopami się uspokoi.

Gdy tak siedziały, podszedł do nich mężczyzna i spytał o coś w swoim języku, a wyraz twarzy miał tak lubieżny, że Myrina raczej się domyśliła, niż zrozumiała, czego chce. Odprawiła go gestem, ale on tylko się roześmiał i przysunął bliżej, jakby przepelniona odrazą odmowa stanowiła element gry.

– Idziemy! – Pitana zerwała się i pociągnęła za sobą siostry. – Już się

nasiedziałyśmy.

Gdy weszły do miasta, Myrinie przypomniało się, jak przybyła do grodu Bogini Księżyca tyle miesięcy temu i jak Lilli była nim zafascynowana. Słodka Lilli, która krzywiła się na brzydkie zapachy, ale i tak chciała iść dalej... jakże Myrina pragnęła znów ją mieć blisko siebie, niezawodnie radosną w obliczu przeciwności losu.

– Oto moja propozycja – powiedziała Animone, ruchem głowy wskazując mężczyznę z tresowaną małpką, która zabawiała przechodniów w zamian za resztki żywności. – Zaśpiewamy nasze święte pieśni i zachwycimy Kreteńczyków harmonijnymi głosami. – Wskazała pustą przestrzeń między tętniącymi życiem straganami. – Może tutaj? Tu jest dość miejsca na niewielką procesję, która będzie chodziła w kółko, a hałas na pewno ucichnie, gdy tylko zaczniemy.

Myrina się rozejrzała. Sprzedawcy w pobliżu oferowali żywy drób i gotowane kozie łby, i zobaczyła wiele towarów przechodzących z rąk do rąk w nieustannym strumieniu klientów.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że tu też trzeba uiścić opłatę – zaczęła.

– Więc zapłacimy! – Animone zdjęła łuk i kołczan i sprawdziła, czy wszystkie jej warkoczyki wyglądają dobrze. Żadna z towarzyszek nie miała serca powiedzieć jej, że nawet teraz, trzy tygodnie po ataku na świątynię, na jej twarzy widnieje maska wielobarwnych sińców. – Zaczekajcie tylko – dodała z zuchwałością kogoś, kto ma rację w każdej sprawie.

Ale na brzmienie świętych pieśni, które przykuwały taką bezgraniczną uwagę pielgrzymów w świątyni, tu na targu ledwie ktoś odwrócił głowę, a na pewno nikogo nie natchnęły one myślą, że powinien w uznaniu ofiarować im jakieś dary. Szybko nadzieje Animone legły w gruzach z powodu braku zainteresowania przechodzących ludzi.

– Ależ niezycliwe miejsce! – syknęła, gdy zaprezentowały po dwa razy każdą pieśń i każdy taniec. – Ci ludzie nie rozumieją naszej sztuki. Prostaki.

Należałoby ich zmusić do płacenia!

– Może wrócimy na statek i spróbujemy złapać jeszcze jakieś ryby? – zaproponowała Kyme, blada z głodu i zmęczenia. – Dwie ryby. Jedną dla nas, jedną dla tego człowieka.

– A ja tymczasem pójdę zapolować – powiedziała Myrina, poprawiając łuk

na plecach.

Zanim ruszyła w głąb miasta, owinęła sobie głowę postrzępionymi resztkami kapłańskiej szaty. Uznała, że jeśli będzie miała widoczne tylko oczy, ludzie odruchowo uznają ją za mężczyznę, jako że była większa niż przeciętna kobieta, a długa tunika z wężowej skóry ukrywała jej uda. Poza tym wobec łuku i kołczanu na plecach na pewno niewielu przyjdzie do głowy, że pod tym wszystkim może kryć się kobieta.

Idąc przez miasto, szukała starszych ludzi siedzących w cieniu budynków – gadatliwych starych dziwaków, którzy wiele w życiu widzieli i byli szczęśliwi, jeśli mogli to powspominać z obcymi. Nie przystając na dłużej w jednym miejscu, rozpytała o okręty o czarnych kadłubach, okręty wiozące chciwych, podobnych małpom mężczyzn na dalekie ziemie i wracające ze złotymi skarbami.

Ale niemal nikt nie rozumiał języków, którymi mówiła Myrina i gdy wreszcie przedstawiła się staremu żeglarzowi leżącemu w hamaku, nawet ten, choć władał starym językiem, miał jej niewiele do powiedzenia.

– Wiele statków smołuje stępki – rzekł, wachlując się liściem figowym. – Mogli być zewsząd. Pewnie z północy, skoro jak mówisz, mężczyźni mieli białą skórę. Ja pływałem głównie na południe, dlatego znam twój język.

Myrina postanowiła się skupić na kwestiach bardziej naglących, a mianowicie jak nakarmić siostry i zapłacić za pobyt w porcie.

– Gdybym szukała darmowej strawy – zagaiła na koniec – dokąd bym miała pójść?

– Do Portu Wschodniego – odparł bez wahania. – Tam cumują wielkie statki. Spróbuj u Trojan. Jeśli są, znajdziesz ich na samym końcu. Pewnie mają coś na zbyciu.

Tak więc Myrina udała się we wskazanym kierunku, rumieniąc się pod swoją zasłoną, że zachowuje się jak żebrak. Ale nie widziała uczciwej alternatywy.

Ponieważ nie wchodziła w grę prostytutka ani kradzież i było mało prawdopodobne, żeby z siebie lub z sióstr uczyniła inny pożytek, została jej skromna nadzieja, że spotka jakiegoś miłosiernego kupca, który będzie miał coś na zbyciu.

Przepychając się przez tłum dziwnych ludzi z dalekich krajów – ludzi, którzy przybyli na statkach tak wielkich, że w pierwszej chwili uznała je za

budynki – Myrina wreszcie dotarła na koniec bulwaru portowego, gdzie nabrzeże znowu przechodziło w plażę i mewy krążyły nad łodziami rybackimi wyciągniętymi na piasek. Tu, w ukośnych pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca, wytropiła gromadę mężczyzn piekących całe kurczaki i warzywa na patykach nad ogniem. Ich wesoły śmiech wystarczył, by przekonać ją, że są przyjacielscy. Czy mogli to być Trojanie, o których jej mówił stary żeglarz?

Podszedłszy bliżej, Myrina zobaczyła, że grają w dziecięcą grę – rzucają kamykami w nakreślone kręgi – w którą ona grała z ojcem, gdy jeszcze była za mała, by z nim polować, i w którą często grała sama, dla zabicia czasu i dla ćwiczenia celności.

Jeden z mężczyzn – gładko ogolony młodzieniec o silnym ciele, odziany w imponujące wyszywane szaty – był szczególnie dobry w trafianiu kamykiem, i chociaż Myrina nie rozumiała jego języka, pojęła, że drwi z pozostałych, rzuca im wyzwanie, żeby go pokonali.

Ośmielona jowialną atmosferą, podniosła kamyk dla siebie i włączyła się do gry. Wylądował z głuchym odgłosem w najbliższym, najłatwiejszym kręgu, nie dokładnie pośrodku, ale na tyle blisko, by mężczyźni odwrócili się, by zobaczyć, kto go rzucił.

Gdy ujrzała zaskoczenie na ich twarzach, wskazała grę, potem na młodego mistrza, a potem na siebie, dając znak, że chciałaby się z nim zmierzyć. Jej gest wywołał śmiech wśród towarzyszy młodzieńca, a on sam popatrzył na nią z takim niedowierzaniem, jakby był zupełnie nieprzyzwyczajony do takich śmiałych propozycji.

Widząc jego wahanie, Myrina wskazała raz jeszcze na grę, potem na kurczaki piekące się nad ogniskiem, a wreszcie na własne usta za chustą. Na co młody człowiek powiedział coś, czego ona nie zrozumiała, a jego bystre bursztynowe oczy przyglądały się zasłoniętej twarzy w poszukiwaniu oznak zrozumienia. Ale Myrina tylko się schyliła i podniosła sześć kamyków, z czego trzy podała jemu... i nagle za ramiona chwycili ją jego towarzysze.

Wstrząśnięta takim obrotem sprawy, Myrina wierzgała i kopała, próbując się uwolnić. Ale wybuch śmiechu młodego mężczyzny, a potem prędką wymiana zdań pomiędzy nim a jego towarzyszami sprawiły, że została szybko uwolniona.

– Proszę. – Podniósł trzy kamyki, które upuściła w piasek. – Będę do ciebie

mówił językiem pustynnych nomadów, bo wyglądasz jak nomada. Rozumiesz mnie?

Myrina kiwnęła głową. Chociaż mogła mu odpowiedzieć słowami, postanowiła zachować milczenie, by głos jej nie zdradził.

– Świetnie. – Mężczyzna skłonił głowę, by przyjrzeć się jej surowo, tak jak byki przyglądają się swoim przeciwnikom przed natarciem. – Wyzwałeś mnie na pojedynek, a to niebagatelna sprawa. – Ale figlarny błysk w jego oczach zdradzał, że poważną pozę przybrał tylko dla zabawy. – Stawką jest kurczak. I może marchewka. Niech wygra głodniejszy. – Ruchem głowy wskazał kręgi nakreślone na piasku. – Ty pierwszy.

Myrina wycelowała i rzuciła pierwszy kamień, ze wszystkich sił starając się ignorować gapiów, którzy usiłovali ją rozproszyć. Kamyk wylądował dokładnie na środku najbliższego z pięciu kręgów, kompromitując jej poprzednią próbę.

– Dobra robota – powiedział jej przeciwnik, robiąc niby zmartwioną minę. – Jakżeż mam się z tobą równać? – A już kiedy to mówił, jego pierwszy pocisk poszybował w powietrze i wylądował dokładnie pośrodku drugiego kręgu. – Ach.

Mam szczęście. Twoja kolej.

Myrina zgrzytnęła zębami i rzuciła drugi kamyk, doskonale zdając sobie sprawę, że mężczyzna się z niej natrząsa. Ale coś w jego oczach zapewniało ją o rzeczywistej zyczliwości, i nawet gdy na jej drugi doskonały rzut odpowiedział doskonałym swoim, gdy już wypełnili po kolei trzeci i czwarty krąg, pozostała pełna nadziei, że ostatecznie odejdzie stąd z czymś do jedzenia.

Zaraz jednak, gdy wrzuciła swój ostatni kamyk w piąty krąg, on rzucił swoim i wybił jej kamyk z centralnego punktu, śmiejąc się serdecznie z jej pecha.

– Och nie. – Skrzywił się z udawanym współczuciem. – I po kurczaku, chłopcze. Ale dam ci marchewkę w ramach odszkodowania.

Bez słowa Myrina schyliła się, by podnieść kolejne sześć kamieni i podała mu trzy... ale on ich nie przyjął.

– Znudziła mnie ta gra – rzekł tylko. – Może spróbujemy czegoś innego? – Rozejrzał się w poszukiwaniu natchnienia, namawiany przez drwiących kompanów, aż jego wzrok padł na łuk wystający znad ramienia dziewczyny.

– To tylko zabawka czy umiesz się tym posługiwać?

Myrina się zawahała. Nie tylko od miesięcy nie miała możliwości porządnie poćwiczyć, ale rana pleców ciągle powodowała tak nieznośny ból, że od ataku na świątynię podczas treningu, nawet z siostrami, ledwie mogła wystrzelić jedną strzałę.

– Zobaczmy, na co cię stać. – Mężczyzna otworzył małą skórzaną sakiewkę i wyjął pięć kawałków metalu. Miedziane monety. – Są twoje – podjął – podobnie jak kurczak, jeśli ustrzelisz mewę siedzącą na tym maszcie. – Wskazał na wyciągniętą na plażę łódź rybacką jakieś sto metrów dalej. Jej maszt był przechylony.

Myrina pokręciła głową.

– Czemu nie? – Mężczyzna spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem. – Rozumiem. Nie chce zabijać ptaka dla rozrywki. – Uśmiechnął się i zrobił minę do swoich towarzyszy. – Ależ szlachetny chłopak! Co powiesz więc na to: wyrzucę jabłko w powietrze, a ty je trafisz? – Ponieważ Myrina nie zaprotestowała, wyciągnął rękę i natychmiast któryś z pozostałych mężczyzn położył na niej owoc.

– Gotów?

Zanim zdążyła zdjąć łuk z pleców, jabłko poszybowało nad wodą długim łukiem... i nietknięte wpadło w fale.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Za wolny jesteś, chłopcze. Ale dam ci jeszcze jedną szansę.

Tym razem Myrina była gotowa. Jej łuk czekał, zanim jeszcze jabłko pojawiło się w ręku mężczyzny, a strzała wyszła z kołczanu, gdy zamachnął się ramieniem. Gdyby się zawahała, by pomyśleć, spóźniłaby się albo by chybiła.

A tak strzała poleciała z niezachwianą pewnością i rozłupała winne jabłko na pół, zanim z wdziękiem wpadło do morza.

Mężczyzn tak zaskoczył doskonały strzał, że nie zauważyli, gdy łuczniczka zachwiała się z bólu.

– Ależ masz oko! – powiedział jej uśmiechnięty dręczyciel, z podziwem klepiąc ją po plecach. – Nie przerywajmy. – Gdy usłyszał jej stłumiony jęk, tak nieopatrzny, że zdradził jej płęć, przerażony cofnął dłoń.

Widząc zaskoczenie na jego twarzy i obawiając się nieuchronnego przepytowania, Myrina szybko przyklękała, by zebrać pięć monet, które on

upuścił na piasek, przycisnęła je do piersi wraz z łukiem i rzuciła się do ucieczki. Tak rozpaczliwie chciała uciec ze swoją nagrodą, zanim przeciwnik znajdzie nowy sposób, by ją zatrzymać i podstępem pozbawić zdobyczy, że nawet się nie zatrzymała po należnego kurczaka.

– Stój! – Mężczyzna pognał za nią, a jego głos był na tyle wściekły, że natychmiast przyspieszyła. Wbiegła po kamiennych schodach do portu i przez promenadę do Portu Wschodniego, uskakując na boki, by na nikogo nie wpaść.

Obejrzała się i stwierdziła, że mężczyzna ją goni, z ramionami uniesionymi z wściekłości. Podjęła szybką decyzję, że pobiegnie w stronę ruchliwego targu, a nie do Portu Zachodniego, gdzie czekały na nią siostry.

Nie była pewna, dlaczego mężczyzna ją goni, ale podejrzewała, że zdecydowanie nie zamierza jej dać uciec z pięcioma miedzianymi monetami.

Gdyby została, na pewno namówiłby ją na jakiś nowy zakład i uczyniłby z niej rozrywkę ku uciechu swoich przyjaciół.

Tak się skupiła na wyobrażaniu sobie wydarzeń, że nie zauważyła, że mury miasta są coraz bliżej niej, aż w końcu znalazła się w ślepym zaułku zawalonym cuchnącymi odpadami. Krzywiąc się z obrzydzenia, zrobiła w tył zwrot...

I stwierdziła, że on stoi tuż za nią, odcinając jej drogę ucieczki.

– Pułapka – zauważył, trochę niepotrzebnie, przechylając głowę na bok. – No chyba że pod tymi łuskami skrywasz parę skrzydeł?

– Proszę. – Ściskając monety w jednej dłoni, drugą Myrina wyciągnęła nóż myśliwski zza pasa. – Nie chcę cię zranić.

Mężczyzna podniósł ręce, chociaż jego twarz nie zdradzała szczerej troski.

– Ja też nie chcę, żebyś mnie zraniła. Chcę tylko zobaczyć twoją twarz.

Myrina cofnęła się o krok, piętami trafiając w coś ciepłego i miękkiego.

– Czemu?

Mężczyzna się roześmiał.

– A czemu nie?

– Te monety – Myrina wyciągnęła przed siebie zaciśniętą dłoń – należą do mnie. Prawda?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Oczywiście.

– Więc czego chcesz? – Cofnęła się o kolejny krok, ale na chwilę straciła równowagę w śliskiej krwi.

– Już powiedziałem. – Mężczyzna postąpił bliżej, uśmiechając się, jakby wszystko było tylko grą. – Chcę zobaczyć twoją twarz. Nic więcej.

Myrina wyciągnęła przed siebie nóż, by go zatrzymać.

– A potem co?

Wzruszył ramionami.

– Nic. Będziesz mogła odejść.

Zawahała się, próbując ocenić jego szczerość. Następnie schowała nóż za pas i szybko odwiązała chustę.

– Proszę! – Spuściła oczy, by uniknąć jego zapewne wzgardliwego wzroku.

– Napatrzyłeś się?

Mężczyzna nie odpowiedział. A gdy Myrina wreszcie podniosła wzrok, nie mogła odgadnąć jego myśli.

– Mogę już iść? – spytała, na powrót obwiązując twarz płótnem. – Proszę?

Wreszcie się odsunął z drogi. Nie patrząc już na niego, puściła się pędem, mocno przyciskając do piersi cenne monety.

Wróciła do swoich sióstr, gdy słońce kładło się na morzu, i zastała je przy kolejnej kłótni z poborcą.

– Czekaj! – krzyknęła, pędząc pomostem do zewnętrznego pirsu, przy którym cumowała ich łódź. – Ile monet miedzianych za noc?

– To zależy – odrzekł mężczyzna. – A ile macie?

Myrina otworzyła dłoń i pokazała mu jej zawartość.

– O, no to powiedzmy, że dwa. I dwa za jutro.

– Co? – Kyme wystąpiła do przodu, z twarzą ciągle rozplomioną po kłótni, która ominęła Myrinę. – Za jutro nie możemy zapłacić rano?

Poborca pokręcił głową.

– Musiałybyście rano odpłynąć. Ale nie będziecie w stanie odpłynąć, dopóki wieje ten północny wiatr.

Późnym wieczorem po skromnym posiłku złożonym z małych placków krabowych – tuzin za jednego miedziaka – Myrina podniosła wzrok i zobaczyła dobrze ubranego starszego mężczyznę stojącego na nabrzeżu obok łodzi, wpatrującego się w nie bez skrępowania.

– Pozdrawiam cię – rzekł w języku nomadów. Jego akcent i postawa skojarzyły się Myrinie z graczem, którego poznała na plaży.

– Mogę czymś służyć? – spytała, wstając grzecznie w nadziei, że się myli.

– Niewykluczone – odrzekł mężczyzna dostojnie i z cierpliwością. – To ty jesteś łuczniczką, która trafiła jabłko, prawda?

– O co chodzi? – spytała Animone, ciągnąc Myrinę za rękaw. – Co on mówi? Zapłaciłyśmy za jutro, powiedz mu to koniecznie.

– Nie lękajcie się – rzekł mężczyzna do Animone, płynnie przechodząc na język, w którym ona się odezwała – przyszedłem zabrać was wszystkie na kolację... – Jego wzrok powędrował ku leżącym na pokładzie żalonym szczątkom mizernego posiłku. – Albo może powinienem powiedzieć na ucztę wydaną przez mojego szczodrego pana, księcia Parysa.

Gdy nie doczekał się natychmiastowej reakcji, dodał z uśmiechem wyższości:

– Mój pan jest powszechnie znany jako następca królewskiego tronu Troi.

ROZDZIAŁ 18

...po dopłynięciu na Kretę Tezeusz otrzymał od zakochanej Ariadny nić i pouczony przez nią, jak wydostać się z zakamarków labiryntu, zabił Minotaura i odpłynął...⁹

PLUTARCH, *Tezeusz Żywoty równoległe, tom I*

DŻERBA, TUNEZJA

Samolot do Heraklionu był prawie pusty. Najwyraźniej na początku listopada na Kretę latało niewiele osób, a przedstawiciel linii lotniczych z radością przebukował mi bilet.

Już się wygodnie usadowiłam, układając stopy na wolnym siedzeniu obok, gdy w przejściu pojawił się mężczyzna w dzinsach i zamszowej kurtce i zaczął wpychać swój worek podróżny do schowka dokładnie nad moją głową.

Przystojny, pomyślałam sobie, opuszczając nogi na podłogę. Dopiero gdy usiadł obok, uświadomiłam sobie, że to Nick. Bez brody.

– Nie martw się – powiedział na widok moich wypełnionych niedowierzaniem wybałuszonych oczu. – Odrośnie.

Chciałam się odplacić pięknym za nadobne, wieńcząc swoje zaskoczenie jakąś perłą brytyjskiego dowcipu, ale nie wiedzieć czemu, ośrodek mowy w moim mózgu odmówił współpracy. Niesforna strzecha na jego głowie też została przystrzyżona, a to, co zostało, było czarne jak smoła. Ale to przez brak brody nie mogłam wydusić słowa. Było coś absurdalnie frywolnego w nieoczekiwanym widoku nagiej twarzy Nicka. Chyba bardziej by mną wstrząsnął tylko wówczas, gdyby rozebrał się do naga na moich oczach.

– A więc – rzekł, ubiegając mnie – co jest na Krecie?

Jego samozadowolenie ściągnęło mnie na ziemię. Ten człowiek nie tylko mnie śledził po pożegnaniu na lotnisku – bo skąd by wiedział, że w ostatnim momencie zmieniałam plany? – lecz miał też tupet zwracać się do mnie,

jakbym to ja dopuściła się występku, nie on.

– Jak śmiesz mnie śledzić?! – spytałam, szybko wpychając do torby zeszyt babci. – Zamknęliśmy nasze sprawy.

– W zasadzie – Nick postukał paszportem w moją bransoletę – nie śledzę ciebie, tylko jego. Bo dopóki ten pieseczek siedzi na twoim ramieniu, owszem, jest naszą niezamkniętą sprawą.

Jego oświadczenie było takie oburzające, a sytuacja tak absurdalna... że gdybyśmy nie znajdowali się w samolocie, wstałabym i wyszła.

– Wyobraź sobie – dodał z irytującym uśmiechem – że to małe kajdanki, które łączą cię ze mną.

Siedzieliśmy w milczeniu, gdy samolot startował, a ja ucieszyłam się z okazji do przemyślenia strategii. Wyglądało na to, że Nick tu jest, bo uważa, że ukradłam bransoletę. A gdybym powiedziała mu prawdę? Albo chociaż jej część, z pominięciem zeszytu babci?

– Coś ci powiem – zaczęłam w nadziei, że wyczuje moją szczerłość. – Tak dokładnie to nie ukradłam tej bransolety z sarkofagu. Możesz mi nie wierzyć, ale należała do mojej babci...

Nick pokręcił głową.

– Dostałem o tobie notatkę, że masz IQ 153. Więc albo autor tej notatki się mylił, albo coś ciągle ukrywasz. Dlaczego?

Niemal się udławiłam z oburzenia.

– Słucham?!

– Ja też słucham. Cały czas. – Nick zaczął wertować magazyn linii lotniczych, udając zainteresowanie. – Co tam się dzieje? Kto siedzi w budce suflera?

Sporunowałam go wzrokiem, ale chyba w ogóle tego nie zauważył.

– Może gdy dokoła mnie przestanie coś wylatywać w powietrze – powiedziałam – a ludzie przestaną mnie śledzić... może wtedy trysnę intelektem.

Nie jestem jednak pewna, czy zdołasz to docenić. Mężczyznom twojego pokroju rzadko się to zdarza.

Nick zatrzepotał rzęsami.

– Daj mi szansę. Powiedz coś inteligentnego.

Urażona otworzyłam usta, by to zrobić, ale maleńka wewnętrzna trąba powietrzna wściekłości rozniosła w pył ewentualną ripostę. Wybrałam więc

milczenie.

– Po takim namyśle – rzekł Nick – spodziewam się fajerwerków. Ciągłe czekam na odpowiedź, co będziemy robić na Krecie.

– Witam w klubie pytań bez odpowiedzi – odparłam, trochę infantylnie. – Co się stało z twoją brodą?

– Już jej nie potrzebowałem.

– A dlaczego?

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Myślałem, że to już zrozumiałaś.

– Zdążyliśmy ustalić, że nie należę do bystrych.

– Dobra. – Odwrócił się do mnie, a puste przechwałki zniknęły. – No to cię oświecę. Pasożyty tylko czekają, aż ktoś coś odkryje albo opracuje wynalazek.

Rząd, oczywiście, to największy ze wszystkich pasożytów, ale w świecie handlu antykami istnieje cały osobny ekosystem handlarzy, przemytników i złodziei grobów. Wszyscy są tacy sami; są to pasożyty, które żywią się historią innych narodów i pustoszą nasze dziedzictwo kulturowe. – Nick urwał na chwilę, znalazł mapę na tylnej okładce magazynu, wyjął z kieszeni długopis i narysował x we wschodniej Algierii. – Dla złodziei grobów – podjął, podając mi magazyn – ja jestem iksem, który oznacza strategiczny punkt. Muszą mnie tylko śledzić, a już będą wiedzieli, że zaprowadzę ich prosto na miejsce najnowszych wykopalisk.

Nawet jeśli nie zdołają się dostać na ich teren, zaczną kopać gdzieś w pobliżu w nadziei, że znajdą coś, co myśmy przeoczyli. A jeszcze mogą przekupić naszych kopaczy, by wykraść artefakty z oficjalnego stanowiska archeologicznego, zanim zostaną skatalogowane. – Potarł pobródek. –

Myślałem, że broda i brudne ciuchy ich zmylą. Szkoda, że to nie poskutkowało.

Wpatrywałam się w mapę, zdenerwowana implikacjami jego słów. Kiedy poznałam Nicka, dokładnie tydzień temu, uznałam go za nieporadnego jaskiniowca, dla którego przewiezienie oksfordzkiego filologa klasycznego było po prostu kolejnym dziwnym zleceniem. Z biegiem czasu zaczęłam jednak sobie uświadamiać pomyłkę, a teraz nabrałam co do niej pewności. O ile Nick może lubił sprawiać wrażenie postaci wyjętej prosto z Apokalipsy św. Jana, w rzeczywistości był szyczą.

– I myślisz, że to dlaczego? – usłyszałam swój głos. – To znaczy...

sugerujesz, że za wybuchem stali złodzieje grobów?

Nick patrzył na mnie, ale miałam poczucie, że wcale mnie nie widzi.

– Bystre pasożyty na ogół nie zabijają żywiciela. Nadal nie rozumiem, jaki sens miał ten wybuch. Ale mam poczucie, że to się zmieni.

Chciałam się roześmiać, ale efekt był raczej żałosny.

– Nie sugerujesz, mam nadzieję, że ja miałam z tym coś wspólnego?

Nick wytrzymał moje spojrzenie jeszcze przez kilka sekund, a potem tylko wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– Mój szef stracił na próżnych wysiłkach dwieście tysięcy dolarów. Ty jesteś do przodu dziesięć tysięcy i bransoletę. Nie wspominając, że jesteś jedynym naukowcem, który tę świątynię widział na oczy i teraz to wszystko należy do ciebie. Ale nie, nic nie sugeruję, tylko pilnuję, żebyś bezpiecznie dotarła do domu.

Moja wierna przyjaciółka czekała na zalanym deszczem lotnisku w Heraklionie, jej rude loki przykleiły się do piegowatego czoła. Gdy tak stała tam w kaloszach i spranej rozciągniętej sukience, machając niecierpliwie zza metalowej bariery, wyglądała, jakby miała eksplodować sprężonymi emocjami. Kiedy jednak zobaczyła Nicka i zrozumiała, że jesteśmy razem, jej ożywienie szybko przerodziło się w oniemiałe niedowierzanie.

– Bex! – Przytuliłam ją. – Jesteś cała mokra! Dzięki, że wyszłaś po mnie w taką koszmarną pogodę. Poznaj Nicka Barrána. – Odsunęłam się, by podali sobie ręce. – Nie odstępuję mnie na krok.

– Tak już bywa – wyjaśnił Nick – kiedy człowiek zaczyna kraść.

Pomimo charakterystycznej nonszalancji i strug deszczu, które uderzyły w nas, gdy tylko wyszliśmy z budynku lotniska, Rebecca nie odzyskała swojego opanowania, dopóki nie wcisnęliśmy się na odrapane siedziska jej małej furgonetki. Nick zaproponował, że usiądzie z tyłu z bagażami, by tam kołysać się i turlać z rozmaitymi fragmentami kamieni, pordzewiałych narzędzi i jednej laski dynamitu. Ale Rebecca, błędnie interpretując napięcie między nami – mniejsza o to, kim Nick był – uparła się, żeby go wcisnąć z nami z przodu.

– Przepraszamy, że nie spełniamy standardów z folderów turystycznych – powiedziała, podając nam wilgotne kawałki papierowego ręcznika. – Obawiam się, że przyjechaliście w samym środku pory deszczowej.

Ponieważ miasto Heraklion w obecnej chwili z wyglądu przypominało

jedynie szarą plamę, ominęliśmy trasę widokową i pojechaliśmy prosto na stanowisko archeologiczne Knossos. Piszczące wycieraczki pracowały pełną parą.

Kiedy tu byłam ostatnio – wstrząsające dziesięć lat temu, przy okazji podróży po kontynencie z Rebeccą, zanim którakolwiek z nas wiedziała, że ona kiedyś na Krecie będzie pracować – panował taki upał i taka susza, że nawet cykady umilkły. Chodziłyśmy w szortach i górze od kostiumu, nasze spalone ramiona stanowiły kompozycję plam różowych i łuszczących się brązowych, aż wreszcie przyszło nam do głowy, że musimy oddzielić się od słońca warstwą tkaniny. Z braku czegoś lepszego kupiliśmy dwie męskie koszule, podwinęłyśmy je na odpowiednią długość, i w tym zdecydowanie niestylowym stanie wyprawiłyśmy się do starożytnych ruin Knossos, chwiejąc się pod przeciążonymi, niewprawnie spakowanymi plecakami i stosem książek z biblioteki o starożytnej Grecji, które uparłam się zabrać ze sobą.

Nie muszę dodawać, że nie rozpoznałam absolutnie niczego w miętowej galaretkie krajobrazu, przez który w tej chwili jechałyśmy, a już zdecydowanie nie doznałam niegdysiejszego dreszczu, że tu jestem.

– Przepraszam was bardzo – powtarzała Rebecca, gdy wychylała się, by jak szalona ścierać parę z okna garścią papierowych ręczników. – Normalnie można stąd zobaczyć północne wejście. – Zerkając nerwowo na Nicka, szybko przeszła do wyjaśniania, że tę część starożytnego pałacu zrekonstruowano wraz z oszałamiającymi czerwonymi kolumnami i że stanowisko archeologów nie jest stosem kremowych gruzów, jak można by oczekiwać. – Mamy nawet potwora – dodała z dumą. – Przeróżającego Minotaura. Ale obawiam się, że dzisiaj go nie zobaczycie. Najwyraźniej nie lubi moczyć sierści.

– Minotaur? – spytał Nick. – Brzmi znajomo.

– Pół człowiek, pół byk. Żył tu w dawnych czasach. – Rebecca posłała mu kolejne zagadkowe spojrzenie. – Spytaj Dee, ona jest specjalistką od mitologii.

Gdy wreszcie wjechaliśmy na parking, na próżno się rozglądałam w poszukiwaniu okazałej willi, którą Rebecca tak często mi opisywała. Dojrzałam tylko zamazaną sylwetkę bielonego kompleksu przypominającego motel, otaczającego nas na kształt podkowy.

– Wiem, że to nie Willa Ariadne – Rebecca czytała w moich myślach – ale pomyślałam, że tak będzie lepiej. – Zawahała się, bo prawdopodobnie zdała sobie sprawę, że niemądrze się wdawać w szczegóły w obecności Nicka, i podjęła już radośniej: – Dobrą stroną jest to, że większość pokoi stoi pusta, a poza tym do stanowiska mamy rzut kamieniem. Kiedy mgła się rozejdzie, zobaczycie stąd ruiny pałacu.

Pomimo moich min i szeptanych wskazówek Rebecca umieściła Nicka w pokoju gościnnym tuż obok mojego. Nie w tym rzecz, że nie zauważyła moich znaków. Ona je po prostu zignorowała.

– Mam już tego dość – syknęła, gdy wreszcie zostałyśmy same. – Co się dzieje, na miłość boską?

Aż nadto świadoma, że od Nicka oddziela nas tylko cienka ściana, zaktualizowałam jej wiedzę, jak się dało, potwierdzając, że to rzeczywiście dokładnie ten sam Nick, o którym jej mówiłam przez telefon – oszust, który nie ujawnił, że pracuje dla Fundacji Agrab.

– Wciąż nie mam pojęcia, co on tu robi – zakończyłam – ale jestem pewna, że bransoleta to tylko pretekst. Pewnie próbuje rozgryźć, dlaczego zmieniałam lot i czy to jest powiązane z wydarzeniami w Algierii.

Rebecca patrzyła na mnie bez przekonania.

– Nadal nie rozumiem. Naprawdę ukradłaś tę bransoletę?

– Bex! – zaczęłam się śmiać, ale ona do mnie nie dołączyła. W świecie Rebekki, która przecież była archeologiem, zatrzymywanie dla siebie wydobytych artefaktów stało w jednym rzędzie z morderstwem.

„No, może nie morderstwem – powiedziała kiedyś, zdając sobie sprawę, że przesadziła, przeczytawszy jakąś ciekawostkę w tygodniku – ale kiedy czytam o takich rzeczach, że jakiś bezcenny artefakt został znaleziony w wielkim majątku zmarłego kolekcjonera, to jakbym czytała o porwanym dziecku, które piętnaście lat było przetrzymywane w czyjejś szopie”. Naturalnie wiadomość, że jej najlepsza przyjaciółka może należeć do takich właśnie porywaczy, wywołała u niej ogromny wstrząs.

– Nie gadaj bzdur – powiedziałam, trochę się złoścąc, że uznała mnie za zdolną do takich rzeczy. – To bransoleta babci, nie pamiętasz? – Wyciągnęłam ramię, żeby jej pokazać.

– Pamiętam – powiedziała po chwili. Potem podniosła na mnie wzrok, w którym dojrzałam ciężkie oskarżenie. – Tylko nie wiedziałam, że ją

odziedziczyłaś.

Podeszłam do okna. Na dworze deszcz dawno temu zamienił niewielki parking w jezioro zasilane ze wszystkich stron strumykami błota, a lepka popołudniowa mgła nie pozwoliła mi zobaczyć nic poza mieszkaniem po drugiej stronie podwórka. Chociaż byliśmy w Knossos, gdzie znajdował się starożytny pałac minojski i największa atrakcja turystyczna Kreta, wydawało się, że jest tu dziwnie pusto. Pomimo paskudnej pogody najwyraźniej w tym właśnie okresie należało tu przyjeżdżać, jeśli ktoś chciał uniknąć tłumów.

Chodziłam po tym stanowisku tylko raz, w tamten cudowny dzień dziesięć lat temu, z Rebeccą. O dziwo wtedy to ja bardziej się ekscytowałam tym miejscem.

Dzięki babci dawno temu postanowiłam, że będę studiować historię starożytną, i już wyobrażałam sobie, że zostanę specjalistą od cywilizacji epoki brązu.

Uzbrojone w kilka książek oraz jedną butelkę wody na spółę, spędziłyśmy wiele godzin na studiowaniu fundamentów pałacu, zachwycaniu się zrekonstruowanymi apartamentami królewskimi i znaleziskami z podziemnych spiżarni. Natrząsając się z turystów, którzy spieszyli w tę i z powrotem, nie odrywając oczu od przewodnika, obeszlśmy całe stanowisko, by w pełni docenić ogrom antycznej budowli. Wymyślałyśmy sobie, że zostaniemy tu na noc, po zamknięciu pałacu, by obejrzeć ruiny w świetle księżyca.

„Przysięgam na Boga – powiedziała wówczas Rebecca, tęsknie odchodząc tyłem, gdy strażnicy zamknęli za nami bramę – że wrócimy i spędzimy tu noc, choćby to miała być nasza ostatnia”.

Gdy teraz stałam przy oknie pokoju gościnnego, wyteżając wzrok, tamte wesołe, słoneczne dni wydawały się naprawdę dalekie.

– Cóż – powiedziałam wreszcie, bo wiedziałam, że Rebecca wciąż czeka na wyjaśnienie – pewnego dnia przyszła pocztą. Pewnie babcia chciała, żebym ją miała.

Rebecca była tak wstrząśnięta, że zerwała się na równe nogi.

– Nie do wiary, że nigdy mi nie powiedziałaś! Dlaczego nie... jak ona to zrobiła?

– Bex – powiedziałam, nagle przytłoczona zmęczeniem. Ostatniej nocy prawie nie spałam, i teraz wszystko mnie dopadało: koszmar z Algierii,

długa droga do Dzerby i szok ponownego spotkania z Nickiem. – Nie marnujmy teraz na to czasu. Opowiedz mi o tym glinianym dysku. Zrobiłaś zdjęcie?

Rebecca chwyciła się za głowę, jakby zmiana tematu sprawiła jej fizyczny ból. Potem poszła po swój laptop i pokazała mi kilka zdjęć owalnego przedmiotu.

– Proszę. To maksymalna ostrość.

Przyglądałam się fotografii, ale nie byłam nawet w stanie potwierdzić, czy na dysku znajdują się symbole z zeszytu babci.

– Masz rację. To na nic. Gdzie jest ten dysk?

Rebecca się skrzywiła.

– Nie jestem już pewna, czy to dobry pomysł...

– Bex! Właśnie przyleciałam z drugiego końca Morza Śródziemnego...

– Wiem! – W rozdrażnieniu wyrzuciła ręce w górę. – Dobra, już ci wyjaśniam: wiem, że mówiłaś, że mam tego nie robić, ale...

– Pokazałaś zdjęcie Ludwiga panu Telemakhosowi? – To nawet nie było pytanie. Przy całej swojej etyce zawodowej Rebecca nie była w stanie zachowywać tajemnic. Nawet jako dziecko świadomie trzymałam ją z dala od mojej matki, jeśli szykowałyśmy jakieś figle, żeby nie wyjawiała naszych planów w najmniej odpowiednim momencie. A jako dorosła czasami się zastanawiałam, czy może mój nieco niepokojący talent do dyskrecji rozwinął się jako niezbędne antidotum na wylewność mojej przyjaciółki.

Jeśli chodzi o pana Telemakhosa, należał on do tych nieprzewidywalnych quasi-naukowców, których starałam się unikać. Rebecca – która uległa zauroczeniu jego osobą w czasie sympozjum podyplomowego w Atenach – nieustannie powtarzała, że ta grecka wyrocznia, jak o nim mówiła, chciałaby mnie poznać i może byłaby zainteresowana współpracą nad pewnym projektem. Ale do tej pory nie uczyniłam żadnego ruchu, żeby poznać ekscentrycznego samouka, po części dlatego, że podróż do Grecji nie mieściła się w moim budżecie, a po części, że bałam się, że powiązanie naszych nazwisk może zaszkodzić mojej reputacji zawodowej. „Nie wiąż się z takim szarlatanem – powiedziała Katherine Kent, gdy poprosiłam ją o opinię. – On nie ma żadnych kompetencji ani żadnych publikacji...

to nauczyciel szkolny, na miłość boską!” Rebecca, choć na co dzień obsesyjna akademicka purystka, nie miała takich obiekcji; pan Telemakhos

był przyjaznym wujkiem, którego nigdy nie miała i – niewątpliwie – entuzjastycznym odbiorcą nadwyżki plotek.

– Wysłałam mu mejla. – Rebecca nie wyglądała na ani trochę skruszoną.

Wręcz sprawiała wrażenie triumfującej. – A ty powinnaś mi za to podziękować.

Gdyby nie on, nigdy bym się nie dowiedziała, że ten dysk tu jest. Mówię ci, ten człowiek pamięta absolutnie wszystko. Od razu rozpoznał, że pismo na twoim zdjęciu jest identyczne z symbolami na dysku w naszym magazynie, a widział ten dysk tylko raz, dwadzieścia lat temu. Niesamowite. Problem tylko w tym – zerknęła na zegarek i skrzywiła się – że nasz kierownik nie może o tym wiedzieć, a wraca jutro wczesnym rankiem.

– Dlaczego nie może wiedzieć?

Rebecca zmrużyła powieki.

– Bo mnie nie cierpi. Jestem pewna, że całymi dniami preparuje powody, żeby mnie zwolnić. – Odwróciła się i wyjrzała za okno. – Wiesz, jaka jestem.

Kiedy ludzie źle datują albo zawyżają wagę znaleźiska... nie umiem trzymać gęby na kłódkę.

Czekałam, aż rozwinie temat, ale ona tylko westchnęła.

– To przykre – powiedziałam w końcu, zagłuszając głos w swojej głowie, który mi przypominał, że już to wszystko kiedyś słyszałam. Od najniższego rangą nowicjusza po najwyższego profesora nikt nie mógł się uchronić przed namiętną miłością Rebekki do faktów. Pozostawało dla mnie nieustającą zagadką, jakim cudem pan Telemakhos zdołał sprostać jej wyśrubowanym standardom. – Ale jesteś tu od trzech lat – ciągnęłam. – Można wręcz powiedzieć, że to miejsce należy do ciebie.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Już nie. – Gdy tak stała w starej sukience, z włosami jeszcze ociekającymi deszczem, wyglądała jak dziewczynka, którą tak dobrze znałam, a chyba zapomniałam – córka pastora, rozpaczliwie udającą przed światem odważną osobę, ale tak naprawdę, w głębi serca, bardzo przestraszona.

– No dobrze. – Wstałam. – To od razu chodźmy go obejrzyć.

Rebecca pokręciła głową.

– To nie takie proste. Może powinniśmy poprosić Nicka...

– Wykluczone! – Wpatrywałam się w nią, zastanawiając się, jakim cudem

nie zjednałam jej do swoich podejrzeń wobec Fundacji Aqrab. – Ktoś w Dubaju jest żywo zainteresowany pismem babci. I dopóki ten ktoś nie zgłosi się do mnie osobiście i nie powie, co się do cholery dzieje i co w tym wszystkim robią Amazonki, nie dam im absolutnie nic. Owszem, odczytałam napis w świątyni, owszem, zapłacili mi za to, ale na tym koniec. Nie dam się nakłonić do ponownej pracy dla nich, i na pewno nie za darmo. Ten dysk to nie jest sprawa Nicka. Jasne?

– Skoro tak mówisz... – Rebecca zagryzła wargę w niemym sprzeciwie. – Ale nie zdążymy go zobaczyć przed kolacją.

– Powiem ci, co zrobimy. – Zaczęłam krążyć po pokoju, żeby łatwiej zebrać myśli. – Ty zajmiesz czymś Nicka, a ja obejrzę dysk sama. W ten sposób będę miała pewność, że mnie nie śledzi. A kiedy jutro przyleci twój uroczy kierownik, ja zniknę. I po wszystkim. – Spojrzałam na Rebecę z entuzjazmem, już lubiąc swój plan. – Gdzie ten dysk jest, bo nie pamiętam?

– Właśnie. – Rebecca uśmiechnęła się z zażenowaniem. – To jest problem.

Zjedliśmy wczesną kolację w tawernie Pasiphae przy drodze niedaleko ruin Knossos. Deszcz wreszcie ustał, wszystko się po nim zrobiło mokre i dość zimne, a gdy siedzieliśmy wśród kapiących drzew oliwnych na patio, mandarynkowa eksplozja zachodzącego słońca przedarła się przez resztki mgiełki, żeby przypomnieć nam, kto rządzi na niebie.

– Opowiedz mi więc coś jeszcze o Minotaurze – powiedział Nick w pewnym momencie, patrząc na mnie wyczekująco. – Pół człowiek, pół byk. Która połowa jest która, tak się zastanawiam.

– Och, nieważne. – Odwróciłam wzrok, wciąż zdenerwowana jego obecnością. – To słaby temat przy obiedzie.

– Dlaczego? – Zwrócił się do Rebekki: – Chcę tylko wiedzieć, jak został półbykiem. To mnie intryguje.

– No dobra. – Uśmiechnęła się do niego, imponując mi, że zachowuje się, jakbyśmy nie miały tajnych planów w zanadrzu. – Zgodnie z mitem tutejszy król, w Knossos, miał żonę Pazyfae, po której imię dostał ten przybytek, co jest trochę niepokojące. – Rebecca ruchem głowy wskazała wejście do tawerny i wiszący nad nim szylt. – Bóg raczy wiedzieć, co się naprawdę stało z tą nieszczęsną kobietą, ale legendy mówią, że zakochała się w byku, a w rezultacie narodził się potwór z głową byka i ciałem człowieka.

– Jak to „w rezultacie”?

– No cóż... – Słowo honoru, Rebecca się zarumieniła. – Królowa, podobno, zamówiła wydrążoną krowę z drewna i kazała ją postawić na polu w pobliżu byka.

Zapewne uznała, że dzięki temu... jej zaloty przebiegną sprawniej. W każdym razie ostatecznie urodziła makabrycznego, ludożerczego Minotaura, którego trzymano w ciemnym labiryncie w podziemiach pałacu. Legenda mówi, że Ateńczycy byli zobligowani wysyłać potworowi na Krete siedmiu chłopców i siedem dziewcząt każdego roku, i robili to posłusznie rok w rok, aż bohaterski Tezeusz przeniknął do grupy, zabił Minotaura i za pomocą kłębka wełny zdołał znaleźć wyjście z labiryntu.

– Jak wyjaśnić taki mit? – chciał wiedzieć Nick. – Czy on ma korzenie w faktach historycznych?

Rebecca się rozpromieniła. Takie pytania wręcz uwielbiała.

– Niewątpliwie – odparła – tu na Krecie istniał w starożytności kult byka i nie można wykluczyć, że towarzyszyły mu praktyki składania ofiar z ludzi wykonywane przez kapłanów w maskach byka. Stąd, prawdopodobnie, przerażająca postać Minotaura.

– A labirynt? Ciągłe istnieje?

– W pewnym sensie. – Rebecca ruchem głowy wskazała ruiny pałacu. – Większość archeologów uważa, że słowo „labirynt” odnosiło się po prostu do samego pałacu. W końcu był to ogromny, rozległy budynek i przybyszom musiał się wydawać niebywale groźny, nawet bez dodatkowych atrakcji w rodzaju Minotaura. – Urwała, by spojrzeć na mnie, a ja wiedziałam, że myślimy o tym samym. Pod ruinami znajdował się drugi labirynt, ciemne, posępne miejsce znane tylko nielicznym wtajemniczonym.

– Dla wielu archeologów to śliska sprawa – wtrąciłam się, przestraszona, że Rebecca straci zimną krew. – Jak wyjaśnić, że ta podobno szczęśliwa, pacyfistyczna społeczność minojska składowała ludzkie kości ze śladami po nożu, ukryte w świętych grotach pod ziemią?

– Te znaleziska mogły być wyjątkami – powiedział Nick.

Rebecca kiwnęła głową.

– Mogły. Ale jak zawsze powtarza mój przyjaciel pan Telemakhos, wyjątki wyjątkami, a znaleziska są jak mrówki: tam gdzie zobaczysz jedną, na pewno pojawi się kolejne dwadzieścia.

– A co z królową od byka? – spytał Nick, dolewając wszystkim wina. – Jak

naukowcy się z tym mierzą?

– Najprawdopodobniej – odezwałam się w nadziei, że zapobiegnę powrotowi do tematu – to kolejna zmyślona historia szkalująca kobiecą namiętność.

– Albo – wtrąciła się Rebecca, która po prostu musiała podzielić się swoją wiedzą, szczególnie w tak pikantnym temacie – kult byka obejmował także element – znowu się zarumieniła – *hieros gamos*, że powiem po grecku.

– Nie znam greki – stwierdził Nick.

Na co Rebecca uśmiechnęła się z lubością, a na jej policzkach po raz pierwszy od wielu godzin pojawiły się dołeczki.

– Mogę cię nauczyć.

– Czego? – spytał Nick, też z półuśmiechem. – *Hieros gamos* czy greki?

Opadłam na oparcie krzesła, patrząc z niedowierzaniem, jak ta dwójka z obopólną radością ćwiczy greckie wyrażenia. Nie po raz pierwszy widziałam, jak moja przyjaciółka zrzuca posępny kokon po kilku kieliszkach wina, ale z osłupieniem patrzyłam, że Nick bierze w tym udział całym sercem; gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, uznałabym, że naprawdę świetnie się bawi.

I może się bawił. Może nieporadna kokieteria Rebekki odsłoniła jakąś do tej pory ukrytą stronę tego niezrozumiałego mężczyzny – stronę, której ja może nie zobaczyłam, bo nie mam tej słodkości co ona. A może to znowu jakiś głos z wysoka wywołał zmianę? Głos, który powiedział Nickowi, że ma mnie ponownie zatrudnić i podwoić moje honorarium tamtego dnia w Algierii... i który niemal na pewno poinstruował go, żeby zaczął się zachowywać przyzwoicie i śledzić mnie aż na Kretę? Czyj to był głos? Al-Aqraba? Czy też w otaczającym mnie mglistym eterze był ktoś jeszcze inny, kto poinstruował Nicka, że ma wyluzować?

– Co się stało, Diano? – spytała nagle Rebecca. – Coś z jedzeniem?

– Przepraszam bardzo – wstałam od stołu – ale tak strasznie boli mnie głowa.

Nie przeszkadzajcie sobie...

– Odprowadzę cię – zaproponował Nick, również wstając.

– Nie! Nie, dziękuję. Naprawdę, nie żartuję. – Jeszcze raz gestem dałam mu znak, żeby usiadł. – Zostańcie sobie.

Po powrocie do pokoju szybko przebrałam się w starą wiatrówkę i tenisówki, które Rebecca mi pożyczyła na nocną wyprawę. Gliniany dysk, jak

się okazało, spoczywał w magazynie tablic w tej labiryntowej części podziemi pałacu, o której rozmyślnie nie powiedziałyśmy Nickowi. Opisując mi to miejsce przed kolacją, Rebecca zrobiła wszystko co w jej mocy, by mnie zniechęcić do schodzenia na dół w pojedynkę, ale duma uniemożliwiła mi zmianę planu, nad którego zachwalaniem wcześniej tak ciężko pracowałam. Co więcej, moja ciekawość zawsze świetnie sobie radziła z roztropnością, a w tej chwili zachęcała mnie okrzykami wojennymi Amazonek.

Archeolodzy pracujący w Knossos uważali magazyn tabliczek za skład nieświadomości zbiorowej. W jego ścianach spoczywały setki glinianych przedmiotów, przy czym większość, pokryta pismem linearnym B, okazywała się starymi listami magazynowymi. Tajemniczy dysk z symbolami pisma babci leżał tam od lat, wciśnięty w ciemny kąt; z tego co wiedziała Rebecca, wynikało, że nikt nigdy nie podjął poważnej próby odczytania wiadomości wyciśniętej tak starannie w glinie ponad trzy tysiące lat temu.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć – stwierdziła w reakcji na mój sceptycyzm – ale pan Telemakhos mówi, że kiedyś krążyła pogłoska, że akurat ten dysk jest przeklęty. Niektórzy spośród ludzi, którzy go dotknęli, ulegli wypadkowi i... – Rebecca przewróciła oczami lekceważąco. – Wiesz, jak to działa. Może dlatego od tak dawna leży w magazynie.

Gdy zbierałam rzeczy potrzebne na wyprawę – torbę, latarkę, i kłębek włóczki, na którego wzięcie nalegała Rebecca – słyszałam cichy głos mówiący, że nie powinnam tak węszyć zaraz po strasznych przejściach w Algierii. Ale wiedziałam, że inaczej się nie da; obiecałam Rebecce, że wyjdę z podziemi przed świtem, i na pewno nie chciałam powiedzieć Nickowi o dysku, dopóki się nie dowiem, co jest na nim napisane. Nie tylko z powodu jego powiązań z Fundacją Aqrab, lecz także dlatego, że za Nickiem – jak sam przyznał – podążali złodzieje grobów i terroryści, więc jego udział zmniejszyłby moje szanse na rozwiązanie zagadki tajemniczego pisma babci.

Wzięłam też ze sobą dziesięć tysięcy dolarów, które Nick dał mi w Algierii, bo po bezskutecznym poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki uznałam, że najlepiej będzie schować je do torby i zabrać ze sobą. Nie czułabym się swobodnie, zostawiając tyle gotówki w pokoju, parę metrów od człowieka, który przyciągał złodziei.

Zanim wyruszyłam, zrobiło się prawie ciemno. Zgodnie z instrukcjami Rebekki pospieszyłam przez błotnisty parking, by przez dziurę w ogrodzeniu przekraść się na teren stanowiska archeologicznego. Kiedy jej słuchałam, wydawało się to takie łatwe. A gdy z trudem się przeciskałam przez niewielki otwór, połamana blacha szarpała mnie za włosy i ubranie, przypominając mi, że jestem znacznie większa od przyjaciółki.

Brnąc przez grząski grunt, w miarę możliwości starałam się stawiać stopy na rozrzuconych kamieniach i sterczących skałach, ale pomimo moich wysiłków zimna wilgoć szybko przesiąkała przez tenisówki Rebekki – nim dotarłam do opisanej przez nią szopy, nogi miałam zupełnie mokre.

Z trudem pokonywałam drogę wzdłuż nieregularnej fasady, jeszcze nie włączając latarki ze strachu, że mnie ktoś zobaczy. Gdy wreszcie znalazłam wejście, wemknęłam się do środka, jak się dało najciszej, i modliłam się, by nikt nie usłyszał pisku zniszczonych starych zawiasów zamykających się za mną drzwi.

Szopa powitała mnie tym szczególnym przemożnym odorem pleśni, która zwykle zapowiada pajęczyny; niemal od razu się cofnęłam. Według Rebekki właśnie to był najbezpieczniejszy dostęp do zejścia do podziemi starożytnego pałacu. Istniały inne wejścia, ale skorzystanie z nich łączyło się ze zbyt wielkim ryzykiem. Prawdę mówiąc, kiedy włączałam latarkę i zobaczyłam prowizoryczne drewniane schody znikające w podziemiach u moich stóp, nagle zrozumiałam, dlaczego nienawistny kierownik Rebekki uznał odwiedzanie magazynu tabliczek po godzinach i bez zezwolenia za przestępstwo karane śmiercią.

Z sercem galopującym z nerwów wyjęłam plan, który narysowała mi Rebecca, i ruszyłam ostrożnie po chybottliwych stopniach. Na dole zawahałam się chwilę i światłem latarki spenetrowałam zatechłe ciemności, próbując rozgryźć, w którą stronę obrócić mapę.

Na prawo i lewo ciągnął się pogrążony w mroku starożytny korytarz.

Bardziej przypominał długą nieregularną jaskinię niż coś zbudowanego przez człowieka i najwyraźniej stanowił tylko niewielką część ogromnego kompleksu pomieszczeń magazynowych pod starym pałacem. Od razu poczułam dyskomfort i dezorientację i wreszcie zrozumiałam, dlaczego Rebecca kazała mi wziąć kłębek włóczki.

Wyciągnęłam go z torby i uklękłam, by zgodnie z jej zaleceniem

przywiązać koniec do dolnego stopnia. Potem ruszyłam tunelem, który miał mnie doprowadzić do magazynu tabliczek. Świeciłam latarką jak najdalej przed siebie i stopniowo rozwijałam włóczkę. Wymagało ode mnie maksymalnej samokontroli skupianie się na mapie i niewielkim oświetlonym odcinku drogi. Nieraz musiałam na głos przypomnieć sobie cel wyprawy, żeby zagłuszyć ostre, rywalizujące głosy moich nieoswojonych strachów.

– Gliniany dysk. Magazyn tabliczek.

Chociaż wychowano mnie tak, że drwiłam z duchów i potworów, mimowolnie czułam, że są wszędzie dokoła i czekają, aż uznam ich istnienie. Za każdym razem, gdy skręcałam za następny ciemny róg albo przechodziłam kolejne szeroko otwarte drzwi, wychwytyując zapach pleśni albo zgnilizny, przygotowywałam się na jakiś straszliwy widok. Nad kolacją łatwo było zbyć dawne legendy o pożerającym ludzi ogrze czającym się w labiryncie pałacu Knossos i mówić racjonalnie o kapłanach w maskach i makabrycznych rytuałach.

Zupełnie inaczej wyglądało to tutaj, na dole, gdy w pojedynkę stąpałam ostrożnie przez pradawne jaskinie, w których zrodziły się takie obrzydliwe historie.

Gdy wreszcie dotarłam do magazynu tabliczek, z całego kłębka został mi mniej więcej metr włóczki. Otworzyłam ciężkie drewniane drzwi tajnym kluczem Rebekki, przywiązałam koniec włóczki do klamki i niepewnie weszłam do środka, świecąc dokoła latarką.

Przez ciemny labirynt musiałam iść przygarbiona, więc teraz z ulgą wyprostowałam się w dość dużym kanciastym pomieszczeniu z kamiennymi półkami zasłaniającymi wszystkie ściany od góry do dołu... półkami pełnymi glinianych tablic, setek dosłownie, ustawionych jedna przy drugiej jak książki w bibliotece.

Włączyłam górne światło i na chwilę oślepiły mnie halogenowe żarówki zwisające z metalowej siatki na nastawnych tyczkach. Większość lamp była skierowana prosto na stół utworzony z dwóch kozłów i wielkich niebieskich drzwi.

Przy tym raczej mało imponującym stanowisku roboczym najwyraźniej pracował każdy, kto akurat miał coś wspólnego z tabliczkami, a jednak panował tu nienaganny porządek. Nie zostawiono tu żadnych papierów,

długopisów, nawet butelki po wodzie, choć to nie było szczególnie zaskakujące. Według słów Rebekki kierownik co rano o wschodzie słońca przeprowadzał inspekcję.

Sprawdziłam instrukcje skreślone na mojej mapce i zaczęłam szukać glinianego dysku na półkach w najdalszym kącie pomieszczenia. Stał dokładnie tam, gdzie wskazała Rebecca: na wyciągnięcie ręki. Wsunięty między inne tabliczki podobnej wielkości i tak się dość znacznie od nich różnił, jako że należał do nielicznych w całym zbiorze okazów okrągłych.

Trzymając go wreszcie w dłoni, zaniósłam go do stołu i z wielką ostrożnością położyłam na niebieskich drzwiach. Czerwonawa glina była pokruszona na skraju, a cieniuteńkie pęknięcie przez środek mogłoby się okazać katastrofalne, gdyby dysk został poddany wibracjom albo nagłym zmianom wilgotności. Prawdę mówiąc, poczułam nagle wyrzuty sumienia, że badam go bez rękawiczek ochronnych i przenośnego odwilżacza.

Pochylona nad stołem, uważnie przyglądałam się maleńkim symbolom, które zostały wyciśnięte spiralnie w glinie. Pomimo lamp halogenowych pismo było trudne do odczytania; nic dziwnego, że zdjęcia Rebekki wypadły tak marnie.

A jednak dość szybko potwierdziłam, że ona i pan Telemakhos mają rację – symbole pasowały do tych z Algierii i z zeszytu babci.

Nie mogłam wytrzymać. Drżącymi rękoma wyjęłam zeszyt. Obiecałam Rebecce, że nie zostanę w magazynie dłużej, niż to absolutnie konieczne, że skopiuję napis na papier, i tyle, nie będę próbowała odczytać go, dopóki bezpiecznie nie wrócę na górę. Ale... teraz, gdy wreszcie się tu znalazłam, cała drżąc z podniecenia, po prostu musiałam trochę uszczknąć ze swojej zdobyczy.

Wertując zeszyt, rozpaczliwie odszyfrowywałam pierwsze słowo wycięte w glinie. Po tak intensywnej pracy z tymi symbolami, wszystkie teraz wydawały mi się podobne... a jednak tego pierwszego słowa nigdy wcześniej nie widziałam.

– Aha! – powiedziałam głośno, gdy wreszcie znalazłam to, czego szukałam.

– Królowa!

Drugie słowo jednak było o wiele trudniejsze do zrozumienia.

– Czyja królowa? – wymamrotałam, ponownie wertując zeszyt. – Jaka

królowa?

Ale tego słowa nie znalazłam. Rozczarowana, wróciłam do dysku, gotowa przejść do trzeciego słowa. Ale coś w tym drugim – może trzysylabowym imieniu – nie dawało mi spokoju...

W końcu otworzyłam laptop, by sprawdzić notatki z Algierii. I tam je znalazłam, pośród wielu nierozwiązanych zagadek pogrzebanej świątyni: to samo trzysylabowe słowo, pojawiające się na końcu ostatniej ściany. Zgodnie z moimi notatkami niemal na pewno było to imię kapłanki, która przejęła dowodzenie po napaści. Niestety jej dalsze losy zniknęły w luce wykruszonego tynku.

A jednak tu się pojawiła ponownie, w pałacu w Knossos. Teraz jako królowa.

Ledwo panując nad ekscytacją, wyjęłam aparat i zrobiłam kilka zdjęć dysku, zanim starannie przepisałam jego spirale symboli na papier. Potem, przypomniawszy sobie, że mam wrócić jak najszybciej, odłożyłam delikatną tabliczkę na miejsce i spakowałam swoje rzeczy. Myślam byłam kilometry stąd, a w każdym razie w swoim pokoju, i już tłumaczyłam resztę tekstu. Wyjęłam latarkę i podeszłam do drzwi. Gdy tylko je otworzyłam, gwałtownie musiałam wrócić do rzeczywistości.

Bo koniec włączki, który tak pieczołowicie przywiązałam do klamki, zniknął.

ROZDZIAŁ 19

KRETA

Trojanie cumowali w Porcie Wschodnim, tuż obok plaży, na której Myrina wygrała pięć miedzianych monet. Gdy podążała z siostrami za posłańcem przez wieczorne tłumy, mimowolnie czuła rosnący niepokój na myśl, że znowu stanie twarzą w twarz z młodym mężczyzną, który sobie z niej żartował w obecności towarzyszy. Co gorsza, obawiała się, że jedynym powodem, dla którego ją zaprosił, jest chęć ponownego z niej dworowania.

Tak czy owak jednak nie była w stanie odrzucić zaproszenia. Trojański posłaniec odmalował kuszący obraz jadła i napoju, i po tylu dniach spędzonych na morzu, po tylu rozczarowaniach, Myrina wiedziała, że ważniejsze od jej odczuć są odczucia jej sióstr.

– Patrzcie! – Pitana w podnieceniu wskazała ogromny statek przed nimi.
– Widziałyście kiedyś coś tak niesamowitego?

Przy trzech trojańskich statkach rzeczywiście pozostałe w porcie wydawały się niewielkie. Równie wysokie, jak szerokie, z rzeźbionymi dziobami upiększonymi kunsztownymi zdobieniami, mogły nieść potężne żagle i każdy miał na rufie coś, co wyglądało jak dom.

– Tędy, proszę. – Posłaniec poprowadził je do środkowej jednostki i ruszył po trapie przed Myriną. – Nie bójcie się. To bezpieczne.

Najwyraźniej miał na myśli długą deskę, po której szli, a która trzęsła się, ilekroć ktoś postawił na niej stopę. Ale Myrinę mniej martwił trap, a bardziej grupa groźnie wyglądających strażników czekających na górze.

– Witajcie na pokładzie – powiedział wysoki brodaty mężczyzna, którego Myrina widziała wcześniej na plaży. – Oddajcie broń, proszę.

Stało się jasne, że strażnicy czekali na kobiety, by je rozbroić przed obiecaną ucztą, a Myrina czuła, że siostry wpatrują się w nią, bo nie wiedzą,

jak zareagować.

Wiedziały, że ich przywódczyni niechętnie oddaje łuk, a już na pewno nóż, ale te okoliczności były niecodzienne.

– Nie podoba mi się to – wyszeptała Animone. – Może to są handlarze niewolników.

– Może. – Myrina zerknęła na brodacza, wyczuwając za zbrojną pozą łagodne serce. – Ale wątpię. – Odwiązała łuk i kołczan. – Róbcie, co mówi.

Gdy skończyły, stos broni legł na pokładzie, zwieńczony imponującym nożem myśliwskim Myriny.

– No dobrze – powiedział posłaniec, któremu oczy wychodziły z orbit przy każdej włóczni i ukrytym sztylcie kładzionym na stosie. – Chodźcie ze mną.

Zabrał je do domu na rufie, który okazał się konstrukcją podobną do namiotu. Do relingów na przeciwległych burtach statku przyczepiono solidne płótno, a całość pośrodku podparto wysoko drewnianymi tyczkami. W efekcie powstało otwarte trójgraniaste pomieszczenie, na którego obrzeżach postawiono niskie ławy. Pokład wyłożono wykwintnymi tkanymi kobiercami. Na tych kobiercach stały rzędy półmisków wypełnione jedzeniem, a na ławach siedziało kilkunastu świetnie odzianych mężczyzn wpatrujących się w kobiety z wielką ciekawością.

U szczytu pomieszczenia, na osobnym krześle, plecami do wyniesionego dziobu siedziała królewska postać odziana w błękit, ze złotym kielichem w ręku.

A więc to naprawdę on, pomyślała Myrina, czując falę gorąca, gdy ich oczy się spotkały ponad obfitością jadła. Mężczyzna, który ścigał ją przez miasto tylko po to, by spojrzeć na jej brudną twarz, był wysoko urodzonym księciem. Witał je protekcyjnym skinieniem głowy, gestem wskazał, by usiadły, a sądząc z wyrazu twarzy, czerpał wielką przyjemność z zaprezentowania jej swojej pozycji, przede wszystkim z obserwowania jej reakcji.

– Dalej – syknęła Egee, pchając ją naprzód. – Umieram z głodu.

Podążając za przykładem Myriny, kobiety usiadły bezpośrednio na kobiercach, nerwowo tuląc się do siebie, niczym zajęte osaczone przez lisy.

Chociaż Myrina próbowała nie patrzeć na mężczyzn siedzących na ławach, czuła ich ciekawskie, pożądliwe spojrzenia, a gdy zobaczyła, jak Egee sięga po oferowany kosz z chlebem, wyrwała się do przodu, by odepchnąć jej

rękę.

– Niczego nie dotykajcie – wyszeptała do towarzyszek – dopóki się nie dowiemy, jaką rolę mamy dzisiaj odegrać. – Następnie podniosła się na kolana i skłoniwszy głowę przed księciem, powiedziała: – Dziękujemy za zaproszenie. Nie wątpię, że nie zasługujemy na twoją łaskawość.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, jakby wyłącznie do niej.

– W moich stronach mówi się: jeśli musisz uderzyć, dopilnuj, by ból nagrodzić pocałunkiem.

Te słowa chwilę wisiały w powietrzu, powtarzane przez śmiejących się mężczyzn. Ale tylko Myrina wiedziała, co Parys ma na myśli; to ona była mu winna pocałunek, bo to ona uraziła jego godność, uciekając i wyciągając na niego nóż.

– Rozumiem – powiedziała, siadając ponownie, a gorące fale zakłopotania pulsowały na jej policzkach. – I dlatego właśnie muszę przeprosić. Rozumiesz, nie należymy do kobiet, z którymi jakikolwiek mężczyzna mógłby wymieniać pocałunki. Jesteśmy świętymi siostrami i jako takie tu przybyłyśmy. A zatem o ile nie czerpicie przyjemności ze słuchania świętych pieśni – pełnym żalu gestem wskazała jedzenie – nie zdołamy należycie się odwdzięczyć za ten posiłek.

Przystojna twarz Parysa skrzywiła się z irytacji.

– I znowu muszę pochwalić precyzyjność twego strzału. Gdybym był człowiekiem małostkowym, powiedziałbym, że zostałem obrażony. Ale – uśmiechnął się i rozłożył ramiona – nie jestem. Więc uspokójcie się, panie, i radujcie naszym hołdem dla waszej świętości. Nie lękajcie się – spojrzał Myrinie prosto w oczy z prowokującym wyzwaniem – że wypełnimy was czymkolwiek innym niż strawa.

I pozwolił im się posilić w spokoju. W pomieszczeniu rozległo się skrobanie łyżek o gliniane misy, a także skrzywienie lin i plusk wody, ilekroć fala szarpała wielkim statkiem i sprawdzała wytrzymałość cum. Od czasu do czasu mężczyźni wymieniali jakieś niezrozumiałe słowa, ale księżę Parys milczał, nie odrywając spojrzenia jasnych oczu od Myriny z cierpliwą czujnością odpoczywającego drapieżnika.

W połowie posiłku dwóch chłopców przeszło cicho przez pomieszczenie, by rozpaść bezlik maleńkich glinianych lampek oliwnych – mrok zmierzchu natychmiast się rozproszył. Mężczyźni sięgnęli teraz po słodycze i placki z

miodem, ruszył dokoła mosiężny dzban z ciemnym, dziwnie pachnącym płynem.

Chociaż każde danie było przepyszne, Myrina prawie nie zwracała uwagi na to, co je. Zbyt była ciekawa mężczyzn, by nie przyglądać im się ukradkiem – intrygował ją ich język, wygląd i zachowanie. Skądkolwiek pochodzili, Trojanie najwyraźniej byli narodem cywilizowanym, rysy zaś mieli równie przystojne jak maniery nienaganne. Wszystko w nich zdradzało bogactwo i swobodę – statki, wyposażenie, jedzenie – a im dłużej Myrina słuchała spokojnego tonu ich rozmowy, tym bardziej się wstydziła swoich początkowych obaw. Pomyśleć, że wyczuwała lubieżność i wyrachowanie, gdy tu weszła... najwyraźniej to wszystko istniało tylko w jej głowie. Nieważne, ile dni ci mężczyźni spędzili na morzu i jak bardzo tęsknili za dotykem kobiety, nie zamierzali pogwałcić świętych zasad gościnności; ba, ona zawiodła jako gość, pozwalając sobie na takie strachy.

Pod koniec posiłku Myrina podniosła wzrok i przemówiła do Parysa tonem w zamierzeniu pełnym skruchy.

– Okazaliście nam aż nadto uprzejmości – powiedziała, kładąc rękę na piersi – i nie mogę znieść myśli, że odejdziemy, zupełnie się nie odwzajemniwszy.

Pozwolisz, byśmy w podziękowaniu zaśpiewały hymn?

Księżę sprawiał wrażenie ubawionego propozycją, ale zdołał obrócić uśmiech w majestatyczną minę.

– Oszczędźcie hymnów, panie. Nic nam nie jesteście winne.

Myrina próbowała wymyślić coś innego.

– Musimy podziękować...

Parys przechylił głowę.

– Dasz mi swój łuk?

Szczerze pytanie przyprawiło Myrinę o wstrząs. Grzeczność wymagała, by spełniła jego życzenie, ale choć pragnęła okazać mu szczodrość, ledwie mogła wydusić słowo.

Widząc takie jej zmieszanie, Parys odrzucił głowę i roześmiał się głośno.

– Nie bój się! Raczej bym ci wyrwał serce, niż odebrał łuk, bo sądzę, że brak serca lepiej byś zniosła.

Myrina wpatrywała się w niego, nie do końca rozumiejąc.

Wciąż z uśmiechem, Parys wyciągnął rękę ze złotym pucharem do

jednego z usługujących chłopców, a ten natychmiast napełnił naczynie winem.

– Nie patrz z takim przerażeniem. Na co by mi był kolejny łuk? Albo kolejne serce? – Rozejrzał się i paru mężczyzn zaśmiało się, by potwierdzić jego słowa. – Nie, święty łuczniku, czy też łuczniczko... Jest w ogóle takie słowo? – Parys ściągnął usta, jakby analizował zagadnienie. – A jak ty sądzisz?

Tym razem Myrina nie dała się nabrać. Zrozumiała, że Parys szczerze chce z nią rozmawiać... a jednocześnie nie może być absolutnie szczerzy z nią przed mężczyznami, żeby nie uznali swojego pana za miękkiego i niemądrego.

Elegancki książę wydał się Myrinie zupełnie inny niż ona, tak samo jak inna wydałaby się jej każda cywilizowana istota. Nie w sensie siły i zdolności, bo on też był wysoki i sprawny, ale raczej w kategoriach ducha i postawy. Tam, gdzie ona była mroczna, on wydawał się cudownie jasny. Jego włosy i oczy miały niemal ten sam miedzianobrazowy kolor co kwiaty, których zbierania uczyła je matka, ale co najbardziej charakterystyczne, wydawał się całkowicie wolny od ciężaru losu.

Nawet o tej porze, gdy nadciągały ciemności, biła od niego hipnotyzująca bez reszty światłość. Zupełnie jakby jego ciało zachowało blask słońca... jakby ten młody człowiek, nieustannie przepelniając się dziennym światłem, chciał w pojedynkę powstrzymać nadejście nocy.

– Niewątpliwie – odezwała się w końcu – słowo zaistnieje, jeśli mu na to pozwolisz. – Widząc, że zdołała go zaskoczyć, i to mile, Myrina ciągnęła już śmieiej: – A teraz bądź tak łaskaw i wyjaw, co byś od nas chciał. Bo czegoś chcesz, jestem pewna, a jednocześnie nie mogę odgadnąć natury tego pragnienia.

Parys rozsiadł się wygodnie, ujęty jej żądaniem.

– Doskonale – rzekł ze skinieniem głowy. – Chcę wysłuchać waszej historii.

Gdzie jest wasz dom? Czy pochodzicie z narodu kobiet? Tam, skąd ja pochodzę, dawno ustała władza Wielkiej Matki i teraz mężczyzna, dumny mężczyzna rządzi niebem i ziemią. – Wyciągnął ręce, jakby prosił o wybaczenie. – Czyż można się dziwić mej ciekawości?

– Jeśli gdzieś istnieje kraina bez mężczyzn – odparła Myrina, zerkając na

swoje siostry – my przede wszystkim powinniśmy o tym wiedzieć. Jak pewnie zgadujesz, wiele przeszliśmy i spodziewamy się, że przecierpimy jeszcze więcej, bo ten świat statków i podróży nie jest dla nas łaskawy. –

Zwiesiła głowę, gdy obrazy najeźdźców w świątyni mignęły jej przed oczami. – Szczęście już dawno nas opuściło. Teraz został nam wybór pomiędzy niebezpieczeństwem a żalem, a żadne z nich nie przywróci życia istotom, które straciłyśmy.

Gdy wreszcie ośmieliła się spojrzeć Parysowi w oczy, z ulgą stwierdziła, że figlarność i rozbawienie ustąpiły miejsca szczeremu pragnieniu zrozumienia tragedii, która przydarzyła się jego gościom. Pochyliwszy się do przodu na swoim krześle, przystojny książę jakby na chwilę zapomniał o otaczających go towarzyszach. Nawet wino w pucharze stało nietknięte, gdy on czekał na dalszy ciąg opowieści.

Wyczuwając jego szczerze zainteresowanie, Myrina postanowiła rozpostrzeć u jego stóp całą mapę ich nieszczęścia ze wszystkimi wiadomymi i niewiadomymi, nie pomijając żadnych makabrycznych szczegółów. Gdy mówiła, siostry nieraz przyszły jej z pomocą, przypominając ten czy inny przerażający moment albo dopełniając żałośliwe zdanie, gdy budzące grozę słowa więzły jej w gardle.

– Tak więc widzisz – zakończyła wreszcie Myrina, ścierając łzę z policzka – chcemy tylko pozostać przy życiu. Nasze serca biją dla tych, które porwano i które niewątpliwie cierpią teraz o wiele bardziej niż my. Dokąd je uprowadzono, nie wiemy. Ale poprzysięgłyśmy sobie znaleźć je za wszelką cenę.

Gdy zakończyła opowieść, zapadła głęboka cisza. Nie było w pomieszczeniu mężczyzny, który by nie patrzył na kobiety z żalem, a Parys siedział teraz przygarbiony, zamyślony, refleksyjnie postukując w brodę knykciem.

– Podejrzewam, że najeźdźcami byli Grecy – rzekł wreszcie. – Smołowane statki, świetna broń, język, który opisałaś. – Spojrzał po swoich rodakach i zobaczył tylko ponurą zgodę. – Dzielimy z nimi północne morze i aż za dobrze znamy ich zwyczaje. – Pomruk, który przebiegł przez pomieszczenie, potwierdził jego słowa.

– Północne morze – powtórzyła Myrina. – To daleko?

Spojrzał na nią cierpko.

– Nie chodzi o odległość. Każdy może tam żeglować przy korzystnym wietrze. Ale Grecy to naród ambitny i zazdrosny. Założyli wiele miast i strzegą ich zaciekle, a najbardziej Myken, siedziby ich wielkiego króla Agamemnona.

Rozłożone na wzgórzu w głębi strzeżonej zatoki są, powiedziałbym, niezdobyte.

No chyba że ktoś dysponuje potężną flotą i armią lądową na dodatek, a wy, jak się domyślam, nie dysponujecie.

Rozczarowanie uniemożliwiło Myrinie udzielenie odpowiedzi.

– Dla Greków – podjął Parys – kobiety niemal niczym nie różnią się od bydła, a kobiety z obcych krajów są uważane za jeszcze bliższe bydłom. Dlatego piraci Agamemnona nie mają oporów, żeby napaść na świątynię w dalekiej ziemi i położyć łapy na kapłankach, i z tego powodu namawiam was, byście zapomniały o swoich poszukiwaniach. Jeśli wasze przyjaciółki jeszcze nie zginęły, na pewno umrą niedługo. Po co dodawać kolejne ciała do stosu?

Te słowa tak wstrząsnęły Myriną, że niemal osłabł jej rosnący szacunek do księcia.

– Gdybym była mężczyzną – powiedziała, prostując się – nie mówiłbyś tak do mnie. A ponieważ jestem kobietą, zakładasz, że moim życiowym celem jest wygoda i że cały mój honor to cnota. Nie winię cię, bo po prostu mówisz to, co twoim zdaniem chciałabym usłyszeć. Mylisz się jednak. Przyświecają nam wyższe cele, cele, które prowadzą nas jak gwiazdy w ciemności, mamy postanowienia, od których nie tak łatwo nas odwieść.

Te słowa zdawały się przez chwilę nieść w powietrzu, a Myrina czuła, jak jej siostry wiercą się zakłopotane, zdenerwowane, że może zadała ostateczny cios życzliwości gospodarza. Parys jednak tylko westchnął i rzekł: – Jutro spotykam się z Minosem w pałacu w Knossos. Mamy omówić interesy. Może powinnaś mi towarzyszyć i opowiedzieć mu o swoich bólach.

On jest sojusznikiem Greków, oni zaś wspierają jego władzę. Jeśli ktokolwiek może na nich wpłynąć w tej sprawie, to tylko on. O ile wasze przyjaciółki jeszcze żyją, może zdołamy je wykupić.

Na przekór wszystkiemu Myrina niemal wybuchnęła śmiechem.

– W swojej dobroci zamknęłaś oczy na mój stan. Nie sądzę, byś chciał umniejszyć swą pozycję przez towarzystwo kobiety w łachmanach.

Parys uciszył ją ruchem ręki.

– Nie widzę w tobie niczego, czego nie można by rozwiązać kawałkiem łożu.

Spędźcie tu noc, wygodnie śpiąc w tym pomieszczeniu, i zaczniście poranek śniadaniem i kąpielą w morzu. Założę się, a już wiesz, że jestem namiętym graczem, że po bezpiecznym śnie i zmianie ubrań okażesz się królową. – Uśmiechnął się, a w jego oczach znów mignęła psota. – Jeśli nie, i tak sprawię, że zaczniesz wyglądać jak królowa.

Pałac Knossos, ze swoimi kolejnymi warstwami jaskrawo barwionych dachów i kolumnad, górował nieco nad otaczającym go miastem. Wyglądał na harmonijną budowlę bez choćby kawałka fortyfikacji.

– Czy coś jest nie tak? – spytał Parys, gdy zobaczył, jak Myrina zerka przez cienkie zasłony lektyki. – Wolałabyś ujeżdżać potężnego zwierza?

Pytanie wywołało salwę śmiechu. Poranek nie szczędził radości Trojanom, poczynając od improwizowanego dramatu satyrowego na plaży, gdzie ustawili się, by strzec kąpiących się kobiet, a kończąc na komedii, w której zaprezentowano królowej Myrinie jej królewskie środki transportu.

– O bogini! – krzyknęła, cofając się w przerażeniu na widok zwierzęcia, na którym chciał ją wieźć Parys. – Cóż to jest?!

Wyższe od krowy, ale mniejsze od wielbłąda – i bardziej energiczne niż oba te stworzenia – rumaki, które Trojanie prowadzili trapez na nabrzeże, wydały się Myrinie owszem, piękniejsze, ale też bardziej kapryśne niż jakiegokolwiek inne zwierzę domowe, jakie w życiu widziała. Wyraźnie płochliwe po długim pobycie na statku, skakały i stawały dęba z zajadłością dzikich kotów, a gdy Parys potwierdził to, czego obawiała się Myrina, i powiedział, że ma ona na tym jechać, cofnęła się i pokręciła głową.

– Śmiało! – drwił z niej. – Nazwałem cię nieustraszoną. Nie rób ze mnie kłamcy. Jazda konna to najprostsza rzecz na świecie. Patrz. – Z łatwością wskoczył na konia, niezniechęcony jego parskaniem i podskokami. – Musisz się tylko trzymać.

Ale żadne słowa nie mogły nakłonić Myriny, by dosiadła konia. Parys nie zdołał jej też przekonać, by wraz z nim wsiadła na jego rumaka.

– Proszę – powiedziała w końcu. Sięgnęła palcami do znajomego i bezpiecznego pasa od łuku i kołczanu, ale znalazła w tym miejscu tylko haftowaną suknię, którą Parys nabył na targu tego ranka, niewątpliwie za wielką sumę. – Czemu nie mogę po prostu pójść?

– Pójść? – Parys omal nie spadł z siodła. – Od kiedy księżę trojański pozwala królowej chodzić po ulicach jak nierządniczy?

Zdecydowanie już rozdrażniony, posłał jeszcze raz sługę, tym razem po lektykę. Gdy tę wreszcie przyniesiono, Myrina mogła już tylko do niej wsiąść.

Uznała, że jej nagła bojaźliwość wynikała z faktu, że pozbawiono ją broni i uwięziono w tych bezużytecznych szatach... a jednak, choć nie chciała się do tego przed sobą przyznać, wiedziała, że ma to też coś wspólnego z Parysem. To, jak patrzył na nią, gdy założył jej na głowę wąską złotą opaskę i powiedział: „No!

Wygrałem zakład. Naprawdę jesteś królową!”, nie dawało jej spokoju przez całą drogę przez miasto i żadna ilość dowcipnych uwag nie mogła ukoić głupiego niepokoju w jej piersi.

Strażnicy pałacowi nie zatrzymali ich na długo. Nawet nie zaglądnąwszy do wnętrza lektyki, przepuścili Trojan przez wielką bramę na dziedziniec. Zza zasłonek Myrina słyszała, że konie nie idą już po żwirze, lecz po kamiennych płytach.

Wyrzała raz jeszcze i zobaczyła idealne narożniki pałacowych zabudowań na tle jaskrawoniebieskiego nieba i szerokie schody wypełnione ludźmi. Był to imponujący widok, pałac był o wiele większy i o wiele bardziej wymyślny niż siedziba Bogini Księżycy. Myrina mimowolnie się zadziwiła faktem, że skrzący się labirynt wielkich korytarzy i jasnoczerwonych kolumnad został wzniesiony przez wzgląd na śmiertelników – władcę i jego zarządców.

Nagle zasłonę odsunięto i Parys podał jej rękę, by pomóc jej przy wysiadaniu.

– Królowo Myrino – rzekł z serdeczną powagą. – Pozwól.

Gdy wysiadła z lektyki i znalazła się w otoczeniu Trojan o kamiennych twarzach oraz przejętych rolą heroldów pałacowych, Myrina poczuła się osobliwie mała. Chociaż niewielkie klapki, które dostarczono jej wraz z suknią, miały podwyższone drewniane podeszwy, odnosiła wrażenie, że w chwili, gdy zdjęła wężową bluzę i przywdziała drogie przebranie, niejako się skurczyła. Parys był wysoki, oczywiście, ale wcześniej tak nad nią nie górował. Nieważne, że ta złota opaska tymczasowo zdobi jej głowę; dziedziec Troi wyglądał w każdym calu na księcia, gdy stał tam w swojej haftowanej

niebieskiej tunice i płaszczu, podczas gdy Myrina, pomimo całej swojej zapożyczonych elegancji, jeszcze nigdy nie czuła się tak nisko urodzona.

Choć Trojanie mieli rację, zapewniając ją, że ma szlachetne oblicze i może bez trudu uchodzić za osobę z królewskiego rodu, Myrina doskonale zdawała sobie sprawę ze swojego niezgrabnego chodu w zdradzieckich klapkach. I choć tyle miesięcy spędziła w świątyni Bogini Księżycy, gdzie suknie były obowiązkowe, nigdy nie czuła się swobodnie, trzepocząc niebiańskimi szatami kapłanek. „Nie zasadzasz się na zwierza, Myrino! – złażała ją kiedyś Najwyższa Kapłanka, ku wielkiej radości Akry i Egee. – Jesteś niebiańskim ciałem, gwiazdą na niebie, zjawiskiem bez myśli”.

Myrina bardzo się starała dostosować do tych wymogów, ale nigdy nie opanowała do perfekcji sztuki stania się zjawiskiem bez myśli. I gdy puściła dłoń Parysa, by poprawić nieporadnie spódnice, bała się, że strażnicy pałacowi nie zobaczą ani królowej, ani kobiety, tylko obcą w kiepskim przebraniu.

Jeśli nawet tak się stało, nie okazali tego. Z najwyższym szacunkiem skłoniwszy się Parysowi i siedmiu innym Trojanom, heroldowie poprowadzili dalej gości przez mozaikę płytek o wiele bardziej wymyślną, niż Myrina widziała w salach świątyni Bogini Księżycy.

– Widzisz dwusieczny topór? – wyszeptał Parys, ruchem głowy wskazując rysunek. – Tutaj to święty symbol.

Gdy wspinali się białymi, idealnie czystymi schodami do sali audiencyjnej, Myrina zerknęła na dziedziniec, zastanawiając się, dlaczego w tym z pozoru tak gościnnym miejscu czuje takie zdenerwowanie. Na drugim końcu wyłożonego mozaiką dziedzińca rzucały się w oczy czerwone drzwi na tle bładożółtej cegły, a złoty szlak byczych łbów i dwusiecznych toporów sugerował, że pomieszczenie za tymi drzwiami ma święte przeznaczenie.

– Pamiętaj – wyszeptał Parys, mocno trzymając Myrinę za łokieć – kiedy wejdziemy do sali tronowej, musimy się uklonić najpierw Świętej Matce, chociaż realną władzę sprawuje Minos.

Pomimo szumnej nazwy, sala tronowa nie była wielka, ale ludzie wypełniali ją tak szczelnie, że Myrina może by nie zauważyła Świętej Matki, gdyby nie spojrzała akurat na nią. Usadowiona na tronie na tle jaskrawo zdobionej ściany, zapadnięta, jakby pogrążona we śnie, Pani na Knossos sprawiała wrażenie wielkiego zwierza odzianego i zaciągniętego tu wbrew

jego naturze. Dopiero gdy Myrina przyklękła przed nią, kobieta podniosła głowę i skierowała znużony wzrok na złotą opaskę zwieńczającą kręcone włosy niecodziennego petenta. Potem, z otępiałą rezygnacją, Święta Matka podniosła zdobioną klejnotami dłoń i wskazała Myrinie kierunek do właściwego władcy Krety.

Minos stał w rogu po drugiej stronie, spowity mgłą polityki. Otoczony wyrazistymi gestami mężczyzn prezentujących sprzeczne interesy, najwyraźniej był człowiekiem rzadko zostawianym w spokoju. Nawet z drugiego końca wypełnionego ludźmi pomieszczenia nie sposób było mylnie odczytać gadzią przebiegłość jego twarzy; trudno było sobie wyobrazić większy kontrast dla Pani na Knossos niż ten mały niespokojny człowieczek. Gdy Myrina przyklękła przed nim, mimowolnie zastanawiała się, jaki charakter ma związek tej pary. Czy byli mężczyzną i kobietą? Matką i synem? Trudno było określić.

– Dzisiaj przyprowadziłem królową Myrinę – powiedział Parys do Minosa w języku, którym posługiwano się w świątyni Bogini Księżycy. Po jego głosie i zachowaniu znać było, że panujący tu zamęt ani trochę nie zbija go z tropu. – Przebyła długą drogę, by odwiedzić ten kraj i przynieść dary pokoju. – Ruchem ręki dał znak swojemu zaufanemu towarzyszowi, długonogiemu Eneaszowi, by wystąpił do przodu z niewielką tabliczką, którą Kyme i Myrina przygotowały dzisiaj rano.

W Minosie nastąpiła gwałtowna zmiana. Gdy tylko zobaczył gliniany dysk z ułożonym spiralnie tekstem, rozpostarł ramiona w najserdeczniejszym powitaniu.

– Powstań, droga królowo! – zawołał, biorąc tabliczkę od Eneasza. – I opowiedz mi o swoim kraju. Z jakiego egzotycznego regionu przybyłaś?

Myrina nawet nie próbowała odpowiedzieć. Parys uprzedził ją, że pomimo wszystkich miłych słów i gestów tylko mężczyznom wolno zwracać się bezpośrednio do Minosa.

– Królowa Myrina rządzi ogromnym krajem – odrzekł teraz w jej imieniu – nieopodal jeziora Tritonis.

– Ach! – Entuzjazm Minosa nieco przygasł, ale zaraz na powrót się rozpał.

– Rozumiem. Przybyłaś, jak sądzę, po żywność. By twoi ludzie przetrwali do powrotu dobrych czasów. – Spojrzał na tabliczkę, ściągając brwi. – Nie

znam tego języka. Cóż to za przesłanie?

– To błogosławieństwo – wyjaśnił Parys. – I propozycja przyjaźni.

– Co? Żadnych ludzi w ofierze? Myślałbym, że w tych okolicznościach... – Minos obrócił dysk, jakby miał nadzieję, że z drugiej strony znajdzie upragnione zobowiązanie. – Dla jej ludu to są ciężkie czasy! – rzekł do Parysa, całkowicie ignorując Myrinę. – Ona na pewno widzi, że bogowie są zagniewani i trzeba ich udobruchać.

Parys kiwnął głową, zachowując kamienny spokój.

– Królowa o tym wie. Ale nie przybyła tu targować się o żywność. Przybyła, bo wie, że Kretę łączą przyjazne stosunki z Grekami.

Minos się wyprostował.

– Rzeczywiście, dopiero co tu był syn króla Agamemnona.

– Naprawdę? – Parys zerknął na Myrinę. – W takim razie musieli tu przybyć prosto z jeziora Tritonis.

Minos ściągnął brwi.

– Rzeczywiście wspomniał, że aby wrócić na morze, ciągnęli statki przez zamieszkane przez węże bagna. I mówił coś o wielkim czarnym posągu. Ale mogę spytać, dlaczego tak was interesują poczynania Greków? Mam wielką nadzieję, że nie szykuje się kolejny konflikt.

Myrina podeszła o krok, zapominając w poruszeniu, że powinna zachować milczenie. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Parys ścisnął ją za ramię tak mocno, że się skuliła.

– Trzy tygodnie temu – zwrócił się do Minosa – syn Agamemnona odwiedził pałac królowej Myriny pod pretekstem zawarcia przyjaźni, ale wywiózł kilka cennych przedmiotów, w tym dziewięć dziewiczych kuzynek królowej.

Minos aż się cofnął.

– Jestem zbulwersowany!

– Królowa – ciągnął Parys – oczywiście się rozgniewała. Ale wolałaby nie podejmować działań wojennych.

– Ależ oczywiście. – Minos przełknął głośno ślinę. Jego bogactwo i potęga, wyjaśnił wcześniej Parys Myrinie, zależały całkowicie od swobodnego ruchu statków wokół jego wyspy. Wojna by utrudniła ten ruch i jeszcze zwiększyła niepewność handlu całego świata. Już tylko z tego powodu Minos był zawsze człowiekiem pokoju.

– Może nie wszyscy o tym wiedzą – ciągnął Parys – ale królowa dowodzi wielotysięcznym wojskiem, z czego większość stanowi kawaleria. –
Dodatkowy uścisk powiedział Myrinie, że Parys nawet teraz sobie z niej dworuje. – Niewątpliwie w niczym interesie nie leży budzenie w tej chwili takiej potęgi.

Minos próbował się uśmiechnąć.

– Oczywiście. Ale dlaczego przyszliście do mnie? Jak mogę pomóc?

Parys ruchem głowy wskazał gliniany dysk.

– Królowa ma nadzieję, że zawrzesz z nią sojusz. Taki sojusz może nakłoniłby Greków do oddania tego, co zrabowali...

– Och – westchnął Minos. – To trochę potrwa. Kapłani są straszliwie zajęci, ale muszą zatwierdzić... muszą odczytać...

Myrina już nie mogła wytrzymać.

– Proszę – krzyknęła, zanim Parys zdołał ją powstrzymać – nie możesz zrobić wyjątku?

Cichy okrzyk przerażenia dokoła dał jej znać o ogromie popełnionego nietaktu, jeszcze zanim Minos zdołał wyrazić swoje rozczarowanie.

– Może lepiej będzie – syknął, głos go prawie zawiódł – by królowa rozgościła się z innymi kobietami, podczas gdy mężczyźni tu ustalą, co trzeba.

Nie minęło dużo czasu, a Parys dokończył rozmowę z Minosem i przyszedł po Myrinę do innej części zatłoczonej sali tronowej. Gdy wyprowadził ją znowu na oślepiające słońce, Myrina obawiała się, że jego pogardliwą minę wywołało jej porywcze zachowanie.

– Tak mi przykro – zaczęła, próbując nadażyć za jego wściekłym krokiem. – Zapomniałam się.

Parys przystanął na schodach, rozglądając się za swoimi ludźmi, których zostawił na zewnątrz.

– Jeśli musisz przeproszać, to za to, że nie obraziłaś go bardziej. Co za żałosny człowieczek. W kagańcu własnych kapłanów. Zapamiętaj moje słowa: ta wyspa najlepsze czasy ma już za sobą.

Gdy Parys i Myrina razem schodzili po schodach, długonogi Eneasza podszedł i powiedział coś swemu panu na ucho szybko i w zdenerwowaniu.

Chociaż Myrina nie rozumiała jego słów, domyśliła się, że to coś straszliwego, bo Eneasza pobiła z emocji, a pełne wzdętych warg i groźne spojrzenie

Parysa ustąpiło miejsca oburzeniu widocznemu w zaciśniętych ustach.

– Co się dzieje? – spytała, gdy Eneasza wreszcie umilkł.

– Nic – odrzekł książę, a jego wzrok skierował się na dwuskrzydłowe czerwone drzwi po drugiej stronie dziedzińca. – Opuśćmy to miejsce bez dalszej zwłoki.

– Ale co się stało tak strasznego? – Myrina próbowała odgadnąć, co wywołało takie przerażenie na jego twarzy. – Chodzi o Greków?

Parys odpowiedział dopiero, gdy dotarli do koni i zbierali się do odjazdu.

– Wygląda na to, że się z nimi minęliśmy – rzekł, siląc się na beztroski ton.

– Odpłynęli sześć dni temu i ruszyli prosto do Myken.

Myrina wpatrywała się w niego, czując, że to nie wszystko.

– Jakies wiadomości o moich siostrach?

– Kobiety w ogóle nie zeszły ze statków. – Parys podał jej rękę, by pomóc jej wsiąść do lektyki. – Oprócz jednej. Została przekazana Minosowi w prezencie...

Myrina zasłoniła dłonią usta.

– Jest tutaj? W pałacu?

Mężczyźni wymienili posępne spojrzenia, a wzrok Parysa znowu powędrował ku drzwiom po drugiej stronie dziedzińca.

Już bez słowa Myrina puściła jego dłoń i ruszyła jak najszybciej w stronę czerwonego prostokąta zwieńczonego złotymi symbolami.

– Nie idź tam! – Parys pognął za nią, ale Myrina zrzuciła obuwie i wywinęła mu się, po czym puściła się biegiem. Nie obchodziło jej, kto patrzy; nie zostawi tu siostry.

Drzwi były otwarte. Myrina przeszła przez nie bez wahania i znalazła się w świętej izbie. Parys i Eneasza weszli tuż za nią. I chociaż oślepla na chwilę, gdy prosto z rozświetlonego dziedzińca trafiła do pozbawionej okien jaskini, brnęła w te ciemności, bardziej pomna, że musi uciec Trojanom, niż że musi się przygotować na to, co tu zastanie.

Pomieszczenie okazało się długie i wąskie, raczej przypominało korytarz. Na ścianach po obu stronach wisały płonące kagańce. Na końcu znajdowały się schody prowadzące w dół w nieznaną.

– Myrino! – Parys wreszcie ją dogonił. – Nie powinniśmy tu wchodzić. – Ale zobaczył determinację w jej oczach i nic już nie powiedział, tylko ruszył za nią.

Razem zeszli po stopniach, a pozostali Trojanie tuż za nimi. U stóp schodów znajdował się następny, ciemniejszy korytarz, który z kolei otwierał się na okrągłe pomieszczenie oświetlone ogniami ofiarnymi w mosiężnych czarach. Sanktuarium pałacu.

Przystanąwszy na progu, Myrina rozejrzała się po złotych głowach byka na ścianach i po ołtarzach zapchanych mięsem i kośćmi. Nie było jej obce składanie zwierząt w ofierze, jak również jako myśliwy była przyzwyczajona do widoku wnętrzości i odrąbanych członków, ale w nieznośnie ohydnyim odorze tego miejsca czaiło się coś innego, coś przeciwnego wszystkim jej instyktom...

I nagle zobaczyła ludzkie głowy ułożone w niewielką piramidę na głównym ołtarzu i odcięte ręce i nogi spiętrzone starannie po drugiej stronie. Niektóre z tych kończyn poczerniały od zgnilizny, inne były tylko szare i bezkrwiste, jakby je tu umieszczono niedawno. Gdy Myrina wpatrywała się w nie przerażona, światło pochodni odbiło się w jakimś lśniąącym przedmiocie... Była to bransoleta z szakalem obejmująca wąski nadgarstek.

ROZDZIAŁ 20

[...] Skoro Tak się pogrzebał odźwierny, Eneasze Zdobywa bramę. Co rychlej odchodzi Od tego brzegu, skąd nie ma powrotu¹⁰

P. VERGILIUS MARO, *Eneida*

KRETA
CZASY WSPÓŁCZESNE

Nie chcąc wpadać w panikę, przeszukałam szorstką podłogę korytarza na tyle dokładnie, na ile pozwoliło mi światło padające z magazynu. Następnie poszerzyłam teren poszukiwań, więc włączyłam latarkę i ruszyłam w kierunku, z którego przyszłam... ale wszystko na próżno. Włóczka zniknęła.

Pomyślałam, że może nagły podmuch pociągnął lichą nitkę i jakimś sposobem zdarł mój węzeł z klamki. Taki powiew mógł nawet ponieść włóczkę tunelem poza zasięg mojego wzroku. Wmawiałam sobie, że to właściwe wyjaśnienie. Bo racjonalna alternatywa – że nie jestem w labiryncie sama – była tak przerażająca, że nie chciałam jej rozważać.

Stałam na skraju ciemności, a promień latarki był tak słaby, że przyszło mi do głowy, że baterie się wyczerpują. Drżąc ze zdenerwowania, wyłączyłam ją i wycofałam się do magazynu, by ocenić sytuację. Komórkę miałam włączoną, ale nie zdziwiłam się, stwierdziwszy, że nie ma zasięgu. W końcu od nowoczesnego świata oddzielały mnie tysiące ton ziemi i starożytna cegła. I co bym zresztą powiedziała Rebecce? Że zamierzam spędzić resztę nocy w magazynie – z zamkniętymi drzwiami, włączonym światłem, zabarykadowana za stołem – dopóki nie znajdzie mnie kierownik przy porannym obchodzie?

Nie, postanowiłam, nie jestem takim tchórzem. Nie będę ryzykować posadę mojej przyjaciółki. Ze względu na nią musiałam się zwinąć z zakazanych podziemi równie dyskretnie, jak do nich weszłam, nie

zostawiając cienia śladu mojej obecności.

Znowu otworzyłam drzwi na korytarz i jakiś czas stałam, nasłuchując, niczego jednak nie usłyszałam. Może coś na kształt słabego szeptu, ale nic poza tym. Odetchnęłam głęboko i rozłożyłam mapę Rebekki. Z włóczką czy bez, chłodna logika zaprowadzi mnie z powrotem i już niedługo wsunę się do łóżka w swoim pokoju, śmiejąc się z tego wszystkiego.

Gdy jednak ruszyłam tunelem, wędrując za drżącym promieniem gasnącej latarki, chłodną logikę szybko zmyła fala strachu. Nic nie mogłam na to poradzić.

Nawet bez zagadki znikającej włóczki te posępne groty doprowadzały do szaleństwa moje zmysły. Bo przy każdym postawionym kroku w panice podążałam wzrokiem za jakimś groteskowym cieniem rzuconym na nierówną ścianę, a ilekroć kierowałam światło na mapkę, ze wszystkich stron opadała mnie nieprzenikniona czerń.

Potem, gdzieś ze środka, usłyszałam głos, po części mój, po części babci, recytujący mantrę, której ona uczyła mnie tak dawno temu, a którą zapamiętałam na zawsze. Było to następnego dnia po incydencie z agresywnym psem.

Siedziałyśmy nad herbatą, gdy przyszło mi do głowy, że babcia traktuje mnie inaczej niż kiedyś: z mniejszą cierpliwością, ale z większym szacunkiem.

– Jestem Amazonką – powiedziała wtedy, a jej szaroniebieskie oczy promieniały gorączkowym, metalicznym blaskiem – zabójcą zwierząt i ludzi.

Wolność płynie w moich żyłach, żadne pęta mnie nie zatrzymają. Nie boję się niczego, to strach ucieka przede mną. Zawsze idę do przodu, bo to jedyna droga.

Spróbuj mnie powstrzymać, a zaznasz mego gniewu.

Powtarzała tę wyniosłą deklarację raz za razem, dopóki nie nauczyłam się jej na pamięć. Potem mnie sprawdzała, aż mój głos zabrzmiał pewnie i niewzruszenie, i stałam przed nią, wyprostowana, wierząc w każde wypowiedane słowo.

Od czasu do czasu używałam tej mantry przed ważnym egzaminem albo przed pojedynkiem, ale nigdy wcześniej nie podtrzymała mnie na duchu tak jak dzisiaj, gdy szłam przez labirynt. Na to właśnie babcia mnie przygotowywała – nie na błahe wyzwania nowoczesnego życia, ale te rzadkie

emocjonalne chwile prawdy, gdy człowiek trafia w pułapkę losu i musi się zmierzyć z prawdziwymi potworami.

Tak więc gdy zbliżałam się do pierwszego zakrętu, nie widząc ani śladu swojej włóczki, szykowałam się na ewentualne starcie. Ktoś lub coś przeszedł tym korytarzem, gdy ja pracowałam w magazynie tabliczek, teraz byłam tego pewna.

Przyciskając torbę do piersi, przysunęłam do siebie latarkę, by przygotować się na zadanie ciosu... ale gdy wyteżyłam wzrok, zobaczyłam jedynie pusty tunel niknący w nicości.

Albo raczej niezupełnie pusty, bo dostrzegłam coś leżącego na ziemi kilka metrów przede mną: kłębek włóczki. Starannie zwinięty.

Tak mnie to skołowało, że nie usłyszałam jego nadejścia. W ciemnościach tunelu zdążyłam tylko dostrzec zaczajony cień pochłaniający mnie od tyłu.

W przerażeniu uskokczyłam odruchowo i puściłabym się biegiem, gdyby to coś nie chwyciło mnie za wiatrówkę z mrozącym krew w żyłach ostrzegawczym warkotem.

Musiałam uciec, więc odwróciłam się gwałtownie i jak szalona zamachnęłam się na napastnika. Przez mgłę paniki dojrzałam głowę, ale twarzy już nie... tylko gęste brwi i dwoje martwych oczu. Krzycząc, uderzałam w to coś jak najmocniej raz za razem, aż jakaś siła wydarła mi z ręki latarkę i to nią wymierzyła mi paraliżujący cios w czaszkę.

W następnej chwili czułam tylko zimną twardą podłogę tunelu pod policzkiem. I zaraz to coś szarpnęło mnie wściekle za ramię i obróciło na plecy.

Chora ze strachu, nie widząc nic w totalnych ciemnościach, próbowałam kopnąć brutalne dyszące ciało pochylające się nade mną. Ale nogi miałam unieruchomione, coś przyciskało je do ziemi. Pomimo moich krzyków i rozpaczliwej walki pazury rozdzierały wściekle moją kurtkę.

Wreszcie przypomniałam sobie, że mam ostro zakończoną bransoletę, i wymierzyłam kilka silnych ciosów, z których jeden wywołał jęk bólu u napastnika. Puścił mnie. Obawiając się najgorszego, zwinięłam się w odruchu obrony.

Ale cios nie nastąpił. Usłyszałam pospieszne kroki, poczułam ciągnący się za nimi pęd powietrza i...

Cisza.

Roztrzęsiona, zostałam w kuckach na podłodze tunelu całe wieki, zastanawiając się, czy to coś wróci i co to w ogóle było. Dokoła mnie panowały ciemności tak głębokie, że nawet nie byłam pewna, czy mam otwarte oczy.

Z trudem zmusiłam się, by wstać i poszukać latarki.

Nie mogłam jej znaleźć. W panice rozpaczliwie łapiąc powietrze, na oślep macałam dokoła podłogę, aż wreszcie przyszło mi do głowy, żeby wyjąć telefon.

Na szczęście nic mu się nie stało i włączył się natychmiast, gdy tylko go otworzyłam. Dawał mi po kilka sekund niebieskiego światła. Nie sięgało daleko, ale dzięki niemu miałam szansę odczytać mapkę Rebekki. Tylko że... cennej karteczki nie mogłam nigdzie znaleźć. Ani mojej torby. Zdałam sobie sprawę, że mój napastnik wszystko zabrał. Zniknął nawet jeden z moich butów. Rzeczy, które mi zostały, wsadziłam do kieszeni kurtki: telefon, aparat fotograficzny i zeszyt babci z wsuniętym do środka skopiowanym napisem z glinianego dysku.

Na drżących nogach ruszyłam ciemnym tunelem z powrotem w stronę magazynu tabliczek. Mówiłam sobie, że dzieli mnie od niego tylko zakręt. Że na pewno jakoś do niego dobrnę, nawet bez mapki.

Nie dobrnęłam. Gdy weszłam do okrągłej groty, której wcześniej na oczy nie widziałam, zdałam sobie sprawę, że dotarłam za daleko. Odwróciłam się, by opuścić ją tą drogą, którą przybyłam, ale zaskoczona ujrzałam przed sobą troje identycznych drzwi i nie byłam w stanie rozpoznać, przez które przed chwilą przeszłam.

Bliska łez od wstrząsu i frustracji i zbyt przerażona, by stać w miejscu dłużej niż kilka sekund, wreszcie wybrałam lewe, zdecydowana zawrócić, jeśli okaże się, że dokonałam złego wyboru. Z początku nie sposób było odróżnić tego tunelu od jednego z tych, do których trafiłam wcześniej. Wciąż zauważałam szczegóły, które mogły być tu wcześniej, ale może ich nie było, bo po prostu nie spojrzałam na nie.

Stos gruzu, głębokie pęknięcie w ścianie – tak strasznie chciałam znaleźć coś pewnego, miałam ochotę usiąść na miejscu w nadziei, że ekipa poszukiwawcza znajdzie mnie, zanim wróci po mnie potwór.

Ledwie pokonałam ten tchórzowski impuls, tunel poszerzył się do wielkości porządnego korytarza. Zachęcona widokiem kagańców na ścianie,

przyspieszyłam, trzymając telefon przed sobą, i trafiłam do wysoko sklepionej grotty. W słabym blasku telefonu niewiele mogłam rozróżnić, ale to, co ujrzałam, było obiecujące.

Stałam na brzegu jakiegoś podziemnego kanału. Nieco upiornie tu wyglądająca łódź z drągami oznaczała, że kanał kiedyś ktoś pokonywał, że kiedyś dokądś prowadził. Może była to jakaś starożytna wersja kanalizacji; może stałam nad starym pałacowym ściekiem. Jeśli tak, kanał prowadził na zewnątrz. Nawet trzewia Hadesu musiały gdzieś się opróżnić.

Uznałam, że to najlepsza szansa na znalezienie wyjścia, i ruszyłam przez gruzowisko, modląc się, żebym nie wylądowała w ślepym zaułku zawałonym kamieniami. Byłam straszliwie przemarznięta, przerażona tym, co się wydarzyło i jeszcze mogło się wydarzyć, a moja pozbawiona buta stopa – pulsująca z bólu przy każdym kroku – nieustannie mi przypominała, jak kruchą istotą jest człowiek.

Potykając się o resztki pałacowego ścieku, co chwilę traciłam równowagę i drapałam sobie ręce do krwi, na oślep szukając jakiegoś punktu podparcia.

Otwierając telefon w regularnych odstępach czasu, próbowałam się zorientować, która jest godzina, ale na próżno. Cyfry straciły znaczenie. By podnieść się na duchu, kilka razy próbowałam powtarzać mantrę Amazonki, ale tak szczeptałam zębami, że musiałam dać sobie spokój.

W pewnym momencie moja dłoń musnęła jakąś lepką pajęczynę.

Otworzyłam telefon i zobaczyłam, że to zwisające z góry korzenie. Zachęcona ich ziemistym zapachem i ewidentną bliskością naturalnego świata, szłam i szłam, i szłam, przez gruz i wspinając się na głazy... aż przejście stało się tak wąskie, że musiałam kontynuować wędrówkę na czworakach.

Odrętwiała z zimna, pełzłam przez ograniczoną przestrzeń, uparcie oczyszczając swój szlak, podnosząc kawałki kamieni i odrzucając je na bok. Byłam tak zdesperowana, tak bliska utracie nadziei, że nie dowierzałam zmysłom, gdy wreszcie przez rozpadlinę zarośniętą śliskim mchem wychyłam w inny rodzaj ciemności.

Podniosłam wzrok i krzyknęłam z radości na widok półksiężyca... i zaraz musiałam odskoczyć na bok, bo jakieś reflektory jechały prosto na mnie. Na szczęście w ostatniej chwili skręciły – kierując się do kremowej wioski Rebekki.

Kuśtykałam przez błotnisty parking i dalej po kamiennych schodach na wspólny taras przed naszymi pokojami, a przy tym bardzo się starałam robić to ukradkiem. Widząc, że w pokoju Nicka jeszcze się świeci, na paluszkach minęłam jego drzwi i poszukałam klucza w kieszeni, próbując to robić bezszelestnie.

Ale klucza nie było. Nie było też kluczy do magazynu tabliczek, które Rebecca powiesiła na tym samym kółku, dla ułatwienia. Pokonana głupotą tego wszystkiego, w milczącej udręce oparłam głowę o zamknięte drzwi.

– Lepiej ci?

Dźwięk ludzkiego głosu tak mną wstrząsnął, że podskoczyłam. Jakieś dziesięć kroków ode mnie stał oparty o ścianę Nick i przyglądał mi się z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Co się stało z twoim drugim butem?

Chociaż jego postawa wydała mi się nie końca przyjazna, to pytanie tak mnie rozkleiło, że wyczerpana zwiesiłam głowę.

– Chyba nie za bardzo wiem.

Dopiero wtedy Nick do mnie podszedł. Jego bose opalone stopy odcinały się od białego tarasu.

– Co się dzieje, Diano?

Niechętnie podniosłam na niego wzrok, zupełnie nie mając nastroju na wyjaśnienia. Gdy zobaczył moją twarz, jego oblicze się zmieniło. Bez słowa chwycił mnie za ramię i zaprowadził do swojego pokoju.

– Popatrz w dół. – W świetle głównej lampy badał moją poturbowaną czaszkę. – Straciłaś przytomność?

– Nie sędzę... – zaczęłam. I nagle zobaczyłam swoje odbicie w lustrze ściennym. Siniak wyglądał gorzej, niż sądziłam. Nie tylko był czerwony i obrzęknięty w miejscu, gdzie trafiła mnie latarka, ale ciemna wybroczyna sięgała do prawego oka.

– Co się stało?

Wzdrygnęłam się, gdy dotknął siniaka.

– Weszłam w drzwi.

Nick zniknął w łazience.

– Naprawdę muszę powtórzyć pytanie? – spytał po powrocie, zdecydowanym ruchem przyciskając mi do głowy wilgotny ręcznik.

Jego protekcjonalizm wyprowadził mnie z równowagi.

– Powtarzaj sobie, co chcesz – odparłam, odsuwając jego rękę. – Nie mam obowiązku mówić ci o niczym. Od pierwszego dnia wciskasz mi kłamstwa...

Drgnął.

– Jakie kłamstwa?

Patrzyłam na niego groźnie, niezdolna stłumić gniew, który wzbierał we mnie od tak dawna.

– Może na początek podasz mi nazwisko swojego pracodawcy? I błagam, nie mów „pan Skolsky”.

– Po co miałbym strześcić język? – spytał kompletnie niewzruszony. – Cały czas wszystko wiesz.

Oślupiała usiadłam na skraju łóżka. Wyprowadziłam swój najlepszy cios, a on odparował go bez wysiłku. Patrzył na mnie z trochę władczyim uśmiechem, jakby mówił: „Nic więcej nie masz, naprawdę?”, aż w końcu pokręcił głową i podał mi ręczniczek.

– Więc przyznajesz, że wprowadziłeś mnie w błąd? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Ja jestem kłamcą, ty jesteś złodziejką. W tych okolicznościach moim zdaniem najlepiej by było, gdybyśmy połączyli siły. – Wskazał mój siniak. – Czy twoja głowa przyznałaby mi rację?

Nagle usłyszeliśmy ciche pukanie.

– To pewnie Bex – westchnęłam. – Miałyśmy się spotkać...

Nick podszedł do drzwi.

– Poproszę, żeby przyniosła lód.

– I wiadro metaxy – dodałam, przykładając ręcznik do czoła.

Jakiś czas później, gdy skuliłam się na łóżku Nicka z miłą szklaneczką miejscowego znieczulacza, mój szok stopniowo zaczął przechodzić w pełne goryczy oszołomienie. Rebecca była przerażona moją relacją z wydarzeń, a chociaż Nick mówił bardzo mało, wiedziałam, że on też jest wstrząśnięty. Siedział w rogu, na wystrzępionym fotelu w mieczyki i patrzył coraz bardziej ponuro, a jego palce bębniły głośno na zniszczonej poręczy.

– Kto wiedział, że idziesz na dół? – spytał wreszcie.

Spojrzałam na Rebecce, która siedziała na łóżku tuż przy mnie, gotowa mi dolać.

– Powiedziałaś swojemu Telemakhosowi, że schodzę dzisiaj na dół? – spytałam.

Ściągnęła brwi, najwyraźniej trochę urażona.

– Nie pamiętam. Ale jego chyba nie podejrzewasz?!

Łyknęłam kilka kolejnych haustów metaxy, podczas gdy Rebecca próbowała wyjaśnić Nickowi fenomen pana Telemakhosa. Zdecydowanie nie był to odpowiedni moment na kłótnie, ale byłam niemal pewna, że to gadulstwo mojej przyjaciółki przysporzyło mi dzisiaj kłopotów.

– Podsumowując. – Wzrok Nicka powędrował od moich brudnych ubrań, przez podrapane kolana, po czerwony guz na głowie. – Straciłaś laptop i klucze. Co jeszcze miałaś w torbie?

– Och, niewiele. – Podciągnęłam rękaw, by obejrzeć pulsujący łokieć.

Bransoleta babci ukazała się przy tym w całej swojej ponadczasowej krasie, przypominając nam obojgu, jakim umiem być wytrawnym kłamcą. –

Tylko kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów. – Pokręciłam głową, ignorując Rebeccę, która zachłysnęła się przerażona. – Wszystko inne miałam albo w pokoju, albo w kieszeniach.

– Wszystko inne?

Nagle zrobiło mi się zimno. Ciaśniej owinęłam się kapą. Chociaż mówiłam prawdę, w moim głosie pobrzmiwała fałszywa nuta.

– No, jeszcze aparat ze zdjęciami z Algierii. – Sięgnęłam do czarnej kurtki, która leżała na łóżku obok mnie. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Nick bez wahania wziął ode mnie aparat i wyjął kartę pamięci.

– Za pozwoleniem. – To oczywiście nie było pytanie.

Laptop Nicka należał do solidnych urządzeń przeznaczonych do starcia z brudem, pustynnymi drogami i pomniejszych eksplozjami. Z punktu widzenia jego pracodawcy był to świetny wybór, pomyślałam, gdy kładł go przede mną na łóżku i ładował moje zdjęcia bezpośrednio na swój dysk. Następnie patrzyliśmy, jak przed naszymi oczami przewija się cały rok mojego życia w zenującym pokazie slajdów: James grający w tenisa, mój ojciec krojący bożonarodzeniowego indyka, odziany w swój fartuch w wiewiórki, jakieś wczesne żonkile, które kupiłam na targu, moja matka zajadająca lody... i wreszcie wszystkie moje zdjęcia z Algierii, a po nich te, które przed paroma godzinami zrobiłam w magazynie tabliczek.

– Wydaje mi się – powiedziałam, trochę zirytowana, że Nick z taką łatwością zaanektował moje prywatne życie – że wprowadziłam się do twojego komputera.

– W porządku. – Wychylił się, by przyjrzeć się wyświetlonemu zdjęciu, ostatniemu z partii. – Robiło się tam nudno. To ta tabliczka? – Kiwnęłam potakująco, a on pokręcił głową. – Narazałaś życie, by zrobić zdjęcie rzeźbionego placka?

Postanowiłam machnąć na to ręką. W końcu to dobrze, że Nick potraktował cenny gliniany dysk z takim brakiem szacunku; gdyby wydawał się naprawdę zainteresowany, może znowu bym się zastanawiała nad prawdziwym motywem jego przyjazdu na Kretę.

Z zamyślenia wytrącił mnie dziwny brzęczyk.

– Przepraszam. – Nick wyjął telefon z kieszeni spodni i zniknął na zewnątrz.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Rebecca doskoczyła do mnie szybko, najwyraźniej szykując się do przejrzania jego komputera.

– Zobaczmy, co tu ma! – ponagliła mnie. – Pospiesz się!

– Proszę, włamuj się. Śmiało. – Przesunęłam laptop w jej stronę. – Nie krępuj się.

Rebecca dopiero teraz spojrzała na klawisze i stwierdziła, że to klawiatura arabska.

– Och.

– Właśnie. – Przysunęłam komputer z powrotem. – Nie sądziłaś, że aż tak nam ułatwi sprawę, prawda?

– A jego zdjęcia? – Moja przyjaciółka zerknęła ochoczo na ekran. – Spróbuj otworzyć inny folder.

Powinnam powiedzieć „nie”, ale prawda była taka, że jeszcze bardziej mnie to ciekawiło niż ją. Po tygodniu intensywnej koegzystencji nadal niemal nic nie wiedziałam o Nicku, prócz tego, że jest złotoustym i zmiennokształtnym pracownikiem Fundacji Aqrab.

Na pierwszy rzut oka jego folder zdjęć nie zawierał nic obciążającego. O ile się zorientowałam w pełnym wyrzutów sumienia pośpiechu, większość fotografii pochodziła z wykopalisk, a widniały na nich różne stadia wydobywania i czyszczenia rozmaitych znalezisk. Na niektórych zobaczyłam miejsca pochówku ze szkieletami w otoczeniu glinianych naczyń i broni; na innych widniały całe budynki wyłaniające się z pustynnych wydm i znalezione artefakty, w tym złota biżuteria i naczynia.

Ale pomiędzy wykopaliskami i artefaktami pojawiały się zdjęcia

zbrojnych strażników i pojazdów opancerzonych, łączące całą bibliotekę zdjęć drutem kolczastym. Chociaż strażnicy często byli uśmiechnięci i pozowali do fotografii, płynął przez to wszystko prąd utajonej przemocy, szumiąc tuż pod naukową powierzchnią.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do najnowszego folderu.

Zgodnie z oczekiwaniami zawierał zdjęcia ze świątyni w Algierii, w tym kilka zbliżeń sarkofagu w sanktuarium. Przewijając fotografie drżącymi palcami, prawie żadnej nie przyglądałam się uważnie, aż dotarłam do ostatniej.

– Patrz! – syknęła Rebecca. – Twoja bransoleta!

Wpatrywałam się z niedowierzaniem. Na zdjęciu rzeczywiście widniała bransoletka z szakalem leżąca na papierowej serwetce. Starożytny brąz zmatowiony pyłem. Ale ta na pewno nie była moja. To musiała być ta z sarkofagu. W mojej potłuczonej głowie zatętniło z ożywienia, uznałam, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie obecności bransolety na zdjęciu Nicka: to on ją zdykał ze szkieletu, a sugerowanie, że złodziejem jestem ja, było jedynie poręczną wymówką, żeby jechać za mną na Krete.

W tym momencie otworzyły się drzwi, a Rebecca – która nie przeszła tego co ja przeszkolenia w działaniach potajemnych – odsunęła się z cichym okrzykiem.

Nick popatrzył na nią dłuższą chwilę, po czym podszedł i zamknął laptop.

– Czas spać – zarządził.

Przytuliliśmy się z Rebeccą na łóżku, ale stwierdziłam, że nie mogę zasnąć.

Wydarzenia wieczoru ciągle wirowały mi w głowie i czułam dziwne, oszalamiające podniecenie, które w ogóle nie miało sensu. Przeszłam przez gehennę, moje czoło zaś pulsowało tak strasznie, że nie dawało mi spokoju. A jednak... jednak przeżyłam. Nie uległam napastnikowi i przedarłam się przez podziemia. W miarę jak mijały opóźnione reakcje, w moim oszołomieniu pojawiała się nuta triumfu.

Może działałam na innych zasadach niż większość ludzi. Może to była kwestia związana z babciną indoktrynacją, oczywiście z jej obsesją na punkcie wytrzymałości Amazonek... a może odziedziczyłam jakieś jej uwarunkowanie genetyczne. Może w moim mózgu brakowało całego pęku

nerwów. Nie po raz pierwszy powzięłam takie podejrzenie, ale po raz pierwszy z radością zaakceptowałam to, że pod pewnymi względami bardziej przypominam babcię niż kogokolwiek innego.

Jedliśmy z Nickiem brunch w tawernie Pasiphae. Po mglistym poranku wyrzało wreszcie słońce, a blask bardzo się starał rozwiać resztki nocnych cieni.

Najwyraźniej żadne z nas nie spieszyło się z powrotem do tematu mojego wypadku w labiryncie. Nick zerknął parę razy na mojego guza, ale nawet nie spytał, jak się czuję.

Był ubrany w swobodny biały strój, na który składała się koszula bez kołnierzyka i spodnie na sznurek. Całość moja matka – w swojej nieskończonej niewrażliwości na zwyczaje innych ludzi – ochoczo by zaklasyfikowała jako ładną piżamę. Uznałam to za znak, że wraca do Algierii albo może do Dubaju następnym samolotem, i wiedziałam, że powinnam żegnać go z ulgą.

– No... – Spojrzał na mnie z porozumiewawczym uśmiechem. – Co tam mówi naleśnik? Wiem, że go odczytałaś.

Zawahałam się. Kątem oka dojrzałam, jak Rebecca cała tężeje, ale uznałam, że temat jest na tyle bezpieczny, że nie muszę kłamać. Rzeczywiście cały ranek odczytywałam tabliczkę za pomocą swojej kartki z transkrypcją i zeszytu babci, ale nie znalazłam żadnej wzmianki o złotych skarbach ani niczym innym, za czym mogliby gonić ludzie pokroju pana al-Aqraba.

– Wygląda na to, że to pakt – odparłam, zgodnie z prawdą – albo propozycja traktatu pomiędzy królową a jak zgaduję, władcą Knossos.

– Czy jest jakieś powiązanie pomiędzy tą tabliczką a napisami w Algierii, poza alfabetem? – spytał Nick, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Niewykluczone. – Jego zaangażowanie trochę mnie denerwowało. – Imię królowej jest takie samo jak imię kapłanki wspomnianej na ścianie świątyni i traktat wyraźnie wzmiankuje, że wróg miał „czarne okręty”. Nie jestem pewna, jak rozumieć te podobieństwa, chyba że...

Przerwałam, przypomniawszy sobie, że historia, którą ułożyłam sobie w głowie – opowieść o napadniętych kobietach szukających zemsty – jest zbyt szalona, zbyt fantastyczna.

– Dobra. – Nick przyglądał mi się tymi swoimi ciemnymi oczyma, pod

których spojrzeniem czułam się, jakbym to ja prowadziła podwójną grę, nie on. – Jak to zrobiłaś? W Algierii odczytałaś tekst w ciągu pięciu dni. A teraz to. W czym rzecz?

Poczułam niepokój. Chociaż nie wysilałam się przesadnie, by ukrywać przed nim zeszyt babci, nie do końca zaznajomiłam go z jego doniosłością. Nick miał wiedzieć, że jestem utalentowaną łamaczką szyfrów, która umie znaleźć schemat i powiązania w miejscach, gdzie inni nie odnosili sukcesu.

– Nie analizuj ideału – krzyknęła Rebecca, zrywając się z krzesła, by potargać mi włosy. – Cóż ona na to poradzi? Jest pasjonatem dekryptażu.

W tym momencie zadzwonił jej telefon, więc przeprosiła nas i odebrała. Gdy odeszła, wrócił kelner z naszym zamówieniem, więc zaczęłam jeść, czując na sobie wzrok bacznie przypatrującego mi się Nicka.

– Słucham? – powiedziałam w końcu, nie mogąc już tego znieść.

Ale on tylko pokręcił głową i dalej na mnie patrzył. Chociaż drewniane krzesła w tawernie były dość kanciaste i sztywne, jemu jakimś cudem było wygodnie – i to chyba była jego specjalność. Jedno ramię przerzucił przez swoje oparcie, a sandał oparł swobodnie o krzesło Rebekki, i wyglądałby przy tym na człowieka całkowicie i bezgranicznie wyluzowanego, gdyby nie wyraz jego twarzy zdradzający intensywne spekulacje.

– Strasznie mi przykro – powiedziała Rebecca, wracając do stołu poruszona i zdenerwowana – ale muszę iść. Kierownik ma coś do mnie i to coś – skrzywiła się i pospiesznie łyknęła kawy – najwyraźniej nie może poczekać.

Po czym wyszła, zostawiając nas ze stosami pysznego jedzenia – od którego nagle zrobiło mi się niedobrze. Bo mimo moich najlepszych intencji ta mała wyprawa na Kretę stawała się kompletną katastrofą. Na czole miałam guza wielkości Sycylii, w głowie gorzkie wspomnienie o straconych dziesięciu tysiącach dolarów, zasilacz bez laptopa, a w Oksfordzie zajęcia profesora Larkina implodujące pod moją nieobecność. Jakby tego było mało, zdołałam się zadać z niewłaściwymi ludźmi – z których jeden właśnie patrzył na mnie, podejrzliwie mrużąc oczy, najwyraźniej zapomniawszy, że to on jest czarnym charakterem, nie ja.

– Ciekawe – odezwałam się wreszcie, dziabiąc swoją jajecznicę – czy udało ci się znaleźć kogoś w biurze, kto by umiał wyjaśnić powiązanie z Amazonkami.

Nick poruszył się gwałtownie. Nadal nie tknął jedzenia. Tylko trzymał szklankę soku pomarańczowego.

– Przypomnij mi o tym powiązaniu.

– Cóż. – Poczułam lekką irytację. – Najwyraźniej ktoś, z kim pracujesz, uznał, że to mnie potrzebujesz w Algierii. Prawdopodobnie ten sam ktoś, kto przysłał pana Ludwiga do Oksfordu, by zwabił mnie gadką o Amazonkach. Teraz, jak się okazuje, rzeczywiście potrzebowałeś mnie... ale ciągle się zastanawiam, co jest tak cholernie ważnego w tych kapłankach w świątyni. Czy to były Amazonki?

Jeśli tak, jakim cudem ten pomysł zrodził się w głowie pana Ludwiga? A skoro już o tym rozmawiamy – wskazałam guza na głowie – spytaj swojego ukochanego al-Aqraba, dlaczego ja ciągle obrywam!

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż Nick wreszcie odsunął talerz, jakby nasza rozmowa wymagała maksymalnego skupienia.

– Tamtego wieczoru przy ognisku – powiedział wreszcie, opierając się na stole – usłyszałem, jak mówisz o mitycznym herosie, który ukradł głowę Meduzy.

Powiedziałaś, że kojarzy ci się to z Ateną, która mogła być importem z Afryki Północnej. Masz jeszcze jakieś przemyślenia na ten temat?

To pytanie całkowicie mnie zaskoczyło.

– Nie, a dlaczego?

Nick wzruszył ramionami.

– Próbuję po prostu rozwiązać zagadkę. Kim były te kobiety... dokąd się udały... jakim cudem skończyły jako Amazonki w głowie Johna Ludwiga? Myślę, że to wszystko się łączy. A teraz zabawna część – w końcu sięgnął po widelec, nadział na niego pomidorka i wymierzył go we mnie – moim zdaniem ty już znasz odpowiedź.

Tak mnie zaskoczył, że nie przyszła mi do głowy żadna błyskotliwa riposta.

– Pomóż mi – podjął Nick, jedząc pomidorka. – Kapłanki opuściły Algierię i popłynęły na Kretę. Dokąd się udały potem? – Kiedy dostrzegł moje nieme niedowierzanie, złożył ręce w błagalnym geście, razem z widelcem i całą resztą. – No proszę! Daj mi coś, co mógłbym przekazać szefowi. Cokolwiek.

– Nie mam absolutnie pojęcia, czego chcesz – zaczęłam.

Nick pokręcił głową i znowu opadł na oparcie.

– Nigdy nie pracowałaś w korporacji, prawda? Korporacje mogą być jak rządy: wszystkie małe trutnie mają fundusz do rozdysponowania. A ponieważ tylko obracasz pieniędzmi innych ludzi – sięgnął po kolejnego pomidora i nabił go na widelec – w głębi duszy gównu cię wszystko obchodzi. To tylko praca. I jedyne, co chcą usłyszeć na wielkim spotkaniu, to czy zmieściłeś się w budżecie i wykonałeś zadanie.

Byłam tak wstrząśnięta jego przyziemnym wywodem, że nie od razu zdołałam stwierdzić, czy kłamie, czy wreszcie mówi prawdę.

– Więc na tym polega twoja praca? – spytałam. – Jesteś trutniem z określonym budżetem?

Nick uśmiechnął się, jakby ta etykieta całkiem mu się spodobała.

– Przepracowanym trutniem co prawda. Miło być na wakacjach. – Rozejrzył się po pozostałych gościach tawerny, jakby szczerze się rozkoszował pobytem. – Kreta zawsze mi się podobała. Tutejsi ludzie są miłsi.

Miśli niż gdzie? Czy naprawdę ten sam człowiek krzyczał na mnie, żebym nie dotykała jego sarkofagu i niczego nie ruszała? Czy to on zabrał mi komórkę, zachowując się jak strażnik więzienny? Jakim cudem ten zdeklarowany pracoholik przerodził się w ślimaka gotowego wciskać komuś ciemnotę, żeby sobie załatwić wakacje? To się po prostu nie trzymało kupy. Owszem, Nick mógł być przekonujący w swojej roli wyrobnika al-Aqraba, przebrany w niechlujne szaty, z zegarkiem z płatków śniadaniowych, ale tym razem nie dałam się zwieść.

Spędziłam z nim tyle czasu, że już umiałam rozpoznać kolejny kostium i dostrzegłam, że pod tym wszystkim siedzi zmyślny manipulator, którego jedynym obowiązkiem – w każdym razie ostatnio – jest pilnowanie mnie.

– Niech będzie. – Przyglądałam mu się nad stołem, gdy wreszcie zabrał się za swój tost. – Jesteś na wakacjach. Pewnie cudownie się można zrelaksować, patrząc, jak inni zbierają cięgi.

– Rzeczywiście – odrzekł, ściągając brwi – bardzo mi przykro, że zmusiłem cię do samotnej wyprawy do podziemi. Jak mogę ci to wynagrodzić? – udawał, że się zastanawia. – Mam pomysł: ty mi powiesz, co mam napisać w raporcie, a ja ci dam czek na pokrycie strat. Co ty na to?

Byłam pewna, że się przestyszałam.

– Proponujesz mi kolejne dziesięć tysięcy dolarów?

Kiwnął głową.

– I zapłacę za twój nowy laptop.

Mogłam się tylko roześmiać w głos.

– Dobra. Gdzie jest haczyk?

– Nie ma haczyka. Tylko odpowiedz na moje pytanie. Kim byli ludzie na czarnych okrętach? I dokąd się udały kapłanki, gdy opuściły Krete?

Wpatrywałam się w niego, próbując – jak zawsze – rozgryźć jego grę.

– W porządku – powiedziałam, ignorując podszept, który ostrzegał, że to wszystko pułapka, że pod krotochwilnym przegadywaniem Nicka coś się kryje. – Możesz napisać w swoim raporcie, że wszystko wskazuje na Grecję. Heros Perseusz, który ukradł głowę Meduzy, bogini Atena – wyliczałam na palcach – ale przede wszystkim czarne okręty, które znamy z Homera... Nie mówię, że mam rację, ale jeśli mam i jeśli dopuścimy taką możliwość, że starożytne mity zawierają odrobinę prawdy, to piraci, którzy splądrowali świątynię Bogini Księżycy, byli Grekami. W starożytności miasta greckie stanowiły potęgę, z którą należało się liczyć, imperium, jeśli tak wolisz ją nazwać, składające się z wielu małych państw, z których najpotężniejszym były Mykeny. Mykeny pełniły funkcję siedziby króla Agamemnona, który jak wiesz, zebrał flotę składającą się z tysiąca okrętów i wszczął wojnę trojańską. Dlaczego? Bo Trojanie porwali – zresztą dość durnie moim zdaniem – piękną Helenę ze Sparty... a ponieważ mąż Heleny był bratem wielkiego króla Agamemnona, wypadaloby, żeby książę Parys z Troi wykazał się większym rozsądkiem, wybierając sobie brankę. Zasłużyłam na swoje dziesięć tysięcy dolarów?

Nick kiwnął głową, był pod wrażeniem.

– Prawie. Gdzie w tym miejsce na Amazonki?

Jego nagłe zainteresowanie tematem, który nie tak dawno ekscytował niewielu ludzi poza mną, było zbyt wielką pokusą.

– Cóż, zgodnie z mitem – podjęłam, doskonale zdając sobie sprawę, że słysząc to fantazyjne pasmo spekulacji, większość moich uczelnianych kolegów pospadałaby ze śmiechu z foteli – zabójcą Meduzy, Perseusza, uważa się za założyciela Myken, czyli stolicy greckiego imperium w czasach homeryckich.

Innymi słowy, może to być po prostu dawno zapomniane historyczne powiązanie pomiędzy Afryką Północną a Grecją. Jeśli chodzi o Amazonki,

legenda mówi, że były zaciekłymi wrogami Greków, do tego stopnia, że w wojnie trojańskiej stanęły po stronie Trojan.

– Nie pamiętam, żebym je tam widział.

– To prawda. Nawet Hollywood, pomimo wszystkich swoich superbohaterek, nigdy nie wykorzystało motywu Amazonek. Często się zastanawiałam dlaczego. Może jakaś koalicja nowoczesnych Amazonek udaremnia wszystkie takie próby. – Zerknęłam na Nicka, by zobaczyć jego reakcję, ale on tylko ściągnął brwi.

– Wróćmy do Greków. Jeszcze jakieś powiązania?

– Cóż... – Poczułam, jak mój puls przyspiesza. Może to była moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że nieco zbyt gwałtownie zbył temat nowoczesnych Amazonek. – Co interesujące, jedną z najważniejszych informacji o Amazonkach jest ta o ich ataku na Ateny, które to wydarzenie na zawsze już pozostało dla Greków kwestią drażliwą. W ten właśnie sposób Amazonki dosłużyły się miejsca na słynnym fryzie partenońskim...

– Chyba masz na myśli salę numer osiemnaście w British Museum...

Zignorowałam go.

– Tak, ale rzecz w tym, że za czasów Homera Ateny były nieistotne. Gdyby Amazonkom naprawdę zależało na rozgłosie, zaatakowałyby Mykeny.

– Serce greckiego imperium? Po co by tak ryzykowały?

– Dobre pytanie. – Przez chwilę zastanawiałam się nad tą kwestią. – Zgodnie ze starożytnym pisarzem Plutarchem Grecy między innymi porwali królową Amazonek, a jej koleżanki postanowiły ją uwolnić.

Nick uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz, wiedziałem, że ty już znasz odpowiedź. Greccy piraci napadli świątynię Amazonek w Algierii, a Amazonki odwzajemniły im się napadem na Ateny ówczesnego okresu, czyli Mykeny, by uwolnić porwane przyjaciółki. Brzmi to nadzwyczaj sensownie.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Powinieneś porozmawiać z przyjacielem Rebekki, tym Telemakhosem. On ma dom w Mykenach i też jest obłąkany.

Nick kiwnął głową.

– Podoba mi się to. Jedziemy.

– Dokąd? – Wpatrywałam się w niego, pewna, że żartuje. – Do Myken?

– A czemu nie? – Zerknął na zegarek. – Do jutro rana jeszcze zdążymy cię

odstawić do Oksfordu. Z dziesięcioma tysiącami dolarów. Co ty na to?

Rebekki nie musiałam długo szukać. Leżała na łóżku z twarzą schowaną w poduszce.

– Bex! – krzyknęłam, pędząc do niej. – Co się stało?

– Wszystko – burknęła głosem stłumionym przez poduszkę. – Jesteś sama? – Kiedy zapewniłam, że tak, podniosła głowę, a widok jej twarzy mną wstrząsnął.

Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takiej jawnej nienawiści. – Głupi kutas – warknęła do jakiegoś obserwatora widocznego tylko dla niej. – Powinnaś być powiedzieć mu, co myślę.

Kierownik, wyjaśniła, wezwał ją do siebie pod pretekstem, że chce jej coś pokazać. Jak się okazało, był to but, który zgubiłam w labiryncie. Stał na biurku, gdy kierownik kręcił się na fotelu, uśmiechając się triumfalnie.

– A kiedy powiedziałam, że to nie moje – podjęła Rebecca, wciąż tuląc poduszkę i nie przyjąwszy ode mnie szklanki wody – jak sądzisz, co zrobił ten gnój? Wyjął klucze, które zostawiłaś w zamku, i pomachał nimi w powietrzu.

– Och, Bex! – Bardzo mi jej było żal. – Tak mi przykro...

– Niepotrzebnie! – Słodki głos Rebekki chwilowo przerodził się w zrzędlawy warkot. – On szukał pretekstu, żeby się mnie pozbyć. Nie może znieść, że wiem o tym miejscu więcej niż on.

– I rzeczywiście... cię zwolnił?

Wreszcie odrzuciła poduszkę i przyjęła wodę.

– Tak jakby. Kazał mi wziąć dwa tygodnie wolnego na przemyślenie sprawy, co należy przetłumaczyć: idź poszukaj sobie innej pracy.

– To okropne. – Próbowałam ją objąć, ale nie chciała.

– A co się stało z tobą? – spytała głosem pełnym napięcia, co zrozumiałe w tej sytuacji. – Wyglądasz promiennie.

Pokręciłam głową.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że wyglądam na wściekłą. Nick chce pokryć moją stratę dziesięciu tysięcy dolarów...

– No świetnie! – Rebecca w swoim przygnębieniu nawet mnie nie wysłuchała. – Polecimy do Mediolanu i wydamy wszystko na buty, dobra? –

Widziałam po jej wzroku, że pomimo zapewnień, że wcale mnie nie wini, owszem, wini mnie bardzo za sytuację, w której się znalazła.

– Jest pewien problem – zauważyłam. – Nick chce poznać pana Telemakhosa. Nie zapłaci mi, jeśli go nie zabiorę do Myken.

Rebecca zmrużyła oczy, niemal widziałam, jak w jej głowie obracają się trybiki.

– Interesujące.

– Nawet o tym nie myśl – odparłam. – Nie pojedę już nigdzie z tym człowiekiem. Mam gdzieś pieniądze. Jadę do domu.

W odpowiedzi Rebecca wstała z łóżka i podeszła włączyć czajnik.

– Ciekawe, co by na to powiedziała twoja babcia. – Zatrzasnęła lodówkę, z której wściekłym ruchem wyciągnęła butelkę z mlekiem. – Myślałam, że tu chodzi o odszukanie jej. Czy nie mówiłaś, że ona cię przyzywa w sposób, którego nie umiesz wyjaśnić?

– Tak, ale...

– A co z teorią, że to wszystko właśnie jest wezwaniem... pan Ludwig, zdjęcie, napis... i że może gdzieś tam ona wciąż na ciebie czeka? – Rebecca spojrzała na mnie, jakbym za jednym zamachem zdradziłam i ją, i babcie.

Wreszcie wstałam, bolały mnie obtłuczone kolana.

– Więc co twoim zdaniem mam zrobić?

Podeszła do mnie z tacą i podała mi ją.

– Masz być Amazonką, którą znam. Nie straciłam pracy, żebyś się tak wykręcała. Tatuś chce, żebyś pojechała do Myken? Świetnie, ja cię tam zawiozę, pierwszą klasą. – Zawróciła sprawdzić czajnik, teraz już łagodniejszymi gestami. – I wreszcie poznasz pana Telemakhosa, czy tego chcesz czy nie.

Odstawiłam tacę na podnózek, miałam ochotę zgłosić sprzeciw, który by jeszcze bardziej przygnębił Rebecce.

– Nie musisz tego robić...

– Chyba zapominasz – odparowała – że Fundacja Aqrab finansuje wykopaliska na całym świecie. – Spróbowała zrobić chytrą minę, ale nie za bardzo jej wyszło. – Może przekonam Nicka, żeby dał mi nową pracę...

– Nie! – Z zapalem pokręciłam głową. – Nie, nie nie...

– Czemu nie? – Obcięła mnie wzrokiem, a w jej oczach znowu pojawiła się uraza. – Ty możesz dla nich pracować, a ja nie? Gdzie kopia? Ilu archeologów zatrudniają?

Westchnęłam.

– Nie mam pojęcia. Miałam ich wygooglować...

– Co takiego?! – Zgromiła mnie wzrokiem. – W ogóle ich nie sprawdziłaś?

Jeździsz wszędzie z tym człowiekiem, uciekasz przed eksplozjami i dajesz się pobić... A nawet nie znasz podstawowych faktów? – Z rozczarowaniem pokręciła głową, nie dając mi szansy na obronę. – Możesz być pewna, droga panno Morgan, że to się teraz zmieni.

Chwilę potrwało, zanim się zdobyłam na telefon do Jamesa. Trochę oczekiwałam, że będzie na jakimś lunchu charytatywnym, z wyłączonym telefonem i wdową w diademie wspierającą się na jego ramieniu, i aż podskoczyłam, gdy odebrał niemal natychmiast. Najpierw usłyszałam plusk wody.

– Morg! Czas najwyższy. – W jego głosie usłyszałam więcej zaangażowania niż zwykle.

– Z czasem się chyba akurat nie wstrzełam... – zaczęłam, denerwując się.

I znowu usłyszałam plusk.

– Nie rozłączaj się! Daj mi tylko to zakręcić. – Słuchałam z niedowierzaniem, jak James ani chybi przerywa prysznic, by ze mną rozmawiać.

– Jesteś jeszcze? – Sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. – Co się dzieje, Morg?

Szybko nakreśliłam mu sytuację, opuszczając każdy element, który mógłby wzbudzić jego niepokój. W rezultacie powstała krótka relacja zakończona obietnicą powrotu do Oksfordu mniej więcej następnego dnia.

– Problem w tym – dodałam, wreszcie docierając do powodu, dla którego dzwoniłam – że jutro po południu mam zajęcia, wprowadzenie do sanskrytu, i tak się zastanawiałam, czy zdołam cię przekonać, żebyś tam zajrzał i wygłosił wykład o imperium asyryjskim.

Na chwilę zapadła dość nieprzyjemna cisza. Następnie James odchrząknął i rzekł: – Dla ciebie wszystko. Obiecuj mi tylko jedno. Cokolwiek się zdarzy, nie pozwól tym ludziom, żeby namieszali ci w głowie.

Tak mnie zaskoczył, że aż się roześmiałam.

– Ty się martwisz o moją głowę?!

Żaden dźwięk nie sugerował, że James podziela moje ubawienie.

– Jesteś inteligentną dziewczyną, Morg. Jeśli tobie namieszają w głowie, to znaczy, że mogą wszystko. Uważaj na Kamalę... To paskudny typ.

– Na kogo?

– Na Kamala... czy Karima... czy jak tam on ci się przedstawił.

– Masz na myśli Nicka?

– Tak. Facet wykonuje brudną robotę dla al-Aqraba. Nie daj mu nawet palca.

Na chwilę znowu znalazłam się w walącej się świątyni i czułam, jak Nick ze wszystkich sił się stara wyciągnąć mnie na powierzchnię.

– Nie martw się – odparłam. – W zasadzie już jadę do domu.

– To samo mówiłaś w Algierii – zauważył. – Lepiej sobie przygotuj jakieś cholernie dobre usprawiedliwienie dla starej wiedźmy.

Poczułam, jak krew tężeje mi w żyłach.

– Rozumiem.

Po zakończeniu rozmowy jakiś czas siedziałam na łóżku Rebekki. Nie byłam w stanie się ruszyć. Coś się nie zgadzało. I nie chodziło o to, że moje notowania w ojczyźnie spadają. Byłam absolutnie pewna, że nigdy ani Jamesowi, ani nawet Katherine Kent, nie ujawniłam, że celem mojej tajemniczej podróży była Algieria.

ROZDZIAŁ 21

KRETA

Myrina w przerażeniu cofnęła się na ten makabryczny widok. Wiedziała, że kult może przybierać różne formy, ale jeszcze nigdy nie zetknęła się z takim, który wymagałby ofiar z ludzi. Nie przyszło jej też nawet do głowy, że poszukiwaną przez nią świątynną siostrę już spotkał makabryczny koniec.

– Wychodzimy – wychrypiał Parys, podnosząc ramię, by inni nie podeszli bliżej. – W życiu nie widziałem tak przekłętego miejsca.

Powstrzymało ich jednak pojawienie się kapłanki – w każdym razie Myrina domyśliła się, że to kapłanka, po nagich piersiach i obfitości biżuterii. Z twarzą wykrzywioną pełnym niedowierzania gniewem kobieta chwyciła topór z jednego ze stołów ofiarnych i zaczęła wywijać nim na oślep, o włos mijając Eneasza.

– Ohydny, odrażający demon! – drwił Parys, sięgając po sztylet. Jednym gładkim swobodnym ruchem ostrze wysunęło się z jego pasa i utkwilo w piersi kapłanki, a ta, wyjąc przeraźliwie, uderzyła o ścianę, po czym zsunęła się na podłogę. Jej szeroko otwarte oczy wyglądały w chwili śmierci równie makabrycznie jak za życia.

– Szybko! – Parys zaczął zaganiać wszystkich ku schodom. – Mogą nadejść inni.

I nadeszli. Zaalarmowane rumorem dwie inne kapłanki wyłoniły się z drzwi w ścianie – drzwi, których Myrina w ogóle wcześniej nie zauważyła. Na widok ciała na podłodze padły na kolana, by błagać o życie.

Błagały tak ogłuszająco, że Trojanie nie zdążyli się przestraszyć tumultu za swoimi plecami. Tylko Myrina, wciąż znieruchomiła od wstrząsu, zauważyła nadejście potwora, który pojawił się jakby znikąd, z jakiejś ciemnej wnęki za głównym ołtarzem. Wyższy i szerszy niż człowiek, w

rogatym nakryciu głowy jeszcze bardziej podobny do bestii, potwór rzucił się do przodu, mierząc długą włócznią w plecy Parysa.

Myrina ocknęła się i zaufała instynktom. Sama bez broni, schyliła się po dwusieczny topór, który wypadł z dłoni zabitej kapłanki, i z całej siły cisnęła nim w potwora.

Rzucone z wielką siłą i precyzją zabójcze ostrze utkwilo w gardle bestii. Jej oczy znieruchomiały, zachowując wyraz bezgranicznego zaskoczenia, że tak łatwo dała się pokonać. Dopiero kiedy wielkie cielsko padło na posadzkę z ciężkim łoskotem, wzbijając chmurę pyłu, Trojanie obrócili się i zobaczyli, co się wydarzyło za nimi.

Zajęta wrywaniem topora z szyi wroga, Myrina nawet nie zauważyła wyrazu twarzy Parysa, który zdał sobie sprawę, że dziewczyna uratowała mu życie.

Ale gdy podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie, jej też to przyszło do głowy.

– Uciekajmy – powiedział Eneasz głosem stłumionym z odrazy. – Co z nimi? – Wskazał kapłanki kulące się na podłodze. Ich błagania teraz stały się jeszcze bardziej ogłuszające.

– Zabijcie je – odparł Parys, podając rękę Myrinie i ruszając w stronę schodów. – Zabijcie je tak, jak na to zasługują: jak zwierzęta.

Drogę powrotną do portu Myrina pamiętała jak przez mgłę.

Ku wielkiej uldze Parysa, gdy wyszli na dziedziniec pałacu Minosa, właśnie przybywała kolejna delegacja, a królewscy heroldowie w ferworze zajęć nie zauważyli wyjścia Trojan z sanktuarium.

Odprawiwszy lektykę, którą Myrina przebyła drogę do pałacu, Parys wsadził ją na swojego konia i zawinął w płaszcz, chociaż cały czas mocno trzymała zdobyczny topór. Kilka chwil później bezpiecznie opuścili dziedziniec i szybkim tempem zdążali ulicami miasta – tym razem w dół, w stronę morza. Myrinie nawet nie przyszło do głowy, że oto jedzie na koniu Parysa, czemu poprzednio się tak sprzeciwiała. Czuła tylko dławiący ból na niegodziwość tego, co właśnie ujrzała, i mdlącą wściekłość na Minosa, który z najwyższą elokwencją przyjmował gości na górze, podczas gdy w podziemiach tolerował takie haniebne akty kanibalizmu.

W Porcie Wschodnim Myrina zsiadła z konia przy pomocy Parysa i postawiła kilka kroków w stronę trapu... ale nie mogła iść dalej.

– Jak mam powiedzieć siostronom o tym, co widziałam? – wyszeptała, bardziej do siebie niż do niego. – O tym całym złu...

– Chodź. – Parys wyjął jej z rąk dwusieczny topór, odciągnął ją od nabrzeża i poprowadził na plażę, na której się poznali. – Najpierw zmyjemy ci krew z twarzy, żeby nie zemdlały na twój widok. – Nie zatrzymując się, by ją rozebrać, wciągnął ją w fale. Brodząc, weszli tak głęboko, aż spódnice nadęły się wokół talii Myriny jak płatki kwiatu. – Właśnie – powiedział, ocierając jej twarz jedną z nich.

– Nie wypada, żeby królowa chodziła z krwawymi znakami myśliwego.

Myrina spojrzała mu w oczy.

– Ależ ja jestem myśliwym.

Parys ujął ją za brodę i spojrzał z powagą w jej oczy.

– Ocaliłaś mi życie. Wedle ludzkich ocen to czyni cię arystokratką.

A bogowie, nie wątpię, już dawno temu wyznaczyli cię na królową. – Urwał i skierował wzrok na jej usta. – Tak jak ja.

Odsunęła się od niego.

– Mądrze by było, gdybyś mnie odesłał do rynsztoka, w którym mnie znalazłeś. Może ocaliłam ci życie, ale nie zapominaj, że najpierw ja właśnie naraziłam nas na niebezpieczeństwo. I teraz Minos na pewno będzie twoim wrogiem. – Westchnęła i pokręciła głową. – Jesteś zbyt łaskawy, a ja nie jestem do tego przyzwyczajona. Więc dla własnego dobra nie próbuj ukoić mojej boleści.

Ona umie zareagować tylko w jeden sposób: groźnym ugryzieniem.

– Zaczekaj. – Chwycił ją za nadgarstek. – Miałem cię o coś spytać. – Przyciągnął ją do siebie, po czym odwrócił i ściągnął jej suknię z ramion.

Oburzona, Myrina przytrzymała szatę na piersi.

– Co robisz... – zaczęła, ale ucichła, czując dotyk jego palców na starej ranie na plecach.

– To mnie martwi. – Parys przycisnął skórę w kilku miejscach, by ocenić szkody. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Myrina się odsunęła i nieporadnie wciągnęła suknię na ramiona.

– Bo nie ma o czym. To się goi...

– Obawiam się, że nie. – Parys ruszył na brzeg. – Dopóki jesteśmy na morzu, przyjrzę się temu uważniej.

– Na morzu?

Zatrzymał się i odwrócił, z krzywym uśmiechem na twarzy.

– No chyba że wolisz spędzić tę noc z Minosem? Spodziewam się, że niedługo nadejdzie zaproszenie.

Żadna z kobiet nie protestowała, gdy zobaczyły, że Trojanie przygotowują statki do drogi, i gdy dowiedziały się, że muszą zostać na pokładzie. Choć ich przyszłość wciąż była niepewna, Myrina wiedziała, że jej siostry w głębi duszy czują ulgę, porzucając starą łódź rybacką.

Gdy oddalili się do lądu, a wielkie żagle wypełniły się wzbierającym wiatrem, zebrała je wszystkie na pokładzie i wyjaśniła powód pospiesznego opuszczenia Krety. Tak jak podejrzewała, relacja o straszliwym odkryciu w pałacu Minosa wprawiła je w taki ból i rozpacz, że ledwie mogły wysłuchać jej słów.

– Widziałaś... widziałaś, kto to był? – spytała w końcu Animone, wciąż przyciskając dłonie do ust.

– Myślę, że Neeta – wyszeptała Myrina, zamykając oczy na wspomnienie licznych odciętych głów. – Ale nie jestem pewna.

Neeta była spokojną dziewczyną, rzadko zwracała na siebie uwagę; nigdy siostry nie obdarzyły jej taką miłością i uwagą, jak tego wieczoru, gdy siedziały na pokładzie w świetle obojętnego księżyca, wspominając jej słodycz.

– Bez narzekania wykonywała swoje obowiązki – wyszeptała Pitana, wpatrując się we własne wspomnienia. – Nigdy nie złamała zasad.

Jako najstarsza Kyme próbowała zachować spokój przez całe wspominki.

– Przede wszystkim – powiedziała, ze smutkiem kręcąc głową – Neeta pokazała nam, że może być tyleż zalet w rzeczach, których nie robimy, co w tych, które robimy.

Kobiety milczały chwilę, ocierając łzy, które płynęły niepowstrzymanie.

Potem Egee, która w przeciwieństwie do Neety umiała znaleźć powód do sporu w każdej sytuacji, powiedziała do Myriny: – Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy tam zostać, by urządzić jej należny pochówek. Ty może lubisz łamać reguły, ale ja uważam, że istnieją jeszcze zasady warte przestrzegania. A teraz płyniemy do Troi – w jej głosie zabrzmiało jeszcze więcej goryczy – prawda? Bo sądzę, że do Troi.

– Mam dla ciebie nową zasadę – odparła Myrina, wstając, zanim straciła cierpliwość. – Nigdy nie sądz. Jeśli chodzi o cel naszej podróży, wiem równie

mało jak ty i nie jestem spiskującym tyranem, którym chcesz mnie uczynić. Jesteś tu, podobnie jak my wszystkie, bo nie mamy lepszego wyjścia.

Później, nocą, Myrina znalazła Parysa samego na dziobie, jak patrzył na ciemne jak wino morze i na gwiazdy w górze.

– Czy tam, skąd pochodzisz, mapa nieba wygląda inaczej niż tu? – spytał.

Myrina spojrzała w niebo, które tak dobrze знаła.

– Nie. Podejrzewam, że nasze gwiazdy podążają za nami wszędzie, dokądkolwiek pójdziemy.

– Ta tutaj – wskazał jedną konstelację – nosi imię po tobie. Mówimy o niej Orion lub Myśliwy. – Spojrzał na nią prowokująco. – A jak wy ją nazywacie?

Myrina pochyliła się, by oprzeć się łokciami o reling.

– Moja matka nazywała ją Trzy Siostry. Mówiła, że kiedyś żyły trzy siostry zakochane w jednym mężczyźnie i poprosiły go, by ocenił, która z nich jest najpiękniejsza. W wyniku tego wybuchła wojna i zniszczenie. – Spojrzała na Parysa. – Moja matka uważała, że gwiazdy to pozostałości poprzedniego świata, które zostały na niebie jako ostrzeżenie.

Parys oparł rękę tuż obok jej dłoni.

– Ostrzeżenie przed czym?

Myrina się wyprostowała, ściągnęła ramiona, by powstrzymać pulsujący ból w plecach.

– Trzymaj się z daleka od sióstr. – Zerknęła na niego z ukosa. – Zwłaszcza od świętych.

Parys się obrócił i oparł o reling, by lepiej ją widzieć.

– Jak bardzo jesteś święta? Najwyraźniej nie na tyle, żeby nie włączyć bronią jak wojownik. Powiedz mi, czym jeszcze władasz?

Myrina próbowała zakończyć tę rozmowę groźnym spojrzeniem, ale ciemności jej to uniemożliwiły.

– Chodź. – Parys chwycił ją mocno za rękę. – Chcę popatrzeć na twoją ranę.

– Czekaj! – Myrina próbowała go powstrzymać, ale on już ją ciągnął pod pokład, przez wąską przestrzeń wypełnioną mężczyznami śpiącymi w lekko kołyszących się hamakach. Dopiero gdy dotarli do magazynu na rufie, ośmieliła się zaprotestować głośniej niż szeptem.

– Opatrywanie ran – powiedziała, patrząc, jak zapala lampę – to nie robota dla księcia.

Parys odwrócił się do niej, wyraz jego twarzy zdradzał absolutną szczerłość.

– Naprawdę sądzisz, że komukolwiek pozwolę dotknąć mojej królowej? No już, zdejmuj to. – Wskazał jej wężową tunikę.

Ponieważ ani drgnęła, pokręcił głową i ruszył w jej stronę.

– Naprawdę sam muszę to zrobić?

– Nie! – Myrina się cofnęła, ale dotarła tylko do ściany drewnianych beczek.

– Nazywasz mnie królową, a traktujesz jak nierządnicę. Dlatego właśnie zabierasz mnie do Troi? Żebym nie miała gdzie uciec przed twoją żądzą?

Nawet w słabym świetle dostrzegła zawstydzenie na obliczu Parysa.

– Proszę – rzekł zdławionym głosem – odłóż topór, kobieto. Nie chciałem cię obrazić. Chciałem... – przecesał palcami włosy, jakby próbował się otrząsnąć z halucynacji – chciałem się o ciebie zatroszczyć.

Myrina przyłożyła dłoń do czoła, żałując krzyku protestu.

– Wybacz mi, proszę. Jesteś szlachetny pod każdym względem. Ostatnie wydarzenia przekonały mnie, że mężczyźni z obcych krajów powodują tylko ból i żal – spojrzała w jego stronę, cieszyła się, że cienie skrywają jego twarz – ale ty już mnie nauczyłeś, że jest inaczej. Jeśli wszyscy Trojanie są tak dobrzy jak ty, to Troja musi być błogosławionym miejscem dla mężczyzn i kobiet. Nie mogę się doczekać, aż ją zobaczę.

Parys w końcu się uśmiechnął.

– W takim razie mam nieprzyjemny obowiązek cię rozczarować – rzekł – bo nie płyniemy do Troi. Jakżebyśmy mogli? Płyniemy do Myken, a nuż zdołamy uratować wasze siostry. A teraz odwróć się i daj mi zobaczyć, co można zrobić z twoją raną. Nie lękaj się, że moim celem jest rozkosz. Już zaraz poczujesz ból.

Widziana z morza ziemia Greków bardzo przypominała wyspę Kretę.

Kusząca dla oka, ale zabójcza dla nieuważnego żeglarza. Wiedząc, że te brzegi – te dumne i zielone góry, łagodne i radosne zatoczki – zrodziły rasę brutali siejących zniszczenie, Myrina i jej siostry wzdragały się na widok tego piękna, szepcząc do siebie, że ich zielone bagna w domu, pomimo pełzających węży, były lepsze pod każdym względem.

– Za tymi wzgórzami – rzekł Eneasza, wskazując mijany teren – leży Sparta, najbardziej bezwzględne spośród greckich miast. Tamtejsi

mężczyźni są wychowywani na wojowników i nie znają większej przyjemności niż wbijanie włóczni w ciała żywych istot. Ich król jest rodzonym bratem człowieka, którego mamy odwiedzić. Mają wieczny sojusz i budzą powszechny strach w tych rejonach i poza nimi.

Siostry Myriny patrzyły na wybrzeże w milczeniu, wyobrażając sobie to, czego nie widziały. Potem Animone, która nieustannie przepraszała za ich obecność albo dziękowała Trojanom za ich uprzejmość, powiedziała do Eneasza: – Gdyby nie my, w ogóle byście tędy przepływali, wzdłuż tych wrogich brzegów?

Wzruszył ramionami.

– Grecy nas nie zaczepią. Nie mogą sobie pozwolić na uczynienie wroga z króla Priama.

Animone zerknęła na Myrinę, ale nic nie powiedziała. Gdy kobiety zrozumiały, że ich przywódczyni i księżę Parys wciąż są sobą zachwyceni, Animone przy każdej okazji przypominała Myrinie o jej ślubach i powinnościach.

– Możesz czuć życzliwość do tego mężczyzny – powiedziała, zauważywszy, że tych dwoje wymienia długie spojrzenie – i trudno ci się dziwić, bo to najświetniejszy mąż, jakiego w życiu widziałam. Ale pamiętaj o umowie, którą zawarłaś z Boginią Księżycy. Gdziekolwiek się ona znajduje, na pewno wciąż na ciebie patrzy. Więc jeśli naprawdę lubisz Parysa, zostaw go w spokoju. – Animone dotknęła bransolety Myriny. – Pamiętaj, że szakał to zazdrosny pan.

Ale nie musiała przypominać Myrinie o niebezpieczeństwie. Ona sama doskonale o nim pamiętała. Z powodu niesprzyjających wiatrów podróz, która powinna im zająć trzy dni, trwała trzykrotnie dłużej. Uwięziona w wiecznym wirze, Myrina czuła, że coraz bardziej wciąga ją urok Parysa, tak mocno, że już niemal brakuje jej sił, by wydostać się z nurtu. Każdego wieczoru pod pretekstem zajmowania się jej zdrowiejącą raną zatrzymywał dłoń na jej plecach chwilę dłużej, a jego oddech odrobinę się zbliżał... Gdyby nie Animone, która zabierała Myrinę, dziękując mu wylewnie, już dawno wydarzyłby się między nimi jakiś dotyk lub dźwięk, którego nie cofnęłyby żadne słowa.

Gdy nocą leżała z siostrami na podłodze jadalni, kołysząc się i przetaczając na falach swych myśli, Myrina gorliwie czuła zazdrosną

wściekłość szakała.

A ponieważ na pewno nie chciała zatruwać jego demoniczną złością mężczyzny, który był dla niej tak dobry, przez cały dzień go unikała, dzielnie cierpiąc w pojedynkę.

Ale Parys, zawsze na pokładzie, zawsze czujny, wyglądał, jakby trucizna i tak go dopadła. Jego spojrzenie podążało za Myrینą wszędzie – poił się jej widokiem, a jego pragnienie rosło z każdym dniem, gdy mylił chorobę z leczeniem.

Nim trzy trojańskie statki wreszcie zawinęły do Zatoki Argolidzkiej, Myrina czuła, że większe niebezpieczeństwo czyha na nią na pokładzie niż na brzegu.

Pierwsza zgłosiła się na ochotnika do rekonesansu i oburzyła się, że Parys nie pozwolił jej opuścić statku. Stała ponuro przy burcie, podczas gdy on i jego najbardziej zaufani ludzie oddalali się łódką, by zebrać informacje o porcie.

– Ale czy ty nie rozumiesz, że gdyby ktoś nas rozpoznał, doszłoby do katastrofy? – spytała stojąca obok niej Animone.

– Może. – Myrina podążała wzrokiem za szalupą, dopóki nie zniknęła im z oczu. – A może nie. Nadal nie wiem, jaki plan ma Parys.

Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy Parys w ogóle ma jakiś plan związany z ich wizytą w Mykenach. Niczego jej też nie obiecał. „Przed wszystkim musimy się dowiedzieć, czy wasze siostry rzeczywiście tu są” – powiedział jej przed odpłynięciem.

Ale gdy mężczyźni wrócili ze zwiadu, Myrina od razu zauważyła, że Parys ma jakieś wieści.

– Minos nie kłamał – rzekł, zabierając ją na stronę. – Syn króla Agamemnona właśnie wrócił z wyprawy i dużo się mówi o czarnej bogini, którą ma dostać w podarku jakiś wódz w głębi łądu. Wprowadzimy statki do portu, bo dzisiaj jemy kolację na dworze. Owszem, możesz iść – podniósł dłoń, by powstrzymać entuzjazm Myriny – ale tym razem nie będziesz miała na głowie mojej korony. Będziesz moją niewolnicą i wierz mi, z rozkoszą będę tobą komenderował.

Królewski pałac w Mykenach znajdował się w głębi łądu, kilka mil od portowego miasta Argos. Pomiędzy Argos a Mykenami rozciągała się wielka otwarta równina otoczona wzgórzami. Tutejsze pola uprawne, długie i

wąskie, teraz przybladły i zasnęły na zimę, ale biła z nich zapowiedź letniej obfitości.

Myrinie kontrast pomiędzy tym miejscem a wypalonymi słonymi równinami dzieciństwa wydał się tak oszałamiający, że nie wiedziała, na czym oko zatrzymać.

– Podobałoby ci się tu – powiedział Parys, oglądając się na nią przez ramię.

Siedział tuż przed nią na wielkim koniu i sprawiał wrażenie bardziej zajętego jej reakcjami na widoki niż drogą. – Pełno tu myśliwych, rolników i głośnych rozmów. Może ta kraina nie jest tak wytworna jak świat, który niegdyś znałaś, ale podejrzewam, że czułabyś się tu jak w domu.

Myrina ledwie się uśmiechnęła pod zasłoną, ciągle przesuwając ręce, by dotykać go jak najmniej, gdy rzucała nią bestia, na której jechali. Nie chciała dzielić z Parysem siodła, wiedząc, że ta bliskość sprawi jej za dużą przyjemność, ale wreszcie uległa zdrowemu rozsądkowi.

– Piechotą będziesz wędrowała wiele godzin – tłumaczył jej Parys. – Jeśli chcesz mi towarzyszyć, to na moim koniu. A twoje siostry – ruchem głowy wskazał Animone, Egee i Pitane, które też nalegały, by je zabrać – muszą znieść podobną zniewagę. – Skwitował uśmiechem jej zdenerwowanie, ale i tak rzucił jej wyzwanie. – Twój wybór.

Królewska rezydencja Agamemnona stała na wzgórzu nad równiną Argos, a u jej stóp rozciągało się niewielkie, lecz bogate miasto Mykeny. I miasta, i cytadeli strzegły potężne mury, a chociaż przez główną bramę nieustannie przepływał ruch w tę i z powrotem, dało się wyczuć, że panuje tu atmosfera strachu i nieufności.

Gdy droga stała się bardziej stroma, Myrina poczuła, że krew krąży jej coraz szybciej, w miarę jak rosły jej obawy. Zerknęła na Animone siedzącą za Eneaszem, podejrzewając, że ta odczuwa równie silne lęki i wątpliwości, bo im bliżej cytadeli, tym bardziej stawała się milcząca. Chociaż spod zasłony widać było jedynie pasek oczu Animone, ich spojrzenie wystarczyło, by przypomnieć Myrinie, że myśli przyjaciółki zajęte są nie tylko kobietami, które miały nadzieję znaleźć na dworze króla Agamemnona. Animone myślała również o mężczyznach, których mogły rozpoznać – demonach, niszczycielach ich idyllicznego życia w świątyni – a którzy na pewno ani przez chwilę sobie nie wyobrażali, że zły cień rzucony przez nich po drugiej

stronie morza podąży za nimi do domu.

Na królewski pałac w Mykenach składał się chaotyczny kompleks budynków, który rozrastał się latami, nie trzymając się żadnego planu, ale zgodnie z upodobaniami i pragnieniami kolejnych mieszkańców. O ile pałac Minosa był eleganckim, regularnym przybytkiem, w pałacu mykeńskim przejawiało się coś bardziej organicznego. Myrina pomyślała, że w oku ptaka lecącego po niebie musiało to przypominać przypadkową zbitkę białych grzybów wyrastających z gnijącej pożywki.

Gdziekolwiek spojrzała, widziała oddalające się kolejne schody albo zadaszony zaułek. Bardzo łatwo było stracić orientację. Trojanie jednak bez trudu dotarli na górny taras akropolu. Zarówno Parys, jak i Eneasza znali drogę, bo już kilkakrotnie składali wizytę królowi Agamemnonowi, by naprawiać i wzmacniać dyplomatyczne więzi pomiędzy Mykenami a Troją. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zostawili konie z Pitaną i Egeą i dalej wspinali się szerokimi schodami na środkowy dziedziniec. Na czele szedł Parys, a z tyłu jego niewolnice Myrina i Animone, z głowami pochylonymi na znak posłuszeństwa.

Po drugiej stronie dziedzińca znajdowało się wejście do sali tronowej – szerokie drzwi za portykiem strzeżone przez czterech rosnących mężczyzn z włóczniami. Myrina obiecywała, że zachowa się dyskretnie, ale mimowolnie przyglądała się bacznie strażnikom, gdy mijali ich w drodze do środka. Chociaż z postury przypominali tych, którzy napadli na świątynię, nic w tej czwórce nie wydało się jej szczególnie znajome.

– Niewolnico. – Parys przystanął na progu i zwrócił się szeptem do Myriny.

– Znaj swoje miejsce. I pilnuj się.

Następnie wyszedł im na przywitanie herold, bijąc żarliwe ukłony i nerwowo splatając ręce, i wreszcie znaleźli się w pomieszczeniu, o którym Trojanie wcześniej z powagą mówili „jaskinia lwa”. Tu bowiem siedział brodaty król Myken na swoim tronie, od czasu do czasu spragniony krwi. Zawsze otaczali go mężczyźni, którzy zrobiliby wszystko – zabiliby każdego – ku uciesze swego pana.

Gościom, którzy przybywali tu z wizytą – bez względu na charakter misji – Agamemnon i jego kompani naprawdę kojarzyli się ze stadem lwów. Nikt, kto był dość śmiały czy lekkomyślny, by wejść do tej jaskini, nie miał

pewności, że przeżyje.

Królewski tron raczej przypominał zwyczajne krzesło; król Myken nie potrzebował przepychu ani podwyższenia, by budzić grozę. Wszystkie siedziska w pomieszczeniu, w tym tron, okalały palenisko na tyle duże, by pomieścić całego wołu, i to wół właśnie obracał się na rożnie nad płomieniami – poczerniały byk z rogami.

– Parysie! – zakrzyknął Agamemnon, wznosząc kielich w przyjaznym powitaniu.

Ale co powiedział później, Myrina nie zrozumiała, podobnie jak wyszukanej odpowiedzi Parysa. Rozmawiano bowiem w języku, który słyszała wcześniej tylko jeden jedyny raz – w trakcie nocy i poranka niewypowiedzianych potworności.

Kadencja tego języka w jej uszach brzmiała jak najohydniejszy dźwięk na ziemi.

Siadając na ławie z wełnianymi poduszkami, Parys dał znać swoim ludziom, by poszli w jego ślady – wszystkim prócz Eneasza, który usiadł z Myriną i Animone na kamiennej posadzce za ławą, by tłumaczyć im szeptem, jeśli uzna, że rozmowa jest tego warta.

Na początku wymieniano niemal same grzeczne uwagi i niewinne pytania.

Myrina dyskretnie rozglądała się po pomieszczeniu, próbując rozpoznać twarze mężczyzn zebranych wokół królewskiego ognia. Wielu było równie starych i siwych jak władca, ale kilku wydało jej się boleśnie znajomych. Animone coraz częściej, nerwowo podążywszy za spojrzeniem Myriny, schylała głowę i kiwała nią ciężko na znak potwierdzenia.

Nim podano mięsa i wino, Myrina była prawie pewna, że co najmniej czterech spośród piętnastu Greków obecnych w sali tronowej wzięło udział w napadzie na świątynię Bogini Księżycy. Pamiętała ich twarze i gesty z plaży, gdy kłócili się o łupy i szamotali nad kapłankami. Gdy zobaczyła, jak Animone krzywi się na widok mężczyzny, który właśnie nadszedł z odleglejszych komnat, zrozumiała, że przyjaciółka przypomniawszy sobie nie tylko jego niegodziwą twarz.

– Teraz mówią o waszym kraju – wyszeptał Eneasza, nachylając się do Myriny. – Mój pan spytał, czy król widział na własne oczy dowody rzekomej suszy, a król odparł, że jego syn właśnie wrócił znad jeziora Tritonis. Mówi,

że z powodu niskiego stanu wody musieli ciągnąć statki przez łąd, by wrócić na morze. Nazywa ten region ziemią ogromnych węży i brzydkich wiedźm. –

Eneasza zamilkł na chwilę, wyraźnie zakłopotany. A na ławie przed nimi Parys wyraźnie zeszywniał, słuchając opowieści Agamemnona.

– Co on mówi? – spytała Myrina Eneasza.

Trojańczyk się zawahał.

– Mówi, że kobiety z tego regionu są uparte i harde. I narzeka, że jego syn, młody książę, tyle ich przywiózł do domu. – Eneasza ruchem głowy wskazał palenisko. – Książę siedzi tam. Widzisz go? Może jeśli się trochę przechylisz...

Kiedy Myrina przesunęła się, by dojrzeć syna Agamemnona po drugiej stronie paleniska, zobaczyła twarz, której nigdy nie zapomni: mężczyzny, który zabił Najwyższą Kapłankę i w geście triumfu podniósł wysoko jej odciętą głowę.

– Teraz mój pan mówi, że opowieść króla budzi jego ciekawość – ciągnął Eneasza. – Pyta, czy może osobiście zobaczyć którąś z tych dziwnych kobiet.

A król... – Ale Eneasza nie musiał już tłumaczyć. Agamemnon strzelił palcami, a pochylony sługa oddalił się biegiem, by niemal natychmiast wrócić z młodą kobietą w białej szacie.

Myrina rozpoznała ją już po samym chodzie. Idąc z trudem i niepewnie, dziewczyna trzymała się ramienia sługi, zdając się na niego, gdy prowadził ją przez nieznanne pomieszczenie. Na jej widok Myrina wzdrygnęła się z bólu i ulgi jednocześnie, była to bowiem Lilli.

ROZDZIAŁ 22

Oto leżysz bez ducha, w bezbożną tę sieć pajęczycy podstępnie schwytny...

Oto leżysz bez ducha, w bezbożną tę sieć pajęczycy podstępnie schwytny...

Panie mój!

Ach, sromotnie dwusieczny miecz powalił cię na łożę krwawe!

*Żony cię dłoń powaliła zdradą!*¹¹

AJSCHYLOS, *Agamemnon*

KNOSSOS, KRETA

Skok do Myken na szybką pogawędkę z panem Telemakhosem okazał się nie do końca dowozem pierwszą klasą, jak obiecała mi Rebecca. Gdy już zgodziłam się na eskapadę, moja przyjaciółka zniknęła na prawie godzinę; wróciła ubrana w zmyślną kurteczkę lotniczą i ciasny skórzany hełm z goglami.

– Nie sądziłaś, że tego dokonam, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko, odnosząc się do naszych nocnych dyskusji o plusach i minusach latania własnym samolotem. – A ja wreszcie zrobiłam licencję pilota. Czy też raczej dostanę ją, gdy tylko Stavros naprawi drukarkę.

– To fantastyczne wieści, Bex – odparłam, walcząc z bólem wyobraźni. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz rzeczywiście gdzieś polecieć.

– Zdecydowanie! – Wyprowadziła mnie na zewnątrz i zamknęła za nami drzwi. – Moim zdaniem to naprawdę jedyna droga. Możesz lecieć bezpośrednio z jednych wykopalisk na drugie i w ogóle nie musisz się stykać z nowoczesnym światem.

Gdy zabrałyśmy Nicka, zrozumiałam, co Rebecca ma na myśli. Furgonetką przewiozła nas krótką wyboistą zwirową drogą, na której końcu stał zrujnowany hangar, a przed nim trzy samoloty śmigłowe. Dwa wyglądały na zdadne do lotu.

Trzeci sprawiał wrażenie eksponatu należącego do jakiegoś muzeum, a z jego skrzydła zwisała tabliczka „NIE DOTYKAĆ”.

– Wynajęłam to przez Stavrosa – wyjaśniła Rebecca, parkując furgonetkę obok hangaru. – Wymaga odrobiny miłości – ruchem głowy wskazała rozsypany się samolot – ale cena jest godziwa.

– Kim jest Stavros? – spytałam, wciąż zbyt wstrząśnięta, by jasno myśleć. – I dlaczego chce cię zabić?

Ale Rebecca już wyskoczyła z wozu, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Nick podążył za nią bez słowa protestu. Tak więc siedziałam sama ze swoimi obawami, zadając sobie pytanie, w jaki sposób spontaniczny lot skazanym na zgonie samolotem ma mnie zbliżyć do babci. Zachęcała mnie natomiast myśl, że wciąż mam niezafatwione sprawy z Nickiem. Że nie wspomnę o obiecanych przez niego pieniądzach, którymi zresztą postanowiłam podzielić się z Rebeccą... Nie, decydującą rolę odgrywało moje przeświadczenie, że gdzieś w biurze w Dubaju leży ściśle tajna teczka z odpowiedziami na wszystkie moje pytania o Amazonki.

Wcześniej spędziłyśmy z Rebeccą dobre pół godziny przy jej komputerze, szukając informacji o Fundacji Aqrab. Ta odrobina, którą znalazłyśmy, wystarczyła, by podsyć moje lęki i potwierdzić to, co już powiedział mi James.

Przemoc, strzelaniny, pozw... podejście Fundacji Aqrab do archeologii stało w jawnej sprzeczności z wszystkim, co kiedykolwiek ceniłam w świecie studiów starożytnych. Nigdzie też nie widziałam celebrowania piękna i poezji przeszłości; chodziło tylko o pieniądze i żądzę posiadania.

Tak nas oszołomiły nasze odkrycia, że niemal przeoczyłyśmy najistotniejszą – w każdym razie dla mnie – wieść ze wszystkich. Fundacja Aqrab nie tylko pozywała od lat brytyjskie muzea, twierdząc, że kupowały one świadomie zrabowane z Bliskiego Wschodu artefakty, ale ostatnio do listy celów swej istnej kampanii, jak na mój gust skleconej z naciąganych zarzutów, dołączyła Moselane Manor Collection. Teraz rozumiałam, dlaczego James mnie ostrzegał jeszcze kilka godzin temu, że Nick i jemu podobni mogą namącić mi w głowie.

To odkrycie znacznie pogłębiło moją i tak już wielką konsternację. Czyżbym bezwiednie stała się piłeczką pingpongową odbijaną w tę i z powrotem przez al-Aqraba i lorda Moselane'a? Czy dlatego James się

interesował miejscem mojego pobytu do tego stopnia, że śledził telefon Nicka i ustalił, że dzwonię z Algierii? Nie za bardzo wiedziałam, co myśleć.

– Halo? Ziemia do epoki brązu. – Rebecca przerwała moje mało radosne rozważania, wsuwając głowę do furgonetki. – Wyrocznia czeka. Owszem, możesz umrzeć, ale przynajmniej złożysz swoje życie na ołtarzu przyjaźni.

Pomimo wszystkich swoich cnót – i tu do najznacniejszych należałoby zaliczyć oderwanie się od ziemi i unoszenie się w powietrzu – ośmioosobowy cud Stavrosa trząsł się naprawdę niepokojąco, a nierówne trzaski jego silnika kojarzyły się z dźwiękami zgoła piekielnymi.

– To dlatego, że go wybebeszył! – krzyknęła Rebecca, gdy wreszcie znaleźliśmy się w górze. Jej głos niemal ginął w ryku i grzechocie samolotu. – Gdy osiągniemy wysokość przelotową, będzie lepiej.

– A skoro mowa o wysokości przelotowej – odwrzasnęłam, obejmując swoją kamizelkę ratunkową – nie powinnaś być w łączności radiowej z jakimiś...

władzami?

– Nie widzę potrzeby. – Rebecca sprawdziła przyrządy, pozornie ogarniając sytuację. – Lecimy tak nisko, że radary nas nie wychwycą. A na wypadek gdybyśmy się natknęli na inny samolot, są pewne podstawowe zasady. To wszystko jest cudownie proste.

Nick w czasie lotu był osobliwie, choć to zrozumiałe, milczący, a jednocześnie sprawiał wrażenie wyluzowanego. Zajął miejsce zaraz za Rebecca, ale w ogóle się do niej nie odzywał. Przyglądał się tylko jej poczynaniom, od czasu do czasu zerkając przez okno. Ale gdybym miała wierzyć w to, co właśnie wyczytałam w Internecie, to nawet rozwalający się samolot prowadzony przez amatorkę stanowił otoczenie bezpieczniejsze niż to, do czego Nick przywykł jako tajny agent al-Aqraba. Może, pomyślałam, przyglądając mu się z niechętną ciekawością, nawet nie kłamał, kiedy mówił, że potrzebuje wakacji.

Gdy wreszcie wylądowaliśmy na równinie Argos, powstrzymałam się od ucałowania ziemi wyłącznie przez szacunek dla Rebekki. Jeszcze byłam zamroczone, gdy odbierał nas pan Telemakhos, a sytuacji nie poprawiał fakt, że po części nadal miałam opory przed poznaniem tego ekscentryka. Rebecca od trzech lat dokładała starań, by nas sobie przedstawić, a ja się ciągle wykręcałam, w nadziei, że człowiek, którego ona nazywała Wyrocznią,

w końcu sam zrezygnuje. Najwyraźniej jednak pomimo moich wysiłków Los postanowił nas ze sobą poznać.

– Witajcie w Mykenach, barbarzyńcy! – huknął pan Telemakhos, trzaskając drzwiami przerdzewiałego kabrioletu. Był mocno opalonym łysem drągalem, którego wrodzonej władczości ani trochę nie podważała rozpięta hippisowska koszula oraz złoty łańcuch wijący się przez dżungłę siwych włosów na klatce piersiowej. – Mój mały Hermes. – Zaczekał, aż Rebecca podejdzie, by ją uściskać.

– Co mi dzisiaj przywiozłaś? – Zanim jednak zdołała odpowiedzieć, rzucił mi triumfalne spojrzenie i rzekł: – Diana Morgan. Nareszcie!

Otworzyłam usta, by powiedzieć coś odpowiednio pojednawczego, ale nie było takiej potrzeby. Pan Telemakhos już przeszedł do Nicka, a na jego twarzy zabłysł szeroki uśmiech.

– Wróciłeś!

Stałyśmy z Rebeccą jak skamieniałe. Nick sprawiał wrażenie pozytywnie zszokowanego.

– Nigdy w życiu tu nie byłem... – zaczął.

– Owszem, byłeś! – upierał się pan Telemakhos, teraz ścigając brwi. – Przyjechałeś popytać mnie o parę rzeczy i przegadaliśmy całą noc. Zapomniałeś?

Pan Telemakhos pamiętał wszystko obsesyjnie i upierał się, że ma rację, więc zawiózł nas prosto do swego domu: budowli z kamienia stojącej na żwirowym zboczu. Roztaczał się stamtąd widok na ruiny starożytnych Myken.

Burcząc coś pod nosem po grecku, wszedł przed nami do salonu, a potem wrócił, niemal natychmiast, z wielkim albumem.

– Aha! – Rozłożył go na blacie kuchennym na desce do krojenia z okruchami chleba. – No, zobaczmy.

Zaczynając od końca, pan Telemakhos przeskakał swój opasty album, przyglądając się każdej fotografii i podpisowi. Im dalej szedł, tym bardziej się niecierpliwił.

– Na pewno się nie myłę! – nie ustępował. – To gdzieś tu jest.

Gdy wreszcie znalazł to, czego szukał, jego radość jednak uleciała.

Fotografia pochodziła sprzed trzydziestu lat. Co więcej, pomimo wyblakłych kolorów było oczywiste, że widniejący na niej młody człowiek

jedynie z grubsza przypomina Nicka. Był przystojny, niewątpliwie, ale miał ciemniejszą skórę, wyraz twarzy zdradzał nieprzystępność.

– Chris Hauser – powiedział pan Telemakhos, ślęcząc nad odręcznym podpisem.– Z Baltimore. Znasz go?

Nick pokręcił głową, ale odniosłam wrażenie, że czuje się niezręcznie. Nie dziwiłam się. Wychodziło na to, że ryzykował życie, lecąc z Rebeccą na spotkanie z szaleńcem – nie wspominając o dziesięciu tysiącach, które był mi winien. Nie mogłam oprzeć się refleksji, że to wszystko robi się nieopłacalne... nawet dla kogoś, kto pracuje dla miliardera.

Niedługo później Nick wymknął się na zewnątrz wykonać zwyczajowe kilkanaście telefonów. Mniej więcej po półgodzinie, gdy jego nieobecność zaczęła się robić denerwująca, poszłam go poszukać i znalazłam go za garażem, gdy z rozpiętą koszulą przechadzał się po wysokich chaszczach.

– Nie możesz puścić pary z gęby – szeptał do telefonu. – To jest całkowicie nieoficjalne.

Cofnęłam się trochę w nadziei, że mnie nie zobaczył. Stojąc zaraz za rogiem, wyraźnie słyszałam jego następne słowa, od których wykręcały mi się trzewia.

– Najwyraźniej to prawda. Szukają tego od trzech tysięcy lat. Specjaliści, z którymi pracuję, są pewni, że jesteśmy na właściwym tropie. – A po chwili: –

Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Ale podobno nigdy jeszcze nie znaleziono niczego tak wielkiego. Dlatego mówi się o skarbie Amazonek.

Ze wstrząsu i dezorientacji zebrało mi się na mdłości. Oparłam się o szorstką ścianę, pragnąc usłyszeć ciąg dalszy. Ale to był koniec. Jeszcze kilka uprzejmości i Nick rozłączył się, by nawiązać następne połączenie i tym razem odbyć rozmowę po arabsku.

Wróciłam do środka w stanie niepohamowanego gniewu. Ile razy już mnie okłamał? Kiedy mu powiedziałam o rękopisie *Historii Amazonum* w samochodzie przy wyjeździe z Algierii, mogłabym przysiąc, że nigdy wcześniej nie słyszał o Skarbie Amazonek. Owszem, znał stambulskiego kolekcjonera, Grigora Reznika, ale o skarbie nie wiedział nic. To było dwa dni temu. Albo świetnie ukrywał fakt, że już wcześniej coś wiedział, albo tymczasem wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Tylko co?

Przekonany, że moja apatia wynika z głodu, pan Telemakhos zapędził nas

wszystkich na obiad do przydrożnej restauracji o nazwie Król Menelaos. Prowadził ją daleki, ale zaprzyjaźniony kuzyn, a pan Telemakhos miał tu swój stolik na patio, zarzucony stosami gazet i kuponami loterii, by nie zajęli mu go żadni turyści ani nikt inny zresztą.

Pan Telemakhos w rozchylonej koszuli, z której wylaniało się owłosienie tak bujne, jakie niegdyś zapewne zdobiło jego głowę, nalegał, by dokonać za nas wyboru, twierdząc, że dokładnie wie, czego chcemy.

– Taki młody człowiek – rzekł, poklepując Nicka po ramieniu z nostalgicznym poczuciem koleżeństwa – musi jeść mięso. Pamiętaj! Dużo mięsa.

W przeciwnym razie – tu nachylił się bliżej, by podzielić się swą mądrością za parawanem złożonej gazety – nie będziesz miał energii, by zapewnić paniom szczęście. Co nie? – Zachichotał na ich sekretne porozumienie, a potem dodał już poważniej: – Tak się właśnie stało z Menelaosem. Nie jadł mięsa i nie mógł zadowolić swojej kobiety. – Pan Telemakhos westchnął i pokręcił głową, sięgając po swój kieliszek uzo. – To się zdarza najlepszym.

– Jego żoną była piękna Helena – przerwała Rebecca, głównie zwracając się do Nicka – która uciekła z mięsożernym Parysem i rozpoczęła wojnę trojańską. – Uśmiechnęła się, bardzo się starając zachować radosny ton. Wcześniej wyjaśniła nam, że pan Telemakhos niedawno się rozwiódł i rozpaczliwie pragnął rozweselenia.

– Za Menelaosa – nasz gospodarz podniósł kieliszek – który dopiero po jej odejściu zrozumiał, co miał. Helena, zdradziecka suka.

– Za wegetarian – Nick też podniósł kieliszek – którzy przygotowali tysiąc okrętów.

Zerknęłam na niego, zaskoczona jego wyluzowaniem. Przed chwilą wbił mi nóż w plecy, a teraz siedział sobie i wyglądał, jakby się niczym nie przejmował.

Jeśli piękna Helena była zdradziecką suką, to kim był Nick?

– A to – podjęła Rebecca, podając mu miseczkę kaparów – jak już się domyśliłeś, pochodzi z tego samego miejsca, z którego Menelaos wziął swoje okręty. Z siedziby starszego brata Agamemnona, opoki greckiej potęgi w czasach herosów.

– Herosów! Pffff. – Pan Telemakhos opędał się od tego słowa jak od

natrętniej muchy. – Człowiek się nie zmienia. Najpierw strzela, potem pyta. Po to mamy takie wielkie mózgi, wiecie. – Chwycił się za głowę, jakby zamierzał ją ściągnąć. – I dlatego możemy tu sobie potem zasiąść i poopowiadać miłe historie.

Homer był w tym niezły.

– Piękna Helena – przerwała Rebecca, która ani chybi słyszała już wcześniej tę tyradę – podobno w ogóle nigdy nie istniała. To sprytny zabieg, który miał rzucić romantyczne światło na zburzenie Troi.

– Przepraszam, ale muszę trochę zwolnić – rzekł Nick, rozparty na krześle do granic ludzkich możliwości. – Gdzie dokładnie leżała Troja?

Jęknęłam w duchu. Czy on znowu gra? Rebecca jednak z rozkoszą oddała się opowieści o jednej z największych archeologicznych zagadek wszech czasów.

– Nawet dzisiaj – mówiła – po dziesiątkach lat wykopalisk w Hisarlik niektórzy z moich kolegów uważają, że wciąż nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

– Hisarlik leży w Turcji – dodałam. – Na północno-zachodnim wybrzeżu Anatolii, w miejscu, gdzie Morze Egejskie styka się z morzem Marmara. – Wskazałam za ramię – Zasadniczo gdzieś tam. W czasach Homera cztery dni statkiem.

– To był właśnie problem. – Rebecca pochyliła się nad stołem, by kontynuować opowieść. – Lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja. Troja była pierwszorzędną nieruchomością dla każdego, kto chciał dominować na Morzu Egejskim.

– W wojnie trojańskiej nie chodziło o sprawy osobiste – włączył się pan Telemakhos, a wyglądał na tak zatroskanego, jakby na nim osobiście spoczywała odpowiedzialność za to, co się wydarzyło przed wiekami. – My, Grecy, mieliśmy zbudować potęgę handlową, a Troja stała nam na drodze. – Nadział na widelec kilka kawałków kielbasy i przeniósł je na swój talerz. – Nazywajcie to jak chcecie, ale nie mówcie o nas „herosi”.

Po obiedzie przeszliśmy się w świetle księżyca przez mykeńskie ruiny, podziwiając kamieniarkę na tym z pozoru opuszczonym zboczach. Kontrast pomiędzy potężnymi murami a całkowicie nieufortyfikowanym pałacem w Knossos na Krecie był uderzający. Trudno było uwierzyć, że te dwie cywilizacje istniały tak blisko siebie w czasie i przestrzeni.

– Grecy przejęli kontrolę nad Kretą mniej więcej w tysiąc czterysta pięćdziesiątym roku przed naszą erą – powiedziała Rebecca. – Tradycyjnie uważa się, że pałac w Knossos został zniszczony przez pożar już pół wieku później, ale wokół daty tego pożaru toczy się gorąca dyskusja i niektórzy – tu znacząco podniosła brew na znak, że sama do owych niektórych należy – gotowi są przysiąc, że można go datować najwcześniej na rok tysiąc dwusetny przed naszą erą. Weźmy na przykład tabliczki z Pylos...

– Do czego to wszystko zmierza? – burknął Nick, zostając w tyle za rozgadanyimi pasjonatami, by zamienić ze mną słowo na osobności.

– Nie do końca wiem – odparłam, chociaż wiedziałam doskonale, co robi Rebecca. Pomimo wszystkich moich ostrzeżeń o nieczystej grze i tykającej bombie próbowała zrobić na Nicku wrażenie swoją wiedzą fachową w nadziei, że zaowocuje to ofertą pracy. – Zdaje się, że pan Telemakhos ma dla nas niespodziankę.

Podobnie jak ty, pomyślałam sobie, obserwując Nicka, który właśnie sprawdzał, czy nie przyszedł esemes. Chociaż miał na sobie zwyczajny strój w postaci dżinsów i T-shirtu, wiedziałam, że normalność nie jest dlań stanem codziennym. Krył w zanadrzu mnóstwo brzydkich niespodzianek.

– Chciałem cię spytać – Nick przerwał moje gorzkie rozmyślenia – co zrobisz, gdy następnym razem ktoś cię zaatakuje? Będziesz miała nadzieję, że znowu ucieknie, jak ten gość w labiryncie?

Pytanie miało mnie sprowokować, ale się nie udało.

– Nic mi nie będzie, dziękuję – odparłam. – Umiem o siebie zadbać.

– Chodź tu. – Dał mi znak, żebym się przysunęła. – Chcę ci coś pokazać.

Myśląc, że ma myśli coś w swoim telefonie, zrobiłam, o co prosił. Ale gdy tylko się zbliżyłam, on chwycił mnie mocno za ramiona i obrócił mnie tak, że przyciskał mnie do siebie odwróconą tyłem.

– Mam cię – powiedział mi prosto do ucha. – I co teraz zrobisz?

Byłam tak zszokowana, że nawet nie próbowałam się uwolnić.

– Liczę do trzech...

– A potem? Nie możesz się ze wszystkiego wywinąć gadaniem.

– Jeden! – powiedziałam z wymuszoną cierpliwością. Doprowadzało mnie do szału, że Nick ma tupet pogrywać tak ze mną, i ani myślałam zniżyć się do jego poziomu. – Dwa...

– Liczysz na to, że jestem miłym gościem. A gdybym nie był?

– Trzy. – Czekałam spokojnie, aż mnie uwolni, i gdy tylko zaczęłam się bać, że tak się nie stanie, rzeczywiście mnie puścił.

– Diano – powiedział, kręcąc głową. – Masz szczęście, że żyjesz. A co będzie następnym razem? Jak to możliwe, że nie chcesz się nauczyć, jak bronić siebie albo ludzi, których kochasz? Mogę ci pokazać kilka prostych sztuczek...

– Nie wątpię. – Spojrzałam na niego groźnie, gdy stał tak na tle oświetlonych przez księżyc ruin. Wyglądał, jakby mówił poważnie, jakby moje bezpieczeństwo było jego najwyższym priorytetem. – Ale nie potrzebuję twoich tanich sztuczek.

Tak się składa, że należę do uczelnianej drużyny szermierczej. – Sama usłyszałam, że brzmi to żałośnie, więc czym prędzej dodałam: – Wolę rycerskość i właściwą etykietę niż metody chuligańskie.

Nick kiwnął głową, zdecydowanie ani trochę się nie przejął.

– Dobrze. To świetnie. Ale – otworzył ramiona i rozejrzał się teatralnie – gdzie twój miecz?

Mląc w ustach niewypowiedziane riposty, odwróciłam się i ruszyłam ścieżką w ślad za pozostałymi. Ani razu nie zatrzymałam się, by sprawdzić, czy Nick podąża za mną. Musiałam stworzyć dystans między nami na wiele różnych sposobów.

Rebecca i pan Telemakhos czekali w wejściu do starożytnej cytadeli. Stali na tle ogromnych kamieni i wielkiego monolitycznego nadproża, które ledwie widziałam w słabym świetle, ale rozpoznałam z ilustracji w książkach: była to słynna Lwia Brama z płaskorzeźbą przedstawiającą dwie dzikie bestie siedzące do siebie pyskami.

– Zbudowana przez olbrzymów – powiedział pan Telemakhos, z dumą poklepując imponujące kamienie. – Mykeńczycy byli górskimi niedźwiedziami, jak widzicie. Wielcy włochaci mężczyźni, którzy lubili siedzieć wokół huczącego ognia i rozmawiać o wojnie. – Podrapał się po klatce piersiowej i rozejrzał. – Zbudowali imperium siłą, ale na koniec napadli ich piraci. Jak się to ma do poetyckiej sprawiedliwości?

– Kto mieczem wojuje... – powiedziałam.

– Ginie od kuli – burknął Nick tuż za moimi plecami.

– Nie zapominajmy o historiach, które po sobie pozostawili – zauważyła Rebecca, gdy szliśmy dalej stromą uliczką – a które zainspirowały greckie

tragedie i zachodnią literaturę. Agamemnon, Kasandra... wracający z Troi na kolację połączoną z mordem. Orestes, który zabił własną matkę. I Elektra...

Kontynuowała wyliczenie aż do samego szczytu wzniesienia. Dopiero gdy wreszcie stanęliśmy na fundamentach dawnego pałacu królewskiego, patrząc ponad wapiennymi wzgórzami na światła dalekiego Argos i czarne morze, zamilkła, bo zabrakło jej oddechu.

– W porządku, Diano Morgan – powiedział pan Telemakhos, który pomimo swojej znacznej wagi nie wydawał się ani trochę zmęczony stromą wspinaczką. – Proszę nam powiedzieć, po co tu przyszliśmy.

Ta prośba wywołała mój uśmiech, gdybym nie była za bardzo zajęta swoimi sprzecznymi myślami. Zdałam sobie sprawę, że polubiłam Nicka, o wiele bardziej niż powinnam, i cokolwiek bym zrobiła, by to zmienić, czułam się, jakbym płynęła pod prąd, bardzo silny prąd, który ostatecznie i tak mnie wciągnie pod powierzchnię. O cokolwiek mu naprawdę chodziło i ktokolwiek mu pomagał, mój wkład wydawał się przy tym śmieszny. Najwyraźniej nie należałam do ekspertów, o których wspomniał w swojej rozmowie telefonicznej, bo – jak już powiedziałam mu w samochodzie przy pierwszej dyskusji na ten temat – nigdy ani przez chwilę nie wierzyłam, że Skarb Amazonek istnieje, ani też nie miałam zielonego pojęcia, gdzie taki skarb – jeśli jednak istnieje – można znaleźć.

Zdałam sobie sprawę, że wszyscy czekają na moją odpowiedź.

– No cóż, jest wiele niewiadomych... – zaczęłam.

Pan Telemakhos parsknął jak muł.

– Jak uważasz! Możesz sobie przynudzać. Ale gdyby ktoś mnie pytał, pomiędzy wiadomym a niewiadomym jest sporo miejsca. I w tym miejscu każdy się jakoś nazywa. Na przykład imię waszej trzysylabowej kapłanki-królowej – kiwnął głową na Rebeccę, która wypaplała mu wszystko przez telefon, zanim odlecieliśmy z Krety – nietrudno odgadnąć. A ty, Diano Morgan – skierował w moją stronę oskarżycielski palec – powinnaś już dawno temu je wykoncypować.

Każdy stary krzyżówkowiec by to zrobił. Królowa Amazonek z Afryki Północnej.

Jak się nazywała?

Skrzywiłam się na widok tego palca. Pomimo całej mojej wiedzy o mitach greckich i o tradycji Amazonek nigdy nie przyszło mi do głowy, że to imię

mogę już znać. Kiedy stoczyłam się ścieżką tego pytania i walnęłam głową o odpowiedź, doznałam takiego wstrząsu, że ledwie zdołałam ją wykrztusić.

– Myrina.

– Brawo! – Telemakhos zaklaskał. – No widzisz, wiedziałas.

– Chwila moment. – Zrobiłam krok do przodu, w głowie mi się kręciło, chciałam powściągnąć jego zapał, zanim poniesie nas wszystkich. – A pan skąd zna to imię? Skąd ma pan taką pewność?

Pan Telemakhos wyprostował się, by popatrzeć na mnie z góry.

– Ufam mitom. One mówią, że Amazonki istniały naprawdę. Pochodziły z Afryki Północnej, a ich królowa nazywała się Myrina. Ja w to wszystko wierzę.

A ty nie?

Tamtego wieczoru, po powrocie do domu, pan Telemakhos rozpoczął najbardziej nadzwyczajną opowieść o pochodzeniu północnoafrykańskich Amazonek. Zasilany licznymi szklaneczkami retsiny, snuł barwną sieć przygody, prowadząc nas od jeziora Tritonis do Myken i na bitwę o Troję... cały czas czerpiąc natchnienie z beczki bez dna pełnej mało znanych literackich strzępków i miejscowej tradycji ustnej, której nikomu nie chciało się nawet zapisać.

Siedzieliśmy w jego salonie, w którym jedynymi meblami był stół zrobiony z wielkiej zniszczonej tablicy i pięć przypadkowych krzeseł pamiętających lepsze czasy. Pod ścianami leżały chybotliwe stosy gazet i postrzępionych ksiąg; wyglądało to tak, jakby ktoś się właśnie tu wprowadził... albo się stąd wyprowadził.

– Wzięła nawet biblioteczki, uwierzycie? – powiedział Telemakhos, gdy nas oprowadzał po domu. – Teraz nic nie mogę znaleźć. – Spojrzał na Nicka przepaszająco. – Dlatego tak mi się wszystko myli.

Przez resztę wieczoru nasz gospodarz wciąż przerywał w pół myśli, by wpatrywać się w Nicka i mówić: „Egipt?” albo „Liban?”, na co Nick tylko kręcił głową. Dopiero kiedy Rebecca spojrzała na niego błagalnie – by oszczędzić nam kolejnych przystanków – wreszcie skapitulował i rzekł: „Iran”.

Pan Telemakhos uderzył oburącz w stół z tablicy, aż przewróciła się miseczka z oliwkami.

– Ale już to mówiłem! Powiedziałem „Persja”!

Nick skrzyżował ramiona na piersi.

– Tak wy o nas mówicie. My mówimy „Iran”.

– Ha! – zakrzyknął Telemakhos. – Zagadka rozwiązana. Odgadłem. Masz perski nos, i to właśnie powiedziałem. Ale wyjaśnij mi – wychylił się do przodu, by spojrzeć na Nicka z natężeniem godnym sali sądowej – co robi człowiek z Iranu z chrześcijańskim imieniem i brazylijskim paszportem?

Skręciło mnie. Naiwnie nie wzięłam pod uwagę, że jeśli powiem Rebecce o paszporcie – który wyśledziłam w samolocie z Dżerby – to ta informacja obróci się przeciwko mnie.

– Dzięki temu oszczędzam czas – odrzekł Nick niespeszony wiedzą Telemakhosa. – Brazylijczyków nikt nie terroryzuje kontrolą bezpieczeństwa.

A Irańczyków tak.

– Ale w ogóle mieszkałeś kiedyś w Brazylii? – spytała Rebecca.

– No pewnie. Moja matka pochodzi z Rio. Mieszkaliśmy tam, gdy byłem chłopcem. Mój ojciec był grajkiem ulicznym. – Nick spojrzał mi w oczy ponad stołem i po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, poczułam, że mówi prawdę. – Najlepszym. Zawsze umiał odgadnąć pragnienia tłumu. A ja robiłem za małąkę chodzącą z kapeluszem. – Spojrzał na każde z nas po kolei niezrażony naszym posępnym milczeniem. – Teraz więc już wiecie, dlaczego uważam za absurdalne całe gadanie o granicach, kolorach i narodowościach. Ludzie próbują cię przyszpilić do jakiegoś miejsca na mapie i pomalować cię na jakiś kolor, żeby wszystko uprościć. Ale świat nie jest ani trochę prosty, a inteligentne istoty ludzkie nie lubią być przypinane ani malowane przez jakąś rękę w górze, czy ona należy do boga, czy do kapłana, czy do polityka.

– Więc nie jesteś... wierzący? – spytała Rebecca trochę ogłupiała.

Nick zastanawiał się chwilę.

– Dla mnie jest tylko jeden Bóg. Nienazwana istota, której nigdy nie pojmiemy. Cała reszta to ludzka polityka. To istoty ludzkie napisały wszystkie święte księgi, to istoty ludzkie ustaliły wszystkie zasady i rytuały. Innymi słowy, to istoty ludzkie zamieniły życie w piekło. Więc tak – sięgnął po swój kieliszek – staram się żyć zgodnie z duchem Boga, ale nie zgodnie z regułami, bo reguły sklecił człowiek, a człowiek to tylko niesłuchanie zarozumiała pchła w ogromie Stworzenia.

Rebecca nawet nie próbowała odpowiedzieć. Choć całe swoje życie starała się przed tym uciekać, w głębi duszy wciąż była córką pastora. No, pomyślałam, teraz przynajmniej może już nie będzie się tak palić do przypochlebiania się Fundacji Aqrab i może przyjmie w końcu do wiadomości to, co mówię jej o szemranych poczynaniach Nicka.

Zanim pan Telemakhos wreszcie odłożył zużyty kawałek kredy do kieszeni koszuli i otrzepał palce, tablicowy stół jadalny wypełnił się bezlikiem kreseczkowych kobiet i wielojęzycznych bazgrołów przedzierających się przez okruchy chleba i małe kałuże oliwy.

– No to macie – zakończył. – Diodor Sycylijski miał rację, gdy twierdził, że Amazonki pochodzą z Afryki Północnej i że dowodziła nimi królowa o imieniu Myrina. Dopiero później przeniosły się nad Morze Czarne i stały wojowniczymi dziewczynami, które znamy z ksiązek.

– Diodor Sycylijski był starożytnym historykiem greckim – wyjaśniłam Nickowi – który miał dostęp do wielu źródeł dzisiaj już nieistniejących.

Prawdopodobnie większość czasu spędził w Bibliotece Aleksandryjskiej... wiesz, w tej słynnej bibliotece, która później uległa zniszczeniu. Widziałam dorosłych mężczyzn, jak płaczą nad skarbami literackimi i historycznymi, które tam się znajdowały.

Nicka mój patos raczej rozbawił.

– Miejmy nadzieję, że wielu Aleksandryjczyków przetrzymało książki w tamtym tygodniu.

– A teraz ty, mój półperski przyjacielu. – Pan Telemakhos przechylił się w stronę Nicka, patrząc mu w oczy. – Powiedz nam, co ty myślisz. Widzę, że coś myślisz. Persowie zawsze myślą. Nawet pół-Persowie. A ten tu Grek chciałby wiedzieć, co to jest.

Nick się uśmiechnął, ramiona nadal krzyżował na piersi.

– Myślę, że ma pan coś w zanadru. Grecy zawsze coś mają.

– Ha! – Pan Telemakhos wstał z krzesła. – Persowie są bystrzy. W tym problem. – Dał nam znak, byśmy poszli za nim. – Pokażę wam wielki sekret. Nie możecie o nim nikomu powiedzieć, rozumiecie?

Nick jako pierwszy wstał i ruszył za naszym gospodarzem kamiennymi schodami prowadzącymi w stęchłą ciemność pod domem. Myśmy z Rebeccą się zawahały.

– Dlaczego wszystko musi być pod ziemią? – burknęłam do niej, gdy

pokonywałyśmy niebezpieczne schody. – Ostatnio zdecydowanie za dużo czasu spędzam w podświadomości.

Chociaż starałam się to zlekceważyć, zatechły bezruch sekretnej kryjówki pana Telemakhosa przywołał wspomnienie nie tylko moich ostatnich strasznych przeżyć na Krecie, lecz także w algierskiej świątyni. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zdołam zejść do piwnicy bez dreszczy.

– Wiele lat temu – zagrzemiał pan Telemakhos gdzieś z ciemności – kiedy byłem małym chłopcem bawiącym się na tych wzgórzach, znalazłem coś wyjątkowego. – Zapalił jedyną żarówkę pod sufitem, a wówczas okazało się, że znajdujemy się w niewielkim centrum dowodzenia o ścianach i stołach szczelnie pokrytych wycinkami z gazet i innymi skrawkami papieru. Nigdy czegoś takiego nie widziałam... w każdym razie nigdy, odkąd mój ojciec przeszedł przez babciny strych z wiadrem, zrywając z sufitu jej archiwum wyimaginowanej działalności Amazonek.

Pan Telemakhos podszedł do starego sejfu w rogu i zaczął wstukiwać kod.

– Wtedy nikomu o tym nie mówiłem, bo wówczas jakiś obślizgły mały biurokrata przyjechałby furgonetką i zabrałby to wszystko do Aten. Tam teraz musicie jeździć, żeby zobaczyć artefakty z Myken. Wszystkie znajdują się w Narodowym Muzeum Archeologicznym. Albo w paryskim Luwrze, oczywiście – dodał z obrzydzeniem.

Otworzywszy sejf, pan Telemakhos gmerał w nim chwilę, nim wreszcie wyjął niewielką plastikową torebkę.

– Chodźcie zobaczyć! – powiedział, kiwając na nas. – To nie gryzie.

W torebce leżała szakalowa bransoleta.

– Proszę. – Podał mi torebkę, promieniejąc z zadowolenia, że wywołał takie wrażenie. – Myślę, że okaże się taka sama jak ta na twoim ręku.

Poczułam lekkie zaskoczenie, że zainteresował się bransoletą mojej babci.

Cały dzień miał ją przed oczyma, ale nawet gdy podjął nas opowieściami o Amazonkach, nie wspomniał o niej ani słowem – można by wręcz odnieść wrażenie, że jej nie zauważył.

– Znalazłem tę ozdobę Amazonki na wzgórzu przy ruinach pałacu – ciągnął Telemakhos. – Głęboko w kraterze, który prawdopodobnie został wyłobiony przez piorun. Domyślam się, że ludzie chodzili tam składać ofiary bóstwom nieba.

– Jestem wstrząśnięta! – powiedziała Rebecca, nie dotykając torebki. – To

unikatowe znalezisko. Nie powinno się znajdować... w muzeum?

Wełniste brwi pana Telemakhosa podskoczyły z przerażenia.

– Kiedy skończę swoje zadanie, upublicznię ją. Ale na razie ratuję te bezcenne skarby przed głupotą i chciwością biurokratów i innych złodziei.

– Doskonale to rozumiem – powiedział Nick.

Przyłożyłam drżącą rękę do czoła, zastanawiając się, czy można dostać gorączki od samego wstrząsu.

– A ja nie rozumiem – powiedziałam – skąd ma pan pewność, że te bransolety należały do Amazonek? Nie może to być po prostu zwyczajna biżuteria noszona przez zwyczajnych ludzi? Motyw szakala nie jest taki niezwykły.

Pan Telemakhos pomachał mi przed oczami torebką.

– Ten szakal jest wyjątkowy i pani o tym wie. Ale pozwolę sobie powiedzieć, co się stało. – Włożył torebkę do sejf. – Gdy znalazłem tę bransoletę, porzysyłałem zapytania. Byłem ostrożny, ale i tak parę osób mnie znalazło. Na przykład – kiwnął głową w stronę Nicka – pański przyjaciel Chris Hauser.

– I czego chciał? – spytał Nick. – Mój przyjaciel Chris Hauser.

Pan Telemakhos teraz sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Cóż, prawdę mówiąc, on właśnie mi powiedział, że to bransoleta Amazonek. I chciał wiedzieć, czy widziałem kiedykolwiek takie same. A wówczas widziałem tylko tę.

– Ale później – drążyłam – znalazł ich pan więcej?

Pan Telemakhos delikatnie zamknął sejf.

– Tak.

– Gdzie?

– To właśnie chcę wam pokazać. – Ruszył w kierunku schodów. – Jutro.

Powinniście kogoś poznać...

– Tak dla jasności – odezwał się Nick, rzucając ostatnie spojrzenie na sejf.

– Jak pan sądzi, dlaczego Chris Hauser tak się interesował tą bransoletą?

Pan Telemakhos zatrzymał się z ręką na sznurku włącznika światła.

– A czego chcą wszyscy mężczyźni? Chcą być zniewoleni przez Amazonki.

Nick się nie roześmiał, ale niewiele brakowało.

– Każdy mówi za siebie.

Po raz pierwszy pan Telemakhos się nie ubawił. Gdy stał tak w piwnicy, w

otoczeniu dowodów bezgranicznego oddania tematowi, który najwyraźniej wedle jego oceny nie powinien być ujrzyć światła dziennego, stary tropiciel Amazonek skojarzył mi się z ogorzałymi Szkotami, tak często się pojawiającymi w telewizji i uparcie twierdzącymi, że potwór z Loch Ness istnieje, choć wszystkie dowody naukowe świadczą, że to niemożliwe.

– Nadal nie rozumiem – powiedziałam. – Skąd Chris Hauser wiedział, że to bransoleta Amazonki?

Po moim pytaniu wyraz buntu na obliczu pana Telemakhosa ani trochę nie złagodniał.

– Tego mi nie powiedział.

Spojrzałam na Rebeccę i stwierdziłam, że ona także patrzy na naszego gospodarza z niedowierzaniem. Czy to naprawdę możliwe, że człowiek, którego ona nazywała Wyrocznią, oparł dzieło swego życia na czymś tak niematerialnym jak licha mrzonka młodzieńca z Baltimore? Zerkając na Nicka, spodziewałam się zobaczyć ten sam pełen niedowierzania sceptycyzm co u siebie. Ale on nie odrywał spojrzenia od mojego nadgarstka, a na jego twarzy nie widać było ani śladu ubawienia. Nagle zdałam sobie sprawę, że każdemu z nas chodzi o coś więcej niż o zajmowanie się starą legendą.

– Jesteście młodzi – powiedział w końcu Telemakhos, prostując ramiona i patrząc na nas po kolei. – Macie mnóstwo czasu, żeby znaleźć to, czego szukacie.

Ale ktoś taki jak ja więcej dni ma w śmietniku niż w kalendarzu na ścianie. Dlatego jestem niecierpliwy – ruchem głowy wskazał moją bransoletę – i dlatego ciągle mi mało.

– Mało czego? – spytał Nick, wychylając się, by uważniej się przyjrzeć jednemu z wielu papierków wiszących na ścianie.

Pan Telemakhos parsknął niecierpliwie.

– Przez trzydzieści lat próbowałem udowodnić nie tylko, że Amazonki istniały – wskazał bałagan na stole i na ścianach – ale że nadal istnieją. Co tydzień znajduję nowy dowód.

– Na co? – spytała Rebecca głosem zadziwiająco słabym.

Pan Telemakhos podszedł do tablicy ogłoszeń i zdjął kawałek papieru.

– Dziewczynka molestowana przez gwałciciela na zwolnieniu warunkowym.

Dwie kobiety, obce kobiety, nieznanne dziewczynce ani jej rodzinie, znalazły mężczyznę, zapukały do jego drzwi i odcięły mu jaja. – Pan Telemakhos błagalnie podniósł wzrok. – Jeśli to wszystko nie pachnie z daleka Amazonkami, to zamknijcie mnie w psychiatryku.

– Interesujące – powiedział Nick, wykazując się zaskakującą cierpliwością i wyrozumiałością w obliczu czegoś, co w jego oczach musiało być całkowitym szaleństwem. – Muszę powiedzieć, że ten pomysł mi się podoba, i mam nadzieję, że ma pan rację. Ale pozwolę sobie zapytać... – Przeszedł kilka kroków wzdłuż ściany, przeglądając kolejne wycinki. – W którymś momencie zaczyna się coś więcej niż poczucie? Gdzie jest dowód? Gdzie jest UFO w Hangarze Osiemnastym?

Pan Telemakhos się zjeżył.

– Nie mówię o kosmitach! Amazonki, przyjacielu, żyją wśród nas. Ale są przebiegłe, nie chcą, żebyśmy się o nich dowiedzieli. Niektórzy mówią, że one nigdy nie komunikują się ze sobą za pomocą telefonów ani mejli... że używają medium, którego nie da się wysledzić... może czegoś w rodzaju drukowanej broszury. – Wyciągnął ramiona, jakby chciał powiedzieć, że chociaż jest przekonany, że ma rację, nie dysponuje, niestety, dowodami. – Zastanówcie się tylko: łamią prawo, są, jak to się mówi, samozwańczymi stróżami porządku.

Wyobraźcie sobie, ilu ludzi chce je znaleźć i powstrzymać. Nie tylko przestępcy, ale też siły rządowe. Pamiętajcie, że państwo ma monopol na sprawiedliwość.

Nawet kiedy nie wykonuje swojej roboty, kiedy policjanci opłacani z podatków płaconych przez pana Telemakhosa nie robią nic, tylko siedzą na swoich tłustych dupach, czekając, aż pan Telemakhos odrobinę za szybko pojedzie autostradą, nawet wtedy nie możemy robić tego, co oni powinni robić, i ścigać prawdziwych przestępców. Dlatego właśnie Amazonki nie chcą, żeby je znaleziono. Dlatego nigdy nie rozpoznacie ich na ulicach. A swoją drogą – wskazał palcem na mnie – skąd wiesz, że Diana nie jest jedną z nich? Nosi bransoletę, prawda?

Nick odwrócił się, by spojrzeć na mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałam odczytać. Tymczasem zobaczyłam, że Rebecca robi miny do pana Telemakhosa, dając mu znać, że wchodzimy na niepewny grunt, i na szczęście on zrozumiał przesłanie.

– Późno się robi! – stwierdził, gwałtownie klaszcząc w dłonie. – A jutro wcześniej ruszamy. Przygoda czeka!

Nie wiedzieć czemu, wszyscy spojrzeli na mnie, a ja powiedziałam z lekkim żalem: – Jutro jest wtorek. Naprawdę czas na mnie.

Pan Telemakhos przyjrzał mi się bacznie.

– Dotarła pani tak daleko, a teraz nie zobaczy, jak się to wszystko kończy?

– Jak co się kończy? – spytał Nick. – Trop Amazonek?

Nasz gospodarz spojrział na nas tajemniczo spod zmrużonych powiek.

– Powiem wam to, co mówią naukowcy o małych cząstkach we wszechświecie: nie mogę wam pokazać, gdzie one są, mogę wam tylko pokazać, gdzie były. Jeśli się czegoś nauczyłem przez te trzydzieści lat, to tego, że im bardziej chcemy znaleźć Amazonki, tym mniej one chcą być znalezione.

Walczyły we mnie ciekawość i poczucie obowiązku. Strasznie chciałam zostać w Mykenach, dopóki nie wyciągnę każdego strzępka informacji z pana Telemakhosa, i korciło mnie, żeby zobaczyć, dokąd chce nas zabrać i po co. Ale wiedziałam, że nie mogę. Już i tak źle się stało, że porzuciłam studentów na ponad tydzień; dalsze odkładanie mojego powrotu byłoby niewybaczalne.

– Przykro mi. Naprawdę nie mogę – oznajmiłam z ciężkim westchnieniem. – Jutro wieczorem muszę być w Oksfordzie.

Chwilowa posępność pana Telemakhosa ustąpiła radosnemu uśmiechowi.

– Jutro wieczorem? Ależ to wspaniale! Rano udamy się na wycieczkę, a po południu złapie pani samolot.

– Ale ja muszę... – zaczęłam.

–*Stamata!* – W rzadkim przypiływie irytacji pan Telemakhos podniósł dłoń, by mnie uciszyć. – Wiem, co pani musi, Diano Morgan. I dokona pani tego, obiecuję.

ROZDZIAŁ 23

MYKENY, GRECJA

Na widok Lilli żywej, chyba zdrowej i całej, Myrinę ogarnęła taka eskcytacja, że Eneasza musiał położyć jej dłoń na ramieniu w ostrzegawczym geście.

– Król twierdzi, że ta dziewczyna to jedyna przydatna rzecz, jaką jego syn przywiózł z wyprawy – wyszeptał, tłumacząc ohydne słowa. Z całych sił przytrzymał przy tym Myrinę. – Ona mówi głosem ducha, twierdzi król, a jej słowa stają się prawdą. Najwyraźniej przewidziała naszą wizytę, bo powiedziała, że oczekuje przybycia przyjaciół.

Król Agamemnon, by potwierdzić swoje słowa, kazał słudze oprowadzić Lilli po pomieszczeniu, tak by mogła dotknąć dłoni gości i przepowiedzieć ich losy. Przyglądając się siostrze spod spuszczonej powiek, Myrina dostrzegła, że ta nie do końca jest sobą; gdyby sługa jej nie podtrzymał, Lilli nie byłaby w stanie zachować równowagi. A jednak się uśmiechała, jakby nie przydarzyło się jej nic strasznego, a przepowiednie, które wygłaszała greckim wodzom siedzącym wokół królewskiego ognia, najwyraźniej były pomyślne, bo ilekroć sługa je tłumaczył, odbiorca zgodnie z oczekiwaniem sprawiał wrażenie zadowolonego.

Gdy dotarła do Trojan, Lilli poświęciła towarzysowi Parysa siedzącemu po jego lewej stronie – nazywał się on Dares, a zbudowany był tak potężnie, że ledwie się mieścił na ławie – tę samą łagodną uwagę, którą wcześniej ofiarowała wszystkim innym. Wyraz jej twarzy się zmienił, gdy dotknęła ogromnej dłoni, a ostatecznie się uśmiechnęła.

– Jesteś człowiekiem niezwykle odważnym – powiedziała i teraz Myrina usłyszała, że jej siostra mówi językiem, którego nauczyła się w świątyni Bogini Księżycy. – Twoja chwała będzie trwać na wieki. Przez tysiące lat

ludzie będą wypowiadać twoje imię z uwielbieniem.

Dares zaśmiał się i odpowiedział bezpośrednio jej, zanim sługa zdążył przetłumaczyć: – Zadowolę się szczęśliwym życiem, ale dziękuję.

Lilli zrobiła zaskoczoną minę, po czym przeszła do Parysa.

– A ty, panie – powiedziała, chwiejąc się lekko. – Chciałbyś znać swój los?

– Czy mężczyzna powinien znać swoje przeznaczenie? – Parys niechętnie podał jej dłoń. – Nie jestem pewien.

Lilli przebiegła palcami po jego dłoni, tak jak wcześniej uczyniła z Daresem, a na jej oblicze powróciła udawana uprzejmość. Ale już po chwili wyraz jej twarzy się zmienił, najpierw w grymas niedowierzania, potem w czyste i bezgraniczne zdumienie.

– Myrina! – krzyknęła, a jej twarz wybuchła radością. – Myrina? – Siegnęła do policzka Parysa, z rosnącym przerażeniem dotykała jego wieczornego zarostu, jakby się zastanawiała, jaka to szpecąca choroba dotknęła jej siostrę. Po czym już bez słowa wzniosła do nieba niewidzące oczy i padła zemdlona u stóp trojańskiego księcia, z głową na jego kolanach.

To zajście wywołało wielki wybuch śmiechu zebranych mężczyzn.

– Widzisz? – Ogromnie uradowany Agamemnon aż przestał mówić po grecku, by ponaigrywać się ze swojego gościa. – Słodka mała wyrocznia. Zagląda człowiekowi do serca. – Przepił do Parysa. – I teraz wiemy, co kryje się w twoim sercu.

Parys poruszył się niespokojnie na ławie, nie wiedząc, jak ułożyć ciało Lilli.

– Intrygująca dziewczyna – przyznał. – Chciałbym zobaczyć, jak krąży tak na dworze mojego ojca. Pomogłaby mu odczytać myśli jego żon.

Król zaniósł się od śmiechu.

– Tego nawet bogowie nie uczynią. Ale kiedy następnym razem twój ojciec nas odwiedzi, każe jej odczytać jego losy.

– Będzie wdzięczny – powiedział Parys. – To człowiek o wymyślnych upodobaniach. Wyznam – dał znak Daresowi, by ten wyjął coś ze skórzanej sakwy – że musiałem płynąć aż na kraj świata po ten wyjątkowy podarunek. Jestem pewien, że wzbudzi nawet jego podziw. Widziałeś kiedyś coś takiego?

Wydobyty z sakwy przedmiot, ostrożnie przekazywany z rąk do rąk, okrążył gości, aż trafił do Agamemnona. Była to złota maska z

wyrzeźbionymi rysami brodatego mężczyzny, z uszami i wystającym nosem.

– Wspaniała, prawda? – Parys patrzył uważnie, jak król podziwia maskę. – Czyste egipskie złoto. Ale prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy ojciec nie ucieszyłby się bardziej z twojej małej wróżki.

Król uniósł krzaczaste brwi.

– To byś oddał za tę małą wiedźmę?

Parys się zawahał.

– Może nie. Ale... Miałem kupić niewolnice do domu, a nie wracać z bezużytecznymi kosztownościami. – Tu znowu dał znak Daresowi, by wyjął coś z sakwy. Tym razem były to złote kolczyki ukształtowane w postaci ważek. – Moja matka zawsze narzeka, że ma więcej złota, niż może nosić... a brakuje jej rąk do pomocy przy zakładaniu ozdób.

– Smutna sytuacja – przyznał król, zerkając na kolczyki z drugiej strony pomieszczenia. – A jakich dokładnie niewolnic szukasz?

Zamyślony Parys odchylił się, dłoń wciąż trzymał na głowie Lilli.

– Twoja opowieść o tych kobietach mnie ubawiła. Podejrzewam, że moja matka chętnie by się otoczyła takimi egzotycznymi stworzeniami. Nigdy nie lubiła bojaźliwych i skromnych...

– Nic nie mów! – Król podniósł ręce, złota maska wciąż leżała na jego kolanach. – Są twoje. Wszystkie. Siedem kobiet i dziewczyna. Chętnie się pozbędę ich opryskliwego towarzystwa... – Nagły krzyk przerwał królowi, a Myrina zobaczyła, że nikkemny książę podchodzi do ojca i z oburzeniem sprzeciwia się transakcji.

Po krótkiej, ale ostrej wymianie zdań Agamemnon ponownie zwrócił się do Trojan, rozkładając ramiona na znak przeprosin.

– Mówiłem siedem? Chciałem powiedzieć sześć. Sześć kobiet i dziewczyna.

Jak się okazuje, mój syn zapałał sympatią do jednej z nich, a czyż ojciec może odmówić zabawki swojemu pierworodnemu?

Gdy tylko dobito targu, Parys dał znak Myrinie i Animone, by zabrały Lilli z jego kolan i wyniosły ją z sali. Na jego twarzy malowała się absolutna obojętność, jakby to wszystko było tylko chwilowym zamieszaniem, już odchodzącym w zapomnienie. Ale gdy Myrina przyklękała, by podnieść Lilli, stwierdziła, że spojrzenie jego oczu jest tak mroczne, tak pełne niewypowiedzianych słów, że zrozumiała, iż chciałby jak najszybciej zebrać

wszystkich i wrócić na statki, nim Agamemnon zmieni zdanie. Protokół jednak wymagał, by mężczyźni pozostali na miejscach, raczyli się ciastkami i słuchali muzyki, aż król zmęczy się ich towarzystwem i się pożegna.

Tymczasem na dziedzińcu czerwonawy wieczór przeszedł w mroczną noc.

Myrina powoli schodziła po stopniach, uparła się nieść Lilli sama, Animone zaś ją prowadziła. Żadna nie ośmieliła się otworzyć ust, nim nie dotarły bezpiecznie na dolny taras, gdzie znalazły Pitane wymachującą nerwowo rękoma na ich widok.

– Egee pobiegła na zwiad i jeszcze nie wróciła – syknęła. Dopiero wtedy zobaczyła bezwładne ciało w ramionach Myriny. – Kto to?

– Lilli. – Myrina przyklękła, by ostrożnie złożyć siostrę na ziemi. – Myślę, że ją odurzili. Ale niedługo dojdzie do siebie, mam nadzieję.

Widząc panikę Pitany, Myrina i Animone szybko zrelacjonowały jej wydarzenia, dzięki którym przyniosły Lilli z błogosławieństwem zachłannego na złoto króla. A gdy Egee wreszcie wróciła z ukradkowej wyprawy, spocona z wysiłku i ekscytacji, potwierdziła, że wieści o negocjacjach w sprawie zniewolonych kobiet już się rozniosły po pałacu.

– Panuje wielkie zamieszanie – powiedziała, niecierpliwymi palcami zdejmując zasłonę z głowy. – O ile się zorientowałam, już słyszano, że niektóre niewolnice mają być zabrane przez nowych panów i wszystkie pozostałe są chore z zazdrości.

– Dowiedziałaś się może, jak ma na imię ta, która przypadła do gustu synowi króla? – spytała Myrina. – Bo ona jedna musi zostać.

Egee pokręciła głową.

– Nie, ale widziałam izbę, w której ją trzyma. Właściwie widziałam drzwi i strażnika przed nimi. Stara kobieta, która zna nasz język, powiedziała mi, że księżę przychodzi, kiedy chce, dniem czy nocą, i że wówczas dobiegają stamtąd przerażające dźwięki... – Ciężko usiadła na kamiennym stopniu. –

Nie wiedziałam, że za tymi drzwiami jest jedna z moich sióstr. Cóż za straszliwy los. Podobno kobiety raz zamknięte w tej izbie nie wychodzą już z niej żywe.

Ich udręka przygasła dopiero, gdy wrócili Trojanie. Bo między nimi szło sześć kobiet, których ręce były związane, ale twarze rozjaśnione, promieniejące nadzieją. A gdy rozpoznały cztery swoje siostry – wszystkie

przyciskały palce do ust, by powstrzymać tamte od okrzyków – w milczeniu rzuciły się sobie w objęcia, tworząc płataninę ramion gęstniejącą z każdym sznurem przeciętym przez Trojan.

Dopiero gdy znaleźli się za bramami pałacu, uwolnione kobiety ośmieliły się mówić. Sądząc z nerwowych spojrzeń, spodziewały się, że ludzie Agamemnona zaraz po nie przyjdą, z włóczyniami w rękę, by położyć kres ich wolności. Gdy schodziły wzgórzem, mijając senne ulice, ich kroki stawały się tak niecierpliwe, że niemal prześcigały konie.

Na równinie Argos, już bezpieczni, napotkali jeźdźców, których Parys tam zostawił, na wypadek gdyby okazali się potrzebni w drodze powrotnej. Bezwładne ciało Lilli ostrożnie przekazano potężnemu Daresowi, a reszta uwolnionych kobiet została szybko rozdzielona pomiędzy pozostałych jeźdźców. Niewiele mówiono, ale ciągle wznoszono okrzyki dziękczynne. Bo co było do powiedzenia? Były wolne i takie szczęśliwe. Tylko jedna z nich musiała zostać.

Kara.

Tej nocy żadna z kapłanek nie zmrużyła oka. Po późnym posiłku i mnóstwie podziękowań Trojanie życzyli kobietom dobrej nocy i zeszli pod pokład, by odpocząć przed drogą. Mieli wyruszyć o poranku.

– Musimy odpływać tak wcześnie? – spytała Myrina Parysa, gdy podążyła za nim na pokład. – Twój ludzie są na pewno zmęczeni...

– Moi ludzie – powiedział, podnosząc lampę tak, by widziała jego twarz – tak samo jak wy chcieliby jak najszybciej opuścić to miejsce. Za łatwo nam poszło.

Albo Grecy, albo ich bogowie rychło pozazdroszczą nam sukcesu.

Myrina przysunęła się do niego.

– Jak mam ci dziękować?

Parys dotknął jej policzka.

– Co ty mi jesteś winna, a ja tobie, to temat za duży na jedną krótką noc.

Zgodzisz się ze mną?

Oparła się o jego dłoń.

– Po tym, co zrobiłeś dla moich sióstr, chcę dogodzić ci w każdy możliwy sposób.

– To niemądrze z twojej strony. – Parys przesunął palcem po jej ustach. – Bo mnie się kończy poczucie przyzwoitości. – I odwrócił się, by szybkimi

krokami zejść pod pokład.

Myrina wróciła do swoich sióstr, które zebrały się w gromadkę i szeptały o losie nieszczęsnej Neety, która padła ofiarą okrucieństwa, i o niedoli Kary, wciąż żywej. Choć szczęśliwe, że uniknęły losu niewolnic, czuły też żal, że tamtych dwóch nie dało się ocalić.

– Duma Kary uraziła księcia – powiedziała uwolniona Klito, która kiedyś wyglądała tak zdrowo, tak śmiało i wyzywająco, a której piękną twarz teraz szpeciło cierpienie. – Grecy nie znoszą kobiet, które im odmawiają. Pewnie wyrzuciliby ją za burtę już pierwszego dnia, gdyby załoga się z niego nie śmiała.

Tak więc pobił ją do nieprzytomności, a potem... – Potrząsnęła głową, pomijając szczegóły. – Ale wszystkie wiecie, jaka jest Kara. Kiedy odzyskała przytomność, znowu go odrzuciła, nawet splunęła mu w twarz. I wtedy ogarnęła go obsesja, by ją okiełznać.

Lilli poruszyła się na posłaniu obok Animone, po czym znowu odpłynęła w nieświadomość.

– To był zły miesiąc – powiedziała Myrina, siadając na podłodze u stóp siostry, które teraz były tak brudne i zniszczone jak tamtego dnia dawno temu, kiedy przybyły do świątyni Bogini Księżyca. – I myślę, że bogowie jeszcze z nami nie skończyli. – Rozejrzała się, spoglądając na każdą z nich po kolei. – Zadam wam pytanie: czy jeśli odpłyniemy bez Kary, kiedykolwiek zaznamy spokoju?

Jedyną, która spojrzała jej w oczy, była Egee.

– Co proponujesz? – spytała. A gdy Myrina nie odpowiedziała, Egee wychyliła się ku niej gwałtownie. – Postradałaś zmysły? Widziałaś to miejsce!

Mówię ci: Kara nie wróciłaby po nas. A na pewno nie po ciebie.

Myrina westchnęła, spuściła głowę pod ciężarem tych wszystkich trosk.

Nagle się wyprostowała i powiedziała do Egee: – Gdybyś chciała mnie przekonać, żebym po nią wróciła, nie znalazłabyś lepszego argumentu. Jedyną myśl, która mnie powstrzymuje, to niebezpieczeństwo, nie moje ani tych odważnych, które pójdą ze mną, lecz mężczyzn, którzy ocalili nas wszystkie. Mężczyzn, którzy śpią pod pokładem. Jeśli nam się nie uda, jeśli zginiemy, to z własnego wyboru. Ale ich nie pytałyśmy o zdanie i nie powinni być zakładnikami naszej pomyślności.

– Nawet teraz – odezwał się gorzki głos – twoje myśli zajmuje on, nie my.

Myrina odwróciła się zdumiona i wbiła wzrok w Animone, która nigdy wcześniej nie odezwała się przeciwko niej w czyjejś obecności.

– Gdyby moje myśli nie były zajęte siostrami – powiedziała głosem ochrypłym od rozczarowania – nie siedziałabym tutaj, proponując niemożliwe zadanie...

– Czemu nie? – Animone wysunęła podbródek, oczy miała czerwone od emocji i zmęczenia. – Jakież znalazłabyś lepszy sposób, by zapewnić sobie jego podziw, niż pognać na kolejne szalone łowy?

– Dość! – Myrina wstała na nogi słabe z wyczerpania. – Chodźmy spać, wszystkie, zanim zadławimy się swoim jadem.

Opuściła je równie cicho, jak wcześniej przyszła, chociaż miała ochotę krzyczeć z wściekłości. Z dała od uważnych oczu podeszła do burty, by odetchnąć głęboko nocnym powietrzem. Dotarły tak daleko, tyle osiągnęły... a jednak czuła w ustach gorzki smak porażki. Gdzieś w ciemnościach, za równiną Argos, kobietę, której twarz znała, powoli, ale nieustannie zabijał człowiek, który już dawno temu powinien paść trupem, gdyby niebiosy miały jakiegokolwiek pojęcie o miłosierdziu.

– Więc jaki masz plan? – spytała Pitana, podchodząc, by oprzeć się o burte obok niej. – Do wschodu słońca mamy jeszcze kilka godzin.

– Nikt nie musi się dowiedzieć – odezwał się za nimi kolejny głos. – Jest sposób na obejście pałacowych straży.

Myrina odwróciła się i ujrzała Klito. Jej zapadnięte policzki w ciemnościach wydawały się jeszcze bardziej wyraźne.

– Wrócisz? – spytała ją. – Teraz gdy wreszcie stamtąd uciekłaś?

Klito skinęła głową.

– Jeśli na naszej drodze pojawią się jacyś niewolnicy, widok znajomej twarzy zamknie im usta. Wszyscy nienawidzą swoich panów.

– To daleka wędrówka.

– Nie tak długa jak reszta mojego życia. – Klito próbowała się uśmiechnąć, ale jej usta zapomniały, jak to się czyni. – Chyba że ten koniec nastąpi dzisiejszej nocy.

Myrina zagryzła wargę.

– Jeśli cokolwiek się nie powiedzie, jeśli ktoś nas zobaczy, nie będziemy mogły wrócić na statek. Oddzielimy się od reszty, może na zawsze.

– Ruszajmy – powiedziała Pitana. – Każdy uzna, że sama uciekła. Nikt nie

oskarży Trojan o takie szaleństwo.

– Może nie. – Myrina zaczerpnęła powietrza. – I masz rację, to jest szaleństwo. Ale czasami szaleństwo to jedyne wyjście. Daje nam... – Umilkła, gdy przeszedł koło nich wartownik.

– To był Ideaus – szepnęła Pitana. – Poproszę Brianne, by odciągnęła jego uwagę. Ma do niej słabość, biedak.

Gdy decyzja zapadła, trzy kobiety wyzbyły się wszelkich skrupułów i bez reszty poświęciły myśli czekającemu je zadaniu. Oczywiście musiały być uzbrojone, a nie mogły dźwigać wielkiego bagażu. Po krótkim zastanowieniu Myrina wzięła dwusieczny topór z Krety zamiast swojej włóczni.

– Jest bardzo użyteczny – wyjaśniła przyglądającej się Klito – i słabszym ramionom daje przewagę.

Nie wspomniała, skąd topór pochodzi, ani nie podzieliła się podejrzeniem, że może tym właśnie narzędziem zamordowano Neetę.

– Ale twoje ramiona nie są słabe – odparła Pitana, przyczepiając kołczan. – Na morzu mocowałeś się na rękę z Parysem i widziałam pot na jego czole.

Myrina zajęła się sandałami. Choć błazen, Parys pozwolił jej myśleć, że zyskuje nad nim przewagę, pozwolił jej przytrzymać swoją rękę cał nad stołem...

po czym się roześmiał i przepchnął ją w drugą stronę, kładąc ją delikatnie na drewnianych deskach. I aż do tego momentu jedyną pocącą się osobą była Myrina.

– Tak, oczywiście. – Usiłowała przegonić z głowy wszelkie myśli o Parysie.

– Straże pałacowe to bestie odmiennego gatunku. Na ogół to mężczyźni. Nawet grubi i leniwi mają w ramionach więcej siły niż my. Takimi ich uczyniła natura, jak sądzę, żeby mogli łatwiej nas pokonać. Jakżeby inaczej rodzaj ludzki się rozmnażał? I dlatego właśnie – wsunęła topór za pas, zaczepiając go o żeleźce – nie możecie się do nich zbliżyć na zasięg ręki, chyba że wiecie, jak nadrobić tę niesprawiedliwość natury.

Klito zazdrośnie patrzyła na jej topór.

– Mogłabym go użyć wiele razy. Pomyśleć, że kiedyś tęskniłam za dotykiem mężczyzny. – Skrzywiła się. – Jak mówisz, natura drwi z nas naszą słabością.

Myrina chwyciła ją za ramiona.

– To nie drwina, tylko wyzwanie.

Już gotowe, trzy kobiety przedostały się po trapie na opuszczone nabrzeże, odwracając się co jakiś czas, aby sprawdzić, czy wartownik Ideaus wciąż jest bez reszty zajęty Brianne. Ale gdy tylko Myrina uznała, że nic im już nie grozi, usłyszała doganiające je kroki. Odwróciła się gwałtownie, ogarnięta poczuciem winy, i z ulgą ujrzała Animone.

– Proszę! – Kobieta dopadła ich, bez tchu, i złożyła dłonie. – Chcę iść z wami.

Myrina tylko kiwnęła głową i przyłożyła palec do ust.

Gdy ponownie przemierzały równinę Argos, tym razem nie korzystając z koni, Myrina wytrwale próbowała przegonić własne wątpliwości. Dopiero co naradzały się, jak przedostać się do pałacu i w razie potrzeby zabić wartowników.

Niespełna rok temu te same kobiety – Pitana, Klito i Animone – były tak lękliwe, że nie chciały zejść z nią do podziemi świątyni, by zobaczyć zabitego węża...

– Nic się nie martw – powiedziała w biegu Klito, jakby czytała w myślach Myriny. – Każdy, kto widział i czuł to co ja, zdoła zamachnąć się tym twoim toporem.

Zdyszana Animone potwierdziła jej słowa.

– Przez wszystkie te tygodnie wyobrażałam sobie, co bym zrobiła temu knurowi, który... – Urwała z warkotem. – Dla jego dobra mam nadzieję, że nie stanie nam na drodze.

Myrina skrzywiła się na te słowa, ale nic nie powiedziała, żeby nie zniechęcać przyjaciółek, gdy zagrzewały się do walki wizją zemsty. Nie przeszła tego co one i mogła się tylko domyślać, jak wielka jest ich nienawiść.

Dopiero gdy dotarły do Myken, Klito i Animone wreszcie umilkły zdenerwowane.

W bladym świetle malejącego księżyca siedziba króla Agamemnona przypominała widmową hodowlę trujących grzybów. Myrina poczuła, że na ten widok robi jej się niedobrze.

Zbierając odwagę, ruszyła drogą ku wielkiej kamiennej bramie... ale zatrzymała się, gdy Klito położyła jej dłoń na ramieniu.

– Tutaj właśnie – wyszeptała – pójdziemy inną drogą. Świątynia, w której Lilli złożyła w ofierze za nas wszystkie swoją bransoletę, jest tam w górze,

obok wierzchołka. – Wskazała zbocze na lewo od pałacu. – Jak powiedziałam, z tego świętego miejsca przez dziurę w murze ogrodu do pałacowej kuchni prowadzi tajna ścieżka. Panowie jej nie znają, ale niewolnice cały czas z niej korzystają, by się wymykać i składać ofiary bogom w nadziei na uwolnienie.

Gdy podążały za Klito w górę zbocza, Myrina usłyszała, jak Pitana szepcze z niedowierzaniem: – Skoro tak łatwo można wyjść z pałacu, dlaczego nie uciekłyście?

– I dokąd byśmy się udały? – Klito rozpostarła ramiona, jakby chciała podkreślić pustkę okolicznych wzgórz. – Miałybyśmy żyć na tym odludziu, gdzie oni z rozkoszą szybko by nas upolowali?

– Niegodziwcy – warknęła Animone.

Myrina znowu zmilczała, ale długie spojrzenie Pitany powiedziało jej, że nie tylko ją uderzył ten paradoks. Ich uwięzione siostry miały tyle śmiałości, by wymykać się z pałacu i modlić o wybawienie, ale nie miały śmiałości, by uciec.

Ale też Myrina wiedziała aż za dobrze, że ofiarę zabija właśnie utrata nadziei – utrata woli do dalszej walki. Może dlatego przede wszystkim nie chciała zostawiać Kary. Kara ani na chwilę nie przestała wierzyć, że będzie wolna.

Tajemne przejście do pałacowej kuchni prowadziło przez ogród zielarski z ulami i zabezpieczonymi przed zimą drzewami owocowymi. Nawet o tej porze roku, tak dalekiej od szmerów lata, miejsce to było tak zadbane i wypełnione słodkimi woniami, że trudno było pogodzić jego urodę z nieokrziesaniem Greków.

– Tędy! – syknęła Klito, przedzierając się przez ciernisty żywopłot. – Cicho!

Siedziały chwilę przykucnięte w krzakach, nasłuchując wszelkich dźwięków w kwaterach niewolników. Nad nimi w ciemnościach jakiś ptak krzyknął ostrzegawczo. W dole jakiś gryzoń buszował w gnojowisku. Poza tym panowała cisza.

Klito na czworakach wychyliła głowę, by wyrzec za róg, na drugą stronę kuchennego podwórka, na niewielki budynek, w którym trzymano Karę. Nagle cofnęła się, zachłystując się z podniecenia.

– Nie ma strażnika – wyszeptwała. – To znaczy, że jest z nią księżę.

– Och nie! – Animone poruszyła się nerwowo na wilgotnej ziemi. – I co

teraz?

– Czekaście tu. – Klito wstała i przemknęła przez cienie wzdłuż żywoplotu, aż zniknęła im z oczu. Gdy wróciła, jej naglące gesty zdradzały, że ma dobre wieści.

– Nic nie słyhać – wyszeptała. – Musieli zasnąć.

– Och nie – powtórzyła Animone.

– Och tak – odparowała Pitana, wyciągając nóż zza pasa. – Może księżę nigdy się nie obudzi.

– Czekać – Myrina ją powstrzymała. – Nie możemy wejść tam wszystkie.

Cztery nawet ciche osoby robią straszny hałas. Idziemy ja i Klito, a wy dwie zostajecie tutaj.

– Ale jeśli drzwi są zaryglowane... – zaprotestowała Pitana.

Klito poprawiła zasłonę na twarzy.

– Tam jest okno. Małe, ale zawsze otwarte. Ponieważ budynek jest wpuszczony w ziemię, ktoś szczupły mógłby pewnie dostać się tam z zewnątrz, ale ze środka nikt nie wyjdzie. Jest umieszczone za wysoko nad podłogą.

Myrina ostrożnie przemknęła przez cienie, podkraśla się pod drzwi i sprawdziła, czy można je otworzyć. Ku jej uldze ustąpiły bez trudu. Zerknęła na Klito i stwierdziła, że myślą o tym samym: czy ten drobny dowód niedbałości zostawił upity do nieprzytomności człowiek.

W izbie z początku Myrina nic nie widziała, ale gdy pomruwała powiekami, oczy się jej przyzwyczaiły do wąskiego promienia księżycowego światła, który przedostał się przez otwarte okno. Widok, który ujrzała, potwierdził to, co już wyczuła nosem: obecność dwóch ciał spoczywających we własnych wydzielinach.

Leżąc na jednym łóżku, mogliby być parą kochanków... tyle że księżę spał twardo, przykryty owczą skórą, podczas gdy Kara – wysoko urodzona Kara, córka wodza – leżała naga obok niego, z rękoma przywiązanymi grubym sznurem do kolumny łóżka.

Myrina dała znak Klito, że ma pilnować drzwi, a sama zdjęła zasłonę i podeszła ostrożnie, by obudzić nieszczęsną siostrę. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że Kara ma szeroko otwarte oczy i wpatruje się nieruchomo w sufit.

Czując przyływ paniki, Myrina wyciągnęła rękę, by zbadać puls na szyi,

która była zimna i lepka w dotyku.

Żyła.

Dopiero wtedy gdy Myrina pomacała ją po twarzy, Kara zamrugała powiekami i odwróciła głowę. Ale chociaż patrzyła prosto na Myrinę, nie okazała, że ją rozpoznaje. Wręcz w ogóle nie okazała, że myśli.

Myrina zmusiła się do uśmiechu.

– To ja, Myrina, twoja siostra. Przyszliśmy cię uratować. Chodź... – Ale gdy tylko wyciągnęła nóż, by odciąć sznury, Kara odsunęła się ze strachu i zaczęła płakać.

– Ćśśś... – Myrina zasłoniła jej dłonią usta. – Cicho bądź.

Jej prośba wywarła odwrotny efekt. Gdy tylko Kara miała wolne ręce, zamachnęła się i z całej siły uderzyła Myrinę w twarz.

– Odejdź! Nie chcę cię tu! Odejdź!

– Cicho! – syknęła Myrina, ciągnąc za oporne ramiona. – Chodź! Pospiesz się!

– Nie! – krzyknęła Kara z całych sił, kucając na łożu, którego najpewniej nie opuszczała od wielu dni. – Zostaw mnie!

Książę się wreszcie poruszył.

Usiadł na łóżku, wyteżając wzrok w ciemności, i ujrzał trzy kobiety, w tej chwili nieruchome, zauważył też światło wpadające przez uchylone drzwi. Wtedy z rykiem sięgnął po broń. Myrina, działając instynktownie, jak przy starciu z nacierającym drapieżnikiem, wyciągnęła topór zza pasa i cisnęła nim w księcia z całą mocą swego strachu.

Ostrze trafiło go w sam środek klatki piersiowej, a siła ciosu zrzuciła z łoża na podłogę. Jego przedśmiertne krzyki zabrzmiały jak rżenie umierającego zwierzęcia.

– Katastrofa! – Myrina nawet nie wiedziała, czy powiedziała to słowo na głos czy tylko w myślach. Ich plan, by wejść i wyjść, nie zostawiając śladu, legł w gruzach. Gdyby chodziło o jakieś inne ciało, może próbowałyby je ukryć, ale to był syn króla Agamemnona.

– Idziemy! – rozkazała. – Szybko!

– Czekaj. – Klito stanęła przy jej boku, z uniesioną włócznią. – Musimy mieć pewność, że on nie żyje. – Nachyliła się, by trącić ich ofiarę. – Ty odrażająca zarazo... wiesz, jaka jest kara za zbezczeszczenie kapłanki?

Kara, do tej pory sparaliżowana i otępiała, obudziła się do życia.

– Przestań! – krzyknęła, próbując wyrwać włócznię z rąk Klito. I dodała poniewczasie: – Proszę, nie rób mu krzywdy...

– Dość tego! – Myrina stanęła nad ciałem mężczyzny, by wyciągnąć topór z jego klatki piersiowej. Stwierdziła przy tym, że Klito nie musi używać swojej włóczni: księżę na pewno nie żył. – Musimy zniknąć, zanim go znajdą.

Zgodnie z planem miały się wycofać w ciszy i niesione radością, ale wyglądało to zupełnie inaczej. Zawodząc nad nagłą śmiercią swojego zdobywcy, Kara z początku nie chciała wyjść, obrzucając siostry przekleństwami. Potem, gdy ruszyły do wyjścia, dopadła ich z okrzykami paniki.

– Cicho! – Klito chwyciła oburącz głowę i usta Kary, za wszelką cenę próbując ją uciszyć. – Obudzisz wszystkich...

Ale było za późno. Przy żywopłocie, gdzie czekały w ukryciu Animone i Pitana, zebrало się już kilkanaście niewolnic. Szeptały gorączkowo, wymachując rękoma.

– Chyba chcą iść z nami – wyjaśniła Pitana, krzywiąc się.

– Powiedz im, że nie mogą – kazała Myrina Klito, która podczas swej krótkiej niewoli przyswoiła podstawy greckiego. – Powiedz po prostu, że wszystkie zostaniemy pojmane i zarżnięte jak zwierzęta. – Nie czekając, aż Klito przekaze wiadomość, szła dalej przez ogród zielarski, ciągnąc Karę, która wciąż łkała i stawiała opór.

Wywołały już tyle zamieszania, tyle hałasu, że Myrina bała się, że lada chwila pojawią się jacyś mężczyźni, by je zatrzymać.

– Weź się w garść! – rozkazała, osłaniając nagie drżące ciało Kary swoim szalem. – Przyszliśmy cię ocalić, a teraz zginiemy przez twoją histerię.

Obawiając się wartowników, Myrina zawahała się przed dziurą w ogrodowym murze. Nie rozumiała, dlaczego nikogo tu nie ma. Nie mając wielkiego wyboru, przepchnęła Karę przez otwór i ciągnęła ją dalej w dół zbocza, na tyle szybko, na ile pozwalały im siły.

Nie minęło dużo czasu, a usłyszała doganiające je głosy. Stanęła i odwróciła się, i ujrzała całą gromadę kobiet, które wciąż podążały z nimi, pomimo żarliwych wysiłków Klito próbującej je zatrzymać. Jęknąwszy ze złości, Myrina zaczekała, aż ją dogonią, po czym powiedziała na tyle głośno, na ile wystarczyło jej śmiałości: – Wybaczcie. Nie możecie iść z nami.

Uciekajcie, jeśli chcecie, ale nie mamy dla was miejsca.

– Proszę. – Klito wyciągnęła do Myriny złożone dłonie. – Znam te kobiety. Wszystkie są dobre i wszystkie cierpią. Nie możemy...?

Myrina chwyciła się za głowę.

– Nie możemy ogołocić pałacu z niewolników. Chcesz wywołać wojnę?

Klito raz jeszcze odwróciła się do kobiet, wyjaśniając najlepiej jak umiała, ale jej apel był tak żałosny, że nawet Pitana się zawahała.

– Naprawdę musimy je zostawiać? – spytała szeptem. – Ich twarze będą mnie prześladować do końca życia.

Myrina wyprostowała się, wściekła, że nad jej rozsądkiem górę biorą emocje.

– Doskonale. Te, które chcą, niech idą z nami. Ale powiedz im, że muszą przestrzegać zasad naszego siostrzeństwa. Nigdy już nie będą obcować z mężczyzną, muszą się nauczyć zabijać, nie będą kochać i... – przerwała w poszukiwaniu natchnienia, zdecydowana wymyślić jeszcze jakiś warunek, który na pewno je wszystkie odstraszy – muszą się poddać ceremonii ucięcia jednej piersi, by lepiej naciągać łuk. – Stanowczym ruchem głowy wskazała kobiety. – Takie są warunki dołączenia do nas. I kto chce z nami iść?

Gdy Klito przetłumaczyła słowa Myriny, kobiety zaskomlały przerażone i żadna już się nie ruszyła z miejsca.

– Tak myślałam. – Z ponurą satysfakcją Myrina odwróciła się, by ruszyć w dalszą drogę.

– Czekać! – Płowa dziewczynka, jeszcze nie kobieta, wysunęła się w stronę Myriny z pięściami zaciśniętymi na znak zdecydowania. – Ja idę.

Myrina zerknęła na Klito, która wpatrywała się w dziewczynkę zdumiona, jakby próbowała ją rozpoznać, ale na próżno.

– Niech będzie. – Myrina odwróciła się, robiąc minę do Pitany. – Taka mała, może w ogóle nie zauważą, że jej nie ma.

Wróciły do portu w chwili, gdy słońce pojawiło się na wschodnim niebie, prowadząc swój złoty rydwan przez różowy welon świtu. Nawet o tak wczesnej godzinie nabrzeże tętniło życiem. Trojanie ładowali na pokład ostatnie beczki wody, biegali po trapie w tę i z powrotem, wykrzykując polecenia.

Ani przez chwilę Myrinie nie przyszło do głowy, że statki mogą odpłynąć bez nich. Ilekroć wyobrażała sobie ich powrót z Myken, widziała nabrzeże

tak puste jak w chwili, gdy je opuszczały, a załogi śpiące twardym snem.

Ale trojańscy żeglarze byli już na nogach i się krzątali, zbyt zajęci, by zwracać uwagę na kobiety. Jedyną, którą obdarzyli zdumionymi spojrzeniami, była Kara, kulejąca po wyczerpującej wędrówce przez równinę Argos w prowizorycznej sukni z szala.

Gdy wciągały ją po trapie – powoli, by nie stracić równowagi – Myrina dostrzegła na pokładzie Parysa. Patrzył na nie. Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami wyglądał, jakby z trudem trzymał nerwy na wodzy, ale nawet słowem się nie odezwał ani do swoich ludzi, ani do niej. Patrzył tylko na nie wzrokiem, który nagle sprawił, że Myrina osłabła z wątpliwości. A potem, w chwili gdy wreszcie znalazły się na pokładzie, odwrócił się i krzykiem wydał rozkaz odpłynięcia.

CZĘŚĆ IV

ZENIT

ROZDZIAŁ 24

Zrywałam właśnie róże, Aby je dać za podnóże Spiżowej, świętej Atenie, Gdy ten przez powietrzne przestrzenie Poniesie mnie coprędzej Do tej krainy mej nędzy...¹²

EURYPIDES, *Helena*

NAUPLION, GRECJA

Pan Telemakhos zawiózł nas do portu tuż po wschodzie słońca. Zanim wsiedliśmy do auta, przypomniałam mu o jego obietnicy, że po południu odstawi mnie na lotnisko.

– Tak, tak, tak – odparł szorstko, otwierając przede mną tylne drzwi. – Wiem, że ma pani ważne rzeczy do roboty. – Usłyszałam w jego głosie pełen urazy bunt, co wprawiło mnie w zakłopotanie, że ponownie podniosłam tę kwestię.

Jego łódka – dwumasztowa żagłówka o nazwie „Penelope” – cumowała w Nauplionie, kilka kilometrów na południe od Myken. Starożytne miasto rozrosło się wokół skalistego półwyspu, który wrzynał się daleko w Morze Egejskie.

Kuszący półksiężyc jaskrawych fasad był ulubionym przystankiem jachtów i wycieczkowców. Nawet o siódmej rano port tętnił życiem, gdy żeglarze, ciesząc się słońcem, czekali na śniadanie.

Sama „Penelope” była drewnianym keczem o kremowych żaglach.

Najwyraźniej traktowano ją z miłością, bo każde mosiężne okucie było wypolerowane na wysoki połysk, każdy żagiel nieskalany.

– Ocaliła mi życie – powiedział pan Telemakhos, poklepując lśniący złotobrazowy reling, gdy wprowadzał nas na pokład. – Kiedyś należała do mojego ojca. Przez ostatnie dziesięć lat życia praktycznie na niej mieszkał. Nawet nie wiedziałem, że jeszcze żyje, aż tu nagle pewnego dnia wszedł do mojej kuchni, akurat jak otwierałem list.

– Jaki list? – spytała Rebecca, pomagając mu wnieść zakupy na pokład.

Pan Telemakhos burknął coś i przystanął, by poprawić na biodrze olbrzymią puszkę oliwy.

– List od oligarchów administracji szkoły, w którym pisali, że już mnie nie potrzebują. Wypij cykutę, stary zgredzie, tak powiedzieli. Zabieraj swoją podrapaną tablicę i spadaj! Dzisiejsza młodzież chce nauczycieli z pilotem.

Zniknął pod pokładem z oliwą, ale gdy krzątał się po kambuzie, ciągle słyszeliśmy jego dudniący głos: – Więc odszedłem na emeryturę. A lekarz powiedział, ej, skoro jesteś starym zgredem, nie możesz już jeść mięsa. Więc przestałem jeść mięso, a wtedy wszystko zaczęło się psuć w maszynowni. I zanim się zorientowałem... moje biblioteczki zniknęły.

Pomagaliśmy mu przenieść różne rzeczy na łódkę, a ja walczyłam ze zniecierpliwieniem. Po co ładujemy zapasy na przeprawę przez Atlantyk, skoro mamy tylko skoczyć kawałek wzdłuż wybrzeża i przed lunchem wrócić do Nauplionu? Ale gdy podzieliłam się rozdrażnieniem z Rebeccą, ona przewróciła oczami.

– Możesz wyluzować? Tak się postarał, żeby nas ugościć. Jeśli mu pomożemy, nic się nam nie stanie. – Wzruszyła ramionami z rozdrażnieniem, wciąż zirytowana, że uparłam się wracać do domu. – Poza tym po twoim wyjeździe może reszta wróci na jacht.

Gdy Nick i pan Telemakhos ustawiali butelki wody pitnej pod pokładem, ja zadzwoniłam na portiernię do Oksfordu, by zapewnić pedela, że już za kilka godzin wrócę do swojego gabinetu, gotowa na spotkanie ze studentami. Gdy tylko się rozłączyłam, zadzwonił mój ojciec.

– Przepraszam, że tak wam dałam popalić – powiedziałam. – Trochę tu się działo, ale dzisiaj wieczorem już wracam do domu.

– Odbiorę cię z lotniska – odparł, na swój szorstki sposób odziewając troskę w werbalną kolczugę. – Kiedy przyjeżdżasz?

Głośny warkot spod pokładu przegonił mnie z łódki na pomost. Rebecca już tam siedziała na zwoju liny i przyglądała się mapie wybrzeża.

– Nie wiem dokładnie – wyznałam, opierając się o wielką kotwicę.

Metal był mile ciepły od porannego słońca, ale trzeba by czegoś więcej, bym się rozluźniła, nękana wyrzutami sumienia, że tak długo nie dałam znaku życia swoim biednym rodzicom. Wiedziałam, że niedługo będę musiała skonfrontować ich z moim odkryciem, że zeszyt babci był nie do

końca dziełem szaleństwa, wbrew ich dotychczasowym założeniom. Wiedząc, jakim będzie to wstrząsem, pomyślałam sobie, że może mądrze by było poruszyć temat teraz, z daleka, by dać im czas na pozbieranie się, nim się spotkamy.

– Jest taka sprawa... – zaczęłam, zasłaniając ręką oczy, żeby nic mnie nie rozpraszało. – Wiem, że nie lubicie o tym rozmawiać, ale kilka tygodni temu trafiłam na napis zrobiony nieznanym alfabetem, nieodczytanym. – Niemal słyszałam, jak mój ojciec wydaje westchnienie ulgi, że jednak chodzi tylko o filologię. – Tylko że właśnie on nie do końca jest nieodczytany. – Odchrząknęłam, usiłując zachować spokój. – Bo wygląda na to, że w pewnym momencie odczytała go babcia. I zapisała go... w tym zeszycie. – Zgrzytnęłam zębami, szykując się na jego reakcję.

Ale się jej nie doczekałam. Usłyszałam tylko za sobą przerażony okrzyk Rebekki... i mój telefon zniknął w dłoni śmigłej blondynki, która pędem oddalała się na rolkach.

Stało się to tak szybko, że nie do końca pojęłam, że zostałam obrabowana, dopóki nie spojrzałam na swoją pustą dłoń. Moje ciało zareagowało jednak natychmiast.

Nie oglądając się na Rebecę, rzuciłam się w pogoń za złodziejką, która jechała nabrzeżem z wprawą godną olimpijskiej panczenistki. Prawdopodobnie nie wiedziała, że ją gonię. Dopiero gdy dotarła do promenady w porcie i musiała zwolnić, by przepuścić pieszych, obejrzała się przez ramię i zobaczyła mnie tuż za sobą.

Ponieważ pędziłam ze wszystkich sił, twarz kobiety widziałam niewyraźnie.

Ale mimo to odniosłam wrażenie, że po pierwszym grymasie zaskoczenia posłała mi pogardliwy uśmiech, który o tyle mi się przysłużył, że podsycił moje oburzenie i dodał mi sił.

– Stój! – wrzasnęłam w nadziei, że ktoś zrozumie sytuację i stanie blondynce na drodze. Ale kobieta swobodnie omijała slalomem wszystkie przeszkody, nabierając prędkości. W końcu straciłam ją z oczu, gdy skręciła za róg między dwie kawiarnie.

Zanim sama dopadłam tego rogu, ona już dawno zniknęła. Ale jeszcze nie byłam gotowa się poddać. Przede mną ciągnął się wąski deptak. Kontynuowałam pogoń, po drodze zaglądając w każdy zaułek. Widząc, że

wszystkie się kończą albo ślepo, albo stromymi schodami, doszłam do wniosku, że kobieta przecięła pustą ulicę, by dotrzeć do jakiejś głównej arterii po drugiej stronie.

Miałam rację. Gdy wreszcie wyszłam na zalany słońcem otwarty plac, szybko dostrzegłam srebrne audi z pracującym silnikiem i otwartym bagażnikiem.

Obok niego stała kobieta, którą goniłam, i rozwiązywała rolki. Nie była sama. Po drugiej stronie otwartego bagażnika stała kobieta w kombinezonie piankowym rozpiętym do pasa, spokojnie wkładająca T-shirt.

Co miałam zrobić? Czy mogłam w pojedynkę zmierzyć się z nimi dwiema?

A co z kierowcą samochodu, który poganiał je gestami? Wściekła na siebie za niezdecydowanie, ruszyłam jednak w stronę auta. Kobiety mnie zauważyły, a wówczas złodziejka na rolnach natychmiast zatrzasnęła bagażnik i obie, częściowo nieubrane, wskoczyły na tylne siedzenie. Niespełna sekundę później srebrne audi ruszyło z piskiem opon, a ja zostałam kompletnie sama na sennym placu.

Ciągle zdyszana, z głową pulsującą od poczucia klęski, usiadłam na przewróconym śmietniku, by się pozbierać przed powrotem na łódkę. Kończyny miałam tak ciężkie, jakbym przebiegła maraton.

– Pospiesz się! – krzyknęła Rebecca, która czekała niecierpliwie na nabrzeżu. – Musimy zablokować twoją kartę, zanim ona zacznie wydzwaniać diabli wiedzą gdzie...

– Bex! – Położyłam jej dłoń na ramieniu, ale natychmiast ją zabrałam, gdy uświadomiłam sobie, jaka jestem spocona. – To nie była jakaś przypadkowa złodziejka. To było zaplanowane. Przez kogoś, kto jej to zlecił.

Rebecca ściągnęła brwi tak mocno, że powstała dość nietwarzowa monobrew.

– Nie mów bzdur. Kto by...? Po co...?

– Dwa kolejne cudowne pytania do najdłuższej na świecie listy cudownych pytań – odparłam, wchodząc na łódkę. Spod pokładu właśnie wyłonił się Nick.

– Musimy znaleźć komisariat – mówiła Rebecca, stojąc na nabrzeżu.

– I co zrobimy? Posiedzimy tam pięć godzin, aż jakiś naburmuszony funkcjonariusz zapisze z błędami mój adres na dziesięciostronicowym

formularzu, który trafi od razu do archiwum? – Pokręciłam głową. Nick patrzył na nas zdumiony. – Ruszajmy już, na miłość boską.

Rebecca najwyraźniej ani myślała zamknąć temat, ale w obecności Nicka się zawahała. Dzisiaj rano powiedziałam jej o jego tajemniczym telefonie i o Skarbie Amazonek i chociaż w pierwszym odruchu krzyknęła: „Niesamowite! Szukamy skarbu. Szkoda, że jedziesz do domu”, dość szybko przyznała, że szykuje się coś nielegalnego.

– Złodziejka – wyjaśniłam w końcu Nickowi, który stał z uniesionymi brwiami. – Na rolnkach. Zabrała mój telefon. Prawie ją dogoniłam.

– Naprawdę? – Otaksował wzrokiem moje ubranie w nieładzie i czerwoną twarz. – Chyba jesteś najszybszym filologiem na świecie.

– Ale za wolnym – odparłam, ostrzej, niż zamierzałam. – Błagam, powiedz, że jesteśmy gotowi do drogi.

Gdy opuściliśmy ruchliwy port, poszłam szukać w stosach naszego bagażu wiatrówki, którą pożyczyła mi Rebecca. Zatoka pod osłoną słonecznego Nauplionu dawała złudne wrażenie ciepłej pogody; gdy tylko wypłynęliśmy na otwarte wody, rzeźkość północnego wiatru przypomniła nam, że jest przecież początek listopada.

Dopiero gdy zaczęłam szukać balsamu do ust, odkryłam ogrom swoich strat.

– Bex? – Wstałam, poprawiając spryskaną solą kitkę. – Widziałaś moją torebkę? – Technicznie rzecz biorąc, torebka nie była moja, była to pożyczona od Rebekki zamszowa torba z frędzlami, ponieważ moja torebka zniknęła w labiryncie w Knossos. – Byłam pewna, że ją tu zostawiłam.

Kiedy wsiedliśmy na jacht, dopilnowałam, by zawinąć ją w kurtkę lotniczą Rebekki i dla pewności wsadzić pod worek marynarski Nicka. Worek i kurtkę znalazłam w tym samym miejscu, ale cudu z frędzlami tam nie było. Rebecca też nie mogła sobie przypomnieć, żeby ją widziała, odkąd opuściliśmy port.

– Nick – powiedziałam, coraz bardziej spanikowana. – Przenosiłeś rzeczy?

Ale Nick nie przypominał sobie, żeby dotykał „hipisowskiej sakwy”, jak ją nazwał. Wspomniał, że gdy ja z Rebeccą leserowałyśmy na nabrzeżu, on ciężko pracował pod pokładem.

Może to z racji wzburzonego morza, a może z racji szokującej konfrontacji z własną głupotą nagle mnie zamroczyło. Oparłam się o bom i z

trudem zwalczyłam mdłości, bo niewiele brakowało, a zwróciłabym omlet z szynką i kielbasą, który pan Telemakhos wmusił nam na śniadanie przed świtem.

W torebce był zeszyt babci. A teraz zniknął.

– Dee? – Rebecca lekko potrząsnęła moim ramieniem. – Nic ci nie jest?

– Nic! – Próbowałam się roześmiać. – Teraz ktoś inny będzie musiał spłacić moje karty kredytowe. A paszport i tak mi się już kończył.

Staralam się mówić lekkim tonem, Nick nie dał się zwieść. Wciąż na mnie spoglądał, jakby jednak oczekiwał, że wyrzucę jakieś straszliwe wyznanie o skradzionych złotych monetach wszytych pod podszewkę nieszczęsnej torebki.

Nie wiedział co prawda, że dla mnie utrata zeszytu babci jest o wiele bardziej druzgocąca niż jakakolwiek strata finansowa. Nie tylko pozbawiono mnie długiej listy przetłumaczonych słów. Nie mogłam się otrząsnąć z wrażenia, że w zeszycie znajdowała się zagadka, której jeszcze nie dostrzegłam. Jakieś tajemne przesłanie, które dopiero miałam znaleźć. I teraz już nie znajdę.

W moje dziesiąte urodziny – w słoneczną kwietniową niedzielę – Rebecca przysłała na przyjęcie godzinę przed czasem, z twarzą całą w plamach od płaczu.

– Wpadł pod samochód – wyłkała, gdy szybko wchodziliśmy po schodach, jak najdalej od nadmuchanych balonów i rosnących urodzinowych bułeczek.

– Pan Perkins powiedział, że nic nie mógł zrobić. Więc tata poszedł i wykopał dziurę w ogrodzie, za grządką truskawek.

Dopiero pod wpływem spokojnych zachęt babci Rebecca usiadła w fotelu i opowiedziała składnie o śmierci Spencera.

– Ojciec nawet nie pozwolił mi go potrzymać – brzmiało smutne zakończenie relacji z pospiesznego pogrzebu psa – ani z nim porozmawiać.

Powiedział, że muszę się wziąć w garść, bo – ledwie wydobywała słowa – nic się nie dzieje bez powodu.

– To nieprawda – orzekła babcia, która albo zapomniała o swojej wzgardzie dla Spencera, albo ją teraz stłumiła. – Śmierć to sprawdzian. Wtedy właśnie musimy pamiętać, że jesteśmy ludźmi, a nie zwierzętami.

Pomimo ścisłego polecenia, że nie ma nigdy opuszczać terenu naszej posiadłości bez moich rodziców, babcia włożyła szlafrok i poszła z nami na

plebanię. Przemknęliśmy do ogrodu przez drewniany mostek łączący go z cmentarzem, gdzie wedle zapewnień Rebekki nie można nas było zauważyć z domu.

– To pewnie tutaj? – spytała babcia, przystając nad niewielkim kręgiem świeżo ruszonej ziemi, z której sterczały dwie łopaty.

– Tak – potwierdziła Rebecca, ciągle łkając. – Tam leży. Zupełnie sam.

– No dobra – powiedziała babcia, wyciągając łopaty. – To go wykopmy.

Nie przyszło mi do głowy, żeby zaprotestować. Widząc determinację, z jaką Rebecca zabrała się za zadanie, też zaczęłam kopać, a babcia stała obok nas, nadzorując pracę. Gdy wreszcie naszym oczom ukazała się kępka białego futra, niecałe pół metra pod powierzchnią, babcia nas odsunęła i osobiście wygrzebała psa rękoma.

– Trzymaj – powiedziała, kładąc bezwładne ciało w ramionach Rebekki, delikatnie, jakby trzymała śpiące dziecko. – Teraz możesz z nim porozmawiać. – Po czym usiadła na kopczyku wykopanej właśnie ziemi i czekała.

Nie mam pojęcia, ile czasu tam spędziłyśmy, czekając, aż Rebecca przestanie płakać. Na początku ja też płakałam, wstrząśnięta tym wszystkim, a później widokiem psa, którego tak dobrze znałam. Ale po chwili myślałam już tylko o Rebecce i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek znowu będzie moją szczęśliwą, zabawną przyjaciółką.

Wszystkie zdążyłyśmy zeszywnieć z zimna, nim Rebecca wreszcie westchnęła głęboko i powiedziała: – Jestem zmęczona.

Wcześniej leżała na ziemi ze Spencerem w ramionach, ale teraz usiadła powoli, tak blada i zmęczona, że bałam się, że zemdleje.

– No dobrze – odparła babcia. Można by pomyśleć, że ziemia, wilgotna i zimna, nie robiła na niej wrażenia. – Teraz zbierz jego ulubione rzeczy. Jego posłanie, ukochaną zabawkę, coś do jedzenia...

– Smycz? – zasugerowała Rebecca, z trudem patrząc na babcię spod opuchniętych powiek.

– A lubił swoją smycz?

– Zawsze się cieszył na jej widok – odparła Rebecca. Broda znowu się jej trzęsła.

– Więc idźcie obie – rozkazała babcia. – Połączcie siły i wróćcie jak najszybciej. Już-już!

Gdy Spencer wreszcie spoczął w grobie na swojej niebieskiej poduszce, w otoczeniu ulubionych rzeczy – wykradzonych z domu, gdy pastor z żoną zajmowali się zatkaną toaletą – Rebecca znowu zaczęła płakać i ja też. Ale teraz był to już inny smutek.

– Pamiętaj – powiedziała babcia – że zawsze gdy będziesz chciała, możesz tu przyjść i porozmawiać z nim. Ale teraz on musi pospać. Skłońcie głowy. –

Posłusznie wykonałyśmy jej polecenie, podczas gdy babcia recytowała długie wersy słów w obcym języku. Niczego z nich nie rozumialiśmy, ale wywierały dziwnie kojący efekt. Potem dała nam łopaty i kazała zasypać otwór. Gdy skończyłyśmy, wzięła garść ziemi i ręką roztarła nam ją na twarzach. – Jesteś w żałobie – powiedziała do Rebekki, ujmując w dłonie jej usmarowaną ziemią twarz. – Ale zrobiłaś, co należy.

Dopiero gdy weszłyśmy do domu, przypomniałam sobie o przyjęciu urodzinowym. Kilka balonów unosiło się bez celu, w powietrzu wisiał ciepły zapach piernika, ale cały dom wydawał się dziwnie cichy. Na podłodze pod wieszakiem na płaszcze stała niewielka kolekcja torebek z prezentami, ale nigdzie nie było widać ofiarodawców. Dopiero wtedy usłyszałam, że zegar w salonie wybija piątą. Na zaproszeniach ozdobionych srebrnymi konikami widniała trzecia.

Gdy przemykałyśmy na schody, w drzwiach kuchennych stanęli moi rodzice.

Oboje byli poważni i bladzi, ale nic nie powiedzieli, tylko patrzyli na nas, gdy tak stałyśmy oblepione błotem, nie wiedząc, czy mamy iść na górę czy zawrócić.

– Obawiam się, że to wszystko moja wina – powiedziała do nich Rebecca słabym, ale pewnym głosem. – I przepraszam. Wiem, że to... niewybaczalne.

– Cóż – odezwała się moja matka, ciaśniej owijając się szalem – może zjecie, dziewczynki, trochę tortu?

Po tamtym dniu nie było już nocnych dyskusji w salonie, nie było błagalnych spojrzeń matki kierowanych na ojca... tylko cisza. Bolesna, udręczona cisza, ciężka od determinacji. Po tygodniu zaś rodzice zaczęli wyjeżdżać na jakieś spotkania. Wracali z nich z folderami i formularzami, które pieczołowicie przede mną ukrywali.

Ale ja wiedziałam, z całym dziecięcym rozumieniem oszukaństwa dorosłych, do czego to wszystko zmierza. Zamierzali odesłać babcię do

jakiegoś niedostępnego budynku z poważnymi ludźmi i wielkimi żelaznymi kluczami, a ja już jej nigdy nie zobaczę. Przywiążą ją pasami do łóżka i wbiją jej igły w ramię, i to będzie moja wina – bo dopuściłam, żeby została moją przyjaciółką.

Jedyną osobą, która nie przejęła się kradzieżą, był pan Telemakhos. Uparcie odmawiał przyjęcia do wiadomości, że moją torebkę ktoś w ogóle ukradł.

– Znajdzie się! – powtarzał, gestem włochatej ręki oddając ogrom cudownych zrządeń losu. – Zawsze tak jest.

By ukryć swoją tajemnicę, rzucałam się ochoczo na każde możliwe zajęcie na łódce i starałam się jak najmniej rozmyślać. Plan ten okazał się tak skuteczny, że minęła godzina, nim podniosłam wzrok znad bieżącego zajęcia. Dopiero wtedy poczułam dreszcz podejrzenia. Jeśli płyniemy wzdłuż wybrzeża, dlaczego w każdym kierunku widać tylko niebieskie morze?

Poszłam do pana Telemakhosa, który stał przy sterze i zaśmiewał się z Nickiem i Rebecą.

– Przepraszam. – Nagle poczułam się jak intruz. – Dokąd dokładnie płyniemy? Już dziesiąta...

Pan Telemakhos uśmiechnął się z wyższością.

– Już mówiłem: płyniemy do miejsca, gdzie to wszystko się kończy. – Gdy nie odrywałam od niego wzroku, domagając się czegoś więcej, dodał głośniej, jakby miał do czynienia z osobą cierpiącą na niedosłuch: – Płyniemy do Troi.

Porwałam panią, Diano Morgan. Przez następne kilka dni cała wasza trójka będzie zakładnikiem mojej obsesyjnej potrzeby przebywania w inteligentnym towarzystwie. – Widząc nasz wstrząs wywołany tym chełpliwym wyznaniem, Telemakhos wybuchnął gromkim śmiechem: – Za dziesięć lat zadacie sobie pytanie: on był piratem czy aniołem?

– Ale obiecał pan... – zaczęłam, niemal dławiąc się z wściekłości.

– Obiecałem, że zabiorę panią tam, gdzie musi się pani udać – odparł, kiwając głową, jakby się ze mną zgadzał. – I to właśnie robię. Poza tym jaki sens zawozić panią na lotnisko, skoro nie ma pani paszportu?

Poczułam taką wściekłość, że mogłabym wypchnąć tego wielkoluda za burtę.

– Pomożesz mi wrócić? – spytałam Nicka, tak by Telemakhos mnie słyszał.

Po sekundzie wahania Nick skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie jestem żeglarzem. Przykro mi. – Coś w jego oczach, dziwna, diaboliczna satysfakcja skrywająca się pod przeprosinami, zdradziło mi, że kłamie.

Spojrzałam na Rebeccę, dziwnie milczącą.

– Proszę, wyjaśnij swojemu przyjacielowi – ruchem głowy wskazałam pana Telemakhosa – że to jest absolutnie niedopuszczalne.

Rebecca z osłupienia przeszła w irytację.

– Naprawdę sądzisz, że on tego nie wie? – Spojrzała groźnie na Telemakhosa, który w odpowiedzi uśmiechnął się beztrosko, jakby nasza kłótnia była śpiewem ptaków w jego uszach.

– Bex – powiedziałam, z trudem panując nad desperacją – za każdy dzień niewypełniania obowiązków w Oksfordzie cyklopi z rozkazu profesora Vandeboscha odrywają kolejny szczątek mojej kariery.

Rebecca odwróciła wzrok, najwyraźniej pogodzona już z losem uprowadzonej.

– Ty chociaż masz obowiązki. To musi być cudowne.

Zdałam sobie sprawę, że jestem całkowicie osamotniona w swoim gniewie i że ani Rebecca, ani Nick nie pomogą mi przekonać pana Telemakhosa, by zawrócił do Nauplionu. Zostawiłam ich i przeszłam na dziób. Rzadko zdarzało mi się czuć taką bezsilność i nie chciałam, by mnie widzieli w tym stanie, bliską łez ze zdenerwowania.

Prawda, że nie mogłabym wsiąść do samolotu bez paszportu, ale tym bardziej powinnam jak najszybciej wrócić na brzeg. Będę musiała znaleźć alternatywny środek transportu, a nawet gdyby wszystko poszło gładko, nie miałam szans wrócić do Oksfordu przed weekendem. Naprawdę, moja sytuacja była niebywale przykra nawet bez dodatkowej komplikacji w postaci uwięzienia na pokładzie „Penelope”.

A jednak... pomimo tej niedoli mimowolnie czułam przewrotne podniecenie na myśl, że ujrzę Troję. Czyż nie tego mimo wszystko w głębi duszy pragnęłam?

Kontynuować poszukiwania Amazonek? Pomimo całej determinacji, by wrócić do Oksfordu już bez dalszych opóźnień, nie byłam w stanie stłumić silnego poczucia, że w ten sposób zaprzepaściłabym swoją jedyną szansę na znalezienie brakującego ogniwa pomiędzy babcią a kapłankami z Algierii.

Stojąc na dziobie i patrząc na Morze Egejskie, na wyspy pojawiające się na horyzoncie, uznałam, że przecież mogę pogodzić się z sytuacją. Płynęliśmy do Troi i nic nie mogłam na to poradzić. Dąsy nie miały sensu. Gdy tylko wrócę do domu, nadrobię wszystkie odwołane zajęcia i poświęcę swoim studentom tyle uwagi, że moją nieobecność złączą wspominać jako błogosławieństwo. Jeśli chodzi o Katherine Kent, uczepliłam się nadziei, że wybaczy mi, gdy tylko się wytłumaczę – w przeszłości zawsze tak robiła.

Kiedy wreszcie poczułam, że odzyskuję równowagę, wróciłam do pozostałych. Teraz Rebecca sterowała jachtem, oszołomiona z wrażenia, a pan Telemakhos zajmował się wydawaniem jej poleceń. Jediną osobą, która zwracała na mnie uwagę, był Nick. Zerknął na mnie z ukosa i burknął pod nosem: – Myślę, że pobiłaś światowy rekord dąsania. Prawie dziesięć minut.

Imponujące.

Jeszcze nie do końca gotowa na poufałości, odpowiedziałam z oschłą obojętnością: – Nie dąsam się. Kalkuluje.

Już nocą, po tym jak przez cały dzień prezentowałam cierpliwe oblicze, zostawiłam śpiącą Rebeccę w naszej wspólnej kabinie i wymknęłam się na pokład.

Czas obiadu upłynął nam radośnie – nawet się śmiałam – ale jeszcze nie do końca przestałam się złościć. Pan Telemakhos był taki dumny z władzy, którą miał nad nami, taki zadowolony z siebie... Powodowana dziecinnym odruchem, chciałam dać mu nauczkę.

Kotwiczyliśmy w spokojnej zatoczce, a jedyne dźwięki, jakie słyszałam, to chlupot fal uderzających o kadłub i od czasu do czasu trzepot skrzydeł odbijający się od wody. Wcześniej, w złotym blasku zachodu słońca zatoka wydawała się niezamieszkała, ale teraz, długo po zmierzchu, widziałam kilka dalekich świateł w oknach domów na wzgórzach. Jak daleko znajdowały się te domy? Czy ludzie na tej wyspie mogliby mi pomóc? Czy też świetlne punkty tak naprawdę były gwiazdami, które się wyłoniły zza zalesionych zboczy? Pomimo księżycy, który zapewniał odrobinę widoczności, nie umiałabym wskazać, gdzie kończy się ziemia a zaczyna niebo.

Gdy tak siedziałam na pokładzie, obejmując kolana i rozmyślając nad fantastycznym planem ucieczki, pojawił się Nick. Nie słyszałam, że się zbliża, bo był na bosaka i, jak zawsze, poruszał się bezszelestnie. Po chwili wahania

usiadł obok mnie i skinieniem głowy wskazał przybierający księżyc.

– Prawie pełnia.

Kiedy nie odpowiedziałam, podjął: – Stary bosman powiedział mi kiedyś, że nad wszystkimi młodymi mężczyznami czuwa pewien anioł stróż. Dla mnie takim aniołem stróżem zawsze był Księżyc. Wiele razy ocalił mi życie.

– Naprawdę? – spytałam. Mimo że Nick nie zrobił absolutnie nic, by pomóc mi przekonać pana Telemakhosa, i tak wołałam jego towarzystwo niż swoją zrzędliwą samotność. – Wybawił cię kiedyś z jachtu szalonego greckiego kapitana?

Wyczułam, że się uśmiecha w ciemnościach.

– Możemy spróbować. A nuż przychyli się do twojej prośby. Czego chcesz? Wrócić natychmiast do Oksfordu?

Nie wiedzieć czemu potwierdzające „tak” utknęło mi w gardle.

– Nie przejmuj się – szepnął Nick prosto do mojego ucha. – Nikomu nie powiem.

Trochę rozdrażniona, że jego zdaniem tak łatwo dałam się pokonać, odchyliłam się.

– Wszystkim obiecałam, że będę dzisiaj w domu.

– Masz. – Podał mi telefon. – Zadzwoń i wyjaśnij.

– Dzięki. Może jutro. Moi rodzice teraz już śpią.

– A twój chłopak? Nie odbiera po dziesiątej?

Nie wiedząc, co powiedzieć, pokręciłam głową i oddałam mu telefon. Nick zaśmiał się cicho.

– Wyluzuj! Nie zwolnię cię. Potrzebują cię. Jesteś bystra. Z mojego doświadczenia wynika, że piękne kobiety są interesujące tylko do chwili, gdy otworzą usta. A z tobą im więcej rozmawiam, tym bardziej... – urwał gwałtownie, po czym kontynuował już spokojniej: – Chciałbym mieć twoją zdolność koncentracji. Siedzieć w bibliotece całymi dniami... miesiącami... i po prostu czytać. Ale nigdy nie miałem takiej cierpliwości. I dlatego nigdy nie stałem się w niczym dobry. – Może uświadomił sobie, że jest wobec siebie niesprawiedliwy, bo trącił mnie łokciem żartobliwie. – No, w paru rzeczach jestem dobry, a w każdym razie tak słyszałem.

Te słowa, chociaż powiedziane żartem, przekradły się do mojej wyobraźni i wywołały nagły chaos.

– A w czym jeszcze jesteś dobry? – Usłyszałam swój głos.

Nick się wyprostował.

– W podejmowaniu ryzyka. W tym jestem zawodowcem.

– Podaj mi przykład.

Zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Wspinaczka klasyczna? Albo kajakarstwo na Nahanni River w listopadzie?

Ściągnęłam brwi.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Co jeszcze?

– Och. – Przygarbił się trochę, jakby jednak nie był jakoś specjalnie dumny.

– Takie zwyczajne rzeczy. Próby przekraczania granic. Imponowania znajomym.

Puściłam kolana, już mi nie było tak zimno. Zdałam sobie sprawę, że część tego ciepła emanowała z ciała Nicka i zawisła w wąskiej przestrzeni między nami, przyciągając mnie do niego.

– Chyba wyobrażałam sobie, że służysz ludzkości – zażartowałam. Dobrze, że nasza rozmowa przybierała coraz bardziej żartobliwy charakter. – Jeździsz z pomocą żywnościową do głodujących wieśniaków...

– To też robiłem. – Mówił spokojnie, ze wzruszeniem ramion, i nawet nie spojrzał na mnie, by sprawdzić, czy mu wierzę. – Ale uświadomiłem sobie, że pomagam wyłącznie lokalnym przywódcom i politykom, którzy sami wywołali konflikt.

– Rozumiem. – Patrzyłam na jego profil, zastanawiając się, czy wreszcie widzę prawdziwego Nicka, czy to też kolejna rola z jego chyba nieskończonego repertuaru. – Zniechęciłeś się wadami społeczeństwa cywilizowanego, więc oddałeś się poszukiwaniom błahych przyjemności?

Zastanawiał się chwilę.

– Raczej poszukiwaniom bólu. Ale tak, pewnie masz rację. Wiesz, gdybyś kiedyś się zniechęciła wadami świata akademickiego, powinnaś pójść do public relations. – Ściszył głos konspiracyjnie. – Zatrudnię cię na swojego rzecznika.

– Może zacznę od kajaka na Nahanni River – odparowałam. – W lipcu.

– Zostaniesz żywcem pożarta przez meszki. Albo przez grizzly.

Figlarnie trąciłam go pięścią w udo.

– Zatrudnię cię na swojego przewodnika.

Zaśmiał się cicho.

– Możesz tego pożałować. Nie goliłbym się i spalibyśmy w jednym śpiworze.

Zarumieniłam się na to wyobrażenie i ucieszyłam się, że Nick widzi mnie teraz w odcieniach szarości.

– Dlaczego nie możemy mieć osobnych?

Trącił mnie ramieniem okrytym swetrem.

– Dlaczego w ogóle chcesz ze mną biwakować?

– No, nie wiem. – Odchrząknęłam, zaskoczona, że nasza rozmowa przybrała kształt flirtu. – Jesteś dość zabawnym interlokutorem.

Nic nie mogłam poradzić. Coś w jego oczach kazało mi przybliżyć się do niego, i przez kilka napiętych sekund byłam pewna, że mnie pocałuje. Ściśle rzecz biorąc, w tym dokładnie momencie – chociaż się fundamentalnie nie zgodzaliśmy – raczej miałam na to nadzieję.

On tymczasem sięgnął po coś i podał mi płaski, znajomy przedmiot.

– Trzymaj. Pozwoliłem sobie wyjąć to z twojej torebki dzisiaj rano, zanim wyjechaliśmy.

Był to zeszyt mojej babci.

– Ale... – tak mnie oszołomiło odzyskanie najcenniejszej z moich rzeczy, że wybuchnęłam śmiechem. Przytuliłam zeszyt do piersi i zaczęłam mu dziękować, chociaż troszeczkę czułam rozczarowanie, że przeszukiwał moją torebkę.

– Po tej napaści na Krecie – zaczął tonem, z którego wyczytałam, że nie jest z siebie zbyt dumny – przeczuwałem, że tajemniczy złodziej znowu zaatakuje.

Chciałem z tobą o tym porozmawiać, ale nigdy nie byliśmy sami.

– To wszystko jest trochę... szokujące – wydukałam. Sama już nie wiedziałam, co o nim myśleć. Jeśli miałam choć cień podejrzenia, że to Nick, a nie banda rolkarki, zwinął moją torbę z frędzlami, to teraz zniknął on pod ciężką lawiną wstydu.

– Ciesz się tylko – znowu sobie ze mnie żartował – że jeszcze ci nie zapłaciłem. Nie jestem pewien, czy dam radę nadażyć za twoimi zgubami...

– Ach, znowu o pieniądzach.

– A co złego jest w pieniądzach? Czy nie dlatego tu jesteś... ze mną?

Pokręciłam głową, ciągle zbyt umęczona, by powściągliwie grać swoimi

kartami.

– W pieniądzech nie ma nic złego, a wręcz jestem ich wielką wielbicieleką, ale nie dlatego tu jestem.

– Więc powiedz mi dlaczego.

Spojrzałam mu w twarz, w księżycowych cieniach sprawiającą wrażenie jeszcze poważniejszej. Kiedy siedziałam tak blisko niego, wydawało się niewłaściwe, że między nami jest tyle nieszczerości. Prawda, on miał własny plan związany z Amazonkami, ale ja też miałam swój. Wręcz uświadomiłam sobie, że mój obraz w oczach Nicka może wcale nie jest korzystniejszy niż jego obraz w moich oczach. Może ja też jestem dla niego cwaniakiem grającym w niewłaściwej drużynie.

– Na Krecie spytałeś, jak to zrobiłam – odezwałam się w końcu. – To tłumaczenie. Uznałeś, że to jakaś sztuczka. – Wstałam i odeszłam kawałek. – I miałeś rację.

Stojąc przy relingu, patrząc na odbicie księżyca w atramentowej wodzie, powiedziałam mu o zeszycie babci i bransolecie, którą dla mnie zostawiła.

Prawdopodobnie była archeologiem, wyjaśniłam, natknęła się na pismo Amazonek w czasie jakichś wykopalisk i zdołała je odszyfrować, a potem przetłumaczyła na angielski.

– A jednak nawet ona – dodałam na koniec – pomimo swojej obsesji na punkcie Amazonek, nigdy nie próbowała mnie nauczyć tego dziwnego języka.

Wręcz nigdy o nim nawet nie wspomniała. Zostawiła mi tylko ten cholerny zeszyt.

Gdy wreszcie umilkłam, Nick podszedł i oparł się o reling obok mnie.

Spodziewałam się, że mnie zwymyśla, że nie powiedziałam mu tego wszystkiego wcześniej, ale on tylko spytał: – Jak umarła twoja babcia?

Wzdrygnęłam się, znowu zdjeta znajomym poczuciem winy.

– Problem w tym... że ona zniknęła. Rodzice mieli ją umieścić w domu wariatów, a ona... – urwałam. Nie mogłam mówić dalej. W przeszłości, przy rzadkich okazjach, gdy musiałam opowiadać tę historię, mówiłam, że babcia uciekła. Omijałam w relacji fakt, że nie miała żadnych środków finansowych i że była zamknięta na klucz. – Prawda wyglądała tak – i teraz wreszcie to powiedziałam na głos, akurat do Nicka, spośród wszystkich ludzi – że dałam jej wszystkie pieniądze, jakie miałam, odprowadziłam ją do szosy i

pomogłam wsiąść do autobusu.

– Dokąd jechał?

Przełknęłam ślinę, walcząc z uśpionymi emocjami.

– Nie wiem. Miałam dziesięć lat. Przez całą resztę dzieciństwa dręczyły mnie myśli o straszliwych rzeczach, które mogły się jej przydarzyć. Ilekroć pojawiał się dziwny list w poczcie albo nieoczekiwanie dzwonił telefon, bałam się, że to coś związanego z babcią. Że gdzieś ją znaleziono martwą. –

Zadrżałam na wspomnienie tamtych strachów. – Dopiero później dowiedziałam, że przez całe dwa lata rodzice zatrudniali prywatnego detektywa. Nie znalazł absolutnie nic, ale wystawił ogromny rachunek.

Nick zdjął sweter, bez słowa zarzucił mi go na ramiona i zawiązał rękawy na szyi.

– Przepraszam za tę przydługą epopeję – powiedziałam, wpatrując się w czarną wodę. – Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam. Nawet Bex.

Nick wreszcie się odezwał, głosem nadzwyczaj łagodnym.

– Jesteś pewna, że ona rzeczywiście była szalona?

– Nie wiem... – Jego pytanie znowu naprowadziło mnie na zagadki, które męczyły mnie od lat. – Tak uważali lekarze. Na pewno nie była normalna, według żadnych standardów, cokolwiek to znaczy.

– Wiesz, czy miała jakichś przyjaciół? Czy się z kimś kontaktowała?

Na te słowa obudziło się we mnie podejrzenie.

– Co masz na myśli? Mam nadzieję, że nie traktujesz poważnie gadania pana Telemakhosa o współczesnych Amazonkach.

– Czemu nie? W co wolisz wierzyć? Że to wszystko istniało tylko w jej głowie czy że coś w tym było? Powiedziałaś przed chwilą, że ona też miała archiwum wycinków... że śledziła działalność Amazonek na całym świecie. Skąd pewność, że się myliła? – Czułam, że Nick patrzy na mój profil w ciemnościach, gdy na próżno czeka na odpowiedź. – Oprócz tego dziwnego gadania – podjął – czy twoja babcia kiedykolwiek zachowywała się jak Amazonka? Czy zraniła kogoś?

– No cóż... – Przypomniałam sobie tamten dzień przed tyłu lat, gdy siedziałam na podłodze z Rebeccą i przeglądałyśmy papiery z biurka ojca. Wśród nich znajdowała się ocena psychologiczna zawierająca relację z tragicznych wydarzeń, które doprowadziły do pierwszej hospitalizacji babci. – Tylko na początku, zanim sobie zdali sprawę, że jest psychicznie chora.

Wtedy nie umieli tego nazwać, ale myślę, że babcia miała depresję poporodową, która wymknęła się spod kontroli. W każdym razie była przekonana, że urodziła dziewczynkę, a nie mojego ojca, i absolutnie nie chciała słyszeć, że jest inaczej. Zamknęła się w pokoju z dzieckiem – czyli z moim ojcem – i nie wychodziła. W końcu użyli siły, a ona... no cóż, broniła się pogrzebaczem z kominka. To było straszne.

Posterunkowy wylądował w szpitalu. – Wzdrygnęłam się, jak często zresztą, na myśl o babci, która rani do krwi jakiegoś człowieka. Nagle zdałam sobie sprawę, jak szokujące musi to być dla Nicka, i szybko dodałam: – Na pewno nie chciała nikogo skrzywdzić. Najwyraźniej miała urojenie, że to źle mieć chłopca, a jeśli jakieś one się o tym dowiedzą, zabiorą go jej.

Stojąc plecami do księżycy, Nick był tylko ciemnym kształtem. Bardziej czułam, niż widziałam, że patrzy na mnie z wielkim natężeniem.

– Kim były one?

– Innymi Amazonkami, oczywiście. Prawdziwa Amazonka nie może wychowywać chłopca. Nie czytałeś Strabona?

Nick nie odpowiedział, tylko wsadził ręce w kieszenie i przeszedł się kawałek po pokładzie, może sądząc, że potrzebuję czasu, żeby się pozbierać. Gdy wrócił, zdjęłam sweter i oddałam mu.

– Przykro mi, że tak to wyszło. Pewnie powinnam była powiedzieć ci wcześniej, ale...

Moje słowa wisiały między nami przez chwilę. Potem Nick zarzucił sobie sweter na ramiona i rzekł: – Miałaś rację, że mi nie ufałaś. Sam nie jestem pewien, czy jeszcze sobie ufam. – Po bolesnej przerwie dodał: – Poza tym o bransolecie próbowałaś mi powiedzieć. Ale ja nie słuchałem. Myślałem, że ją ukradłaś. Przepraszam.

– Chwileczkę. – Zdjęcia z jego laptopa wykonały mały wredny spacer po mojej pamięci. – Przecież ty ją wzięłaś. Prawda? Nawet zrobiłaś jej zdjęcie.

Miałam nadzieję, że go do czegoś sprowokuję, ale nie udało mi się.

– Kiedy po raz pierwszy otworzyliśmy sarkofag – rzekł tylko – znaleźliśmy w środku czternaście bransolet.

– Co takiego?! – Wpatrywałam się w jego poważny profil, nie nadążając.

– Po prostu tam leżały. Wszystkie były dokładnie takie jak twoja – ruchem głowy wskazał moją rękę – i rzeczywiście, sfotografowałem je. Ale postanowiłem zostawić tę na szkielecie, bo chciałem, żeby jakiś archeolog

zrobił to jak należy.

Ta informacja tak mnie skołowała, że poczułam irracjonalne pragnienie, by go uściskać.

– Więc skoro ani ty jej nie ukradłeś, ani ja... to kto?

– Skąd wiesz, że została skradziona? – Nick przyglądał mi się w ciemnościach. – Bo sarkofag był otwarty?

– Ujmę to inaczej. Kto otworzył sarkofag i dlaczego?

Nick wzruszył ramionami.

– Na mnie nie patrz.

– Dlaczego nie? – postanowiłam pójść na całość. – To ty szukasz skarbu.

Czekałam na jego reakcję, ale on milczał jak zakłęty.

– Daj spokój – powiedziałam w końcu, podchodząc bliżej. – Słyszałam, jak rozmawiasz przez telefon, jak mówisz o Skarbie Amazonek. Co się dzieje, Nick?

W końcu jęknął i potarł twarz.

– Nie chciałem cię w to mieszać...

– No to, cholera, za późno!

Usiadł z westchnieniem, opierając się plecami o grotmaszt.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem w samochodzie w niedzielę? Że jestem iksem, który wyznacza strategiczne miejsce? No więc po wydarzeniach w Algierii nie jestem już najpopularniejszym iksem w biurze.

– Ale to nie była twoja wina. Jak mogą...?

– Och, to nic osobistego. Tak to działa. Teraz jestem ciężarem. Mnóstwo bandziorów depta mi po piętach, co oboje możemy potwierdzić. – Rozłożył ramiona, odrobinę. – Przepraszam. Ale Fundacja Aqrab ma w tej chwili za dużo na głowie. Nowe stanowisko w Jordanii. Jakieś sprawy w Bułgarii. Więc szef uznał, że może... – przerwał, by odetchnąć – może trzeba mnie na jakiś czas odsunąć. Od najgorętszych miejsc.

Poczułam ciężar na klatce piersiowej.

– Ale... dokąd jedziesz?

Nawet po ciemku zobaczyłam zakłopotanie na jego twarzy.

– Nie, ty nie rozumiesz. Już zostałem odsunięty. Dlatego pojechałem z tobą na Kretę. Dlatego jestem tutaj. – Umilkł i czekał na moją reakcję. Nie doczekawszy się, westchnął. – Diano. Oboje wiemy, że Skarb Amazonek to bzdura. Ale oni tego nie wiedzą.

Kilka chwil mi zajęło, zanim zajarzyłam. A kiedy zajarzyłam, wstrząśnięta aż odskoczyłam na linkę relingu.

– O to chodzi? – krzyknęłam. – Czekaj, powiem to wprost... Śledzą nas, a ty używasz mnie jako wabika... żeby wprowadzić w błąd oszustów? Dobrze cię zrozumiałam?

Nick wstał.

– Słuchaj, nie jestem z tego dumny...

– Nie! – Wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby do mnie nie podszedł. – Ależ jestem totalnym matosem! Oczywiście, że ciebie nigdy nie interesowały Amazonki, wręcz prawie nie wiedziałeś, kto to jest! Ale to cię nie powstrzymało przed uprowadzeniem filologa bez grosza przy duszy i użyciem jako przynęty!

– Posłuchaj... – Nick postawił niepewny krok w moją stronę, potem drugi. – To nie był mój pomysł. I na pewno nigdy nie chciałem, żeby stała ci się krzywda.

Te wszystkie wypadki...

– To nie są wypadki, Nick, to jest wszystko pięknie zaplanowane. – Poczulałam absurdalną potrzebę, żeby się roześmiać. – Wszystko nabrało sensu.

O Boże, a ja sądziłam, że gonię w piętę... że ścigają mnie Amazonki.

Niesamowite... – Próbowałam spojrzeć mu w oczy, ale księżyc na to nie pozwalał.

– No, uśmiechnij się! Powinieneś się cieszyć, że twój plan okazał się tak cudownie skuteczny. Złoczyńcy nie tylko łyknęli przynętę, ale też przy okazji trochę uszczknęli mnie. Świetna robota, Nick! X, który oznacza miejsce, zasłużył na swoją premię.

Wyglądał nieszczęśliwie.

– Jak mogę ci to wynagrodzić? – Ale zanim odpowiedziałam, wyciągnął rękę i dotknął palcem moich ust. – Nie teraz. Zastanów się. Idź do łóżka i policz do dziesięciu.

Odepchnęłam jego rękę.

– Może do dziesięciu tysięcy?

Kiwnął powoli głową.

– Jutro dam ci czek.

– Wolę gotówkę – odparowałam, omijając go w drodze do łuku. – I może

jakiś miły napiwek za znoszenie twojej obecności?

ROZDZIAŁ 25

MORZE EGEJSKIE

Lilli obudziła się, gdy tylko wypłynęli na otwarte morze. Przeciągając się i ziewając, usiadła i pomacała wokół siebie ciekawskimi palcami. Miękkie posłanie z wełnianą narzutą... płócienne ściany napinające się do wewnątrz pod naciskiem wiatru: pomieszczenie na rufie trojańskiego statku tak się różniło od wszystkiego, czego w życiu doświadczyła, że wręcz się przestraszyła.

– Klito? – zawołała. – Wstałaś już?

– A wstałam. – Klito pocałowała dziewczynkę w głowę.

– Jesteśmy znowu na morzu? – spytała, ściągając brwi. – Mężczyzna... pamiętam, że jakiś mężczyzna pachniał jak Myrina...

– Mam dla ciebie niespodziankę. – Łzy szczęścia spływały po policzkach Klito. – Niespodziankę, która bardzo cię uraduje.

Nie mogąc się już doczekać, Myrina podeszła i objęła mocno siostrę. Inni chcieli koniecznie przekazać jej wiadomości delikatnie, tak by nie wywołać u niej szoku, ale Myrina lepiej niż ktokolwiek inny zdawała sobie sprawę z siły swej siostry i wiedziała, że ten szok sprawi jej przyjemność.

– Nasze modły zostały wysłuchane – powiedziała jedna z uwolnionych kapłanek, Pylla. – Najwyraźniej dzięki bransolecie Lilli odzyskałyśmy wolność.

Podziękujemy bogom...

– Może zaczniesz od podziękowania Myrinie – przerwała jej Pitana. – To ona się nie poddała. Od chwili gdy was porwano, ani na chwilę nie spoczęła.

– Może by podziękować nam wszystkim? – wtrąciła się Egee. – Żeby Myrina sama nie musiała dźwigać ciężaru waszej wdzięczności...

Nikommu innemu nie chciało się spierać. Spędziwszy ranne godziny na

mocowaniu się z rozhisteryzowaną Karą – która teraz na szczęście zapadła w sen – żadna z pozostałych kobiet nie miała ochoty na dramaty. Ani też nie próbowały przepytywać nowej dziewczynki, którą zabrały z Myken; powiedziała im, że ma na imię Helena, i na razie wiedziały o niej tylko tyle.

Spędziwszy cały ranek w komnacie na rufie, niezdolna oderwać oczu od Lilli, Myrina w końcu wyruszyła na poszukiwania Parysa. Znalazła go na dziobie, zajętego rozmową z Eneaszem i Daresem.

Żaden z nich nie uśmiechnął się na jej widok. Posępnie skinęła głową Parysowi, a pozostali mężczyźni szybko przeprosili i oddalili się. Księżę również nie wydawał się skory do rozmowy z nią. Odwrócił się plecami i wyjrzał na bezmiar wody, wręcz sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

Pomimo wrogiego przyjęcia Myrina została na miejscu.

– Pozwolisz chociaż, żebym cię przeprosiła? – spytała.

Gdy Parys wreszcie odpowiedział, głos miał napięty od gniewu.

– Na co pozwalam czy nie pozwalam, chyba niewiele cię obchodzi.

– Ale...

Odwrócił się do niej twarzą zaczerwienioną od złości.

– Myrino, nie dbam o piękne słowa i dobre chęci, to nie leży w mojej naturze, zwłaszcza jeśli twoje poczynania tak jawnie z nimi igrają. Jeśli musisz przeprosić, przeproś moich rodaków. Oni zapłacą za moją szaleńczą wiarę w ciebie. Już nigdy żaden Grek nie zaufa słowu trojańskiego żeglarza...

– Zbyt zdenerwowany, by dokończyć myśl, Parys znowu odwrócił się do niej plecami, potrząsając głową. – Chyba nawet nie chcę cię pytać, co się stało ostatniej nocy.

A jednak muszę wiedzieć. Zdołałaś uwolnić swoją przyjaciółkę, to widzę, ale nie znam ceny, którą będę musiał za nią zapłacić.

– Może pomyślą, że sama uciekła... – zaczęła Myrina.

– Chcesz mi powiedzieć, że weszłyście do pałacu niepostrzeżenie i tak go opuściłyście?

Myrina się zawahała, a potem zadarła wysoko głowę i spojrzała mu w oczy.

– Księżę nie żyje. Umarł na posadzce własnego więzienia, unurzany w krwi moich sióstr. Ale te, które nas widziały, nie pisną słowa. Niczyje milczenie nie może się równać z milczeniem kobiety, która nienawidzi.

Parys przymknął oczy. Potem je znowu otworzył, dziesięć lat starszy.

– Gdybym był człowiekiem żyjącym zgodnie z zasadami... Nie. Gdybym był mądrym człowiekiem, zawróciłbym i odwiózł was wszystkie. Ale nie jestem.

Jako bóg na niebie, wierz mi, rozgromiłbym złe Mykeny, przeszywałbym je piorunami raz za razem. Jako człowiek muszę chyba się zadowolić obrzuceniem ich obelgami. I mogę tylko uciekać jak najszybciej.

Widząc, że Myrina chce coś dodać, potrząsnął głową.

– Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, to trzymaj się ode mnie z daleka. Idź dołącz do swoich sióstr. Nie chcę cię więcej widzieć. Za dwa dni, przy sprzyjających wiatrach, zawiniemy do Efezu. Chciałem zaproponować wam dom w Troi, ale w tych okolicznościach nie mogę. Dokąd się udacie, to zależy od was, ale w Efezie się pożegnamy.

Po trzech dniach bolesnego milczenia i oskarżycielskich spojrzeń załogi siostry Myriny oczywiście poczuły ulgę, gdy statki dobiły do brzegu po drugiej stronie morza, dokładnie naprzeciwko Myken. Teżający sztorm wepchnął flotę Trojan prosto do efeskiego portu. Statki, nie mogąc rzucić kotwicy, całą noc kołysały się i odzierały o nabrzeże, a rano wszyscy biegali z góry na dół, szacując zniszczenia.

– Nie ma pośpiechu – powiedział Parys, gdy Myrina podeszła się z nim pożegnać. – Wypłyniemy dopiero, gdy naprawimy wszystkie szkody. – Mówiąc to, zerknął na nią, a ona z ulgą stwierdziła, że po dwóch dniach upartej izolacji jego gniew wreszcie zelżał na tyle, iż znowu chciał na nią spojrzeć. – Ale jeśli jesteście gotowe, a widzę, że tak, to zabiorę was do Pani Efezu, Artemidy, i przedstawię.

Szybko się przekonasz, że nie przypadkiem dowiozłem was właśnie tutaj.

Opuściwszy port piechotą, Parys odprowadził kobiety do miasta. Nie spiesząc się za bardzo z wykonaniem zadania, podał Lilli ramię i opisywał wszystko, co mijali: sprzedawców owoców, farbiarzy tkanin i starych ludzi siedzących w cieniu, lamentujących nad upadkiem świata. Nieraz dziewczynka wybuchała głośnym śmiechem po jakiejś jego trafnej uwadze, której Myrina nie usłyszała.

Tymczasem Klito i Egee ciągnęły ze sobą Karę. Chociaż wreszcie przestała płakać nad śmiercią mężczyzny, który jednak – jak twierdziła – się nią zajmował, wciąż nie odezwała się słowem do Myriny ani nie przyznała, że

trzeba ją było uratować. „Kochałam go! – krzyczała nieraz do każdego, kto słuchał. – A on kochał mnie!”

– Dlatego cię głodził, wiązał i bił? – spytała wreszcie Pitana. Ale Kara była głucha na te głosy; dawno temu uciekła w życie istniejące tylko w jej głowie.

Leżące pomiędzy łagodnymi wzgórzami i bujną niezamieszkaną ziemią miasto Efez wydało się Myrinie senne i łagodne. Tu właśnie osiadzie z siostrami do czasu, gdy będą gotowe do dalszej wędrówki... albo aż się zestarzeją i siądą w cieniu jak ci staruszkowie, przeżywając wspomnienia spokojnego życia. Nie była to ponura perspektywa w porównaniu z potwornością, którą zostawiły w domu czy widziały w Mykenach, a jednak Myrina stwierdziła, że ta wizja nie sprawia jej wielkiej przyjemności. Bo bez względu na to, jak by to ujęła, była to przyszłość bez Parysa, a chociaż znała go tylko krótko, czuła, że jest już z nim związana.

Dokądkolwiek szedł, ona pragnęła pójść za nim. Jeśli zniknął jej z oczu, choćby na chwilę, czuła się jak krzesło bez nogi.

Było to dziwne i niepokojące odczucie dla kogoś, kto dawno temu nauczył się liczyć wyłącznie na siebie, a jednak Myrina zaczęła je pielęgnować – tak bardzo, że wizja rozdzielenia z Parysem nappełniła ją przerażeniem. Nie ostrym, przemijającym przerażeniem, które można pokonać jakimś odważnym działaniem, ale przerażeniem tak ogromnym, tak wszechogarniającym, że rzucało mroczny cień na wszystko, co zrobiła albo powiedziała, pomimo radości z odzyskania Lilli.

Jakie to niesamowite, myślała, patrząc na kuszący spokój urokliwego miasta i jego mieszkańców, że ona, która widziała tyle niebezpieczeństw i tak często stawała w obliczu śmierci... jakaż to złośliwość losu, że akurat ona przybyła w tak błogie miejsce i poczuła, że jej życie dobiegło końca.

Spodziewając się, że siedzibą Artemidy jest zwykły budynek na wzgórzu wychodzącym na miasto, Myrina zdumiała się, gdy Parys zatrzymał się na przypadkowej jak się zdawało ulicy i przeprowadził wszystkich przez bramę.

Wszedłszy jako ostatnia, Myrina stwierdziła, że znajdują się na spokojnym dziedzińcu otoczonym budynkami i zacienionym portykiem, a jej siostry oczyma szeroko otwartymi z ciekawości już rozglądają się po starannie utrzymanych roślinach. Najwyraźniej Pani Efezu ceniła spokój i elegancję – dwie wartości, w których Myrina musiała się jeszcze podszkolić.

Świadoma własnych braków – do których należały brudne stopy – Myrina cofnęła się w cień portyku... i wtedy nagle wszystkie te drobne troski poszły w zapomnienie. Bo tam, pośród kolumn i pnączy winorośli, stała dobrze jej znana figura: Bogini Księżycy.

Trzeba przyznać, że nie była gładka i czarna, lecz wyrzeźbiona z drewna, a ciało odziane miała w płócienną tunikę z licznymi brązowymi plamami – prawdopodobnie powstały od płynów sączących się z gnijących kawałków mięsa zwisających na sznurkach z jej szyi.

– Widzę, że już się zaprzyjaźniłyście. – Parys podszedł do Myriny, prowadząc Lilli. – Wiedziałem, że ze wszystkich miast na trojańskim wybrzeżu to najbardziej ci się spodoba. Tu nie ma władzy żaden mężczyzna. Artemida, jak widzisz, jest opiekunką myśliwych i dziewic. To połączenie zawsze wydawało mi się unikatowe dla tego miejsca – pokręcił głową – dopóki nie poznałem ciebie.

– Czy to są...? – Myrina uważniej przyjrzała się szczątkom zwisającym z szyi bogini. Wyglądały na zwierzęce jądra. Sama często takie części odcinała i zostawiała hienom.

– Tak przypuszczam. – Parys się skrzywił. – To tutejsza tradycja. Biada samcowi, który wejdzie na myśliwski szlak córek Otrere. Jelenie, niedźwiedzie, mężczyźni – uśmiechał się szeroko, najwyraźniej z niej drwiąc – nikt nie może czuć się bezpiecznie. To miejsce idealne dla ciebie.

– Kim jest Otrere? – spytała Myrina, ale w tym właśnie momencie starsza kobieta, wyprostowana z godnością, odziana w długą szarą szatę z szerokimi rękawami, pojawiła się na balkonie wychodzącym na dziedziniec, zdumiona nagłym napływem obcych.

– Hippolita? – zawołała. – Pentezylea?

– Otrere – wyjaśnił Parys Myrinie, promieniejąc z podziwu – jest najwyższą kapłanką i siostrą mojej matki. Nie cierpi jednak ceremoniałów, podobnie jak wszystkie jej córki. Żyją z łowów i są doskonałymi jeźdźcami. Większość z nich spędza czas na gospodarstwie pod miastem, gdzie hodują i szkolą konie. – Spojrzał na Myrinę z nieśmiałym uśmiechem, rzadkim u niego. – Tak właśnie mój ojciec poznał moją matkę. Przyjechał tu kupić konie.

Wpatrywała się w niego.

– Twój ojciec... król Troi?

Parys ściągnął brwi.

– Chyba zdążyłaś się zorientować, że bardzo poważnie traktujemy swoje konie.

– Tak, ale... – Myrina podniosła wzrok na kobietę na balkonie, wciąż nie do końca rozumiejąc. – Ile córek ma Otrere?

– Chyba około trzydziestu – odrzekł Parys – a do tego nowicjuszek. – Spojrzał na Myrinę z ukosa. – Całkiem niezłe jak na kobietę, która nigdy nie obcowiała z mężczyzną. Chodź, przedstawię cię. Jestem pewien, że rozpozna język, w którym rozmawiasz z siostrami. Moja ciotka jest bardzo uczona i szczeni się tym, że biegle włada większością obcych języków.

Zanim Otrere wstała wreszcie ze swojego trzcinowego fotela w marmurowym portyku, zrobiło się późne popołudnie. Dalekie góry spowił już wieczór, płonący delikatnymi czerwieniami, a świat ogarnął wielki spokój, gdy słońce wreszcie zanurzyło się w morzu, zmęczone i zadowolone.

– A więc postanowione – powiedziała szlachetna kobieta z twarzą wciąż poważną od współczucia dla Myriny i jej sióstr. Właśnie wysłuchiwała relacji z ich przeżyć. – Będziecie moim gośćmi, jak długo zechcecie. A jeśli wam się tu spodoba, możecie na siebie pracować i nazywać to miejsce domem, bo na gospodarstwie i w sadzie zawsze jest jakaś praca. Prawdę mówiąc – surowo spojrzała na Hippolitę i Pentezyleę, które przybyły konno w trakcie opowieści Myriny, spocone i rozczochrane – ponieważ moje córki rzadko znajdują się tam, gdzie się ich spodziewam, dodatkowe ręce się przydadzą.

Niedugo później Parys się oddalił, mgliście obiecując, że wróci przed końcem świata. W pośpiechu ledwie przystanął, by pożegnać się z Myriną.

– Zaczekaj... – Ruszyła za nim niepewnie, przez drzwi i dalej ulicą. – Nie zobaczę cię już?

Przystanął i się odwrócił, z irytacją ściągając brwi.

– Otrere was przyjęła. Już nie musisz się zdawać na mnie. Myślałbym, że dla nas obojga oznacza to ulgę. – Gdy stał na stromej ulicy, zachodzące słońce utworzyło aureolę wokół jego głowy. Nigdy jeszcze nie wyglądał tak przystojnie ani tak załośnie.

Myrina ruszyła ku niemu, ale coś w jego spojrzeniu kazało jej stanąć.

– Wolałabym, żeby było inaczej – powiedziała.

– To znaczy jak? – Przechylił głowę. – Wolałabyś, żebyśmy się nigdy nie poznali?

– Nie! Ale... wiem, że sprawiłam ci wiele bólu...

Choć Parys zdecydowanie chciał zachować powagę, teraz wybuchnął śmiechem.

– To prawda. Ale to moja wina. – Obejrzał się na maszty w porcie. – Powinienem był wyrzucić cię za burtę, kiedy jeszcze nie było za późno. – Widząc urażoną minę Myriny, złagodniał. – Mówisz, że wolałabyś, by było inaczej. – Podeszedł do niej, i bliżej, i jeszcze bliżej, aż niemal się dotykali. – Więc powiedz mi, nienasycona Myrino, co jeszcze mógłbym ci dać.

Wysunęła brodę, szykując się na starcie z jego drwiącymi urokami.

– Już i tak wiele cię kosztowałam. Złota maska w Mykenach...

– Nie mówię o złocie.

Myrina się zawahała. Nie wiedziała, jak najlepiej się wyrazić.

– Cóż – powiedziała wreszcie, widząc, że on wciąż czeka – jeśli znajdziesz wolną chwilę, nie będziesz miał innego zajęcia, chciałabym, żebyś... – szukając gorączkowo, chwyciła się jedynej znanej sobie rzeczy – nauczył mnie walczyć jak mężczyzna.

Parys otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Naprawdę? Myślałbym, że umiesz już aż za dużo. Wręcz – pochylił głowę, by mówić jej prosto do ucha – uważam, że jedyna lekcja, jakiej mógłbym ci udzielić, to jak się poddawać jak kobieta.

Myrina poczuła, że robi się jej gorąco.

– Dlaczego kobieta zawsze musi się poddawać? Nie jestem ofiarą...

– Nie. Ja jestem. Twoja strzała dosięgła mnie dawno temu – wziął jej rękę i położył sobie na piersi – tutaj. I za każdym razem gdy próbuję ją wyciągnąć – użył jej ręki, by to zademonstrować – ty wbijasz ją z powrotem.

Stali tak chwilę, ona z dłonią tak mocno przyciśniętą do jego piersi, że aż czuła bicie jego serca pod haftowaną tkaniną.

– Nie odchodź – powiedziała w końcu. – Nie zniosę tego.

– Czego? – Parys spojrział w dół, na jej dłoń. – Że nie masz wszystkiego i niczego jednocześnie? – Z wyraźną odrazą szturchnął bransoletę z szakalem. – Tak podkreślasz tę swoją wolność, a pozwalasz, by niewolnicą uczynił cię kawałek metalu. – I odsunął się od niej o kilka kroków, patrząc z wyzwaniem w swoich bursztynowych oczach. – Jeśli naprawdę wolałabyś, żeby było inaczej, spraw, żeby tak było. To zależy tylko od ciebie.

Parys nie wrócił następnego dnia ani dwa dni później. Trzeciego dnia

Myrina wymknęła się z domu i nie zobaczyła już w porcie trojańskich okrętów.

Odpłynął. Już się nie pożegnał.

Poczuła rozczarowanie tak wielkie, że niewiele brakowało, by usiadła na środku drogi i zapłakała. Od trzech dni marzyła o chwili, gdy ponownie go zobaczy, i upierała się – samolubnie i irracjonalnie, w pogardzie mając plany Otrere – że ona i jej siostry pozostaną w mieście, zamiast od razu wyruszyć do gospodarstwa... a wszystko to na wypadek, gdyby wrócił.

Teraz szła do domu, przytłoczona klęską, i stwierdziła, że wszystkie jej siostry wykonują jakieś zadania, mniej więcej te same od chwili przybycia: jedne w kuchni meły ziarna i pilnowały garnków, inne tłoczyły się na dziedzińcu, gdzie rozkładały pranie na ciepłej posadzce. Każda z nich – nawet Egee – przyjęła te proste zajęcia z pełną wdzięczności radością. Po tym, co przeszły, wszelkie zajęcia, których nie przerwie wzburzone morze czy agresja pana, były radosne.

Nawet Kara zaczęła wykazywać pierwsze oznaki zdrowienia. Już nie mówiła do siebie, nie przesypiała całych dni odwrócona plecami w nienawistnym proteście.

Ale nawet jeśli wstawiała i brała udział w domowych obowiązkach, i tak to traciła, to odzyskiwała świadomość. W trakcie zamiatania podłogi albo trzepania chodników nagle nieruchomiała i wsparta na miotle stała bardzo długo, a myślami wracała wówczas zapewne do Myken – nie Myken, które widziała Myrina, lecz Myken, które sama stworzyła. W których ona, Kara, była królową.

Myrina poprosiła o pomoc Otrere, a ta odradziła jej i pozostałym jakąkolwiek konfrontację czy niecierpliwe ponaglanie.

– Kara wróci, gdy będzie gotowa – powiedziała, idąc z Myriną w cieniu portyku. – Umysł to rzecz zmienna. Przybiera taką postać, jaka mu się podoba.

Czasami to lew, czasami szczur... a im bardziej go gonisz, tym szybciej ucieka, tym głębiej się chowa.

Przystanąły przed posągami Artemidy i zachęcona przez Otrere Myrina zaczęła opisywać w szczegółach obrzędy Bogini Księżycy. Na co Otrere – która niepostrzeżenie wzięła Myrinę za łokieć i rozpoczęła kolejny spacer po cichym podwórku – powiedziała: – Nasze boginie są jedną i tą samą, jestem

pewna. Bo my też modlimy się nocą, gdy mężczyźni śpią, a nasze namiętności są czyste jak serca łani wśród lasu.

Kochamy zwierzęta, nade wszystko zaś konie, i każda z moich córek wie, że mężczyzna, choćby najbardziej fascynujący, przynosi tylko kłamstwo i zniszczenie.

To mężczyzna, i tylko on, odziera kobietę z jej wrodzonej godności, a zatruwa ją rozpaczą i śmiercią.

– Na pewno istnieją jacyś dobrzy mężczyźni – zaczęła Myrina, myśląc nie tylko o Parysie i uprzejmych Trojanach, lecz także o swoim ojcu oraz o ojcu Lilli, z którym rywalizowała każda kobieta w wiosce, jeśli chodzi o wychowanie i cierpliwość.

Otrere spojrzała Myrinie prosto w oczy, jej jasnobrązowe źrenice były spokojne jak oczy odpoczywającego lwa.

– Nie powiedziałam, że mężczyźni niszczą kobiety celowo, tylko że zawsze tak się to kończy. – Czułym gestem wskazała otaczający je budynek. – To był kiedyś dom matki, która wszystkie swoje córki straciła. Zmarły, gdy same rodziły.

Trzy je miała, trzy ukochane córki, które dorosły i zostały wydane za mąż...

i wszystkie trzy śmierć porwała u szczytu ich szczęścia. Ta kobieta, powiadają, przesiedziała wiele bezsennych nocy u stóp Artemidy, pochłonięta rozmową z boginią, aż zrozumiała wreszcie, że odebrała lekcję. Tak więc postanowiła otworzyć dom dla obcych, zapraszała osieroczone dziewczynki z daleka i z bliska, by szukały tu schronienia, o ile zgodziły się na ślub czystości. – Otrere wskazała na malowidło na ścianie loggii przedstawiające biegnące konie. – To właśnie ta nieszczęsna, pogrążona w żałobie matka odkryła uzdrawiające moce łowów, i muszę powiedzieć, że nigdy nie widziałam kobiety, która nie cieszyłaby się bezgranicznie z zamiany mężczyzny na konia i kantar.

Mijały tygodnie i Myrina w końcu zaczęła pojmować, co miała na myśli Otrere. Mimo że była zima i ziemie uprawne odpoczywały, samo gospodarstwo – rozłożysta wioska u stóp wzgórza – ustawicznie tętniło życiem.

Na początku córki Otrere z nieufnością podchodziły do nowo przybyłych – nie dlatego, że nie przyjmowały napływu świeżej krwi i obcych, dziwnych

zwyczajów, lecz dlatego, że życie, które Myrina i jej święte siostry prowadziły w świątyni Bogini Księżycy, wydawało im się tak nadmiernie uregulowane, tak boleśnie nudne, że trudno im było przyjąć, że jakakolwiek osoba przy zdrowych zmysłach mogłaby chcieć je prowadzić.

– A ty – powiedziała pewnego dnia do Myriny Pentezylea o szerokich ramionach, gdy razem karmiły drób – jak możesz się uważać za łowcę, skoro nawet nie umiesz jeździć konno?

Myrina uznała nutę zaczepki za wynik nieporozumienia językowego, a nie złej woli, i uśmiechnęła się do nowej przyjaciółki.

– Zdaję się na własne nogi – odparła – a nie na nogi niespokojnego zwierzęcia. Poza tym moją bronią jest łuk, a nie rozumiem, jak można być łucznikiem i jeźdźcem jednocześnie.

– To rób jak my – odparła Pentezylea. – Zdaj się na włócznie. Chodź. – Strzepnęła resztki ziarna z giętkich palców i ruszyła w stronę stajni. – Pokażę ci!

Pozostawiona ze swoimi lękami, Myrina bez wątpienia trzymałaby się z daleka od zagrody koni przez bardzo długi czas, ale duma nie pozwoliła jej powiedzieć tego nieustraszonej Pentezylei. Prawdę mówiąc, gdy Myrina zauważyła, że pozostałe kobiety – niektóre tak zabiedzone, że nie mogły podnieść worka z ziarnem – czują się swobodnie w obecności kapryśnych zwierząt, postanowiła posiąść tę sztukę... choćby dla uciszenia drwin.

Dopiero gdy ona rozpoczęła szkolenie, siostry poszły w jej ślady – ośmielone faktem, że Myrina ciągle żyje i jeśli nie liczyć kilku siniaków na żebrach, jest w zasadzie cała. Z pomocą Pentezylei i nieco bardziej życzliwej Hippolity spędziły zimowe miesiące, ucząc się jeździć na koniach i panować nad nimi, i zanim pierwsze wiosenne kwiaty wyszły z ziemi, nawet Animone zapamiętała galopowała po pastwiskach.

Lilli oczywiście wołała, że też chce brać udział w tej grze. Ale Myrina nie zgadzała się, by jej siostra sama jeździła konno, a nawet by przebywała w pobliżu zwierząt, bała się bowiem, że zostanie kopnięta albo nadepnięta. Zwłaszcza koń Pentezylei był nieprzewidywalnym, agresywnym stworzeniem, a jego pani nie robiła nic, by go wziąć w karby. Wręcz przeciwnie. Więc Myrina jechała do domu na własnym koniu co najmniej raz dziennie, podjeżdżała ukradkiem do wyższego ganku i sadzała Lilli albo przed sobą, albo za sobą, i trzymała ją mocno. W ten sposób klusowały po

nierównej łące czy podjeżdżały powoli na plażę, by galopować po piasku. Ale i tak Lilli w kółko mówiła, że pewnego dnia wyruszy konno sama, a Myrina nie wiedziała, czy się martwić, czy cieszyć, że jej siostra – która przecież nigdy konia nie widziała – wciąż ma tyle zapału.

Na początku Myrina próbowała zainicjować przyjaźń pomiędzy Lilli a Heleną – dziewczynką, którą uratowały z Myken. Niemal rówieśnice, mogły znaleźć pocieszenie w swoim towarzystwie... ale tak się różniły, że Myrina mogłaby równie dobrze zaprzyjaźnić kota z psem. Bo o ile Lilli była radosną, ujmującą dziewczyną, jak kiedyś, to Helena pozostawała milcząca i tajemnicza, z oczyma pełnymi złości. A ilekroć się odzywała – na szczęście rzadko – jej słowa były tak agresywne, że Myrina często miała ochotę własnymi rękoma zasłonić uszy Lilli.

– Myślałam, że jesteście wojowniczkami – powiedziała kiedyś Helena, gdy Myrina poprosiła ją ostro, by usprawiedliwiła swoje opryskliwe zachowanie. – Mówiłaś wielkie słowa, podążyłam za wami, bo jestem wojownikiem. Ale wy nie jesteście wojowniczkami. Wy nie walczyście.

Nawet wiadomość, że nie musi odcinać sobie piersi, rozwścieczyła dziewczynkę.

– Każde twoje słowo było kłamstwem! – syknęła, nienawistny palec wymierzając w twarz Myriny. – Jesteś jak mój ojciec.

Ten zarzut zaskoczył Myrinę. Bo nie wiedzieć czemu wcześniej uznała, że Helena jest sierotą.

– Gdzie jest twój ojciec? – spytała, już ciesząc się na myśl, że odeśle niemiłą dziewczynkę do rodziców, gdziekolwiek oni są. – On także został pojmany przez Greków?

Helena z obrzydzeniem zadarła nos.

– Nie jestem niewolnicą. I nie jadę do domu. Ojciec mnie zabije. Naprawdę.

Zabił moją matkę. I moją siostrę. Wiem, że zabił. – Zacisnęła usta. – Chciałabym zabić jego.

Nieraz Myrina przyłapywała Helenę za stajnią, jak sama ćwiczy z bronią.

Czasami do niej dołączała i ćwiczyły razem, rzucając włócznią czy nożem.

A jednak później, po powrocie do domu, Helena parzyła na Myrinę tym samym zimnym wzrokiem co wcześniej – jakby ich zabawa ani trochę nie złagodziła wrogości.

W natłoku nowych wyzwań – należała do nich nauka języka Efezu – Myrina w zasadzie nie miała już czasu na marzenia. I nocą, gdy leżała cicho w ciemnościach, sięgając po wspomnienia o Parysie, zwykle zasypiała z wyczerpania, nim on do niej dołączył. Zawsze jednak pozostawał gdzieś w pobliżu, a emocje wynikające z jego wyobrażonej obecności nigdy nie słabły ani nie znikwały. Na ogół ją uszczęśliwiały, ale od czasu do czasu jej szczęście dusiła panika, strach, że już nigdy go nie zobaczy. Bo choć Parys wyleczył jej starą ranę, zostawił znak w tym miejscu: znak więzi, którego nie mogły wymazać żadne, choćby najliczniejsze kąpiele, czy to ciepłe czy zimne.

O ironio, to właśnie te kąpiele umożliwiły Myrinie więź z Karą. Pewnego wieczoru, gdy razem posprzątały kuchnię i usiadły w ciszy na progu, głaszcząc domowe koty, Kara powiedziała nagle głosem pełnym wyzwania: – Noszę jego dziecko. Rozumiesz?

A Myrina w jakiś osobliwy sposób rozumiała. Słyszała już, jak inne mówią o wymyślonej ciąży Kary, kręcąc głowami ze znużeniem, ale nikt do tej pory jej nie pytał o zdanie. Klito i Egee, jak rozumiała, miały dowód, że to urojenie, i próbowały przemówić Karze do rozumu, ale osiągnęły tylko tygodniowy nawrót łez i nienawistnego milczenia.

Siedząc tak na progu, zmęczona po całym dniu pracy, Myrina niemal czuła ból Kary... jej zdeformowane emocje. Tak więc objęła ramieniem kobietę, która już od tygodni konsekwentnie się do niej nie odzywała, i powiedziała: – Rozumiem.

Od chwili pierwszej rozmowy z wyniosłą Pentezyleą, Myrina powzięła sekretny plan. Im bardziej córki Otrere szydziły z jej ukochanego łuku i wychwalały wyższość włóczni, tym silniejszą czuła determinację, by dostosować sztukę łucznictwa do jazdy konnej. Niełatwe to było zadanie, bo bez względu na to, jak trzymała swój łuk, koń zawsze przeszkadzał. W końcu uznała, że skoro niewiele może zrobić, by zmienić kształt zwierzęcia, rozwiązaniem musi być zmiana kształtu broni.

– O co chodzi? – spytała pewnego wieczoru Lilli, gdy usłyszała, jak Myrina burczy z frustracji. Siostry dzieliły posłanie w kącie dormitorium, a gdy wszyscy już spali po dniu wypełnionym obowiązkami i szkoleniem, Myrina w świetle małej lampki uparcie pracowała nad łukiem. – Bardzo cierpisz. Zacięłaś się?

– Boli mnie moja duma – wyszeptała Myrine. – Bo nie mogę wymyślić,

jak... – urwała, mocując się z drewnem. – Śpij dalej. Przepraszam, że cię obudziłam.

– Daj, zobaczę. – Lilli wyciągnęła rękę, by pomacać powstającą broń. – Wydawało mi się, że mówiłaś, że to łuk. Ten kawałek drewna jest o wiele za krótki...

– Musi być krótki – westchnęła Myrina, strzepując z kolan włókna i drzazgi.

– Inaczej nie da się nim manewrować w galopie. Ale im krótszy robię, tym jest słabszy. Naciągnij go! Teraz to broń dla dziecka. Drewno straciło całą moc.

Lilli sprawdziła cięciwę i z podziwem przebiegła palcami po nieskazitelnym rękodziele.

– Jest piękny – powiedziała. – Gładki i posłuszny. Ale jak uczynić go silniejszym? – Zastanawiała się chwilę. – Może, tak jak w wypadku ludzi, siła pochodzi z prowokacji... jeśli go zmusisz do stawienia oporu? Może... – oddała łuk siostrze – musisz nagiąć drewno w jakiś nieoczekiwany sposób. Spróbuj je zaskoczyć i wydobyć jego ukrytą siłę.

Dziewczynka położyła się z powrotem i natychmiast zasnęła, a Myrina siedziała, wpatrując się w wyzwanie w swoich dłoniach, rozbudzona bardziej niż kiedykolwiek.

Po wiośnie nastąpiło lato i dopiero wtedy była gotowa zaprezentować swój wynalazek. Wykonanie łuku okazało się niełatwym zadaniem. Po pierwsze, musiała przygotować narzędzia, potem trzeba było znaleźć i wysuszyć materiały...

a przede wszystkim musiała robić to dyskretnie, tak by nie dowiedziała się Pentezylea. Myrina domyślała się, że jeśli jej projekt okaże się porażką, jedyną nagrodą, której doczeka za swój ciężki znój, będzie drwina.

Po tygodniach potajemnych ćwiczeń wreszcie wezwała wszystkich do stajni.

Ponieważ tylko Lilli wiedziała o jej planach, nikt inny nie miał pojęcia, czego się spodziewać, nawet najbliższe przyjaciółki Myriny. Zobaczyły tylko słomianego jelenia ustawionego do ćwiczeń z oszczepem przed pustym wybiegiem. I nagle, ku swojemu zaskoczeniu, ujrzały Myrinę na koniu, ale bez oszczepu.

– Co to jest to zniekształcone maleństwo? – spytała Pentezylea, ruchem

głowy wskazując osobliwość, którą Myrine trzymała w jednym ręku. Był to łuk mniej więcej o połowę mniejszy od normalnego, o końcach odgiętych w drugą stronę za pomocą rogu i ścięgna; nie prezentowało się to najlepiej, więc Myrina nie dziwiła się, że zebrane się śmieją i kręcą głowami.

– Nazwałam to łukiem wygiętym – odparła z cierpliwą przekorą – i twierdzę, że jako broń jeźdźcy jest on lepszy niż włócznia. Chcecie się zmierzyć?

Natrząsając się z wyzwania, Pentezylea wsiadła na swojego parsającego konia i ruszyła w stronę celu, z włócznią odwiedzioną, by rzucić jak najsilniej.

Z radosnym krzykiem cisnęła bronią z dużej odległości, a grot uderzył w słomianego jelenia z taką siłą, że ten przewrócił się z głuchym odgłosem.

– Proszę! – krzyknęła, objeżdżając Myrinę w triumfalnym galopie. – A co ty zabijesz?

Myrina skinieniem głowy wskazała pustą zagrodę.

– To.

Wszyscy skierowali wzrok we wskazanym kierunku i dopiero po chwili Hippolita zrozumiała, co Myrina ma na myśli.

– Patrzcie! – krzyknęła. – Tam, na słupkach!

Rzeczywiście na co trzecim ze słupków ogrodzenia umocowano słomianą kulę. Wybieg otaczało co najmniej dziesięć celów.

Już nie strzępiąc języka, Myrina spięła konia i rozpędziła się na tyle, by mieć szansę wykonać zadanie. Potem wyciągnęła z kołczanu pierwszą strzałę i przyłożyła ją do łuku... ale spragniona pokonania Pentezylei wypuściła ją za szybko i strzała nawet nie tknęła celu.

Wściekła na siebie, że dała się rozproszyć jakimś drobiazgom, podjechała i wypuściła drugą strzałę z wielką starannością... i trzecią, i czwartą... Wszystkie były doskonale wymierzone, a słomiane kule, przeszyte nimi, jedna po drugiej spadały na ziemię. Zachęcona sukcesem, Myrina przyspieszyła – pomimo prędkości celowała precyzyjnie. Gdy strzelała do celów po drugiej stronie zagrody, jechała już tak szybko, że kobiety rozpierchły się przed nią jak ptactwo. Tylko Otrere ani drgnęła. Dystygowana matrona stała absolutnie nieruchomo, podczas gdy koń zatrzymał się przed nią gwałtownie.

– Raz chybiłam – powiedziała Myrina, gromiąc wzrokiem kulę z

pierwszego słupka.

Otrere odwróciła się powoli w tę samą stronę, potem spojrzała na pozostałe cele, z twarzą nieprzeniknioną.

– Co ty na to, Pentezyleo? Myrina raz chybiła. Powinnam ogłosić twoje zwycięstwo?

Pentezylea nie musiała odpowiadać słowami. Czerwone plamy na jej policzkach były aż nadto wymowne. I chociaż wszyscy dokoła niej też milczeli, Myrina słyszała w sercu głośnie wiwaty.

Stało się to pewnego jasnego letniego poranka. Myrina goniła w stodole kurczaki, gdy na ziemię padł długi cień. Podniosła wzrok, odgarniając rozczochrane włosy, i nie rozpoznała go od razu, bo wpadające przez drzwi słońce oświetlało go od tyłu i oślepiło ją tak, że musiała osłonić oczy.

– Jak widzę, ciągle polujesz – powiedział głos, który znała tak dobrze. Głos, za którego brzmieniem tęskniła od bardzo wielu miesięcy. – Gotowa na lekcję?

ROZDZIAŁ 26

*...nigdy z mego serca Troska nie znikła o mych Frygów miasto.
Dziś ono w dymach – od argejskiej włóczni Ginie, zniszczone¹³*

EURYPIDES, *Trojanki*

MORZE EGEJSKIE
CZASY WSPÓŁCZESNE

Gdy następnego dnia dotarliśmy do wyspy Delos, pan Telemakhos spojrział na termometr, by sprawdzić temperaturę wody, z pomrukiem rzucił kotwicę za burtę i oznajmił, że czas na kąpiel.

– Dziewiętnaście stopni! – zapewnił nas, pomachawszy termometrem, nim ponownie wrzucił go do wody. – Lepsze niż prysznic.

W słońcu południa woda była łagodnie przejrzysto niebieska, nieco dalej rozciągały się piaszczyste łukowate plaże. Chciałam przypomnieć, że nie jesteśmy na wycieczce dla przyjemności, o ile wiem, ale nawet moja wybredność znalazła godnego siebie rywala w powabie słonecznej zatoczki. Jedynym, co mnie powstrzymywało przed zderciem ubrań i wskoczeniem do morza, była duma. Nie chciałam, by pan Telemakhos pomyślał, że całkowicie pogodziłam się z jego porwaniem.

– No chodź, kobieto północnomorska! – drażnił się, najwyraźniej uznając moje wahania za nadmierną delikatność. – Twoja imienniczka urodziła się na tej wyspie! Nie mam na myśli lady Diany – wyjaśnił czym prędzej Nickowi – tylko grecką boginię, patronkę myśliwych, Artemidę, którą Rzymianie nazywali Dianą.

– Tak. – Spojrzałam na nich obu z ukosa. – Ale jak wicie, śmiertelnikom nie służy patrzenie na Dianę w kąpeli. Prowadzi to do zgonu.

Byłam pewna, że słyszę, jak Nick rzuca pod nosem: „A więc imię trafiło w dziesiątkę”. Całe rano się unikaliśmy, ilekroć zaś nasze oczy się spotykały, on

patrzył na mnie z ironiczną wyrozumiałością, która nie za bardzo zachęcała do rozmowy. Nie mogę też powiedzieć, że tej rozmowy wyczekiwałam. Większość nocy zżymałam się na myśl o słowach, które padły z moich ust, ale po zastanowieniu nie żałowałam.

Przed wskoczeniem do wody Nick podał mi swój telefon.

– Na pewno w Oksfordzie ktoś czeka na twój meldunek – powiedział.

Gdy stał przede mną w całej swej ogorzałej chwale, musiałam podziwiać jego sylwetkę, idealną jak rzymski posąg i równie zachęcającą do dotknięcia.

Powiedziałam sobie, że pomimo całej swojej obecnej tu cielesności Nick jest mi tak daleki, że rzeczywiście mógłby być posągiem z marmuru. Ale wszystko na nic.

Nadal powodował wrzenie mojej północnomorskiej krwi.

– Dziękuję – powiedziałam, odwracając wzrok. – Mam przekazać jakąś wiadomość?

– Powiedz im, że byłaś warta każdego centa. Trzymaj. – Wcisnął mi w dłoń zwitek banknotów. – Pół na pół euro i dolary.

Ważylałam zwitek w dłoni.

– Wszystko tu jest?

– Nie ma jeszcze napiwku. Więc lepiej bądź dla mnie miła.

Plusk później zostałam z pieniędzmi i jego telefonem, i uporczywym poczuciem żalu. Wcześniej, gdy pościeliłyśmy z Rebeccą nasze łóżko w niewielkiej kabinie, ona koniecznie chciała wiedzieć, co mi dolega. Najwyraźniej mój gniew na pana Telemakhosa był tylko wierzchołkiem problemu. Zbyt zmęczona, by wymyślać cokolwiek mniej kompromitującego niż prawda, przekazałam jej krótkie strzeszczenie wyznań Nicka z ostatniej nocy.

– Więc najwyraźniej – zakończyłam, poprawiając poduszkę – jest kłamliwym, złodziejskim szarlatanem. Niestety, w swoim bezdennym absurdzie twoja żalosna stara przyjaciółka zdołała nieco...

– Wiedziałam! – Rebecca zerwała się z rozczochranymi jeszcze włosami. –

To czwarty jeździec. Wiedziałam od chwili, gdy go zobaczyłam. Oto on, powiedziałam sobie, oto człowiek, który wreszcie prześcignie krętackiego szermierza w sztuce łamania serca Diany.

– Och, litości! – zaprotestowałam, już żałując, że się jej zwierzyłam.

Rebecca niemal wyrwała mi narzutę z ręki.

- Czy to nie ty mówiłaś, że jest odrażający? Że śmierdzi?
Skrzywiłam się, przestraszona, że Nick słyszy nas przez ścianę.
- Owszem, ale problem w tym, że mnie się podoba, jak on śmierdzi. Nawet jeśli jest odrażający, a nie jest. – Potrząsnęłam głową, żeby sobie w niej przejaśnić.
- Czuję się, jakbym utknęła w jakimś balonie, w którym nie obowiązują prawa fizyki...
- Więc pozwól, że ci ten balon przebiję. – Rebecca obeszła łóżko i klepnęła mnie w tyłek szczotką do włosów. – Już! Lepiej ci teraz?
- Auć! To boli.
- Świetnie. To teraz weź się w garść. Tak to właśnie się dzieje z ludźmi na morzu: zapominają, kim są i co jest ważne.
- Po kąpieli w morzu zadzwoniłam do rodziców, ale na szczęście nie było ich w domu.
- Przepraszam za tamto – nagrałam się na sekretarkę – ale mój telefon nagle przestał działać.
- Potem wysłałam krótkiego esemesa do Jamesa, w którym napisałam po prostu: „Dalej szukam Amazonek. Następny przystanek Troja. Chcę wrócić w poniedziałek”.
- Nie mogę się doczekać – powiedział Nick, rozkładając obok mnie swój ręcznik – aż wrócimy do tematu.
- A do którego dokładnie? – Obejrzałam się na Rebeccę i zobaczyłam, jak wznosi oczy do nieba, po czym znika pod pokładem, żeby się przebrać.
- Nick oparł się na łokciach i mrużąc oczy, patrzył pod słońce.
- Do zeszytu twojej babci?
- Ach. – Z powodu figlarnego wstępu trochę się spodziewałam, że wrócimy do wspólnego śpiwora nad Nahanni River, i nawet się nieco zmartwiłam, że samotnie podążyłam tym błędnym tropem.
- Kiedy w nocy opowiadałaś mi o swojej babci – podjął, a jego poważna mina zdradzała, że dzieli nas tysiące kilometrów – sugerowałaś, że najpewniej była ona archeologiem i że ten zeszyt musiał być efektem jej wysiłków, by rozszyfrować starożytny nieznany język.
- Wydaje mi się – powiedziałam, łajając się za podziwianie jego leżącego ciała, a co ważniejsze: za to, że tyle mu powiedziałam – że to jedyne logiczne...

– Więc jak wyjaśnisz współczesne słowa? – Odwrócił się do mnie gwałtownie. – Pomidor. Kukurydza. Kakao. – Ponieważ nie zareagowałam od razu, uśmiechnął się. – Doktor Morgan, niech mi pani nie sprawia zawodu. Te wszystkie rośliny przywędrowały do nas z Ameryki w szesnastym wieku. Wyjaśnij mi więc, dlaczego północnoafrykańska cywilizacja z epoki brązu musiała je ponazywać.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale prawda była taka, że gdybym już zdążyła dobrze poznać zeszyt babci, i tak nie zwróciłabym uwagi na te tak zwane współczesne słowa. Punktem wyjścia zawsze była dla mnie obca strona słownika, a nie angielska. Innymi słowy, powodem, dla którego nigdy się nie potknęłam na słowie „pomidor”, był fakt, że nigdy się ono nie pojawiło w tekście, który tłumaczyłam. I na pewno nie pojawiło się też kakao ani kukurydza.

– A więc przejrzałeś zeszyt? – spytałam.

Nick z roztargnieniem obrócił telefon na polerowanym drewnie.

– Oczywiście.

– Po co? Żeby znaleźć ślady dzisiejszych Amazonek?

Wreszcie spojrzał mi w oczy i pod całą jego drwiną dojrzałam nieprzeniknioną ciemność, którą tak dobrze pamiętałam z Algierii.

– Są tam też słowa takie jak hotel, pociąg i koperta. Myślę, że to coś więcej niż ślad, Diano.

Wstrząśnięta faktem, że aż tyle znalazł w zeszycie babci, podparłam się na łokciu, przyjmując taką samą pozycję jak on.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Naprawdę muszę to zwerbalizować?

Pokręciłam głową na znak, że nie będę go traktować poważnie. Ja, całe życie wierząca w Amazonki, mająca wszelkie powody, by wierzyć w istnienie Amazonek nowożytnych... zamarłam w krytycznym punkcie, nie mogłam postawić tego jednego kroku, by zanurzyć się w głębi tej wiary. A Nick, który pojawił się znikąd, skoczył w nią bez wahania.

– Co cię to w ogóle obchodzi? – spytałam. – Czy to wszystko nie jest tylko wielką iluzją stworzoną dla zmylenia przeciwnika?

Nick odsunął się ode mnie i ramieniem zasłonił twarz.

– Ważne jest to, w co wierzą oni. A swoją drogą, twój laptop znajduje się w tej chwili w Genewie.

– Skąd ty to wiesz, na Boga?!

– Od pewnego czasu namierzamy pewną grupę działającą w Szwajcarii. To sprawna siatka przemytników i handlarzy z kwaterą główną w strefie wolnościowej w Genewie. Działają na wszystkich większych rynkach międzynarodowych. – Przesunął ramię, by posłać mi porozumiewawcze spojrzenie. – Jestem pewien, że zadają się z twoimi przyjaciółmi, Moselane’ami.

Słońce cały czas prażyło, a jednak poczułam chłód.

– Szczerze, Nick...

Splótł dłonie na klatce piersiowej i mówił dalej: – Pytałaś kiedyś swojego chłopaka, jak jego przodek zdobył tytuł? Ja ci powiem jak. Dostał go w nagrodę od króla za przywiezienie mnóstwa skarbów świata starożytnego. Lord Moselane ma do podtrzymania wielką rodzinną tradycję, a genewska sieć jest jego wiernym dostawcą. Ci ludzie to specjaliści od zacierania śladów i tworzenia fałszywych proveniencji. Moja ulubiona to „dar od anonimowego kolekcjonera ze Szwajcarii”.

Aroganckie inwektywy Nicka pod adresem Jamesa bardziej niż cokolwiek innego w samą porę rozpały gniew tłący się od minionej nocy. Bez względu na to, czy kłamał – a podejrzewałam, że tak – wiedziałam, że atakowaniem Moselane’ów Nick chce mnie sprowokować.

– Skąd wiesz, że mój laptop jest w Szwajcarii? – spytałam, przyglądając się jego twarzy. – I co z moją komórką? Niech no zgadnę: śledzisz moje rzeczy osobistego użytku jakimś urządzeniem? – Nie zaprzeczył, a ja pokręciłam głową. – I masz czelność nazywać tych ludzi nieuczciwymi?!

Nick sprawiał wrażenie zakłopotanego, ale tylko przez chwilę.

– Taka jest natura gry – odrzekł, ponuro wzruszając ramionami. – Myślałem, że przekupił cię Grigor Reznik. – Zerknąwszy na moją zaskoczoną minę, dodał szybko: – Bo dlaczego byś udawała, że wsiadasz do samolotu do Anglii, skoro leciałaś na Kretę? Nie mogłem tego rozgryźć. Wiem natomiast, że Reznik ma obsesję na punkcie tych bransolet z szakalem. – Ruchem głowy wskazał mój nadgarstek. – Wierz mi, dobrze by za nią zapłacił. Nic dziwnego, że chce zobaczyć, co masz w laptopie. Ale twój telefon – wymijająco wzruszył ramionami – chyba udał się do Hiszpanii. Nie pytaj mnie dlaczego.

Byłam tak oszołomiona, że ledwie sobie przypominałam, jakie tematy

poruszyliśmy, kiedy w samochodzie w Algierii omawialiśmy nikczemnego kolekcjonera sztuki ze Stambułu i jego zmarłego syna.

– Nie wiedziałam, że bransoleta stanowi element obsesji Reznika na punkcie Amazonek – powiedziałam. – I skąd wiesz, że to on ma mój laptop? Wydawało mi się, że uzgodniliśmy, że to nie on stoi za wybuchem w świątyni. Że to ktoś inny próbował go włapać...

Zaskoczyłam go.

– Chyba zapomniałem o najważniejszym: Reznik to szara eminencja stojąca za genewską siecią, o której ci właśnie mówiłem. Czy to oni wysadzili świątynię czy nie, jego ludzie nas śledzą, od samego początku. Głowę za to dają.

– Ale dlaczego?! – Nie chciałam się opowiedzieć za jego niedbałą teorią bez kilku argumentów za i przeciw. – Czy Reznik naprawdę wierzy w Skarb Amazonek? Jeśli tak, to zaczął szukać skarbu chyba na długo przed nami.

– Najwyraźniej wie coś, czego my nie wiemy – przyznał Nick. – Ale co?

Może odpowiedź znajduje się w *Historii Amazonum...* co by wyjaśniało, dlaczego tak interesuje się tobą. Napisałaś do niego, że chcesz do niej zajrzeć, prawda?

– Ale on nie zareagował.

– Ależ zareagował. – Nick wskazał moją posiniaczoną głowę. – Założę się, że od tego czasu nie spuszcza z ciebie oka. Pewnie podsłuchiwał twoją komórkę.

Stąd wiedział, że jedziesz na Kretę.

– W takim razie dlaczego jego ludzie ją ukradli? – odparowałam. – To nie ma sensu. Teraz już nie może podsłuchiwać moich rozmów.

Nick milczał przez chwilę. Wreszcie odpowiedział, wpatrując się w horyzont spod zmrużonych powiek.

– Wygląda na to, że mamy dwie opcje. Albo się rozdzielamy, jedziemy do domu i robimy wszystko co w naszej mocy, żeby przekonać Reznika, że się poddaliśmy. Albo... – tu posłał mi śmiałe spojrzenie – działamy dalej razem i znajdujemy skarb przed nim.

W piątek po południu dotarliśmy do Dardaneli. Ta wąska cieśnina pomiędzy Morzem Egejskim a morzem Marmara, przez starożytnych Greków nazywana Hellespontem, może rywalizować znikomą szerokością tylko z cieśniną Bosfor, oddaloną o kilkaset kilometrów na północny wschód,

gdzie morze Marmara łączy się z Morzem Czarnym. Taka cieśnina jest oczywiście akwenem bardzo wietrznym i niebezpiecznym dla żeglarzy.

Po rozbudzonym na otwartym morzu poczuciu wolności wejście w niebezpieczne zwężenie wywoływało dyskomfort. Przestrzeń szybko zamknęła się wokół nas, aż droga wodna stała się wąska niemal jak rzeka. Mniej więcej przez ostatnią godzinę pan Telemakhos zasypywał nas uwagami dotyczącymi mijanych odcinków wybrzeża: „Tenedos! Tu prawdopodobnie Grecy ukryli swoją flotę, gdy czekali, aż Trojanie łykną przynętę” lub „Widzicie tam linię brzegową? Kiedyś tu była otwarta zatoka, tak jak opisał to Homer”.

Gdy wreszcie zacumowaliśmy w ruchliwym Çanakkale – mieście położonym najbliżej ruin Troi – Rebecca szybko zasnęła na materacu na pokładzie, głucha na panujący w porcie harmider. W czasie rejsu zapadała w drzemkę o najdziwniejszych porach i podejrzewałam, że pomimo pozornie świetnego humoru cała sytuacja ją przygnębia. Oto wygnana z ukochanej Krety podróżowała z przyjaciółką, która zawsze wysłuchiwała jej z empatią, a teraz miała głowę zajętą swoimi troskami. Nawet pan Telemakhos z takim oddaniem rozkoszował się niespodziewanym darem w postaci towarzystwa młodych ludzi, że nie poświęcał czasu trudnemu położeniu Rebekki.

Jeśli chodzi o Nicka, najwyraźniej jej wysiłki, by oświecić nasz rejs wnikliwymi wykładami, nie robiły na nim wrażenia, a oferta pracy w Fundacji Aqrab, na którą miała nadzieję, wciąż się nie pojawiła. Jedyną propozycję otrzymałam od niego ja: jest skarb czy nie, Nick był gotów zapłacić mi kolejne dziesięć tysięcy dolarów za kontynuowanie wraz z nim poszukiwań Amazonki.

Powiedziałam mu, że to przemyśle. Nie w tym rzecz, że chciałam go ukarać za niepewność, którą tak ochoczo mi zafundował, lecz raczej w tym, że sama nie byłam pewna, jaki będzie mój następny krok. Pomimo frustracji, jaką obudziło przetrzymanie nas na „Penelope”, i pomimo oszukaństwa Nicka, trudno było sobie wyobrazić rozstanie z nim. Zaczął w moich oczach reprezentować wszystko, co przepowiadała w moim życiu babcia – przygodę, ryzyko i odkrycia.

W odróżnieniu od rzeczywistości czekającej na mnie w domu, która straciła wszelki powab. Po niemal dwóch tygodniach nieobecności trudno mi było sobie przypomnieć, co wydawało mi się atrakcyjne w oksfordzkiej

karierze – dlaczego mój szybki powrót był taki konieczny. Im bardziej zacieśniałam znajomość z obcym światem dokoła, tym szybciej stary Avalon ze swoimi splekanymi omszałymi murami i gotyckim rygorem znikał we mgle...

– Aha! – Pan Telemakhos odwrócił się plecami od rojnego portu i wskazał brzeg po drugiej stronie cieśniny, w odległości niespełna mili. – Gdzie się teraz znajdujemy?

– W Turcji? – zasugerował Nick.

– A tam?

– Też w Turcji.

– Tak, tak. – Pan Telemakhos najwyraźniej trochę się zirytował. – Ale w wielkim ogólnym rozrachunku?

– To słynny Hellespont – wyjaśniłam Nickowi, stukając zębami w orzeźwiający listopadowy wiatr, który docierał nad morze Marmara aż z rosyjskich stepów. W każdym razie ja tak sobie wyobrażałam. – Połączenie dwóch kontynentów. Tu Europa całuje się z Orientem.

Nick z rękoma w kieszeniach patrzył to na jeden brzeg, to na drugi.

– Raczej przesyła ucałowania, nie sądzisz?

– Uruchom wyobraźnię – odparłam. – I zanurz się w fantazje. Lord Byron tak zrobił. Przeptyń to, jak tyłu innych.

– Hero i Leander! – krzyknął pan Telemakhos, kręcąc głową z takim smutkiem, jakby mówił o swoich krewnych. – Ona była kapłanką Afrodyty, mieszkała w wieży, o, tam. Zakochała się w Leandrze, który, niestety, mieszkał tu.

Więc on pływał w tę i z powrotem, aż... no aż utonął. – Pan Telemakhos wzruszył ramionami, już myśląc o czymś innym. – Kto ją obudzi?

– Dlaczego to zawsze facet musi pływać? – burknął Nick, gdy pan Telemakhos nerwowo krążył wokół skulonego ciała Rebekki.

– Widocznie to świetnie działa na krążenie – odparłam, przez nieuwagę cytując słowa mojej matki wypowiedziane podczas jednej z wielu nieudanych prób namówienia ojca na weekend nad morzem.

– Nie bój nic, północna kobieto. – Nick chwycił mnie za zziębnięte ręce i roztarł je. – Z moim krążeniem wszystko w porządku.

Wciąż byłam trochę wytrącona z równowagi tą nieoczekiwaną bliskością, gdy odebrał nas doktor Özlem, stary znajomy pana Telemakhosa i kustosz

pobliskiego muzeum. Chociaż przywitali się z podobną radosną żywiołowością, od razu się zorientowałam, że doktor Özlem uzupełnia kojącą nutą yin nieustępliwe yang naszego wylewnego kapitana.

Drobnej budowy i obciążony – jak się domyślałam – życiowym bagażem niewdzięcznych trudów, przygarbiony doktor Özlem przywitał nas wszystkich uściskiem dłoni i nieufnym spojrzeniem. Ledwie się wpakowaliśmy do jego zakurzonego starego volkswagena minibusa, spojrzął na nas w lusterku wstecznym i westchnął z ospałym przygnębieniem.

– Chcecie zobaczyć bransolety? – spytał tonem, który sugerował, że zmierzamy na pogrzeb członka rodziny. – Dobra, pokażę wam.

Bransolety Amazonek leżały wyeksponowane w szklanej gablocie w głównej sali muzeum prowadzonego przez doktora Özlema – skromne pawilony powstały z myślą o archeologicznych znaleziskach w regionie Çanakkale.

– Proszę – rzekł, lekceważącym ruchem głowy wskazując dwa zwinięte szakale z brązu, które na pierwszy rzut oka wydawały się identyczne z moim. – Dobra robota, prawda?

Rebecca jako pierwsza przerwała pełne zmieszania milczenie.

– Chce pan powiedzieć, że są fałszywe? – spytała. – Że to falsyfikaty?

Doktor Özlem wysunął podbródek.

– Tak się obawiam.

– Ale... – W sumie nie miałam czasu ogarnąć faktu, że dwie repliki bransolet Amazonek leżą w przypadkowej gablocie w Turcji. – Jak?

– Znaleziono je w Troi ponad sto lat temu – wyjaśnił doktor Özlem – ale wtedy archeologia była prymitywna i nie wiedzieliśmy, w której warstwie leżały.

Jedną znaleziono w grobie niedaleko dawnego brzegu morza; druga była pogrzebana w ruinach pałacu królewskiego. – Spuścił wzrok na posadzkę, której najwyraźniej nie sprzątano od tygodni. – Przeszłość, jak wiecie, leży pod naszymi stopami, przy czym najnowsze czasy na wierzchu, a najdawniejsze na dnie. No a kiedy nasz drogi Heinrich Schliemann szukał Troi Homera pod koniec dziewiętnastego wieku, był pewien, że ta się znajduje na samym spodzie, i niezbyt się przejmował warstwami, przez które musiał się przekopać, by do tego spodu dotrzeć. Więc jak widzicie – doktor Özlem wyprostował się, by wziąć głęboki uspokajający wdech, a

potem wypuścił powietrze powoli, zapewne zgodnie z zaleceniem lekarza – trochę od tego czasu mamy tu zamieszania.

Rozglądając się dokoła dyskretnie, zrozumiałam, co ma na myśli. Wystrój sali wydawał się absurdalny; w jednej gablocie leżały przedmioty z kilku różnych okresów, a na ciągnących się rzędem cokołach wystawiono popiersia pozbawione niemal zupełnie twarzy i ze zrozumiałych względów nieopatrzone nawet tabliczkami identyfikacyjnymi.

– Wiem – westchnął doktor Özlem, podążając za moim wzrokiem. – Ale tylko niektóre nasze gabloty mają zamki, więc musimy przedkładać bezpieczeństwo nad chronologię.

– O Troi mówi się, że składa się z dziewięciu warstw – przerwała Rebecca, zwracając się głównie do Nicka. – Schliemann był przekonany, że wojna trojańska rozegrała się w bardzo wczesnej, głębokiej warstwie o nazwie Troja II, ale obecnie uważa się raczej, że to Troja VIIa jest Tą Troją. Niestety, jak możesz sobie wyobrazić, spora część Troi VIIa skończyła na stosie śmieci Schliemanna. No ale za to znalazł złoto – skrzywiła się, niechętnie uznając tę zasługę – co stanowiło znaczącą zachętę do finansowanie dalszych wykopalisk.

– Więc Troja VIIa była Troją Homera? – spytał Nick.

Rebecce rozbłysły oczy.

– Nie prowokuj mnie.

– Owszem – zachęciłam. – Prowokuj, proszę.

– Rzecz w tym – Rebecca obejrzała się na doktora Özlema z nieśmiałym szacunkiem – że wszyscy skłaniamy się ku warstwie siódmej, bo to najmniej nieprawdopodobna teoria. Ale zapewniam cię, nikt by za to nie poręczył głową.

Prawda? – Widząc drobne skinienie głowy i uśmiech doktora Özlema, podjęła z większym przekonaniem: – Jeśli szukamy Troi, która była naprawdę olśniewająca, z wysokimi murami na miarę opisów Homera, to absolutnie bezkonkurencyjnie wypada Troja VI. Ale problem w tym, że wszyscy szukali Troi zniszczonej przez wojnę... między innymi nie chcieli podważać wersji Homera.

A do tego pasuje warstwa VIIa. Moim jednak skromnym zdaniem osada Troja VII była jedynie smutnymi resztkami nieistniejącego już spektakularnego miasta, zdecydowanie niewartymi dziesięcioletniego

oblężenia. Co więcej, Troja VIIa prawdopodobnie uległa zniszczeniu około 1190 roku przed naszą erą, a to zdaniem wielu osób jest o wiele za późno. Jak Grecy mogliby wypłynąć na wojnę z tysiącem okrętów, kiedy ich potęga już przeszła do historii? To nie ma sensu.

Można wręcz powiedzieć, że były to ostatnie dni ich cywilizacji. Prostaccy brutale pustoszyli wybrzeża Morza Śródziemnego, a cały ten region pograżył się w epoce ciemności, która trwała kilkaset lat, dopóki około roku osiemsetnego naszej ery Grecy nie wynaleźli w zasadzie od nowa alfabetu.

Zaklaskałam.

– Widzisz? Bex ma to wszystko rozgryzione.

– Nie powiedziałałabym. – Rebecca wzruszeniem ramion nerwowo przeprosiła doktora Özlema. – Jak wszyscy inni tylko zgaduję.

– Więc jeśli to nie warstwa VIIa – podjął Nick – to która?

– Aha! – Rebecca podniosła palec, oczy jej błyszczały. – Cóż, jak powiedziałam, jeśli szukasz warstwy, w której mogło znajdować się prawdziwe miasto, to Troja VI jest z nich wszystkich najbardziej imponująca. Wtedy właśnie istniały wysokie mury i wtedy obywatele żyli dość wygodnie. Co więcej, Troja VI została zniszczona jakieś sto lat przed Troją VIIa, dokładnie około roku 1275 przed naszą erą, co moim zdaniem ma więcej sensu. Jedyny problem w tym, że zakłada się, iż Troja VI została zniszczona na skutek trzęsienia ziemi, a nie w wyniku działań wojennych. Ale powiedzmy, że to nie było rzeczywiście trzęsienie ziemi. – Zarumieniła się uroczo, gdy zbliżyła się do punktu kulminacyjnego teorii. – Powiedzmy, że to był taran. Albo, może powinnam powiedzieć, inna machina oblężnicza. Na przykład koń? – Przycisnęła rękę do ust, jakby chciała powstrzymać własną żywiołowość, i spojrzała po nas z przejęciem, czekając, aż do kogoś dotrą jej słowa.

– Rozumiem. – Nick powoli pokiwał głową. – Uważasz, że słynny koń trojański był w rzeczywistości wielkim taranem?

– Tylko pomyśl! – ciągnęła Rebecca, w kolejnym przyływie entuzjazmu. – To nie mógł być po prostu wielki pusty koń zrobiony z drewna. Co za Trojanin byłby tak niewiarygodnie durny, żeby pomyśleć „Aloha! Jaki ładny prezent pożegnalny od tych cholernych Greków” i otworzyłby bramy, żeby go wciągnąć do środka? Serio?

– Podoba mi się to. – Pan Telemakhos kiwnął głową. – Ale mnie się zawsze

podobały szalone teorie. Co ty na to, Murat? Czy to możliwe, że to wielki taran, a nie trzęsienie ziemi zniszczyło Troję VI?

– Będę musiał to przemyśleć. – Doktor Özlem odrobinę wyprostował ramiona. – Po stu latach z okładem wykopalisk mamy wiele teorii, a ja słyszałem już wszystkie. – Obrócił głowę i skierował wzrok za okno, brudne od kurzu i pary.

– Czasami wolałbym, żeby to nadal było tylko orne pole. Dlaczego tak chętnie zamieniamy piękny mit w rzeczywistość? Nie rozumiem.

Dopiero gdy gospodarz nas opuścił, by zamienić słowo z jednym z pracowników, który nie zamknął gabloty, pan Telemakhos miał okazję wyjaśnić, w jakich okolicznościach popsuły się relacje jego przyjaciela z archeologią.

– Przez dwadzieścia lat pisał do ludzi w całej Europie, dążąc do tego, by wszystkie trojańskie artefakty wróciły w ten rejon i żeby je umieścić w nowo wybudowanym specjalnie dla nich muzeum. – Pan Telemakhos wskazał skromne budynki dokoła. – I prawie mu się udało. Wiele rzeczy tu przysłano, między innymi te dwie bransolety. Ale niestety, parę miesięcy po otwarciu muzeum odkryto, że większość cennych eksponatów zniknęła i została zastąpiona falsyfikatami... i podejrzenie padło na Özlema. Przez osiem lat walczył, by oczyścić swoje dobre imię, ciągle z groźbą więzienia nad głową. Miejscowe władze wycofały zarzuty przeciwko niemu dopiero trzy lata temu, gdy się rozchorował. Do dzisiaj ma wrogów, którzy nazywają go złodziejem, a większość cennych przedmiotów, które znajdowały się w tych budynkach, odesłano do innych muzeów, gdzie istnieją lepsze zabezpieczenia. – Pan Telemakhos przysunął się do nas bliżej, żeby przyjaciel na pewno go nie usłyszał. – Obawiam się, że zamierzają zamknąć muzeum. To będzie jego cykuta.

Odwróciłam się do Nicka, który stał za mną z ramionami skrzyżowanymi na piersi, zachowując stosowną powagę.

– Skarby skradzione przez nas, złych ludzi z Zachodu – powiedziałam do niego. – Zwrócone do miejsca pochodzenia tylko po to, by przepaść na zawsze.

Powiedz mi jeszcze raz, czy tego naprawdę chcesz?

– Och, one nie przepadły na zawsze – odezwał się doktor Özlem, dołączając do nas z tacą maleńkich filiżanek. – Wiemy, gdzie są. Herbaty

miętowej, przyjaciele? Obawiam się, że nie mam krzesel.

– Myślał pan kiedyś, by zgłosić się do Fundacji Agrab? – spytał Nick, sięgając po filiżankę.

Doktor Özlem machnął w powietrzu pustą tacą.

– Och nie. To są tyrani. Jak już ci dadzą pieniądze, chcą się szarogęsić, mówić ci, co masz robić. – Wzdrygnął się. – Nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić. Na pewno nie lubię, jak to mówi jakiś tyran.

Nick nie sprawiał wrażenia obrażonego tym oskarżeniem. Z cierpkiego uśmiechu można było wywnioskować, że słyszy je nie po raz pierwszy.

– Może właśnie tego panu potrzeba – rzekł, kołysząc filiżanką, która w jego dłoni wyglądała na absurdalnie małą. – Paru tyranów w zespole.

Jeszcze bardziej teraz przygarbiony doktor Özlem zmierzył Nicka groźnym wzrokiem, jakby dopiero w tej chwili go zauważył i zastanawiał się, dlaczego oto zesłano nań jeszcze jedną plagę.

– Może. Ale jestem starym człowiekiem...

– Przepraszam bardzo – odezwałam się, chcąc uratować doktora Özlema i wrócić do tematu – ale skąd właściwie pan wie, że te bransolety są falsyfikatami?

Kustosz odstawił tacę i otworzył gablotę.

– Proszę – powiedział, podając mi jednego ze zwiniętych szakali. – Normalnie musi się wypowiedzieć ekspert, ale proszę zajrzeć do środka, pod głowę. Co pani widzi?

Przysunęłam się do okna i przyjrzałam ozdobie.

– Nic.

– Właśnie. – Doktor Özlem wyciągnął rękę po bransoletę. – W oryginałach znajdowały się niewielkie grawerunki. W tej trzy małe symbole, w drugiej dwa.

Byłam tak podekscytowana, że nie mogłam odpaść szakala.

– Jakie symbole?

Doktor Özlem spojrział na pana Telemakhosa, kiwając głową, jakby wcześniej zaplanowali ten moment.

– Twoja kolej. Zrób te swoje magiczne sztuczki.

Pan Telemakhos odwrócił się do brudnego okna i palcem nakreślił na nim dwa symbole. Oba znałam – oba pochodziły z alfabetu babci – ale samo słowo było nowe.

– To widniało na pierwszej bransolecie – powiedział.

Wprawiona w osłupienie wpatrywałam się w dwa symbole. Dowodziło to, że bransolety i symbole rzeczywiście coś łączyło. Czy wszystkie szakale miały takie grawerunki? Moja też? Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to sprawdzić.

– Dwie sylaby – powiedziałam, dusząc się z ekscytacji. – Imię właścicielki? To musi być imię właścicielki.

– Coraz lepiej. – Pan Telemakhos napisał kolejne trzy symbole, po czym odwrócił się do mnie wyczekująco. – Takie imię było wypisane na drugiej bransolecie...

Nick nas ubiegł.

– Nasza trzysylabowa kapłanka królowa – rzekł, jakoś dziwnie rozczarowany. – Myrina. Naprawdę dotarła do Troi.

– To niewiarygodne! – Miałam ochotę chwycić Nicka za ramiona i potrząsnąć nim. – Naprawdę byliśmy na ich tropie.

– Tak – rzekł z żalem. – I tutaj on się kończy. Biedna Myrina, która tak daleko doszła, by umrzeć.

O zachodzie słońca wszyscy obeszlśmy ruiny Troi, z zachwytem analizując ideę, że to odosobnione wzgórze otoczone polami zbóż, ze swoimi pogmatwanymi szczątkami starożytnej kamieniarki, było kiedyś światłem przewodnim cywilizacji.

Zapewne by oszczędzić doktorowi Özlemowi wykładu, który niewątpliwie wygłaszał setki razy, Rebecca wzięła na siebie oprowadzenie nas po ruinach.

– Jak widzicie – wyjaśniła, prowadząc nas przez labirynt starożytnych murów i fundamentów, z których część była zdumiewająco wysoka – miasto się stale rozrastało, a z nim także mury obronne, jak kręgi na wodzie.

– Która to jest Troja? – spytał Nick, patrząc na szczątki potężnej wieży.

– Troja VI – odparła Rebecca, wspierając ręce na biodrach w postawie właścicielskiej. – Moim zdaniem ta właściwa. Wtedy właśnie wzniesiono cały mur zewnętrzny, wraz z kilkoma ogromnymi budynkami. Zgodzicie się chyba – spojrzała na mnie, szukając wsparcia – że to są mury na miarę Troi Homeryckiej?

– Problem w tym – rzekł doktor Özlem – że w tej warstwie nie znaleziono niczego znaczącego. W każdym razie wedle mojej wiedzy.

– Oprócz gigatony cegieł – szepnął Nick, głównie do mnie.

– Niewykluczone – podjął doktor Özlem, zrywając kilka chwastów z muru i z roztargnieniem wpychając je do kieszeni kurtki – że Grecy przybywali tu wiele razy. A kto wie, może to ostatecznie trzęsienie ziemi pomogło im zająć Troję. – Spojrzał na Rebeccę, powoli, ale niechybnie radując się z okazji do spekulacji. – Może ma pani rację. Może to była Troja VI. Niewątpliwie miała wielkie znaczenie strategiczne.

Pan Telemakhos kiwnął głową.

– Widzieliście, jak wąska jest ta cieśnina. Tu zawijały wszystkie statki w drodze na Morze Czarne. Czasami zostawały tu na wiele tygodni, czekając, aż ustanie północny wiatr. Doskonałe miejsce do prowadzenia interesów: twoi klienci nie mogą odejść. – Ruszył przez chwasty i wskoczył na trawiasty pagórek otoczony gruzem. – Nic dziwnego, że ci Trojanie byli popularni. Dumni, ujeżdżający rumaki Trojanie, władcy wschodniego morza. Pomyślcie o królewskim skarbcu – wyciągnął ramiona, by oddać jego wyobrażony przepych – jakie musiał skrywać bogactwa. Nie dziwota, że król Troi potrzebował swoich wysokich murów.

Odwróciłam się do Nicka i przyłapałam go, jak wpatruje się w moją szakalową bransoletę. Na jachcie wiele razy czułam na sobie jego spojrzenie, do tego stopnia, że czasami powodowało we mnie takie napięcie, jakby Nick mnie dotykał. Ale teraz byliśmy znowu na stałym lądzie, szliśmy przez kolejne porośnięte trawą dziedzictwo ludzkości, a na jego twarzy widziałam tylko obojętność. Zastanawiałam się, czy w ogóle mu przychodzi do głowy, że to szachrajstwo, które uprawia ze swoimi przeciwnikami, może mieć przeogromne rzeczywiste konsekwencje dla nas wszystkich, nie tylko dla Rebekki i dla mnie, ale potencjalnie również dla pana Telemakhosa i doktora Özlema, przy których szczerości i oddaniu przebiegłość pana al-Aqraba wydawała się bezwstydnie cyniczna.

– Powinieneś wiedzieć – powiedziałam do Nicka – że tu właśnie zaczyna się historia Skarbu Amazonek. Uważano, że skarb zawiera złoto ze skarbcza Troi.

– Nie tylko jakieś stare złoto – wtrącił pan Telemakhos, który usłyszał moją uwagę – ale najważniejsze elementy trojańskiej cywilizacji. Uratowane przez Amazonki przed upadkiem miasta. – Uśmiechnął się dziwnie, jakby nawet on, taki żarliwy wyznawca, nigdy do końca nie kupił idei takiego skarbu.

– Ale mnie chodzi o to – znowu zwróciłam się do Nicka, ścisząc głos – że ten ktoś tam, na tyle szalony, by myśleć, że Skarb Amazonek kiedykolwiek istniał i że nadal istnieje, może bardzo szybko zapukać do drzwi doktora Özlema. I może nie będzie taki miły. Nie żeby to byli ci sami ludzie, którzy lubią napadać kobiety w ciemnych labiryntach.

Nick spojrział na mnie, unosząc brwi.

– Może powiesz to tej oksfordzkiej badaczce, która zaczęła od pisanie listów do Reznika?

Wciąż niegotowa na uznanie swojej winy w tej sprawie, podeszłam rażno do pozostałych.

– A więc wszyscy się zgadzamy, że opowieść o pięknej Helenie to czysta fikcja? – zagałam. – Że Achillesowi i wszystkim tym greckim herosom, którzy oddali życie, w całej wojnie trojańskiej chodziło tylko o złoto?

Doktor Özlem wzruszył ramionami.

– Kto tam wie, co powiedzieli im przywódcy. Mężczyźni zawsze lubią winić kobiety za wszystko, co się nie uda. Wystarczy spojrzeć na Adama i Ewę. – Westchnął. – Gdybyśmy tylko mieli jakieś historyczne zapiski... ale nie mamy.

Mamy jeszcze kilka starożytnych traktatów zawartych z innymi państwami, tylko że one niewiele nam mówią, a imiona są mylące. Czy Aleksandu, który jest w nich wspominany, może być historycznym Parysem? A „Wielki Król” Akhkhıyawy Agamemnonem Homera? A gdzie jest Hektor? A Achilles? Czy rzeczywiście w ogóle tu byli, czy stanowią element innej historii, którą później zmieszano z legendą o Troi?

– Ja na pewno nie będę tęskniła za Achillesem – włączyła się Rebecca, gdy wszyscy schodziliśmy błotnistą ścieżką w stronę starszych ruin. – No bo co to za heros, który gwałci ciało martwego przeciwnika na środku pola bitewnego? – Na widok grymasu Nicka roześmiała się i dodała: – Mówię o ówczesnej królowej Amazonek, Pentezylei. Tradycja mówi, że Amazonki w tej wojnie stanęły po stronie Trojan, by walczyć przeciwko Grekom. W *Iliadzie* Homera Amazonki nazywa się *antianeirai*, co oznacza „te, które walczą jak mężczyźni”. Historia mówi, że Achilles nawet nie miał pojęcia, że walczy z kobietą, dopóki jej nie zabił i nie zajrzał pod zbroję.

Nick odwrócił się do mnie ze ściągniętymi brwiami.

– Możliwe, że Pentezylea to Myryna? Czy Amazonki w tym czasie miały

dwie królowe?

To było trafne pytanie, ale od jego hipokryzji coś mi się robiło w środku.

Jakikolwiek miał powód, by tu być i narażać nas wszystkich na niebezpieczeństwo swoją obecnością, byłam przekonana, że historia Amazonek niewiele go obchodzi.

Zupełnie jak w wypadku greckich najeźdźców – chodziło wyłącznie o złoto. Nick ciągle żartował o Skarbie Amazonek, jakby to była czysta fikcja, ale ja już się nie dawałam nabrać. Cały czas mu o to chodziło. Jego ostatnia propozycja, bym wzięła dodatkowe dziesięć tysięcy za pomoc w wyścigu z Reznikiem, niewątpliwie potwierdzała moje przypuszczenia.

– Diano! – zagrział pan Telemakhos. – Mamy pytanie wszech czasów. Czy nasze algierskie Amazonki mogły przybyć aż do Troi ze swoją królową o imieniu Myrina? Na co Homer odpowiada... – Wskazał na mnie, bym dokończyła myśl, ale ja byłam zbyt wzburzona, by zrozumieć, czego ode mnie chce.

Pan Telemakhos podniósł palec pouczająco.

– Nigdy nie zapominajcie o Homerze. To on przychodzi nam z pomocą.

Konkretnie wzmiankuje naszą królową przy opisie niewielkiego wzgórza na Równinie Skamandryckiej. – Wspinając się po zarośniętych schodach przed nami, z szeroko rozłożonymi ramionami pan Telemakhos z polotem recytował ustęp: – „Ludzie wzniesieniu owemu nadali nazwę Batiei, a nieśmiertelni – grobowca zwycięskiej w skoku Myriny”¹⁴.

Tak mnie to zaskoczyło, że nie mogłam się ruszyć.

– Myśli pan, że ten wers odnosi się do naszej Myriny?!

Pan Telemakhos spod zmrużonych powiek patrzył na dawne pole bitwy, jakby był oficerem, który przeżył i oto wrócił na miejsce druzgocącej klęski, by zrozumieć, gdzie popełnił błąd.

– Co ja myślę? Myślę, że *Iliada* Homera jest szyfrem zakodowanym dla...

– A wojna trojańska? – spytał Nick. – Zdarzyła się naprawdę?

– Coś się na pewno tu zdarzyło. – Doktor Özlem zapiął zamek kurtki przeciwdeszczowej, czując wieczorny chłód. – Tylko nie mamy pewności co.

Bardzo jednak wątpię, że przyczyną tych wydarzeń była kobieta. – Zerknął na zegarek. – Późno się robi. Żona czeka z kolacją. Może dołączycie do nas?

Gdy wszyscy wracaliśmy na parking i do wielkiego drewnianego konia u wejścia na teren stanowiska archeologicznego, na tle zachodzącego słońca

pojawiła się sylwetka mężczyzny, który szedł w naszą stronę zdecydowanym krokiem. Wysoki, dobrze zbudowany, z rękoma w kieszeniach, wyglądał jak niechętny Apollo albo inny nieumiejętnie zakamuflowany bóg wysłany z Olimpu, by jeszcze raz wyruszyć na misję i zrobić porządek z jakimś człowiekiem, co zbłądził.

– Oho! – powiedziała Rebecca, a wszystkie jej kończyny, łącznie z głową, schowały się w kurtce lotniczej. – Teraz mamy kłopot.

– Co...? – zaczęłam, ale w tej samej chwili też go rozpoznałam.

Był to James.

ROZDZIAŁ 27

EFEZ

Na widok Parysa Myrina przeżyła taki wstrząs, że zapomniała przytrzymać kurczaka, którego wreszcie zdołała złapać, a ten z trzepotem wyrwał się z jej dłoni, gdacząc z oburzenia.

– Trzymaj. – Rzucił jej zabawkowy sztylet z drewna, ale ona nie zdążyła zareagować, więc sztylet spadł na ziemię u jej stóp, wzbijając niewielki obłoczek pyłu. – Nauczę cię walczyć jak mężczyzna, bo nie jesteś mężczyzną. Jesteś kobietą, czy ci się to podoba czy nie, a jako kobieta masz pewne naturalne ograniczenia.

Nigdy o tym nie zapominaj.

Wciąż zbyt oszołomiona, by wydobyć głos, Myrina patrzyła, jak Parys podnosi drewniany miecz – dwukrotnie dłuższy od broni, którą dał jej – i długą żerdź z kulą ze szmat przymocowaną na jednym końcu. Wyraz twarzy miał absolutnie poważny, całkowicie spokojny; zupełnie jakby ich długa rozłąka skutecznie wyleczyła go z wszelkiej słabości, którą kiedyś czuł w stosunku do niej.

Ale gdy tylko Myrina podniosła ręce, by związać sznurkiem włosy, zobaczyła, jak Parys usiłuje oderwać wzrok od jej ciała... i przegrywa z nieszczęśliwą miną.

– Nigdy tego nie rób przed mężczyzną – burknął. – Bo dopadnie cię w taki czy inny sposób.

Zostawiwszy włosy w spokoju, Myrina podniosła sztylet i wyciągnęła go przed siebie.

– I tak każesz mi się bronić? Kuchenny nóż przeciwko temu – wskazała jego broń – i temu?

– Prawdziwy miecz może być równie niebezpieczny dla właściciela jak dla

drugiej strony. Wielu mężczyzn, by sprawić wrażenie niezwyciężonych, nosi miecz za długi jak na swoje siły i gdy wykonują nim zamach, spotyka ich przedwczesna śmierć. Nie pozwól, by kobieta, bystra kobieta, powtórzyła ich błąd. A to – podniósł niby-włócznię – to kolejna broń, z którą stawi się do walki twój przeciwnik. Włócznia rzutna poleci raz i przepadnie. Włócznia do walki wręcz najczęściej podziela jej los. Bo wierz mi: trudno wyciągnąć jej głownię z zabitego odzianego w skórzaną zbroję, w środku bitwy, na czas, by odeprzeć kolejny atak.

– Ale tak właśnie mężczyźni stają do boju – zauważyła.

Parys kiwnął głową.

– Jako mężczyzna muszę robić to, co nakazuje honor, nawet jeśli wiem, że to oznacza moją śmierć. Ty jako kobieta możesz spokojnie rzucić się do ucieczki i nikt cię nigdy za to nie wydrwi, nie powie, że takie zachowanie ci nie przystoi.

Ale królowej Myriny to nie zadowoli. Więc chodź – uśmiechnął się wreszcie, rozkładając ramiona – i połów mnie trupem.

Okrążyli się kilkakrotnie, Parys z uśmiechem, Myrina wciąż niepewna, co sądzić o jego obecności. Nagle stanęła, opuściła nóż.

– Naigrywasz się ze mnie. Znam ten twój uśmiech. Gdy tylko podejść ze swoim drewnianym pazurkiem, trzepniesz mnie tymi pałkami i wyśmiejesz.

Parys kiwnął głową.

– Pamiętaj, co robisz w tej chwili, jak wyglądasz. Tak powinnaś rozpoczynać każdą walkę: wyglądasz, jakbyś już się poddała. W wypadku kobiet jedna z najważniejszych zasad brzmi tak: dopilnuj, żeby cię lekceważyli. Z natury rzeczy będą zakładać, że jesteś słabeuszem, i to jest twoja największa przewaga.

– Słabeuszem? – Myrina rzuciła się do przodu, wreszcie nacierając. Ale gdy tylko to uczyniła, pomiędzy nimi pojawił się drewniany miecz i zatrzymał się na jej gardle.

– To była zasada numer dwa – powiedział Parys, wciąż uśmiechnięty. – A oto zasada numer jeden: sama nigdy ich nie lekceważ. – Z tymi słowami pchnął ją, aż zatoczyła się do tyłu, niemal się potykając o widły.

Gdy zastanawiała się nad kolejnym ruchem, w wejściu pojawiła się trzecia osoba. Otręta, wyglądająca o wiele zbyt elegancko jak na stajnię i najwyraźniej zaniepokojona dyszeniem i pospiesznym szuraniem stóp.

– Siostrzeńcze? – zawołała, wyteżając wzrok na zakurzone cienie. – Doszły mnie słuchy o twoim przybyciu. Jakaż miła niespodzianka.

– Właśnie... – Parys odkasznął w niezwykajnym napadzie nieśmiałości. – Właśnie myślałem...

– Tak. – Otrere wyciągnęła do niego dłoń. – Widzę.

Przez resztę dnia Myrina była zajęta niezliczonymi obowiązkami, przy czym wszystkie dogodnie wypełniała w zasięgu słuchu Otrere. Nim Parys wreszcie opuścił gospodarstwo, by wrócić na swój statek, Myrina chciała rwać włosy z głowy, że nie zamieniła już z nim słowa.

Ale gdy szedł przez mroczny dziedziniec prywatnych komnat Otrere, w drodze do wyjścia, przystanął, by poprawić sandał, zaraz obok kolumny porośniętej jaśminem. Wiedział, że Myrina tam będzie się ukrywała przed wszystkimi w nadziei, że jeszcze raz go zobaczy przed jego odejściem.

– Przyjdź na plażę o wschodzie słońca – szepnął, nawet nie patrząc w jej stronę. – I bądź uzbrojona.

Tej nocy Myrina nie mogła zasnąć. Tak się wierciła i wzdychała, że w końcu Pentezylea warknęła na nią, by była cicho, a Lilli obudziła się z płaczem, szepcząc urywane zdania o statkach i ogniach na plaży.

– To ona! – syknęła Lilli, gdy Myrina próbowała ją uspokoić i na powrót uśpić. – Po nią przybędą.

– Kto, najdroższa? – wyszeptała Myrina, tuląc siostrę mocno do piersi. Miała nadzieję, że hałasy już nikogo więcej nie obudzą.

– Po nią! – odparła Lilli, jak zawsze zdenerwowana, że Myrina nie rozumie.

– Księżniczka. Ona tu jest, choć nie wiem, gdzie dokładnie.

Po długiej nocy, w trakcie której oka nie zmrużyła, Myrina wreszcie opuściła dormitorium, by przemknąć za stajnię i osiodłać konia. Wiedziała, że do świtu jeszcze daleko, ale nie miała nerwów czekać dłużej. A jeśli jej plan zostanie odkryty? Jeśli Otrere spróbuje ją zatrzymać? Bała się nie tyle ewentualnego zakłopotania, lecz ryzyka, że nie zdąży wówczas się spotkać z Parysem.

Koń, srebrny wałach, parsknął radośnie na jej widok, ale Myrina uciszyła go nerwowymi prośbami. I zamiast odjechać jak zawsze z radosnym wrzaskiem, przeprowadziła go za domem za uzdę. Miała nadzieję, że nikt ich nie zobaczy ani nie usłyszy. Nie żeby w jej eskapadzie było cokolwiek

nagannego, ale... Otrere poprzedniego wieczoru tak na nią patrzyła, jakby miała odmienne zdanie. W końcu Parys był mężczyzną.

Jadąc przez pola w stronę morza, wdychając kojący chłód powietrza, Myrina widziała, jak poranne mgły podnoszą się z ziemi z niechętnym wdziękiem. Chociaż nastąpiło już lato, ziemia nie spieszyła się z odsłonięciem swych wspaniałości przed wzejściem słońca. Dopiero gdy ono sięgnie po nią złotymi palcami, przypominając jej swój gorący dotyk, ona zrzuci ostatni welon i powita je eksplozją ptasiego śpiewu.

To również słońce gnało Myrinę, popędzając ją dotykiem cieplej ręki na plecach i rozpościerając przed nią wspaniałe poranne światło, gdy zjeżdżała z wydm na plażę. W ciągu kilku miłosnych oddechów posępny bezmiar piasku został wybudzony ze snu, zmieniając kolory z fioletowej szarości na szafwiowy miód.

I pośród tego wszystkiego zobaczyła jadącego ku niej Parysa, jakby trzymającego w dłoni włócznię. Ale nie zatrzymał się, gdy do niej dotarł.

Uśmiechnął się tylko szeroko i dalej jechał plażą, jakby zamierzał podążać aż do skalistego cypla widocznego na dalekim jej końcu.

Myrina ruszyła za nim i bardzo się starała go dogonić, a gdy wreszcie dotarli do małej osłoniętej zatoczki, o której istnieniu Myrina w ogóle nie miała pojęcia, oboje zeskoczyli z koni, zanosząc się ze śmiechu.

– No proszę! – krzyknął Parys w udanym rozczarowaniu. – Nie mogłem się doczekać, aż nauczę cię jeździć konno, a widzę, że córki Otrere mnie ubiegły.

– Niewątpliwie – odparła Myrina, zdejmując sandały – dopatrzysz się jeszcze wielu wad w moich umiejętnościach. Hippolita ciągle mnie upomina za kolana...

– Nie ośmieliłbym się w ogóle zauważyć twoich kolan – odparł Parys z uśmiechem. – Widzę tylko twarz kobiety, która panuje nad wierzchowcem i raduje się jazdą. To... – pohamował się i odwrócił, by rozsiodłać konia – to wystarczy.

– Powiedz mi – Myrina chciała opóźnić lekcję walki do czasu, aż otrzyma odpowiedzi na swoje najbardziej naglące pytania – czy moje nierozważne działania przysporzyły ci problemów w domu?

Parys obejrzał się na nią przez ramię.

– Gdyby tak się stało, nie byłoby mnie tutaj.

– A więc... wybaczyłeś mi?

– Nie jestem pewien – zdjął siodło z konia i odłożył je na głaz – co oznacza to słowo. Moje uczucia tworzą taki mętlik, że już dawno poddałem się i przestałem je rozplątywać. Próbowałem ten węzeł odciąć – wzruszył ramionami, wyjmując swój drewniany miecz – ale od razu odrosły. Gotowa?

Myrina się zawahała, bo strasznie chciała wiedzieć, co Parys ma na myśli, ale wiedziała też, że dalsze wypytywanie nie przyniesie jej pewnie nic prócz żartów. Tak więc znalazła swoje dwa drewniane noże i skrzyżowała przed sobą ramiona w postawie zdradzającej strach.

– Czy twoim zdaniem teraz wyglądam wystarczająco rozpaczliwie?

Parys kiwnął głową.

– Nieźle. Ale za dobrze cię znam, by dać się nabrać. Jest coś w twoich oczach... musimy popracować nad twoimi oczami. Najpierw jednak pogadajmy o twoich mocnych stronach, bo one są twoją prawdziwą bronią. – Ruchem głowy wskazał jej nogi. – Przede wszystkim twoja gibkość. Szybkie i zwinne stopy. Bez trudu mogłabyś prześcignąć mężczyznę. – Uśmiechnął się. – Mnie prześcignęłaś wiele razy.

Myrina ściągnęła brwi.

– Prosiłam, żebyś nauczył mnie walczyć. Komu potrzebna nauka, jak uciekać.

Parys podniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Jesteś zbyt niecierpliwa. To twoja słabość. Uderz pierwsza... a równie dobrze możesz wbić ostrze we własną pierś. Czekaj, czekaj, czekaj... i jeszcze poczekaj. To podstawa.

– Mam czekać – Myrina się skrzywiła – aż przeciwnik potnie mnie na kawałki?

Parys kiwnął głową.

– Będzie się starał. Ale ty będziesz wiedziała, jak uniknąć ciosów. I wtedy, w chwili gdy on straci cierpliwość, gdy już będzie nieostrożny i zmęczony, wtedy uderzysz. Najpierw jednak – Parys postukał drewnianym ostrzem o swoją dłoń – nauczę cię, jak przewidzieć ruchy miecza i jak go unikać.

Zanim wreszcie pozwolił jej odpocząć, Myrina była cała obolała od uderzeń i zadrapań. Owszem, teraz lepiej blokowała jego ciosy i unikała ich, by jednak to osiągnąć, musiał ją dźgać i pchać raz za razem, głównie w ręce i nogi, ale czasami również w klatkę piersiową. Nawet gdy się zataczała i

upadała, nie miał dla niej litości, tylko klepał ją po tyłku drewnianym ostrzem, aż wstała.

Gdy wreszcie odpuścił, Myrina padła na piach z jękiem, nie mając pewności, czy kiedykolwiek będzie jeszcze miała siłę wstać.

– Pij. – Parys podał jej wodę, ale była zbyt wyczerpana, by ją przyjąć.

– Myślałam, że jesteś taki szlachetny – wybełkotała, trzymając się za łokieć.

– A ty jesteś okrutny. Kiedy będę mogła wziąć tarczę?

– Przeoczyłem coś? – Ukląkł przy niej i chwycił ją za rękę. – Hmmm. – Pomacał palcami siniak. – A teraz? – Pochylił się i dotknął bolącego miejsca ustami. – Lepiej?

Wpatrywała się w niego, miotana sprzecznymi uczuciami.

– Tak? No to w takim razie – Parys wstał i otrzepał kolana – wstawaj, gibka Myrino. Dopiero zaczęliśmy.

I tak przez kilka tygodni Parys spotykał się z Myriną na plaży, by kontynuować lekcje – czasami wcześniej, czasami późno, tak by nikt w gospodarstwie nie dostrzegł regularności w jej zniknięciach.

Zgodnie z obietnicą nauczył ją, jak wykorzystywać umiejętności, którymi dysponowała – przede wszystkim szybkość, gibkość i wyczucie równowagi – i nie minęło dużo czasu, a przed większością jego ciosów umiała uskoczyć czy zrobić unik, ku swojej wielkiej radości, a jego konsternacji.

– Za dobrze cię wyszkoliłem! – wykrzyknął pewnego dnia, gdy słońce rozpoczęło długą, gorącą popołudniową wędrówkę. – Teraz obrywa moja godność.

Czekaj. Co robisz? – Odrzucając włócznię i miecz, skoczył na nią, gdy tylko siadła odpocząć, i gruntownie wytarzał ją w piasku. – Co ja mówiłem? Nigdy nie myśl, że to koniec, dopóki ktokolwiek z twoich przeciwników jeszcze żyje. Nawet rozbrojony, nawet na kolanach twój przeciwnik jeszcze spróbuje dorwać ci się do gardła. – Unieruchomił jej ręce i nogi, przyciskając ją do ziemi całym swoim ciężarem. – A teraz mnie zepchnij.

Zgrzytając zębami, Myrina próbowała z całej siły, ale był za ciężki.

– No już – zachęcał ją. – Zawsze jest jakiś słaby punkt. Moment nieuwagi.

Znajdź go i wykorzystaj.

Próbowała i próbowała, ale nie znalazła żadnej słabości. Stękając z wysiłku, spojrzała mu w oczy, próbując odgadnąć jego myśli. Nie było to

trudne, ponieważ nierozzerwalnie splatały się z jej myślami.

Wciąż dysząc ciężko, przestała się siłować.

I wtedy wreszcie ją pocałował: pocałunkem, którego oboje pragnęli od tak dawna. Ta zdyszana, gorączkowa przyjemność mogłaby trwać wiecznie... gdyby Myrina nie trafiła piętą na mały wzgórek piasku, idealne oparcie, dzięki czemu mogła przeturlać ich oboje i rzucić Parysa na plecy, przyciskając mu do gardła jeden z jej drewnianych sztyletów.

– I ty mówisz, że ja jestem okrutny? – wychrypiał z twarzą wykrzywioną upokorzeniem. – Jesteś niekwestionowaną królową wiecznej udręki.

Myrina mocniej przycisnęła sztylet.

– Jeszcze cię nie zabiłam. Prawda?

Parys ściągnął brwi.

– Czemu nie?

Zamiast odpowiedzieć, pochyliła się i pocałowała go znowu, by jak najszybciej poczuć tamtą przyjemność sprzed chwili. A kiedy – kilka oddechów później – on znowu znalazł się na górze, już nie oponowała, bo już nie czuła się pokonana.

Spuszczona z uwięzi, ich namiętność sprawiła, że przypominali dwójkę mociących się lwiatek – jednocześnie oddających się zabawie i bezlitosnych.

Parys nie mógł się nasycić jej wargami... wargami, które tak często z niego drwiły i odmawiały mu, a Myrinę przepelniała rozkosz, że wreszcie czuje jego ciało...

silne ciało, które tak często podziwiała, za którym tak często tęskniła, które pragnęła znowu poczuć przy sobie.

– Moja piękna Myrino – wyszeptał, sunąc ciepłą dłonią po jej ramieniu, by zatrzymać ją na szakalowej bransolecie. – Zdejmijmy to...

– Nie. – Odsunęła rękę.

– Nie martw się. – Wciąż ją całował i wciąż sięgał do bransolety. – Ja to za ciebie zrobię.

– Nie! – Wywinęła się i schowała rękę pod plecy. – Nie możemy!

– Czego nie możemy? – Przyciągnął ją z powrotem i przygniótł swoim ciałem. – Urazić pieseczka? Zdaje się, że nie ma nic przeciwko temu, żebym cię całował, prawda? Wręcz podejrzewam, że ma niezłą zabawę.

Ale szkoda już się dokonała.

– Proszę. – Myrina przycisnęła pięści do twarzy, wstrzymując łzy. – Nie chcę cię zranić...

Parys usiadł, poczerwieniały i wściekły.

– Więc dlaczego wszystko, co robisz, niezmiennie kończy się najbardziej nieznośnym bólem? – Wstał z jękiem i ruszył po plaży, wymierzając swoim drewnianym mieczem ciosy niewidzialnym przeciwnikom.

Później, gdy już osiodłał konia, Myrina podeszła, by objąć go od tyłu.

– Ostrzegałam cię – wyszeptała, czując smutek tak ogromny, że ledwie mogła wydusić głos. – Gryzę jadowicie.

Parys opuścił ramiona.

– Gdyby tylko. Ale bogowie w swojej nieposkromionej wesołości dali ci najśłodszy smak. – Odwrócił się i ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją raz jeszcze, przepelniony udręką. – Powinienem odejść i nigdy nie wrócić, ale nie mogę.

Spotkamy się tu jutro?

Przez trzy kolejne dni walczyli ze sobą, aż Parys wbił miecz i włócznię w piasek i padł na kolana, potrząsając głową.

– Poddajesz się? – spytała Myrina, stojąc przed nim niepewnie, z wciąż uniesionymi sztyletami.

– Myrino... – Chwycił się rękoma za twarz. – Moja piękna Myrino. Nigdy nie będziesz moja? Czy takie ma być moje przeznaczenie? Że ważniejszy ode mnie jest pies?

Uklękła przed nim, rozpaczliwie pragnąc ulżyć mu w bólu, ale bojąc się, co może się wydarzyć, jeśli spróbuje.

– Muszę wracać do Troi – rzekł Parys wreszcie. – O pierwszym brzasku.

– Nie! – Myrina zarzuciła mu ramiona na szyję. – Nie zostawiaj mnie znowu.

Proszę! Obiecuj, że wrócisz natychmiast...

Zwiesił głowę.

– Nie mogę...

– Ale – przycisnęła do jego policzka swój – przecież... przecież ty mnie lubisz?

Parys podniósł wzrok, pełen wyrzutu.

– Lubię? Myrino, jesteś moją królową. Pragnę cię ponad życie. – Przełknął ślinę, po czym podjął z nagłą determinacją. – Przyjedź do mnie. Przyjedź do

Troi i zostań moją żoną. – Dotknął jej brody, z oczyma pociemniałymi od podniosłości chwili. – Albo zostań tu na zawsze, jako niewolnica swojej nieistniejącej pani.

Myrina wpatrywała się w niego, odgarnęła splątane włosy.

– Poślubiłbyś mnie?

Parys pokręcił głową.

– Myślisz, że kogokolwiek uczyłbym ot tak, jak mnie pokonać w walce?

Chcę, byś została moją żoną. Moją jedyną żoną. – Chwycił ją za kark i pocałował mocno w usta. – Nieopodal Troi jest wzniesienie zwane Batieia. Dniem i nocą będzie tam stał mój wartownik, dopóki nie przyjedziesz. I nazwę je Wzgórzem Myriny, na twoją cześć. – Patrząc jej prosto w oczy, wziął ją za rękę i przycisnął ją do swojego policzka. – Zimny metalowy pies czy mężczyzna z krwią pulsującą w każdym skrawku ciała? Ty musisz dokonać wyboru, ale błagam: zrób to szybko.

Myrina wróciła do gospodarstwa po zmroku. Nigdy jeszcze tak żywo nie odczuła jego uroków – otwarte na oścież drzwi i okna, promieniejące znajomym ciepłem, i wiele głosów wzniesionych w bezładnym chórze wesołości.

Gdy przeszła przez drzwi ogrodowe, zastała wszystkie kobiety przy ustawianiu stołu na wieczerzę. Śmiały się z byle powodu i zajmowały błażostkami, a ona nagle poczuła się jak obca, jak przechodzień, który przywdział cudzą postać, by wpuszczono go do środka.

Dopiero wtedy przyszło jej do głowy, jakie mistrzostwo osiągnęła w ignorowaniu własnych pragnień – pragnień, które kiedyś były proste, ale z czasem się skomplikowały. Rok temu, gdy wraz z Lilli szły przez pustynię, niczego nie pragnęła bardziej niż usiąść z przyjaciółmi przy stole. A gdy opuściła świątynię Bogini Księżycy, szukając uprowadzonych sióstr, padłaby bez wahania na kolana z wdzięcznością, gdyby wiedziała, że pewnego dnia już niedługo wszystkie – prócz jednej – znowu zamieszkają w szczęśliwym ustroniu, w gospodarstwie nad morzem, w otoczeniu miłych ludzi i żyznych ziem.

Ale gdy już wykonała zadanie, a jej siostrom nic nie groziło, jej pragnienia padły na ziemię bezwładne i niepotrzebne, jak liny, których używa się do podźwignięcia potężnych murów. I padła ofiarą zła, które prześladuje każdego wielkiego budowniczego: gdy już jego budynek stoi ukończony, nie

może w nim spokojnie zamieszkać, radując się owocami swojej pracy, lecz musi zająć się planami kolejnego, a potem jeszcze następnego... aż wreszcie siada w cieniu drzewa starców i ma za sobą życie wypełnione wyłącznie budowaniem, życie, w którym nie znalazł czasu, by się gdziekolwiek wprowadzić.

A może była niesprawiedliwa... Niekiedy zajęcia w gospodarstwie sprawiały Myrinie wielką radość, szczerze też cieszyła się towarzystwem nowych przyjaciółek równie jak ona rozmiłowanych w polowaniu. I Lilli także wydawała się tu szczęśliwa. Co prawda nocami niekiedy nękały ją złe sny, ale dni były pełne uciechy, kotów, kaczek i radosnych zadań. Otrete szczególnie dbała, by tym z jej córek, które nie mogły w pełni uczestniczyć w ogólnym zamęcie – a było takich dziewcząt kilka, bo miejscowi nie chcieli ich wychowywać – nigdy nie brakowało zajęcia, żeby zawsze miały jakieś obowiązki, specjalnie dla nich wydzielone.

Dzięki temu Lilli na przykład doszła do wniosku, że jest niezastąpiona w kuchni, i strzegła swego królestwa z rosnącym poczuciem własności.

– Boję się myśleć – powiedziała do Myriny, jakieś kilka tygodni wcześniej – co one jadły przed naszym przybyciem. Pomożesz mi posprzątać spiżarnię? Chyba nikt tu nie dba o takie rzeczy.

Myrina sama miała niewiele do roboty, więc się zgodziła. Razem wysprzątały piwnicę, znajdując niejedno, a każdego znaleziska musiały posmakować – często natychmiast je wypluwały... ale najważniejsze, że mogły porozmawiać na osobności o swoich nadziejach na przyszłość. O zachodzie słońca, gdy spiżarnia była wreszcie uporządkowana, Myrina poczuła się pewna, że nowe życie i jednej, i drugiej bardzo się podoba i nie wyobrażają sobie innego.

Ale potem wrócił Parys. I wraz z nim zakłębiło się od emocji i ambicji, które nękały Myrinę, gryzły ją nieustannie, dokądkolwiek się udała, choćby nie wiadomo ile razy zanurzała się w stawie za stajnią, wręcz niemal się w nim topiąc, byle przed nimi uciec.

Tego wieczoru, gdy już pożegnała się z Parysem, gdy odprowadziła go wzrokiem, Myrina usiadła do posiłku i niemal czuła, jak przez otwarte okna napływa wołanie z Troi. Nieraz słyszała jej opisy: że to wspaniałe miasto z wyniosłymi murami i wieżami, ale dzisiaj nabrało nowego blasku. Był to bowiem dom mężczyzny, który niczego jej nie odmówi i którego bliskość

była tak urzekająca, że niemal bez reszty zajmowała jej myśli.

By nie słyszeć codziennego gwaru kuchni, po kolacji przez godzinę ustawiała pułapki na myszy. Nie było to może najszlachetniejsze z zajęć, ale znajdowała dziwną satysfakcję w robieniu tego, co należy, jednocześnie starając się oszczędzić ofiarom cierpienia. Tak się skupiła na zakładaniu swoich zmyślnych łapek, że nawet nie zauważyła, że ma towarzystwo, dopóki Otrere nie położyła dłoni na jej głowie.

– Zastanawiałam się – powiedziała – dlaczego już nie nęka mnie piszczące umierających myszy. Słyszę tylko trzask i nic więcej.

– Gdyby się tylko dało – burknęła Myrina, walcząc z węzłem – tak zrobić z ludzkim sercem.

– Chodź. – Otrere gestem nakazała jej wstać. – Przejdźmy się. Jest taki spokojny wieczór.

Myrina od razu wiedziała, co się kryje za zaproszeniem. Wszystkowidząca matka dowiedziała się o jej potajemnych wyprawach na plażę, albo od naocznego świadka, albo je wydedukowała. Trojański statek stał w porcie przez trzy tygodnie, a Parys przyszedł na wieczerzę tylko raz. Dlaczego? Dlaczego musiał się ukrywać?

Szykując się na zasłużoną połajankę, Myrina podążyła za Otrere przez ogród warzywny na rozciągającą się za nim łąkę. Tu, skąpane w świetle wschodzącego księżyca i rzucające zniekształcone cienie na dzikie trawy, stały Trzy Dzwony – stare drzewa z dzwonkami wietrznymi zwisającymi z gałęzi. Nikt nie wyjaśnił do tej pory Myrinie, skąd się wzięły te drzewa i ich żałobne westchnienia, ale dawno już się domyśliła, że służą za strażników zmarłych, których prochy zapewne są pochowane pod nimi.

Zdumiona celem ich przechadzki Myrina zatrzymała się przy Otrere, czekając, aż ta się odezwie. Bała się, że tematem będzie grzech i kara, i już chciała pospieszyć z zapewnieniami o swojej niewinności, gdy Otrere wyciągnęła rękę i pogładziła pień drzewa.

– Nie poznałaś Sisyrbę – powiedziała. – Była najświetniejszą z moich córek.

Nigdy nie złamała żadnej reguły, nigdy nie odmówiła wykonania zadania.

Doskonała jeźdźczyni. Ale zanim osiągnęła dorosłość, zabiła ją gorączka.

A Barkida – Otrere urwała, by uspokoić głos – spadła z konia i skręciła sobie kark.

Ona i wiele innych umarły za młodo. Więc jak widzisz, Los nie zawsze faworyzuje tych, którzy na to zasługują. Jedyne, co możemy zrobić, to być szczerze wobec siebie i mieć nadzieję. Nieszczęśliwe życie, przecięte przez niesprawiedliwą śmierć... to na pewno największa tragedia.

Stały chwilę w ciszy, patrząc w górę na milczące dzwonki. Wreszcie Myrina, nie znalazłszy krytyki w usłyszanych właśnie słowach, powiedziała: – Chcesz mi powiedzieć... że mam być szczęśliwa?

Otrere zebrała spódnice i ruszyła dalej na łąki, podążając wąską ścieżką aż do kamiennej ławki u szczytu rozległego zbocza zagrody dla koni.

– Kim jestem, by odgadywać to, co Los ma dla ciebie w zanadrzu? – powiedziała wreszcie, siadając na ławce. – Mówię ci tylko to, co mam w sercu. – Poklepała miejsce obok siebie, zachęcając Myrinę, by je zajęła. – Chodź, opowiem ci o mężczyźnie, którego kochałam.

Myrina padła na ławkę z cichym okrzykiem, a na widok jej wstrząśniętej miny Otrere wybuchnęła śmiechem.

– Nie bój się. To było dawno temu i nasza miłość nigdy nie wyszła poza pełne uwielbienia spojrzenia. Bo ja nie zrobiłam nic, by go zachęcić. Byłam przecież przeznaczona Bogini. – Urwała, by spojrzeć na Myrinę z powagą, po czym podjęła: – A niestały mężczyzna zaczął uganiać się za moją siostrą i przekonał ją, by złamała śluby i wyszła za niego. – Otrere wygładziła dłońmi spódnice, na nowo może przeżywając smutek z przeszłości. Wreszcie westchnęła i podjęła opowieść: – Niestety, źle się stało, że wyprawili swoje wesele tutaj, pod dachem Bogini, a ona w swojej zazdrosnej naturze odpłaciła im straszliwą klątwą.

Bo w ich noc poślubną wybuchł pożar, zawalił się dach budynku, w którym spali, mało ich nie zabijając. – Otrere potrząsnęła głową. –

Wyobrażasz sobie pewnie, że każdy wieszcz przepowiadał im wiekiustą śmierć i zgubę i doradzał, by zabili dziecko poczęte tej nocy. Moja siostra jednak oczywiście nie podjęła takich okrutnych i zabobonnych kroków, a chłopiec został wychowany z miłością i z wiekiem stał się ulubieńcem ich ludu.

Myrina poruszyła się niespokojnie na ławce. Nagle przypomniała sobie, że Parys mówił jej, gdy przybyli do Efezu, że Otrere jest siostrą jego matki i że jego rodzice poznali się właśnie tutaj, w gospodarstwie. Zastanawiała się, czy to aby nie Parys jest tym dzieckiem poczętym w pożarze. Czy to możliwe,

że taki zdolny, uśmiechnięty chłopiec – a teraz mężczyzna – urodził się wśród takich złych omenów?

– Więc widzisz – Otrere poderwała ręce i zaraz znowu je opuściła bezwładnie na kolana – gdybym naprawdę kochała tego mężczyznę, byłabym zgorzkniałą staruszką. Powiedziałabym, że Bogini ukarała mnie, nie ją. – Urwała, wyprostowała się. – Ale tylko niemądrzy przedwcześnie wydają sądy. Los jest cierpliwy. Wcześniej czy później cię dopadnie.

– Ślubowałam Bogini Księżycy – odezwała się Myrina.

– I swoim siostrom.

– To prawda. – Myrina pochyliła się, oparła łokcie na kolanach. – Ale lubię myśleć, że już dawno spłaciłam swój dług wobec nich. Jeśli chodzi o Boginię... nie zrobiła nic, by nas chronić. Jeśli któraś z nas złamała święte śluby, to ona.

– Uważaj! – Otrere podniosła dłoń. – Nawet bogowie muszą się podporządkować Losowi. Może w niebiosach jest jakiś ważny plan... może nie.

Ale nie szydźmy z mocy dla nas niepojętych.

– Przepraszam – wyszeptała Myrina, skłaniając głowę. – Nigdy nie mogłam utrzymać języka za zębami wobec niesprawiedliwości.

Otrere poklepała ją po dłoni.

– I już choćby z tego powodu będziemy bardzo za tobą tęsknić.

ROZDZIAŁ 28

Gdy czyjaś sława oparta na prawdzie, nazwę go szczęsnym, a czyja na kłamstwie, nie powiem: „Sława!” – „Przypadkowy pozór!”¹⁵

EURYPIDES, *Andromacha*

TROJA, TURCJA

Dopóki babcia mieszkała z nami, nie ukrywała swojej wzdary wobec mężczyzn oraz – w każdym razie w moim rozumieniu – chłopców. Nie dlatego, że uważała ich za jakichś niegodziwców, lecz dlatego, że postrzegała ich jako całkowitą stratę czasu. „Żeby tylko jakiś chłystek z fryzurą na pudła nie przeszkodził ci w szkoleniu” – powtarzała niestrudzenie. – „Później, gdy są dojrzały i dowiodą swojej wartości, możesz się cieszyć towarzystwem zdrowego mężczyzny, tak jak się cieszysz dobrym posiłkiem. Zjeść, przespać się, zapomnieć”.

Może babci w ogóle nie przyszłoby do głowy, że potrzebuję takich konkretnych rad, gdyby Rebecca – w typowym ataku zwierzeń – nie wygadała, skąd się wzięła piłka golfowa z Manor Park w naszym tajnym pudełku ze skarbami. „Naszym zdaniem należy do Jamesa Moselane’a” – wyszeptała, trzymając piłkę w dłoni niczym pisklaczka.

– Że co?! – spytała babcia, z obrzydzeniem wachając miniaturowe hotelowe mydelko. – Kim jest James Moselane i czym jego piłki zasłużyły sobie na obecność w tym pudełku?

Rebecca wszystko wyjaśniła, a wówczas babcia pokręciła głową.

– Natychmiast pozбудьте się tych bezużytecznych myśli – powiedziała. – I ćwiczcie pilniej! Ciągłe macie słabe ramiona. – Pomacała rękę Rebekki. – Kiedy już będziecie na tyle silne, by się podciągnąć i gdy zabijecie mężczyznę w bitwie, wtedy możecie się zająć Jamesem Moselane’em. Ale nie wcześniej. I pamiętajcie, żeby się podzielić. Zrozumiano?

Teraz, gdy stałyśmy razem pośród ruin Troi, patrząc na zbliżającego się Jamesa, Rebecca sprawiała wrażenie równie przerażonej jak wtedy, dawno temu, gdy słuchała poleceń babci. I ja też się tak bałam.

– James! – zawołałam, a serce mi zapłonęło, gdy próbowałam zdecydować, jak go powitać. Normalnie nigdy się nie dotykaliśmy, jeśli nie liczyć krótkich, ale jak najbardziej przypadkowych karesów, gdy pomagał mi na przykład włożyć nakrycie wierzchnie. Tym razem podszedł do mnie bez wahania i ucałował mnie w oba policzki.

– Morg – rzekł, uśmiechając się ciepło. – Przepraszam, że tak długo trwało, zanim cię dopadłem. – Następnie odwrócił się do pana Telemakhosa i doktora Özlema, by przywitać się z nimi jak ze starymi przyjaciółmi.

Tymczasem za jego plecami widziałam, jak Rebecca zerka nerwowo na Nicka, potem na mnie, jakby się chciała upewnić, że uczucia, które jej wyznałam na łódce, nie są na tyle zaawansowane, byśmy musieli się borykać z czymś tak odrażającym jak trójkąt miłosny. Ale ze strony Nicka nie było się czego obawiać; spojrzał na mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było – czy też jakbym była zupełnie obca, takie porównanie wydaje się trafniejsze – jakby nie warto było zamienić ze mną słowa. Mogłam mieć tylko nadzieję, że sprawiam wrażenie równie obojętnej jak on.

W przeciwieństwie do nas wszystkich Nicka w ogóle chyba nie zaskoczyło nagłe pojawienie się Jamesa.

– Tak się zastanawiałem, kiedy do nas dołączysz – rzekł, ściskając podaną dłoń z wyważonym entuzjazmem – odkąd twoje imię pojawiło się na moim telefonie.

– Cóż, no tak. – James wydusił krótki uśmiech. – Chciałem przyjechać wcześniej. Oksford lubi mieć na oku swoje zasoby. Nick, dobrze usłyszałem?

– Wiesz, kim jestem.

Trzeba było dobrze znać Jamesa, by rozpoznać, że to irytacja wykrzywia mu twarz. Łatwo dało się ją pomylić z uśmiechem.

– Słyszałem, że nasi prawnicy świetnie się dogadują – rzekł. – Wymieniają się całkiem dowcipnymi listami.

Nick nie odwzajemnił uśmiechu.

– Chyba straciłem poczucie humoru.

Zapadła chwila ciszy, w trakcie której dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie z takim napięciem, jakby szykowali się do pojedynku i czekali, aż

opadnie chusteczka. Wreszcie Nick odszedł, a James zwrócił się do mnie, kręcąc głową.

– Niektórzy ludzie – rzekł na tyle głośno, by Nick go usłyszał – po prostu nie są w stanie zadowolić się tym, co mają, tylko muszą kłaść łapę na własności innych.

Nie byłam pewna, czy mówi o mnie, czy o Moselane Manor Collection, ale chwilowo schroniłam się za zasłoną niepewności. Było dla mnie jednak jasne, że James przyjechał do Troi uratować mnie przed Fundacją Agrab; ostatni esemes wysłałam mu z telefonu Nicka. Jego obecność mogła sugerować, że chce, by nasza przyjaźń poszła krok dalej. Po co by sobie zadawał trud wyśledzenia mnie w Turcji, skoro wiedział, że za kilka dni wracam do Oksfordu?

– Powiedz mi – odezwałam się, gdy wszyscy ruszyli w stronę parkingu i mieliśmy szansę zostać kawałek za nimi – skąd wiedziałeś, że dzisiaj tu będziemy?

James zatrzymał się i wziął mnie za rękę.

– Morg – rzekł, patrząc na mnie swoimi hipnotycznymi, niezgłębionymi oczami – dzwoniłem i dzwoniłem...

Jego wylewność mnie rozbroiła.

– Skradziono mi telefon – wyjaśniłam. – Miałam polecieć do domu trzy dni temu, ale... sprawy się skomplikowały. Moi studenci to już mnie chyba nienawidzą...

– Skąd masz tego siniaka? – James z niespodziewaną czułością dotknął palcami mojego guza. Nie miałam pojęcia, że ciągle go widać. – Nic się nie martw, panno Morgan. – Objął mnie w ramionach i uścisnął lekko. –

Przyjechałem i wszystko jest teraz pod kontrolą. Kiedy dostałem twojego esemesa, pomyślałem sobie: „Wiesz co, w życiu nie byłeś w Troi. Może teraz jest dobry moment”.

Obejrzał się na Nicka, który czekał na nas przy furgonetce doktora Özlema, bębniąc palcami po wyblakłej karoserii. – Poza tym mój wujek ma posiadłość nad Morzem Czarnym. Przyjście w sukurs dziewczicy w potrzebie to dobry pretekst, by się przejechać jego samochodami. – James ruchem głowy wskazał wóz na parkingu: zielonego astona martina.

Państwo Özlem mieszkali w niewielkim domu na środku krowiego pastwiska. Im bardziej się rozglądałam po skromnym mieszkaniu, tym

głębszego nabierałam przekonania, że przybytek ten powstał z myślą o bydle, nie o ludziach.

– Nie rozpalę w kominku – oznajmił doktor Özlem w pewnym momencie, podsycając moje podejrzenia – bo moja żona uważa, że gdy ściany się rozgrzewają, za mocno pachnie krowami. Jeśli chodzi o mnie – ze smutkiem wskazał swój nos – nic już nie czuję. Podobno tak się czasami zdarza.

Chociaż pani Özlem nie mówiła po angielsku, rozumiała istotę rozmowy, a ja poczułam ukłucie żalu, gdy zobaczyłam wyraz udręki na jej miłej twarzy.

Szczupłej budowy, ubrana w spłowiałe szarości, krzątała się ze zbolałym wdziękiem starzejącej się baletnicy, a każdy jej krok i gest był poświęcony dobremu samopoczuciu męża. Gdyby pan Telemakhos już wcześniej nie napomknął o chorobie doktora Özlema, troska wypisana na twarzy pani Özlem powiedziałaaby nam o niej wszystko.

– Jaka urocza chatka – powiedział James, który ochoczo przyjął zaproszenie na kolację i teraz ze wszystkich sił starał się za nie zrewanżować gospodarzowi wesołymi uwagami. – Domyślam się, że można to uważać za tradycyjną architekturę turecką?

– Tak – odrzekł doktor Özlem, nalewając wszystkim zimnej wody z trójnożnej mosiężnej karafki. – Architekturę turecką dla krów. To był nasz dom, ten tutaj. – Wskazał fotografię wiszącą w ramce na ścianie. – Sprzedaliśmy go, żeby opłacić adwokatów. Nasz syn studiuje prawo, ale za późno. – Zaczął podawać nam szklanki z wodą gestami tak dostojnymi, jakby były wypełnione najlepszym szampanem. – Teraz żałuję, że nie zostałam lekarzem. Albo hydraulikiem. Hydraulik by się przydał.

Później, przy kolacji podanej na dwóch zestawionych stołach, James uśmiechnął się do wszystkich po kolei i zagaił: – Jak tam poszukiwania Amazonek? Zaskoczony jestem, że tak dużo czasu zajęło wam dotarcie do tego miejsca. Czyż Turcja nie jest uważana za prawdziwą ojczyznę Amazonek? Czyż świątyni Artemidy w Efezie, nieco dalej na południe, nie zbudowały podobno Amazonki? Jeden z siedmiu cudów świata, jeśli się nie mylę? – Zerknął na doktora Özlema, szukając potwierdzenia.

– Niektórzy badacze – nasz gospodarz kiwnął głową, na szczęście nieświadom, że tyle osób przy stole zgrzyta zębami – uważają, że w starożytnym świecie śródziemnomorskim istniało sporo społeczności matriarchalnych, na przykład na wyspie Limnos, ale rozprzestrzeniająca się

zdominowana przez męczyzn kultura grecka spychała te społeczności coraz bardziej na wschód, aż zostały z nich kolonie na wybrzeżu Morza Czarnego. Niewykluczone, że w Efezie również istniało społeczeństwo matriarchalne i wiele legend i nazwisk łączących Amazonki z tym regionem sugeruje, że zachowała się tu kultura matriarchatu.

– Dlatego właśnie, jak sądzę – James uśmiechnął się do mnie, na znak, że wie, iż teraz moja kolej na wypowiedź, ale właśnie zajmuje moje miejsce – tacy herosi jak Herakles uważali za swój obowiązek od czasu do czasu stanąć na czele kampanii wyprzedzającej i ukraść Amazonkom jakąś przepaskę. – Wciąż się uśmiechając, spojrział na Nicka siedzącego po drugiej stronie stołu. – Znasz dwanaście prac Herkulesa? Wiesz, to była jedna z nich: ukraść przepaskę królowej Amazonek. Odniosłeś już jakiś sukces w tym temacie?

Nick spojrział na Jamesa z tajemniczym wyrazem twarzy, jakby myślni był gdzieś daleko. Nagle jednak ruszył z kopyta: – Daleko mi do twojej biegłości w temacie damskiej bielizny.

Gromki śmiech pana Telemakhosa wreszcie rozładował posępny nastrój.

Nawet Rebecca ożywiła się na tyle, by szepnąć mi do ucha: – Błagam, trzymajmy się mitów i nie bierz tego do siebie.

Chociaż nie miałam nastroju do prowadzenia radosnej konwersacji, wiedziałam, że moja przyjaciółka ma rację.

– Pozwólcie, że ja wyjaśnię – powiedziałam do Nicka i Jamesa. – Ponieważ to ja się specjalizuję w modzie Amazonek. Owa przepaska, co może zabrzmieć rozczarowująco, była po prostu wielkim pasem chroniącym brzuch. Taka pochodząca z epoki brązu odmiana kuloodpornych babcinych reform. Mężczyzna używał swojego pasa, by nosić broń, na przykład miecz albo sztylet, podczas gdy kobieta – w każdym razie w literaturze – nosiła pas jako symbol ochrony i dziewictwa. W wypadku królowej Amazonek oczywiście chodziło o jedno i drugie. Kradnąc jej pas, Herakles w pewnym sensie zabrał jej męską moc i kobiecą godność. A w ujęciu mniej filozoficznym: zgwałcił ją i zabrał jej gaz pieprzowy. Też mi bohater.

Pan Telemakhos podał dalej kilka półmisek i misek, po czym odezwał się do Nicka: – Jeśli chcesz, możemy popłynąć dalej wzdłuż wybrzeża i odwiedzić ojczyznę Amazonek na południowym wybrzeżu Morza Czarnego. – Ruchem głowy wskazał doktora Özlema. – Murat zna wszystkie stanowiska

archeologiczne w Karpu Kale i İkittepe...

Rebecca wreszcie znalazła powód, by odzyskać energię.

– Tak, proszę! – zawołała, patrząc na dwóch starszych panów tak, jakby jej zaproponowali miejsce w szalupie ratunkowej. Nagle coś jej przyszło do głowy i nerwowo spojrzała na mnie. – Co ty na to, Dee? Jeszcze kilka dni...

Zanim zdołałam powtórzyć powody, dla których nie chcę przepłynąć już ani mili w nawodnym więzieniu pana Telemakhosa, do rozmowy włączył się James.

– Prawdę mówiąc, na dzisiejszy wieczór zamierzam porwać Dianę na przyjęcie do Stambułu.

Nie tylko ja spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Dziękuję za zaproszenie – odparłam – ale wybieram się na własną pięciodniową imprezę łapania stopa do Wielkiej Brytanii. – Widząc zmieszanie Jamesa, dodałam spiesznie: – Zgubiłam paszport.

– Och, nie bądź niemądra! – krzyknął. – Mój wuj pracuje w konsulacie brytyjskim w Stambule. W ciągu godziny załatwię ci nowy paszport. Będzie gotów po przyjęciu.

– Jakim przyjęciu? – spytała Rebecca w imieniu wszystkich.

James się uśmiechnął, przede wszystkim do mnie.

– Pamiętasz Reznika, kolekcjonera, do którego napisałaś w sprawie *Historii Amazonum*? Urządza jutro party, coś w rodzaju maskarady. Pozwoliłem sobie zarezerwować miejsce na liście gości. Pomyślałem, że byłaby to dla ciebie doskonała okazja, by poznać tego człowieka.

Spojrzałam ponad stołem na Nicka. Twierdził, że Moselane'owie zadawali się z Grigorem Reznikiem i jego genewskimi przemytnikami. Czy to rzeczywiście prawda? Kilka miesięcy temu, gdy wspomniałam Jamesowi o swoim liście do Reznika, ani słowem nie napomknął o znajomości z nim.

Patrząc mi w oczy z nadzwyczajną powagą, Nick dyskretnie pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie rób tego”.

– Reznik! – wypalił pan Telemakhos, niezdolny ani sekundy dłużej powstrzymać odrazy. – Ten ośli syn ma w Stambule wielki dom pełen skradzionych antyków. Nawet się tym chełpi przed cudzoziemcami i gwiazdami, żeby wszyscy mieli go za wielką osobistość. Jak sądzicie, gdzie są w tej chwili dwie skradzione bransolety Murata? He? – Patrzył groźnie na Jamesa, najwyraźniej uważając go za współodpowiedzialnego za kradzież.

– Podobno ma w podziemiu skarbiec – doktor Özlem położył dłoń na piersi, jakby chciał uspokoić serce – pełen złota z Troi, o którego istnieniu nikt nie miał w ogóle pojęcia. Nasz chłopak studiował z synem Reznika, Alexem, i mówi, że ten się wszystkim przechwalał przestępstwami ojca. Jaki ojciec, taki syn. Biedaczysko.

Ale los się na nim zemścił.

– Biedaczysko? – odezwał się Nick, mrużąc oczy. – Nie powiedziałbym.

– Cóż – rzekł James, trochę zdenerwowany moim brakiem entuzjazmu. – Ja jadę na maskaradę, a ty możesz mi towarzyszyć.

– A my wszyscy? – Rebecca wyprostowała się w nagłym przypływie natchnienia, po czym odwróciła się do mnie, krzyżąc: – Fantastyczny pomysł!

James i ja odciągniemy uwagę Reznika, a ty zerkniesz na *Historię Amazonum*.

– Doskonały pomysł – odparłam. – A potem zapłacisz za mnie kaucję, żeby mnie wypuszczono z aresztu?

James wzniósł oczy do nieba.

– Rękopis jest stale wyeksponowany w bibliotece Reznika, każdy może go zobaczyć. Nawet nie jest podłączony do alarmu.

– Skąd o tym wiesz? – spytałam, ale chyba mnie nie usłyszał.

– Oooo! – zagrzemiał pan Telemakhos, smętnie kręcąc głową. – Jakżebym chciał dostać w swoje ręce ten rękopis. Podobno zawiera ważne informacje o losie ostatnich Amazonek.

– Ostatnich? – Spojrzałam na niego zdumiona. Jeśli rzeczywiście wierzył, że Amazonki są wśród nas, jak mógł o którychkolwiek mówić, że były ostatnie?

Pan Telemakhos wzruszył ramionami, aż cały stół się zakołysał.

– Ja tylko powtarzam to, co słyszałem. W tym właśnie rzecz, jeśli chodzi o *Historię Amazonum*. Nigdy się nie dowiemy, dopóki nie zostanie należycie przetłumaczona i opublikowana. – Kiwnął mi głową zza stołu. – Wieczna chwała, moja blondwłosa filolożko, przypadnie temu badaczowi, który wykona to zadanie.

– Czyli temu, który ją wykradnie Reznikowi?

– Wykradnie... pożyczycy... jak zwał, tak zwał. – Pan Telemakhos nie sprawiał wrażenia nadmiernie przejętego prawnym aspektem sprawy. – Jeśli

chodzi o tego człowieka, wszystko jedno.

Czułam na sobie ostrzegawcze spojrzenie Nicka, ale zignorowałam je.

– Najbardziej chciałabym zerknąć...

James skinieniem głowy dał mi znać, że podjęłam mądrą decyzję.

– Rzut oka i paszport. Możesz uznać, że masz to załatwione.

Wyruszyliśmy do Stambułu wczesnym rankiem następnego dnia. Choć James w dość żenujący sposób próbował ograniczyć zaproszenie do mnie, zarówno Rebecca, jak i Nick uparli się, że też pojadą.

– Postradałaś rozum? – spytała Rebecca, gdy zachęcałam ją, by została na jachcie pana Telemakhosa i od razu podjęła swoje czarnomorskie poszukiwania. – Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci samej wziąć udział w tym przyjęciu? Nie. Razem wejdziemy do paszczy lwa. My dwie będziemy ślicznotkami Jamesa, a Nick będzie naszym ochroniarzem. Jest doskonały jako małowówny mięśniak. Prawda, Nick?

W teorii podróż do Stambułu trwała siedem godzin. Dla Rebekki i dla mnie, ściśniętych jak sardynki na tylnej kanapie, podczas gdy James i Nick robili za większe ryby na przedzie, mógł to być równie dobrze wyrok dożywocia. Nieważne, że zgłosiłyśmy się na ochotnika, by siedzieć z tyłu. Fizyczny dyskomfort tracił jednak znaczenie w obliczu lawiny złych przeczuć, która nękała mnie od chwili wyjazdu z Çanakkale, a która dalej odbijała się echem po moich wnętrznościach, gdy zdążaliśmy na północ wzdłuż wybrzeża. Mój impulsywny plan, by towarzyszyć Jamesowi na maskaradzie Reznika, miał sens, dopóki dotyczył tylko naszej dwójki. Ale czy wciąganie w to biednej Rebekki było uczciwe? Jeśli chodzi o Nicka, miałam pewność, że o siebie zadba, ale też się martwiłam. A jeśli Reznik go rozpozna?

– I jaka to będzie tragedia – usłyszałam Nicka, który mówił do Jamesa, trzymając espadryla na drewnianej desce rozdzielczej – gdy wszyscy ci mali uczniowie, którzy tak uwielbiają chodzić do muzeów, będą musieli wrócić do czytania książek, żeby poznać starożytne cywilizacje. Wyobraź sobie świat, w którym wszystkie artefakty ze starożytnego Egiptu znajdują się w Egipcie, a wszystkie ze starożytnej Grecji wracają do Grecji. Musielibyśmy podróżować, żeby je zobaczyć?! Nie moglibyśmy już ich kraść?

– Ale jeśli pójść tą drogą – odparł James słowami, które na pewno on i cała jego rodzina wygłaszała już niejednokrotnie – to gdzie się zatrzymać? Kiedy

muzea opustoszeją? Wyciąganie nici z gobelinu cywilizacji jest niebezpieczne. Wszystko może się rozpaść.

– Wiesz, mnóstwo ludzi ma nad kanapą nenufary Moneta. Ale mogę cię zapewnić, że ani jedna z tych osób nie cierpi z tego powodu, że nie posiada oryginału. Dlaczegoż to, można by spytać? Ponieważ pomijając socjalistów i rabusiów, normalni rozsądni ludzie nie uważają, że mają prawo do rzeczy, które do nich nie należą. – Zmienił pozycję, wyraźnie pragnąc zwiększyć odległość pomiędzy sobą a Jamesem. – A swoją drogą, wcale nie chcemy pruć tego wielkiego gobelinu cywilizacji, chcemy tylko skorygować deseń.

James pokręcił głową.

– Powodzenia. Gdyby wszystko było takie proste. Każdego, kto spróbuje określić, który kraj ma prawo do poszczególnych artefaktów, czeka twardy orzech do zgryzienia.

– Powiedz to Narodowemu Muzeum Danii – odparł Nick, opierając się o szybę. – Oni już zwrócili trzydzieści pięć tysięcy inuickich artefaktów Grenlandii. Sądzę, że uważają to za środek zapobiegawczy przeciw bólowi zębów.

– Duńczycy. Jak zwykle Duńczycy. – James ledwie zerknął przez ramię, zanim wjechał na zatłoczony pas ruchu. – Historia istnieje tylko w książkach, nigdzie indziej. W książkach, które piszemy my. Pomyśl tylko. Większość artefaktów miała po drodze wielu właścicieli – komu należy je zwrócić? Czy dany posąg miałby wrócić do Grecji, skąd pochodził pierwotnie, czy do Rzymu, dokąd go sprzedał agent artysty, czy do Francji, bo tam rzymski nabywca udał się jako prokonsul, czy do Hiszpanii, gdzie po jego śmierci przeprowadzili się spadkobiercy? – Rzucił Nickowi zdumiewająco współczujące spojrzenie. – W swoim pędzie do sprawiedliwości najpewniej otworzysz całą nową puszkę Pandory niesprawiedliwości.

Gdy tak siedziałam z tyłu z Rebeccą, znowu zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Nick postanowił jechać z nami do Sztambułu. O ile Jamesem mogła powodować romantyczna chęć zostania moim rycerzem, to wątpiałam, że motywy Nicka są równie szlachetne. Chodziło o coś jeszcze – prawdopodobnie coś bardziej złożonego niż skarb.

„Zastanawiałem się, kiedy do nas dołączysz” – powiedział w Troi na widok Jamesa. Czy te słowa stanowiły klucz do zagadki mojego udziału w tym wszystkim? Czy moim prawdziwym zadaniem było wyciągnięcie

Moselane'ów z ich mrocznego kąta na światło dzienne? Jeśli o to chodziło, nic dziwnego, że Nick wciąż nazywał Jamesa moim chłopakiem. Może takiego właśnie słowa użyła Fundacja Aqrab w notatce o Dianie Morgan.

A jeśli jednak nie chodziło o Moselane'ów, to... znajdowałam się dokładnie w punkcie wyjścia – próbowałam zrozumieć, dlaczego Nick poddaje się torturze spędzenia całego dnia w astone martinie, bo chyba nie z potrzeby odegrania roli ochroniarza Jamesa na imprezie Reznika.

Ilekcroć zamykałam oczy, widziałam kolejne sprzeczności, urozmaicone obrazami babci, która patrzy na mnie przez ziarnistą szybę autobusu, mówiąc coś, czego już nie mogłam usłyszeć, nim kierowca zamknął drzwi pomiędzy naszymi światami i zabrał ją w nieznane.

James wjechał aż do historycznego centrum Stambułu i zaparkował przed kompleksem łaźni publicznych o nazwie Cağaloğlu Hamamı.

– Nie wiem jak wy – powiedział, patrząc w lusterku wstecznym na Rebeccę i na mnie – ale ja zamierzam skorzystać z hammamu, łaźni tureckiej.

Gdy staliśmy na chodniku, zastanawiając się, w czym pójść na przyjęcie Reznika i gdzie to kupić, Nick zarzucił swój worek podróżny na ramię i rzekł: – No, ja dziękuję za podwiezienie. Trzymaj – rzucił mi mały ciasny zwitek banknotów – pomyślałem, że swój napiwek może być chciała w lirach tureckich.

Miłej zabawy.

– Ale... zaczekaj! – Ruszyłam w jego stronę, niemal się potykając o krawężnik. – Nie idziesz z nami?

Nick zerknął na zegarek.

– Nie jestem pewien, czy dam radę.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że od pewnej chwili przebywałam w stanie jakiejś nieważkości. A teraz grawitacja powróciła mściwie.

– A więc to już?

Uraczył mnie bezgranicznie niedbałym uśmiechem i ucisnął mi dłoń z zawodową powściągliwością.

– Powodzenia w przyszłej pracy. I pamiętaj – ruchem głowy wskazał moją bransoletę – pilnuj, żeby Reznik jej nie zobaczył.

James się roześmiał, najwyraźniej czując ulgę z takiego rozwoju sytuacji.

– Myślałem, że jesteś moim ochroniarzem! Czy to oznacza, że nie

zasłonisz mnie własną piersią?

Nick cofnął się o krok, potem o jeszcze jeden.

– Już to zrobiłem.

Pomimo swojego dyskretnego, a wręcz skromnego wejścia od ulicy łaźnia turecka okazała się miejscem wyjątkowo magicznym. Umieszczony na końcu długiego korytarza, w głębinach kompleksu nowoczesnych budynków, wspaniały stary hammam przypominał kryształ osadzony w skale – jaskinia ponadczasowego piękna doskonale strzeżona przed światem zewnętrznym.

Dopiero gdy się rozłożyliśmy na marmurowym podeście w damskiej saunie, same, niemal nagie, Rebecca w końcu mruknęła, ociężała od gorąca: – O co mu chodziło z tym zasłanianiem własną piersią?

– Nie mam pojęcia. – Spojrzałam na kopułę nad nami, w której okrągłe otwory tworzyły hipnotyzującą eksplozję dziennego światła. – Przyjdź, nocy pośrodku dnia... czy dniu pośrodku nocy?¹⁶

– I o to chodzi – powiedziała Rebecca. Wyglądała zdumiewająco swobodnie na wilgotnym marmurze, ramieniem przesłaniając oczy. – Martwiłam się o ciebie, wiesz? Byłam pewna, że Nick zostanie czwartym jeźdźcem.

– Cóż, możesz się już nie martwić. – Usiadłam gwałtownie, nie mając nastroju do dyskusji na ten temat. – Jak widziałas, oddalił się galopem, w ogóle się na mnie nie oglądając. – Zanim Rebecca się znowu odezwała, podeszłam do jednej z marmurowych umywalek na ścianie i za pomocą miedzianego czerpaka polałam się zimną wodą.

Bez skutku. Zamiast uciszyć łomot w mojej głowie, zimna fala tylko zmyła pospiesznie przywdziany płaszcz pozorów. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, ale nie z powodu szoku termicznego, tylko przez wyraźny obraz Nicka wolnym krokiem oddalającego się od Cağaloğlu Hamamı, by zniknąć z mojego życia.

Gdyby pan Telemakhos był tu z nami – a nietrudno było sobie wyobrazić, jak zażywa kąpieli na marmurowym postumencie, przesłoniwszy homerową przepaską swój wydatny brzuch, i jak zajada winogrona prosto z kiści – niewątpliwie poinformowałby mnie, że Nick pojawi się wcześniej czy później, tak jak się pojawiają zagubione torebki. Ale że na razie wyglądało na to, że co do torebek się mylił, raczej się obawiałam, że co do Nicka też by nie

miał racji.

Jakoś nie sądziłam, że mężczyzna, który przed godziną uścisnął mi dłoń i odszedł, swobodnie sprawdzając wiadomości w komórce, pojawi się na przyjęciu u Reznika czy gdziekolwiek indziej. Spędziwszy cały dzień z trójką Brytyjczyków, nieustannie gromiony swobodnym dowcipem Jamesa, Nick wyglądał jak ktoś, kto jest gotów przepłynąć Hellespont, byle się nas pozbyć.

Oczywiście będę mogła do niego dotrzeć przez Fundację Aqrab. Nie chodziło o to, że zniknął bez śladu. Wystarczyło zadzwonić do Dubaju. Ale co powiem? Dlaczego to było takie straszliwie ważne, żebym się skontaktowała z Nicholasem Barránem?

Westchnęłam i ponownie napełniłam czerpak. Gdy się nachyliłam, bransoleta babci drapnęła o marmurową umywalkę, a ja poczułam irracjonalny gniew na ten kawałek brązu, że nie chce mnie zostawić w spokoju, nawet tu. To było oczywiście absurdalne, ale niemal poczułam, że szakał nie jest bez winy, jeśli chodzi o odstraszenie Nicka... jakby wyczuł, że ten przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nieustannie dystansuje Jamesa w sekretnym wyścigu do mojego serca.

Trzeba było pomysłowego właściciela sklepu w centrum handlowym Kanyon, żeby w końcu założyć kaganiec pieskowi. Aby zakryć moją bransoletę, a nie zrobić tego kosztem wymaganej elegancji, sprzedawczyni nalegała, bym włożyła przymarszczone satynowe rękawiczki i suknię do ziemi bez ramion.

I żebyśmy miały absolutną pewność, że nikt nie dopatrzy się w tym czegoś więcej niż ekstrawagancji, Rebecca musiała się ubrać tak samo. I w podobne buty, oczywiście.

– Babci by się to nie podobało. – To była jedyna myśl, jaką przyszło mi zwerbalizować, gdy stałyśmy obok siebie przed złoconym lustrem w sklepie: Rebecca w zieleni, stosownie do rudych włosów, a ja w niebieskim, pod kolor oczu.

– Muszę zaoponować – odparła. Bardzo poprawił się jej humor, gdy w czasie jazdy taksówką do centrum podzieliłam się z nią swoimi dziesięcioma tysiącami dolarów łącznie z napiwkami. – Twoja babcia zawsze powtarzała, że największa siła kobiety to umiejętność wmówienia wrogowi, że jest słaba i naiwna, prawda?

Rozmowę przerwało nam pikanie. To telefon Rebekki oznajmił jej

nadejście esemesa.

– Nie wiem czemu – powiedziała, wpatrując się w ekran ze ściągniętymi brwiami, nim podała mi telefon – ale podejrzewam, że to do ciebie.

Nie rozpoznałam numeru, ale od razu wiedziałam, że nadawcą esemesa jest Nick. „Twój laptop jest w Stambule – przeczytałam. – Trzymaj się z daleka od GR”.

– Wygląda na to, że rzeczywiście Reznik ukradł mój komputer – powiedziałam do Rebekki, siląc się na lekki ton. – Jak sądzisz, powinniśmy się teraz wycofać?

– W życiu! – Rebecca wpatrywała się bojowo w nasze odbicia, podparwszy się pod boki. – Nie o to chodzi, że zamierzamy go odebrać. Reznik nawet nie będzie wiedział, że to ty.

Przyglądałam się swojemu odbiciu. Rebecca zapewne miała rację.

Reznikowi nie przyjdzie do głowy, że przyszedłam do niego z własnej woli, kierowana wyłącznie skromną nadzieją zobaczenia *Historii Amazonum* na własne oczy i może, gdyby okoliczności sprzyjały, szybkiego jej przejrzenia...

„Za późno – odpisałam Nickowi. – Ale dzięki”.

Później, jedząc na stojąco kebab w części restauracyjnej, wyjęłam kartkę, którą pan Telemakhos wsunął mi do ręki na pożegnanie. „Masz – wyszeptał z nietypową dyskrecją. – Tam jest jeszcze jedna bransoleta z szakalem.

Pomyślałem, że cię to zainteresuje”.

Na kartce widniała notatka: „Museum und Park Kalkriese. Dr Jäger”.

– Niemcy? – spytałam, nie do końca wiedząc, czego ode mnie oczekuje.

Pan Telemakhos kiwnął głową.

– To w pobliżu Osnabrück. Ta kobieta, doktor Jäger, wie o wiele więcej, niż przyznaje. Może zna odpowiedzi, których szukasz.

– Co to takiego? – Rebecca wskazała swoim kebabem karteczkę. – List miłosny?

– W pewnym sensie. – Pokazałam jej treść. – Wyrocznia chce, żebym odwalila za niego kawał czarnej roboty. Podobno sam robi za persona non grata w świecie niemieckich muzealników i jeśli tam kiedykolwiek się udam, mam nie wspominać jego nazwiska.

– Naprawdę? – Rebecca wyglądała na dziwnie urażoną, a ja zdałam sobie sprawę, że martwi ją, że pan Telemakhos tak mi zaufał, a jej nic nie powiedział.

– Nie martw się. – Z braku torebki wsadziłam karteczkę do swojej nowej niebieskiej satynowej kopertówki. – Nie wybieram się do Niemiec.

– Nie. – Rebecca zajęła się ociekającym kebabem. – Wybierasz się na romantyczny weekend z Jamesem. Nareszcie!

Skrzywiłam się.

– Zdecydowanie nie. Gdy tylko dostanę paszport, znikam stąd.

Rebecca przyjrzała mi się uważnie, ale na szczęście nie ujęła w słowa swojego rozdrażnienia. Od lat gnębiłam ją swoimi refleksjami na temat Jamesa.

A teraz, gdy był w zasięgu ręki, już go nie chciałam.

Chociaż James nadal był sobą, nie był już mężczyzną, którego znałam w Oksfordzie. Z roli zaprzyjaźnionego dżentelmena nagle przeskoczył na pozycję nieoficjalnego narzeczonego, całkowicie omijając tradycyjne fazy pośrednie.

Zupełnie jakby sobie wyobrażał, że w ogóle nie musi mnie pytać o moje uczucia...

jakby tak był pewien moich uczuć, że zabiegi o nie uznałby za niepotrzebne. Tak więc traktował mnie, jakby wszystko było załatwione. Każde spojrzenie, które na mnie kierował, każde wypowiedziane do mnie słowo zdradzało poczucie własności. I wszystko wydawało się dziwnie puste.

Grigor Reznik mieszkał w pretensjonalnym nowoczesnym szkaradzieństwie w ekskluzywnej dzielnicy Ulus. Weszliśmy na teren posiadłości przez wysoką bramę gęsto obsadzoną ochroniarzami. Gdy zdążaliśmy w stronę domu ogrodową ścieżką oświetloną pochodniami, mieliśmy imponujący widok na ciemny Bosfor w dole, oświetlone mosty i na krzyżujące się linie latarni na wschodnim brzegu.

– Wydawało mi się, że on ma być zakochany we wszystkim, co antyczne – szepnęła Rebecca. Na twarzy miała niebiesko-zielony malunek pawich piór, który kontrastował z kanciastą, ascetyczną bryłą domu wznoszącego się przed nami.

Światło wylewało się na nas z trzech pięter panoramicznych okien, ale miało zimną, fluorescencyjną barwę – bardziej ostrzegawczą niż powitalną.

– Najwyraźniej – odezwał się James, strzepując pawi brokat z rękawów kostiumu Alladyna – Reznik uważa, że architektura minimalistyczna stanowi optymalną oprawę dla sztuki. I dla tortur. Widziałyście samurajów?

– Ruchem głowy wskazał surowych mężczyzn w japońskich kostiumach stojących po obu stronach drzwi i sprawdzających zaproszenia. – W dawnych czasach Reznik miał własną tajną policję i ci panowie, wówczas wysocy rangą oficerowie, poszli wraz z nim na emeryturę, że tak powiem.

– Przypomnij mi, dlaczego my odwiedzamy tego typu? – szepnęła Rebecca, dygocząc w satynowym szalu.

Właśnie wtedy gdy James podprowadzał nas do schodów wejściowych tego domu, wreszcie dotarło do mnie, że nie przyjechał do Turcji, by być moim rycerzem. Przyjechał z powodu Nicka. Podobnie jak w wypadku mitu o Helenie Trojańskiej, mit o obezwładniającej Dianie Morgan był zwykłą dogodną przykrywką przesłaniającą prozaiczne fakty. Fundacja Aqrab wypowiedziała wojnę Moselane'om, upominając się o ich kolekcję antyków, a teraz, na to wyglądało, upominali się również o istoty ludzkie. To wszystko było karygodnie proste: jakiegokolwiek James rzeczywiście żywił wobec mnie uczucia, był zbyt dumny, by pozwolić Nickowi wynieść choćby jedną z przewidywanych zdobyczy bez walki.

ROZDZIAŁ 29

TROJA

Rolnicy uprawiali swoje pola, pieląc je i nawadniając, gdy Myrina i jej niewielka świta wreszcie się wyłoniły z puszczy. Nagle znalazły się na skraju Równiny Skamandryckiej na południowy zachód od Troi, a przed nimi rozpościerał się oszałamiający widok na dolinę rzeki i dalej na gród, do którego wędrowały z tak daleka.

Promieniejąc w popołudniowym słońcu, miasto wznosiło się ponad równiną z wdziękiem okazałej korony zostawionej na łące przez zapominalskiego króla.

Chociaż obwarowane ogromnymi murami i wieżami – a może właśnie dlatego – miało w sobie coś śmiałego i nieustraszonego, jakby jego mieszkańcy byli tak pewni swego bezpieczeństwa, że ledwie w ogóle przystawali, by odłożyć narzędzia i spojrzeć ponad deltą rzeki na morze w oddali.

– No – powiedziała Animone, która należała do piątki wybranej przez Myrinę na towarzyszkę podróży – to teraz znajdziemy mężczyznę, którego tu nie ma, i zawróćmy.

Dopiero tego ranka, po tygodniu jazdy na północ z Efezu, Myrina powiedziała towarzyszkom podróży o pożegnalnych słowach Parysa i o mężczyźnie, który miał stać na posterunku na wzniesieniu o nazwie Batieia.

– Jeśli nikogo tam nie będzie – wyjaśniła, wreszcie ubierając w słowa swoje największe lęki – będzie to oznaczało, że Parys już na mnie nie czeka, a w takim wypadku wracamy do domu. To mnie nie zdziwi. W końcu minął już miesiąc.

– Czymże jest miesiąc – odezwała się Kara, która z sobie tylko znanych powodów ubłagała, by włączyć ją do wyprawy – dla dwójki ludzi sobie

przeznaczonych? – Mówiła te słowa szczerze, a jednak Myrina mimowolnie zastanawiała się, nie pierwszy raz zresztą, czy rzeczywiście jej dawna rywalka teraz jest jej przyjaciółką. Ciągle łudząc się, że jest w ciąży, Kara postanowiła trochę dłużej pozostać w swoim wyobrażonym świecie. I może w tamtym świecie Myrina była jedyną osobą, która ją rozumiała. W każdym razie tak właśnie Kara jej powtarzała, gdy Myrina próbowała jej odradzić dołączenie do wyprawy.

Poza Animone i Karą oczywiście wzięła w niej udział Lilli, wciąż niechętnie dzieląca siodło z Myriną. Za nimi jechały Kyme i Hippolita, które najwyraźniej uważały się za dyplomatki o znacznej pozycji – Kyme z powodu swego wieku i znajomości pisma, a Hippolita dzięki temu, że jako jedyna w całej grupie znała język Trojan.

– Zostawcie to mnie – powiedziała w trakcie planowania podróży. – Umieję rozmawiać z miejscowymi i znam drogę... aż do królewskiej sali tronowej. – Roześmiała się, gdy wszystkie spojrzały na nią ze zdumionym podziwem. – Często towarzyszyłam Otrere. Królowa jest jej siostrą, jak wiecie, i kiedyś była jedną z nas. Ale potem trafiła ją zatruta strzała zanurzona w miodzie – Hippolita żartem chwyciła się za serce – i choć była łanią biegającą swobodnie przez pola, złamała śluby, by zostać krową uwiązaną w zagrodzie.

Ale poza drwinami Hippolity i kilkoma gorzkimi uwagami ze strony pozostałych wiadomość o odejściu Myriny wzbudziła niewiele sensacji. Oprócz Otrere tylko Lilli wiedziała, jaką udrękę i rozterkę Myrina znosiła przed podjęciem ostatecznej decyzji. Choćby Myrina nie wiadomo jak głęboko chowała się przed pozostałymi, by pomyśleć w spokoju, Lilli zawsze ją znajdowała. Czy była na stryszku w stodole, czy w magazynie ziarna, czy w domowej kapliczce, Myrina mogła być pewna, że wcześniej czy później poczuje delikatne dłonie siostry na swoich ramionach i po chwili jej serdeczny uścisk.

Co prawda niewiele rozmawiały o rozterce Myriny. Lilli najwyraźniej rozumiała, co czuje jej siostra, i wiedziała, że słowa tylko skomplikują sytuację, która sama w sobie była stosunkowo prosta. Myrina miała do wyboru dwie drogi: jedna oznaczała chwilową ulgę i żal do końca życia, druga – chwilowy ból, po którym nastąpi wielkie szczęście. Często milczenie Lilli zdradziło Myrinie, że dziewczynka już wie, który wybór jest słuszny.

Gdy wreszcie oznajmiła swoją decyzję o opuszczeniu Efezu, Otrere sprawiała wrażenie dziwnie nieporuszonej wieściami.

– Im mniej mówimy o tym na ziemi, tym mniej dotrze do uszu w niebie – powiedziała kapłanka z powagą, odstawiając kosz. – Ale musimy zdjąć ci bransoletę. Pokaż mi ją...

I tak bransoleta Myriny została bez ceremonii zdjęta w ogrodzie warzywnym.

– Ponieważ dzisiaj mamy bezksiężycową noc – podjęła Otrere, ciągnąc obręcz tak mocno, że niemal złamała Myrinie nadgarstek – Bogini może w ogóle nie zauważy, co się stało. Trzymaj – podała bransoletę Myrinie, dumna, że nagięła ją do swojej woli – możesz z nią zrobić, co zechcesz, o ile zrobisz to dyskretnie.

Ale Myrina nie zdobyła się na wyrzucenie uciążliwej ozdoby, ani też nie ośmieliła się jej zatrzymać, ze strachu, że to się na niej jeszcze zemści. Ostatecznie dała ją Helenie, Greczynce, by osłodzić jej rozstanie.

– Chcę, żeby była twoja – powiedziała, wsuwając szakala na dziewczęcy nadgarstek – bo jesteś najbardziej wartościową wojowniczką, jaką Bogini kiedykolwiek miała. I może skoro zyska ciebie, nie będzie długo rozmyślała nad utraceniem mnie.

Dziewczynka dotknęła lśniącego brązu pełnymi czci palcami.

– Jakże często nienawidzę siebie za to, co mówię – szepnęła. – Ze wszystkich tutaj ty jedna się ode mnie nigdy nie odwróciłaś. Od tamtej nocy, gdy zgodziłaś się, bym poszła z wami, niezmiennie pozostajesz moją siostrą. Modlę się, bym pewnego dnia mogła ci się za to odwdziżyć.

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu, pełen smutnych uścisków i spóźnionych podziękowań. Myrina obiecała solennie, że będzie często odwiedzać siostry, ale nic nie zmieniało faktu, że je porzucała. Ona, która zaryzykowała wszystko, by je na powrót połączyć, odchodziła podjąć nowe, zakazane wyzwania, i opuszczała je.

Pomimo łez i błogosławieństw Myrina widziała w oczach sióstr wyrzut.

Niewielkie wzniesienie zwane Batieia widać było z daleka na płaskowyżu Równiny Skamandryckiej, jakby umieszczone przez gigantycznego kreta. Jadąc ku niemu na czele grupy, Myrina przyglądała mu się spod zmrużonych powiek, bardzo chcąc jako pierwsza ogłosić, że mężczyzny nie ma.

Ale był.

Siedział po turecku, z włócznią na kolanach, i najpierw się wyprostował, a potem wstał z wyczekiwaniem. A gdy podniósł ramię, by pomachać na powitanie, Myrina zobaczyła, że to wysoki Eneasze, najbardziej zaufany towarzysz Parysa.

Oszołomiona z ulgi, zeskoczyła z wierzchowca i popędziła ku niemu... ale zatrzymała się z zakłopotaniem u stóp wzgórza.

– Twój pan jeszcze na mnie czeka? – spytała, mrużąc oczy pod słońce – czy jesteś tu, by mi powiedzieć, że mam wracać do siebie?

Eneasze pokręcił głową i schylił się po swój worek podróży.

– Gdybym mu powiedział, że byłeś tu, ale zawróciłeś przeze mnie, to wzgórze trzeba by jeszcze raz przechrzcić, tym razem dając mu nazwę na pamiątkę moich szczątków.

Zszedł ze wzniesienia po drugiej stronie, i zaraz pojawił się na koniu.

– Chodź – rzekł, ruszając w górę rzeki i z dala od miasta – pójdziemy do mojego domu na wzgórzach. Tam się z tobą spotka.

Spojrzenie, które wymieniła Kyme z Hippolitą, nie uszło uwagi Myriny. Ani grymas zawodu na twarzy Animone. Wiedziała, że wszystkie miały nadzieję na godne powitanie na dworze królewskim, takie, do którego były przyzwyczajone córki Otrere. Przemycenie do chatki wśród pól żałośnie daleko odbiegało od ich oczekiwań.

Rustykalny urok celu ich podróży niewiele złagodził posmak hańby. Dom Eneasza, stojący na gęsto zalesionym zboczu, okazał się niewiele więcej niż kilkoma skromnymi drewnianymi chatkami... z których najbardziej imponująca była stajnia.

– To mój syn – powiedział Eneasze o chłopcu, który wybiegł ich przywitać i pomóc przy koniach. – A tam – wskazał najmniejszą chatkę po drugiej stronie błotnistej podwórka – zatrzymuje się zawsze mój pan.

Dopiero wtedy, gdy popatrzył po kobietach, Eneasze chyba zrozumiał ich obawy.

– Wiem – podjął z miną zdradzającą urazę – że mieszkamy nieco na uboczu, ale dlatego właśnie mój pan lubi tu przyjeżdżać. Zawsze powtarza – obejrzał się na Myrinę, wyraźnie mając nadzieję na jej aprobatę – że to jego prawdziwy dom.

Nieco łagodniej podchodząc do pomysłu spędzenia nocy pośród odludnych wzgórz, kobiety podążyły za Eneaszem do jego chaty i tam

spotkała je nagroda w postaci smakowitej woni gulaszu.

– To moja żona Kreuza. – Eneasześ uśmiał się do młodej kobiety zajmującej się miedzianym kociołkiem przy palenisku. – Nie mówi waszym językiem, ale rozumie wszystko i wie, co robić. Zostawię was z nią i wrócę za jakiś czas.

Zamienił kilka słów z żoną, pocałował ją i wyszedł z chaty. Po kilku chwilach Myrina usłyszała galop konia oddalającego się leśnym traktem i poczuła dreszcz emocji na myśl, że Eneasześ wyruszył do Troi, by powiadomić Parysa o jej przybyciu.

Najpilniejszą troską ich gospodyni była strawa. Oddaliła się na chwilę na drugą stronę podwórka – najwyraźniej do spiżarni – i przyniosła gościom ser, chleb i wino. Wkrótce młoda żona Eneasza usadziła wszystkie kobiety przy stole z jedzeniem i napojem, podczas gdy sama jeszcze raz zniknęła po drugiej stronie podwórka.

– Ten gulasz nie jest zły – przyznała Animone, gdy tylko zostały same – ale też dzisiaj wszystko by mi smakowało.

– Dajcie mi jeszcze miłe gniazdo – dodała Kyme, ziewając nad winem – a ta stara kwoka już ani słowa skargi z siebie nie wydusi.

Jadły chwilę w ciszy. Nawet Lilli była bardziej milcząca niż zwykle i zachowywała się, jakby wiedziała coś, czego nie miała śmiałości ubrać w słowa.

Kreuza wróciła z naręczem wełnianych koców. Widząc, że skończyły jeść, gestem wskazała kobietom drogę do sąsiedniej izby, a tam wielkie łóżko, na którym wszystkie się mogły pomieścić. Ale gdy Myrina zaczęła zdejmować sandały, Kreuza poklepała ją gorliwe w ramię, najwyraźniej każąc jej przestać.

– Co się dzieje? – spytała Lilli, która już zdążyła się umościć na środku łóżka.

– Nie jestem pewna – odparła Myrina. – Chyba chce, bym jej w czymś pomogła.

– No cóż. – Kyme znowu ziewnęła, rozwiązując pas i opuszczając go na ziemię. – Cokolwiek to jest, na pewno sobie poradzisz.

Myrina sądziła, że Kreuza chce pomocy przy kotle, zdziwiła się więc, że ta znowu kieruje się na dwór, i kiwa na nią, by też tam podążyła. Wyszędłszy na podwórko, Myrina stwierdziła, że letnie słońce już dawno się schowało w

morzu, a w powietrzu czuć świeżą rzeźkość, która przypomina, że noc dopiero się zaczęła.

Uśmiechając się zachęcająco, Kreuza odprowadziła Myrinę do chaty, którą Eneasza wcześniej wskazał jako należącą do Parysa, i szeroko otworzyła drzwi, by ją wpuścić. Trochę przemarznięta od nieoczekiwanego chłodu górskiego powietrza Myrina weszła do niewielkiej kuchni, a tam na palenisku zastała przyjemny ogień.

Pomieszczenie nie było ani trochę wystawne – znajdowała się w nim w zasadzie tylko mata do siedzenia – ale przed paleniskiem stała wielka balia, o dziwo wypełniona wodą.

Podszedłszy do niej z ciekawością, Myrina pochyliła się i zobaczyła swoje migoczące odbicie pośród płatków kwiatów unoszących się na powierzchni.

Niczego innego w wodzie nie dostrzegła. Dopiero gdy podniosła wzrok i ujrzała zachęcające gesty Kreuzy, zrozumiała, że to ona ma wejść do wody – niezasłużony zaszczyt dla kogoś, kto nie był ani Najwyższą Kapłanką, ani już nawet świętą kobietą.

Kręcąc w odmowie głową, cofnęła się... ale Kreuza ją zatrzymała.

Najwyraźniej przyzwyczajona do opornych stworzeń, kobieta rozebrała Myrinę własnoręcznie, zwinnie rozwiązując to i owo, aż nic już nie zostało do zdjęcia.

Dopiero wtedy, ponaglona skromnością, Myrina włożyła stopę do wody... okazała się tak mile ciepła, że już bez wahania weszła do balii i usiadła.

Wówczas woda wokół nieco się podniosła i Myrina z ulgą stwierdziła, że jest niemal całkiem zasłonięta, a kwiatowe płatki łagodnie muskają jej ramiona. Oparła się plecami o drewnianą ścianę i nie mogła się nadziwić istnieniu tak wspaniałego urządzenia, a gdy Kreuza odkładała jej ubrania na bok – krzywiąc się przy tym – Myrina macała balię, od wewnątrz i od zewnątrz, próbując rozgryźć jej tajemnice.

Ale Kreuza z uśmiechem chwyciła jej rękę i wsadziła je z powrotem do wody. Potem na migi kazała Myrinie odchylić głowę do tyłu, wzięła mosiężny czerpak i zaczęła polewać wodą włosy, aż stały się zupełnie mokre. Wtedy nadeszła kolej na mydło – lepka, słodko pachnąca substancję, która Myrinie nie kojarzyła się z niczym znanym.

Wciąż siedząc, zamknęła oczy przed mydlinami i poczuła się zakłopotana, że kąpiel sprawia jej tyle przyjemności: ciepła woda, bezgłośny

spokój pomieszczenia i delikatne palce powoli masujące jej głowę i szyję. Może to dlatego, że Kreuza była obca... a może to dlatego, że na straży myśli i uczuć Myriny nie stał już szakał... Jeśli o to chodziło, to jej się ta zmiana podobała. Bo czyż nie po to właśnie opuściła Efez i przybyła do Troi? Czyż ostatniego miesiąca nie przeżyła w stanie szalejącej niepewności, czując, że jest jeszcze tyle szczęścia do znalezienia w życiu, tyle przyjemności?

Gdy kąpiel dobiegła końca, a Myrina zawinęła się w miękki koc, poczuła się tak wyczerpana, że ledwie zdołała ustać. Przykładając jej rękę do pleców, Kreuza podprowadziła ją do widocznego w głębi, przesłoniętego kotarą wejścia do pomieszczenia obok – zadziwiająco dużego, ale i pustego: Myrina ujrzała tu tylko palenisko załadowane płonącymi z trzaskiem polanami i niskie łóże zarzucone skórą.

Wskazując to właśnie łóże, Kreuza dała Myrinie do zrozumienia, że tu będzie spała tej nocy – z dala od innych, z dala od Lilli. I gdy tylko Myrina wsunęła się pod skóry, kobieta cofnęła się do kuchni i po chwili wróciła z czarą gorącego naparu z ziół.

Widząc, jak Myrina kosztuje napoju i kiwa z aprobatą głową, Kreuza pochyliła się odruchowo i pocałowała ją w wilgotne włosy, po czym umknęła z pokoju ze spuszczonego wzrokiem.

Niedługo później Myrina usłyszała, jak Kreuza wychodzi z chaty i delikatnie zamyka drzwi. Rozdarta pomiędzy troską o towarzyszkę a powinnością wobec Kreuzy, która najwyraźniej chciała, by tu została, Myrina postanowiła być cierpliwa i wypić napar, a potem wymknąć się, by sprawdzić, jak się miewa Lilli.

Nim jednak dopiła czarę – która zawierała dziwną mieszankę mięty i czegoś jeszcze – poczuła się tak odprężona, że perspektywa włożenia ubrań zrzuconych gdzieś w kuchni na ziemię wydała się jej mało kusząca. Westchnęła głęboko, położyła się na łóżku, by odpocząć chwilę...

I obudził ją plusk wody.

Siadając, nie miała pojęcia, jak długo spała. Włosy prawie jej wyschły, a z ognia już dawno pozostała tylko kupka dymiących węgli.

Wyszła z łóża i podkradła się do zasłony, by zajrzeć do kuchni. Spodziewała się ujrzeć Kreuzę, niestrudzoną Kreuzę opróżniającą balię. Ale widok, który ukazał się jej oczom, zaparł jej dech. Bo był to Parys, zupełnie nagi, stojący w wodzie po kąpieli. Wycierał włosy, a od jego wilgotnej skóry

odbijał się blask rozżarzonych węgla z kuchennego paleniska.

Myrina nie wiedziała, co robić, więc stała jak wryta, zawinięta w koce.

A gdy Parys wreszcie odsunął zasłonę i wszedł do sypialni, ledwie ubrany, tak ją dopadła wstydlwość, że się odwróciła. Ale wtedy... tak chciała go oglądać, że pragnienie to pokonało wstyd i podniosła wzrok. I spojrzała mu w oczy.

Jak długo tak stali, gdy między nimi przepływały niewypowiedziane słowa, nie wiedziała. Potem, jakby czekał wcześniej na pozwolenie, Parys podszedł do niej, ujął w dłonie jej głowę i pocałował ją z całą tłumioną dotąd namiętnością, którą wcześniej widziała w jego oczach – obsypał pocałunkami pełnymi czułych obietnic i nieugiętych żądań, które galopowały z nią przez pola, bezkresne, kwitnące pola...

Gdy jednak spróbował zdjąć koc z jej ramion, jej dłoń sięgnęła odruchowo i chwyciła go mocno za nadgarstek. Na co Parys się uśmiechnął i wyszeptał:
– Nie walcz ze mną. Nie dziś.

Myrina puściła go powoli.

– To tylko to, czego tak dobrze mnie nauczyłeś.

Pocałował ją w szyję, tuż pod uchem.

– Tak, ale to nie wszystko.

Zamknęła oczy, nie panując nad myślami.

– A czego mnie nauczysz dzisiejszej nocy?

– Lekcji najważniejszej ze wszystkich. – Przyciągnął ją blisko do siebie. – Jak się poddać z wdziękiem.

Krzyknęła zdumiona.

– Znowu jesteś uzbrojony, a ja nie!

Zachichotał, ale jej nie puścił.

– Zwykle w takich właśnie okolicznościach człowiek się poddaje.

– Gdybym była mężczyzną, nigdy byś mi nie kazał się poddać.

– Nie. – Chwycił ją za kark i pocałował znowu, rozkoszując się jej miękkością. – Ale nie jesteś mężczyzną. Jesteś zbyt piękna, zbyt tajemnicza...

Myrina krzyknęła od jego umiejętnego dotyku.

– Chyba nie wiem, jak być kobietą. Nigdy nie próbowałam.

Parys się uśmiechnął.

– Gdybyś się widziała, pomyślałabyś inaczej.

– Pomożesz mi?

Oczy mu pociemniały.

– Czyż Ziemia musi prosić Słońce, by powstało?

Myrina pokręciła głową, pragnąc, by zrozumiał.

– Ziemia to dla mnie nowość. Do tej pory Księżyc rządził moim światem.

– Wiem. – Parys ujął jej dłoń i pocałował nadgarstek, o cień jaśniejszy w miejscu, gdzie kiedyś była szakalowa bransoleta. – Księżyc nie ma mocy nadawania życia. Dlatego właśnie tak nam zazdrości rozkoszy. – Ścisnął jej rękę, a potem się opanował i puścił. – Ale najpierw...

Myrina zdumiona patrzyła, jak znika za zasłoną i wraca po chwili, niosąc pakunek zawinięty w tkaninę. Dorzuciwszy do ognia kilka polan, ukląkł przy palenisku, rozwinął tkaninę, spod której wyłoniły się dwa przedmioty. Jednym była skromna gliniana butelka zapieczętowana woskiem, a drugim złoty kielich wysadzany drogimi kamieniami. Widząc, że Parys dotyka kielicha z rewerencją, Myrina domyśliła się, że nie jest to zwyczajne królewskie naczynie, lecz stworzone do jakiejś magii.

– Trzymaj. – Parys podał jej kielich, zdrapał wosk z butelki i nalał najciemniejszego, najbardziej kleistego płynu, jaki Myrina w życiu widziała.

Następnie rzekł z powagą: – Ty jesteś pucharem, a ja jestem winem. – A gdy Myrina rozchyliła usta, by spytać, dlaczego nie odwrotnie, położył jej palce na wargach z ostrzegawczym spojrzeniem. – Pij.

I wypila, tylko jeden łyk, zostawiając resztę dla Parysa, który opróżnił puchar, krzywiąc się.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiedziałam, że mamy to dokończyć.

– Nie wiedziałaś. – Ukląkł i zawinął wszystko z powrotem w tkaninę. – Bo ci nie powiedziałem. Jestem pewien, że smak tego napoju prześladował wiele oblubienic w ich noc poślubną, jakby mało im było strachów.

Myrina drgnęła.

– To znaczy, że jestem twoją żoną?

Parys wstał powoli, by pocałować ją z szacunkiem. Potem chwycił koc, którym wciąż się otulała, i zdjął go bardzo delikatnie.

– Prawie – wyszeptał, napawając się jej widokiem. Wziął ją na ręce i wszedł prosto do łóżka, mówiąc: – Ale będziesz nią, nim noc dobiegnie końca.

ROZDZIAŁ 30

Myrina obudziła się w izbie zalanej blaskiem słońca. Mrugając powiekami, rozejrzała się, by znaleźć źródło oślepiającej jasności, i zobaczyła, że gdy ona spała, otwarto okiennice. Obok niej leżał Parys i z uśmiechem śledził jej oszołomienie. Na jego widok ciało jej przeszyły rozkosz i radość, i jeszcze cień zakłopotania, gdy wszystkie wspomnienia z minionej nocy uwolniły się jednocześnie, ulatując na drżących skrzydłach.

Zanurkowała z powrotem pod niedźwiedzią skórę, którą się przykrywali, i schowała twarz w zagłębieniu jego szyi. Parys zachichotał.

– Myślałem – rzekł, całując ją w skroń – że pozbyliśmy się już twojej nieśmiałości. – Przesunął dłońmi po jej plecach i przycisnął ją do siebie. – Może spróbujemy znowu jej poszukać? Najwyraźniej jeszcze się gdzieś ukrywa.

Myrina zachichotała, gdy poczuła jego dotyk.

– Nie ulega wątpliwości – wyszeptała mu do ucha – że pozbyłeś się mnóstwa rzeczy, i to raz na zawsze, ale zostaw mi jeszcze chwilę moją skromność, żebym nie stała się sobie zupełnie obca.

– Doskonale – mruknął, kładąc się na niej. – Zatrzymaj sobie wstydlivość, skoro musisz, pod warunkiem że twojemu zachłannemu mężowi przypadnie cała reszta.

Gdy później znowu odpoczywali, Myrina położyła mu dłoń na sercu i powiedziała: – I pomyśleć, że musiałam wędrować tak daleko od wszystkiego, co mi znane... by stwierdzić, że mój dom cały czas był tutaj, czekał na mnie.

Parys odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

– Opowiedz mi o ludziach, których niegdyś znałaś. O rodzicach, rodzinie...

Myrina sięgnęła po koc, by przykryć ich oboje.

– Nie ma ich. Moja siostra Lilli – urwała, by opanować nagły smutek – to jedyna krewna, która mi została.

Parys pocałował ją w czoło, potem położył się na plecach i wpatrzył w sufit.

– Jesteś szczęściarą – powiedział, głosem ciężkim od brzemienia, które tylko on sam rozumiał – nikt na ciebie nie czeka, nie ma wobec ciebie wymagań, nie osądza cię. Jesteś wolna.

Pragnąc odegnać tę niespodziewaną posępność, Myrina przesunęła dłoń pod narzutą.

– Już nie.

– Ależ jesteś. – Złapał ją za rękę, niegotów na igraszki. – Ten dom... ty i ja... to wolność. Oboje zrzuciliśmy swoje więzy, żeby być razem, i chciałbym...

– podniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował ją czule – chciałbym leżeć tak aż do końca świata.

W górskiej chacie zostali przez trzy noce. W ciągu dnia Myrina robiła co w jej mocy, by zabawić siostry, ale pomimo jej gorliwości i śmiesznych uwag było jasne, że ta izolacja budzi w nich wszystkich, nawet w Lilli, coraz większe zniecierpliwienie.

Gdy czwartego dnia przybył Eneas z poleceniem przyprowadzenia księcia Parysa na dwór, nawet Myrina poczuła ulgę, że ich pobyt na wsi dobiega końca.

Podjeżdżała, że wspaniałość królewskiego przyjęcia wpłynie łagodząco na niezadowolenie sióstr i pozwoli jej znowu spędzić długie rozkoszne godziny sam na sam z mężem.

Ale gdy jechali z powrotem wzdłuż brzegu Skamandra, widząc przed sobą mury Troi, Parys był tak milczący, że zaczęła się zastanawiać, czy aby czegoś przed nią nie skrywa – jakiejś straszliwej prawdy, która wkrótce zaburzy jej radosne oczekiwania. Myrina nie miała pojęcia, o co chodzi, przypuszczała jedynie, że król i królowa mogą być niezadowoleni z żony, którą wybrał sobie ich syn. Ilekroć jednak podnosiła temat, Parys ją wyśmiewał i zapewniał, że nikt nie będzie o nic winił jej... sugerując, że jeśli istnieje jakikolwiek problem, to wyłącznie on zawinił.

Ostatecznie Myrina przegnała wszystkie te jałowe spekulacje z głowy i chłonęła urodę okolicy. Równina Skamandrycka już wcześniej, w dniu ich przybycia, zaskoczyła ją swoją obfitością i żyznością. Od tego czasu jej zachwyty tylko przybrał na sile. Bo to był teraz jej dom. Te złote kłosa pszenicy kołyszące się na wietrze, pękate od ziaren, które będzie jadła, i te ogromne

mury, zaprojektowane na całe wieki, będą kolebką jej przyszłości. No i przyszłości Lilli, jeśli zdecyduje się zostać w Troi.

Podjechawszy pod bramę miasta, Myrina zadarła głowę w podziw. Jeszcze nigdy nie widziała murów tak wysokich ani bramy wykonanej z tak wielkich desek.

W mieście Bogini Księżyca żadna konstrukcja nie mogła konkurować z tutejszą architekturą. Nawet potężne fortyfikacje w Mykenach wydawały się w porównaniu z nią żałosne.

Brama stała otworem, umożliwiając ciągły ruch rolników i kupców, przy czym ci ostatni albo zdążali do portu – połyskującego w oddali – albo wracali do miasta wozami załadowanymi towarem. Czuć było, że każdy ma tu do wypełnienia jakieś zadanie. Myrina z rozkoszą zsiadła z konia i spędziła cały dzień obok dziadków na ławkach, poddając się rytmowi płynącego życia.

– Kiedy przybędziemy na miejsce – powiedział Parys, prowadząc ich przez zamęt – możesz dostrzec pewne... poruszenie. Ale zaufaj mi, proszę, i nie martw się. – Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. – Nikt nas nie powstrzyma przed wspólnym życiem i zanim się zorientujesz – pochylił się ku niej i ściszył głos – będziesz biegała wokół łoża tak wielkiego, że wreszcie zyskasz szansę umknąć przed moją satyrową żądzą.

Myriny nie zwiodły jego żarty. Kątem oka widziała, jak napinają się mięśnie jego szczęki i jak pogłębiają zmarszczki na czole. Jego udręki wywoływały w niej ból, a jeszcze bardziej raniło ją to, że nie dzieli się z nią troskami ani nie zdradza ich natury. Ale z kolei... znała go na tyle dobrze, by rozumieć, że tym milczeniem może bardziej niż całą resztą Parys wyraża swą miłość do niej. Cokolwiek trzeba było znieść, on zamierzał wziąć to na siebie. Gdyby podważała jego decyzję i przekonywała, że ją w ten sposób rani, zadałaby mu cios w samo serce.

W przeciwieństwie do bramy miejskiej wejście do trojańskiej cytadeli było zamknięte i strzeżone przez zbrojnych wartowników. Prowadziła do niego wąska i stroma pochylnia, z wysokimi murami po obu stronach. Myrina nigdy nie widziała nic podobnego.

– Jesteśmy skrytymi ludźmi – wyjaśnił Parys. – Tyle obcych okrętów zawija tu w letnich miesiącach... – Przerwał, by zwrócić się po trojańsku do wartowników, a oni natychmiast się ruszyli i uchylili niewielkie okienko w

bramie, by całość otworzyć od środka.

Gdy skrzydło się odchyliło, Myrina zobaczyła tunel zbudowany z ogromnych dopasowanych głazów, które sprawiały wrażenie, jakby ruszyć je mogli tylko bogowie. Po drugiej stronie tunelu Parys powiodł ich wszystkich na wielki pochyły dziedziniec otoczony wspaniałymi domami. Trojańska cytadela, siedziba króla Priama i jego dworu, sama w sobie była niewielkim miastem, nad którym dominował jeden wyjątkowo duży budynek z kolumnadą od frontu.

– To świątynia Posejdona, boga trzęsącego ziemią – wyjaśnił Parys, zauważywszy spojrzenie Myriny. – Wszechpotężnego wuja Boga Słońca. Tu mieszka, gdy nie wędruje po morzach. – Ruchem ręki wskazał niebieską toń widoczną hen, za murami cytadeli. Widzę, że mój ojciec wyszedł. Mamy szansę porozmawiać z nim bez jęczącego chóru wieszczących katastrofy kapłanów...

Dopiero teraz Myrina zauważyła grupkę mężczyzn po drugiej stronie dziedzińca i pięknego czerwonego rumaka między nimi. Gdy wraz z Parysem podjechała do grupy, przy czym Eneasza i jej siostry podążali za nimi, zobaczyła wspartego na kijach starca, który sprawdzał zęby ogierowi, i domyśliła się, że szykuje się zakup.

Parys zsiadł z konia i podszedł do innego mężczyzny, który stał na uboczu, i zaczął mówić do niego z szacunkiem. Ponieważ mężczyzna był odziany w całkowicie zwyczajny strój, nawet nie przyszło Myrinie do głowy, że to znakomity król Priam, dopóki ten nie wyciągnął ręki do Parysa. Posłusznie ucałowawszy królewski pierścień, książę przeszedł do – jak się domyślała Myrina – wyjaśniania czegoś w sprawie kobiet, które przyprowadził na dwór. Nie mówił długo, gdy król, do tej pory pogodny, zerknął w ich stronę niechętnie.

Wiele zrobiła, by przygotować się na tę chwilę, a jednak skuliła się pod uważnym spojrzeniem króla Priama, gdy spojrzał na nią, a potem na jej siostry.

Chociaż ojciec i syn podobni byli do siebie z sylwetki, a włosy króla dopiero zaczynały siwieć, jego oczy mogłyby należeć do najstarszego człowieka na ziemi.

– Chodź, ukochana. – Parys pomógł jej zsiąść z konia i podprowadził przed oblicze poważnego władcy. Następnie wziął głęboki oddech i

wyprostował się. – Ojczy, oto moja żona. Nazywa się Myryna.

Oblicze króla sprawiało wrażenie wykutego z kamienia, ponieważ było absolutnie nieporuszone, nie wyrażało ani gniewu, ani radości. Przez krótką chwilę Myryna myślała, że może Parys się pomylił, przyjmując, że jego ojciec bez trudu przejdzie na język Efezu, może nie zrozumiał dokładnie, co syn do niego mówi.

Ale nim jeszcze dokończyła tę myśl, król odpowiedział w tym samym języku, nie kalecząc go ani trochę: – Czy to się już stało?

Myryna poczuła, jak dłoń Parysa ściska mocno jej dłoń.

– Tak.

– Co ty mi powiesz? – zwrócił się król do Myryny. – Jesteś jego żoną?

Kiwnęła głową, tak spięta, że niezdolna odpowiedzieć słowami.

– Mów! – Król nie miał nastroju na potulność. – Jesteś jego żoną?

Myryna opanowała zdenerwowanie.

– Tak.

Wtedy wreszcie król Priam skinął głową Parysowi.

– Niech więc tak będzie. Oby Posejdon – i twoja matka! – spojrzeli łaskawie na ten związek. Ja teraz pójdę ją uprzedzić. – Z tymi słowami król odwrócił się i odszedł, zostawiając nie tylko Myrinę, lecz także jej siostry i Eneasza zmartwiałych z zawstydzienia.

– Właśnie. – Parys zwrócił się do wszystkich kobiet jednocześnie, uśmiechem rzucając wyzwanie ich ogromnemu zakłopotaniu. – Witajcie w domu mojego ojca. Eneasze dopilnuje, byście się wszystkie wygodnie rozgościły, a Myryna i ja zrobimy to, co należy, ale tego zadania nie musicie nam zazdrościć.

Królowej nie było na jej dziedzińcu, w otoczeniu dam i muzyków, nie oddaliła się też do swoich komnat, by zażyć kąpieli czy odosobnienia. Gdy Myryna z Parysem wreszcie ją znaleźli, klęczała w pozbawionym okien sanktuarium przed niewielkim ołtarzem zastawionym świecami i maleńkimi figurkami.

Odczekawszy chwilę, by jej nie przeszkadzać, Parys pochylił się i dotknął jej ramienia.

– Mamo...

Myryna usłyszała stłumiony okrzyk, potem łkanie... królowa wstała z małego klęcznika, by w potoku rozdzierających lamentów zarzucić synowi

na szyję ramiona. Głaszcząc go po włosach szaleńczymi, drżącymi rękoma, całowała go raz za razem i nie chciała go puścić, a cokolwiek jej szeptał – spokojny i cierpliwy – tylko jeszcze bardziej ją irytowało.

Myrina cofnęła się o krok, chciała uciec i się ukryć. Spodziewała się wściekłości i oskarżeń, ale nie łez. Wydawało się jej niewłaściwe, że jest świadkiem takich intymnych emocji. Jak po czymś takim zdoła kiedykolwiek spojrzeć królowej w oczy? Czowała gniew na Parysa, że naraził ją na takie przejścia, a jednocześnie widziała, że on też jest wstrząśnięty ogromem matczynego bólu.

– Matko, proszę – powiedział w języku Efezu. – Gdy poznasz lepiej Myrinę, zrozumiesz...

– Myrinę? Tak się muszę zwracać do twojej morderczynie? – Królowa odwróciła się niechętnie do swojej nowej synowej. – Wiesz, co uczyniłaś? – wyszeptała, jakby odwoływała się do bezwzględnego kata. – Wiesz, co uczyniłaś mojemu synowi, jedynemu zdrowemu chłopcu, którego kiedykolwiek wzięłam w ramiona? – W miarę jak mówiła, jej głos nabierał siły, a gdy ujrzała przerażenie Myriny, niemal cisnęła ostatnie słowa w jej twarz. – Myślisz, że zapewniłaś sobie życie w bogactwie, ale mylisz się! Chciwa suka! Kiedy on umrze, dopilnuję, żeby cię spalono tego samego dnia, tylko na zupełnie innym stosie!

– Matko! – krzyknął Parys, mocno chwytając ją za ramiona. – Panuj nad sobą! Myrina nic nie wie o tych bzdurach. – Przytulił matkę do siebie, by uspokoić jej dygot. – Spójrz na siebie! Co ona o tobie pomyśli? Myrina mnie kocha, zapewniam cię, i prędzej umrze, niż sprawi mi ból. Tak jak ty.

Na chwilę zapadła cisza. Potem królowa wymamrotała głosem stłumionym przez jego ramię: – Nigdy nie będzie cię kochać tak jak ja.

– Wiem, matko. – Pocałował ją ponownie. – Ale się stara. Należy do córek Otrere, jest więc twoją siostrzenicą. Tak jak ty złamała śluby, by zostać moją żoną.

Ty jedna wiesz, przez co przeszła.

To w końcu chyba przyniosło skutek. Ocierając łzy końcem szala modlitewnego, królowa wyprostowała się i przyjrzała Myrinie ponownie, a jej nienawiść natychmiast zmaląła.

– Jeszcze jedna kobieta pod tym dachem, która złamała śluby? A więc jesteśmy podwójnie przeklęci. Rozumiem już jednak, że muszę wziąć winę

na siebie. Bogini nigdy nie da mi zapomnieć... A chwila mojej kary jest już blisko. – Przycisnęła pięść do piersi, walcząc z kolejnym napadem bólu. – Nie powinnam cię nienawidzić, dziecko. Myliłam się, potępiając cię. Bo jesteś tylko narzędziem Bogini. To nie ty zabiłaś mojego syna. To ja. W swojej nieświadomości i słabości dałam mu śmierć, zanim bogowie dali mu życie.

Apartamenty Parysa znajdowały się na ostatnim piętrze pałacu królewskiego – była to ogromna komnata z balkonem wychodzącym na miasto i port. Za portem, który leżał w zasłoniętej zatoce, morze kołysało się spokojnie w gorąccze dnia, upstrzone nielicznymi plamkami statków wypływających z wąskiej cieśniny Dardanele, by ominąć trojański przylądek.

Był to wspaniały, naprawdę wystawny widok, ale Myrina jakoś nie mogła się nim cieszyć. Spotkanie z królową bardzo ją zmartwiło i nie mogła oderwać myśli od niewypowiedzianych klątw, które rzuciły taki groźny cień na matkę i syna.

– Odtąd to będzie twój widok – powiedział Parys, stając za nią. – A to będzie mój. – Pocałował ją w szyję, a potem zsunął suknię z jej ramion i gładził rękoma jej skórę. – Najświetniejszy widok Troi... nie, w ogóle całego świata.

– Proszę. – Myrina starała się przytrzymać szatę.

– Tak jak słońce wstaje po jednej stronie ziemi – szeptał Parys, śledząc każde wzniesienie, każde zagłębienie jej pleców – i spędza cały dzień, wędrując na drugą... tak ja mógłbym spędzać całe dni, wędrując po tobie, od przodu do tyłu, od stóp do głów. I ani razu – frywolnie przycisnął ją do siebie – nie będziesz czekała na próżno, aż wstanę.

Ale Myrina nie była w stanie oddać się igraszkom tak szybko po dramacie, który widziała.

– Powiedz mi – wyszeptała, oglądając się na niego przez ramię – o czym mówiła twoja matka. Nie mogę zapomnieć jej smutku.

Parys westchnął i puścił ją.

– Powinienem był cię ostrzec, że moja matka jest przesądna. Uwierzysz, jeśli ci powiem, że nie masz się czym przejmować?

– Nie.

– Do diaska! – Parys wyszedł na balkon. – Świetny początek naszego małżeństwa. No ale nie ożeniłem się z tobą, żebyś podążała za mną jak bojaźliwa niewolnica. – Obejrzał się na nią, sprawdzając, czy słucha. –

Musisz przede wszystkim zrozumieć, że moja matka nosiła pod sercem dwanaścioro dzieci, ale dziewięcioro z nich straciła. Niektóre przy narodzinach, inne później, z powodu...

– wzruszył ramionami – zawistnego losu? Nie udaję, że rozumiem te kwestie.

Myrina potrząsnęła głową.

– Biedna kobieta. Żeby cierpieć taki ból...

– Tymczasem – Parys odwrócił się plecami do miasta i skrzyżował ramiona na piersi – mój wspaniały ojciec nieustannie płodzi dzieci z innymi żonami i konkubinami i rzadko się zdarza, by na jego kolanach nie siedziała dziecina, albo i niewiasta. – Widząc, że wstrząsnął Myriną, uśmiechnął się krzywo. – Wybacz.

Ale to ty chciałaś wiedzieć.

– I doceniam twoją szczerłość. – Przysunęła się do niego, nie chcąc jeszcze kończyć tematu. – Ale dlaczego twoja matka oskarżyła mnie o twoją śmierć?

Parys wzniosł oczy do nieba.

– Bzdurne przesady.

Myrina wpatrywała się w niego, czekając na ciąg dalszy. Ponieważ jednak nie podejmował opowieści, ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała:

– Proszę, dziel ze mną nie tylko łóże. Coś ci ciąży a mnie boli, że nie mogę ci pomóc dźwigać brzemienia. Pamiętaj, czego mnie nauczyłeś... i daj mi walczyć u twego boku, wspierać cię, aż nic nam nie będzie grozić...

Parys ujął jej dłonie i ucałował je jedną po drugiej.

– Gdy się urodziłem – rzekł w końcu, znowu odwracając się do morza – nie brakowało złych znaków. Kapłani użyli wszystkich sztuczek, by przekonać moich rodziców, że jestem niechcianym dzieckiem, znieawidzonym przez bogów, a zatem stanowiącym zagrożenie dla Troi. – Uśmiechnął się smutno. – Widzisz, zawsze towarzyszy nam strach, że pewnego dnia Posejdon wstanie i w gniewie opuści nasz gród, siejąc po drodze zniszczenie. Od czasu do czasu czujemy, jak się wierci – Parys dotknął niewielkiego pęknięcia w balustradzie balkonu – ale nie lękaj się, moja słodka. Jeszcze nigdy nie był tak spokojny jak teraz.

Myrina przyglądała się jego profilowi i bardzo chciała zrozumieć.

– Co kapłani mieli przeciwko noworodkowi?

– Nigdy nie zaakceptowali mojej matki jako żony mojego ojca. Bali się, że

pod rządami królowej wychowanej w Efezie, królowej nawykłej do broni i niezależności, Trojanie mogą się zbuntować przeciwko nowym bogom i powrócić do dawnych wierzeń. – Parys się zawahał, a potem podjął niechętnie: – Mogę ci zresztą powiedzieć, że zanim mój pradziad objął tron, Troję przez wiele pokoleń rządziły kobiety. Otrere i moja matka są potomkiniami tych dawnych władczyń Troi i dlatego mój ojciec zawarł z nimi sojusz przez małżeństwo. Ale kapłani zawsze się martwili, że moja matka podważa królewski autorytet ojca i odkąd tylko noga jej postąpiła w Troi, zaczęli napełniać jej głowę bzdurnymi zabobonami.

Wyczuwając ból Parysa, Myrina objęła go, i stali tak przez chwilę, wyglądając na miasto, które wydawało się radośnie nieświadome swojej tajemnej przeszłości.

– Na pewno możesz współczuć mojej matce – powiedział wreszcie Parys, opierając swoją głowę o głowę Myriny. – Gdy tylko poczuła radość, że donosiła dziecko, zdenerwowały ją te wszystkie gadki o złych znakach. I tak, gdy tylko ustalał się kolejny chór intryganckich kapłanów grzebiących we wnętrznościach i obwieszczających służące im tylko bzdury, ona kolejny raz zasięgała ich rady, by lepiej zrozumieć moje przeznaczenie.

Parys znowu zamilkł, przebiegając wzrokiem po tętniącym życiem mieście, a to podążając za wozem zaprzężonym w wołu, a to za grupą wiosłujących marynarzy. Potem się odwrócił i wszedł do komnaty, podniósł sakwę i wyjął z niej tkaninę ze złotym kielichem. Nie odwinął go, tylko odstawił delikatnie na stół, po czym podszedł do łóżka – wielkiego, umieszczonego na marmurowym podwyższeniu pomiędzy czterema słupami z czerwonego kamienia – i rzucił się na nie, twarzą do dołu.

Gdy się wreszcie odezwał, głos miał stłumiony przez miękkie pościelenie, ale Myrina – usiadłszy obok niego – słyszała wszystkie słowa, chociaż może wołałaby ich nie słyszeć.

– Cóż, ku uciesze moich rodziców – podjął Parys – nowi kapłani uznali, że mój los nie jest tak zły, jak wcześniej sądzili... o ile się nie ożenię. Twierdzili, że moje małżeństwo tak rozwścieczy Posejdon, że położy mnie trupem. Ale oto jestem – Parys przewrócił się na plecy i rozłożył ramiona – żonaty i żywy.

Ponieważ Myrina nie odpowiadała, oparł się na jednym łokciu i pociągnął ją dla żartu za włosy.

– Daj spokój, ukochana żono, śmieję się ze mną. Działania boże mogą być

tajemnicze, ale poczynania ludzi są aż nadto oczywiste.

Myrina, wstrząśnięta opowieścią, której właśnie wysłuchała, objęła go.

– Nie musiałeś mnie poślubić, wiesz przecież. Żyłabym z tobą chętnie...

– Kłamczucha! – Parys przechylił się i przycisnął ją do łóżka. – Od chwili gdy po raz pierwszy nazwałem cię królową Myriną i włożyłem ci koronę na głowę, oboje wiedzieliśmy, że nie ma innej drogi. Musiałem cię posiadać – spojrzał na jej ciało i suknię, która ciągle była zsunięta – w pełni i bez reszty.

– Mówisz, jakbyś był moim właścicielem – zaprotestowała, trochę czując ulgę, że porzucili złowieszczy temat, ale też urażona protekcyjnym tonem, którym się do niej zwracał, odkąd przybyli do pałacu.

– A nie jestem? – Uśmiechnął się, widząc jej groźną minę, po czym zaczął ją pieścić, jakby chciał zademonstrować swoje prawa posiadacza. – Myślę, że jestem.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się. – Myrina wsunęła dłoń pod jego tunikę i szybko znalazła to, czego szukała. – Pomimo całej twojej zarozumiałej postawy losem mężczyzny jest przynależność do kobiety, a nie odwrotnie. –

Pod jej dotykiem Parys opadł na łoże z okrzykiem przyjemnego wyczekiwania, a ona dosiadła go triumfalnie. – Teraz gdy rozumiem, jak to działa – powiedziała pochylona nad nim – założę się, że dla każdego pazernego bandyty, który egzekwuje rozkosz, grożąc sztyletem, znajdziesz stu mężów związanych zachciankami żon. – Myrina ocierała się o niego przekornie, bawiąc się jego niecierpliwymi jękami. – Nie, kochany. Tak, kochany. Nie teraz, kochany. – Pochyliła się niżej, by spojrzeć mu w oczy, upewnić się, czy uznaje jej władzę nad sobą. – To my posiadamy was, mój książę. Natura tak chciała. Nigdy o tym nie zapominaj.

Pierwszy tydzień w pałacu upłynął Myrinie na zmiennych doznaniach – intensywnego, niemal euforycznego szczęścia przeplatanego sytuacjami kłopotliwymi, wstydem i frustracją, po których na koniec dnia ona, zabójca jeziornych potworów, zbawca porwanych sióstr, płakała w ukryciu.

Pierwszą jej troską była Lilli. Niestety, pomysły Myriny na temat tego, jak zapewnić siostrze wygodę, zdecydowanie przekraczały to, co Parys był gotów uczynić.

– Co takiego?! – krzyknął, gdy po raz pierwszy ostrożnie poruszyła temat. – Chcesz, żeby twoja niewinna siostra spała w naszej komnacie, gdzie by słyszała wszystko, co mówimy i robimy? – Pokręcił głową z

niedowierzaniem. – Dlaczego tak chcesz zniszczyć naszą rozkosz? Wiesz, że w jej obecności nigdy nie pocujemy się swobodnie.

Myrina rozumiała go i nie powtórzyła swojej prośby. Ale wiedziała, że czekają ją chwile głębokiej rozpaczy. Wkrótce Hippolita będzie chciała wrócić do Efezu, a Kara, Animone i Kyme niewątpliwie pojedą z nią. Kiedy odjadą, Lilli będzie spała zupełnie sama pośród obcych w dormitorium na tej obcej ziemi. Choć Myrina bardzo kochała siostrę i nie wyobrażała sobie życia bez niej, to chwilami czuła, że Lilli byłaby szczęśliwsza w Efezie, w otoczeniu przyjaciół.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że Parys, chcąc okazać braterską miłość, zaproponował, że nauczy Lilli jazdy konnej. Widząc, że jego propozycja budzi ekscytację nie tylko dziewczynki, lecz także wszystkich, którym była droga, Myrina nie mogła się zdobyć na oprotestowanie tego planu. I tak w każdy wieczór, po wypełnieniu codziennych obowiązków, Parys przychodził na dziedziniec królowej, by Myrinę szybko pocałować w policzek, a Lilli wykraść na godzinę głośnej zabawy za stajniami.

Kolejnym ciosem w radość Myriny było powszechne oczekiwanie, że będzie się zachowywać jak księżna, a nie jak myśliwy. Zanim przybyli do Troi, w ogóle nie przyszło jej do głowy, że Parys zechce zmienić jej zwyczaje, ale gdy tylko urządzili się w jego komnacie, ubłagał ją – pomiędzy pełnymi uwielbienia pocałunkami – by pozwoliła mu odłożyć jej broń na jakiś czas i nosiła tylko stroje, które on jej dał.

– Zrozum, proszę. – Powiedział wówczas, gdy już nauczył ją, jak używać złotych broszy, które spinały nowe, cieniuteńkie stroje. – Uwielbiam twoje serce myśliwego, i nigdy nie pragnąłbym cię innej. Ale tutejsi ludzie są staromodni i nie chcą, żeby się ze mnie śmiali...

– Chcesz powiedzieć, że są nowomodni? – poprawiła go. – Czy nie powiedziałaś mi, że w dawnych czasach, przed nadejściem Posejdon...

– Ćśśś! – Parys rozejrzył się nerwowo, chociaż byli zupełnie sami. – Musimy im tylko dać czas, by dostosowali się do zmian...

– Jakich zmian? – Myrina z trwogą podała mu przymarszczoną suknię. – Spójrz na tę beznadziejną tkaninę, jest prawie podarta! Mogłabym równie dobrze chodzić nago!

Ich dyskusja oczywiście w tym momencie się skończyła, ale zdecydowanie nie była zamknięta, w każdym razie z punktu widzenia Myriny. Nie

przesadzała, gdy powiedziała Parysowi w ich noc poślubną, że nie wie, jak być kobietą.

I chociaż on z niebywałą wprawą zaznajamiał ją z niektórymi aspektami kobiecości, nie przygotował jej na te liczne godziny, gdy będzie musiała chodzić, siadać i mówić jak kobieta, znosząc nieskończoną nudę dobrego wychowania.

Podczas gdy Parys spędzał dni jak król, albo w sali tronowej, albo poza domem, Myrina nie miała wyboru – musiała pozostać z siostrami na dziedzińcu królowej. Na początku uważała, że jest tu pięknie. Szeroki portyk obiegał niewielki ogród z migoczącym basenikiem pośrodku – basenikiem trzykrotnie większym od tego w świątyni Bogini Księżycy. Ale gdy kilka razy obeszła zawile, wyłożone muszlami ścieżki i zdała sobie sprawę, że wszystkie kończą się dokładnie w punkcie wyjścia, zaczęła podejrzewać, że pilnie strzeżone zacisze nie tylko dopuszcza tu obcych, lecz także nie wypuszcza stąd kobiet.

Ułożona wygodnie w cieniu portyku królowa spędzała większość dnia z oczyma zamkniętymi, kiwając głową do łagodnej muzyki granej przez starszych dworzan i popijając napar podany przez milczące służebne. Rzadko wdawała się z kimkolwiek w rozmowę i oczekiwała, że wszystkie jej damy dworu będą siedzieć bezczynnie, dzielając jej pełną wdzięku bierność.

Myrinie trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, którą widziała pierwszego dnia w Troi, gdy tryskała złością przed domowym ołtarzem. Królowa ani razu nie wspomniała o tym zajściu; wręcz gdy Myrina i jej siostry zostały po raz pierwszy wprowadzone na jej dziedziniec i przedstawione oficjalnie, można było odnieść wrażenie, że kobieta zupełnie zapomniała tamtą wymianę zdań – jakby wypila jakiś eliksir, który przytępił pamięć i uczynił jej świat przyjemniejszym.

– Ach – powiedziała, gdy Hippolita wygłosiła wymyślne pozdrowienia przesłane przez Otrere. – Moja droga siostra. Jakże miło. Podziękuj jej i wymyśl coś uroczego w zamian.

I tyle. Hippolita została odesłana skinieniem ręki, by można było wnieść tacę z owocami, i nikt nie wygłosił już żadnego słowa powitania. Nic dziwnego, że rozczarowane towarzyszki Myriny szybko zaczęły z tęsknotą rozprawiać o obowiązkach czekających na nie w domu, a ona musiała się

wspiąć na szczyty elokwencji, by namówić ja na cały tydzień takiej nadętej nudy.

– Nie mogę uwierzyć, że wybrałaś takie życie – wyszeptała Animone pewnego dnia, zerkając na królewskie konkubiny i ich dzieci, biegające i hałasujące pod portykiem z drugiej strony dziedzińca. Nie umknęło uwagi Myriny, że niektóre z kobiet są brzemiennie. Martwił ją bardzo błysk współczucia w oczach Animone, sugerujący, że pewnego dnia ona, Myrina, będzie starą królową drzemiącą na krześle, wyczerpaną całymi nocami bezsennej samotności.

Tamtego wieczoru wróciła do swoich apartamentów ze stosem zabawkowej broni i czekała na Parysa z nową ekscytacją, gotowa zaatakować go, tak jak wiele razy robiła to na plaży w Efezie. Ale gdy jej mąż wszedł do komnaty i spojrzał na drewniany sztylet zatrzymujący się ślizgiem przy jego stopach, roześmiał się tylko, kręcąc głową.

– Skąd to wzięłaś? – spytał, nie zważając na bojową postawę Myriny.

– Ukradłam chłopcom – odparła rozczarowana. Uszło z niej powietrze.

– Moim przyrodnim braciom? – Parys ściągnął brwi. – Biedni malcy. Lepiej pójdę wyjaśnić...

Gdy wreszcie wrócił, Myrina leżała na łożu, wpatrując się w malunki na suficie. Winorośle, jajka i owoce... same symbole płodności.

– Jesteśmy po prostu kobyłami, prawda? – spytała. – Stąpamy ostrożnie po naszej małej zagrodzie i czekamy na rozmnożenie.

Parys w oszołomieniu nie odpowiedział od razu, a zanim się schylił, by ją pocałować, Myrina wstała.

– Hippolita może mieć broń – podjęła – ale Myrina nie. Lilli może ujeżdżać konie, a Myrina nie...

– Oczywiście, że może! – Parys obszedł łoże z uśmiechem, ale ona odwróciła się doń plecami.

– Konia! – dodała, krzyżując ramiona na piersi. – Chcę ujeżdżać swojego konia.

Roześmiał się i chwycił ją w talii.

– Moja mała polująca księżniczka. Już zmęczona luksusami. Woląaby wrócić na Kretę błagać o resztki ze stołu.

Myrina ledwie wyrwała się z jego objęć.

– Zaczekaj. – Parys próbował ją znowu chwycić. – Nie miałem na myśli nic

złego, chciałem być miły.

– Wiem. – Odwróciła się do niego twarzą, próbując zdusić zdenerwowanie. – I jesteś dla mnie wyłącznie miły. A ja jestem niewdzięcznym szczurem...

Parys uśmiechnął się i ujął ją za brodę.

– Ale jakim pięknym...

Myrina znowu musiała się opanować.

– Moglibyśmy wrócić do twojej chaty na wzgórzach? Na kilka dni?

Kiwnął głową.

– Gdy tylko wyjadą twoje siostry. Będiesz polować, żeby zdobyć jedzenie, a ja... – przyciągnął ją do siebie – będę polować na ciebie.

I właśnie gdy przypieczętowali plan pocałunkiem, rozległo się pukanie do drzwi.

– Król każe ci się stawić w świątyni – usłyszeli.

Na widok rozczarowania Myriny Parys rzekł: – Chciałabyś pójść ze mną? Mogą się przecież już przyzwyczajać do twojej obecności. Gdzie jest korona, którą ci dałem? Lepiej ją nałóż. W świątyni przyjmujemy naszych wrogów.

Świątynia Posejdony była miejscem surowym i groźnym. Zbudowana z tych samych ogromnych głazów, które Myrina zauważyła przy wejściu do cytadeli, rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby mieszkała w niej jakaś nieśmiertelna istota, której pokrzepianie ludzi nie sprawiało przyjemności. Nie było żadnych mebli, żadnych kosztowności. Kolumny podtrzymujące wysoki sufit, gładkie i surowe, imponowały samym swym ogromem.

W tym kamiennym grobowcu nikt chyba nie czuł się dobrze prócz samego boga: złoconego olbrzyma leżącego – jakby we śnie – na wyniesionej kamiennej półce biegnącej wzdłuż całej tylnej ściany świątyni. Nie składano mu żadnej żywności, pod jego łóżem nie leżały liściaste wieńce ani wota; jego jedyną rozrywką były cztery nieskazitelne roczniaki chodzące luzem po świątyni i zjadające siano z posadzki.

Wszedłszy do budynku u boku Parysa, Myrina ujrzała króla Priama siedzącego na podwyższeniu pośrodku, w otoczeniu zbrojnych strażników i posępnych arystokratów.

Gdy poznała króla, zdziwiła się, że jest zwyczajnym mężczyzną. Dzisiaj jednak miał na sobie koronę z rogami, podbitą futrem szatę i wyglądał naprawdę majestatycznie.

– Ojczy – rzekł Parys, dołączając do niego na podwyższeniu. Myrina szła tuż za nim. – Cóż to za okazja?

– Dobrze, że przybyliście oboje – odrzekł król Priam, dając znak heroldowi – ponieważ u bram czekają ci, którzy jako pierwsi złożą wam życzenia: wiecznie grasujące lwy Myken.

Myrina poczuła, że Parys sztywnieje, a z oddali, zza miejskich murów usłyszała ogłuszający przybój morza. Bardzo się starała, by zapomnieć potworne wydarzenia z Myken, ale teraz wszystkie wróciły do niej w napadzie duszącej paniki: martwy książę na podłodze, odór krwi, porzucone zawodzące niewolnice...

Nie mogła nic zrobić, by zatrzymać przeznaczenie. Zgiełk przy wejściu do świątyni kazał Myrinie odwrócić głowę. Ujrzała grupę mężczyzn z trudem trzymających białego konia. Gdy wreszcie go opanowali, dwaj mężczyźni – jeden stary, jeden młody – wystąpili do przodu, by przemówić do króla Priama, przy czym starszy opierał się ciężko na młodszym.

Dopiero wtedy Myrina się zorientowała, że starszym mężczyzną jest Agamemnon, władca Myken. Niespełna rok minął, odkąd widziała go na tronie przed wielkim paleniskiem, ale te kilka miesięcy nadgryzło go żarłocznie niczym całe dziesięciolecie.

– Przyjacielu – rzekł król Priam, podchodząc z otwartymi ramionami. – Twoja obecność to błogosławieństwo dla mojej krainy.

Na co Agamemnon, pochylony przez wiek, podniósł wzrok i rzekł: – Gdybyż ktoś pobłogosławił mnie. Bo ostatnia wizyta twojego syna wyznaczyła początek złych czasów.

– Przykro mi to słyszeć. – Priam przybrał stroskaną minę. – Przykro mi i jestem zaskoczony. Mój syn – wyciągnął rękę, by zwrócić Agamemnonowi uwagę na obecność Parysa – wspomniał, że zastał Mykeny w rozkwicie.

– Ach, tak. – Agamemnon urwał, by zakaszleć, a dźwięk ten poniósł się po świątyni. – Twój syn opuścił mój kraj, zanim tragedia stała się widoczna. Musi zatem nie wiedzieć o moich nieszczęściach.

– Rzeczywiście nie wiem. – Parys wyszedł przed Myrinę, może by ją zasłonić przed gościem.

– Ta maska, którą mi podarowałaś – Agamemnon zwalczył kolejny atak kaszlu – naznaczyła mnie po grób. Ale nie winię cię. Ba, przybyłem prosić o pomoc – gestem nakazał mężczyznom za swoimi plecami doprowadzić

białego konia – i złożyć hołd Posejdonowi. Przez wiele miesięcy mieliśmy niesprzyjające wiatry i burzliwe morze, bo inaczej przybyłbym wcześniej.

– Okazały podarek – powiedział król Priam. – Powiedz mi, kto przybył tu z tobą. Widzę, że to nie twój syn.

Agamemnon skrzywił się i poklepał po ramieniu młodego towarzysza.

– To mój bratanek, dziedzic Sparty. Nosi imię Menelaos i był zaręczony z moją córką. Ale – tu stary król przerwał dla nabrania oddechu – moją córkę porwano z mego domu. Nikt nie wie, gdzie jest. A mój syn... – Władcę Myken zawiódł głos i tylko dał znak bratankowi, by mówił za niego.

Młody Menelaos ze Sparty był mężczyzną atrakcyjnym, ale gdy tylko zaczął mówić, Myrina wyczuła, że oto ktoś, kto został tak wychowany, by zabijać bez wahania, i dla kogo władza jest synonimem prawdy.

– Na spokojne Mykeny – zaczął posłusznie, szybko wyrzucając słowa – przypuszczono podły atak. Wrogiem było plemię kobiet, które walczą jak mężczyźni i odcinają sobie jedną pierś, by lepiej rzucać włócznią. Nazywamy je Amazonkami, kobiety bez piersi. Podobno znalazły schronienie tutaj, w Troi.

– Cóż za dziwactwo! – wykrzyknął król Priam. – W życiu nie słyszałem o takich kobietach. A ty? – Spojrzał z napięciem na Parysa, który pokręcił głową, równie wstrząśnięty. Na szczęście dla Myriny nikt nie zadał sobie trudu zapytania jej o tę kwestię. Niemal na pewno nie zdołałaby udąć niewiedzy.

– Dasz mi na to swoje słowo? – spytał Agamemnon, prostując się. – Bo ja poprzysiągłem ścigać je mieczem i ogniem.

Król Priam odpowiedział bez wahania.

– Daję ci swoje słowo. Gdybym kiedykolwiek ujrzał tak nienaturalne stworzenia, pewnie sam bym je zabił.

– One zamordowały mi syna – podjął Agamemnon, a gniew najwyraźniej dodał mu sił – i ukradły mi córkę Helenę, jedyne dziecko zrodzone z moich łądzwi, które ma szansę mnie przeżyć. Nie zostało mi wiele życia, ale każdy oddech, który mi został, poświęcę na odszukanie jej. Połączysz ze mną siły?

Myrina patrzyła wstrząśnięta, jak dwaj królowie wymieniają uścisk dłoni.

Czy to naprawdę możliwe, że opryskliwa Helena, obecnie przebywająca w Efezie, nosząca bransoletę Myriny, jest córką króla Agamemnona? „Nie pojedę do domu”

– powiedziała dziewczynka, z twarzą pobladłą od emocji. „Ojciec mnie zabije. Nie żartuję. Zabił moją matkę. I moją siostrę. Wiem, że to zrobił”. Jeśli tym ojcem był rzeczywiście Agamemnon, Myrina bez trudu dawała wiarę tym słowom. Mogłaby nawet wybaczyć dziewczynce ucieczkę – gdyby nie chodziło o złośliwy podstęp.

Co należało zrobić? Myrina nie miała pojęcia. Zerknęła na Parysa, zastanawiając się, czy on wie, że porwana księżniczka opuściła Mykeny na pokładzie właśnie jego statku. Ale Parys nie śledził już rozmowy swego ojca i Agamemnona. Wpatrywał się w szczupłą postać stojącą w drzwiach świątyni z włosami w nieładzie. W Karę.

Targnięta przecuciem, Myrina chwyciła Parysa za ramię, chcąc, by ten zawołał strażę. Ale było za późno. Kary nie dało się zatrzymać. Biegła do Agamemnona i rzuciwszy mu się do stóp, objęła go za kolana tak gwałtownie, że musiał położyć rękę na ramieniu bratanka, by zachować równowagę.

– Szlachetny ojcze! – krzyknęła, chociaż strażnicy już ją odciągali. – Jestem tutaj!

– Czekaście! – Agamemnon skinął na strażników, by ją puścili. – Nie zwykłem odtrącać błagającej kobiety. Mów!

– One mnie zabrały wbrew mej woli. – Kara spojrzała na Agamemnona przez łzy strachu i ulgi. – Ja nie chciałam odjeżdżać.

Władca Myken patrzył na nią bez słowa. Nagle zmrużył oczy.

– Widziałem już kiedyś tę obłąkaną kobietę...

– Dość! – krzyknął Parys, występując do przodu. Ale było za późno. Kara została rozpoznana.

– Jakim cudem trafiło tu to szalone stworzenie? – spytał Agamemnon, w furii podnosząc głos. – Ona należała do tych... – Chwycił rękoma włosy Kary i podciągnął ją w górę całą swoją siłą, wyduszając z niej spanikowane krzyki. – Kto zabił mojego syna, ty żałosna kurwo?! Ty?!

– Nie! – krzyknęła Kara, próbując się uwolnić. – Nie! Mówiłam im, żeby tego nie...

– Gdzie one są? – Agamemnon znowu szarpnął ją za włosy i cisnął nią przed siebie. – Mów! Gdzie one są?

– Przestań! Błagam, przestań! – Kara zasłoniła ręką brzuch. – Noszę twojego wnuka...

Agamemnon rzucił się do przodu, by uderzyć ją w twarz.

– Więc jednym ciosem zabiję dwoje. Mów, szalona! Gdzie mordercyjni
mojego syna?!

Łkając jak szalona, z twarzą zalaną łzami, Kara wreszcie podniosła rękę i
drżącym palcem wskazała Myrinę.

ROZDZIAŁ 31

*Świat jest pełen cudów; ale najcudowniejszym na świecie zjawiskiem jest człowiek. [...]
To człowiek znalazł sposób, aby chwytać w oka sieci pierzchliwe ptaki, dzikie zwierzęta i mieszkańców
głębokich wód¹⁷*

SOFOKLES, *Antygona*

STAMBUŁ, TURCJA

Co najmniej trzystu przedstawicieli śmietanki towarzyskiej przyjęło zaproszenie na maskaradę u Reznika. Po całym domu przemieszczały się tłumy ludzi i niósł się śmiech. Nie było tu mebli ani innych przedmiotów, które tłumilyby echo – żadnych sof, dywanów, zasłon. Sam beton, szkło i marmurowe posągi z zakłopotaniem upozowane w każdym kącie, pomysłowo oświetlone przez reflektorki. Gdyby ktoś mi powiedział, że ten dom jest ciągle w budowie, uwierzyłabym bez trudu. Tylko ktoś bardzo specyficzny mógł się dobrze czuć w etażerze z nagiego betonu, nawet z widokiem na dwa kontynenty.

Goście, dla kontrastu, zdecydowanie nie byli monochromatyczni. Nie tylko kobiety, ale także kilku mężczyzn przystroiło się w groteskowe, teatralne kostiumy, przy których James wyglądał pokrzepiająco przystojnie i normalnie, nawet w swoim stroju Alladyna. Pólnagie supermodelki nosiły skąpe kostiumy przyklejone bezpośrednio na skórę, dizajnerskie wilkołaki – obroże wysadzone brylantami; migoczący wielobarwny malunek twarzy, który zaordynowałyśmy sobie z Rebeccą w centrum handlowym Kanyon, wypadł tu śmiesznie powściągliwie.

– Jest. – James wskazał mężczyznę ubranego w strój torreadora, stojącego pośród ekstrawaganckiego tłumu.

Wysoki i sztywny, o siwych włosach przyciętych na jeża, Grigor Reznik wyróżniał się spośród olśniewającego otoczenia jako mężczyzna

nienagannie odziany i o wojskowej dyscyplinie, którego uśmiech nigdy nie wybiegał poza obrys ust.

Nagle ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Może powinniśmy zapomnieć o tym rękopisie... – powiedziałam.

– Nie rób afery, Morg! – James sprawnie porwał trzy kieliszki szampana z tacy. – Proszę, wypijcie to i wyluzujcie. Nie chcemy wzbudzić podejrzeń.

Popijając szampana, zastanawiałam się, ilu gości Reznika wie, kim on naprawdę jest i czym się zajmował, zanim się przeprowadził do Turcji. Czy wiedzą o jego tajnej policji i zaszczurzonych psychiatrykach, do których jako szef partii komunistycznej wysyłał przeciwników politycznych? Czy wiedzą, że nawet teraz, na swojej tak zwanej emeryturze, Reznik niszczy takich ludzi jak doktor Özlem i że ignoruje kolejne ostrzeżenia władz tureckich odnośnie do przestępczego zaangażowania w handel dziełami sztuki? Mimowolnie pomyślałam, że w każdej chwili oddział SWAT Interpolu może wywalić dizajnerskie drzwi i zaciągnąć wszystkich do aresztu w oparach gazu łzawiącego. A jednak proszę, oto jako domniemani przyjaciele Reznika – całe trzy setki luda – popijaliśmy jego szampana i legitymizowaliśmy jego działalność swoją obecnością.

Gdy wędrowaliśmy przez tłum, zobaczyłam postać, która mgliście mi się z czymś skojarzyła. Jakiś czas pojawiała mi się tu i ówdzie, aż wreszcie zniknęła za drzwiami.

– Widziałaś tę wysoką blondynkę w srebrnym kostiumie myszy? – wyszeptałam, ciągnąc Rebeccę za ramię.

– Kogo? – Rozejrzała się na prawo i lewo.

– Już wyszła – dodałam. – Ale jestem pewna, że to ona ukradła mi w Nauplionie telefon. Najwyraźniej pracuje dla Reznika.

Oczy Rebekki otworzyły się szeroko, ale nie umiałam określić, czy to dlatego, że mi uwierzyła, czy dlatego, że zważyła w moje zdrowie psychiczne.

James odwrócił się i spojrzał na nas pytająco.

– Co się dzieje?

– Och, nic – burknęłam, sprawdzając, czy moja torebka wieczorowa jest zamknięta – satynowa kopertówka z zeszytem babci, z którym teraz nie rozstawałam się ani na chwilę. – Przepraszam was.

Uciekłam do oświetlonej stroboskopami toalety i oparłam się o

marmurowy blat, by się uspokoić. Odczucie, które miałam w chwili, gdy tu przyjechaliśmy, odczucie nieuchronnej katastrofy, wróciło z pełną mocą. W optymistycznym zakamarku serca pielęgnowałam słabą nadzieję, że Nick jednak przybędzie na przyjęcie i przebierze się odpowiednio. Ale... gdyby naprawdę się tu pojawił, jak miałabym go rozpoznać pośród tylu gości?

Gdy tak stałam przed lustrem, z toalety wyszła piękna Latynoska w obcisłym kostiumie kota. Srebrna króciutka fryzura nadawała jej wygląd starej i młodej jednocześnie, a mnie na chwilę zahipnotyzowała niemal wyczuwalna moc, którą emanowało jej ciało. Gdy jednak nasze oczy spotkały się w lustrze, kobieta posłała mi spojrzenie czysto jadowite. Dopiero kiedy zamknęły się za nią drzwi, przyszło mi do głowy, że może już ją kiedyś gdzieś widziałam. W jej oczach było coś dziwnie znajomego.

Gdy wyszłam z łazienki, Reznik właśnie płynną francuszczyzną przemawiał do gości. Usłyszałam tylko ostatnie jego słowa, ale zakończył posępnym toastem: – Za Alexa – Reznik wznosił swój kieliszek szampana – który zmarł dokładnie rok temu. I za sprawiedliwość.

– Co się stało? – wyszeptała Rebecca, gdy znowu zabrzmiała muzyka i wznowiono rozmowy. – Wyglądasz, jakbyś...

– Dość gadania! – zarządził James. – Teraz mamy szansę.

Musieliśmy się trochę poprzepychać, by dostać się do naszego gospodarza, a gdy już się nam udało, James został nagrodzony mocnym uściskiem.

– Moselane! – zawołał Reznik ze słowiańskim akcentem. – Cieszę się, że tu jesteś. Chcę z tobą porozmawiać. – Spojrzał na niego znacząco i pewnie by powiedział coś więcej, gdyby jego uwagi nie przykuła moja obecność. Popatrzył na mnie, najpierw z irytacją, a potem szeroko otworzył oczy z uznaniem. Przez kilka dusznych sekund myślałam, że mnie jakimś cudem rozpoznał, ale jego następne słowa świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

– Wspaniale – powiedział, patrząc to na mnie, to na Rebeccę – Widzę, że podzielasz moją skłonność do piękna.

– W rzeczy samej – odparł James z godnym podziwu spokojem. Przedstawił nas Reznikowi nieprawdziwymi imionami i podjął: – Mówiłem właśnie pięknym damom, że masz kilka... niecodziennych artefaktów. Obie nie mogą się doczekać, żeby zobaczyć twoją bibliotekę. – Słowo „biblioteka” James wypowiedział z sugestią, że chodzi o sypialnię. – Mam nadzieję, że nie

sprawisz im zawodu.

Dostrzegłam, że Reznik na krótką chwilę zacisnął palce na nóżce kieliszka.

Następnie zachichotał i spojrzał na Rebecę, a później na mnie.

– Nie mogę zignorować zainteresowania pięknej kobiety, a co dopiero dwóch. Jeśli panie zechcą, oprowadzę je po swoim małym... muzeum. –

Niedbale rozejrzał się jeszcze po pomieszczeniu. – Ale zaczekajmy, aż wyjdzie ambasador.

Następna godzina upłynęła nam na bezmyślnych rozmowach i udawaniu, że dobrze się bawimy. James zachowywał się swobodnie; miał coś do powiedzenia o każdej rzeźbie i każdym gościu i cały czas pilnował, żebyśmy miały szampana.

– To syn Reznika, Alex – powiedział w pewnym momencie, ruchem głowy wskazując na wielki marmurowy posąg przedstawiający młodzieńca w pozie *Dawida Michała Anioła*.

– Piękny – stwierdziła Rebecca. – Musiał być młody. Jak umarł?

James się rozejrzał, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

– Policja powiedziała, że to był wypadek samochodowy, ale Reznik im nie wierzy. Jest przekonany, że Alex został zamordowany, a wypadek upozorowano, żeby zatuszować zbrodnię. Kto to wie? Kiedyś Reznik będzie musiał wrócić do świata żywych. To przyjęcie to dobry znak. Przynajmniej na jeden wieczór wyjął z ust pistolet.

Obejrzałyśmy jeszcze kilka rzeźb, zanim Rebecca przeprosiła i oddaliła się do toalety. Dopiero gdy zniknęła, James przysunął się do mnie i zagaił z pogodną obojętnością: – Obawiam się, że Bex bardzo boleje nad nieobecnością naszego ochroniarza.

Schyliłam się, by obejrzeć trzy niewielkie popiersia, które okazały się – znowu – podobiznami Alexa Reznika, w wieku pięciu, dziesięciu i piętnastu lat.

– Mogę cię zapewnić, że wyjazd Nicka oznacza dla niej taką samą ulgę jak dla ciebie.

– Naprawdę? – James próbował zajrzeć mi w oczy. – Wydaje się trochę... zamyślona.

Podjeżdżałam, że usiłuje wybadać moje uczucia na ten temat, ale nie miałam nastroju, żeby mu cokolwiek ułatwiać. Po dwóch dniach pełnej

ekspozycji na imponujący egotyzm Jamesa moja cierpliwość mocno osłabła.

– Bex ma ostatnio sporo stresów, i to całkowicie moja wina.

– Nie mów bzdur. – Położył dłoń na moim nagim ramieniu. – Jesteś najlepszym przyjacielem na świecie. – A gdy nie zareagowałam, James stanął przede mną, uniemożliwiając mi podziwianie popiersi. – Nie żartuję, Morg. Moim zdaniem jesteś bardzo wyjątkowa.

Gdy tak stał w obwisłym turbanie Alladyna, przez chwilę rzeczywiście wyglądał, jakby nie żartował – jakby naprawdę chciał być we mnie zakochany.

Skoro nie odpowiedziałam, uśmiechnął się niepewnie i rzekł: – Oboje trochę się zgrywamy, prawda?

Na jego twarzy widziałam tyle nadziei, że mimowolnie zrobiło mi się go żal, nie dlatego, że już go nie kochałam, lecz dlatego, że sprawiał wrażenie kompletnie nieświadomego faktu, że też mnie nie kocha. W swoim pędzie, by pokonać Nicka, przyjął rolę protektora i teraz – kurczowo trzymając się reguł – poczuł się zobowiązany recytować wersy, które tej roli towarzyszyły, a zapomniał wcześniej zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście ma je na myśli.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś właściwą kobietą – ciągnął, biorąc mnie za rękę. – Materiałem na królową. Nie chciałem tylko zaczynać czegoś, a potem...

popsuć. – Nadal nie odpowiadałam, więc kontynuował już niemal ze złością: – Kocham cię, Morg. Wiesz, że cię kocham. Inaczej czemu bym przyjechał ci na ratunek?

– Na ratunek? – Cofnęłam rękę. – Kto ci powiedział, że mnie trzeba ratować?

James się wzdrygnął, może dopiero teraz zauważył, że jestem bardzo zdenerwowana.

– Katherine Kent. Po co by tak mówiła, gdyby to nie była prawda? Co jej powiedziałaś?

W oszołomieniu dopiero po dłuższej chwili wydusiłam odpowiedź.

– Nic. Kiedy byłam w Algierii, zostawiłam jej wiadomość, ale od wyjazdu z Oksfordu w ogóle z nią nie rozmawiałam. Nie zamieniłyśmy ani słowa.

James ściągnął brwi, najwyraźniej zirytowany, że nasza rozmowa schodzi na taki pomniejszy problem.

– Musiałaś jej coś powiedzieć. Bo skąd by wiedziała, że przyjeżdżasz do

Troi w piątek lub sobotę.

W tym momencie zobaczyłam Rebecę, która wracała do nas, wyglądając na co najmniej umęczoną. Ale byłam tak zajęta rewelacjami Jamesa na temat wiedzy i interwencji Katherine, że dopiero po chwili odzyskałam przytomność i zwróciłam uwagę na dramatyczną relację mojej przyjaciółki o kieszonkowcu, który najwyraźniej obrabiał zebranych, i o kobiecie, która została zabrana przez karetkę z powodu gwałtownej reakcji alergicznej.

Słuchając jej półtuchem, poczułam, że ktoś się we mnie wpatruje. Podniosłam wzrok i zobaczyłam mężczyznę w ciemnym garniturze, bez krawata, stojącego samotnie pod ścianą po drugiej stronie pomieszczenia. Gdy nasze oczy się spotkały, przeszył mnie prąd ciepłego podniecenia, od stóp do głów.

Był to Nick.

Zamiast jednak przywitać się ze mną czy podejść do nas, odwrócił się i ruszył do schodów prowadzących na górę.

– Przepraszam. – Podałam swój kieliszek Rebecce. – Zaraz wrócę.

Zebrałam spódnice, pospieszyłam w ślad za Nickiem i zobaczyłam, jak znika, tym razem na szklanych schodach na następne piętro. Nieco zdyszana też tam podążyłam. Połowę tej kondygnacji zajmował ogród dachowy. Nicka nie zauważyłam nigdzie w środku, więc ostrożnie wyszłam przez otwarte wielkie drzwi, wypatrując go pośród roślin w donicach i drzewek.

Poza mną tylko paru gości trafiło na ciemny taras – głównie mężczyzn – i wszyscy palili w milczeniu, chłonąc olśniewający nocny widok jedyne miasta na świecie stojącego jedną stopą na Zachodzie, a drugą na Wschodzie. Dość szybko stwierdziłam, że Nicka tu nie ma, i posmutniałam rozczarowana. Sprawdził, czy nic mi nie jest, ale nie wiedzieć czemu, nie chciał ze mną rozmawiać.

Odwróciłam się, by wrócić do środka... i stanęłam z nim twarzą w twarz.

– Ej! – krzyknęłam, wstrząśnięta i pełna ulgi jednocześnie. – Dlaczego tak odszedłeś?

Zamiast odpowiedzieć, Nick wciągnął mnie w cień. Pewną dłoń położył na moim karku, drugą w pasie... i nagle jego usta dopadły moich z niepowstrzymaną zachłannością. Zniknęło gdzieś jego rozsądne rozleniwienie, zniknęły wszelkie pozory. I ja też tego chciałam. W chwili gdy

mnie puścił, chwyciłam go za klapy marynarki i przyciągnęłam z powrotem.

Za długo przebywaliśmy zbyt blisko siebie i coś musiało ustąpić, poczynając od mojego pasa cnoty, który dławił moją namiętność, odkąd pewien mistrz fechtunku dotknął mnie do żywego i galopem wrócił do Barcelony. Jeśli Nick rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami Rebekki, był czwartym jeźdźcem, to – postanowiłam tu i teraz, w żarliwym przypiływie uniesienia – jestem gotowa okiełznać apokalipsę.

– Podoba mi się twój kostium – wyszeptałam po chwili, wygładzając mu klapy.

Na co on odpowiedział ochryplym głosem: – Nie jestem przebrany.

– Zawsze jesteś przebrany. – Spojrzałam mu w oczy, próbując go rozgryźć.
– Co się dzieje?

Odgarnął za ucho zbuntowane pasmo włosów.

– Nie sądziłaś chyba, że naprawdę tak po prostu cię zostawię?

– Nie byłam pewna...

– Dzielna, piękna Diana. – Oparł swoje czoło o moje. – Bogini łowów.

Rozszarpiesz mnie teraz na strzępy? Czyż nie taki jest los śmiertelnika, który podejdzie za blisko?

Na to pytanie mimowolnie się zaśmiałam.

– Dopiero gdy zobaczy boginię nagą. A ty nie widziałeś. Jeszcze. – To jedno dodatkowe słówko wyskoczyło zupełnie samo, zanim zdołałam je zatrzymać, a Nick w reakcji przyciągnął mnie do piersi i schował twarz w zagłębieniu mojej szyi, jakby zamierzał mnie ugryźć.

– Chyba właśnie widziałem.

Niewątpliwie stalibyśmy na tarasie przez całą wieczność, niezdolni żadnego pocałunku nazwać ostatnim, gdyby w końcu nie przyszli mnie szukać James z Rebeccą.

Nick zobaczył ich pierwszy, gdy wchodzili przez szklane drzwi, i wciągnął mnie w głębszy cień, zanim James zawołał: – Morg? Jesteś tu?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, poddali się zaraz i wyszli. Gdy schodzili po schodach, słyszałam w ich głosach niepokój.

– O matko – wyszeptałam, przyciskając do ust palce w rękawicze. – To wszystko jest takie straszne.

– Dlaczego? – Nick mnie puścił. – Nie kochasz Jamesa. Nie czas już skrócić jego cierpienia? – Ponieważ nie odpowiedziałam, sięgnął do wewnętrznej

kieszeni i wyjął książeczkę czekową. – Kiedy się namyślisz – mówił, skreślając adres na odwrocie pustego czeku – znajdziesz mnie tutaj. – Przedał czek na pół i podał mi go.

– Do kiedy?

– Do jutra rana. – Wsunął książeczkę i długopis do kieszeni. – Wtedy dostanę nowe rozkazy. – Uśmiechnął się tęsknie. – Zdaniem szefa ostatnio za dużo się bawiłem. Czas znowu kibicować drużynie.

Wpatrywałam się w adres, choć go nie widziałam.

– Dotrę do ciebie przez Fundację Aqrab?... Jeśli nie zdążę cię złapać przed wyjazdem?

Uśmiech Nicka zniknął.

– To jest to, Diano. – Chwycił mnie za ramiona i obrócił w stronę oświetlonego mostu nad Bosforem. – Jedyne łączące nasze światy.

– Rozumiem – odparłam. – Ale...

Miękko pocałował mnie w skroń, dokładnie tam, gdzie pod wężową migoczącą farbą skrywał się siniak.

– Wracaj do środka, znajdź swoich przyjaciół i zabierz ich stąd.

– Czekaj! – Próbowałam go zatrzymać, ale się wymknął.

– Nie żartuję – dodał. – Wyjdźcie natychmiast. Będą kłopoty.

Jamesa i Rebecę znalazłam na drugim piętrze, jak czekali przed łazienką dla gości.

– Jest! – zawołał James, cofając się o krok na mój widok. – Niepokoił się o ciebie.

– W tym domu łatwo się zgubić – odparłam, mając nadzieję, że na mojej twarzy, wbrew moim uczuciom, nie ma rumieńca. – Wszędzie was szukałam.

– No to jesteśmy – odparła Rebecca, nie patrząc mi w oczy. Coś w jej zaciśniętych wargach i jednej podniesionej brwi powiedziało mi, że trafnie podejrzewa, co robiłam i z kim. Zdałam sobie sprawę, że z miejsca, w którym stoi, miała doskonały widok na Nicka schodzącego na dół... niespełna pół minuty przede mną.

– Wspaniale – powiedziałam, chwytając oboje za łokcie. – No, wychodzimy.

Najwyraźniej marnujemy...

Przerwał mi dotyk dłoni na moim nagim ramieniu.

– James. Piękne panie. – Reznik spojrział na nas wszystkich z figlarną powagą woźnego w nawiedzonym domu. – Ambasador właśnie wyszedł. Gotowi?

Małe muzeum Reznika, jak się okazało, znajdowało się dokładnie po drugiej stronie betonowej ściany. Skromne i absolutnie niepozorne stalowe drzwi służyły za bramę pomiędzy dwoma światami – publicznym i prywatnym. Uświadomiłam sobie, że w ciągu wieczoru minęłam te drzwi kilkakrotnie, uznając je za wyjście ewakuacyjne.

– Normalnie to wejście jest pod napięciem – wyjaśnił Reznik, sięgając do kieszeni spodni. – Ale oczywiście – wyjął niewielki pęk kluczy spiętych złotym łańcuchem – nie chcę porazić swoich gości. – Sprawdził drzwi paznokciem, zanim wsunął klucz do zamka. – Przepraszam, że wejdem pierwszy.

Podążyliśmy za nim w ciemności i usłyszeliśmy, jak drzwi za nami się zamykają z niezbyt miłym brzdękiem. Następnie rozbłysło zielone światło, a nasz gospodarz zatrzymał się, by wstukać kod na panelu na ścianie. Z rosnącą niecierpliwością zrobił to trzykrotnie i w końcu krzyknął: –*Czort wozmi!* Dopiero co upgradowałem system alarmowy. Idioci!

Sięgnął gwałtownie i włączył światła na suficie, a myśmy stwierdzili, że znajdujemy się w wąskim pomieszczeniu – najwyraźniej czymś w rodzaju klimatyzowanej komory pomiędzy dwiema częściami domu.

– Dziwne – podjął, machając ręką przed czujnikiem na ścianie. – Mówi, że jest włączony, a nie jest. Ach tak. – Chyba przypomniał sobie, że ma widownię, bo odwrócił się do nas z wymuszonych uśmiechem. – Za moich czasów wszystko działało jak należy. Wiecie, co mam na myśli?

Wszyscy kiwnęliśmy głowami. Z bładości Rebekki domyśliłam się, że ona też została właśnie napomniana, że dla tego zatwardziałego marksisty kultura i sztuka są nierozzerwalnie związane z kradzieżą i przymusem.

Z miną zdradzającą obawy Reznik otworzył kolejne drzwi i wszedł przed nami do doskonałej repliki londyńskiej staroświeckiej posiadłości, wraz z mosiężnymi kandelabrami i wyłożonymi dywanem schodami prowadzącymi na kolejne kondygnacje.

Każdy element wystroju sugerował, że przechodząc przez dwoje pancernych drzwi, cofnęliśmy się w czasie o sto lat. Wyłożony ciemnym drewnem i zastawiony szklanymi gablotami pełnymi antyków pokój, w

którym się znaleźliśmy, kojarzył się z klubem dżentelmena. Jedynym brakującym elementem był odziany we frak kamerdyner o kamiennym obliczu, pytający, czy będziemy łaskawi jak zwykle wypić herbatę w bibliotece.

Zaniepokojony niedziałającym systemem alarmowym, Reznik pobiegł naprzód, oprowadzając nas naprędce po wszystkich artefaktach wyeksponowanych na tym piętrze. W jednej z gablot znajdował się złożony strój samuraja w otoczeniu czterech mieczy – w drodze do wyjścia Reznik przystanął, by wziąć jeden z nich.

– Dla bezpieczeństwa – wyjaśnił nam. Sprawiał wrażenie, jakby takie chodzenie z bronią gotową na ewentualnych wrogów było dla niego całkowicie naturalne. – Na razie niczego nie brakuje. Myślę, że wszystko w porządku.

Chodźcie ze mną.

Weszliśmy na schody, a po drodze Reznik powiedział do Jamesa: – Dopóki pamiętam... chcę z tobą pogadać o tej twojej przyjaciółce, Dianie Morgan.

Nie tylko ja podskoczyłam na dźwięk mojego nazwiska. Rebecca zrobiła do mnie minę wyrażającą czystą panikę i niemal się potknęła w swojej długiej sukni.

Na szczęście Reznik, idąc przodem, niczego nie zauważył. Jako pierwszy opamiętał się James.

– A co z nią? – spytał. – Od jakiegoś czasu nie miałem od niej wiadomości.

– Tak? – rzucił Reznik, wyczuwając, że James kłamie. – Wiesz, gdzie ona jest?

Wspiąwszy się po schodach, znaleźliśmy się w bibliotece, która zajmowała całe pierwsze piętro – dokoła wielkiej klatki schodowej ciągnęła się galeria biblioteczek.

– Ależ wspaniałe pomieszczenie! – krzyknął James, starając się zmienić temat. – Ile masz książek?

Ale Reznik nawet nie usłyszał jego pytania. Pognał przez wielki perski dywan i rzucił się do szafki z krzykiem wściekłości.

– Nie! To suki!

Przed zieloną atlasową poduszką oświetloną miniaturowym reflektorkiem widniała mosięzna tabliczka z napisem: „P. Exulatus, *Historia*

Amazonum”. Ale poduszka była pusta.

Chociaż system alarmowy nie działał, kilkanaście kamer umieszczonych w strategicznych miejscach najwyraźniej funkcjonowało. Wszystkie były kontrolowane z pozbawionego okien pomieszczenia na górnym piętrze, które okazało się sypialnią w stylu Ludwika XVI, dopełnioną olbrzymim portretem Marii Antoniny oraz miniaturką gilotyny do cięcia cygar.

Sądząc po stęchłym, kwaśnawym zapachu, w tej ciemnej jaskini Reznik sypiał, i mimowolnie czułam, że nie powinno nas tu być – że nasza znajomość z kapryśnym tyranem staje się zbyt zażyła.

– Mam was – burknął nasz gospodarz, wykopując myszkę spod stosu papierów. – Wreszcie was dopadłem. Szatański pomiot. Bardzo sprytne, zająć moich chłopców kieszonkowcem i pogotowiem. Ale ha! Nagrałem was!

Kiedy tak staliśmy za Reznikiem, nie wiedząc, co począć, Rebecca trąciła mnie i ruchem głowy wskazała dwa manekiny w rogu pomieszczenia. Jeden był ubrany w bikini z kolczugi, drugi w krótką tunikę z wężowej skóry. Sądząc po broni i futrzanych butach, tak Reznik wyobrażał sobie Amazonki.

Tylko że... żadna z nich nie miała prawej ręki. I musiały je stracić niedawno, bo dwa upiornie realistyczne kawałki plastiku leżały bezładnie na podłodze.

Spojrzałam na Rebeccę i zrozumiałam, że obu nam chodzi po głowie to samo: manekiny straciły swoje szakalowe bransolety.

W tym momencie Reznik wydał dźwięk świadczący o wielkiej konsternacji i wszystkich nas przyciągnęło do ekranu komputera.

– Kto to jest, u licha?! – krzyknął. Zastopował nagranie, zrobił zbliżenie na osobę złapaną przez kamerę, po czym dodał jeszcze głośniejsze: – Może ktoś zechce mi powiedzieć, kto to jest?

Nachyliliśmy się bardziej, żeby się przyjrzeć zamazanej czarno-białej postaci mężczyzny stojącego przed biblioteczką. W rękach trzymał tom, który mógł być tylko *Historią Amazonum*. Pomimo słabej rozdzielczości i faktu, że złodziej miał maskę na oczach, rozpoznałam go natychmiast. W końcu jeszcze przed kwadransem byłam w jego ramionach.

– Jak myślicie? – James spojrzał na mnie z wysoce nieatrakcyjną mieszanką złości i triumfu. – Znamy tego bezwartościowego gnojka?

Tak mną to wstrząsnęło, że nie umiałam tego ukryć. Niewątpliwie byłam najbardziej ślepą, łatwowierną ofiarą spośród wszystkich, w których

Fundacja Aqrab zatopiła swoje perfidne zęby.

– Tylko nie bezwartościowy! – Reznik patrzył wściekle na monitor, jakby chciał rozbić go w drobny mak. – Ten rękopis kosztował mnie majątek. A teraz zniknął.

Czułam na sobie wzrok Jamesa, gdy on odchrząknął i rzekł: – Niekoniecznie. Może sprawę wyjaśni telefon do Dubaju?

Chociaż słyszałam jego słowa, byłam wciąż tak porażona widokiem Nicka na ekranie, że nie do końca zdawałam sobie sprawę, co James robi, dopóki Reznik nie warknął zaskoczony: – Myślisz, że stoi za tym al-Aqrab?

James wzruszył ramionami, ignorując moją przerażoną minę.

– Obaj wiemy, że jego ludzie nigdy nie grają fair. Kto inny ośmieliłby się ci to zrobić?

Gdy wieści o włamaniu dotarły do drugiej połowy domu, szykowne zgromadzenie przerodziło się w chaos. Ochroniarze biegali tam i z powrotem, wykrzykując spóźnione rozkazy, ale panujący zamęt nie mógł się równać z chaosem w mojej głowie, gdy przeciskałam się między gośćmi, rozpaczliwie pragnąc uciec.

– Morg! – mówił James za mną po raz któryś już. – Nie bądź taką nudziarą.

Gdzie twoje poczucie humoru?

Nie zadałam sobie trudu, by zareagować. Nieważne, co do niego mówiłam, i nieważne, co sklecił w odpowiedzi – sam fakt, że James mógł tak po prostu wydać Nicka znanemu sadyście, wzbudził we mnie tak niewiarygodną wściekłość, że mogłabym chwycić któreś z upiornych popiersi Alexa Reznika i cisnąć nim w niego.

– Świetnie! – warknął James wściekle. – Wezmę nasze rzeczy z szatni. Za pięć minut spotykamy się przy samochodzie. Ci, których nie będzie, sami wrócą do domu. – I odszedł.

– Muszę siku – powiedziała Rebecca. – Daj mi dosłownie jedną minutę...

Gdy czekałam na jej powrót, znowu poczułam, że ktoś się we mnie wpatruje, tym razem z otwartych drzwi na taras. Była to młoda kobieta w srebrnym kostiumie myszy – moja nemezis na rollkach.

W tym harmidrzu nasze oczy się spotkały. Nagle, z zuchwałym uśmiechem wyciągnęła jakąś torebkę i przewiesiła ją sobie obojętnie przez ramię. Nie mogłam jej nie zauważyć.

To była moja torebka, ta, którą straciłam w labiryncie w Knossos.

– Ej! – zawołałam, odruchowo rzucając się w jej stronę. Ale gdy tylko to zrobiłam, ona zrobiła w tył zwrot i uciekła do ogrodu.

Ruszyłam za nią. Srebrny kostium doskonale odcinał się na tle zieleni i chociaż kobieta wyglądała na nadzwyczaj wysportowaną, zdołałam jej nie zgubić aż do granic posiadłości, pomimo swoich butów i rosy, od której trawa zrobiła się zdradziecko śliska. Dotarwszy do ogrodzenia, przecisnęła się przez dziurę w siatce, przystanąła, żeby sprawdzić, czy wciąż ją gonię, i czmychnęła drogą, wymachując torebką.

Szanse miałam niewielkie, ale ani myślałam pozwolić tej kobiecie uciec – nie bez walki. Klnąc pod nosem na czym świat stoi, przecisnęłam się przez ogrodzenie, poświęcając swoją fryzurę, buty i zdrowy rozsądek za jednym zamachem, by podążyć za długonogim rabusiem stromą ulicą kierującą się ku morzu.

Bieg na bosaka po szorstkim betonie był dziwnie wyzwalający, długą spódnicę podkasałam aż na biodra i osiągałam tempo, które mnie samą zadziwiło.

Latarnie śmigały jedna po drugiej, przestrzeń pomiędzy mną a zwierzyną nie rosła ani na chwilę, a kobieta wciąż oglądała się przez ramię, aż w pewnym momencie skręciła za róg i zniknęła.

Sama też zaraz dopadłam tego rogu, ale jej już nigdzie nie było widać.

Stałam w spokojnej dzielnicy rezydencji, wszędzie widziałam zaparkowane samochody. Miejsc na kryjówkę zatrzęsienie. Przystanąłam i nasłuchiwałam kroków albo jakiegoś innego dźwięku sugerującego, że ona wciąż jest w pobliżu...

i oto co zobaczyłam: Brytyjski paszport. Na chodniku. U moich stóp.

Schyliłam się po niego zaskoczona. Mój.

Szłam cichą ulicą z absurdalnym poczuciem, że coś osiągnęłam, i wysledziłam kolejny przedmiot leżący na chodniku, dokładnie pod latarnią.

Mój portfel.

Może powinno mnie oświecić już wtedy, ale oświeciło dopiero, gdy znalazłam swój kalendarz – leżący na widoku pod kolejną latarnią, zaraz za rogiem następnej bocznej ulicy. Wtedy zdałam sobie sprawę, co się dzieje.

Ona mnie wabiła. Najpierw torebka, potem paszport, potem portfel... a ja, jak matoł, schlebiałam sobie, że jestem myśliwym.

Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam coś, co bardzo przypominało pęk kluczy, w tym moich cennych kluczy oksfordzkich. Ale tym razem nie pobiegłam po nie. Wycofałam się ostrożnie, trochę spodziewając się zgrai siłaczy wysypujących się z furgonetki, by mnie zakneblować i związać.

Cofnęłam się aż do rogu i dopiero tam ośmieliłam się odwrócić. W głowie mi się kręciło od bezładnych pytań i niedorzecznych odpowiedzi, i pobiegłam jak najszybciej w górę ulicy, tą samą drogą, którą przyszłam, aż do posiadłości Reznika. Z ulgą rozpoznałam gęstą siatkę ogrodzeniową, przez którą wcześniej się przecisnęłam, i ruszyłam wzdłuż niej, aż dotarłam do wysokiej bramy, przy której wciąż kręcili się goście w przebraniach, czekający na taksówki.

Poruszając się zygzakiem przez tłum na pulsujących bosych stopach, dalej szłam chodnikiem po drugiej stronie ulicy, wciąż tak zajęta rozgryzaniem tego, co się stało, że minęłam dwa razy puste miejsca parkingowe, zanim dotarła do mnie prawda...

Astona martina Jamesa już nie było.

Nie dowierzając, kilka razy rozejrzałam się dokoła, serce mi łomotało jak szalone, ale nic się nie zmieniło. Latający dywan odleciał beze mnie.

ROZDZIAŁ 32

TROJA

Wiatr północny wiał nieprzerwanie przez trzy długie tygodnie. Dla Myriny były to trzy tygodnie nieznośnego aresztu domowego i patrzenia z balkonu, jak widoczne w oddali Morze Egejskie wypełnia się statkami, które nie mogą opłynąć przylądka, dopóki wiatr się nie zmieni. Parys zapewnił ją, że wszystko to są statki handlowe pod wodzą spokojnych kapitanów, ale ich rosnąca obecność i tak wydawała się groźna. Czyż marynarze nie potrzebowali nieustannie żywności i rozrywki? A czyż nie widziała na własne oczy, jak bez wahania ci mężczyźni są gotowi wymusić chwilę rozkoszy ostrzem miecza?

– W życiu nie sądziłam, że na świecie jest tyle statków – powiedziała do Parysa pewnego dnia, gdy razem stali na balkonie.

– Kiedy wiatr się zmieni, ruszą w dalszą drogę – zapewnił ją, trzymając dłoń na jej ramionach.

Myrina oparła się o niego.

– Oprócz statków greckich.

– Założę się – odparł, całując ją w kark – że nawet oni będą mieli dość.

Agamemnon, władca Myken, dał królowi Priamowi miesiąc na ukaranie Amazonek, rzekomo skrywających się za jego wysokimi murami, i na przekazanie niewinnej Heleny, którą tak okrutnie porwano z rodzinnego domu. Jeśli chodzi o los zabójczynie mężczyzn Myriny, oczywiście nie wypadało domagać się ukarania księżnej Troi, w każdym razie nie teraz, gdy była jeszcze na tyle młoda, by wzbudzać zainteresowanie swego męża. Ale może pokuta za jej grzechy przybierze formę deklaracji o dobrych relacjach Myken i Troi – relacjach, które zapewnią swobodne przepływanie statków i towarów przez Hellespont.

Myrina nigdy nie zdołała pojąć genezy wrogości pomiędzy Agamemnonem a królem Priamem, ale wiedziała, że od dziesięciu lat Achilles, grecki pirat, pustoszył trojańskie wybrzeże.

– Jego ludzie uwozili nasze plony niczym armia mrówek – wyjaśnił jej Parys – a co poważniejsze, porywali nowo narodzonych obywateli i sprzedawali ich w niewolę. Agamemnon oczywiście twierdzi, że na te napaści nie miał żadnego wpływu, ale wszyscy wiedzą, że wielce na nich korzystał. – Parys z obrzydzeniem potrząsnął głową. – Mój ojciec ostatecznie postanowił, że nacisnie Agamemnona, by ten okiełznał Achillesa, nakładając myto na greckie statki przepływające przez Hellespont. Te ograniczenia żeglugowe oczywiście rozwścieczyły wszystkich greckich kapitanów, którzy na tych wodach zarabiają na życie. Wierz mi, odbyłem z ojcem wiele dyskusji o mądrości jego polityki, bo obawiam się, że prowadzi ona wyłącznie do nasilenia wrogości.

Jeśli wziąć pod uwagę tę historię o wzajemnych krzywdach, może nic dziwnego, że Agamemnon postanowił wykorzystać sprawę swojej porwanej córki, by nacisnąć Priama na zniesienie myta hellesponckiego. Ale na to żądanie jakby ktoś przyzegał współczujące uszy króla. Czując wstręt do połączenia roli zbolełego ojca i intryganckiego zarządcy, król Troi odesłał Agamemnona i jego delegację, niczego im nie obiecując. Jednocześnie jednak zwrócił się do Myriny i zażądał, żeby natychmiast ściagnęła zarówno Helenę, jak i Amazonki, tak by Grecy nie mieli żadnych pretekstów do wszczynania waśni.

Stało się więc na tym, że Hippolita i Animone zostały wysłane do Efezu, by wyjaśnić sytuację Otrere i nakłonić Helenę, by przybyła do Troi i stanęła przed swoim ojcem. Kiedy dwie posłanki wyruszyły, Myrina mogła już tylko czekać.

Zamknięta w swoim pokoju na rozkaz króla Priama, wszystkie wiadomości dostawała za pośrednictwem Parysa. Nieszczęsna Kara próbowała się zabić, łagodna interwencja Lilli... to wszystko docierało do niej z drugiej ręki i chociaż rozumiała, dlaczego król poczuł potrzebę ukarania jej za kłopoty, które sprowadziła pod jego dach, Myrina nienawidziła swojej bezradności w odosobnieniu.

– Cierpliwości – błagał ją Parys po wielekroć. – Im więcej robisz hałasu, tym dłużej potrwa jego gniew. Mój ojciec jest człowiekiem, który musi

postawić na swoim. Jediną skuteczną reakcją jest milczące podporządkowanie się.

Jeśli chodzi o królową, tylko raz przyszła zobaczyć się z Myriną, by pogłaskać ją po policzku zimnymi, bezkrwistymi palcami.

– Moje biedne dziecko – wyszeptała, z oczyma przepelnionymi smutkiem.
– Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam od chwili, gdy tu przybyłaś. Moja biedna dziewczynka. Mój biedny chłopiec.

Myrina mogła tylko trzymać się nadziei, że jej siostry w Efezie będą wiedziały, co robić, i pospieszą jej na ratunek. Na pewno przybycie do Troi Heleny – po tylu miesiącach równie zdrowej i dziewiczej jak zawsze – ułagodzi Agamemnona, który wybaczy im wszystkim.

Gdy grupa wreszcie wróciła z Efezu, Myrina patrzyła wyczekująco z balkonu, próbując rozpoznać twarze sióstr. Doliczyła się dwunastu kobiet, ale nie zdołała rozpoznać żadnej, zanim zniknęły w stajni, by zająć się końmi.

Nie mogąc powstrzymać ekscytacji, podbiegła do drzwi i załomotała w drewniane deski. Ale nikt nie odpowiedział, dopiero Parys przybył, by zaprowadzić ją do sali tronowej.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedział ze ściągniętą twarzą – że ten hałas słychać w całym budynku?

– Więc dlaczego nikt nie reaguje? – Myrina pognąła przed nim korytarzem. – Co pomyślą moje siostry? Że jestem niewolnicą?

Parys chwycił ją za łokieć i zatrzymał.

– Może pewnego dnia przypomnisz sobie to zniewolenie i zatęsknisz za nim.

Myrina wpatrywała się w niego, nagle przerażona.

– Nie mów tak...

– Więc milczmy oboje – rzekł Parys, obejmując ją ramionami – i nie kalajmy tych dni cynicznymi słowami.

W świątyni Posejdona król Priam przyjmował wrogów, a w sali tronowej witał przyjaciół. Usadowiony na podwyższonym marmurowym tronie pod ścianą w głębi – tronie z poręczami rzeźbionymi na kształt pazurów i oparciem przypominającym ptasie skrzydła – zdążył się zasłuchać w wieści z Efezu, gdy przybyła Myrina z Parysem.

Jeśli Myrina oczekiwała siostrzanego powitania, srodze się rozczarowała.

Na środku stała postawna Pentezylea, mówiła, śmiało gestykulując, i ledwie dała znać, że zauważyła jej przybycie. Z surowością skinęła tylko głową, jakby mówiła: „To twoja wina”. A wokół Pentezylei stały głównie kobiety, z którymi Myrina jedynie z rzadka rozmawiała w gospodarstwie Otrere: zatwardziałe jeźdźczynie i myśliwczynie, które uważały się za o wiele lepsze niż nowo przybyłe i nigdy nie próbowały się z nimi zaznajomić. Jedyne rzeczywiście znajome twarze należały do Pitany i Heleny, przy czym ta ostatnia wyglądała na równie urażoną jak zawsze.

Ale przynajmniej przyjechała.

– Nie zaskakują mnie – powiedział Priam, zmieniając pozycję na swoim marmurowym tronie – wieści o tych nowych napadach wzdłuż wybrzeża.

Z każdym dniem Grecy stają się śmielsi. Jeśli Agamemnon w ogóle kiedykolwiek próbował wziąć na smycz tego pirata, Achillesa, to ponad wszelką wątpliwość teraz go znowu z tej smyczy spuścił. To mądrze ze strony Otrere, że opuszcza gospodarstwo, zanim zostanie spustoszone. Dokąd zamierza się udać?

Pentezylea się wyprostowała.

– Będziemy wędrować na wschód, by osiedlić się pośród hodujących konie Kaszków na skalistych wybrzeżach Morza Czarnego. To region, który nadaje się na niepodległe państwo. Jak pewnie wiesz, Grecy zwą tamtejsze morze Niegościnnym, i nigdy nie zostało przez nikogo podbite. Nawet ty – spojrzała śmiało na króla Priama, jak zawsze niezdolna do pokory – nie ośmieliłbyś się posłać swoich wojsk w te wąskie doliny.

– Dlaczego Otrere nie bierze pod uwagę osiedlenia się w Troi? – odparował król, którego sam ton sugerował, że nie tyle jest zaniepokojony, co zaintrygowany prowokacją. – To o wiele bliżej, a naszych murów nikt nie pokona.

Myrina знаła Pentezyleę na tyle dobrze, by w jej oczach dojrzeć rzadko spotykane zakłopotanie. Zakłopotanie, domyślała się, z powodu króla, którego miasto nie było dość dobre dla Otrere.

– To bardzo łaskawe ze strony Trojan – odparła Pentezylea, spuszczaając wzrok – ale... Otrere postanowiła opuścić wybrzeże.

– Rozumiem. – Priam zabębnił palcami w marmurową poręcz. – Rozumiem.

Zapadła nerwowa cisza, pełna ukradkowych spojrzeń, po czym Myrina

wystąpiła do przodu, nie mogąc zachować milczenia.

– Co nowego u moich sióstr? – spytała. – Gdzie są teraz?

Pentezylea odwróciła się do niej niechętnie.

– Rozbiłyśmy obóz nad rzeką Simois, na północny wschód stąd. Te, które wolały zostać w Efezie, mogły dokonać takiego wyboru. Nikt nie został. Zrobiło się tam zbyt niebezpiecznie. A te, które chciały ruszyć do Troi, by dostarczyć małą podżegaczkę ukochanemu ojcu – Pentezylea spojrzała groźnie i z obrzydzeniem na Helenę, a potem dostojnym gestem wskazała grupę – właśnie widzisz. Nikt inny nie uważał, że ma tu coś do załatwienia.

Myrina skrzywiła się na surowe spojrzenie oczu Pentezylei. Naturalnie nie mogła się dziwić córom Otrere, że nie podobała im się sytuacja, która zmusiła je do porzucenia domu, ale wcześniej miała nadzieję, że wciąż będą na nią patrzeć jak na przyjaciela, nawet jeśli nie jest już ich siostrą.

– Za twoim pozwoleniem, królu – podjęła Pentezylea – pojedziemy na plażę i oddamy tę dziewczynę Agamemnonowi, byśmy jak najszybciej mogły dołączyć do Otrere...

– Czekaj! – zawołała Myrina, rozzłoszczona apodyktycznym zachowaniem Pentezylei. – Czy nie lepiej naradzić się z Heleną, poszukać najrozsądniejszego wyjścia? Ona zna swojego ojca najlepiej.

Pentezylea parsknęła.

– Nie mów mi o rozsądku! To ty ją porwałeś i to ty ją zwrócisz!

– Nie omieszkam – odparła Myrina. – Ale...

– Absolutnie nie! – krzyknął Parys. – Nie zgadzam się.

Dopiero gdy król Priam kazał strażom pojmać Parysa i zamknąć w jego pokoju, zaaprobował plan Pentezylei, by kobiety dostarczyły Helenę Grekom. Zbyt wstrząśnięta, by w ogóle podjąć interwencję, Myrina podążyła korytarzem za mężczyznami ciągnącymi siłą Parysa i podsłuchiwała wściekłą rozmowę ojca i syna.

– Robię to, co należy – mówił król, gestem nakazując strażom stanowczość.

– Podziękujesz mi, gdy odzyskasz rozsądek.

– Jesteś mordercą! – wrzeszczał Parys, walcząc tak wściekle, że aż czterech silnych mężczyzn musiało go trzymać. – Poświęcasz te kobiety. I moją żonę!

Przynajmniej zapewnij im oddział straży...

– Żeby wyglądało na to, że planujemy kolejną agresję? – Priam ponuro potrząsnął głową. – Czyż te kobiety nie dość już rozwścieczyły Greków? Jako król nie mogę się nimi przejmować. Jako ojciec...

– Nie wymawiaj tego słowa! – krzyknął Parys, gdy strażnicy zamknęli mu drzwi przed nosem. – Przysięgam na niebiosy, że już nigdy nie siądę z tobą do stołu!

Straszliwe słowa wciąż brzmiały w uszach Myriny, gdy wróciła do sali tronowej, gdzie czekały Pentezylea i jej towarzyszkę. Chciały jak najszybciej ruszyć w drogę. Na plecach miały łuki wykonane na podobieństwo jej broni, i kołczany ze strzałami, które wymyśliła... a jednak patrzyły na nią jak na zdrajczynię niewartą jednego pojednawczego słowa. Nawet tym, że wyruszała z nimi wbrew woli Parysa, nie zasłużyła sobie na nic więcej poza skinieniem głowy.

Gdy już siedziały na koniach, niechętnie przyjąwszy czubiaste hełmy i tarcze w kształcie półksiężyca, który to ekwipunek w ostatniej chwili wmusił im król Priam, galopem opuściły cytadelę. Mieszkańcy grodu i drób pierzchali przed nimi, gdy pędziły ulicami Troi, koncentrując się na jak najszybszym wykonaniu obmierzłego zadania.

Cztery okręty, na których Agamemnon i Menelaos przybyli do Troi, były wyciągnięte na brzeg pośród setek obcych statków w osłoniętej, wychodzącej na zachód zatoczce naprzeciwko wyspy Tenedos. By tam dotrzeć, kobiety musiały przeciąć Równinę Skamandrycką, jadąc pod zachodzące słońce – nie tylko Myrina jechała z tarczą podniesioną, tak by się osłonić przed oślepiającym blaskiem.

Gdy się zbliżyły do wybrzeża, ze zdumieniem ujrzała ciągnące się bez końca miasteczko namiotów, które wyrosły wokół wyciągniętych na brzeg statków.

Gdyby nie wiedziała, że jest inaczej, pomyślałaby, że wiele tysięcy marynarzy przybyło razem na ten rozległy brzeg przede wszystkim by świętować, bo nad każdym ogniskiem wisiała na rożnie półtusza i nigdzie się nie uświadczyło nieszczęśliwej twarzy.

Gdy dotarły jednak do obozu greckiego, drogę im zagroziło kilku strażników z włóczniami w ręku, by wysłuchać ich sprawy i sprawdzić, czy nie mają przy sobie innej broni prócz niezbyt groźnych łuków na plecach. Ale gdy tylko mężczyźni zorientowali się, że mają do czynienia z kobietami,

ich ubawienie przerodziło się w burzę pohukujących drwin i sprośnych propozycji.

– Zdejmij hełm – poleciła Pentezylea Helenie – żeby cię rozpoznali i zaprzestali tych niedopuszczalnych drwin.

Ale Helena nie zdjęła hełmu. Pozostała milcząca od przybycia do Troi i najwyraźniej urażona, że niemal bezceremonialnie wyrzucono ją z siostrzeństwa.

Myrina powzięła silne postanowienie, że nie zmieni zdania pod wpływem współczucia, ale teraz poczuła żal nad dziewczyną, której przekazanie tyranowi było tak bliskie.

Gdy zbliżyły się do namiotu Agamemnona, najpierw wyszedł z niego przystojny Menelaos z włócznią w ręku. Za nim pojawił się władca Myken, opierając się na srebrnym drzewcu.

– No jest! – krzyknęła Pentezylea, ściągając cugle. – Teraz zdejmij ten przeklęty hełm...

Jadąc powoli na przedzie, Helena... odrzuciła tarczę i zdjęła łuk. Zanim ktokolwiek jej przeszkodził, miała na cięciwie strzałę i mierzyła wprost w Agamemnona.

– Ojcze! – krzyknęła głosem tak słabym, że nie mógł dotrzeć daleko. – Pojadę z tobą pod jednym warunkiem...

Ale przygotowaną wypowiedź przerwało jej gwałtownie bezduszne ostrze Losu. Bo włócznia, którą Menelaos rzucił w obronie króla, uderzyła Helenę prosto w pierś i zrzuciła ją z konia z dźwiękiem zbyt straszliwym, by nazwać go krzykiem. Dziewczyna spadła na piach, wierzgnęła nogami i znieruchomiła, a jej głowa opadła na bok już bez słowa.

Zbyt przerażona, by zachować roztropność, Myrina zeskoczyła z konia i rzuciła się do Heleny, szukając oznak życia. Ale włócznia stercząca z tej wątej piersi była nieomylnym znakiem, że śmierć ją ubiegła.

W potężnym wybuchu żalu Myrina objęła bezwładne ramiona, które tak często poklepywała w czasie szkoleń z bronią, i zaczęła zasypywać pocałunkami obojętną twarz Heleny, niemal nie zdając sobie sprawy, co czyni. Gdy wreszcie usiadła i zamknęła niewidzące oczy, usłyszała wściekły rozkaz Pentezylei: – Wracaj na konia, kretynko! Chcesz, żeby nas wszystkie nadziali na włócznie jak ryby?

Dopiero gdy kobiety odsunęły się od ciała Heleny, zebrali się wokół niego

Grecy, ciekawi, kto ośmielił się mierzyć strzałą w ich króla. Nawet sam Agamemnon podszedł i wychylił się przez ramię Menealosa.

– Do tyłu! – krzyknęła Pentezylea, gestem nakazując towarzyszkom niezwłoczny odwrót. – Zaraz ją rozpoznają.

Ale nawet Agamemnon rozpoznał swoją córkę dopiero wówczas, gdy jego ludzie skopali jej ciało. Wtedy nagle rozległ się przejmujący wrzask, a obóz grecki wybuchł przerażeniem i wściekłością. Przywołano konie, znaleziono broń... Już po kilku chwilach kobiety gnały jak szalone przez Równinę Skamandrycką, by ujść spod gradu włóczni i ryczących przekleństw.

Kiedy dotarły do rzeki, Myrina i Pentezylea zostały z tyłu, chcąc dopilnować, by wszystkie ich towarzyszki bezpiecznie przedostały się przez most.

Nagle jakaś włócznia przeleciała tak blisko ucha Myriny, że ta usłyszała jej świst.

Odruchowo odwróciła się w siodle, podniosła tarczę i poczuła potężne uderzenie dwóch kolejnych pocisków – włóczni ciśniętych z taką siłą, że niemal zrzuciły ją z siodła. Widząc, że groty włóczni utknęły mocno w wołowej skórze, czyniąc tarczę zbyt nieporęczną, by jeszcze się do czegoś nadawała, odrzuciła ją i sięgnęła po łuk na plecach.

Jeden, dwóch... trzech mężczyzn nie uniknęło jej strzał. Czwarty zdołał się uchylić i podjechał do Pentezylei. W jego spiżowym mieczu odbiło się kilka ostatnich promieni zachodzącego słońca, gdy wolną ręką odrzucił jej tarczę.

Myrina, zajęta uspokajaniem spanikowanego konia, nie widziała ciosu.

Zobaczyła dopiero, jak ciało Pentezylei spada do Skamandra w strudze krwi, a potem bezwładne porywa je prąd.

I nagle Myrina znalazła się w potrzasku. Dwóch mężczyzn zablokowało most, a następni nadjeżdżali, odcinając jej powrót. Wyciągnąwszy zza pasa minoński topór – broń, którą Parys skonfiskował niemal na samym początku, ale Lilli ją wytropiła podstępными pytaniami – Myrina rozejrzała się, kto podjedzie do niej pierwszy... i ledwie uniknęła zamaszystego ciosu z ręki mężczyzny, który dopiero co zabił Pentezyleę. Czysty odruch kazał się jej odchylić w tym dokładnie momencie, gdy on uderzył. Zachwiała się tak mocno, że zsunęła się z konia i głową naprzód runęła w dół brzegu.

Śmiejąc się z jej wypadku, mężczyzna pieszo podążył za nią na dół, na skraj wody, najwyraźniej zakładając, że jednym ciosem miecza pośle ją w

ślad za Pentezyleą. Ale już kiedy myślał, że ją ma, taką kulącą się w błocie pod jego stopami, Myrina zamasyście uderzyła toporem w jego brzuch, który tak nieostrożnie odsłonił.

Może zadała cios pod niewłaściwym kątem, bo topór nie wbił się w ciało mężczyzny, ale sama siła uderzenia wystarczyła, by przeciwnik zgiął się wpół z jękiem i stracił równowagę. Nawet nie myśląc, Myrina chwyciła go za pas na ramieniu, pociągnęła z całej siły... i wtedy on też, tak jak kobieta, którą zabił przed chwilą, poleciał głową naprzód do pędzącej rzeki.

Dyszząc z wysiłku i oszołomiona z paniki, Myrina nie mogła zdecydować, czy powinna zostać na miejscu, niebezpiecznie blisko wody, czy podjąć próbę wdrapania się po błotnistym brzegu. Tak czy owak będzie musiała stawić czoło kilkunastu mężczyznom... mało obiecująca sytuacja. Kusiło ją, by po prostu wskoczyć do rzeki, stopami naprzód i niech zdecyduje los...

Ale wtedy je usłyszała: przejmujące, zawodzące okrzyki wojenne cór Otrere.

I mężczyźni też je usłyszeli. Unieśli twarze z niedowierzaniem i zaczęli się wycofywać znad brzegu, rozglądając się za swoimi końmi... ale było za późno.

Myrina obejrzała się i zobaczyła grupę sióstr Pentezylei, jak wracają do mostu w pełnym galopie z łukami gotowymi do strzału. W jednej sekundzie ich strzały przeszły wszystkich mężczyzn.

Ale nadciągali kolejni Grecy – niektórzy konno, inni pieszo – a każdy spragniony odwetu. Pośród nich zaś jechał Menelaos, uzbrojony w kilka włócznie.

Zorientowawszy się w swojej straszliwej pomyłce, pograżył się w takiej nienawiści, że wystarczyłoby jej, by zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto.

Zbierając wodze swego konia, Myrina ruszyła do mostu, póki mogła, lękając się pocisków, które wkrótce miały nadlecieć. Pokonała most, zawodząc z wdzięcznością ku córom Otrere, a jednocześnie zastanawiając się, jak daleko dotrą, nim znowu zostaną zatrzymane.

Ale mężczyźni, uzbrojeni, jak przystało na mężczyzn, we włócznie i miecze, siedzieli tak ciężko w swoich siodłach, że kobiety zdołały nawet zwiększyć przewagę, gdy spinając konie ostrogami, pędziły przez Równinę Skamandrycką pod osłonę Troi.

– Zamykać bramę! – krzyknęła Myrina, gdy wreszcie znalazły się w

środku.

– Szybko!

Gdy ogromne drewniane skrzydła się zatrzasnęły, zablokowane wielką wzmocnioną belką, usłyszała wściekłość Greków odciętych po drugiej stronie.

– Otwierać, podli tchórze! – ryknął ktoś, łomocząc w bramę. – To ma być osławiona trojańska odwaga? Wysyłacie kobiety, by walczyły za was?

Nocą, gdy Myrina wróciła do pałacu ze swoimi zasmuconymi towarzyszkami, zastała Parysa czekającego przy stajni. Nic nie mówił, tylko patrzył na nią z wyrazem, który już wcześniej widywała, ale nigdy go do końca nie rozumiała. Dopiero teraz. Były to bardziej przeprosiny niż oskarżenie – mroczne spojrzenie, które mówiło jej, że już dawno ujrzał swój los w jej czynach i że już dawno przestał obarczać ją odpowiedzialnością.

Przed świtem Myrina wybudziła się ze strasznego snu i na oślep szukała go szaleńczo w ciemnościach. Leżał tam, spał obok niej.

Od trzech dni przebywali w górskiej chacie. Trzy dni, by opłakać grecką księżniczkę, trzy dni, by przygotować majestatyczny proces, który wskaże, kogo winić za jej śmierć. Menelaos sugerował swój pojedynek z Parysem. Agamemnon, wyjaśnił królowi Priamowi, jest zbyt zdruzgotany, by wracać do Myken bez sprawiedliwości, i to on zażądał, by młodzi mężczyźni rozstrzygnęli kwestię w tradycyjny sposób.

Parys przyjął wyzwanie, zanim jego ojciec w ogóle zdołał zareagować.

A Menelaos oddalił się równie cicho, jak przybył, z głową pochyloną na znak żałoby po niedoszłej oblubienicy, której twarz ujrzał po raz pierwszy, gdy leżała przed nim przeszyta jego włócznią.

Tamtego wieczoru Parys zabrał Myrinę do górskiej chaty, by spędzili trzy spokojne noce przed strasznym dniem. Ale żadne z nich nie mogło się w pełni nacieszyć wiejskim ustroniem, za którym tak długo tęskniło. Bo chociaż Parys zachowywał się jak gdyby nigdy nic, Myrina tak się zamartwiała, że nie mogła się radować jego pieścizotami bez łez.

Tego ostatniego poranka, obudziwszy się przed wschodem słońca, naprawdę wołałaby, żeby się nigdy nie spotkali – żeby jego życia nie zatrulo jej nieszczęście.

Gdyby to oznaczało, że zestarzałby się w spokoju, z radością widziałaby go zonatego z inną, z jakąś uroczą, posłuszną dziewczyną.

– O co chodzi? – wyszeptał, wyczuwając jej smutek i przyciągając ją do siebie. – Znowu złe sny?

Myrina próbowała przełknąć łzy, ale za wiele ich było.

– Dlaczego tak musi być? – Wtuliła twarz w jego klatkę piersiową. – Dlaczego nie możemy zostać tutaj, w lesie?

Parys westchnął.

– Tak świat jest urządony, moja miła. Mężczyźni walczą, a kobiety płaczą.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Chętnie bym walczyła zamiast ciebie – szepnęła. – Zabiłby mnie, ale przynajmniej ty byś żył...

– Ćśś. – Parys pogłaskał ją po włosach. – Mówisz, jakbym już zginął. Czy nie wierzysz w moje umiejętności?

Myrina usiadła gwałtownie.

– Wiesz, że darzę cię najwyższym szacunkiem. Nikt nie jest doskonalszy pod żadnym względem. Ale Grecy są niestali i przebiegli, sam tak mówiłeś. A ten Menelaos... – Wzdrygnęła się. – W jego oczach jest chłód, jakby życie i śmierć niczym się dla niego nie różniły.

– Chodź tu – znowu ją przyciągnął do siebie – i powiedz mi coś jeszcze o moich doskonałościach.

– Och, proszę cię – wyszeptała Myrina, całując jego szorstki policzek i wdychając zapach, zapach, który był wyjątkowy dla niego, zapach, którego nie mogła usunąć żadna kąpiel – nie możemy my też wyruszyć w drogę i żyć wśród Kaszków? Mamy konie i broń. Możemy polować...

– Moglibyśmy to zrobić – odrzekł Parys, gładząc ją po skórze. – Moglibyśmy mieszkać w chacie na pustkowiu, gdzie nikt by nie mówił o honorze i niesławie. A kiedy by przyszło na świat nasze pierwsze dziecko, musiałbym polować w pojedynkę, zostawiając cię samą z dzieckiem w ramionach. – Westchnął. – Nie widzisz, moja miła, że takie życie to nie jest życie? Miasto ma swoje prawa i tradycje, bo ludzie ich potrzebują, żeby się rozwijać.

– Ale...

– Myrino. – Parys ujął ją pod brodę. – Taki był mój wybór. Nikt mnie nie zmusza. Wolno mi odejść, ale nie mogę tego zrobić. Możesz uznać to za dowód, że kocham Troję bardziej niż ciebie, prawda jest jednak zupełnie

inna. Poślubiłaś człowieka honoru. I ze względu na ciebie pozostanę człowiekiem honoru do końca, kiedykolwiek on nadejdzie. Wolę, by cię żałowano jako wdowę po dzielnym mężu, niż wyśmiewano jako żonę tchórza.

– Nie będą mnie żałować – wyszeptała Myrina, opierając się na jego dłoni – bo gdy ciebie zabraknie, nie będą mieli kogo żałować. Bez ciebie nie chcę żyć.

Parys jęknął.

– Co to małżeństwo z tobą zrobiło? Dumna Myrina... gdzie ona się podziała? – Poklepał ją po policzku, jakby chciał ją przebudzić ze snu. – Jak mogę być dzielny, skoro ty już pogrzebałaś nas oboje? Co się stanie z Parysem, jeśli nikt nie będzie pamiętał jego doskonałości? Kto poprawi opłaconych śpiewaków, gdy zaczną śpiewać same fałszerstwa? – Uśmiechnął się i przytknął czubek swojego nosa do jej. – Ty, moja królowo, musisz żyć i pamiętać. To moje błogosławieństwo, a twoje przekleństwo.

Pojedynek pomiędzy księciem Troi a księciem Sparty miał się odbyć w południe, gdy oślepiające słońce stało w zenicie. Miał się odbyć, co więcej, przed Skajską Bramą po północnej stronie miasta, aby arystokracja trojańska mogła go oglądać z wielkiej wieży cytadeli.

Nic dziwnego, że matka Parysa nie zdołała zebrać sił, by wstać ze swojego tronu na dziedzińcu i pokonać schody, a następnie dołączyć do swego męża. Nie jedna, ale trzy służące musiały cichcem wachlować swoją panią liśćmi palmowymi, odkąd ustalono datę pojedynku. Powszechnie było wiadomo, że królowa Troi już zapaliła świece bogom podziemia, by zapewnić serdeczne przyjęcie syna.

Jeśli chodzi o Myrinę, nie miało znaczenia, jak gorąco błagała Parysa, by pozwolił jej pozostać blisko w trakcie ciężkiej próby. Proponowała, że ukryje się wśród strażników wybranych do jego eskorty – ten pomysł oddalił natychmiast.

Musiała pozostać na szczycie wieży, mrużyć oczy i patrzeć, jak jej mąż walczy w pyle, w interesie ludzi wiwatujących z murów.

Żadnej z jej sióstr nie pozwolono wejść na górę, gdzie mogłaby ją wesprzeć.

Od śmierci Heleny i walki nad Skamandrem król Priam z wielką gorliwością pilnował, by wicherzycielskie Amazonki nie rzucały się Grekom w

oczy.

Córy Otrere – wciąż w żałobie po stracie Pentezylei – wyjechałyby już wcześniej, gdyby Priam nie zwrócił uwagi, że może byłoby roztropnie z ich strony pozostać w Troi do rozstrzygnięcia pojedynku. Menelaos się zaklinał, że jeśli przegra, Agamemnon uzna tę klęskę za akt bożej sprawiedliwości i wróci do domu bez dalszych skarg. W takim zaś wypadku Otrere mogłaby się jeszcze raz zastanowić, czy chce uciekać jak zając przed lisami, by osaczyły ją wilki.

Ale chociaż nie było ich z nią na wieży, Myrina wiedziała, że Lilli, Kyme i Pitana modlą się za Parysa w pałacu na dole. Kara także zalewała się łzami, gdy Myrina zostawiała je siedzące tak żałośnie przy kuchennym palenisku, i przeproszała raz za razem za ból, którego przysporzyła.

Myrina jednak nie wierzyła, że Kara naprawdę żałuje.

– Dlaczego ją ratowałaś, po co jej opatrzyłaś nadgarstki? – spytała swoją siostrę, po tym jak Kara próbowała popełnić samobójstwo. – Nie wyświadczyłaś jej żadnej przysługi. Ona chciała umrzeć.

Lilli pokręciła głową.

– Ona nigdy nie chciała umrzeć. Ona chciała po prostu nowe życie. I to właśnie próbuję jej dać. – Gdy Myrina otworzyła usta, by zaprotestować, Lilli położyła jej dłoń na wargach. – Nie było cię z nami na statku płynącym do Myken.

Jest coś, czego nie wiesz. Gdy mężczyźni odkryli, że jestem niewidoma, chcieli mnie wyrzucić za burtę. Ale Kara im nie pozwoliła. Zdołała przekonać księcia, że mam tajemne moce. W ten sposób przyciągnęła jego uwagę. Od tej chwili stała się jedynym celem jego perwersji. – Twarz Lilli ściągnęła się cierpieniu. – Moje ocalenie stało się jej przekleństwem.

Zgodnie z ustaleniami dwóch walczących przybyło w południe.

Menelaos nadjechał z rykiem plażą w rydwanie zaprzęgniętym w konie otoczony przez biegnący i wiwatujący tłum stronników. Parys, który wyjechał z Bramy Skajskiej, niemal natychmiast wysiadł z własnego rydwanu, by dać przeciwnikowi satysfakcję, że ma bardziej widowiskowe wejście.

Ale dziedzicowi Sparty niełatwo było dogodzić. Wchodząc w wielki krąg nakreślony na piasku, ledwie zwracał uwagę na wiwaty wszystkich zagranicznych marynarzy, którzy zebrali się dokoła, by oglądać widowisko.

Nie wzdrygnął się też na obelgi miotane jak pociski z murów miasta. Choć Myrina nie zdołała odczytać z tej odległości wyrazu jego twarzy, to wiedziała, że nie widać na niej żadnych emocji i że patrzy on na swego przeciwnika oczyma rzeźnika krojącego tuszę.

Obaj mężczyźni mieli miecze i włócznie do walki wręcz. Żaden nie zwracał sobie głowy braniem włóczni rzutnej, ponieważ krąg, w którym mieli walczyć, nie miał wielkości wystarczającej do rozbiegu. Z nich dwóch to Menelaos wydawał się o wiele lepiej zabezpieczony, bo chociaż nie dzierżył tarczy, nosił zbroję, która zakrywała mu nie tylko tors, lecz także sięgała w górę po szyję i zwisała daleko poniżej lędźwi. W dodatku miał spiczasty srebrny hełm z czerwonym pióropuszem i osłony na nogach i rękach; oprócz twarzy, łokci i kolan niemal żadna część jego ciała nie była odsłonięta.

Parys włożył tylko lekką zbroję, wolał nieść swoją tarczę niż ją przytroczyć.

Przez to co prawda wydawał się bardziej narażony na atak, ale i zachował większą swobodę ruchów. Na głowie miał twardy hełm z brązu z półksiężycowym grzebieniem z końskiego włosia, ale poruszał się tak swobodnie i lekko, jakby w ogóle nie wiedział, że go nosi.

Dopiero gdy dwaj mężczyźni wbili włócznie w ziemię na znak, że są gotowi do walki, Myrinie przyszło do głowy, że nigdy wcześniej nie widziała, by Parys używał prawdziwej broni przeciwko komukolwiek. Wiedziała, że codziennie rano ćwiczył z kilkoma mężczyznami, i często go widywała, jak walczył z Eneaszem i Daresem na statku, ale zawsze to była tylko gra...

Rozmyślenia przerwały jej ożywione głosy.

Przybył Agamemnon.

W geście przyjaźni król Priam zaproponował władcy Myken wygodne miejsce na Wieży Skajskiej, ale Agamemnon grzecznie odmówił, powołując się na niedolę ojca zdjętego żałobą. Człowiek, który właśnie przybył na pole bitwy w dwukonnym rydwaniu, bardziej jednak wyglądał na watażkę niż zbolątego ojca, jako że był odziany w jaskrawą panoplię z brązu, jakby sam miał uczestniczyć w pojedynku obok Menelaosa.

Po jego przybyciu walka wreszcie mogła się rozpocząć.

Ktoś cisnął kamień na środek kręgu i gdy tylko on upadł – wzbijając przy tym niewielki obłok pyłu – walczący zaczęli krążyć wokół siebie z włóczniami

wymierzonymi do ciosu. Jakby dla zademonstrowania przewagi wynikającej z braku tarczy, Menelaos kilka razy przerzucił włócznię z jednej ręki do drugiej, najwyraźniej równie dobrze posługując się obydwoma.

Patrząc z wieży, Myrina przypomniła sobie jedną z zasad, których nauczył ją Parys: zawsze pilnuj, by przeciwnik cię nie docenił. Sądząc z postawy Menelaosa, popełnił on już swój pierwszy błąd, zakładając, że jest nietykalny w swojej zbroi. Ale gdy tylko natarł, zdała sobie sprawę, że Spartanin miał dobry powód, by uważać się za mistrza, ponieważ poruszał się z taką zwinnością i siłą, że już jego pierwsze ciosy spowodowały, że Parys zatoczył się do tyłu i ledwie zdołał je odparować tarczą.

Tłumiąc krzyk dłońmi, Myrina patrzyła z rosnącą paniką, jak Spartanin naciera na Parysa, raz za razem, uderzając weń z każdego możliwego kąta. Ale Parys, w nieustannym ruchu, równie zręcznie jak zawsze, uchylał się i uskakiwał, by uniknąć dźgającego grotu.

Ciężka dłoń na ramieniu przypomniła Myrinie, że nie jest sama w swojej zgrzozie.

– Nie trać wiary, kobieto – powiedział król Priam, z dziwnym uśmiechem wokół swoich nieuśmiechających się ust. – To mój syn. Najświetniejszy wojownik, jakiego widziała Troja.

Pomimo całej swojej siły i determinacji Menelaos nie był w stanie zakończyć pojedynku tak prędko, jak niewątpliwie chciał. Dość szybko musiał przystanąć i otrzeć pot z czoła, a Trojanie na murach wzniesli gromki wiwat, gdy Parys wykorzystał sposobność, by przejąć inicjatywę. Gdy Menelaos zatoczył się do tyłu, Parys wymierzał mu cios za ciosem swoją włócznią... ale zbroja wszystkim tym uderzeniom się oparła.

Myrina czuła, że stojący obok niej Priam przewiduje każdy ruch syna. I za każdym razem, gdy grot Parysa przegrywał z doskonałymi płatami Menelaosowej panoplii, król wydawał jęk frustracji.

Po tych początkowych natarciach obaj mężczyźni cofnęli się dla złapania oddechu. Teraz już wiedzieli, że nie wchodzi w grę żaden szybki koniec walki, a gdy po raz kolejny zaczęli wokół siebie krążyć, wymierzając ciosy to tu, to tam, stało się jasne, że obaj rozpracowują słabości i mocne strony przeciwnika.

Od czasu do czasu po ciosie następowała genialna, szybka wymiana, ale najczęściej Menelaos się schylał i próbował sięgnąć nóg Parysa – czym

wzbudzał wycie niezadowolenia ze strony tłumu.

– Ohyda, ohyda – mruknął król Priam. Jego przyciśnięte do balustrady dłonie pobieleły. – Pozbądź się tej włóczni.

Można by odnieść wrażenie, że syn usłyszał rozkaz ojca. Bo kiedy włócznia Menelaosa na chwilę utknęła w skórzanej krawędzi tarczy Parysa, ten się nie zawahał, lecz obrócił nią tak szybko i silnie, że Menelaos wypuścił drzewce z dłoni.

Nawet nie zatrzymując się, by rozłączyć dwa oręża, Parys odrzucił i tarczę, i włócznię poza krąg i natychmiast natarł na Menelaosa własną włócznią. Mierząc wysoko, nawyrażniej chciał wbić ją pomiędzy osłoniętą zbroją kark a hełm, ale skupiając się na precyzji ciosu, zmniejszył jego impet i kiedy wreszcie pchnął, Menelaos chwycił drzewce i złamał je na pół na swoim udzie.

– Och nie! – załkała Myrina, zasłaniając oczy.

Na co król Priam odwrócił się do niej i rzekł: – Podnieś wzrok, kobieto, i bądź duchem ze swym mężem. Daleko jeszcze do końca.

Rzeczywiście, po tym groźnym momencie walczący dobyli mieczy i podjęli swój powolny taniec ponownie, tym razem trochę bliżej siebie. Myrina dobrze знаła miecz Parysa i zawsze uważała, że jest on długi i ciężki; ale ostrze Menelaosa było jeszcze dłuższe i chociaż znowu – najwyrażniej dla prowokacji – wymachnął nim kilka razy w tę i z powrotem, było widać, że potrzebuje obu rąk, by się nim posługiwać.

Gdyby Parys zastosował się do instrukcji, które jej dawał na plaży w Efezie, pozwoliby Menelaosowi nacierać raz za razem, i czekałby na właściwy moment, by go zaskoczyć. Szybko jednak stało się dla Myriny jasne, że Parys nakreślił dla siebie inne zasady – zasady, zgodnie z którymi przedłożył honor nad bezpieczeństwo.

Nacierając bezustannie na Menelaosa, Parys nie dawał mu szansy na użycie ogromnego ostrza. Wkrótce tłum zaczął gwizdać i szydzić, że Spartanin jest zbyt wolny i – może w desperacji – Menelaos zaczął robić to co wcześniej: wymierzać ciosy w uda Parysa, które były najmniej chronioną częścią jego ciała.

– Dość! – warknął król Priam, potrząsając głową. – Skończ z nim.

I Parys to właśnie uczynił.

Przystając, jakby chciał odetchnąć, zaczekał, aż Menelaos zamachnie się

mieczem, by zadać potężny cios... Spartanin tak się odchylił do tyłu, że wystarczyło oprzeć stopę na jego chronionym zbroją brzuchu, by zatoczył się i padł z głuchym odgłosem, który słyszeć było nawet na szczycie wieży.

To był koniec. Kolosalny miecz Menelaosa upadł na piasek, a Parys stanął nad przeciwnikiem, mierząc ostrzem w jego szyję. Ale go nie zabił. Pomimo szaleńczych krzyków dokoła, kopnął tylko piaskiem w twarz Spartanina, schował miecz do pochwy i podszedł po kamyk, który ciśnięto w krąg na znak rozpoczęcia pojedynku. Pocałował go, podniósł w górę w triumfalnym geście, jego hełm błyszczał w słońcu, i spojrzał wprost na szczyt Wieży Skajskiej, jakby chciał w pierwszej kolejności powiadomić Myrinę.

Ta zbiegła, potykając się, schodami, zdyszana z radości, i znalazła go na dziedzińcu, w otoczeniu wiwatujących stronników, którzy ściągnęli mu z głowy hełm i polewali go winem, a jednocześnie szydzili, że nie zabił Menelaosa.

– Po ślubie stałeś się mięczakem! – krzyknął potężny Dares, uderzając Parysa w ramię. – On by cię nie oszczędził...

Parys się roześmiał, przyciągnął Myrinę do piersi tak otwarcie, jakby byli sami.

– Mylisz się! – odpowiedział, a pot i wino kapały mu z włosów. – Po ślubie stałem się twardzielem. – I pocałował ją, ku uciesze kompanów, i podniósł ją w ramionach, tak jak robił, gdy byli sami. – Nie bój nic – zwrócił się do Daresa z szerokim uśmiechem. – Będziemy ucztować. Idźcie, ja zaraz do was dołączę.

Ale gdy ruszył w stronę pałacu, zatoczył się i padł na kolana, niemal upuszczając Myrinę na ziemię.

– Co się stało? – krzyknęła, chwytając w dłonie jego twarz, nagle śmiertelnie pobladła. – Jesteś ranny?

– Nie. – Parys z trudem wstał. – Ledwie mnie drasnął. Chodź – wziął ją pod ramię – pomóż starcowi.

Ale nogi znowu odmówiły mu posłuszeństwa i padł na ziemię z jękiem frustracji.

Pozostali szybko zdali sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

– Cień! – krzyknął ktoś. – Trzeba mu cienia. I wody.

Wspólnym wysiłkiem mężczyźni trochę zaciągnęli, a trochę zanieśli Parysa do świątyni Posejdon, gdzie było najbliżej. Położyli go na kamiennej

posadzce i wachlowali z całych sił.

– Już niosą wodę – rzekł Eneasze. – Tylko leż spokojnie.

– Dość tych bzdur – jęknął Parys, próbując usiąść. – Co z wami? Jesteście bandą starych bab? Nie chcę, żeby żona mnie takiego widziała...

– Och, proszę – krzyknęła Myrina, dołączając do pozostałych – Leż spokojnie. Powiedz, gdzie cię boli.

Parys się skrzywił.

– Nigdzie. Ale... nie czuję nóg.

W ciągu kilku chwil zdjęli z niego zbroję i sandały w nadziei, że odzyska siły. Nagle Eneasze podniósł coś z podłogi.

– Co to jest? – spytał.

W ręku trzymał niewielki wygładzony kawałek kości, który wyglądał jak koniec złamanego grotu strzały, tyle że był dziwnie wydrążony, a na końcu miał maleńki otwór.

– Niech to diabli! – krzyknął Dares. – To zatruta strzała.

Po szybkich poszukiwaniach znaleźli sączący się otwór w pięcie Parysa, a Myriną wstrząsnęła powaga widoczna na twarzach zebranych – zrozumiała, że widywali już ludzi, których dosięgła zatruta strzała, i że mają powody, by obawiać się najgorszego.

– Ty zostań tutaj – powiedział Dares, poklepując Parysa po ramieniu – i nie ruszaj się. To tylko pięta. Myślę, że wszystko będzie dobrze. I nie martw się. – Wstał, gestem nakazał pozostałym, by ruszyli za nim. – Pomścimy cię. Wyruszymy i oddamy ścierwom ich truciznę. Przekłęci Grekowie i ich sztuczki. Niewątpliwie uczyniono to z rozkazu Agamemnona. – Urwał z twarzą ściągniętą od emocji. – Dołącz do nas, gdy tylko będziesz mógł.

Mężczyźni zniknęli w nerwowym pośpiechu, a Myrina i Parys zostali sami.

– Leż, kochany – prosiła go, wsuwając mu pod głowę swój szal. – Czujesz się lepiej?

Parys posłusznie leżał. Nagle gwałtownie wciągnął powietrze, oddychał z trudem.

– Odrobinę.

– Mam posłać po sługi? – spytała, głaszcząc go po bladym policzku. – Po twojego ojca?

– Nie. – Próbował dotknąć jej twarzy, ale prawie nie władał ręką. – Zdążą.

– Powiedz, proszę, że wydobrejesz – błagała, całując jego dłoń.

– Połóż się ze mną. – Zdołał odchylić rękę na tyle, by położyła głowę na jego ramieniu. I znowu próbował zaczerpnąć powietrza, ale pierś miał zbyt ciężką. – Zostaniesz ze mną – wyszeptał, dotykając wargami jej czoła – tak właśnie, do końca?

Dopiero gdy kiwnęła głową, on zamknął powieki.

ROZDZIAŁ 33

*Widzę wprawdzie, że ty jesteś bardzo bogaty i królujesz nad wielu ludźmi.
Ale tego, o co mnie pytasz, jeszcze o tobie nie wypowiadam...¹⁸*

HERODOT, *Dzieje*

STAMBUŁ, TURCJA

Nie jestem pewna, jak długo stałam boso na chodniku, wpatrując się w puste miejsce, w którym wcześniej parkował samochód Jamesa. Naprawdę odjechali beze mnie? Nie mogłam w to uwierzyć. Owszem, James był na mnie wściekły, i najpewniej pojął, że jego mściwy cios wymierzony w Nicka nieodwołalnie zniweczył cały mój szacunek dla niego... ale jak mógł posunąć się do tego, by mnie zostawić? Albo raczej: jak Rebecca mogła mu na to pozwolić?

Częściowo nie przyjmując tego do wiadomości, wróciłam do domu Reznika sprawdzić, czy Rebekki tam nie ma, czy na mnie nie czeka. Ale wysoka brama była teraz zamknięta i jeśli nie liczyć kilku strażników kręcących się z walkie-talkie, dokoła panowały cisza i spokój. Gdy tak stałam, niezdolna do podjęcia decyzji, usłyszałam, jak jeden ze strażników mówi do radia po francusku: – Nie, nie ma tu nikogo. Odjechali. – I jeszcze, najwyraźniej odpowiadając na pytanie: – Tak, proszę pana. Niebieskozielona kobieta.

Wstrzymując oddech ze strachu, cofnęłam się w cień gęstych winorośli pokrywających ogrodzenie... po czym gdy tylko strażnik odwrócił się w drugą stronę, co sił pobiegłam ulicą. Moje bose stopy na szczęście nie powodowały żadnego hałasu na betonowych płytach chodnika.

Skoro Rebekki nie było już w domu Reznika, musiała odjechać z Jamesem.

W sumie zaczynało to nabierać sensu. Strażnicy zaczęli zadawać niewygodne pytania o kradzież *Historii Amazonum*, a James i Bex oczywiście

uciekli.

Niewykluczone nawet, że krążyli po okolicy w astonie martinie, szukając mnie.

Tak więc szłam, przyciskając do piersi swoją cenną torebkę wieczorową. Od pościgu i całego tego zdenerwowania trochę się spociłam. Teraz chłodny listopadowy wieczór z pełną siłą zaatakował moje nagie ramiona, aż zaczęłam stukać zębami. Gdy wreszcie obok mnie zatrzymała się taksówka, wiedziałam, że muszę wsiąść.

– Dziękuję za ratunek – powiedziałam do kierowcy, gdy ruszaliśmy, a ciepłe powietrze dmuchało ze wszystkich otworów nawiewowych. – Nie sądziłam, że zimą w Stambule robi się tak lodowato.

Mężczyzna westchnął i pokręcił głową.

– Po przyjęciach Reznika zawsze na ulicy płacze jakaś kobieta. Dokąd pani życzy?

Ściągnęłam atłasowe rękawiczki i rozruszałam zgrabiące palce. Gdy tylko znajdę budkę telefoniczną, zadzwonię do Jamesa i Rebekki i wyjaśnię sytuację.

– Na lotnisko poproszę – rzuciłam do kierowcy, doskonale wiedząc, że do rana nie będzie żadnych lotów do Anglii. Ale uznałam, że jeśli spędzę noc na lotnisku, przynajmniej będę pierwsza w kolejce.

Jeśli Reznik rzeczywiście miał takie powiązania, jak sugerował Nick, szybko poskłada wszystko do kupy i zacznie podejrzewać Dianę Morgan o udział w kradzieży *Historii Amazonum*. A wtedy lepiej, żebym była tysiące kilometrów od Stambułu.

Drżącymi palcami wyjęłam paszport i jeszcze raz sprawdziłam, czy to naprawdę mój. Z tym kluczowym dokumentem w dłoni bez problemu kupię bilet na samolot. Będę musiała tylko się postarać, by trzymać się z daleka od bandziorów Reznika do chwili, gdy samolot wystartuje.

Gdy z roztargnieniem wertowałam paszport, uświadomiłam sobie, że między kartkami wklejono żółty post-it. Na nim napisano drukowanymi literami: JEDŹ DO DOMU. Żadnego wykrzyknika, tylko te dwa słowa skreślone czarnym długopisem.

Przez chwilę wpatrywałam się w karteczkę, próbując rozgryźć dość oczywisty komunikat. Potem przyszło mi do głowy zajrzeć do portfela.

Przygotowałam się na widok pustych przegródek na karty, ale ku mojemu

z dumieniu wszystkie znajdowały się na miejscu. Więcej, przegródka, w której miałam tylko kilka zmiętych banknotów funtowych, w chwili gdy wyjeżdżałam z Anglii dwa tygodnie temu, teraz była wypchana dwoma tysiącami euro w świeżutkich banknotach.

Oślupiała wyjęłam kalendarz, by sprawdzić, czy zawiera jakieś inne wskazówki co do celów przyświecających ludziom, którzy cały ten czas przetrzymywali moje rzeczy. I znowu ten sam jednoznaczny komunikat wpisany na pustym miejscu w nadchodzącym tygodniu: JEDŹ DO DOMU.

Poczułam, że się jezę na arogancję tych ludzi. Więc chcieli, bym wróciła do Anglii, i byli nawet gotowi ułatwić mi wyjazd pieniędzmi i zwrotem skradzionych przedmiotów... ale czy dali mi choćby jeden powód, bym im ufała, kimkolwiek byli? Wciąż mieli mój laptop i telefon, byli odpowiedzialni za guza na czole, a ich plany stanowiły dla mnie absolutną zagadkę. Chyba że...

Siedząc na zimnym skórzanym siedzeniu, podsumowałam wszystko, co wiem.

Stawką był skarb, a dwóch myśliwych już poznałam. Na Skarb Amazonek polował Reznik, a także Nick. Fakt, że mój czarujący niedoszły kochanek ukradł *Historię Amazonum* Reznikowi, w pełni poświadczał jego winę. Ale kim były kobiety w srebrnym audi, które obrabowały mnie w Nauplionie? Czy rzeczywiście, jak sugerował Nick, pracowały dla Reznika? Czy też były to... Amazonki? Na tę myśl przeszły mnie ciarki, chociaż wydawała się zupełnie szalona. Jeśli to były Amazonki, czy możliwe, że cały czas przyświecał im ten sam cel? Że nie chciały dopuścić, by Reznik i Nick – między innymi – znaleźli ich skarb? Czy to dlatego wciąż mnie nękały? Żeby przestała pomagać Nickowi?

Chwilę siedziałam w milczeniu, wpatrzona w zbliżające się reflektory nieuniknionego. Było to dziwaczne, irytujące odczucie – takie wyobrażenie, że jestem przesuwana po gigantycznej szachownicy i nawet nie wiem, czy jestem czarnym czy białym pionkiem – i gdy tak siedziałam w taksówce, znowu dygocząc, poczułam nieodparte pragnienie, by się przeciwko tej grze zbuntować.

Szakał wiele razy próbował mnie ostrzec, prawda? Ale w swoim pędzie do zadowolenia wszystkich dokoła ignorowałam jego milczące sygnały. Teraz znowu się wiercił, przeliczał naszą pozycję i szeptał mi do ucha, że jeszcze

nie mogę jechać do domu, że zrobię to dopiero, gdy *Historia Amazonum* znajdzie się w moich rękach. Więc Amazonki nie chciały mnie po swojej stronie. Mówią, że mam jechać do domu. Cóż, wielka szkoda. W swoim wzburzeniu niemal mogłam sobie wmówić, że dzięki temu jednemu rękopisowi pozbyłabym się wszystkich udręk... że zaprowadziłby mnie wreszcie do babci... ale też musiałam przyznać, że wabił mnie po części również osobą obecnego właściciela, którego współrzędne były zapisane na złożonym czeku w moim portfelu. Nawet jeśli Nick nie ukradł *Historii*, i tak miał coś, co rozpaczliwie chciałam odzyskać, a mianowicie moje serce w stanie niezłamanym. Jak dokładnie zamierzałam wyegzekwować od niego te dwie rzeczy, nie miałam pojęcia, ale musiałam spróbować.

Kryjówka Fundacji Aqrab nie znajdowała się, jak sobie wyobrażałam, w sercu średniowiecznego labiryntu nieopodal Wielkiego Bazaru. Okazało się, że jest to apartament w Çırağan Palace Hotel – budynku, który według słów mojego taksówkarza niegdyś był rezydencją sułtanów tureckich.

Co prawda straciłam buty, fryzura mi się rozpadła, a twarz miałam pomalowaną w pawie pióra, ale i tak pewnie dobrze się składało, że byłam w sukni wieczorowej, gdy odziany w liberię lokaj prowadził mnie przez westybul hotelu i dalej do osobnej recepcji pałacu. Westybul miał sufit równie wysoki jak Sheldonian Theatre – gdzie w maju broniłam swojej pracy doktorskiej – i był wyłożony białym marmurem, galerie na wyższych kondygnacjach wykończono ciemnym drewnem. W górze wisiał ogromny żyrandol, a wyglądał, jakby był podczepiony do samego nieba.

Podchodząc do recepcji, zobaczyłam znajomą postać wysiadającą z windy.

Odkąd się ostatnio widzieliśmy, zapuścił wąsy i nabył okulary przeciwsłoneczne, ale spędziłam z panem Ludwigiem tyle czasu, że rozpoznałabym go wszędzie.

Nie był sam. Towarzyszył mu atletycznie zbudowany mężczyzna w czerwonej czapce bejsbolowej i polarowej kamizelce. Jego twarz wydała mi się dziwnie znajoma.

Dopiero gdy schowałam się za kompozycją kwiatową, przypomniałam sobie: oczy spod daszka czapki patrzyły na mnie tydzień temu ze zdjęcia w albumie.

Sama twarz postarzała się o kilkadziesiąt lat, ale zaciśnięte szczęki i

przeszywający wzrok na pewno należały do Chrisa Hausera z Baltimore – mężczyzny, który dawno temu przekonał pana Telemakhosa, że bransoleta z szakalem wiąże się z Amazonkami.

Chwilę trwało, nim moje tętno wróciło do normy. Wyglądało na to, że pojawiając się tutaj, miałam szansę ujrzeć jednego z graczy kryjących się za Nickiem, a chociaż wciąż byłam zbyt umęczona, by z obecności Chrisa Hausera wyciągnąć jakiegokolwiek pożyteczne wnioski, wiedziałam, że teraz nie ma odwrotu.

Rozmyślnie zaczęłam chwilę, zanim podeszłam do recepcji i zadzwoniłam do Nicka z wiadomością, że jestem. Dzięki temu może nie przyszło mu do głowy, że moje przybycie pokryło się z wyjściem jego kompanów. A jednak gdy wreszcie zszedł wielkimi schodami, by mnie powitać, widziałam po wyrazie jego twarzy, że zastanawia się, ile wiem. Na pewno nie była to twarz kogoś, kto oczekuje nocy zmysłowej beztrioski. Nick wyglądał raczej jak ktoś, kto przyjął już zbyt wielu niespodziewanych gości. Znałam go na tyle dobrze, by dostrzec, że jest zdenerwowany, a już sam fakt, że wciąż ma na sobie ciemny garnitur, sugerował, że od powrotu do hotelu jeszcze nie miał wolnej chwili.

– Witaj, bogini. – Ucałował mnie w oba policzki, rozglądając się po pomieszczeniu. Następnie położył mi rękę na plecach i poprowadził do wind, po drodze kiwając głową recepcjoniście. – *Sağolun*, Gökhan.

I tyle wystarczyło, bliskość Nicka i delikatny nacisk jego dłoni, bym niemal zapomniała, że nie przyszłam tu, aby mu się oddać. Wręcz przeciwnie.

– Ciężki wieczór? – spytał, gdy drzwi windy się zamknęły.

– Reznik na pewno umie organizować imprezy – odparłam, próbując ukryć rdzawe rozdarcie na jednej z rękawiczek. – Szkoda, że tak wcześnie wyszedłeś.

Nick spojrzał na moje nogi.

– Znowu zgubiłaś buty.

– Naprawdę? – Próbując to bagatelizować, podniosłam sukienkę, jakbym chciała to zobaczyć na własne oczy. – Nawet nie zauważyłam.

Drzwi windy się otworzyły.

– Proszę. – Nick wyciągnął rękę do wyjścia.

Wysiadłszy z windy, ruszyliśmy galerią. Chociaż podjechaliśmy tylko

jedną kondygnację w górę, wielki żyrandol, z westybulu tak odległy, teraz wydawał się na wyciągnięcie ręki. Zakręciło mi się w głowie. Z trudem odrywając wzrok od oślepiającego splendoru, skarciłam się, że tak łatwo mnie oszołomić. Oto znowu ktoś mnie uwiódł; czas wziąć się w garść i zmobilizować swoją wewnętrzną Amazonkę.

Obeszliśmy całą galerię i dotarliśmy do wzmocnionych dwuskrzydłowych drzwi, których Nick nawet nie zamknął na klucz.

– Nie obiecałam, że zostanę – powiedziałam, zanim weszłam do środka. – Chciałam tylko należycie się pożegnać.

Gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, Nick wziął mnie za rękę, zsunął rękawiczkę i przycisnął usta do mojego nagiego nadgarstka, tuż pod bransoletą.

– Pożegnania są nieprzewidywalne. Mogą zająć całą noc. – Następnie włączył światła i zobaczyłam okazały salon z trzema wysokimi oknami, za którymi widniało nocne niebo nad Bosforem. – Na pewno jesteś głodna.

Dostrzegłam, że zerka na uchylone drzwi, za którymi widać było stolik z używaną zastawą i zmiętymi serwetkami.

– Niekoniecznie – odparłam, udając, że nie zauważyłam pozostałości po jego poprzednich gościach. – Ale z rozkoszą pozbyłabym się tych malunków z twarzy.

Nick skinął głową, chyba z ulgą, i zaprowadził mnie do luksusowej sypialni w stylu osmańskim, do której przylegała łazienka.

– To wszystko do twojej dyspozycji – rzekł. – Gdybyś czegoś potrzebowała – wskazał złocony telefon z tarczą na nocnym stoliku – zadzwoń do obsługi i powiedz im, czego chcesz.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, myśląc: gdyby to było takie proste... ale on już wyszedł i dokładnie zamknął za sobą drzwi do salonu.

Szybko umyłam twarz i usiadłam na chwilę na łóżku, analizując sytuację.

Było dla mnie jasne, że dzisiejszego wieczoru Nicka dopadło całe mnóstwo problemów, a ja umierałam z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co się wydarzyło przed moim przybyciem. Czy pan Ludwig i Chris Hauser zostali wysłani z centrali w Dubaju, by odebrać *Historię Amazonum* i przywieźć ją do pana al-Aqraba, zanim Nick – nawykły do niebezpieczeństwa – zaryzykuje ponowną jej utratę? Jeśli o to chodziło, pomyślałam z niepokojem, to moja misja już jest skazana na klęskę – nie odzyskam

rękopisu.

Jak najciszej obróciłam gałkę w drzwiach i wyjrzałam dyskretnie. Nicka nigdzie nie było widać. Ale imponujące drzwi po drugiej stronie wielkiego salonu stały otworem i miałam poczucie, że tam właśnie go znajdę. Przemknęłam po pluszowym dywanie, nasłuchując znajomych odgłosów, i usłyszałam szelest papierów. A potem... ciszę.

Musiałam przyznać, że wprowadził mnie w konsternację. Czy to ten sam człowiek, który ledwie dwie godziny temu porwał mnie na dachu w ramiona i zapraszał, bym przyszła do jego hotelu po więcej? Nawet jeśli Ludwig i Hauser przynieśli złe wieści, i tak miałam poczucie, że Nick okazuje zupełnie nieoczekiwany brak zainteresowania moją osobą.

Zapukałam do drzwi.

Minęło kilka minut, nim Nick wreszcie się pojawił z nieco znękanym wyrazem twarzy i rozpiętą koszulą.

– No, witaj raz jeszcze – powiedziałam, przybierając pozę kusicielki. – Czy nie powinieneś może mnie oprowadzić?

Popatrzył ubawiony.

– A co byś chciała zobaczyć?

– Na przykład... ten pokój? – Minęłam go i przeszłam przez próg, już omiatając wewnątrz spojrzeniem. Tak jak przypuszczałam, była to sypialnia małżeńska, niesamowite pomieszczenie, zdecydowanie warte dubajskiej fundacji z polem golfowym na dachu. Ale co jeszcze ważniejsze: na wierzchu łoża na miarę sultana leżała wielka koperta, z której wysypywały się papiery.

Na wypadek gdyby Nick zauważył, że się w nią wpatruję, rzuciłam swobodnie: – Masz już swój rozkaz wymarszu. Myślałam, że powiedziałaś, że spodziewasz się go dopiero rano.

– Bo się spodziewałem – odparł, podchodząc do łóżka, by zabrać wielką kopertę, albo żebym się jej uważnie nie przyjrzała, albo by zrobić miejsce dla innych spraw. – Ale nie zawsze wszystko przebiega zgodnie z planem, prawda? – Odłożył papiery do szuflady, po czym odwrócił się do mnie z wymuszonym uśmiechem. – Los szachownicą dni i nocy włada, gdzie w partii rola pionków nam przypada, Które się wodzi, zbiera i ubija i znów kolejno w pudełku układa¹⁹. Omar Chajjam.

Staliśmy tak strasznie długo, każde niewątpliwie próbowało rozgryźć, co myśli to drugie. Wreszcie oparłam się o jeden ze słupków łóżka i

powiedziałam: – Może powinniśmy po prostu to rzucić. Wyobraź sobie wolność...

Oczy mu pociemniały.

– Niektórych rzeczy nie można rzucić.

Czekałam, aż doprecyzuje, ale na próżno. Sposób, w jaki na mnie patrzył, sugerował, że mówi nie tylko o sobie, lecz o nas obojgu. Można by odnieść wrażenie, że pomiędzy przyjęciem u Reznika a obecną chwilą stało się między nami coś nieodwracalnego... jakby podejrzewał, że doskonale wiem o jego ciemnej stronie, o kradzieży, i zastanawiał się, dlaczego mimo wszystko przyjął jego zaproszenie.

– Niezła komnata – powiedziałam, rozglądając się po pokoju i podziwiając zabytkowe meble. – Ciekawe, ile hurys zmieści się w tym łóżku. – Obejrzałam się przez ramię na Nicka i stwierdziłam, że wpatruje się w moją pupę.

– Co się stało z twoją sukienką? – spytał. – I z butami?

– Dobrze pytanie. – Niezobowiązująco zajrzałam do jego garderoby. – Ach, jak dużo miejsca.

Ale Historii Amazonum tam nie było. W każdym razie nie rzucała się w oczy.

– Diano. – Podszedł do mnie. – Co się dzieje? Porozmawiaj ze mną. Za dużo razem przeszliśmy...

– Wiem. – Odwróciłam się niechętnie. – A to jest jedyny punkt łączący nasze światy, co? – Spojrzałam mu prosto w oczy. – Jak to możliwe, że wciąż jesteś tak daleko?

Dostrzegłam zaskoczenie na jego twarzy i zaraz żal. Po czym ujął w dłonie moją twarz i jego rysy złagodniały.

– Jestem tutaj, na miejscu. Cały czas tu byłem. – A potem mnie pocałował...

powolnym, rozdzierającym serce pocałunkiem, który z mojej duszy wydarł jęk tęsknoty.

– Boska Diano. – Puścił mnie z wyrazem bólu na twarzy. – Gdybyś wiedziała, jaką jesteś dla mnie udręką...

Chwyciłam go za rozpiętą koszulę.

– Pokaż mi.

Nick spojrzał na mnie z irytacją.

– Staram się być dżentelmenem.

– Po co zaczynać właśnie teraz? – Przesunęłam dłońmi po jego klatce

piersiowej, rozkoszując się jego ciepłą solidnością. – Nie przyszłam tu przecież na grzeczną konwersację, prawda?

Na te słowa zeszytniał. Albo może coś w moich oczach dało mu do myślenia. Ze ściągniętymi brwiami Nick spojrzał na moje dłonie, czy raczej na moją bransoletę, jakby się bał, że go ugryzie.

– Nie – rzekł wreszcie. – Pewnie nie.

Bojąc się, że zaraz zacznie mnie wypytywać, wychyliłam się i pocałowałam go raz jeszcze – pocałunkiem, którym miałam nadzieję uciszyć wszelkie ewentualne pytania.

– Wiesz, w czym problem? – szepnęłam. – Za dużo myślisz.

Jego oczy jeszcze raz badawczo zajrzały w moje.

– Naprawdę?

– O tak. – Przesunęłam dłonie po jego brzuchu i dalej. – O wiele za dużo, o wiele.

Dopiero gdy usłyszałam, jak gwałtownie wciąga powietrze, przyszło mi do głowy, żeby trochę zwolnić. Miałam przed sobą imponujący gwóźdź programu, ale gdy podniosłam wzrok i w jego oczach zobaczyłam mroczne, bezkompromisowe pożądanie, moja odwaga na chwilę uleciała.

– Przepraszam – powiedziałam, z uśmiechem ponętnego zapewnienia.

W każdym razie taki to miał być uśmiech. – Dosłownie na chwilę.

Uciekłam do jego łazienki, zamknęłam drzwi i oparłam się o nie, drząc cała.

Rola uwodzicielki była dla mnie tak całkowicie nowa, że nie umiałam nawet jej oddzielić od swoich uczuć. Tak, chciałam wykraść Nickowi *Historię Amazonum*, ale straszliwie chciałam też się z nim kochać. Czy te dwie rzeczy wykluczały się wzajemnie?

Podeszłam do zlewu, by umyć ręce i twarz zimną wodą w nadziei, że przejaśni mi się w głowie. Ale kobieta patrząca na mnie z wielkiego lustra nie chciała słuchać teraz głosu rozsądku. To prawda, mówiła, może nigdy już nie zobaczysz Nicka i może będziesz płakała całą drogę do Oksfordu. W końcu nie jest to mężczyzna, po którym można by się spodziewać normalnego związku. Ale daj spokój! Czy spędzisz z nim więcej niż jedną noc czy nie i czy w trakcie *Historia Amazonum* zmieni właściciela, tak czy owak idź do niego, nie zastanawiaj się, dziewczyno!

Rozejrzałam się w poszukiwaniu szczoteczki i zobaczyłam brzytwę na

misczeczce z mydłem do golenia, a na leżącym na podłodze worku podróżnym Nicka zamkniętą na zamek kosmetyczkę. Rozpięłam kosmetyczkę i znalazłam szczoteczkę oraz tubkę pasty... oraz cztery paszporty związane gumką.

Zdumiona ściągnęłam gumkę i otworzyłam paszporty jeden po drugim.

W każdym była inna narodowość właściciela i daty, a także zdjęcia, ale niewątpliwie na każdym z nich widniała twarz Nicka.

– Frank Danconia z Kanady – szeptałam, wertując je. – Nicholas Barrán z Brazylii, ciebie to znam. Gabriel Richardson z Nowej Zelandii. Fabio Azzurro z Włoch...

Usiadłam na toalecie, zaskoczona i zasmucona jednocześnie. Który paszport był prawdziwy? Sądząc po stemplach, wszystkich używał regularnie. A co z jego imieniem? Zawsze odnosiłam wrażenie, że Nick nie do końca do niego pasuje – coś się nie zgadzało w tym, jak przedstawiał się ludziom. Może właśnie wyczuwałam, że kłamie.

I co z tego? – wyszeptałam do kobiety w lustrze. Co to zmienia, że Nick ma fałszywe tożsamości? Najpewniej był to rekwizyt do pracy dla Fundacji Agrab.

Czyż przed chwilą nie tłumaczyłam sobie, że i tak nie czeka nas żadna wspólna przyszłość?

Gdy wreszcie wyszłam z łazienki, światła były przygaszone, a w tle cichutko grała muzyka, ale Nicka nie było. Stałam przez chwilę, czekając, aż się pojawi, a ponieważ się nie pojawił, zajrzałam do salonu. No i oczywiście: rozmawiał przez komórkę, chodząc w tę i z powrotem wzdłuż okien.

Dostrzegłam szansę. Gdy wychodziłam z łazienki, jeszcze nie byłam do końca pewna, jaki będzie mój następny krok, ale teraz, gdy znalazłam się sama, wiedziałam dokładnie, co robić. Nie marnując czasu, podbiegłam do komody, żeby zajrzeć do wielkiej koperty, którą Nick tak starannie przede mną chował. Tylko że... już jej nie było.

Gdzie mógł ją wsadzić? Rozpoczęłam pospieszne poszukiwania, ale stwierdziłam, że wszystkie szuflady są puste. Świadoma, że nie mam wiele czasu, uklękłam i zajrzałam pod łóżko. Bingo. Metalowa walizka.

Wyciągnęłam ją drżącymi rękoma, nie tracąc nadziei, że nie jest zamknięta na klucz, otworzyłam zamki, spodziewając się stosu tajnych dokumentów... i aż mnie odrzuciło z szoku. Na czarnej piance leżały trzy

pistolety oraz zapasowe magazynki i naboje.

W głowie mi się kręciło, szybko zamknęłam walizkę i wepchnęłam ją pod łóżko. Paszporty, broń... co to wszystko znaczy...? Wstałam bezszelestnie i na paluszkach ruszyłam do drzwi sprawdzić, co robi Nick, ale stanęłam jak wryta, bo on właśnie pojawił się w drzwiach.

– Dokąd się wybierasz? – spytał, odcinając mi drogę. Pytanie to miało być żartobliwe, ale i tak mnie zdenerwowało.

– Miałam ciężki dzień – zaczęłam, w nadziei że nie domyśli się powodu mojej nagłej zmiany zdania.

– A to jeszcze nie koniec. – Przyciągnął mnie do siebie z sugestywnym uśmiechem. – Cieszę się, że rozprawiliśmy się z dżentelmenem. Teraz może zabierzemy się za Amazonkę. – Zaczął mnie całować, ale mój nastrój tak diametralnie się zmienił, że nie mogłam się wczuć.

– Przepraszam – szepnęłam, odchylając się. – Naprawdę jestem wykończona.

Nick pozbierał się z prędkością sugerującą, że cały czas spodziewał się mojej kapitulacji.

– Jeśli naprawdę jesteś tak zmęczona – rzekł, puszczając mnie – to lepiej idź do swojego pokoju. Bo jeśli nie pójdziesz... – koniec zdania widziałam w jego oczach.

Tamtej nocy nie zmrużyłam oka. Nick na pewno też nie. Gdy tylko zaczęło świtać, usłyszałam, jak zamykają się drzwi, i uznałam, że zrezygnował z prób i postanowił wyjść.

Dziwnie się czułam, leżąc na wielkim dwuosobowym łóżku, nie mając pojęcia, co się wydarzy w tym dniu. Po początkowej panice wywołanej znalezieniem broni powoli się uspokoiłam, oddając się ciepłej, rozmytej fantazji, w której Nick przychodzi do mojego pokoju przed brzaskiem, bo nie może już dłużej czekać, i mówi mi, że szaleje na moim punkcie, i obiecuje wszystko mi wyznać.

Wyobrażałam sobie, że spędzimy dzień na romantycznym rejsie po Bosforze, a Nick przeprosi mnie za całą swoją tajemniczość i wyzna liczne grzechy. Nie będzie się palił do szczegółowego opisanie napadu na Reznika oczywiście, ale ja będę wyrozumiała, a wszystko zakończy się pocałunkami i kolacją przy świecach w jakiejś ciemnej kameralnej restauracji w centrum, gdzie będziemy się trzymać za ręce, podczas gdy on poda mi swoje

prawdziwe imię.

Ale słońce wzeszło, a on nie przyszedł.

Rozległo się tylko ciche kliknięcie drzwi... i potem nic.

Weszłam do salonu w hotelowej piżamie z monogramem i znalazłam niewielką karteczkę na stoliku przy sofie: „Wrócę niedługo. NB”.

– NB? – powiedziałam na głos, czując przyływ irytacji. – Nie samo N, tylko NB?

Wetknęłam głowę przez otwarte drzwi do głównej sypialni i stwierdziłam, że Nicka rzeczywiście nie ma. Chwilę mocowałam się z sumieniem – bardziej była to walka na kopie, naprawdę, w której moje skrupuły szybko zostały wyrzucone z siodła – przemknęłam do łóżka i uklęknęłam na podłodze.

Metalowa walizka ciągle tam leżała, ale teraz była zamknięta na klucz.

W sumie nie miało to znaczenia, bo wiedziałam, co się w niej znajduje.

Cały czas nasłuchując dźwięków, które by sugerowały, że Nick wraca, pospiesznie szukałam wielkiej koperty. Szybko skończyły mi się wszelkie najprostsze rozwiązania – kryjówki na szafie, w szafie, pod poduszkami – aż wreszcie mój wzrok padł na wielki czerwony wazon w kwiatowy biały wzorek.

Nick był akurat takim człowiekiem, który chowa cenne rzeczy na widoku.

I tam znalazłam wszystko, bezceremonialnie wetknięte do środka, na wierzch wazonu: grubą kopertę, plik paszportów i *Historię Amazonum*. Oprawiona była w miękką skórzaną okładkę tak zniszczoną, że trzymała się tylko na kilku nitkach, kartki miała pokryte łacińskimi wyrazami, które z czasem wyblakły tak, że teraz przypominały akwarelę. Pomimo niepewnych okoliczności poczułam oszałamiającą ulgę, że Nick nie oddał jeszcze cennego rękopisu panu Ludwigowi i Chrisowi Hauserowi. I oto wreszcie trzymałam go w rękach.

Jeśli chodzi o kopertę, w sumie nie zamierzałam jej ze sobą zabierać, tylko zerknąć na jej zawartość. Gdy tylko jednak wyciągnęłam dokumenty, które Nick czytał poprzedniego wieczoru, wiedziałam, że nie będę mogła ich zostawić. Bo oto czarno na białym miałam odpowiedź na najważniejsze pytanie: o co naprawdę chodziło panu al-Aqrabowi? Jasne poranne światło czyniło to wszystko przerażająco ewidentnym i wiedziałam z mdłą pewnością, że będę musiała się stąd wynieść, zanim Nick wróci. Nie tylko z

tego pokoju, czy z tego apartamentu, lecz także z jego życia.

Gdy przybyłam na stambulskie lotnisko imienia Atatürka, poranna gorączka osiągnęła apogeum. Mężczyźni w garniturach tłoczyli się przy każdym stanowisku i terminalu samoobsługowym. Czekałam w kolejce pół godziny, tylko po to, by dowiedzieć się, że pierwsze wolne miejsce na lot do Londynu jest w samolocie startującym o piętnastej.

– Ale jest pani pewna, że nie mogę dostać się do Anglii szybciej? – spytałam pracownicę. – Nie mam nic przeciwko przesiadkom.

– Przykro mi – odparła, raz jeszcze sprawdzając ekran. – Mam jedynie Amsterdam o jedenastej trzydzieści.

Cóż, czyż nie będzie to ironia losu w najczystszej postaci? – myślałam sobie, lawirując wśród zombie z walizkami i komórkami i szukając knajpki, w której mogłabym przesiedzieć godziny do odlotu. W końcu wyląduję w Amsterdamie.

Zwłaszcza teraz, gdy byłam ubrana jak na pokaz mody, łącznie z kapeluszem o szerokim rondzie i ciemnymi okularami wielkości mediolańskiej... wszystko dzięki butikowi z ekskluzywnymi ciuchami tuż za rogiem od Cirağan Palace Hotel, gdzie w niespełna pięć minut wydałam niemal połowę swojego majątku.

Usiadłam przy stoliku na uboczu ze swoimi grzesznymi dokumentami i tacą ze śniadaniem i wyjęłam list, który tak mną wstrząsnął, gdy dwie godziny temu zobaczyłam go w pokoju Nicka. Było to krótkie pismo przewodnie sporządzone na maszynie, bez nagłówka i podpisu, a brzmiało tak: Uwaga, Jumbo!

Wstawiamy szakale do menu. Po jednym kamieniu na głowę. Tylko świeże mięso. Proszę spojrzeć na nasz wybór. Jeśli zapasy się skończą, jesteśmy otwarci na inne rozwiązania. Pół kamienia za bransoletę, ćwierć za tatuaż. Dostawa przez Paveła.

Do tego osobliwego liściku przypięto spinaczem trzy kartki, a na każdej widniały nieostre czarno-białe zdjęcia i krzywy tekst. Fotografie przedstawiały trzy kobiety uchwycone – jak sądzę – przez kamery monitoringu i ziarniste zbliżenia szakalowych bransolet, i dwa ledwie zauważalne tatuaże z szakalem. Tekst opisywał te kobiety jako Amazonka 1, Amazonka 2, Amazonka 3 i podawał ich szacunkowy wzrost, wagę oraz wiek.

Najpierw pomyślałam, że list to zaszyfrowana wiadomość od pana al-

Aqraba do płatnego zabójcy – pewnie Nicka – z rozkazem zabicia trzech kobiet podejrzanych o to, że są Amazonkami. Gdy jednak przeczytałam go kilkadziesiąt razy, nie byłam już taka pewna. Chociaż pana al-Aqraba chętnie oskarżyłabym o wszystko, to już jakoś nie widziałam Nicka wykonującego egzekucję.

Odłożyłam w końcu list i zaczęłam przeglądać resztę dokumentów z koperty w nadziei, że znajdę coś bardziej zrozumiałego.

Nie musiałam szukać długo. Oto trzymałam w ręku dziesiątki zdjęć szarych, niewyraźnych, ale bez wątpienia przedstawiających mojego ojca, moją matkę i mnie... To odkrycie zmroziło mnie jeszcze bardziej niż domniemany list do zabójcy.

Znalazłam spięty spinaczem raport, taki jak moi rodzice dostali od detektywa po zniknięciu babci, ale o ile ich nie zawierał nic prócz nieprzydatnych bzdur, ten obfitował w ważne informacje. Chociaż tekst był po arabsku, ilustracje mówiły same za siebie, i patrzyłam raz jeszcze na ziarniste zdjęcia mojego ojca spokojnie zajmującego się karmnikiem... mojej matki rozciągającej się po biegu, błogo nieświadomych, że znajdują na celowniku obiektywu.

Niemal wszystkie fotografie zrobiono z ukrycia, a większość z za szyby lub z za krzaków. Poczułam mdłości, gdy zdałam sobie sprawę, że moi rodzice i ja byliśmy pod nadzorem niewidocznych oczu nawet w najbardziej prywatnych momentach. Tak, były tu fotografie przedstawiające mnie w czasie wykładów i gdy pokrywałam tablicę egipskimi hieroglifami, a także ukazujące mnie, kiedy śpiewałam gupikom profesora Larkina po zbyt wielu wypitych samotnie kieliszkach wina.

Chociaż moja matka oczywiście też się w nim znalazła, raport skupiał się na moim ojcu i na mnie, i nietrudno było zgadnąć dlaczego. Najwyraźniej sednem wszystkiego była kwestia Amazonek. Bo na jednej z kartek znajdowało się znane mi stare zdjęcie ślubne – w dzieciństwie studiowałam je wiele razy – jedyne istniejące zdjęcie babci i dziadka, na którym oboje wyglądali dziwnie nieszczęśliwie, jakby już wiedzieli, że los ich małżeństwa jest przesądzony.

Co dokładnie ten wścibski detektyw zdołał wykopać na ich temat? Moja wiedza na temat początków ich znajomości pochodziła ze zdawkowej relacji, którą kiedyś przedstawiła mi babcia po uporczywym nagabywaniu – relacji,

której na pewno nigdy nie usłyszał nikt inny.

Gdybym miała rzeczywiście wierzyć babci, ona i inna Amazonka – w swojej buntowniczej młodości – uczestniczyły w konferencji naukowej w Kopenhadze, mając na uwadze tylko jeden cel: wyselekcjonowanie najbardziej inteligentnych jej uczestników płci męskiej.

– Nie można mieć wszystkiego – wyjaśniła mi, gdy siedziałam u jej stóp z szeroko otwartymi oczyma – więc zdecydowałam się znaleźć bystrego mężczyznę. I znalazłam. To był twój dziadek. Ale popełniłam błąd. Zakochałam się w nim. – Babcia spojrzała na mnie z powagą, by mnie przestrzec, żebym nigdy w życiu nie zrobiła tego samego. – Zamiast być Karą, stałam się jego żoną. Nie powinnam była tego robić, ale... opuściłam siostry.

– Dlaczego to było takie straszne? – spytałam, przepelniona dziecięcym zamiłowaniem do pięknych zakończeń. – Skoro go naprawdę kochałaś...

– Musisz zrozumieć. – Babcia wstała i podeszła do niewielkiego okna, przy którym stawała tak często, wpatrując się, w moim odczuciu, w swoje zniszczone wspomnienia. – Dorastałam jako Amazonka. To było jedyne życie, jakie znałam.

Ponieważ tak rzadko mówiła składnie o swoim amazońskim życiu, zerwałam się na nogi z ekscytacją, zdecydowana wyciągnąć jak najwięcej informacji, zanim drzwi pomiędzy moim a jej dzieciństwem znowu się zatrzaskną, może na zawsze.

– Gdzie to było, babciu? Pamiętasz może?

Zawahała się.

– Nie powinnaś wiedzieć. To niebezpieczne. Jeszcze nie powinnaś.

– Ale kiedy? Kiedy to przestanie być niebezpieczne?

Spojrzała w końcu na mnie, a w jej oczach walczyły ze sobą miłość i przestroga.

– Gdy się sprawdzisz. Kiedy będę mogła ci zaufać.

I tylko tyle. Nic ponadto nigdy mi nie powiedziała.

Odsunąwszy w końcu na bok raport detektywa, jeszcze raz sięgnęłam do koperty Nicka. W plastikowej koszulce znajdował się artykuł, który ukazał się chyba dziesięć lat temu w periodyku medycznym. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że jego autorem jest stary kumpel mojej mamy, doktor Trelawny.

Porównując pięć różnych przypadków schizofrenii paranoidalnej, dowodził, że wszystkie łączy ten sam zasadniczy element: osobowości równoległe i język wyobrażony.

Chociaż perfidny doktor Trelawny zmienił nazwiska omawianych pacjentów, było oczywiste, że jednym z przypadków jest moja babcia. Artykuł nie tylko opisywał jej amazońską osobowość w każdym szczególe, lecz także wspominał o jej bransolecie – którą Trelawny nazwał „bezwartościową ozdóbką, której przypisano wartość emocjonalną” – i opisywał szczegółowo, niestety, odręczny „słownik Amazonek”, który chora zostawiła dla swojej wnuczki.

Oto w końcu miałam powiązanie, którego mi brakowało, odkąd pan Ludwig zgłosił się do mnie w Oksfordzie, by zwabić mnie nieodczytanym pismem Amazonek. Najwyraźniej ktoś w Fundacji Aqrab wiedział cały czas o tym artykule i posłał specjalnie po mnie, by mnie włączyć do prac, zgadując – trafnie – że przywiozę ze sobą babci słownik.

Tak się zdenerwowałam, że musiałam zamówić drugą kawę, tylko po to, by rozgrzać ręce, których drżenia nie mogłam opanować. Jakież to ohydne, że al-Aqrab wykorzystał mnie w ten sposób – napuścił mnie przeciwko swoim i zamienił mnie w mimowolną łowczynię Amazonek.

W kopercie znajdowały się też inne dokumenty, ale naoglądałam się już tyle, że wiedziałam, iż podjęłam właściwą decyzję, zabierając *Historię Amazonum* – i siebie – z zasięgu Nicka. W tym momencie najpilniejsze pytanie brzmiało: co robić dalej? Czy nie było naiwnością z mojej strony sądzić, że wrócę do Oksfordu i już nigdy nie usłyszę o al-Aqrabie?

Wsunąwszy kopertę do swojej nowej, śmiesznie drogiej torebki, podeszłam do najbliższego automatu telefonicznego i zadzwoniłam do Rebekki. Zamierzałam się z nią skontaktować w ciągu minionych dwunastu godzin, i niemal wybrałam jej numer z telefonu w pokoju gościnnym w Cirağan Palace Hotel... ale coś mnie powstrzymało. Czy nie dość, że wszyscy śledzili mnie przez mój telefon? Nie chciałam, żeby jeszcze zaczęli śledzić Rebecę.

- Halo? – szepnął nieśmiały głos, który w ogóle nie brzmiał znajomo.
- Bex? – spytałam, obawiając się, że wybrałam niewłaściwy numer.
- Eksplozja ulgi po drugiej stronie od razu rozwiała moje wątpliwości.
- Dee? Gdzie jesteś? Co się stało?

Tak się ucieszyłam, że ją słyszę, że niemal ugięły się pode mną kolana.

– Wszystko w porządku. No, w sumie nie. Ale nieważne. A co z tobą? Jesteś z Jamesem?

Rebecca zakwiliła:

– To było straszne...

Poczułam, jak wszystkie włoski na karku wstają mi ze zgrozy.

– Co takiego?

– James... – Ledwie mogła mówić z emocji. – Jest z Reznikiem.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, co dokładnie stało się z Rebeccą.

Ku mojej przeogromnej uldze zdołała złapać nocny autobus do Çanakkale i spędziła rano na łódce z panem Telemakhosem, wpatrując się w komórkę w oczekiwaniu na znak ode mnie.

Zanim jednak dotarła na przystanek, przeżyła godzinę wypełnioną strasznymi wydarzeniami. Czekala na mnie z Jamesem przed łazienką Reznika przez dobre dziesięć minut, nim zdali sobie sprawę, że nie przyjdę. Ostatecznie James doszedł do wniosku, że musiałam uciec z Nickiem, i z tego wyniknęła sprzeczka.

Stwierdziwszy, że są ostatnimi gośćmi, postanowili podejść do samochodu i sprawdzić, czy aby tam na nich nie czekam. Rebecca szła przodem, wciąż tak wściekła na Jamesa, że nie była w stanie zamienić z nim słowa – tak mi powiedziała, łkając z poczucia winy i żalu – i gdy przechodziła przez bramę, ktoś za nimi zaczął krzyczeć. Odwróciła się i zobaczyła, jak ochroniarze Reznika podchodzą do Jamesa i nie pozwalają mu wyjść. Nie mając pojęcia, o co chodzi, Rebecca zrozumiała tylko, że mają problem, i rzuciła się biegiem... zostawiając Jamesa.

– Tak strasznie się z tym czuję – szepnęła, znowu przeżywając tamte wydarzenia. – Powinnam była zostać z nim, ale... po prostu spanikowałam.

Pobiegłam do samochodu sprawdzić, czy na nas czekasz, ale tam była policja z holownikami. Powiedzieli coś, czego nie rozumiałam, chyba że trzeba mieć naklejkę, że się jest mieszkańcem, żeby tam parkować. Ale tak mi źle w związku z Jamesem.

– Na pewno nic mu nie będzie – powiedziałam. – To rozumiałe, że Reznik chciał z nim pogadać. Widziałaś ich, to starzy znajomi. A James jest synem lorda Moselane’a. Reznik nie ośmieliłby się...

– Dzwoniłam i dzwoniłam, ale jego telefon jest wyłączony...

– Może w końcu przestaniesz dzwonić! – odparłam, trochę już zniecierpliwiona. – Tak właśnie Reznik śledzi ludzi. Nie ma wątpliwości, że niedługo zaczniesz szukać *Historii Amazonum*, więc powinniśmy przycichnąć na jakiś czas i nie komunikować się ze sobą nawzajem. Najlepsze, co możesz zrobić, to popłynąć w rejs z panem Telemakhosem.

– A co z tobą? – spytała Rebecca. – Gdzie ty jesteś?

Rozejrzałam się po ruchliwym lotnisku, zastanawiając się, ile jej powiedzieć.

To tylko kwestia czasu, zanim ktoś zacznie deptać mi po piętach... Pytanie tylko, kto dopadnie mnie pierwszy? Nick miał mój trop; Reznik miał Jamesa. Mogłam zyskać oczywiście, zwracając *Historię Amazonum*, ale komu? I jak? Nie, za późno było na pokazowe gesty, jedyne, co bym osiągnęła, to ściągnięcie na siebie jeszcze większej uwagi.

Dziwne to było uczucie stać tak w budce, w otoczeniu pewnych siebie podróżnych, którzy wiedzieli dokładnie, dokąd zmierzają... i uświadomić sobie, że uciekam.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparłam w końcu. – Ale obiecuję, że znajdę sposób, żeby to wszystko zakończyć.

Po rozłączeniu się z Rebeccą zastanawiałam się chwilę, po czym zadzwoniłam do Katherine Kent. Ostatnio rozmawiałyśmy w wieczór przed moim wyjazdem. Zostawiłam jej wiadomość, jeszcze gdy byłam w Algierii, i to wszystko. A jednak ta moja wszechwidząca mentorka wiedziała tyle o moich poczynaniach, żeby wysłać Jamesa do Troi dokładnie wtedy, gdy tam przybyłam.

Jakim cudem? Miałam przeczucie, że odpowiedź na to pytanie pomoże mi zdecydować o następnych ruchach.

Trzykrotnie wybrałam jej numer z tym samym rezultatem: przenikliwy sygnał mówił, że linia jest odłączona. Mój przybierający na sile strach dojrzał do rozmiarów paniki. Od wynalezienia telefonów w Oksfordzie nie zmieniano żadnych numerów. Fakt, że Katherine Kent stała się nieosiągalna, był nieomylnym znakiem, że mój świat się rozpada.

Poszłam do łazienki i usiadłam, żeby pozbierać myśli. Miałam coraz więcej kłopotów, co do tego nie było wątpliwości. Gdzie się mogłam ukryć do czasu, gdy sytuacja chociaż odrobinę się uspokoi? Czułam już taką rozpacz, że mogłabym walić głową o drzwi. Zajrzałam do swojej torebki wieczorowej,

sprawdzić, ile zostało mi pieniędzy. W ten sposób trafiłam na karteczkę, na której pan Telemakhos wypisał mi nazwę niemieckiego muzeum, w którym jego zdaniem przechowywano jeszcze jedną bransoletę z szakalem.

Kiedy teraz wpatrywałam się w nieznajome nazwisko, taka spięta, niemal poczułam, jak mój własny szakal odpowiada na zew z daleka. I w ciągu kilku krótkich chwil, chwil pełnych determinacji, uznałam, że wyjście z tarapatów, w które wpadłam, mam przed nosem.

ROZDZIAŁ 34

TROJA

Ziemia pograżyła się w żalobie.

Słońce zaszło na zawsze, władzę objął księżyc. Nic już nigdy nie miało wykiełkować, urosnąć ani zakwitnąć. Zostały tylko fale mórz, które nadciągały i cofały się, nacierając w nieskończoność. Ziemia zobojętniała na wszystko.

Skulona na podłodze świątyni, Myrina poczuła wstrząs, ale uznała, że sama tak drży. Że to głęboki grzmot w rdzeniu jej jestestwa, cichy, rozdzierający krzyk smutku – to chyba naturalne, żeby jej ból odbił się echem po ogromnej budowli.

Leżąc z głową na nieruchomej piersi Parysa, dawno postanowiła, że nigdy już nie wstanie. Chciałaby, żeby ktoś tu na miejscu rozpałił stos, by ogień pochłonął ich oboje naraz i uwolnił ją od konieczności otwarcia oczu.

Ręka, która dotknęła jej ramienia, rozwiała złudzenia, że tak właśnie się stanie.

– Myrino – usłyszała. Król Priam. – Musimy być teraz silni.

Udawała, że go nie słyszy.

– Myrino. Nie mogę już tego odkładać. Trzeba powiedzieć jego matce.

– Proszę – ledwie mogła mówić. – Pozwólcie mi odejść z nim.

Nastąpił kolejny wstrząs, a po nim rozległ się daleki krzyk.

– Moja droga – powiedział Priam drżącym głosem – musisz być silna dla mojego syna. Słyszysz mnie?

Myrina otworzyła oczy i kiwnęła głową.

– Dobrze. – Król Priam chwycił się za głowę, jakby chciał ogarnąć niewymowny ból. – Czas nadszedł. Troja musi umrzeć z Parysem, zawsze wiadomo było, że tak się stanie. Nasze mury się skruszą. Nastanie chaos.

– Dlaczego ja ciągle żyję? – wyszeptała Myrina. – Ja to wszystko wywołałam...

Król Priam ze współczuciem potrząsnął głową.

– Myślisz, że jesteś potężniejsza niż Los? Wszyscy jesteśmy jak kubki, do których rozlewa się nasze przeznaczenie zgodnie z miarkami, których nie rozumiemy, nie mamy na nie wpływu. Nawet Posejdon musi powstać wbrew swej woli i zniszczyć swój dom. – Priam westchnął głęboko. – W to muszę wierzyć.

Jakżeby inaczej ojciec mógł patrzeć na swoje martwe dziecko i mieć wolę oddychać?

Król umilkł, hamując łzy. Następnie odezwał się z brutalną skutecznością: – Chodź ze mną, córko. Posejdon zechciał nam podarować cenny czas.

Musimy go wykorzystać. Opuścisz z siostrami Troję, nim nastanie ostatnia godzina. I musisz wziąć ze sobą coś cennego.

– Dlaczego ja?

Król przykląkł przy niej. Dopiero wtedy zobaczyła jego oczy opuchnięte z bólu.

– Ponieważ on cię wybrał. On wybrał ciebie, żebyś zadbała o przyszłość Troi. I wiem, że będziesz jej strzec lepiej niż ktokolwiek inny.

Król Priam zaprowadził Myrinę głęboko w skaliste grotty pod cytadelą, by pokazać jej skarbiec, połyskujący i migoczący w świetle pochodni. Jeszcze nigdy Myrina nie widziała takiego przepychu, takiej złotej wspaniałości i rozglądała się z czcią, podczas gdy Priam otwierał drzwi do najskrytszej krypty.

– To właśnie masz zabrać – rzekł, wchodząc przed nią w ciemności. – Ducha Troi. Nie może wpaść w ręce Greków.

Po chwili wahania Myrina podążyła za nim do środka.

I wtedy zrozumiała.

Po wyjściu z podziemi Myrina ujrzała chaos, który zdążył się rozpętać.

Lamentujące kobiety schodziły się do świątyni Posejdona, by opłakiwać zmarłego księcia i ubłagać boga, by oszczędził ich miasto.

Pospieszyła do pałacu, a tam znalazła w kuchni Pitanę i Karę zajmujące się biedną Kyme, która po uderzeniu w głowę leżała blada i jęcząca przed ogniem, z siwymi włosami we krwi.

– Taki wielki garnek – wyjaśniła Kara, gdy tylko ujrzała Myrinę. – Spadł z

półki, gdy ziemia zadrżała, i uderzył ją, jak widzisz...

– Tak mi przykro, że robię kłopot – wydyszała Kyme. – Proszę, nie przejmujcie się mną. Zaraz stanę na nogi.

– Gdzie reszta? – spytała Myrina. – Musimy jechać.

– Wiemy – odparła Pitana, stanowczo kiwając głową. – Jesteśmy gotowe.

– Proszę – wyszeptała Kyme do Myriny. – Tym razem chciałabym zostać.

– Nie. – Myrina wzięła ją za rękę. – Jedziesz z nami.

Kyme się uśmiechnęła.

– Proszę o wybaczenie. Tylko ten jeden raz. Dość mam już podróży.

Podoba mi się tu.

Myrina pokręciła głową.

– Z nadejściem poranka Troja może już nie istnieć.

– Bzdura! – Kyme próbowała się roześmiać. – Trzęsienie ziemi się skończyło, Grecy odchodzą... Do brzasku wszystko będzie dobrze.

Myrina pochyliła głowę, nie mogąc już powstrzymać dłużej łez.

– Nie będzie dobrze. Musimy natychmiast wyjechać, dopóki można. Proszę, jedź z nami. Bez ciebie... może stracimy sztukę pisania.

Kyme westchnęła.

– Sztuka pisania służy tylko królom, wiesz przecież. Królom i herosom. Cała reszta zamieni się w milknące echa w dolinie wieczności. – Zamknęła oczy, jakby odpływała w sen. – A teraz zostawcie mnie, dzieci. Proszę tylko, byście czasami z czułością wspomniały i wypowiedziały moje imię. Zrobicie to?

Gdy tylko Eneasza przybył do cytadeli, król podszedł doń, chwycił uzdę jego spienionego konia i rzekł: – Zsiadaj. Mam dla ciebie zadanie.

– Wybacz mi, panie – wydyszał Eneasza, ociekający potem po gonitwie przez miasto. Na rękach miał krwawe ślady. – Muszę sprowadzić posiłki dla naszych ludzi. Na Równinie Skamandryckiej dzieją się straszne rzeczy. Wyruszyliśmy, jak może wiesz, zemścić się na tych draniach i nagle znaleźliśmy się w środku bitwy, konie spłoszone. – Sięgnął po podaną wodę. – Grecy próbowali wsiąść na statki, by wrócić do domu, ale wszyscy utknęli w potężnej fali. Oni także poczuli wstrząsy i boją się, że to Posejdon przyszedł ich ukarać. – Eneasza skrzywił się i splunął na ziemię. – Poderżnęli gardło każdemu koniowi, którego dopadli, całym setkom, i zostawili żałosne stworzenia, by się wykrwawiły, pewnie w ofierze Posejdonowi.

– Grecy i ich ofiary! – warknął król Priam. – Okropny naród. Znają tylko krew i ogień. Ale chodź – poklepał Eneasa po udzie – potrzebujesz świeżego rumaka. Mam dla ciebie zadanie specjalne.

– Gdzie Parys? – spytał Eneas, rozglądając się. I wtedy zauważył Myrinę. Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mu, co się stało, i tylko podniósł ręce do oczu w bezgłośnym cierpieniu.

Na rozkaz króla Eneas miał wyprowadzić z miasta Myrinę i jej siostry.

Wyruszyli przed północą w wielkim pośpiechu. Priam dał im dodatkowe konie juczne do transportowania skarbu, którego strażniczkami chciał je uczynić.

Ostatecznie grupa składała się z czternastu kobiet i dwudziestu koni. W ostatnim hołdzie dla Parysa Myrina pozwoliła Lilli jechać na klaczy, którą od niego dostała i którą starannie wyszkolił, tak by ona nad nią panowała.

Eneas poprowadził je przez Bramę Skajską, by ominąć walki na Równinie Skamandryckiej, i dalej aż do rzeki Simois. Tam je opuścił, mówiąc do Myriny: – To był dla nas czarny dzień. Ty straciłaś męża, ja przyjaciela. Szukaj pocieszenia w tym, że same niebiosa rozpała jego stos pogrzebowy, że w ostatniej podróży będzie miał liczną kompanię. Ja czerpię pocieszenie – położył jej dłoń na ramieniu – ze świadomości, że w jednym krótkim miesiącu dałaś Parysowi więcej miłości niż większość ludzi dała mu przez całe życie. Był szczęśliwy, jak tylko szczęśliwy może być mężczyzna, sam mi to powiedział. Nie czeka go zrzędliva starość, kiedy by się zastanawiał, dlaczego ominęły go rozkosze świata. Chociaż umarł młody, nasycił się, i wiedział o tym.

Nie mogąc mówić dalej, Eneas zawrócił konia i ruszył ku Troi. A kobiety, nie wiedząc, kto powinien być dowódcą po śmierci Pentezylei, jechały dalej w milczeniu wzdłuż rzeki, szanując ból Myriny i zostawiając ją w spokoju.

O świcie dotarły do obozu Otrere, gdzie wszystkie kobiety były już na nogach – na próżno starały się uspokoić konie.

Nadszedł, gdy podbiegły uściskać siostry: gniew bogów niebieskich walczących z Ziemią. Wydawało się, że gigantyczna ręka ciągnie za tę właśnie ziemię pod ich stopami i wyrzuca wszystkich w powietrze – kobiety i konie – jak młócone ziarna na macie. Rozległ się demoniczny ryk, gdy drzewa, cały bór zakołysał się i pochylił... i potem straszliwy łoskot spadających wszędzie potężnych pni i urwanych gałęzi.

Krzycząc z przerażenia, kobiety zbiły się w gromadkę i czekały, aż niebo zapadnie się i runie. Bo na pewno nadchodził koniec wszystkiego – chwila, gdy ciężko doświadczona Ziemia wreszcie strząśnie z siebie niegodziwości rodzaju ludzkiego.

Myrina obudziła się z krzykiem nadziei i natychmiast opadła ze szlochem rozczarowania. Bo znajdowała się w lesie, otoczona przez wilgoć, ciemność i śpiące kobiety, a osobą, której bliskość wyczuła, była Lilli, wtulona w nią jak namocniej.

– Trzymaj. – Animone objęła Myrinę za ramiona i podetknęła jej pod usta kubek z wodą. – Cały dzień byłaś nieprzytomna. Boli cię coś?

– Parys – szepnęła Myrina. – Czy on jeszcze...

Animone pogłaskała ją po policzku.

– Nastąpiło jeszcze jedno trzęsienie ziemi. Straszliwe. Pitana i Hippolita pojechały z powrotem... – zawahała się. – Troi już nie ma. Nie ostał się ani jeden budynek. A wszędzie są najeźdźcy.

Myrina opadła na ziemię.

– Jestem taka zmęczona. Wybacz mi.

Znowu spała aż do rana. Otrere osobiście przysłała ją obudzić.

– Musimy opuścić obóz, Myrino – powiedziała. – Jesteśmy tu już za długo i konie się niecierpliwia. Chodź. – Otrere wzięła ją za rękę i poprowadziła nad rzekę. – Obmyj oczy i oczyść głowę. Przypomnij sobie, że jesteś Myriną. Siostry polegają na twojej dzielności.

Myrina padła na kolana nad brzegiem rzeki, chowając twarz w dłoniach.

– Jak mogę być dzielna, gdy moja odwaga prowadzi tylko do zniszczeń?

Otrere uklękła przy niej.

– Bez twojej odwagi twoje siostry wciąż byłyby w niewoli mykeńskiej.

– Bez mojej przeklętej odwagi – odparowała Myrina, chora ze smutku – Parys by żył.

– To nie twoja odwaga kazała Priamowi nałożyć podatki na greckie statki ani nie ona kazała tym statkom pustoszyć wybrzeże. Ani też nie twoja odwaga kazała wiać północnemu wiatrowi czy ziemi się trząść. Nie pochlebiaj sobie, że masz taką władzę nad życiem i śmiercią. Bez ciebie... skąd wiadomo, że Parys nie zginąłby w swoim łóżku pod wałącym się dachem? – Otrere pochyliła się bardziej, zaglądając jej w oczy. – Nie sądzisz, że twój mąż będzie wyglądał szykowniej w Krainie Wieczności, idąc prosto z

poła bitewnego upojony zwycięstwem?

Myrina zamknęła oczy, rozkoszując się słodkim obrazem, zanim i on został pochłonięty przez wspomnienie Parysa martwego w jej ramionach, ciepłego jeszcze ciała na zimnej podłodze świątyni.

– Może.

– Dobrze. – Otrere nabierała w dłoń wodę i spryskiwała nią twarz Myriny.
– A teraz chodź, jedźmy swoją drogą. Ze strony Greków nic nam już nie będzie grozić dopiero, gdy znajdziemy się na ziemi Kaszków.

Wędrowały na wschód wybrzeżem, a Myrina zauważyła, że Lilli zrobiła się dziwnie milcząca. Nawet po wielu łzawych dniach wspólnego bólu i czułych słów dziewczynka dalej była niespokojna, a kiedy Myrina w końcu spytała, co ją trapi, Lilli wyraziła swoje troski dopiero po wielu namowach.

– Widziałyśmy tyle smutku i zniszczenia – odparła niechętnie, gdy leżały pewnej bezsennej nocy, trzymając się za ręce – że nie mam ochoty przewidywać ich więcej.

– Ależ musisz! – Myrina objęła siostrę ramieniem. – Dawno już nauczyłam się ufać twoim złym przeczuciom. Co widzisz?

– Ciemność – szepnęła Lilli. – Na ziemi Kaszków nie ma nic prócz udręki.

Przez jakiś czas będziemy górą, ale potem... czeka nas zapomnienie. Widzę światło tylko z jednej strony, z północy. Musimy przekroczyć wodę, wiem, że musimy.

Myrina nie zdołała ukryć rozczarowania.

– Chcesz, byśmy pokonały drogę przez dzikie północne ziemie? Żebyśmy udały się tam, gdzie nie postąpiła noga cywilizowanego człowieka?

Lilli kiwnęła głową.

– Widzę rzeki i góry, i bezkresne lasy. I – głos jej zadrżał – widzę, że ty się znowu uśmiechasz i popędzasz nas.

Gdy jednak Myrina podzieliła się z Otrere wizjami Lilli, starsza kobieta nawet nie chciała rozważać zmiany planów. A kiedy Myrina wciąż nalegała na wędrowkę na północ, Otrere spojrzała na nią oczyma pełnymi goryczy.

– Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – spytała.

Myrina ciężko skinęła głową.

– Chyba Los zdecydował, że mamy się rozdzielić.

Po kolejnych trzech dniach wędrowki dotarły do przeprawy. Było to rojne miejsce, pełne żeglarzy i szybko mówiących kupców. Kobiety jechały konno

przez tłum w milczeniu, ponuro ignorując hałaśliwe uwagi, które prześladowały je wszędzie, dokądkolwiek poszły. Tu właśnie ich grupa musiała się rozdzielić. Część chciała podążyć za Otrere i popłynąć na wschód na Niegościnnie Morze, reszta – przekroczyć z Myriną wąską cieśninę, która tutaj dzieliła ląd.

Dla większości wybór był prosty. Żadna z cór Otrere nie miała chęci opuszczać osób, które znała przez całe swoje życie, a już na pewno nie po to, by wyprawiać się na ziemie zamieszkane – jak się wyraziła Otrere, gdy zaprezentowały im wybór – „przez wysysające krew wiedźmy i wyjące wilkołaki”.

Ale dla kobiet, które przebyły całą drogę ze świątyni Bogini Księżycy na brzegach jeziora Tritonis – a szczególnie dla tych ocalonych z Myken – był to nieznośny wybór pomiędzy wygodą a lojalnością.

– Jak możecie teraz nas o to pytać? – narzekała Klito, gdy poprzedniego dnia Otrere i Myrina wyjaśniły wszystkim sytuację. – Wyszliśmy cało z największej katastrofy, jaką świat widział, a teraz – Klito rozłożyła ramiona, jedno w stronę swojej świętej siostry, drugie w stronę kobiety, o której zaczęła myśleć jak o matce – chcecie nas zmusić do rozstania, teraz, gdy wybawienie wydaje się w zasięgu ręki?

Przez grupę przebiegł szmer poparcia. W czasie przerwy w podróży, gdy miały napoić konie i odpocząć trochę, zebrały się na brzegach wielkiej rzeki, a Myrina i Otrere kolejno wstępowały na wielki głaz, by zwrócić się do kobiet siedzących na skałach dokoła.

– Nie łudźmy się, że jest coś takiego jak wybawienie – powiedziała Myrina, z trudem przemawiając mocnym głosem, bo ból dławił jej gardło jak pętla. – Nie twierdzą, że północne ziemie są bezpieczne, ale nie chcę, byście jechały do Kaszków tylko po to, by was zarżnęli jak zwierzęta. Nawet jeśli nie macie wiary w wizje mojej siostry, przynajmniej rozważcie przestrogi króla Priama...

– Słyszycie ją?! – Egee w gniewie zerwała się na nogi. – Najpierw porzuca nas dla mężczyzny... a teraz udaje, że przejmuje się naszym bezpieczeństwem.

I spójrzcie tylko. – Wymierzyła w Myrinę swój nóż myśliwski, którego kiedyś poprzysięgała nie nosić, a który teraz stał się jej najdroższym przedmiotem. – Czy ona budzi zaufanie? Jest chora i dziwna; ledwie wie, co

mówi czy robi.

Najwyraźniej bogini teraz właśnie dokonuje pomsty. A jeśli ona umrze? Co wtedy zrobimy? Nie. – Egee skrzyżowała ramiona na piersi, nie wypuszczając z dłoni noża. – Powiadam, niech ona sobie idzie swoją nieszczęśliwą drogą, a my pójdziemy swoją.

Po surowej przemowie Egee nastąpiła głośna dyskusja, ale wszystkie – nawet inaczej myślące – umilkły, gdy wstała Kara. Pokazując im wszystkim blizny na nadgarstkach, jakby same w sobie stanowiły argument, spojrzała na Egee i powiedziała: – Mówisz o szczęściu i pomście, jakbyś wiedziała, co te słowa znaczą. Ale nie masz pojęcia. Nie zostałam zgwałcona, nie porwały cię czarne okręty. Nie zaznałam ohydy Myken. – Z twarzą zdjętą wściekłością wskazała Myrinę. – To ona po nas przyszła. Ona przedłożyła nasze szczęście nad własne. Myślisz, że Bogini jej nienawidzi? Mylisz się! Bogini ją kocha. Podziwia. Dlatego uczyniła z niej przykład dla nas wszystkich. Dlatego ją nam dała. Myślisz, że ona podąża traktem nieszczęścia? Może. Ale ja widziałam księżniczkę trojańską z koroną na głowie i to ja, w swoim szaleństwie, rzuciłam ją lwom. – Kara zasłoniła twarz dłońmi, znowu walcząc z demonami. – A zatem muszę podążać z nią tą nieszczęśliwą ścieżką, dokądkolwiek ona prowadzi. Może i napotkamy latające wiedźmy i półludzi, ale na pewno nie są gorsi od tego, co już widziałyśmy. A przecież przetrwałyśmy, prawda? – Spojrzała po nich, wznosząc ręce w apelu. – Myrina mogła zginąć wiele razy, podobnie jak ja i podobnie jak wy. Ale nie zginęłyśmy. Ciągłe żyjemy, bo mamy siebie i mamy powinność do wypełnienia. – Wskazała juczne konie, które dał im król Priam. – Człowiek, który rządził jednym z najwspanialszych miast na ziemi, prosił w swoich ostatnich słowach, byśmy strzegły skarbu. Ja wybiorę to zadanie ponad wszelkie wygody tego świata. Ja przede wszystkim mam wielką hańbę do zmycia i nie wyobrażam sobie lepszego na to miejsca niż dzikie rzeki północy, gdzie już nigdy nie usłyszę greckiej mowy.

Po Karze już żadna nie ośmieliła się wystąpić i cała grupa podążała dalej wybrzeżem w złości i niezdecydowaniu. Nawet gdy zbliżyły się do portu, przyglądając się zawijającym statkom, Myrina nadal nie wiedziała, czy przekroczyć cieśninę w trzy osoby czy w trzydzieści.

Skarb króla Priama pozostawał pod jej kontrolą. Słyszała szemrania o niesprawiedliwości, że to wszystko zatrzymuje dla siebie, ale uciszyła te

zawistne głosy, wyjawiając naturę skarbu i pokazując go towarzyszkom.

– Prawdę mówiąc, nie zazdrościmy ci tego ciężaru – powiedziała Otrere, zabierając głos w imieniu wszystkich. – Modlimy się tylko, by twoje trudy zostały nagrodzone.

Zatrzymały się przy wyciągniętej na brzeg łodzi, która wyglądała na pustą.

W cieniu kadłuba leżał olbrzymi chłop i żuł jakiś korzeń. Za jedyną broń służyła mu chyba drewniana pałka – Myrina nie wątpiła, że potrafi nią władać niezwykle skutecznie. Gdy zauważył kobiety, usiadł i nieufnie skinął im głową.

– Ile da radę wieźć twój statek? – spytała go Otrere, posługując się językiem Efezu. – Rozumiem, że jesteś do wynajęcia?

Wielki chłop uśmiechnął się szeroko, korzeń podskakiwał mu w kąciku ust.

– Wszystkie pomieści, skarbie, jeśli cena jest właściwa. Dokąd płyniecie?

Otrere ściągnęła brwi. Mężczyzna sprawiał wrażenie brutala, miał na sobie wyliniałą lwią skórę i niewiele więcej, a jednak wyglądał na solidnego i pełnego zapału, mówił w ich języku, a statek najwyraźniej był dostępny.

– Niektóre z nas chcą tylko przepłynąć na drugą stronę – powiedziała – a pozostałe będą chciały popłynąć na wschód aż do ujścia rzeki Thermodon. O ile wiem, stąd do tego ujścia niewiele można znaleźć znośnych dróg i przeprawa morzem jest nieskończenie szybsza i bezpieczniejsza niż lądem. To prawda?

– Jak najbardziej, skarbie. – Mężczyzna wreszcie wstał i przyjrzał się grupie.

– Dużo koni. Nie jestem wielkim miłośnikiem koni. Wytwarzają sporo gówna.

Swego czasu przerzuciłem mnóstwo gówna. – Wypluł korzeń i otrzepał ręce. – Ale mam kilku kumpli i pracuje też dla mnie Tezeusz ze swoimi wioślarzami, co razem daje cztery statki. – Uśmiechnął się znowu, odsłaniając zęby w usługnym uśmiechu. – Zacznijmy od łatwej części. Ile w sumie się was przeprowadza na drugą stronę?

Tej chwili wszystkie się bały – chwili, którą odkładały tak, że dłużej się nie dało.

– No cóż – Otrere odwróciła się do grupy – mówcie, dziewczęta. Ile udaje

się na północ z Myriną?

Lilli i Kara od razu podniosły dłonie. Następnie uczyniły to również Klito i Pitana, i jeszcze kilka. Ale to było wszystko. Animone do nich nie dołączyła.

Siedząc na koniu z pochyloną głową, nie patrzyła na Myrinę. Gdyby wystarczyło jej na to odwagi, zobaczyłaby w oczach przyjaciółki wybaczenie.

– Dobra. – Mężczyzna podłubał w nosie, obejrzał znalezisko i wytarł palec w tunikę z lwiej skóry. – Jeśli to wszystko, mogę pierwszą grupę zabrać na drugą stronę już teraz, a potem rozpracujemy resztę, gdy wrócą moi kompani.

– A co z zapłatą? – spytała Otrere.

– Cóż. – Mężczyzna podrapał się po tęgim karku. – Może zobaczymy, jakich znajdę wioślarzy i ile nam zajmie dowiezienie pań na miejsce? – Otaksował wzrokiem Hippolitę i jej zdobiony pas oraz kształtne biodra. – Na pewno macie coś, co mi się spodoba.

I nadszedł czas rozstania. Uściskawszy wszystkie po kolei, Myrina na koniec trafiła w ramiona Otrere i nie dała rady ująć swoich uczuć słowami.

– Nie ma co płakać – powiedziała Otrere, niemal się śmiejąc. – Bo jestem pewna, że jeszcze się zobaczymy. Zrozumiesz, że północne ziemie nie nadają się do życia, i dołączysz do nas, zanim jeszcze dziecko przyjdzie na świat.

Myrina zeszywniała, zaskoczona.

– Nie rozumiem...

Otrere uśmiechnęła się i pocałowała ją w czoło.

– Może nie znam się na mężczyznach, ale na kobietach na pewno. Nosisz coś o wiele cenniejszego niż skarb króla Priama. Nosisz jego wnuka.

Stojąc na rufie, Myrina patrzyła, jak z każdym pociągnięciem wiosła jej świat i większość znanych jej ludzi stają się coraz mniejsi, aż nie zostało prawie nic, tylko świadomość, że jej siostry ciągle tam są i czekają na powrót statków.

A jednak jej smutek ginał w oszołomieniu po pożegnalnych słowach Otrere.

Czy to możliwe? Czy maleńka, nieśmiertelna część Parysa przetrwała w jej ciele?

Ledwie ośmielała się mieć taką nadzieję, z lęku, że okaże się, iż to nieprawda i że znowu go straciła.

Odpychając tę myśl, zerknęła na swój nadgarstek, na którym kiedyś nosiła bransoletę z szakalem. Kiedy dała ją Helenie – nieszczęsnej, pokrzywdzonej przez los Helenie – nie wyobrażała sobie, że za nią zatęskni, ale teraz chciałaby poczuć jej pokrzepiającą obecność. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, pragnęła wybaczenia – wybaczenia za miłość do Parysa, za opuszczenie sióstr, za przynoszenie bólu wszędzie, gdzie się pojawiała. Tylko nie była pewna, do kogo się zwrócić. Do Bogini Księżycy? Nie bardzo. Nawet szakale na pewno dawno porzuciły wierność wobec swojej byłej pani.

Nie, pomyślała Myrina, będzie musiała znaleźć wybaczenie w sobie i u swoich dziesięciu wiernych towarzyszek. Będą musiały odbudować swoje siostrzeństwo na nowych warunkach. Gdy już się gdzieś bezpiecznie osiedlą, zasiądą i omówią wszystko, może wtedy, jeśli będzie miała szczęście, trafią na jakiegoś kowala, który zdoła zrobić nową bransoletę.

Szorstka komenda przerwała jej rozmyślenia. Mężczyzna, na którego statku płynęły – brutal, ale taki wesoły, gdy rozmawiały z nim na brzegu – przemierzał pokład w tę i z powrotem ze swoją wielką maczugą, ponaglając wioślarzy. Nie wyglądał na takiego, który by miał jakieś skrupuły w kwestii roztrzaskania czaszek ślamazarom.

– Nie ufam mu – szepnęła Pitana, podchodząc do Myriny. – W jego oczach jest teraz coś okrutnego i wyrachowanego. Nie wiem, czy nie powinniśmy mu kazać zawrócić.

Myrina zastanawiała się chwilę.

– Otrere nie jest naiwna. A ja jestem pewna, że jej córki poradzą sobie same.

Gdybyś widziała to co ja tamtego dnia nad Skamandrem, zgodziłabyś się ze mną, że mają tyle samo woli zabijania co mężczyźni.

A jednak gdy bezpiecznie pokonały cieśninę i wylądowały na północnym brzegu, Myrina jakoś tak została trochę na plaży, szukając okazji, by zamienić jeszcze słowo z maczugowładnym kapitanem. Udając podziw, zagała: – Jak to się stało, że taki mąż skończył w tak odludnym rejonie?

Wzruszył ramionami, niezainteresowany już zdobywaniem jej szacunku.

– Zabiłem kogoś. I pomyślałem, że lepiej opuścić miasto, zanim jego przyjaciele się dowiedzą.

Myrina się uśmiechnęła, ostrożnie tając zaniepokojenie.

– Kto to był?

Mężczyzna obejrzał się na wodę, mrużąc oczy.

– Człowiek, dla którego pracowałem. Sprzątałem mu stajnie. Mnóstwo gówna. Nie zapłacił mi. Więc wybiłem mu zęby. Niestety, były połączone z jego mózgiem. A w każdym razie były połączone, jak z nim skończyłem. – Parsknął śmiechem, rozglądając się, czy aby wioślarze mu wtórują.

– No i dobrze – powiedziała Myrina, poprawiając topór przy pasie. – Koniecznie opowiedz tę historię moim przyjaciółkom na drugim brzegu. Spodoba im się. Dobra, zanim się pożegnamy – wyciągnęła dłoń – powiedz mi jeszcze, jak masz na imię, a ja ci podam swoje.

Mężczyzna spojrział drwiąco, jakby podejrzewał, że Myrina z niego kpi.

– Chcesz znać moje imię? Po co? Sypniesz mnie? Ja i cała reszta – gestem wskazał brzeg – nie szukamy guza. My tylko... jakiś czas trzymamy się z boku. – Wreszcie też podał jej dłoń. – Nic w tym złego. Nazywam się Herkules.

Myrina kiwnęła głową.

– Mamy wiele wspólnego, Herkulesie. Oboje jesteśmy zabójcami, a jednocześnie oboje chcemy spokoju. Dam ci jedną radę: nie tknij moich sióstr.

Jesteśmy Amazonkami, zabójczyniami mężczyzn. Tylko głupcy z nami zadzierają.

– Zabójczyniami mężczyzn? – Herkules spojrział na nią z krzywym uśmiechem. – Powtórz to, a może cię sprawdzimy.

Myrina aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że wśród wioślarzy zapanowało poruszenie. Widziała, jak przyglądają się jej z wyraźną chciwością i trącają się porozumiewawczo łokciami.

– Chcecie mnie sprawdzić? – spytała, podnosząc głos. – Widzicie tego ptaka? – Wskazała mewę na topie masztu. Nagle, już bez słowa, zdjęła łuk i posłała strzałę z taką prędkością i precyzją, że ptak nawet nie krzyknął, nim spadł z masztu na piasek, przesyty na wylot.

– Jesteśmy Amazonkami – powtórzyła Myrina, bardziej stanowczo, gdy mężczyźni z rozdziawionymi ustami wpatrywali się z niedowierzaniem w martwego ptaka. – Zabijamy zwierzęta i mężczyzn. Jesteśmy dzikie i zamieszkujemy dzikie miejsca. W naszych żyłach krąży wolność, a śmierć czai się na grotach naszych strzał. Niczego się nie lękamy. Strach ucieka przed nami.

Spróbuj nam stanąć na drodze, a poczujesz nasz gniew. – Z tymi słowy odwróciła się i odeszła przez wysokie trawy, a mężczyźni odprowadzali ją wzrokiem, aż widzieli już tylko koniec jej łuku.

I wtedy, gdy tylko sobie przypomnieli, że trzeba oddychać, zniknęła.

CZĘŚĆ V

ZACMIENIE

ROZDZIAŁ 35

*Wiadomo dość dobrze, że plemiona germańskie nie zamieszkują żadnych miast, a nawet nie dopuszczają łączenia siedzib. Mieszkają z dala od siebie, każdy w innym miejscu, wedle tego, jakie kto sobie upodoba źródło, pole lub las.*²⁰

TACYT, *Germania*

OSNABRÜCK, NIEMCY

Pokonanie drogi z lotniska Münster zajęło niecałe pół godziny – trwało na tyle długo, by dopadło mnie zwątpienie. „To twoja wina” – powiedziałam do szakala, gdy jechaliśmy przez płaski, wilgotny ciemnozielony krajobraz. „To ty chciałeś się tu ukryć. I co teraz?”

Było szare deszczowe popołudnie w rodzaju tych zwyczajnych dla północnej Europy w listopadzie. Chociaż nigdy wcześniej nie byłam w tej części Niemiec, w chłodnej żalości otoczenia od razu poczułam się jak w domu, no i doskonale to pasowało do mojego obecnego nastroju. Panika już mnie opuściła, a zostało dręczące poczucie, że może mądrzej by było, gdybym wróciła do Oksfordu i po prostu poszła na policję. A z drugiej strony... co by mi to dało? Chwilowe poczucie bezpieczeństwa? Chociaż ciągle czułam wątpliwości co do przyjętego rozwiązania, powtarzałam sobie, że postępuję właściwie, ruszając podsuniętym przez pana Telemakhosa tropem bransolety w Kalkriese. Zarówno Reznik, jak i al-Aqrab bardzo się uparli, by odnaleźć Amazonki, a jedynym sposobem, by im uciec, wydawało się wyprzedzenie ich.

Lot ze Stambułu spędziłam na przeglądaniu reszty tajnych dokumentów Nicka. To, co znalazłam, dość mocno rozjaśniło mi w głowie, ale ani trochę nie oddaliło ode mnie trosk. Sięgnąwszy do koperty z pewną obawą, znalazłam jeszcze jeden raport detektywistyczny po arabsku, jeszcze grubszy niż pierwszy. Ale tym razem nie dotyczył mnie i mojej rodziny.

Dotyczył mnie i Katherine Kent.

Kilka ziarnistych zdjęć przedstawiało nas w oksfordzkim gabinecie, wyglądających niewiarygodnie podejrzanie, chociaż tematem naszej rozmowy był niemal na pewno grecki historyk nieżyjący od dwóch tysięcy lat. Ale były też inne zdjęcia Katherine, o wiele mniej niewinne. Jedno przedstawiało ją przed workiem treningowym, spoconą i skrzywioną, z rękawicami bokserskimi, a inne – ją w taksówce, w kapeluszu i wielkich okularach przeciwsłonecznych, wyjących z daleka napisem „tajna operacja”. Ale seria zdjęć, które sprawiły, że niemal zwróciłam pokładowe prece, przedstawiał ją i kogoś jeszcze, jak podają sobie niewielki pakunek na zatłoczonym dworcu.

Tym kimś niewątpliwie była moja blond nemezis.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, wertując w tę i z powrotem zdjęcia i próbując pogodzić się z prawdą. Oto na pewno trzymałam w ręku wyjaśnienie zagadki zainteresowania Katherine moimi poczynaniami: była powiązana z ludźmi odpowiedzialnymi za napaść na mnie w labiryncie i rabunek w porcie w Nauplionie. Czy to oznaczało, że ona jest Amazonką? Nigdy nie widziałam szakalowej bransolety na jej nadgarstku, na zdjęciach też żadnej nie zauważyłam.

W okropnym przebłysku jasnego myślenia ujrzałam, jak rozwija się przede mną cała nasza relacja, od pierwszego spotkania przed pięcioma laty. Wówczas bardzo mi schlebiało, choć i bardzo mnie dziwiło, że znamienita oksfordzka profesor podeszła do mnie na sympozjum studenckim w Londynie i wyraziła zainteresowanie moimi planami na przyszłość.

– Gdybyś zdecydowała się kontynuować karierę naukową – powiedziała, z charakterystyczną dla siebie bezceremonialnością – z chęcią zostanę twoim promotorem. To mój numer. – Łaskawie wypisała numer telefonu na moich notatkach do prelekcji, a ja zgłosiłam się do niej przed upływem tygodnia.

To było taki magiczny początek, taki miły dar... Nawet jeśli u źródeł gestu Katherine leżały okoliczności zewnętrzne, nie chciałam źle o tym myśleć. Pomogła mi i spędziłyśmy razem wiele świetnych chwil; pochlebiałam sobie, że nasza relacja dla niej też jest satysfakcjonująca. Ale potem coś się nagle zdarzyło.

Poleciałam z panem Ludwigiem wbrew woli Katherine, zostawiłam jej wiadomość z Algierii, a teraz jej numer – ten sam, który podała mi tamtego

dnia w Londynie – był nieaktualny.

Gdy dotarłam do ostatniego dokumentu w kopercie Nicka, zaczęłam pojmować złożoną podłość tego, co się dzieje. Spięte zszywką kartki zawierały kompilację artykułów prasowych, napisanych na maszynie tekstów i makabrycznych zdjęć z raportów policyjnych przedstawiających zmasakrowane ciała, skonfiskowaną broń i sprzęt wideo, a także rozbity samochód na dnie wąwozu. Dopiero w trakcie lektury pierwszego artykułu trafiłam na nazwisko, które rozpoznałam: Alexander Reznik, znany w kręgach wielbicieli „snuff filmów”

jako Kroczy. Najwyraźniej patrzyłam na niesławny szlak śmierci ukochanego syna Reznika, który dzięki politycznym koneksjom tatusia zdołał uniknąć kilku procesów o morderstwo.

Analizowałam chwilę dokumenty, walcząc z mdłościami wywołanymi domniemanymi zbrodniami Alexa Reznika, z których część obejmowała przerastające możliwości rozumienia ludzkiego umysłu bestialskie akty kanibalizmu. W jednym pamiętnym akapicie cytowano jego słowa: „Jeśli oni sami do ciebie przychodzą i zgadzają się, żebyś ich zjadł, to nie jest zbrodnia”.

Wynurzywszy się wreszcie z bezdennej otchłani prawdziwego życia potworów, zauważyłam smaczny kąsek w gazecie obwieszający, że Grigor Reznik daje milion dolarów za głowę amazońskiej suki, która zabiła jego syna. Cytowano jego słowa: „Mam to na taśmie, chwała Bogu. Powinny wiedzieć, że nie spocznę, póki ich nie przygwożdżę”.

Od lektury makabrycznego raportu – połączonego z odkryciem, że Reznik też poluje na Amazonki w morderczych zamiarach – zaczęłam tak drzeć z przerażenia, że poprosiłam stewardesę o koc. Ostatecznie chyba ani Reznik, ani al-Aqrab nie szukali złota Amazonek. Pościg, w który zostałyśmy uwikłane – ja i *Historia Amazonum* – był o wiele bardziej morderczy niż poszukiwanie skarbu.

Ciągle przemarznięta do szpiku kości, zatrzymałam się w nowoczesnym, ale kojąco wygodnym pokoju w Idingshof Hotel w Bramsche – mieście, z którego było najbliżej do Muzeum Kalkriese. Zerkając przez zaciągnięte zasłony, doliczyłam się jedenastu samochodów na parkingu pod moim oknem, a gdy tak patrzyłam, wjechał kolejny. Nie zaparkował – stał tylko chwilę, nie wyłączając silnika, po czym powoli się wycofał. W zmroku ledwie

mogłam rozpoznać mężczyznę za kierownicą, a ze sposobu, w jaki patrzył i trzymał rękę przy uchu, wywnioskowałam, że rozmawia przez telefon.

Gdy cofał, serce mi przyspieszyło. Czy to mógł być detektyw al-Aqraba?

Albo ochroniarz Reznika? Na pewno nawet tacy ludzie nie zdołaliby znaleźć mnie tak szybko. Co więcej, jeśli chodzi o Reznika, czy nie powinnam założyć, że James przed powrotem do Oksfordu dokładnie wszystko wyjaśnił? Nawet jeśli wciąż był na mnie zły, chyba by nie pozwolił Reznikowi wierzyć, że jestem w zмовie z Nickiem. Czyby pozwolił? Ciągle nie byłam pewna.

Samochód odjechał, a ja przesłałam się kilka razy po pokoju, usiłując się uspokoić. Oczywiście, że nie mnie szukał ten kierowca. To tylko moja wyobraźnia zamieniała każdy cień w potwora. Prawdę mówiąc, mój obecny stan, uświadomiłam sobie z dygotem, musiał przypominać paranoję. Teraz jeszcze brakowało, żeby szakał mnie przekonał, że jestem Amazonką w przebraniu, i wtedy naprawdę znajdę babcię, bo sama się nią stanę.

Zerknęłam na zegar. Pierwotnie zamierzałam od razu pojechać do Muzeum Kalkriese, ale była już siedemnasta. Postanowiłam, że pojedę tam jutro z samego rana i będę miała cały dzień na znalezienie kobiety, z którą chciał mnie poznać pan Telemakhos, i na rozmowę z nią.

Sprawdziłam, czy wszystkie drzwi są zamknięte, zamówiłam do pokoju wczesne śniadanie i usiadłam wreszcie z *Historią Amazonum*. Powiedziałam sobie, że to wielka chwila. Trzy tygodnie temu nie mogłabym sobie wyobrazić większego triumfu niż moment sięgnięcia po ten starożytny rękopis. W tych okolicznościach jednak może by mnie kusilo, żeby go wymienić na któryś z pistoletów Nicka.

Wyblakłe pismo na kruchej stronie tytułowej oznajmiło, że *Historia* jest dedykowana przyjacielowi i współwygnańcowi, rzymskiemu poecie Owidiuszowi, co sugerowało, że praca powstała nieopodal Tomis, dzisiejszej Konstancy nad Morzem Czarnym w Rumunii. Odosobnieniem tego miejsca narodzin można by wytłumaczyć fakt, że tekst nigdy nie wszedł do oficjalnego korpusu literatury rzymskiej, tylko krążył wśród osób prywatnych, aż został spisany w obecnej postaci gdzieś, jak się domyślałam, na początku osiemnastego wieku.

Opowieść – swobodna mieszanka pogłosek i pseudonaukowych spekulacji – zaczynała się od przedstawienia szerokiego wachlarza teorii o powstaniu i

upadku narodu Amazonek. Większość tego materiału była mi znana, ale część nie, i z radością uciekłam z mojej nękaną niepokojami teraźniejszości, choćby tylko na chwilę, na południowo-wschodnie wybrzeża Morza Czarnego.

„Ludzie tego regionu opowiadają następującą historię – mruczałam pod nosem, tłumacząc na głos szczególnie interesujące fragmenty – o której prawdziwości zapewniają. Twierdzą, że po tym, jak Amazonki poniosły druzgocącą klęskę z rąk potężnego Herkulesa, grupa upokorzonych kobiet popadła w straszliwą niezgodę, jak to niewiasty mają w zwyczaju. – Wzniosłam oczy do nieba i odgryzłam kolejny kawałek *Wiener schnitzel*, zanim wróciłam do tekstu. – W każdym razie... w moim starożytnym rzymskim rozumieniu wtedy właśnie młody naród Amazonek rozdzielił się po raz pierwszy. Najsilniejsza grupa, powiadają, uciekła nad Morze Czarne i założyła znamienite miasto Temiskyra, podczas gdy reszta, znużona zniszczeniem po swoich tragicznych losach w wojnie trojańskiej, wyprawiała się w wielkie lasy północy i popadła w całkowite zapomnienie”.

Opadłam na oparcie fotela, by przetrwać ten nieoczekiwany zwrot znajomej legendy. Fragment o podziale Amazonek na dwie grupy był dla mnie zupełnie nowy i zastanawiałam się, dlaczego żaden inny autor o tym nie wspominał.

Musiało się tak stać albo dlatego, że były to bzdury, albo dlatego, że żaden starożytny pisarz oprócz P. Exulatusa nie zadał sobie trudu spisania ustnej tradycji rejonu.

Dopiero w nocy, gdy już umyłam zęby i wczłogałam się do łóżka, *Historia* wreszcie zbliżyła się do tematu, na który czekałam od pierwszej strony: Skarbu Amazonek.

„Jeśli chodzi o słynny Skarb Amazonek – czytałam, teraz już oswojona ze stylem tekstu – ludzie dobrze poinformowani twierdzili, że nie został zabrany do Temiskyry i że tylko głupcy poszukują go wciąż w tym nękanym niepokojami regionie. Twierdzą, że królowa Amazonek, której król Priam powierzył najcenniejsze przedmioty, należała do tych, które uszły w czarne lasy północy.

Z tego powodu ogólnie uważa się, że skarb dawno temu zaginął, ponieważ te Amazonki, wymazując się z mapy świata, wymazały się również z istnienia. Ani też żaden z naszych dzielnych rzymskich legionów

stacjonujących w Sarmacji czy Germanii nigdy nie donosił, że widzi skarby inne niż prymitywne – przerwałam, by głębiej się zastanowić nad odpowiednim tłumaczeniem – bibeloty uważane przez barbarzyńców za cenne, których żaden dowódca wojskowy niepozbawiony poczucia wstydu nigdy by z triumfem nie zawiózł do Rzymu”.

Autor kontynuował kwiecisty opis barbarzyńców północy, ale pismo tak trudno było odczytać w świetle lampki nocnej, że postanowiłam poczekać z tym do jutra.

Gdy leżałam, moje myśli ruszyły na poszukiwania Nicka. Próbowałam sobie wyobrazić jego wściekłość po odkryciu, że uciekłam z *Historią* i jego tajemną kopertą... ale nie mogłam. Zbyt podniecona, by zasnąć, sięgnęłam do szuflady w nocnym stoliku i wyjęłam dokument, który wstrząsnął mną tak silnie w jego pokoju tamtego ranka, i jeszcze raz uważnie przyjrzałam się pismu przewodniemu nakazującemu zabicie Amazonek. Czy to możliwe, że zbyt pochopnie uznałam tę kartkę za wiadomość od al-Aqraba do Nicka? Teraz, gdy wiedziałam, że Reznik wyznaczył milion dolarów nagrody, sensowniej było uznać, że autorem pisma był on, a nie al-Aqrab.

Nie chciałam wyciągać jakichkolwiek wniosków, więc odłożyłam kartkę i jeszcze raz się położyłam. Uznałam, że czas zakwestionować wszystko, co podobno wiem. P. Exulatus pisał o Amazonkach, które ruszyły na północ...

i czemu nie? Czy europejskie baśnie ludowe nie wspominają o dziewicach oddanych sztuce wojennej? Do tej pory natrząsałam się z takich pomysłów jak średniowieczne Amazonki żyjące nad Dunajem, a także z dowodzącej nimi Szarki, która podobno dekapitowała setki mężczyzn w każdej bitwie, a po godzinach gwałciła dziesiątki jeńców... żeby potem ich również zabić.

Może Amazonki rzeczywiście żyły dalej w dzikich puszczech Europy Środkowej i Północnej, ale pod nową nazwą. Może walkirie i tarczowniczkami w mitologii skandynawskiej były dumnymi spadkobierczyniami starożytnych Amazonek? Ten kuszący pomysł rozbudził mnie na chwilę i przynajmniej odciągnął moje myśli od Nicka.

Muzeum Kalkriese znajdowało się na środku pól uprawnych i lasów, z wysokimi jodłami naciskającymi je ze wszystkich stron. Gdy wjechałam na pusty żwirowy parking, miałam niesamowite poczucie, że drzewa mnie obserwują, zastanawiają się, kim jestem i dlaczego przyjechałam z tak daleka, by zakłócać ich spokój.

Całą noc padało, a chociaż słońce starało się ze wszystkich sił znaleźć pęknięcie w chmurach, poranne mgły wciąż leżały nisko nad ziemią, wypełniając każde zagłębienie w śpiących polach i przylegając do każdej kępy iglastych drzew.

Trochę się obawiając, że muzeum i jego park historyczny są zamykane na zimę, zostawiłam samochód na parkingu i dalej poszłam piechotą po śliskiej, błotnistej ścieżce do centrum informacyjnego. Dopiero gdy się zbliżyłam do budynku, zobaczyłam rower oparty o ścianę oraz światła w oknach. Zachęcona tym skromnym dowodem obecności człowieka otworzyłam drzwi i zaraz owionął mnie ciepły zapach kawy.

Ponieważ byłam pierwszym zwiedzającym tego dnia – i niewykluczone, że jedynym – młody archeolog o imieniu Felix był na tyle miły, że nalał mi kawy i opowiedział co nieco o placówce. Kusilo mnie, by od razu spytać o doktor Jäger, ale czułam, że nie byłoby mądrze ujawniać powód mojej wizyty, dopóki nie zbiorę odrobiny informacji.

Gdy wędrowałam przez nasiąkłe wodą stanowisko archeologiczne, znowu poczułam obecność jodeł skrzypiących mi nad głową i szepczących za moimi plecami. Najwyraźniej teren zmienił się znacznie przez ostatnie dwa tysiące lat, ale trudno się było oprzeć wrażeniu, że stąпам – tak jak kiedyś przede mną rzymskie wojska – po grząskim gruncie.

W rzymskich książkach historycznych często natrafiałam na opis bitwy w Lesie Teutoburskim, ale nigdy nie sądziłam, że osobiście odwiedzę to miejsce ani że trop babcinego szakala zaprowadzi mnie w takie straszne, odległe rejony.

Jak twierdzą historycy, w roku Pańskim 9 trzy rzymskie legiony i kohorty cudzoziemskich sił pomocniczych – w sumie dwadzieścia kilka tysięcy żołnierzy – szczyły w lasach północnej Germanii, a Imperium Rzymskie nigdy już nie dotarło poza ten punkt. Historycy łacińscy nazywali to wydarzenie katastrofą Warusa, sugerując odpowiedzialność tego rzymskiego wodza za wstrząsające unicestwienie całej jego armii.

Nigdy nie doceniłam faktu, że bitwa sprowadziła się do błyskotliwie zrealizowanej przez germańskie plemiona zasadzki – rzymskie legiony zostały zwabione na teren, który ich świetną broń czynił bezużyteczną i uniemożliwił walkę w szyku bojowym. Maszerując wąską leśną ścieżką, armia rozciągnęła się do tego stopnia, że nic nie znaczyła jej przewaga

liczebna. Żołnierze – niewątpliwie przerażeni ogromem germańskiej puszczy – musieli się czuć dziwnie mali i nieosłonięci, jeszcze zanim nastąpił atak.

Legioniści nie tylko znaleźli się w pułapce pomiędzy zdradzieckimi bagnami a gęsto zalesionym zboczem, lecz także nękała ich ulewa i oślebiała mgła.

Przemoknięci i zdezorientowani stali się łatwymi celami dla Germanów, którzy zaatakowali ich z góry, spomiędzy drzew i zapędzili na wielkie trzęsawisko.

Obszedłszy park, wreszcie dotarłam do muzeum – podłużnego rdzawego budynku z wysoką wieżą z jednej strony. Mogłabym tam spędzić cały dzień, ale tak strasznie chciałam już znaleźć bransoletę Amazonki i przekonać się, co mają o niej do powiedzenia miejscowi archeolodzy, że całą ekspozycję obejrzałam pośpiesznie w ciągu dwudziestu minut. Następne dwadzieścia minut spędziłam na obejściu jej w drugą stronę, tylko po to, by potwierdzić przygnębiające odkrycie.

Bransolety tu nie było.

Gdy wracałam przez stanowisko archeologiczne, zauważyłam, że pogoda się pogarsza. Niebo było ciemnoołowiane, drzewa kołysały się z ogromną siłą w tężejącym wietrze. Ciągłe wzburzona, niemal odniosłam wrażenie, że wyczuły obecność kogoś groźniejszego niż ja i że teraz – na swój upiorny, niemy sposób – próbują mnie ostrzec.

Ścigając się z pierwszymi kroplami deszczu do drzwi centrum informacyjnego, z radością zobaczyłam Felixa, który trwał na posterunku i ciągle nie był aż tak zajęty, żeby chwilę nie pogawędzić.

– To może zabrzmieć trochę dziwnie – powiedziałam, dyskretnie podciągając rękaw – ale ktoś mi powiedział, że macie w ekspozycji taką bransoletę.

– Naprawdę? – Felix przyglądał się mojemu szakalowi i wyraźnie go nie rozpoznawał. – Jestem pewien, że nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Interesujące.

– Słyszałam, że pracuje tu pewna kobieta. – Spojrzałam na niego z nadzieją.

– Niejaka doktor Jäger.

Felix się rozpromienił.

– Kyme? Kiedyś tu pracowała. Jeszcze czasami przychodzi. – Mrucząc coś pod nosem, zerknął na zalaminowaną listę numerów telefonicznych leżącą przy kasie. – Jäger... Jäger...

Krótki telefon później, po niemiecku, Felix odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do mnie promiennie.

– Zaprasza panią na kawę dzisiaj o piętnastej i chętnie powie pani wszystko o bransolecie.

Po wyjściu z muzeum spędziłam kilka deszczowych godzin w centrum Bramsche, kupując ubrania oraz inne niezbędne rzeczy. Gdy wreszcie wróciłam do hotelu, przemknęłam się przez boczne drzwi, na wypadek gdyby ktoś śledził wejścia i wyjścia gości.

Pod moją nieobecność pokój posprzątano. Szybko sprawdziłam, czy mój niewielki dobytek jest na miejscu. Oczywiście zeszyt babci i *Historię Amazonum*

nosiłam teraz zawsze przy sobie, ale kopertę skradzioną Nickowi zostawiłam w szufladzie nocnej szafki, i owszem, leżała tam. Tylko że... byłam pewna, że na wierzchu położyłam folder turystyczny, żeby trochę tę kopertę ukryć. Folder też leżał w szufladzie, ale teraz pod kopertą.

Roztrzęsiona z nerwów, szybko przejrzałam dokumenty, ale stwierdziłam, że niczego nie brakuje. Czy to możliwe, pomyślałam, że pokojówka przekładała rzeczy? Czy to może ja źle zapamiętałam, jak zostawiłam kopertę?

Weszłam do łazienki, sprawdziłam, czy wszystko jest na miejscu, i oprócz tego, że sprzątaczką odwróciła do góry nogami moją zostawioną w szklance tubkę pasty do zębów, nie dostrzegłam niczego, co sugerowałoby włamanie.

Wściekła na siebie, że gonię w piętę, postanowiłam nie robić żadnych gwałtownych ruchów. Do spotkania z doktor Jäger została mi tylko godzina. Jeśli po powrocie będę się czuła w tym pokoju niepewnie, wtedy się wyprowadzę.

Gdy jechałam spod hotelu autem z wypożyczalni, ciągle zerkałam w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Ale w szarości i mroku deszczowego listopadowego popołudnia wszystkie pojazdy mi się myliły, a mercedes, który w jednej chwili już-już przyciągnął moją uwagę, w następnej zniknął.

Doktor Jäger mieszkała mniej więcej po drugiej stronie szosy od

stanowiska archeologicznego, które rano zwiedzałam. Zdaje się, że całe swoje życie spędziła w tym samym niewielkim domu w lesie, więc zaproszenie do niego odebrałam jako duży i wyjątkowy zaszczyt.

– Proszę szukać długiej bocznej drogi prowadzącej do nieczynnej farmy – wyjaśnił mi wcześniej Felix. – Tą drogą trzeba jechać aż do końca i tam zaparkować. Tam się zaczyna ścieżka. Nigdy jej nie widziałem, ale Kyme tak mi mówiła.

Zaparkowałam zgodnie z instrukcją i pieszo ruszyłam do lasu. Gdy dotarłam do stromej dróżki, mrużąc oczy w zacinającym deszczu i przekraczając strumyki wody przemykające wśród kamyków, przyszło mi do głowy, że to zalesione zbocze musiało być kluczową częścią terenów, z których Germanie przypuścili atak na rzymskich legionistów uwięzionych na skraju trzęsawiska.

Niektóre źródła historyczne podają, że kilka lat po tej katastrofalnej klęsce Rzymianie przysłali tu kolejną armię, by odzyskała święte orły legionowe wyróżnionych jednostek i w miarę możliwości zebrała informacje, co się tu naprawdę wydarzyło. Według rzymskiego historyka Tacyty nawet zatwardziali żołnierze tych późniejszych oddziałów byli przerażeni tym, co znaleźli, jako że las otaczający dawne pole bitwy zamienił się w makabryczny grobowiec, pełen śmierci i zniszczenia. Stosy ludzkich kości leżały niepochowane, a czaszki przybijano do drzew, może w ramach obrządków religijnych, a może jako przestrozę dla przyszłych najeźdźców.

Idąc teraz przez las i wciąż nie mogąc się pozbyć wrażenia, że jestem obserwowana, bez trudu wyobrażałam sobie, co czuli rzymscy żołnierze przed wiekami. Na dole przy muzeum jodły wydawały się gęste i groźne, ale tutaj las był dojrzały i majestatyczny, onieśmielający w zupełnie inny sposób. Kolosalne stuletnie sosny stały o metr od siebie, spowite mgłą; pomimo paskudnej pogody emanowały jakąś milczącą podniosłością, która zdradzała, że swego czasu były świadkami wielkiej przemocy i dawno już się nauczyły, że należy zachować milczenie. Nawet teraz, o piętnastej, człowiek odnosił wrażenie, że to miejsce jest z innego świata, że przenika zimnem o wiele gorszym niż deszcz.

Gdy wreszcie dotarłam do domu doktor Jäger – skromnej kamiennej chaty na niewielkiej polanie, otoczonej gąszczem wysokich roślin – była piętnasta piętnaście. Zakładałam, że spacer przez las zajmie mi pięć minut, a

zrobiło się z tego ponad dwadzieścia, i zanim zapukałam do topornych drewnianych drzwi, postanowiłam wyjść dobrze przed zachodem słońca, żeby uniknąć wędrówki do samochodu w kompletnych ciemnościach.

– Witam, witam! – uśmiechnięta drobna starsza kobieta powitała mnie z entuzjazmem, zanim jeszcze do końca otworzyła drzwi. – Proszę wejść! Właśnie robię pierniczki! – Wytarła ręce o brązowe sztruksy, zamknęła za mną drzwi i pobiegła do kuchni, jakby coś zostawiła na ogniu. – Proszę nie zdejmować butów.

Podłoga jest zimna.

Aż do tej chwili miałam na względzie twierdzenie pana Telemakhosa, że kobieta, którą mam poznać, wie więcej, niż mówi. W konsekwencji trochę wyobrażałam sobie doktor Jäger jako krypto-Amazonkę i zdołałam się nawet przejąć wizją dwumetrowego babsztyla, który mnie wreszcie zatrzyma w moich poszukiwaniach. Teraz do śmiechu mi było nad moimi strachami. Chociaż szczupła i z wyglądu energiczna, doktor Jäger nie wyglądała mi na osobę, która w wolnym czasie gania typów w rodzaju Alexa Reznika.

Powiesiłam przemoczoną kurtkę na wieszaku zrobionym z rogów jelenia, weszłam do salonu i rozejrzałam się. To był naprawdę bardzo stary dom, z nierównymi kamiennymi ścianami i obwisłym bielonym sufitem wspartym na drewnianych belkach. Na każdym dostępnym kawałku powierzchni znajdowała się jakaś część zwierzęcia; ściany pokrywały trofea myśliwskie – łby rogaczy, dzików, a nawet niedźwiedzi patrzyły na mnie swoimi czujnymi szklanymi oczami – a każde krzesło było wyłożone skórą. Na fotelu stojącym przodem do kominka leżała ciemnobrązowa niedźwiedzia skóra z łapami i pazurami.

– Kto poluje? – spytałam, gdy doktor Jäger wróciła z kawą na tacy.

Roześmiała się z lubością i odstawiła tacę na kamienne obramowanie kominka.

– Polowanie jest u nas rodzinne. W każdym razie kiedyś tak było. Tu już nie ma niedźwiedzi. – Wyprostowała się i spojrzała po ścianach. – Niektóre z tych trofeów są bardzo stare. Pewnie powinnam je wyrzucić. Ale – wzruszyła ramionami i naląła kawy – dotrzymują mi towarzystwa.

Ciesząc się, że w kominku huczy ogień, poszłam za jej przykładem i usiadłam w jednym z foteli stojących przodem do płonących polan. Stopy oparłam na cegle.

– Proszę skosztować pierniczków – zachęcała doktor Jäger, podając mi miskę łakoci. – To tradycyjny przysmak bożonarodzeniowy, ale ja piekę je teraz, by mogły dojrzeć do świąt. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo, a na jej policzkach pojawiły się dziewczęce dołeczki. – Prawdę mówiąc, piekę je przez cały rok na okrągło. Ale tego proszę nikomu nie mówić.

Porozmawialiśmy jeszcze o pierniczkach i wreszcie moja gospodyni klasnęła.

– Więc przyjechała pani do Kalkriese z powodu bransolety – powiedziała.
– Proszę mi zdradzić, skąd się pani o niej dowiedziała?

Chwilę mocowałam się z prawdą, która wymagałaby wzmianki o panu Telemakhosie, a on – jak sam twierdził – był persona non grata w niemieckim świecie muzealników... i ostatecznie powiedziałam po prostu: – Nie pamiętam. Zdaje się, że dwie podobne bransolety znaleziono w Turcji.

I tak się składa, że ja też jedną mam. – Pokazałam szakala na swoim nadgarstku.

Doktor Jäger nachyliła się bardziej, wyraźnie zaintrygowana.

– To wygląda na brąz. Bardzo interesujące. Bransoletę, którą myśmy mieli, wykonano z żelaza. – Widząc moje zaskoczenie, tajemniczo skinęła głową i rozsiadła się wygodnie, owijając sobie nogi szalem. – Nosila ją kobieta, która dwa tysiące lat temu wpadła do wielkiego mokradła. Gdy znaleźliśmy ją w trakcie wykopalisk, podejrzewaliśmy, że walczyła w bitwie w Lesie Teutoborskim, ale nikt nam nie wierzył. Kobiety nie uczestniczyły w wojnie, mówili moi koledzy naukowcy. Kobiety były ofiarami, nie wojownikami. Ale dla mnie było jasne, że jej czaszkę roztrzaskało ostre narzędzie. A skompresowany kręgosłup i skrzywiona kość ogonowa wskazywały na życie spędzone w siodle. Pod jej szczątkami, na wysokości krzyża znaleźliśmy siedem grotów strzał – to doktor Jäger pokazała rękoma – co zasugerowało mi, że musiała mieć na plecach kołczan ze strzałami. Co więcej, miała złamania kości zaleczone za życia – złamania charakterystyczne dla walki i forsownego treningu fizycznego. Oczywiście wszyscy się z nami zgadzali we wszystkim, do chwili gdy oznajmiliśmy, że to nie był mężczyzna, tylko kobieta.

Archeolodzy zawsze przyjmują – a w każdym razie kiedyś tak było – że szkielet znaleziony z bronią należał do mężczyzny. Nigdy w ogóle nie przyszło im do głowy tego kwestionować i przyznam, że czasami trudno

określić różnice.

– A więc skąd pani wiedziała, że to była kobieta? – spytałam.

Doktor Jäger pochyliła się do przodu, by długim pogrzebaczem poprawić polana w kominku.

– Miednica. Nosiła oczywiste oznaki schorzenia o nazwie *diastasis symphysis pubis*, rozchodzenie spojenia łonowego. Musiała cierpieć silne bóle. To unikatowe odkrycie. Jedynym problemem był fakt, że ona zniknęła. Wysłaliśmy ją do laboratorium kryminalistycznego do głębszej analizy, a ona tam nigdy nie dotarła. Wtedy wybuchł z tego powodu spory skandal. Jedyne, co nam zostało, to bransoleta. Dwa tygodnie później umieściliśmy ją w ekspozycji w muzeum i też zniknęła.

Doktor Jäger wstała, podeszła do mosiężnego kotła w rogu, by donieść drew.

– Więc jak pani widzi – podjęła, umieszczając polana w kominku – wiem niemal równie mało jak pani. Dlatego właśnie – uśmiechnęła się do mnie ze skruchą – miałam nadzieję, że pani powie mi więcej.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, słuchając, jak w świeżym drewnie strzelają soki.

– Wiem tylko tyle – powiedziałam w końcu – że niektórzy ludzie twierdzą, że widzieli sporo tych bransolet wykonanych z brązu, rozrzuconych po całym antycznym świecie. Wręcz słyszałam taką teorię, że nosiły je – odchrząknęłam, by lepiej udawać swobodny ton – starożytne Amazonki.

Pewnie nie mogłam mieć do doktor Jäger żalu, że wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Bardzo przepraszam – powiedziała – ale to zbyt fantastyczne! Teraz rozumiem. Rozmawiała pani z tym starym greckim bazarzem, Yannim Telemakhosem.

Trochę zakłopotana, że tak łatwo mnie przejrzała, pospieszyłam z wyjaśnieniami, ale ona je zbyła ruchem ręki.

– Niech się pani nie przejmuję. – Wciąż chichotała. – Wiem, że nie tylko szaleńcy marzą o Amazonkach, ale też ludzie, którzy kochają tajemnice i przygodę.

– Przyglądała się mojej twarzy ze znaczącym uśmiechem. – Pani do nich należy, Diano?

Może to przyjemny ogień, a może to jej uprzejmość... jakikolwiek był

powód, nagle poczułam ogromną potrzebę, by powiedzieć doktor Jäger wszystko.

Od zniknięcia babci przed osiemnastu laty do mojego przybycia do Niemiec poprzedniego dnia. Nawet jeśli ona nie była Amazonką i nawet jeśli nie wiedziała więcej, niż przyznawała, i tak miałam poczucie, że warto jej powiedzieć o moich udrękach i odkryciach.

Mówiłam bez przerwy prawie przez godzinę, aż wreszcie opadłam na oparcie i pokręciłam głową.

– Przepraszam, że tak się rozgadałam...

– Nie, nie, nie – zaoponowała moja gospodyni ze współczującą miną. – Wiele pani przeszła. Dokonała pani ważnych odkryć. A teraz się pani zastanawia, czy pani babcia jednak miała rację. Czy naprawdę była Amazonką. – Ignorując moje wątpliwe protesty, doktor Jäger ciągnęła dalej, wpatrując się w płomienie. – Myśli pani sobie: „Jeśli podążę tropem Amazonek do końca, czy znowu ją odnajdę?”. To naturalne, że pani tak myśli, Diano, bo bardzo ją pani kochała. Ale wie pani, takie życie, w oczekiwaniu na wezwanie z innego świata, może być niebezpieczne. Zaczyna pani widzieć różne rzeczy, słyszeć... robić sprawę z byle czego. – Z roztargnieniem sięgnęła po kolejny pierniczek, ale stwierdziła, że miska jest pusta. – Proszę mi powiedzieć... ten jej zeszyt... Czy wspomina w nim jakieś imiona? Miejsca? Cokolwiek, co by wyjaśniało, dlaczego ci wszyscy inni ludzie się nim interesują?

– Właśnie o to chodzi – odparłam. – Wcale nie jestem pewna, czy oni się interesują właśnie nim, nie rozumiem, dlaczego by mieli to robić. Nie ma w nim żadnego przesłania, żadnej mapy prowadzącej do skarbu. Reznik oczywiście szuka zemsty. Ale czego chce od Amazonek al-Aqrab, naprawdę nie mam pojęcia, wiem natomiast na pewno, że próbuje mnie wykorzystać do odszukania ich. Jeśli chodzi o Amazonki – zerknęłam na swoją gospodynię, podejrzewając, że wciąż nie wierzy, iż te mityczne kobiety żyją wśród nas – robią wszystko co mogą, żeby mnie zatrzymać.

Doktor Jäger się uśmiechnęła.

– A jednak pani tu dotarła.

Zwierzęta wpatrywały się we mnie intensywnie ze swoich miejsc na ścianach, jakby się zastanawiały, co teraz zrobię.

– Tak – powiedziałam, zarówno do nich, jak i do gospodyni. – Ale to

koniec tropu. On prowadzi prosto w to mokradło. *Historia Amazonum* mówi, że niewielka grupa Amazonek ruszyła na północ, i niewykluczone, że to prawda. Może żyły tu, w Germanii, przez kolejny tysiąc lat, zrobiły nowe bransolety z żelaza i walczyły z Rzymianami tak jak kiedyś z Grekami. Ale jak się mamy tego dowiedzieć?

Doktor Jäger wyciągnęła rękę, by uścisnąć moją dłoń.

– Wracaj do Oksfordu i postaraj się zapomnieć o tych wszystkich okropnościach. Cieszę się, że dzisiaj tu przyjechałaś. Zrobiłaś tyle, że żadna babcia nie ośmieliłaby się oczekiwać więcej. Tą podróżą na pewno wreszcie zapewniłaś jej spokój, i sama też go teraz znajdziesz. Jedź do domu, moja droga, jedź do domu.

Absurdalność jej rady odebrała mi mowę. Można by odnieść wrażenie, że ona kompletnie nie zrozumiała tego, co mówiłam. Jakby sądziła, że moje lęki, że jestem ścigana, są całkowicie nieuzasadnione. Robiło się jednak późno, a ja nie miałam ochoty powtarzać swoich trosk o Reznika i al-Aqraba komuś, kogo to zupełnie nie obchodziło.

Przed wyjściem spytałam doktor Jäger, czy mogę skorzystać z łazienki, a gdy myłam ręce, nie oparłam się pokusie zapuszczenia żurawia do szafki z lekarskimi. Na półeczkach dojrzałam wszystkie oczywiste kremy i tabletki...

a także fenol, eter i morfinę... a także dwa kubki pełne narzędzi chirurgicznych.

To było tak nierzeczywiste, że mało nie wybuchnęłam śmiechem. Na co, na Boga, tej słodkiej starszej pani to całe lekarskie wyposażenie? Do rannych zwierząt? Wypadków na polowaniu? Nielegalnych zabiegów medycznych? Moje ubawienie szybko jednak przerodziło się w niepokój. Eter był przestarzałym środkiem znieczulającym używanym do usypiania. Ale kogo? Wścibskich gości?

Wyszłam z łazienki, słysząc w uszach oszalały tętent krwi.

Tak się spieszyłam z powrotem do salonu, że w maleńkim korytarzu pomyliłam drzwi i przypadkiem weszłam do pogrążonej w półmroku klitki gabinetu. Na skraju niewielkiego biurka stała chwiejnie jedna lampka. Błat pokrywały stosy papierów, a zielony klosz rzucał upiorny, nienaturalny blask na upakowane gęsto półki pod ścianami.

Ale najbardziej niepokojące w tym pokoju było nie niezemskie światło

czy brak okien... nie, to był widok półek. Bo nie było na nich książek, tylko broszury.

Absolutnie identyczne białe broszury upchane jedne na drugiej tak gęsto, że gęściej by się nie dało... niektóre się nawet wysypywały z otwartych kartonów na podłodze.

Nie mogłam się powstrzymać. Musiałam przyjrzeć się im z bliska.

Podeszłam do otwartego kartonu, pochyliłam się, by zbadać okładkę broszury leżącej na wierzchu. Był to katalog aukcyjny z grecką wazą na okładce, świeżo wydrukowany. Układ graficzny był więcej niż nudny, ale obudził jakieś wspomnienie. Czyż nie widziałam całkiem niedawno podobnego katalogu na biurku Katherine Kent? Jedynym powodem, dla którego zapamiętałam go tak dobrze, był fakt, że z niezrozumiałym pośpiechem schowała go do szuflady.

W jednej chwili znalazłam się znowu w piwnicy pana Telemakhosa, który mówił z żarliwą przekorą: „Powiadają, że one nigdy nie korzystają z telefonów ani maili, kiedy się ze sobą komunikują... że używają medium, którego nie można wyśledzić, może jakichś drukowanych folderów...”.

Nie mogłam się powstrzymać – wzięłam do ręki katalog i zaczęłam go wertować, pospiesznie szukając pisma Amazonek. Znalazłam jednak tylko wąskie kolumny ponumerowanych wpisów i gdzieś tam czarno-białe zdjęcie antycznej wazy, malowidła czy innych wystawianych przedmiotów. Ale...

Przysunęłam się bliżej do lampy na biurku i badałam zdjęcie orientalnego dywanu, szukając śladu pisma albo szyfru. Czy to moja wyobraźnia, czy na zdjęcie przeniesiono niemal mikroskopijski ustęp wypisany babcinym alfabetem, by wmieszał się doskonale w deseń dywanu? Ustęp tak tyciusieńki, że można by go odczytać tylko za pomocą szkła powiększającego?

W ekscytacji niemal zapomniałam, że się tu wdarłam nieproszona. Dopiero gdy usłyszałam skrzypnięcie podłogi, szybko odłożyłam katalog i zrobiłam w tył zwrot, by wyjść z pokoju.

I zobaczyłam doktor Jäger stojącą tuż za mną, z miłą twarzą wykrzywioną wściekłością i podejrzeniem.

– Strasznie przepraszam! – krzyknęłam. – Mam potworny zmysł orientacji.

Ale jaką ma pani tu cudowną kolekcję broszur. – Wymusiłam uśmiech, który miał być rozbrajający. – Zapewne to niemiecka archeologia. Jest pani redaktorem?

– Tak – odparła w końcu, a jej twarz odrobinę złagodniała. – Redaktorem naczelnym. Niewdzięczna robota. Ale ktoś musi to robić. – Łagodnie chwyciła mnie za łokieć i zaprowadziła do salonu. – Napije się pani jeszcze kawy? Czy może herbaty?

– Robi się późno. Naprawdę powinnam...

– Nalegam! – Praktycznie wepchnęła mnie z powrotem w fotel, na którym siedziałam wcześniej. – Na dworze jest zimno, musi się pani rozgrzać. – Z uśmiechem niemal równie przyjaznym jak wcześniej doktor Jäger poszła do kuchni. Usłyszałam, jak nastawia czajnik.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam swoją szykowną nową torebkę leżącą na podłodze tuż przy fotelu. Dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam, ale teraz, zaniepokojona, uznałam, że torebka raczej stoi niż leży, jakby ktoś ją poprawiał.

Czyżby moja gospodyni przejrzała szybko jej zawartość i na koniec ją starannie ustawiła?

Drżącymi palcami sprawdziłam torebkę i stwierdziłam, że wszystko jest na miejscu: zeszyt babci, *Historia Amazonum* i cała reszta moich pieniędzy ściągniętych grubą gumką.

W sumie nie wiedziałam, co teraz zrobić. Rozpaczliwie chciałam wstać i wyjść, ale też jak zawsze moja ciekawość była tak wielka, że chwilowo przygłuszyła rozsądek. Czy przypadkiem zobaczyłam jedną z tajnych broszur Amazonek, o których mówił pan Telemakhos?

Dźwięk z kuchni przywrócił mnie do rzeczywistości. A raczej nagła nieobecność dźwięku zaalarmowała mnie tak, że uświadomiłam sobie urywany szmer sekretnej rozmowy telefonicznej.

Tym razem nawet się nie zastanawiałam. Moje ciało samo wstało z fotela.

Nękana niepokojącymi obrazami – rozwścieczona twarz doktor Jäger, narzędzia chirurgiczne, setki albo i tysiące katalogów aukcyjnych – przemknęłam przez pomieszczenie jak najciszej, a moja panika z każdym krokiem przybierała na sile.

Moja gospodyni najwyraźniej postanowiła trochę mnie u siebie zatrzymać... ale dlaczego? I po co ta ukradkowa rozmowa telefoniczna?

Cokolwiek się kryło za jej dziwnym zachowaniem, nie wróżyło mi nic dobrego, tego byłam pewna.

Chwyciłam po drodze swoją mokrą kurtkę i wypadłam na zewnątrz, nawet nie zamykając za sobą drzwi. I potem biegłam co sił z powrotem ścieżką w dół do swojego samochodu.

Teraz w lesie panowały już całkowite ciemności i jeszcze gęstsza mgła niż w chwili, gdy tu dotarłam. Po chwili usłyszałam nawołującą mnie doktor Jäger i od razu zrozumiałam, że ona mnie już nie może zobaczyć.

– Diano! – wołała głosem piskliwym z gniewu. – Wracaj tu! Rozkazuję ci!

Ale ja oczywiście biegłam dalej. Chociaż nie widziałam nawet na półtora metra przed sobą, wiedziałam, że jedyne, co muszę zrobić, to podążać ścieżką i cały czas w dół. I tak biegłam w dół i w dół, i w dół przez zamglone ciemności, rozpryskując błoto i zamarzające kałuże, a jednocześnie starając się nie zaczepić o nisko wiszące gałęzie.

Byłam tak pewna, że pamiętam drogę, że przeżyłam szok, gdy nagle ścieżka się rozwidliła. Niecierpliwie przebiegłam kilka razy w tę i z powrotem, próbując zdecydować, która z dwóch odnóg jest tą najmniej złą. Obie wydawały się prowadzić w górę, z powrotem w las, aczkolwiek w dwóch różnych kierunkach.

Wyteżałam wzrok, ale widziałam tylko przejrzystą szarą warstwę pokrywającą czarną jak smoła nicość. Żadna ze ścieżek nie wydawała mi się właściwa.

Wtedy właśnie, gdy tak stałam niezdecydowana, usłyszałam dźwięk, na który całe moje ciało zadygotało z przerażenia. Najpierw długie wycie, a potem szczekanie – może nie do końca dźwięk, który wydaje wilk, ale blisko. A w ciszy, która zapadła po ostatnim szczeknięciu, usłyszałam coś jeszcze – znajomy dźwięk, który w tych okolicznościach był wybitnie niepokojący.

Ciężki, rytmiczny tętent galopujących koni.

ROZDZIAŁ 36

Gdy Rzymianie borykali się z tymi trudnościami, barbarzyńcy otoczyli ich nagle ze wszystkich stron naraz, znając bowiem ścieżki, zakradli się przez największe gęstwiny.

KASJUSZ DION

Las był pełen demonów: wyjących, posykujących niewidocznych demonów z końskimi kopytami. Z przerażającą łatwością to wplatały się w tkaninę rzeczywistości, to się z niej wysnuwały. Odnosiłam wrażenie, że w jednej chwili są w jednym miejscu, a zaraz w innym... a przez kilka całkowicie dezorientujących minut nie ma ich nigdzie w ogóle.

Ale w tej krótkiej ciszy dosłyszałam kilka splątanych ludzkich głosów odbijających się między drzewami. Mówiły językiem, którego nie mogłam jakoś rozpoznać – językiem, który jakby rozpuszczał się we mgle i do mnie docierał tylko fragmentarycznie. Potem usłyszałam strzały, co najmniej dziesięć, jeden po drugim, szybko... a po nich najbardziej przerażający krzyk, jaki w życiu słyszałam.

Może dlatego, że byłam tak przerażona, chwilę zajęło, nim odgłosy nabrały sensu. Gdybym miała zawierzyć swoim uszom, powiedziałabym, że w lesie znajdują się ludzie, psy, konie i wydająca przejmujące przedśmiertne krzyki dzika bestia, której nie umiałam nazwać. Chowając się za potężnym pniem drzewa przy ścieżce, uznałam, że jedynym logicznym wyjaśnieniem jest trwający sezon myśliwski i że te wszystkie demoniczne wrzaski i syki to naturalne odgłosy uciekającej zwierzyny.

Rozpaczliwie pragnąc wydostać się z lasu, zanim dogonią mnie przerażone zwierzęta albo, co gorsza, ich prześladowcy, wskoczyłam w najbliższe zarośla i zaczęłam przedzierać się w dół przez poszycie, w kierunku samochodu, w każdym razie tak sądziłam. Może logiczniej byłoby udać się w kierunku przeciwnym, tak by myśliwi mieli świadomość, że tu jestem, może nawet spytałabym ich o drogę, ale coś w zjadłości tych ludzi –

ich warkotliwe głosy i gwałtowne ruchy – powiedziało mi, że lepiej, by jednak z mojej obecności nie zdawali sobie sprawy.

Czołgając się przez jeżyny, szybko przemokłam od wilgotnego listowia.

Żęby mi szczękały z zimna i nagle zaczęłam błagać las, żeby mi wybaczył wtargnięcie i żeby mnie wypuścił... ale on ciągle mnie trzymał lepкими trawami i bezlitosnymi cierniami, starając się uniemożliwić mi ucieczkę.

Ponieważ zarośla były wyjątkowo gęste, a ja skupiłam się na walce z zajadłymi jeżynami, nawet nie zauważyłam, że zbliżają się konie, dopóki nie usłyszałam parsknięcia tuż za mną.

Ten dźwięk tak mnie przestraszył, że odruchowo padłam na ziemię i starałam się nie ruszać. A potem usłyszałam głosy, nie głębokie męskie głosy, które słyszałam wcześniej, tylko szybką wymianę zdań po niemiecku pomiędzy dwiema kobietami.

– Gdzie ona jest?

– Wydawało mi się, że ją widzę. Ale teraz nie jestem pewna.

Rozległo się kolejne parsknięcie, drwiące zdanie, którego nie zrozumiałam...

i kobiety odjechały galopem, zawróciwszy w głąb lasu, gardłowymi komendami poganiając swoje konie.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie panowałam nad swoim ciałem, ale jak najszybciej stanęłam na czworakach, potem na nogi, by czym prędzej się wydostać... i weszłam w nicość. Stoczyłam się po zboczach kilka metrów i głową naprzód wylądowałam w krzakach wyrastających z błotnistej kałuży.

Dyszając wstrząśnięta, wydostałam się z mulistego krzaka i starałam błoto z twarzy. O dziwo, moja nowa torebka wciąż zwisała mi z ramienia, i chociaż przemokła tak jak ja, to w każdym razie była.

Ciągle na kolanach, usiłowałam rozeznaczyć się w otoczeniu. Gdy już moje oczy wystarczająco przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam przed sobą słabe światło. Okazało się, że to oświetlony znak oznaczający wjazd na parking muzealny po drugiej stronie szosy. Dosłownie wypadłam z lasu niespełna kilkaset metrów od drogi prowadzącej do opuszczonego gospodarstwa.

Zanim wreszcie uruchomiłam swój samochód, z nastawionym na maksimum ogrzewaniem, tak osłabłam z zimna i wyczerpania, że ledwie mogłam usiedzieć prosto. Cofałam po żwirowej drodze i musiałam się

bardzo skupić, by ominąć inny samochód, zaparkowany tu jakiś czas przed moim przybyciem.

Granatowy mercedes. Ten sam, który zauważyłam wcześniej w centrum Bramsche, kiedy po południu wyjechałam z hotelu. A teraz zobaczyłam, że ma tablice rejestracyjne z Genewy.

W ciągu kilku chwil moja wściekłość przemogła strach. Kimkolwiek są ci ludzie, nie będą mnie już śledzić. Niemal zatruta gniewem, wyciągnęłam zestaw pierwszej pomocy na tylną kanapę i rzuciłam się na niego, szukając przydatnego narzędzia. Noży żadnych oczywiście nie znalazłam, ani nic innego, co umożliwiłoby mi przecięcie opon. Ale znalazłam bandaż i plaster samoprzylepny... tyle, żeby zrobić dwie zbite kulki pasujące idealnie do rur wydechowych mercedesa.

„Jeśli to stary samochód, nie masz co tracić czasu – brzmiała porada babci, gdy tłumaczyła mi, jak to zrobić. – Skuteczne będzie tylko wtedy, gdy nie ma żadnych dziur w układzie”.

Gdy wreszcie odjechałam, mogłam tylko zacisnąć swoje zmarznięte palce na dźwigni zmiany biegów, a zdrętwiałymi palcami u nóg wcisnąć pedał gazu. Ale poczucie przekornego wyczynu zaczęło mnie ogrzewać od środka. W lesie stało się coś złego, ale ja przeżyłam. Byli tam mężczyźni i kobiety z końmi i bronią, ale nikt z nich nie zdołał mnie złapać. A teraz zyskałam trochę czasu – w każdym razie taką miałam nadzieję.

Po powrocie do hotelu poszłam prosto pod gorący prysznic, w ubraniu.

Ściągając z siebie kolejne ubłocone warstwy, przemyślałam dostępne opcje. Nie trwało to długo, bo mogłam zrobić tylko jedno: natychmiast wyjechać.

Jeśli jakaś malutka część mnie marzyła o radosnym połączeniu z babcią na koniec wszystkich tych udręk, albo chociaż na przyjazne spotkanie z ludźmi, którzy ją kiedyś znali, wydarzenia dzisiejszego dnia skutecznie mnie z tej mrzonki wyleczyły. Przyjmując, że to doktor Jäger zmobilizowała kobiety polujące na mnie w lesie, musiałam dojść do wniosku, że dzisiejsze Amazonki – bo trudno nazwać je inaczej – były dla mnie równie groźne jak Reznik.

Zawinięta w ręcznik, przez kilka minut krążyłam po pokoju, zbierając swoje rzeczy. Nie miałam czasu sprawdzać, czy zeszyt babci i *Historia Amazonum*

przetrwały błotną jazdę nietknięte – musiałam znaleźć swoją mapę Niemiec. Gdzie ona jest, do cholery?

Pospieszne pukanie do drzwi, trzykrotne, przerwało moje szaleńcze poszukiwania.

Skamieniała, wpatrywałam się w drzwi, trochę się spodziewając, że otworzą się gwałtownie. Ale zobaczyłam tylko, że coś się przesuwają pod nimi – karteczka.

Podeszłam ostrożnie, sięgnęłam po nią i przeczytałam wiadomość: „Jesteś w niebezpieczeństwie. Mogę pomóc. Nick”.

Szybkie zerknięcie przez wizjer potwierdziło, że to naprawdę on stoi pod moimi drzwiami, nieogolony, z niecierpliwością malującą się na twarzy.

Przez kilka pełnych napięcia sekund zupełnie nie byłam w stanie podjąć decyzji. Ukradłam temu człowiekowi ściśle tajną kopertę wraz z cennym rękopisem i wiedziałam, że powinnam się go bać – wiedziałam, że musi być wściekły. A jednak na jego widok doznałam zupełnie nieoczekiwanego poczucia ulgi i – tchórzliwie ukrywającej się za ulgą – ogromnej, żarliwej radości, która sprawiała, że po prostu nie byłam w stanie go odprawić.

Gdy otwierałam drzwi, serce mi biło jak szalone, przede wszystkim od nagłości tego wszystkiego. A gdy już wszedł, uświadomiłam sobie, że mam na sobie tylko w ręcznik i że może mądrze z mojej strony byłoby znaleźć jakieś środki do samoobrony, tak na wszelki wypadek.

Nick rozejrzał się podejrzliwie po pokoju, zanim odwrócił się do mnie. Oczy mu pociemniały, gdy otaksował moją skąpo odzianą postać i widoczną ciągle na twarzy walkę emocji. Nagle, jakby zdał sobie sprawę, że oczekuję, aż się odezwie, rzekł nieco głupio: – Przybyłem cię uratować.

– Szczerze mówiąc – zamknęłam za nim drzwi – w tej chwili mnie zatrzymujesz.

Nie jestem pewna, kto zaczął. Nick na pewno nie miał takich zamiarów, ja też nie... ale nagle znaleźliśmy się w swoich ramionach, zasypując dręczącą, przytłaczającą dziurę pomiędzy Stambułem a Bramsche.

Przerazające, że tak szybko cała reszta – nawet wszystkie moje wątpliwości i podstępny – przestała się liczyć, gdy tylko jego usta dotknęły moich. Jęcząc, chyba nad własną słabością, Nick całował mnie z gorączkowym zapamiętaniem, jakbym była jedyną istotą ludzką w świecie bestii, a on mnie szukał całe swoje życie.

– Witaj w Niemczech – wyszeptałam po chwili, w próżnej próbie odzyskania oddechu. Nawet przez jego sweter czułam ciepło i energię emanujące z jego ciała, i zupełnie nie chciało mi się go puszczać. – Możesz zostać, jeśli chcesz, ale ja niestety muszę wyjechać.

– Nie tak szybko, bogini – szepnął mi do ucha. – Tym razem wyjedziemy razem. – Ale kiedy mnie tak przyciskał do ściany, można było odnieść wrażenie, że w ogóle się nie spieszy do wyjścia.

– Jesteś złym człowiekiem. – Przesunęłam rękoma po jego włosach, wciąż nie dowierzając, że to naprawdę on, że przyjechał tak daleko, by mnie odzyskać. – Powinnaś wyjechać wiele godzin temu... tak żebyś mnie nigdy nie znalazł.

– Znalazłbym cię wszędzie.

Próbowałam spojrzeć mu w oczy.

– Czego chce ode mnie al-Aqrab?

Nick pochylił się, by mnie pocałować.

– Nie wie, że tu jestem.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze, gdy poczułam jego dłoń pod ręknicami, jak syci się moją nagością. Wstrząsające było odkrycie, że o ile wciąż wyraźny głos szakala w mojej głowie ostrzegał mnie, że mam zachować kontrolę i domagać się wyjaśnień, jakaś nieuczciwa, fatalistyczna część mojej duszy nie chciała nic poza tym, by przyjąć Nicka natychmiast, bez reszty, wszystkie jego siedemnaście wersji.

– Nie boisz się, że moje amazońskie siostry przebiją cię ostrzem? – wyszeptałam.

– Owszem. – Całował moje nagie ramię, na całej długości, aż do szyi, dobywając ze mnie mimowolny akompaniament zdradzieckich westchnień.

– Ale jesteś tego warta.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon w pokoju.

– Cholera! – Odepchnęłam go. – Zobacz, kto jest na zewnątrz.

Gdy Nick wyglądał przez zasunięte zasłony, ja chwyciłam słuchawkę.

– Halo?

Bez odpowiedzi, ktoś się rozłączył.

– Co widzisz? – spytałam Nicka. – Granatowego mercedesa?

– Chyba nie – odparł, ciągle się rozglądając. – Właśnie wjeżdża ciemne audi.

– Co byś powiedział na taki plan...? – zaczęłam, pędząc po pokoju i wrzucając na siebie przypadkowe ubrania. Chociaż sama taka myśl była dla mnie bolesna, rozważałam ją jako ewentualną strategię wycofania. – Może zostawimy *Historię Amazonum* tutaj, na łóżku?

Nick pokręcił głową i ruszył pomóc mi przy zbieraniu rzeczy.

– Reznik ma w dupie ten rękopis. To była tylko przynęta na Amazonki, które zabiły mu syna. Teraz uważa, że ty jesteś jedną z nich.

– Jakim cudem?! – krzyknęłam z łazienki, szybko zbierając moje nowo nabyte i przydrogie przybory toaletowe. – Dlaczego sądzi, że jestem Amazonką?

– Bo Reznik jest paranoidalnym skurwielem – odkrzyknął Nick – który prześwietla swoich gości bez ich wiedzy. Szuka ukrytej broni oczywiście, ale tak się składa, że bransoleta z szakalem też jest na nich widoczna.

Po chwili bieглиśmy cichym korytarzem, kierując się do wyjścia ewakuacyjnego. Gdy Nick już sięgał do białych stalowych drzwi, te zostały gwałtownie otwarte od zewnątrz i pojawiły się w nich dwie kobiety.

Ponieważ były ubrane w strój sportowy, a na ramionach miały ręczniki, w pierwszej chwili pomyślałam, że to goście hotelowi i że wracają z siłowni. Ale gdy już przyjaźnie skinęłam im głową, jedna z nich walnęła Nicka pięścią w brzuch, a następnie z siłą uderzyła jego twarzą w swoje kolano.

Byłam tak wstrząśnięta tą brutalnością, że dopiero po chwili zrozumiałam, co się dzieje. Pomimo krwawiącego nosa Nick walczył w sposób godny podziwu.

Rozprawił się z napastniczkami kilkoma silnymi ciosami, których one najwyraźniej się nie spodziewały. Ale wtedy pojawiła się trzecia kobieta.

Zdążyłam zdjąć ze ściany ciężki obraz, by użyć go jako broni, kiedy dostrzegłam, że z drugiego końca korytarza zbliżają się jacyś ludzie.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, żeby krzykiem wzywać pomocy, ale było już za późno. Dwaj mężczyźni biegnący w naszą stronę sięgali już do kieszeni kurtek i widziałam po ich twarzach, co się zaraz wydarzy.

Krzyknęłam przerażona i zdołałam zaalarmować trzy kobiety, a one natychmiast puściły Nicka i rzuciły się biegiem przez korytarz, by dopaść mężczyzn, zanim zdążą strzelić.

– Chodź! – Pociągnęłam Nicka za ramię. – To nasza szansa.

Chwyciłam jakieś torby, które były w zasięgu ręki, i pierwsza pognałam

schodami ewakuacyjnymi. Po paru sekundach wypadliśmy przez tylne drzwi i znaleźliśmy się w hotelowym ogrodzie.

– Tędy – rzucił Nick. W ciemnościach widziałam tylko jego sylwetkę, gdy biegł przede mną przez mokrą od rosy trawę.

Przeszliśmy pod elektrycznym pastuchem i dalej biegliśmy przez wyboiste mokre pastwisko z milczącymi owcami, aż dotarliśmy do niewielkiej zwirowej drogi i samochodu zaparkowanego pod osłoną szopy.

– Nie! – powiedziałam, gdy otworzył przede mną drzwi pasażera. – Ja prowadzę. Ty się zajmij swoim nosem.

Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie wyjechaliśmy na szosę. Ja zbyt byłam zajęta sprawdzaniem, czy nikt nas nie śledzi, a Nick rozłożył maksymalnie oparcie, próbując opanować krwotok.

– Złamany? – spytałam w końcu.

Nick jęknął.

– Żeby złamać taki kinol, trzeba się o wiele bardziej postarać. Co tam się stało, do cholery?

– Dwa razy dziennie zadaję sobie to samo pytanie – odparłam. – Myślę, że dostaliśmy się w ogień krzyżowy. Jakies zbiry Reznika z Genewy śledziły mnie mercedesem, a te trzy piękne damy na pewno były Amazonkami. A co ty sądzisz?

Nick jęknął boleśnie, choć chyba zamierzał zachichotać.

– Cóż, ostrzegałaś mnie, żebym nie zadzierał z twoimi siostrami. Trzymaj. – Otworzył schowek pomiędzy fotelami, wyjął z niego coś i mi podał. – To twój nowy paszport. Przez jakiś czas musimy udawać martwych. Ty się nazywasz Artemis Panagopoulos. Uznałem, że powinniśmy być Grekami. Dasz radę coś powiedzieć po grecku. Ja będę tylko twoim kochającym mężem. Co byś powiedziała na domek na plaży na jakiejś niewielkiej dalekiej wysepce jako napiwek od szefa?

Jedyne, co mogłam zrobić, to skupić się na drodze, podczas gdy naprawdę miałam wielką ochotę chwycić Nicka za kołnierz i potrząsnąć nim.

– Przecież powiedziałaś, że rzucasz robotę! Że al-Aqrab nie wie, gdzie jesteś...

– Nie wie. Ale ciągle dla niego pracuję. – Spojrzał na mnie niepewnie. – Jeśli to cię pocieszy, mało nie wyleciałem za wykradzenie *Historii Amazonum*.

– Naprawdę? – Poczulałam, jak nastrój mi się poprawia. – Ale skoro al-

Aqrab nie kazał ci go wykraść... to dlaczego to zrobiłeś?

Nick westchnął.

– Wygląda na to, że Reznik wykradł ten rękopis z niewielkiego archiwum w Rumunii. Woźny trafił do więzienia za kradzież.

– Ale nie dlatego go wziąłeś.

– Zgadza się. – Podniósł trochę oparcie. – Oto co się stało: miałem ściśle rozkazy, że nie wolno mi wziąć udziału w przyjęciu Reznika, ale nie mogłem się oprzeć pokusie ponownego zobaczenia cię. Zanim jednak zdążyłem się z tobą skontaktować, moją uwagę odciągnęła kobieta w przebraniu kota, która wpatrywała się we mnie, jakby mnie znała, a potem uciekła z koleżanką przebraną za mysz...

– Chwila moment. – Próbowałam sobie przypomnieć nieprzyjazną kobietę kota, na którą się natknęłam w łazience Reznika. – Też je widziałam. Kobieta mysz ukradła mi w Nauplionie telefon. I założę się, że to ona mnie pobiła w labiryncie.

– Nie sądzę. – Nick zmienił pozycję i skrzywił się z bólu. – Osoba, która zaatakowała cię w labiryncie, ukradła twój laptop, a twój laptop znajdował się w domu Reznika na długo przed rozpoczęciem przyjęcia. Jestem pewien, że te dwie kobiety włamały się do niego, żeby ukraść go Reznikowi. A teraz leży na dnie Morza Czarnego i śpi z rybkami oraz z twoim telefonem. Tak czy owak – i przykro mi, jeśli to ci popsuje mój wizerunek jako bezwzględного przestępcy – widziałem, jak te dwie urocze dziewczyny zakradają się do małej kolekcji antyków Reznika w czasie przyjęcia. Postanowiłem pójść za nimi i słyszałem, jak idą na samą górę.

Wtedy miałem okazję zajrzeć do biblioteki. I proszę, leżała jak na tacy: przyszłość naukowa Diany Morgan. Chciałem ci ją dać tamtej nocy w prezencie, ale... zrobiło się trochę dziwnie.

Spojrzałam na niego, zmiękczone szczerym wyznaniem.

– Doceniam ten gest, tylko że teraz mamy na karku bandę oprychów Reznika i jakieś bezkompromisowe Amazonki.

Nick jęknął nieszczęśliwie.

– Dobra, popełniłem błąd. Byłem pewien, że wyłączyły kamery razem z systemem alarmowym. Gdybym jednak nie skubnął *Historii*, twój szlachetny chłopak nie zakapowałby mnie, a Reznik nie skontaktowałby się z moimi ludźmi w Dubaju w sprawie kradzieży, a ja wówczas bym się nie dowiedział

o prześwietleniach, które uczyniły z ciebie Amazonkę. Pokaż mi grecką tragedię, która to przebije.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Tutaj, z dala od Lasu Teutoburskiego, noc była przejrzysta, spokojna i jasna, dokoła nas migotały gwiazdy i połyskiwał sierp księżyca mającego na horyzoncie. Chciałabym mieć w głowie taką przejrzystość. Głęboko w mojej świadomości nadal leżały kolejne warstwy chaosu i frustrowało mnie, że nawet teraz, siedząc tu koło Nicka, nadal nie wiem, z jakiego powodu Fundacja Aqrab interesuje się Amazonkami. Ale wiedziałam już, że nie powinnam go o to, pytać, gdy jadę z prędkością 130 km/h. Powiedziałam więc tylko: – Jak mnie znalazłeś?

– Hmm, pomyślmy. – Chyba go moje pytanie ubawiło. – Podróżowałaś pod własnym nazwiskiem, wynajęłaś samochód pod własnym nazwiskiem i zameldowałaś się w Idingshof Hotel pod własnym nazwiskiem. – Wyczułam, że się do mnie uśmiecha. – Wybacz, doktorze Livingstone, ale jeśli naprawdę nie chciałaś, żebym przyjechał, nie powinnaś była zostawiać śladów o szerokości Nilu... A może powinienem powiedzieć, Amazonki? – Ponieważ milczałam, westchnął i dodał: – Zadzwoń do Rebekki. Pomogła mi aż nadto gorliwie.

Powiedziała, że Telemakhos powiedział ci o Kalkriese. Potem musiałem już tylko obdzwonić hotele w okolicy.

Poczułam wściekłość.

– Bex ci zaufała?

– A czemu miałyby mi nie ufać?

W mojej głowie wyrosło tysiąc powodów, ale wszystkie wypadały załóżnie w zestawieniu z faktem, że Nick przeciwstawił się potężnemu al-Aqrabowi i przyjechał aż do Niemiec, żeby uratować mi życie i dać sobie rozbić nos.

Przez resztę podróży relacjonowałam swoje nieszczęścia z Kalkriese, w tym podejrzenia związane z katalogami aukcyjnymi i doktor Jäger, kolporterką biuletynu.

– To by się idealnie zgadzało, nie sądzisz? – spytałam, gdy wreszcie zjeżdżaliśmy z autostrady. – Oczywiście, że Amazonki nie mogą ryzykować, że ktoś odkryje ich tajne sposoby komunikacji, zwłaszcza gdy Reznik wyznaczył milion dolarów nagrody za ich głowy.

Tak mnie pochłoneła nasza rozmowa, że ledwie zauważałam cokolwiek w ciemnościach. Nagle usłyszałam chrzęst niechybnie świadczący o tym, że

jedziemy po drodze gruntowej. Nick dawał mi wskazówki, a ja robiłam, co mi kazał, ale...

– To nie jest lotnisko we Frankfurcie – tylko tyle mi przyszło do głowy, gdy zajechaliśmy przed ciemny domek.

– Niełatwo zwieść filologa – odparł Nick, wysiadając z auta. – Pomyślałem, że przyda nam się odrobina ciszy i spokoju.

Usłyszałam, jak otwiera drzwi domku staromodnymi kluczami.

– Gdzie dokładnie jesteśmy? – spytałam, wysiadając zza kierownicy i na próżno usiłując dojrzeć coś dokoła. Czułam zapach podobny do lasu, a jedynym dźwiękiem było dalekie pohukiwanie sowy, ale jakoś nie przypominałam sobie, że bym przy tej drodze gruntowej widziała dużo drzew. – W kryjówce Fundacji Aqrab we Frankfurcie?

– Absolutnie nie – odparł Nick, włączając kilka świateł w środku. – Witaj w moich Niemczech. To Taunus, niedaleko lotniska. Teraz tego nie zobaczysz, ale z góry roztacza się piękny widok na dolinę Menu. – Uśmiechnął się do mnie przez ramię. – Odsypiałem w tym domu wiele jet lagów. W sumie to jedyna nieruchomość, jaką posiadam.

Weszłam do chatki. Oprócz sporego łóżka było tu niewiele mebli. Jedno małe biurko i chybotliwe krzesło pod oknem, a poza tym jedynym miejscem do siedzenia przy kominku była wielka poduszka.

– O co chodzi? – spytał Nick, przyklękając, by pokruszyć starą gazetę. – Mało eleganckie dla doktora Livingstone’a?

Rozejrzałam się po surowych kamiennych ścianach i drewnianym suficie.

Było coś całkowicie uwodzicielskiego w tej bezbronnej prostocie, w lekkim zapachu spalonych drewn wiszącym w powietrzu. Nie był to Çırağan Palace Hotel, ale gdybym miała wybierać, wołałabym tę chatkę.

Gdy wróciłam z maleńkiej łazienki, Nick opierał się o obramowanie kominka, czekając, aż się rozpali.

– Trzymaj. – Podałam mu wilgotny ręcznik. – Twoja kolej.

Uśmiechnął się trochę krzywo.

– Wiem, że jestem w strasznym stanie...

– Nie bardziej niż zwykle. – Pomogłam mu zdjąć poplamiony krwią sweter i widziałam, jak się wykręca, by oszczędzić ramię. – Bardzo cię boli?

– Bardzo mnie boli od chwili, gdy cię poznałem. – Spojrzał na mnie tak, że wystarczająco jasno wiedziałam, co ma na myśli.

– Powinieneś był mnie wyrzucić, kiedy jeszcze mogłeś – wyszeptałam, przesuwając dłońmi pod jego koszulkę. – Albo zostawić mnie w tej świątyni.

Zamknął mi usta pocałunkiem. I jeszcze jednym. A potem z rozdrażnieniem pokręcił głową.

– Zrobiłem co się dało, żeby się w tobie nie zakochać – powiedział.

Od tych słów zrobiło mi się śmiesznie szczęśliwie.

– I jaki efekt?

Nick wziął mnie za rękę, przyłożył dłoń do dłoni i po chwili nie umiałam już powiedzieć, czyj puls czuję.

– Co powiesz, bogini? – Spojrzał mi w oczy. – Zgodzisz się, by ten śmiertelnik cię kochał?

Przysunęłam się bliżej.

– To niebezpieczne. Ale ty lubisz niebezpieczeństwo, prawda?

Nick bez wahania przyciągnął mnie do siebie i rzuciliśmy się na siebie żarłocznie. Wciąż miałam pytania, ale już ich nie pamiętałam. Jedyne, czego chciałam, to on... chciałam czuć jego skórę przy swojej, chciałam się przekonać, czy jest równie szaleńczo niecierpliwy jak ja. Ubrania zostały zdarte, ręce wreszcie znalazły drogę... Tak się spieszyliśmy, by być razem, że oboje zapomnieliśmy o delikatności. Usłyszałam, jak Nick wydaje jęk, gdy wpiłam się w jego ramiona, ale nie byłam pewna, czy to oznaka bólu czy przyjemności. Nie powstrzymało mnie to. Pragnęłam go jak nikogo innego w całym swoim życiu i domagałam się jego ciała z zachłanną żarłocznością. Jeszcze nie do końca rozebrana, stałam pod ścianą, czując go w sobie, i doznałam takiej ekstazy, że niemal straciłam przytomność.

– O mój Boże – jęknął, gdy wreszcie opadliśmy razem na poduszkę na podłodze. Z nosa znowu leciała mu krew. – Co ty mi zrobiłaś?

– Chyba chciałeś powiedzieć „o moja bogini” – szepnęłam, delikatnie ścierając krew z jego wargi, wciąż otępiała od strwożonego spełnienia. – Od kiedy jesteś taki pobożny?

Nick przebiegł palcami po mojej spoconej skórze, z oczyma pełnymi czci.

– Tylko nieśmiertelni mogą pociągać człowieka tak jak ty mnie.

– Na początku jakoś nie budziłam twojego zainteresowania.

Uśmiechnął się, świadom, że dopraszam się o komplement.

– Wydaje mi się, że gdybym cię zaciągnął do swojego namiotu i rozpiął spodnie, nie byłoby to najlepszym sposobem powitania cię w Algierii. A ty jak

sądzisz?

– Może gdybyś najpierw zgolił tę parszywą brodę...

Roześmiał się.

– Uważaj. Jak nie będziesz grzeczna, może odrośnie.

Później, gdy już wygodnie ułożyliśmy się w łóżku, wreszcie zadałam pytanie, które kołatało mi w głowie od pewnego czasu.

– Co miałeś na myśli wtedy w Stambule – zaczęłam, muskając palcami jego klatkę piersiową – gdy powiedziałeś, że już zaślaniałeś Jamesa piersią?

Uśmiechnął się i pocałował mnie.

– Wiesz, co miałem na myśli. Gdyby nie on, już dawno bym cię przyparł do muru.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Czy szef nie powiedział, że nie wolno ci molestować pracowników?

Odchrząknął.

– Molestowanie stanowi dodatek do wynagrodzenia.

– Powiedz mi... lubisz pracować dla al-Aqraba?

Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie.

– Więc czemu tego nie rzucisz?

– To nie takie proste. – Spojrzał niepewnie, wręcz z zażenowaniem. – Chyba powinienem ci już powiedzieć. Al-Aqrab jest moim ojcem.

– Co?! – Wyskoczyłabym z łóżka, gdyby mnie nie przytrzymał.

– Daj spokój. – Pocałował mnie w szyję. – Nie zachowuj się, jakbyś poszła do łóżka z diabłem.

– No nie wiem. – Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Trudno było się złościć na Nicka, że w końcu powiedział mi prawdę, a jednak gdy oczyma wyobraźni ujrzałam go otoczonego szybkimi wozami i świtą modelek w bikini, poczułam smutek. – Zdefiniuj pojęcie diabła.

– Mam przecież jakieś zalety, prawda? – Nick wziął mnie za rękę i wsunął ją pod kołdrę. – Na przykład wielkie... serce.

– A może wielkie wyjaśnienie? – odparowałam, przypominając sobie wszystkie doskonałe powody, dla których uciekłam przed w nim Stambule. – Twoi ludzie śledzili moją rodzinę! Jakiś... obrzydliwy detektyw czołgał się po krzakach, żeby zrobić zdjęcia moim rodzicom. A te pistolety pod twoim łóżkiem? Pewnie strzelasz z nich do ludzi. – Wpatrywałam się w niego,

czekając na jakąś reakcję, i trochę mnie uspokoiło, że jego uśmiech zbladł. –
Więc wybacź, trochę jestem niezadowolona, delikatnie mówiąc. Od początku mnie okłamywałeś, nękałeś, manipulowałeś mną, a ja nawet nie wiem, jak masz na imię!

Nick usiadł i skrzyżował ramiona na piersi. Płomienie na kominku rzuciły na jego twarz złowieszcze cienie.

– Mam na imię Nick. To ci mówiłem. Tata nazwał mnie Kamal, ale mama zwracała się do mnie Niccolo.

– Twoja brazylijska mama? – podsunęłam, bo bardzo chciałam mu pomóc.

Doskonale pamiętałam naszą rozmowę w Mykenach, przy tablicowym stole pana Telemakhosa, gdy Nick uraczył nas urywkami – teraz już wiedziałam, że nieprawdziwymi – swojego dzieciństwa spędzonego w biedzie.

– Nie. – Nick westchnął i zamknął oczy. – Moja biologiczna mama.

Milczał, a moje oszołomienie przerodziło się w całkowite niedowierzenie.

Byłam tak pewna, że porozmawiamy o zawartości koperty, którą mu zabrałam, poczynając od raportu detektywistycznego na temat mojej rodziny. Świadomość, że w wielkich wyjaśnieniach Nicka mogę być po prostu postacią drugoplanową, jakoś dziwnie mnie otrzeźwiła.

– Mój tata urodził się w Iranie, w starej bogatej rodzinie – zaczął wreszcie, wciąż nie otwierając oczu.

– Rodzinie al-Aqrab, jak sądzę?

– Nie, nie, nie. – Zbył tę sugestię zmęczonym gestem. – Al-Aqrab to imię arabskie. Oznacza skorpion. Tata zmienił nazwisko w wieku dwudziestu dwóch lat, gdy rodzina się go wyrzekła.

Może wyczuwając moje zaskoczenie, Nick otworzył oczy. Wyglądał tak nieszczęśliwie, że zrobiło mi się go strasznie żal. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że może tak długo nie wyjawiał mi prawdy o swojej tożsamości nie dlatego, że chciał mnie oszukać, lecz dlatego, że pragnął stworzyć bufor pomiędzy sobą a ojcem. Wszystkie te różne przebrania i nastroje, różne paszporty – czy to nie tak, że ukrywał się nie tylko przed złodziejami i przemytnikami, lecz także przed sobą samym? Przysunęłam się i pocałowałam go w policzek, a on się uśmiechnął.

– Trzydzieści cztery lata temu mój tato trenował w oksfordzkiej drużynie wioślarskiej – podjął Nick. – Razem z kolegami pojechali do Londynu

świętować zwycięstwo. Tam poznał pewną kobietę i ostatecznie spędził z nią noc. Ona przed wschodem słońca zniknęła i nigdy już jej nie zobaczył. – Nick wyszedł z łóżka i udał się do małej spiżarni, zupełnie nagi. Musiałam zadać sobie pytanie, jakim cudem tak długo trzymałam ręce z daleka od tego wspaniałego mężczyzny, a także – to zresztą było nieco ważniejsze – jaki będzie koniec jego historii.

Po kilku minutach wrócił z butelką czerwonego wina, dwoma kieliszkami i pudełkiem krakersów. Kiedy już napełnił nasze kieliszki i stuknęliśmy się nimi, podjął opowieść: – Rok później ojciec dostał przesyłkę z dzieckiem. Niemowlę. To byłem ja.

Miałem dołączony liścik: „Drogi Hassanie, to twój syn. Ma na imię Niccolo.

Proszę, wybacz mu. Nie jest winien temu, kim jest jego matka”. I jakieś jeszcze rzeczy, ale one teraz nie mają znaczenia. I podpis: „Myrina”.

Wpatrywałam się w niego oniemiała.

– Jak zapewne sobie wyobrażasz – Nick napił się wina – tata od trzydziestu trzech lat próbuje odnaleźć Myrinę. Jest przekonany, że była Amazonką. Była tak piękna i silna, a okoliczności ich poznania dziwne. Tata wracał z knajpy z kolegami, kiedy piękna Latynoska dołączyła do nich i wzięła go pod ramię.

Dopiero później, kiedy wszystko przeanalizowałam, przyszło mi do głowy, że na ulicy było pełno radiowozów na sygnale. W każdym razie kobieta weszła z nimi do hotelu, a z tatą poszła aż do jego pokoju. Był tak nią oczarowany, że nie protestował. Gdy tylko zostali sami, przeprosiła i poszła do łazienki. Siedziała tam jakiś czas, więc zapukał do drzwi i spytał, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedziała. Próbował otworzyć drzwi, ale stwierdził, że są zablokowane, więc otworzył je siłą, myśląc, że kobieta zażywa narkotyki albo że popełnia samobójstwo... Rozmaite rzeczy przyszły mi do głowy. Ona tymczasem siedziała pod prysznicem i płakała histerycznie. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest ranna, bo zobaczyłam krew na ręczniku i na zlewie, ale nie widziałam żadnych ran. Potem zauważyłam nóż myśliwski na jej ubraniach. – Nick się skrzywił. – Ojciec oczywiście był zaintrygowany. Kim jest ta kobieta? Co zrobiła? Próbowałam z nią rozmawiać, ale ona go odpychała i drwiła: „Wiesz, jaka jest kara za zbrukanie Amazonki?”.

W końcu wstała i się wytarła, a ojciec przekonał ją, żeby spędziła noc w jego pokoju. Nie znam szczegółów, ale sądząc po tym, że tej nocy zostałem poczęty, domyślam się, że ojciec nie spał na kanapie. Aha – ruchem głowy Nick wskazał mój nadgarstek – nosiła taką bransoletę jak ty. Dlatego mój ojciec pojechał do Myken trzydzieści lat temu i rozmawiał z panem Telemakhosem.

Długi rząd kostek domina w mojej głowie wreszcie zaczął się przewracać.

– Oczywiście! – krzyknęłam. – To był twój ojciec! Pan al-Aqrab! Chris Hauser z Baltimore, prawda? Dlatego tamtego dnia byłeś taki nieswój.

– Byłem? – Sprawiał wrażenie ubawionego. – A dziwisz mi się? Nie miałem pojęcia, że ojciec tam kiedykolwiek był, i to pod fałszywym nazwiskiem. Nadal nie rozumiem, jak Telemakhos to połączył. Zupełnie nie jestem podobny do ojca, prawda?

Spojrzał na mnie, jakby nie do końca wiedział, do jakiego stopnia mu już wybaczyłam. Następnie pełnym nadziei gestem dotknął mojego policzka i wyszeptał: – Powiedział mi, że jesteś moją bratnią duszą. Ale ja już to wiedziałem.

Pocałowałam go w wewnętrzną stronę dłoni.

– Szkoda, że nie odbyliśmy tej rozmowy, zanim pojechaliśmy do Stambułu.

Albo chociaż zanim wyjechaliśmy ze Stambułu.

Nick pokręcił głową.

– Diano. Ja tego wszystkiego nie wiedziałem, aż do wczoraj. Po twoim zniknięciu poleciałem do Dubaju pogadać z tatą na osobności, a to zawsze jest wyzwanie...

– Poleciałeś do Dubaju?! Ale ja widziałam twojego ojca w Çırağan Palace z panem Ludwigiem...

– Trudno za nim trafić – odparł Nick, dolewając nam wina. – Poprosiłem, żeby wyjaśnił mi wszystko. Co robi, do cholery, jaką rolę ty odgrywasz, dlaczego Reznik szuka zeszytu twojej babci? I dlatego dał mi tę kopertę, którą ty następnie ukradłaś mnie. – Spojrzał na mnie z ukosa. – On też, tak swoją drogą, dał mi broń, na wypadek gdybym się natknął na Reznika. To jego sposób okazywania miłości.

Ogarnięta współczuciem, oparłam głowę na jego ramieniu.

– Tak mi przykro...

– Niepotrzebnie. Gdybyś tak nie uciekła, w życiu nie wyciągnąłbym z niego prawdy. Zawsze wiedziałem, że moja matka nie jest kobietą, która mnie urodziła, ale jak sama powiedziałaś, zanim cię poznałem, nie miałem pojęcia o Amazonkach.

I w sumie potem nadal nie miałem aż do tej nocy na jachcie, gdy mi powiedziałaś o swojej babci i że Amazonki oddawały urodzonych przez siebie chłopców...

Wtedy zacząłem podejrzewać, że nasza wyprawa ma coś wspólnego ze mną. Tata wysłał mnie w tę dziwną misję, miałem się trzymać blisko ciebie i zobaczyć, jak się to wszystko rozwinie, ale nie wyjaśnił, czego dokładnie chce.

– Dlaczego? – spytałam. – Po co te wszystkie tajemnice?

Westchnął głęboko.

– Tata już taki jest. Zawsze powtarza, że ci, którzy kontrolują teraźniejszość, mogą wpływać na przeszłość. Nigdy mi nawet do głowy nie przyszło, że mówi o sobie. Pewnie jak już zaczniesz okłamywać ludzi i tworzyć alternatywną rzeczywistość, nie możesz tego tak nagle rozdzielić. –

Znowu pokręcił głową i teraz sprawiał wrażenie tak samo przygnębionego jak w Algierii. – Wiem, że to wygląda, jakbym cię okłamywał od samego początku, ale ja po prostu przekazywałem kłamstwa, które mi mówił ojciec. Nie miałem pojęcia, że szuka Amazonek od trzydziestu trzech lat i że jego zainteresowanie archeologią jest tylko pretekstem, by rozkopać każde mrowisko w rejonie Morza Śródziemnego...

– Może uważał, że cię chroni? – podsunęłam, myśląc o własnych rodzicach.

– Ale z kolei... dlaczego chciał, żebyś to właśnie ty tropił Amazonki? Przyjmuję, że miał nadzieję właśnie na to, że ja ci pomogę.

– Twierdzi, że chciał dać mojej biologicznej matce szansę poznania mnie.
– Nick ściągnął brwi. – Osobiście uważam, że to pokaz siły. On chce udowodnić, że mimo wszystko ma rację i że Amazonki naprawdę istnieją. Powiedział, że mam mieć na ciebie oko... śledzić cię... zobaczyć, dokąd chcesz jechać.

Poczułam, jak znowu rodzi się we mnie podejrzenie.

– Ale ty mnie zwolniłeś. Pierwszego dnia. Po co byś mnie zwalniał, jeśli byś miał... jak to ująłeś? Mieć na mnie oko?

Nick kiwnął głową, rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Gdy się poznaliśmy, moim priorytetem była świątynia. Myślałem, że jesteś tylko utrapieniem, ze względu na twoje powiązania z Oksfordem i z Moselane’ami.

– Uśmiechnął się, może na myśl, jak dramatycznie od tamtej chwili zmieniła się sytuacja. – Przyznam jedno: nie mogłem się doczekać, kiedy się ciebie pozbędę.

Ale ojciec powiedział mi jasno, że jesteś ważniejsza niż świątynia. – Nick objął mnie ramieniem i pocałował w czoło. – Nie miał pojęcia, jak bardzo ma rację.

– Mimo że jestem ciężarem?

– Ciężarem z amazońską bransoletą. – Pstryknął palcem w szakala. – To naprawdę podgrzało atmosferę. Ojciec był przekonany, że prędzej czy później zaprowadzisz mnie do wielkiego amazońskiego statku bazy. A kiedy to się opóźniało, wykombinował, żeby Amazonki trochę sprowokować do działania.

Dlatego właśnie chciał, żebym wtedy w Algierii oddał ci telefon. Chciał zobaczyć, do kogo zadzwonisz i co się stanie. Już podejrzewał, że twój kontakt w Oksfordzie, Katherine Kent, ma coś wspólnego z Amazonkami. Nie wiedział tylko, jaką rolę odgrywa.

– Cudownie! Prowadzenie eksperymentów naukowych na własnym synu.

Bum! Wtedy pewnie dostał kopa. Domyślam się, że dlatego właśnie chciał, żebyś rozpuścił plotkę o Skarbie Amazonek? Żeby Amazonki poczuły ciśnienie?

Nick zwiesił głowę, wyglądał na skruszonego, i słusznie, w imieniu swojego ojca.

– Pomyśleć, że grałem jego kartami, wciągając cię w kłopoty. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, z czym mamy do czynienia. On zresztą też nie.

Najwyraźniej był przekonany, że w pewnym momencie moja matka zrozumie, kim jestem, i ujawni się. A jeśli nie... nic się złego nie stanie, ponieważ ja i tak nic o niej nie wiem. Na pewno sobie nie wyobrażał, że trafimy w środek wojny Reznika z Amazonkami.

Milczeliśmy chwilę. Dziwnie było siedzieć i patrzeć, jak płomień tańczy na kominku, wiedząc, że w czasie gdy te polana płoną, mój cały świat wyskoczył ze swojej osi. W końcu przytuliłam się do Nicka i powiedziałam: –

Mówiłeś, że twój ojciec był ulicznym muzykiem. Podobało mi się to.

Westchnął.

– No i był. A ja naprawdę robiłem za małą małpkę obchodzącą widzów z kapeluszem. Kiedy jego rodzina w Iranie dowiedziała się o dziecku, czyli o mnie, wściekli się. Chcieli, żeby mnie oddał i kontynuował studia w Oksfordzie, jakby nic się nie stało. Odmówił, a wtedy zupełnie się od niego odcięli. Rozmawiał z władzami kolegium, proponował, że będzie pracował w zamian za wyżywienie i naukę, ale odmówili. Powiedzieli, że nie może zostać z dzieckiem, bo w Oksfordzie takie rzeczy się nie zdarzają. Nie miał pieniędzy, nie mógł wrócić do domu... wsadził mnie więc do plecaka i dołączył do trupy wędrownych muzyków.

W ten sposób trafił do Rio i tam zaczął pierwszy biznes i poznał kobietę, która została moją matką. Wszystkiego dorobił się absolutnie sam. Trudno z nim wytrzymać. Musi wszystko kontrolować.

– Nawet ciebie?

– Zwłaszcza mnie.

Próbowałam się uśmiechnąć.

– Nie jest ulubieńcem ludzi w Oksfordzie. Odniosłam wrażenie, że jest dość... bezwzględny?

Nick ścisnął moje udo.

– Nie jest tak zły, jak ludzie lubią myśleć, tylko skupiony na celu. Słyszałaś kiedykolwiek o kapitałście, którym się udało, a nie jest uważany za bezwzględnego? To ulubione uprzedzenie bezmyślnego stada.

– Jeśli nawet, pewnie nie ucieszy się, kiedy odkryje, że romansujesz z wykładowcą z Oksfordu.

Nick uśmiechnął się do mnie figlarnie.

– Zrozumie moją potrzebę zdobycia królowej śniegu, która by nawet mi ręki nie ucisnęła. – Jego uśmiech przygasł, przebiegł palcami po moim ciele, na całej długości, jakby chciał zademonstrować swobodę, z jaką ta niegdyś wzgardzona ręka może teraz wędrować.

– A to właśnie zrobiłeś? – spytałam, gdy nachylił się po pocałunek. – Podbiłeś mnie i utraciłam moją lodową suwerenność?

– A nie? – Położył się na mnie. – Czyżbym wyczuwał rebelię? – Uśmiechnął się, gdy poczuł, że mój opór topnieje. – Na to mi wygląda.

– Uważaj – ostrzegłam. – To może być zasadzka. W każdej chwili moje

siostry Amazonki mogą wpaść przez te drzwi...

– Masz rację. – Przyspilił moje ramiona do łóżka. – Lepiej się pospieszę.

ROZDZIAŁ 37

*Tam już – a wiadomość to prawdziwa – kończy się świat.*²¹

TACYT, *Germania*

Obudziłam się nagle, serce mi łomotało, bałam się, że to wszystko okaże się snem. Ale gdy tuż obok siebie zobaczyłam Nicka, śpiącego, poczułam ulgę tak wielką, jakbym się wybudziła z koszmaru. Wtuliłam się w aromatyczne ciepło, patrzyłam na niego, gdy tak leżał zalany łagodnym światłem wstającego dnia. Jak to możliwe, że ten wspaniały mężczyzna, który miesiąc temu w ogóle mnie nie znał, odkrył takie moje zakątki, a wręcz cały kontynent, o którego istnieniu nie miałam pojęcia?

– Daj mi jeszcze chwilę, bogini – wymamrotał. – Jestem śmiertelnikiem, pamiętasz?

Pomimo posiniałego nosa Nick wyglądał posągowo, nawet gdy spał, i przyszło mi do głowy, że bez względu na wszystkie tajemnice jego ciała nie nosi żadnych śladów tej niezwykłej historii. Żadne blizny, ozdoby, żadne tatuaże nie dawały wskazówek co do jego pochodzenia ani przez czyje ręce przeszedł, zanim wpadł w moje. Kamal al-Aqrab żył z fałszywą tożsamością i według tego, co sam przyznał, spędził swoje dorosłe życie na ucieczce przed pochlebcami, którzy nie widzieli w nim nic poza elegancką etykietą na człowieku.

W tym bardziej byliśmy do siebie podobni, niż z początku uznawałam. Tak, dorosiliśmy przy zupełnie innych ogniskach – a może nawet w innych jaskiniach – ale jednocześnie mieliśmy tyle wspólnego, przede wszystkim ucieczkę i poszukiwanie. Podczas gdy Nick wędrował po najdalszych krańcach świata, szukając wolności od imperialnych ambicji swego ojca, ja galopem uciekałam w przeszłość, by walczyć z tymi, którzy twierdzili, że Amazonki to tylko płowiejące imiona na kruszejącym pergaminie. Jakże to

dziwne – jakie to wspaniałe – że nasze ścieżki tak się zeszyły.

Zbyt podekscytowana, by znów zasnąć, wyszłam z łóżka i podeszłam do kominka w nadziei, że zdołam przywrócić do życia żarzące się węgle. Potem sięgnęłam wreszcie po swoją brudną torebkę, spodziewając się w środku obrazu zniszczenia. To była trzecia torebka, z której korzystałam w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Mógłby ten zły duch torebkowy już się mną znudzić.

Na szczęście *Historia Amazonum* odniosła szkody jedynie minimalne.

Przedmiotem, który najbardziej odczuł mój ślizg błotny, był zeszyt babci. Sflaczały i przemoknięty, przybrał niemal fakturę mokrej ściereczki i płakać mi się chciało, gdy odkleiałam okładkę i zobaczyłam, że niebieskie pismo zmyło się i nie dało się go już odczytać.

Usiadłam przy oknie i ostrożnie oddzieliłam środkowe kartki, w nadziei że wilgoć nie dotarła w głąb. Ale dotarła. Ze wszystkich setek wyrazów, które babcia pieczołowicie dla mnie przetłumaczyła, nie został ani jeden.

Ociężała z żalu przewracałam kartki, szukając śladu jakiegoś słowa, które się częściowo uchowało – może zdołam je jakoś zrekonstruować. I wtedy to zobaczyłam.

Niewidoczne pismo.

Jedno słowo napisane na mniej więcej co trzeciej stronie, ale i tak wystarczyło, bym podskoczyła ożywiona.

Czego babcia użyła? Białej kredki? Czegokolwiek użyła, było to niedostrzegalne, dopóki każdą kartkę pokrywało niebieskie pismo. Ale teraz, gdy pozostały tylko smugi, biała kredka – tłusta – wyróżniała się na tle rozmytego błękitu. Takie proste.

Cały ten czas, pomyślałam z zażenowaniem, chodziłam z sekretnym przesłaniem od babci i gdyby nie moja wczorajsza gehenna w mokrym Lesie Teutoburskim, może nigdy nie odkryłabym prawdy.

Zaczęłam przeglądać przesiąknięty zeszyt od początku, podnosząc każdą kartkę do słońca wschodzącego nad łąką za oknem, aby odczytać ukryte pismo.

Tylko z pozoru było to łatwe. Na pierwszy rzut oka żadne z tych słów nie miało sensu. Zaintrygowana zajrzałam do szuflady biurka, znalazłam notes i długopis i zaczęłam zapisywać słowa w takiej samej kolejności, w jakiej je znajdowałam.

PHIN XPO LEMS AHI PP LA PAD OB REMS

APA NTA RIT ETH ERMO DO AMR PE SI AACI BI EINY THYI AMO LP
AD AV AB URUS I Po początkowym oszołomieniu zaczęłam atakować tekst
wszystkimi znanymi sobie podręcznikowymi informacjami o deszyfracji:
przestawiałam litery, przestawiałam sylaby, brałam każdą pierwszą literę,
każdą drugą literę... ale żadna z moich prób nie przyniosła rezultatu ani
trochę zrozumiałego.

Szczególnie frustrujące było to, że te słowa wydawały mi się trochę
znajome, chociaż nie miały sensu. Odnosiłam wrażenie, że przy jakimś
maluteńkim bodźcu albo zmianie perspektywy wszystko stałoby się pięknie
jasne. Wyglądało to na grekę i łacinę jednocześnie, a wątpiłam, by babcia
władza tymi językami. Nawet jeśli się szkolila na archeologa, czy naprawdę
po tylu latach władałaby nimi na tyle płynnie, by sklecić wiadomość? Co
więcej, gdyby to rzeczywiście było napisane w mieszance języków
starożytnych, skąd miałaby pewność, że ja je kiedykolwiek odczytam?

Niezależnie od sytuacji, najwyraźniej chciała dopilnować, by wiadomość
nie wpadła w niepowołane ręce. Pytanie, jakie warunki musiały spełnić
powołane ręce? Jaką wiedzę zdaniem babci miałam zdobyć, nim zostanie
uznana za wartą jej zaufania?

Ależ oczywiście.

Rozwiązanie ukazało mi się równie widoczne jak gwiazdozbiory na
bezchmurnym niebie.

Tak mnie zaabsorbowało moje odkrycie, że aż podskoczyłam zaskoczona,
gdy Nick objął mnie od tyłu.

– Jeśli natychmiast nie wrócisz do łóżka – wymamrotał mi we włosy –
doniosę na ciebie do Amnesty International.

– Ale ja właśnie stoję na progu gigantycznego przełomu –
zaprotestowałam.

– Daj mi jedną sekundę...

– Przykro mi. – Podniósł mnie razem z notesem, długopisem i w ogóle. –
To ja jestem bogiem gigantycznych przełomów, a dokonują się one właśnie
tutaj.

Dopiero po pewnym czasie, gdy już wykopałam swoje przybory spod
zmiętej pościeli, mogłam zaangażować Nicka w prawdziwą rozmowę na
temat sekretnej wiadomości od babci.

– Rozgryzłam to! – oznajmiłam, machając notesem w powietrzu. – To lista imion Amazonek podzielona na kawałki i w każdym brakuje jednej litery.

Drapiąc się po nieogolonym policzku, Nick wziął listę, na której wypisałam:

PHINX POLEMSA HIPP LAPADO BREMSA
PANTARITE THERMODDA MRPESIA ACIBIE
INYTHYIA MOLPADA VABURUSI?

Przeczytawszy wszystkie imiona, Nick podał mi notes.

– To wszystko wyjaśnia.

– Tylko ktoś obeznany z mitami i legendami o Amazonkach byłby w stanie to rozgryźć – wyjaśniłam. – Imiona nie są oczywiste. Zobacz. – Podałam mu ostatnią kartkę, na której napisałam:

SPHINX POLEMUSA HIPPO LAMPADO BREMUSA
PANTARISTE THERMODOSA MARPESIA ALCIBIE
MINYTHYIA MOLPADIA VABURUSI?

– Sfinks? – spytał Nick. – Czy to aby nie zwierzę?

– Tak. – Wzięłam od niego listę. – Domyślam się, że to ostrzeżenie: strzeż się zagadki. Potem następuje lista imion Amazonek. Jeśli dobrze pamiętam, Polemusa i Bremusa walczyły wraz z Pentezyleą, Molpadia wzięła udział w ataku na Ateny, i tak dalej, i tak dalej. Jedyne imię, którego nie rozpoznaję, to ostatnie: Vaburusi. Ale nieważne. Spójrz na brakujące litery. Układają się w Suomussalmi.

– Co nadal trzeba odszyfrować – powiedział, orientując się już w grze.

– Nie! – Puknęłam go długopisem. – Gdzieś ty chodził do szkoły? To miejscowość w Finlandii, trochę na południe od koła podbiegunowego.

Nick zmrużył oczy.

– Proszę, nie mów mi, że chcesz tam jechać.

Usiadłam wyprostowana, wciąż oszołomiona sukcesem.

– Czemu nie? Czyż to nie cudowne? Babcia mówi nam, że mamy jechać do Suomussalmi. Słyszę to.

– To dziwne. – Nick przechylił głowę, jakby nasłuchiwał głosu z daleka. –

Ja słyszę coś, co mówi, że mamy zostać tutaj... w tym łóżku. Rzeczywiście... – Chwycił mnie za ramiona.

Chociaż trochę mnie złościło, że w ogóle nie jest zainteresowany moim odkryciem, musiałam się zaśmiać, kiedy mnie wciągnął na siebie.

– Co się stało z daleką wyspą?

– Może zaczniemy od tej?

I wtedy zadzwoniła jego komórka. Zignorował ją.

Po chwili zadzwoniła ponownie. Gdy Nick w końcu spojrzął na wyświetlacz, skrzywił się i podał telefon od razu mnie. Moi rodzice.

– Och, dzięki Bogu, że nic ci nie jest! – powiedział mój ojciec. Odniosłam wrażenie, że jest niebywale wstrząśnięty. – Nie byliśmy pewni, czy mamy oddzwaniać pod ten numer. Gdzie jesteś? Czyj to telefon?

Zawahałam się, bo na żadne z tych pytań nie miałam ochoty odpowiadać.

– Nieważne! – wtrąciła się moja matka. – Kochanie, dzisiaj o czwartej nad ranem odebraliśmy pewien telefon i nie wiemy, jak to rozumieć.

– To była bardzo niemiła osoba – dodał ojciec. – Kazała nam przekazać ci, że – przerwał, by dokładnie sobie przypomnieć wiadomość – masz trzy dni, by oddać zeszyt. Mowa była o konkretnej ławce w parku w Paryżu. Jeśli się nie podporządkujesz – ojciec odchrząknął, siląc się na rzeczowy ton – krzywda stanie się osobom, które kochasz.

Byłam tak wstrząśnięta, że nawet nie próbowałam udawać, że sytuacja nie jest poważna.

– Wiem, że to brzmi przerażająco – przyznałam – ale pracujemy nad rozwiązaniem.

– My? – chciał wiedzieć ojciec. – Czy w tym wszystkim chodzi o Bex?

– Nie – odparłam. – O babcię. – Powstrzymałam się od złośliwej uwagi: „I nie stalibyśmy pod tą ścianą, gdybyśmy po prostu o niektórych z tych spraw porozmawiali”. To byłoby nie w porządku. Powiedziałam tylko: – Ale nie martwcie się, to tylko tak źle wygląda. Wyjaśnię wszystko, jak się zobaczymy.

Tymczasem czy aby nie najwyższa pora, byście się wybrali nad morze? Wiem, że jest listopad, ale może pojeździecie do jakiegoś miłego pensjonatu w Kornwalii i zostanieie tam jakiś czas? Pod innym nazwiskiem. Proszę.

– Reznik – powiedział Nick, gdy tylko się rozłączyłam. – Zawsze się posługuje groźbą i naciskiem. I klasyk Moselane, który mu powiedział, gdzie

mieszkają twoi rodzice.

Poczułam absurdalną irytację.

– Dlaczego nie Amazonki?

Nick wyszedł z łóżka i zaczął szukać naszych ubrań.

– Amazonki nie prowadzą z nami wojny. One prowadzą wojnę z nim. Gdyby naprawdę chciały zdobyć ten zeszyt, na pewno już dawno by go wykradły.

– Może nie wiedziały o jego istnieniu.

Nick wciągnął T-shirt przez głowę, krzywiąc się z bólu.

– Słusznie. Skąd wie o tym Reznik? Od Jamesa?

– James nic nie wie o zeszycie – odparłam. Nagle coś mi przyszło do głowy i aż jęknęłam. – Koperta! Ta koperta, którą ci zabrałam. Bandziory z Genewy musiały ją przejrzeć w moim pokoju w Bramsche. Jak sobie może przypominasz, w środku znajdował się artykuł pióra doktora Trelawny’ego...

– Nigdy do niego nie doszedłem – odparł Nick, patrząc na mnie spode łba.

– Widziałem tylko raport detektywistyczny na twój temat i list od Reznika do jego sieci informatorów...

– Masz na myśli list do Jumbo? Myślałam, że to wiadomość do cyngla. I że ty nim jesteś.

– Jumbo. Wielkie uszy. – Nick poparł swoje słowa demonstracją za pomocą dłoni. – Reznik próbował zbierać informacje. Nagroda w wysokości miliona dolarów to późniejszy pomysł. Bo to paranoik, ma wszędzie kamery i drań nagrał na taśmę morderstwo własnego syna. Oszczędzę ci szczegółów. Powiedzmy tylko, że Alex Reznik wiedział, kto go zabija i dlaczego. Stąd się wzięła obsesja Reznika na punkcie Amazonek. Nie wiem, jak blisko nich jest w tej chwili, ale jego zainteresowanie zeszytem twojej babci wskazuje, że bardzo.

– Ale my jesteśmy bliżej – zauważyłam.

Nick przyjrzał mi się spod zmrużonych powiek.

– Co to znaczy?

– Pomyśl. – Usiadłam mu na kolanach dla zachęty. – Jeśli dam Reznikowi zeszyt, od razu zobaczy tajne pismo. I jeśli wziąć pod uwagę jego obsesję na punkcie Amazonek, może zdoła też odczytać szaradę babci. Bóg jeden wie, może Suomussalmi Vaburusi to wszystko, czego mu trzeba, by znaleźć wielki statek bazę Amazonek, jak to ująłeś, i – na tę myśl aż zadrżałam –

wysadzić go w powietrze.

Nick podszedł do mnie, poważny jak rzadko. Dotknął dłonią mojego policzka i rzekł: – A jesteś pewna, że to byłoby aż takie złe?

Wylecieliśmy z chmur i ujrzeliśmy Finlandię pod śniegiem. Nawet gdy szliśmy do naszego samochodu z wypożyczalni, wielkie puchate płatki ciągle leciały z nieba jak powitalne confetti.

– Nie za bardzo wyszło z tą piaszczystą plażą, której nie mogłeś się doczekać – powiedziałam do Nicka.

Gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu, śnieg padał już tak gęsty, że musiałam włączyć wycieraczki na najwyższy bieg.

– Ale czy to nie cudowne? – spytałam, siląc się na wesołość. – Niemal słyszę radosne okrzyki fińskich dzieci.

– Dużo dzisiaj słyszysz. – Nick włączył lampkę w środku, by lepiej widzieć mapę. – Czy któreś z tych głosów mówią ci może, czy w Oulun Lääni skręcić w lewo czy w prawo? Cokolwiek to jest.

Kilka razy użyłam hamulca, żeby sprawdzić, jak bardzo jest ślisko.

– Mówiłam, że trzeba wziąć nawigację.

– Prawdziwi mężczyźni nie używają nawigacji – przypomniał mi.

– I dlatego właśnie tak niewielu prawdziwych mężczyzn zostało. Wyleźli z puli genów i nie mogą znaleźć drogi powrotnej.

Chwilę milczeliśmy. Wiedziałam, że Nick ciągle jest rozdrażniony moją decyzją, żeby jechać do Suomussalmi, ale – z drugiej strony – nie był w stanie zaproponować realnej alternatywy. Jedyne pozytywne aspekty wyglądały tak, że mnie nie zostawił, i za to byłam mu ogromnie wdzięczna.

Zanim rano opuściliśmy chatkę, zadzwoniłam do Muzeum Kalkriese i poprosiłam o numer telefonu doktor Jäger. W końcu ze wszystkich znanych mi Amazonek ona miała najbardziej ludzką postać. Ale Felix powiedział, że doktor Jäger wyjechała nieoczekiwanie i że zatrzyma się u siostry, o której istnieniu nikt do tej pory nie wiedział. Nic dziwnego, że nie zostawiła mu żadnych namiarów.

Ze względu na to, jak nas do tej pory traktowały, ani Nick, ani ja nie pałaliśmy do Amazonek jakąś specjalną sympatią. Ale ja w przeciwieństwie do Nicka czułam się w obowiązku trzymać z nimi, choćby tylko z miłości do babci. Po prostu nie mogłam dać Reznikowi – nikomu w ogóle – tego zeszytu.

A jednocześnie wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, już zawsze będę się martwić o bezpieczeństwo moich rodziców.

W końcu nawet Nick niechętnie przyznał, że musimy jechać do Finlandii.

Choćby tylko w myśl niezdrowej zasady, że wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem, wydawało się, że naszą najlepszą szansą jest znalezienie Amazonek, zanim Reznik to zrobi. Może były w Suomussalmi, a może nie... ale innego tropu nie mieliśmy. Poza tym w kółko powtarzałam Nickowi, i jednocześnie sama się przekonywałam, że babcia nie wysłałaby mnie tam bez powodu. Co prawda jej przesłanie liczyło już dwadzieścia lat, ale na pewno nie napisała go pod wpływem kaprysu. Wręcz im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większej nabierałam pewności, że babcia powierzyła mi magiczny klucz do niezdobytej fortecy Amazonek i że kiedy już się tam dostaniemy, nasze problemy się skończą.

– Głowa do góry! – powiedziałam do Nicka, gdy nabieraliśmy prędkości w śnieżnej brei. – Niedługo dostaniesz wódkę z martini w gorącej saunie, w otoczeniu cycatyh samic w śmiesznie małych bikini.

Gdy jednak jechaliśmy w głąb lądu z lotniska w Oulu, czułam, że ponurość naszej sytuacji przytłacza nas ze wszystkich stron. W cichym śnieżnym mroku fińskiej zimy nie dało się określić, czy jedziemy przez tereny rolnicze czy przez tundrę, bo wszystko było zamrożone – każdy słup, każdy krzak, każda trawa.

Ponad tym pogrążonym we śnie zimowym krajobrazem wisiało stare słońce, zbyt zmęczone, by rozproszyć mrok, chociaż niedawno minęło południe.

– Mam pomysł – powiedziałam w końcu, zjeżdżając na pobocze gdzieś w środku gęstych lasów Kainuu. – Ty prowadź, a ja nam poczytam.

Nie zaproponowałam tego tylko po to, by nas rozweselić. Prawda wyglądała tak, że kusiło mnie, by wrócić do *Historii Amazonum* i zobaczyć, jak się kończy.

Chociaż P. Exulatus napisał ją dwa tysiące lat temu, miałam nadzieję, że może w jakiś zawołowany sposób jego wiedza nam pomoże, jeśli rzeczywiście zdołamy znaleźć Amazonki. Tak więc tłumacząc na bieżąco z łaciny, przeczytałam na głos resztę starożytnego rękopisu. Leciało to jakoś tak: „O barbarzyńcach Sarmacji i Germanii wiele można by mówić, jak powiadają, ale ja ograniczę się do tych relacji, które dotyczą Amazonek.

Wielu twierdzi, że widziało w tych regionach kobiety walczące konno, ale czy można je nazywać Amazonkami, to inna sprawa. Kobiet, które żyją na co dzień z mężczyznami, nie uważam za Amazonki, ani też tych kobiet barbarzyńców, które noszą broń, by bronić rodziny i owoców swej pracy, i same mówią o sobie Amazonki. One się tylko zachowują zgodnie z – tu przerwałam, szukając odpowiedniego słowa – ogólnym wyobrażeniem, a u tych czerstwych ludzi ciągle można znaleźć cnotę, zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Nie udają, że się ukryją za pisanymi traktatami popierani przez dalekie armie, lecz co dzień budzą się przygotowani do obrony swoich praw”.

– Podoba mi się ten gościu – powiedział Nick, gdy przerwałam na chwilę, by zrozumieć bardziej nieczytelną część. – Szkoda, że nikt inny go już nie czyta.

– Cóż, miejmy nadzieję, że to się nam uda zmienić.

Przeskoczyłam kilka stron, na których autor wymieniał przykład słynnych sarmackich i scytyjskich wojowniczek, i przeszłam do miejsca, w którym wrócił do głównego wątku.

– Dobra, czytam dalej: „Tyle jeśli chodzi o przykładowe opowieści tych jeżdżących na koniach ludzi. Teraz zbliżamy się do końca naszej historii, jako że ze wszystkich podań dotyczących Germanii tylko jedno dotyczy Amazonek. Mówił mi żołnierz stacjonujący tam w czasie katastrofy Warusa, który cudem tylko uszedł z rzezi...”

Niemal krzyknęłam i szybko przeczytałam raz jeszcze ostatnie zdanie: – Katastrofa Warusa! Tak Rzymianie nazywali bitwę w Lesie Teutoburskim.

Wielką zasadzkę, o której ci mówiłam. To w niej zginęła ta kobieta z mokradła, ta od doktor Jäger. W końcu do czegoś dochodzimy! Posłuchaj: „Żołnierz zaklinał się, że był ordynansem dowódcy Legionu Dziewiętnastego”. – Z ekscytacji chwyciłam Nicka za ramię. – Ocalenie! O tych trzech legionach mówi się, że zostały wyrżnięte do nogi. Ale jest naoczny świadek! – Wróciłam do tekstu, ledwie nad sobą panując. – „W wigilię tej katastrofalnej bitwy późną nocą przysłała do obozu kobieta przebrana w szaty mężczyzny, domagając się przysługi od dowódcy.

Chciała z nim rozmawiać na osobności. Zaintrygowany, odesłał wszystkich oprócz ordynansa”.

– Wyczuwam problemy – powiedział Nick.

– „Poproszona o przedstawienie sprawy – ciągnęłam niecierpliwie – kobieta spytała dowódcę, czy zna legendę o Aleksandrze Wielkim i Talestris, królowej Amazonek. Gdy potwierdził, że słyszał tę historię, wyznała, że jej sprawa jest podobna. Wyjaśniła, że jej pragnieniem jest spędzić z nim noc. O świcie zniknie na zawsze”.

Nick gwizdnął.

– Nie miałem pojęcia, że da się to powiedzieć po łacinie.

– „Dowódcę oczywiście ta prośba zdumiała – ciągnęłam, racząc Nicka kuksańcem pod żebra. – Jako Rzymianin nie był przyzwyczajony do takich prostolinijnych kobiet. Ale w końcu uznał, że kobietę musieli mu przysłać dla żartu jego oficerowie i jako dumny mężczyzna postanowił wykorzystać okazję. Ku jego zdumieniu o świcie kobieta wstała z łoża i przygotowała się do odejścia zgodnie z obietnicą. A kiedy dowódca, któremu się spodobało... hm... jej towarzystwo, zaprosił ją, by została, odrzekła: »Rzymianinie, nasze ścieżki skrzyżowały się na chwilę, tak jak czasami spotyka się Słońce z Księżycem, ale teraz znowu musimy się rozdzielić. Takie są zasady, wedle których oboje żyjemy. Ale dzisiaj, kiedy zapadną ciemności, możesz się pocieszyć myślą, że twoja siła przeżyje«.

Niezadowolony z jej niejasnej odpowiedzi, dowódca namawiał kobietę do pozostania, składając rozmaite obietnice, które zwykle skutkują w wypadku kobiet.

Ale teraz pokazała mu bransoletę na ramieniu i powiedziała: »Jesteś człowiekiem wielu cnót, silnym i szlachetnym, i dlatego cię wybrałam. Ale ten święty szakał decyduje o moim losie i przypomina mi, że Księżyc jest moją panią. Nie mogę zamknąć uszu na jej żądania. Ona zakazuje mi dzielić się z tobą światłem dnia«.

Na co dowódca rzekł: »Mówisz z taką pewnością siebie, że kusi mnie, by ci się sprzeciwić. Jesteś germańską arystokratką? Może w czasie negocjacji pokojowych ujrzę cię ponownie«.

»Może mnie ponownie zobaczysz – odparła. – Ale nie będzie szczęśliwego powitania. Oboje wiemy, że nie ma pokoju bez krwi. – Stojąc w wyjściu, obejrzała się po raz ostatni i dodała: Ponieważ widok twój ciągle jest mi miły, powiedziałabym ci, żebyś ratował swoje życie. Ale wiem, że to nie leży w twojej naturze. To przez twoją odwagę wybrałam cię spośród tysięcy, byś był ojcem mego dziecka. Tak więc zostawię cię z tym: Rzymianinie, żyjesz, by

zabijać, a twój honor żywi się ciałem innych. Bo dopóki mam na ręce tę złotą opaskę i dopóki noszą takie moje siostry, będziemy wykradać wam waszą siłę, ale gardzimy waszą władzą i władzą wam podobnych. Bo nadejdą inni; każde stulecie rodzi kolejnego nienasyconego władcę, ale oni wszyscy obrócą się w pył, podczas gdy Amazonki będą żyły wiecznie».

Opuściłam rękopis, niemal dusząc się z emocji.

– Praktycznie opisana tu jest bransoleta z szakalem. W tej historii musi być jakaś prawda. Co myślisz?

Nick zmarszczył czoło w zamyśleniu, i przez chwilę miałam wrażenie, że nie słuchał ostatniej części tłumaczenia.

– Mogłabyś przeczytać raz jeszcze ten fragment? – odezwał się w końcu. – Ten, w którym ona mówi, dlaczego nie może zostać?

Przeczytałam, a on znowu zamilkł i tylko bębnił palcami o kierownicę.

– O co chodzi? – spytałam. – Umieram z ciekawości.

– Jestem prawie pewien – odrzekł wreszcie – że moja rodzona matka powiedziała ojcu mniej więcej coś takiego. Jakieś poetyckie bzdury o szakalu i księżycu i że nie może z nim dzielić światła dziennego.

Położyłam mu dłoń na udzie i ścisnęłam. Las dokoła nas był gęsty i nieokiełznany, spowity mroźną ciszą i zupełnie niegościnnie. A jednak krzywy księżyc, który towarzyszył nam w drodze do Frankfurtu poprzedniej nocy, teraz wisiał dokładnie przed nami. Jakby przyzywał nas niekwestionowany monarcha arktycznej zimy.

– Cóż – powiedziałam, wertując ostatnie kartki *Historii Amazonum* – reszta to służalcze brednie, które mają przekonać jakiegoś cezara – pewnie Tyberiusza – by pozwolił autorowi powrócić do Rzymu. Ale nieszczęsny P. Exulatus prawdopodobnie zmarł na wygnaniu, jak wielu innych, a w ojczyźnie nikt nawet nie wiedział o tym rękopisie.

– Szkoda – odrzekł Nick. – Ta ostatnia historyjka mi się podobała.

– Mimo że nic nie wyjaśnia?

– Ależ wyjaśnia. – Spojrzał na mnie. – „Tylko my, Amazonki, będziemy żyć wiecznie”. Co jeszcze musisz wiedzieć?

Na całe Suomussalmi składało się kilka sklepów i domów pośród nieprzebytej dziczy napierającej ze wszystkich stron.

Gdy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, spytać o drogę do najbliższego hotelu, przyszło mi do głowy, że miejscowi sprawiają wrażenie

zakorzenionych w tym samym mistycznym elemencie co milczący las Kainuu. Patrzyli na nas, jakby wiedzieli dokładnie, kim jesteśmy, jakby spodziewali się nas, tylko się zastanawiali, kiedy wreszcie przyjedziemy... ale i tak w ich oczach próżno by szukać emocji. Mogliśmy być przyjaciółmi, mogliśmy być wrogami. Żeby się tego dowiedzieć, trzeba by czegoś więcej niż zdawkowa wymiana uprzejmości przy kasie.

Pokój hotelowy też nie przywitał nas z jakimś szczególnym entuzjazmem, chociaż można by tę nijaką estetykę akademika postrzegać jako przykład nowoczesnej skandynawskiej elegancji.

– Chciałbym przypomnieć – powiedział Nick, odstawiając nasze bagaże na brzoźowe deski podłogi – na wypadek gdyby to jeszcze kiedyś wypłynęło w przyszłości... a wiem, że wypłynie... – Przygarnął mnie do siebie i warknął mi prosto do ucha: – To ty uciekłaś z mojego dekadentckiego apartamentu w Çırağan Palace. – Podszedł do łóżka, posadził mnie na wierzchu spartańskiej kołdry i pochylił nade mną. – Co jest z tymi Brytyjczykami? Dlaczego tak się boicie wygód?

– W wygodzie człowiek traci wigor.

– Wiesz... – zaczął całować moją szyję. – Jakie to szczęście, że nigdy nie uczyłem cię żadnych technik samoobrony. I ciągle nie widzę nigdzie twojej szpady.

Teraz mogę zrobić z tobą wszystko, co zechcę.

– Chyba zapominasz, że właśnie cię zaciągnęłam aż na koło podbiegunowe.

– Och, z tego akurat zdaję sobie sprawę. – Nick położył się na plecach, założył ręce pod głowę i uśmiechnął się do mnie wyzywająco. – I teraz dostanę nagrodę, prawda?

Roześmiałam się.

– Ależ z ciebie troglodyta.

– To akurat dla ciebie powód do radości – zauważył. – To nie troglodyta wymyślił mizoginistyczną metafizykę. Żeby wymyślić taki rodzaj zła, potrzeba odrobiny ucywilizowania.

Nocą, po paru cudownie niecywilizowanych godzinach w łóżku i długim zmysłowym prysznicu, znowu sobie musiałam przypomnieć o nietrwałości naszego obecnego szczęścia.

– Co to? – spytał Nick, kiedy zaczęłam szorować zęby. Jego uśmiech zgasł.

– Skąd to masz?

Wpatrywałam się w niewinną tubkę leżącą na zlewie i poczułam upiorną panikę. Zanim rano wsiedliśmy na pokład samolotu, Nick kazał mi się pozbyć wszystkich rzeczy, które leżały w moim pokoju w Kalkriese, gdy mnie nie było.

Ale tubka z pastą do zębów jakoś mi umknęła.

– Co robisz? – spytałam, gdy zaczął wyciskać białą pastę do zlewu.

– Tu... czujesz to? – Podsunął mi koniec tubki, gdzie dało się wyczuć mały twardy gruzełek.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Czy to urządzenie namierzające?

– Wiedzą, gdzie jesteśmy? – spytałam. Na myśl, że znowu musimy uciekać przed bandziorami Reznika, teraz, późną nocą, krew mi stężała w żyłach.

– Niekoniecznie – odrzekł Nick, ubierając się. – Ale nie chcę ryzykować.

Grzej łóżko. A ja zabiorę twoją fluoryzowaną przyjaciółkę na przejażdżkę.

ROZDZIAŁ 38

*Zawrzyjmy więc umowę, Nie szkodźmy sobie wzajem.
Są pewne mroźne miejsca, W których mam swoje prawa²²*

KALEVALA

SUOMUSSALMI, FINLANDIA

Pomnik Wojny Zimowej w Suomussalmi był tak niezwykły, że minęliśmy go kilka razy, zanim się zorientowaliśmy, że to on. Korzystając ze słońca w południe, wypatrywaliśmy armii identycznych nagrobków ustawionych w szyku, ale to, co znaleźliśmy, było oszałamiająco inne.

To właściciel w sklepie spożywczym po drugiej stronie drogi od hotelu zasugerował, byśmy odwiedzili Raatteen Portti, jak się nazywał pomnik i muzeum, ponieważ to brama do historii Suomussalmi. Wcześniej pogadaliśmy z recepcjonistą, który nas poinformował, że „Vaburusi” to tak naprawdę nie jeden, lecz dwa wyrazy. Vabu to fińskie imię żeńskie, a Rusi nazwisko. Niestety, w miejscowej księżce telefonicznej nie było ani jednej Vabu Rusi. Tak właśnie trafiliśmy do sklepikarza, który twierdził, że też żadnej takiej nie zna.

– Ale spróbujcie w Raatteen Portti – zasugerował, wyciągając uproszczoną mapkę. – Marko, który tam pracuje, pamięta wszystko o wszystkich. Nawet takie rzeczy – uciekł wzrokiem, naprężyły się zmarszczki wokół jego oczu – których my nie pamiętamy.

Tak więc wyruszyliśmy do Pomnika Wojny Zimowej w porze lunchu, gdy słońce świeci najmocniej, i szybko się przekonaliśmy, że nic tutaj nie jest przewidywalne. Wyczułam, że choć Suomussalmi zajmuje skromną powierzchnię – a może właśnie dlatego – ma głęboką, mroczną duszę pełną dobrze strzeżonych tajemnic.

Gdy weszliśmy do parku wokół monumentu, przeszył nas mroźny

wschodni wiatr, więc naciągnęliśmy kaptury i włożyliśmy rękawiczki, które rano kupiliśmy, planując eskapadę. Kurtki, w które zaopatrzyliśmy się na lotnisku we Frankfurcie, po prostu nie wystarczały w kraju, gdzie listopadowe słońce ledwie wychylało się zza horyzontu, nim się zanurzyło w noc polarną o trzeciej po południu.

– Wejdźmy do środka – powiedział Nick głosem stłumionym przez kaptur.

– Najpierw zobaczymy park. Rozgrzejemy się później.

Na wielkiej leśnej polanie stały tysiące surowych kamieni, każdy o innym kształcie, przypominając, że każdy upamiętniony tutaj zabity żołnierz był osobną ludzką istotą – człowiekiem, którego ostatnia myśl pewnie nie dotyczyła polityki międzynarodowej, lecz jego bliskich i kolegów dokoła. W każdym razie taka była moja interpretacja wygłoszona spod szala, gdy zdążaliśmy przez zlodowaciały żwir.

Idąc w stronę niewielkiej dzwonnicy na środku monumentu, zobaczyliśmy, że w tym samym kierunku podąża mężczyzna, który właśnie wyszedł z drabiną z pobliskiego budynku muzeum. Na nasz widok odłożył drabinę, poprawił okulary i podszedł do nas, by się przywitać. Chociaż miał na sobie tylko skórzaną kurtkę, żadnej wełny, uścisk jego ręki był równie ciepły jak jego uśmiech.

– Jestem Marko – powiedział, stawiając kołnierz kurtki. – Właśnie chciałem wyczyścić dzwonki. Jest ich sto pięć, każdy innej wielkości. – Wskazał na szczyt dzwonnicy, która w sumie nie była wieżą, tylko raczej czterema wygiętymi drewnianymi belkami złączonymi w połowie długości. – Jeden dzwonek na każdy dzień wojny zimowej. Słyszać je, kiedy wieje wiatr. Ale proszę wejść do środka i napić się kawy. Mamy w tym tygodniu *karjalanpiirakat*. – Widząc, że nie rozumiemy, Marko uśmiechnął się i wyciągnął ręce. – Proszę się nie bać. To karelski specjał.

W muzeum Raatteen Portti tego dnia było mało ludzi. Kilka rozmownych kobiet pracowało w kawiarni, a starszy mężczyzna na wózku siedział przy stole pod oknem i w milczeniu segregował zdjęcia.

Chociaż Marko najwyraźniej był tego ciekaw, nie spytał, skąd jesteśmy, tylko po prostu oprowadził nas szybko po ekspozycji, zakładając – jak zapewne w wypadku każdego gościa, i nie bez powodu – że nie mamy zielonego pojęcia o datach i okolicznościach wojny zimowej, która była jego

pasją.

– Zimą na przełomie trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku Stalin próbował zająć Finlandię – wyjaśnił, wskazując wiszące na ścianie stare laminowane zdjęcia Armii Czerwonej. – Siły radzieckie były dziesięciokrotnie większe i Stalin sądził, że dzięki całej swojej nowoczesnej maszynierii zajmie małą bezbronną Finlandię w dwa tygodnie. Nawet nie wyposażył swoich żołnierzy w zimowe mundury.

Szliśmy przez ekspozycję w milczeniu, oglądając manekiny przebrane za fiński patrol narciarski w zimowym kamuflażu i przejmujące do szpiku kości zdjęcia martwych Rosjan zamarzniętych gwałtownie z pozbawionymi krwi rękoma na zawsze wzniesionymi w obronnym geście.

Widząc nasze przerażenie, Marko się zatrzymał.

– Tamtego roku była bardzo ciężka zima – wyjaśnił. – Przy minus czterdziestu stopniach nie można się pocić, nawet ze strachu, ponieważ wilgoć zamienia się w lód i człowiek zamarza. Ale jednocześnie trzeba mieć puls w normie. W chwili gdy krew zwolni – ruchem głowy wskazał ponure fotografie dokoła – na przykład gdy trafi cię kula albo ktoś poderżnie ci gardło nożem przymocowanym do kijka narciarskiego, twoje ciało po prostu zamarza w danej pozycji... na siedząco, stojąco, nieważne. Jeśli przeczytacie naszą epopeję narodową, *Kalevalę*, zobaczycie, że my, Finowie, nauczyliśmy się szanować mróz i że mamy z nim pakt. Stalin nie szanował fińskiej zimy. Wysłał tu żołnierzy, by mordowali, a oni sami zginęli.

Stanęliśmy, by przyjrzeć się uważniej kilku przedmiotom osobistego użytku, które mieli przy sobie zabici Rosjanie, i zrozumiałam, że Markowi jest ich żal tak samo jak żal mu Finów. Tak jak Rzymianie w Lesie Teutoburskim zostali wysłani na wrogie, nieznane terytorium przez pysznych przywódców, a tam zostali rozniesieni przez słabszych, którzy nie chcieli smyczy imperium.

– Co dokładnie się stało w Suomussalmi? – spytał Nick. – Można by pomyśleć, że Stalin powinien przede wszystkim uderzyć na Helsinki?

– Uderzył – odparł Marko. – Uderzył wszędzie. Zbombardował Helsinki bez wypowiedzenia wojny, a potem zaatakował granicę samolotami i czołgami; to była straszliwa rzeź. A co myśmy mieli? Dzielnych ludzi, którzy biegli na czołgi i rzucali koktajle Mołotowa w ich wloty powietrza. – Wyprostował się z dumą. – Wiecie, że myśmy je wymyślili? W czasie wojny

zimowej. Dlatego właśnie nadaliśmy im nazwę od nazwiska rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. – Może czując, że go poniosło, Marko wcisnął ręce do kieszeni skórzanej kurtki, łokcie sterczały mu niedbale. Podjął opowieść: – Tutaj w Suomussalmi toczono walki partyzanckie. Wielu starych weteranów jeszcze dziś nie chce o tym rozmawiać. Mówią tylko, że robili straszliwe rzeczy. – Marko zdusił butem wyimaginowany niedopałek. – Dwie rosyjskie dywizje właśnie tutaj przeszły granicę, na wschód od Suomussalmi, drogą o nazwie Raate. Mieli wiele pojazdów opancerzonych, więc musieli się trzymać drogi przez las, wędrować długą linią w polarnych warunkach. Finowie poruszali się na nartach i mieli zimowe maskowanie. Rosjanie przypominali siedzące kaczki. Dwadzieścia trzy tysiące ciał, zamarzniętych jak posągi, jeden kilometr za drugim wzdłuż drogi Raate.

W końcu dotarliśmy do przytulnej kawiarni i usiedliśmy z kawą i ciastkiem, a Marko dalej mówił, że jeszcze dzisiaj niewielu ludzi chce mieszkać przy drodze Raate. W lesie żyją wilki i niedźwiedzie, ale przede wszystkim w masowych grobach przy tej drodze rzezi pochowano tysiące rosyjskich żołnierzy. Stalin jak to Stalin, całkowicie wyparł klęskę. Odmawiając przyjęcia ciał swoich żołnierzy, zostawił Finom pochowanie ludzi, którzy mieli ich zniszczyć. Niektóre groby są oznaczone, inne nie. Zdaniem Marka, każda kępa zdrowych brzóz pośród niechlujnych jodeł jest nieomylnym znakiem masowego grobu. Natura wzniosła własny pomnik tym, których życie tak szybko przerwano w nawiedzonym lesie.

– Może słyszał pan – odezwałam się po dłuższej chwili milczenia – o niejakiej Vabu Rusi?

Marko się zastanowił.

– Nie. Ale może Aarne by coś wiedział. – Wstał i podszedł porozmawiać ze starszym mężczyzną na wózku.

Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem spięta, dopóki nie zobaczyłam, jak starszy mężczyzna ożywia się i odpowiada na pytanie. A potem Marko przywołał nas ruchem ręki. Zabrał nas do pokoju z metalowymi szafkami archiwistycznymi i projektorem wymierzonym w biały rozwijany ekran.

Rozmawiając po fińsku przyciszonymi głosami, mężczyźni zaczęli przetrząsać szuflady pełne slajdów, aż w końcu Aarne podniósł wąskie pudełko, sprawdził odręczną notatkę na boku i z powagą kiwnął potwierdzająco głową.

Gdy projektor się rozgrzewał, Marko wyjaśnił, że Vabu Rusi należała w czasie wojny do kobiecej służby pomocniczej, Lotta Svard, i jako jedna z wielu ochotniczek pomagała fińskim żołnierzom za linią walk.

– Aarne mówi, że Vabu była wspaniałą pielęgniarką i że zawsze pomagała przy amputacjach. Młodzi mężczyźni lubili – Marko ściągnął brwi – patrzeć na ładną buzię, a nie na lekarza... Rozumiecie. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Ale jej historia jest tragiczna. Mąż Vabu zginął na wojnie zimowej, a ona i jej córka zostały porwane przez rosyjskich partyzantów, w każdym razie tak sądzi Aarne.

I tak jak wielu fińskich matek i dzieci, nikt ich już nigdy nie zobaczył. Ale spójrzcie. – Marko wsunął do projektora pierwszy slajd i zobaczyliśmy starą czarno-białą fotografię kobiet stojących przed budynkiem ubranych w stroje pielęgniarek.

Aarne przysunął się bliżej, by przyjrzeć się poszczególnym twarzom, a potem pokręcił głową. Dopiero gdy Marko wyświetlił czwarty slajd – kolejną grupę uśmiechniętych pielęgniarek – Aarne w końcu kiwnął głową i wskazał z ożywieniem młodą kobietę siedzącą na długiej ławce w pierwszym rzędzie.

– Jest! – powiedział Marko. – To Vabu Rusi. Była jedynaczką, mówi Aarne. Szkoda, bo wielu młodych mężczyzn chętnie poślubiłoby jej siostry.

Podeszłam jak najbliżej do ziarnistego obrazu wyświetlonego na ekranie, przyglądałam się uroczym, uśmiechniętym twarzom. Nie dało się nie czuć więzi z Vabu Rusi po wysłuchaniu opowieści o jej smutnym życiu, ale nie byłam pewna, czy gula łez w moim gardle wypływa z czegokolwiek poza współczuciem. Czy ta kobieta była choć trochę podobna do mojej babci? Trudno powiedzieć. W ogóle nie pamiętałam, żeby babcia kiedykolwiek się uśmiechała.

– A córka? – spytałam Finów, podnosząc dłoń, by zasłonić oczy przed światłem projektora. – Pewnie nie macie jej zdjęcia?

Marko z zalem pokręcił głową.

– Była taka mała, kiedy ją zabrali. Aarne nawet nie pamięta, jak miała na imię. – Widziałam, że bardzo chciałby się dowiedzieć, dlaczego to jest takie ważne, ale grzeczność nie pozwoliła mu o to spytać. Może życie w otoczeniu weteranów wojny zimowej nauczyło Marka, kiedy nie należy zadawać pytań.

Zanim wyszliśmy z muzeum, słońce dawno już zniknęło za horyzontem, a w powietrzu pojawił się dotyk nocy, który zmroził mnie do kości. Idąc z

Nickiem do samochodu, mimowolnie zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mi ciepło. Nie chodziło tylko o rozczarowanie odkryciem, że nieszczęsna Vabu Rusi nie miała szansy pomóc nam w rozwiązaniu zagadki mojej babci; prawda była taka, że całe to miejsce budziło mój przeogromny smutek. Nie mogłam się doczekać, aż opuszczę to zmrożone pustkowie i tysiące tutejszych bezdomnych duchów.

– Tyle, jeśli chodzi o rozmowę z Vabu – powiedziałam, wsuwając ręce do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków do auta. – Gdzie teraz? Do archiwum miejskiego?

Ale Nick dziwnie nie reagował. Zerkał na drugą stronę drogi, gdzie w cieniu między dwiema latarniami stał motocykl z włączonym silnikiem.

– To jest KTM – powiedział w końcu. – Taki motor właśnie wygrał Rajd Dakar. Po raz kolejny. – Chyba się zorientował, że czekam na puentę, bo dodał: – Widziałem taki dzisiaj rano, kiedy byliśmy w sklepie z ciuchami. Założę się, że to ten sam. Niewielu jest ludzi, którzy jeżdżą motorami w taką pogodę.

Ledwie skończył, motocykl odjechał z dużą szybkością w stronę rosyjskiej granicy.

– Reznik? – spytałam, czując kolejny dygot, tym razem spowodowany strachem.

– Nie sądzę. – Nick wciąż wpatrywał się w czarną pustkę drogi Raate, a małe kwartety mięśni grały mu w szczęce. – Sądzę natomiast, że jesteśmy obserwowani.

Po powrocie do hotelu zaciągnęłam Nicka pod prysznic, rozpaczliwie pragnąc mieć go dla siebie jeszcze raz. Choć nie planowaliśmy jeszcze wyjazdu, wiedziałam, że niedługo syreny alarmowe wezwą Kamalę al-Aqraba – nie wspominając o czujnych ojcowskich cyklopach, którzy rządzą jego życiem.

– Brawo, świetna bogini – powiedział, wchodząc do wanny. – Oboje wiemy, co się dzieje ze śmiertelnikiem, który ogląda Dianę w kąpieli.

– To prawda. – Wciągnęłam go pod syczący strumień ciepłej wody, stęskniona za rozkoszowaniem się jego doskonałościami i zapomnieniem o niedoskonałym świecie dokoła. – Ale obiecuję, że nie będziesz żałował.

– W życiu sobie nie wyobrażałem – zamruczał, przyciągając mnie mocno do siebie – że wezmę udział w hierogamii w Finlandii w listopadzie...

Roześmiałam się zaskoczona, aż za dobrze pamiętając naszą frywolną rozmowę z Rebeccą przy kolacji na Krecie.

– Myślałam, że nie znasz greki.

– Musiałem sprawdzić, co nie? Chociaż twoja zarumieniona twarz tamtego wieczoru i tak wszystko powiedziała. – Nick pogładził mnie po policzku, z oczyma pełnymi szczerości. – W życiu nie sprawdzałem tylu wyrazów... Świetnie działasz na moje zasoby słowne.

Skrzywiłam się, udając rozczarowanie.

– Tylko tyle?

Przesunął dłońmi po moim śliskim ciele.

– Niech no pomyślę. W czym jeszcze jesteś dobra?

– Może cię wybatozę witkami brzozowymi? – zaproponowałam, serwując mu klapsa w mięsień pośladkowy wielki. – Finowie tak robią w saunie. To podobno bardzo odświeżające. A potem wyskakują na dwór i tarzają się w śniegu.

Co ty na to?

Nick uśmiechnął się krzywo.

– Stopilibyśmy cały śnieg w Finlandii. – Odwrócił mnie i przyciągnął do siebie swawolnymi rękoma, szepcząc mi do ucha: – Mam o wiele lepszy pomysł.

I nawet nie będziemy potrzebowali brzozowych witek.

Dopiero gdy się przygotowaliśmy do wyjścia na kolację, zauważyłam, że wsunięto nam pod drzwi kopertę. Była zaadresowana do państwa Panagopoulos i zawierała złożoną kartkę uszlachetnionego papieru, na której widniała odręcznie narysowana mapka i krótka wiadomość: Przyjdźcie do mnie natychmiast.

Vabu Rusi Nick pierwszy się pozbierał po tym nieoczekiwanym zwrocie akcji.

– Gratulacje – powiedział, całując mnie w kark. – Znalazłaś Amazonki.

Pełna obaw studiowałam mapkę.

– Naprawdę załatwiłyby to tak prosto? A jeśli to Reznik? Jego ludzie znaleźli mnie już w Kalkriese... W każdym razie zakładam, że to byli jego ludzie.

Mieli tablice z Genewy.

Porozmawialiśmy o tym chwilę i doszłam do wniosku, że Reznik znalazł

mnie w Niemczech tak samo jak Nick – dzięki Rebecce, która przez telefon powiedziała o moim zainteresowaniu Muzeum Kalkriese. Niewątpliwie Reznik podsłuchiwał jej rozmowy od tamtego przyjęcia. Fakt, że teraz uciekł się do grożenia moim rodzicom – jeśli to rzeczywiście był on, a nie Amazonki – świadczył o tym, że obecnie nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy.

Przyjmując, że list rzeczywiście pochodził od Amazonek, musieliśmy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chcą pokojowego spotkania, czy też wabią nas w pułapkę. Zgodnie z ich wskazówkami mieliśmy jechać drogą Raate, minąć Pomnik Wojny Zimowej, kierując się w tę samą czarną pustkę, w której zniknął motor. Wiedziałam, że muszę jechać.

– Ale ty nie musisz tego robić – powiedziałam do Nicka, gdy razem szliśmy do samochodu. – To moja babcia, mój problem.

Otworzył bagażnik i wrzucił do środka nasz bagaż. Postanowiliśmy spakować wszystko, tak na wypadek gdyby coś się nie powiodło i musielibyśmy szybko wyjeżdżać z Suomussalmi.

– Ty tego nie kumasz, co? – powiedział, zatraskując bagażnik. – Ja już znalazłem to, czego szukałem. To mój happy end, i zamierzam się nim cieszyć, choćby mnie to miało zabić.

Nachyliłam się, by go pocałować.

– Nie mów tak.

Gdy wyjeżdżaliśmy z sennego miasta i sunęliśmy w stronę odludnej rosyjskiej granicy, las zamknął się wokół nas złowieszczo. Zniknął horyzont ubitych dróg, które tak dobrze znaliśmy; przed nami leżała kimeryjska ziemia niczyja na końcu świata. Wreszcie wkraczaliśmy na prawdziwe terytorium Amazonek.

– Nie wzięłeś przypadkiem któregoś z tych pistoletów ze Stambułu, co? – spytałam Nicka, głównie by przerwać ciszę.

Ale on był zajęty zerkaniem w lusterko wsteczne, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam za nami dwie pary białych świateł reflektorów.

– Śledzą nas?

– Tak mi się wydaje – odrzekł, krzywiąc się. – Zobaczmy, czy damy radę się ich pozbyć.

Przejechaliśmy kolejny kilometr, aż dotarliśmy do skrzyżowania. Zgodnie ze wskazówkami Vabu Rusi powinniśmy byli jechać prosto, i tak

uczyniliśmy, ale zaraz za skrzyżowaniem Nick nagle wyłączył światła i skręcił w wąski, pokryty koleinami trakt prowadzący do lasu. Gdy tylko się schowaliśmy za drzewami, zaciągnął hamulec i wyłączył silnik.

Zatrzymaliśmy się tak gwałtownie, że nie miałam czasu się przygotować, więc gdy poleciałam do przodu, pas mną szarpnął.

– Nic ci nie jest? – spytał, dotykając mnie w ciemności. – Przepraszam za te wyboje.

Po kilku chwilach drogą za nami przejechały dwa samochody.

– Zaraz się przekonamy. – Nick obrócił się na fotelu. – Dajmy im trzy minuty.

Ale już niespełna minutę później samochody wróciły, tym razem jadąc o wiele wolniej.

– Zostań tu! – rozkazał mi Nick, otwierając drzwi.

Ale ja też wysiadłam i podążyłam za nim wyjeżdżonym traktem, aż zobaczyliśmy samochody. Stały na skrzyżowaniu, a kierowcy ewidentnie naradzali się, co dalej.

Gdy wreszcie odjechały, wybierając drogę prowadzącą na zachód, Nick objął mnie i staliśmy tak chwilę, tylko oddechając. Bez słowa wróciliśmy do auta i ruszyliśmy. O włos uniknąwszy niebezpieczeństwa, ucichliśmy. Nie było co dyskutować, kto wysłał te dwa samochody; oboje wiedzieliśmy, że musiał to być Reznik. Poprzedniej nocy Nick przekonał kierowcę jadącej na północ ciężarówki, by wziął tubkę pasty aż do Laponii... ale chyba za późno.

Skupiłam się na instrukcjach Vabu Rusi i kazałam Nickowi skręcić w jedną boczną drogę, potem w drugą, cały czas nie posiadając się ze zdumienia, że komukolwiek chciało się stawiać czytelne znaki drogowe w tym opuszczonym miejscu. Dopiero gdy podjechaliśmy sprawdzić wywrócony drogowskaz, zdałam sobie sprawę, że to są tylko znaki prowizoryczne, wykonane z drewna.

Nie jestem pewna, jak długo jechaliśmy, gdy wreszcie znaleźliśmy się na długim odśnieżonym podejździe. Coś w tych oświetlonych przez księżyc cieniach i opustoszałych leśnych drogach sprawiło, że straciłam poczucie czasu. A sękaty gałęzie wyciągające do nas szpony, gdy jechaliśmy przez upiorną straż honorową drzew, tylko podsycaly uczucie, że dotarliśmy do miejsca pozostającego w zawieszeniu na samym krańcu świata fizycznego.

Dwukondygnacyjny dom na końcu krętej drogi wyglądał na opuszczony,

czego zresztą można się było spodziewać po zaniedbanym podjeździe.

W podskakującym promieniu światła z naszych reflektorów zobaczyłam okazałą, ale łuszczącą się fasadę z desek i okna zabite deskami. Dopiero gdy podjechaliśmy bliżej, dostrzegłam sześć par nart opartych o ścianę. Dom najwyraźniej nie był opuszczony i nie sprawił na mnie wrażenia niezdobytej fortecy, której się z Nickiem spodziewaliśmy.

– I to tyle? – Nick pochylił się do przodu na swoim fotelu z grymasem nieufnego niedowierzania. – Gdzie zasieki i fosa z piraniami? Mogę zobaczyć tę mapkę?

Ale mapka Vabu Rusi była dokładna. Rzeczywiście właśnie tutaj mieliśmy dotrzeć.

– To najwyraźniej jakieś przypadkowe miejsce spotkań – powiedziałam, pełna nadziei, że nie widać mojego rozczarowania. – W życiu by nie podały przecież namiarów na swoją aktualną siedzibę.

Wysiadłam z samochodu i ruszyłam do budynku. Schody przed wejściem były spękane po dziesiątkach bezlitosnych zim, a mosiężna kołatka w kształcie konia dawno już rozpoczęła etap zielonej starości. Co dokładnie się działo w tym rozsypującym się budynku? Czy jego przeznaczeniem było witanie ludzi... czy żegnanie ich? Gdy tylko Nick dołączył do mnie na schodkach, odunęłam na bok wątpliwości i zdecydowanie zapukałam do drzwi, oznamiając jednoznacznie, że bez względu na to, co się stało, ja jestem osobą odpowiedzialną.

Czekaliśmy chwilę. Gdy drzwi się wreszcie otworzyły, moje zmartwienia pierzchły jak niebyle, bo z domu biło ciepłe i jasne światło, a kobieta, która nas przywitała, promieniała jak najlepszymi intencjami. Wysoka i szczupła, miała na sobie dzinsy i gruby sweter z białym reniferem, a siwe włosy ciasno związała w koński ogon. Na pierwszy rzut oka otwarta, pełna życia twarz sugerowała, że kobieta ma sześćdziesiąt parę lat, ale mizerny, żylasty uścisk dłoni wzbudził we mnie podejrzenie, że jest dużo starsza.

– Nareszcie! – powiedziała, z akcentem, o którym już wiedziałam, że jest fiński. – Wejdźcie. I wybaczcie wygląd tego miejsca. Zima to miazdząca potęga.

Wprowadziła nas do wielkiego holu z łukowatymi schodami wspinającymi się na wyższą kondygnację. Kilka zabytkowych mebli i wielki obraz przedstawiający pasące się krowy sugerował, że weszliśmy do domu

kulturalnej rodziny. A jednocześnie nie wiedzieć czemu odnosiłam wrażenie, że to wszystko na pokaz.

– Pani nazywa się Vabu Rusi? – spytał Nick, rozpinając kurtkę narciarską. Kobieta się uśmiechnęła.

– Mam na imię Otrera. – Wzięła nasze okrycia i powiesiła je na mosiężnych haczykach na ścianie, zaraz obok stojaka na broń z sześcioma strzelbami. – Niedźwiedzie, wilki, rosomaki – powiedziała w odpowiedzi na naszą milczącą uwagę. – Biorę śrutówkę, gdy wychodzę ze śmieciami. Albo to. – Ze stojaka na parasole gospodyni wyjęła zardzewiały rapier. – Rosomaki czują, że to nie jest nic dobrego. Ale proszę dalej. – Odłożyła rapier na miejsce i poprowadziła nas do salonu o wysokim suficie i zabytkowym trzypoziomowym piecyku na drewno. – Ogrzejcie się.

W wielkim pomieszczeniu, do którego weszliśmy, siedziała grupka nastoletnich dziewcząt. Natychmiast wstały, by bezszelestnie wymknąć się przez inne drzwi. Ubrane w spodnie od dresu i koszulki z długim rękawem, ze zniszczonymi podręcznikami i piórnikiem pod pachą, sprawiały wrażenie grupy samokształceniowej. Po chwili usłyszeliśmy, jak rozmawiają głośno, poruszając się po domu. Książka zostawiona na krześle zdradziła nam temat ich spotkania – rosyjski dla zaawansowanych.

Pomimo okazałych rozmiarów salon sprawiał wrażenie funkcjonalnego; wszystkie okna były zasłonięte okiennicami, a rolę mebli pełniła kolekcja krzeseł, każde inne. Niektóre obite, inne z pionowym oparciem, a do tego zwyczajne stołki.

Wszystkie stały przodem do wielkiej mapy wiszącej na jednej ze ścian tuż obok tablicy suchościeralnej.

– Usiądźcie – powiedziała Otrera, szybko usuwając wielobarwne napisy z tablicy. Następnie chwyciła krzesło i usiadła na nim okrakiem, swobodnie opierając ręce na oparciu. Mimowolnie zachwyciłam się jej kondycją i poczułam nagłą nadzieję. Czy babcia starzała się tak dobrze jak Otrera? A jeśli rzeczywiście jeszcze żyje, czy jest tutaj, w tym domu, i czeka na właściwy moment, by się ze mną przywitać?

Nagle usłyszałam, że coś zbliża się do domu z przeciągłym rykiem, i również z rykiem zatrzymuje się na zewnątrz. Spojrzawszy na Nicka, zrozumiałam, że on też to usłyszał. Motor.

Zerkając na drzwi prowadzące na korytarz, czekałam nerwowo, ciekawa,

jakiego rodzaju osoba wejdzie. Ale nie wszedł nikt. Usłyszeliśmy tylko ciężkie kroki wspinające się na górę, wybuch ożywionych głosów i trzaśnięcie drzwi.

Ile osób przebywało w tym domu? I kim właściwie były? Z tego co do tej pory widziałam, nikt nie pasował do mojego wyobrażenia Amazonki ani też dom nie sprawiał wrażenia miejsca spotkań – nie wspominając o centrum dowodzenia – na miarę potężnej międzynarodowej organizacji. Zerknęłam na Otręę i zobaczyłam, że wpatruje się w Nicka.

– Pan ma pytanie do mnie – powiedziała wreszcie.

– Mam wiele pytań. – Nick pochylił się i oparł łokcie na kolanach. – Domyślałam się, że to pani nas tu wezwała.

Leciusieńkie pasemka ubawienia – a może zdenerwowania – ściągnęły usta Otrery.

– Pozwolę sobie zacząć od opowieści o kobiecie, w której imieniu zostaliście tu dziś zaproszeni – powiedziała. – Jak się dowiedzieliście w Raateen Portti, Vabu Rusi i jej córeczka, Enki, znalazły się wśród cywilów pojmanych przez rosyjskich partyzantów w zemście za klęskę Stalina tutaj, w Suomussalmi, w czasie wojny zimowej. Na ogół partyzanci po prostu zabijali cywilów, kobiety, dzieci, niemowlęta, ale Vabu i Enki trafiły na ciężarówkę, która wywiozła je do Rosji, gdzie trafiły do obozu o nazwie Kintismäki. Ja też tam byłam, z moją siostrą Tyne. Nasz ojciec zginął na wojnie, a matkę zabili ci, którzy nas zabrali. – Otrera zdjęła klaczek z rękawa swetra i spuściła go na ziemię, po czym podjęła opowieść, już ciszej: – Mała Enki, córeczka Vabu, umarła w obozie. Przez wiele tygodni nie dostała normalnego posiłku, podobnie jak my wszystkie, i matka nie mogła jej zapewnić ciepła. Gdy dwóch strażników przyszło po ciało, Vabu zadźgała ich kuchennym nożem.

Lakoniczna, konkretna opowieść Otrery tak mną wstrząsnęła, że ledwie mogłam uwierzyć, że ta kobieta rzeczywiście tam była. I znowu coś w jej zachowaniu przypomniało mi babcię, która potrafiła mówić makabryczne rzeczy z nieprawdopodobną obojętnością, jakby słowa były sztucami w szufladzie.

– W obozie wybuchł wówczas bunt – podjęła Otrera. – W czasie walk Vabu zebrała trochę dziewczynek takich jak my, bez rodziców, i w zamieszaniu zdołała nas wyprowadzić przez dziurę w ogrodzeniu. Szłyśmy cały dzień i

całą noc, a rano już nie miałyśmy siły. Chciałyśmy tylko spać, Vabu nie mogła nas zmusić do dalszego marszu. Ale miałyśmy szczęście. Rosyjski drwal zobaczył nas leżące w zaspie przy drodze, podniósł nas i zabrał do domu. On i jego rodzina dali nam ciepłe ubrania i jedzenie, a kiedy nabrałyśmy siły, przemycili nas przez granicę.

W tym momencie Otrera głęboko odetchnęła i dopiero teraz, podczas wymuszonego, drżącego wdechu zaczęłam pojmować ogrom jej samokontroli.

– Miałam zaledwie osiem lat – wyjaśniła, z odzyskanym spokojem – ale pamiętam to dobrze. Pamiętam, że Vabu nie chciała wracać do swojego starego domu, bo wiedziała, że partyzanci go spalili. W ogóle tutaj, w Suomussalmi, panował taki strach, że wielu ludzi się wyprowadziło. Ilekroć szłyśmy do czyjegoś domu, znajdowałyśmy albo ruinę, albo mieszkających tam obcych. Przypominało to koniec świata. Moja siostra Tyyne bardzo ciężko to znosiła. „Dlaczego nie możemy iść do domu?” – pytała. – „Co oni zrobili z mamą?”

Otrera siedziała jakiś czas z zamkniętymi oczyma, jakby opowieść ją zmęczyła. Ale właśnie gdy uznałam, że powinnam zasugerować, byśmy resztę historii zostawili na później, ona podniosła powieki z iskrą nowej energii w źrenicach.

– Nie zdawałam sobie sprawy – podjęła – że przez cały czas Vabu kogoś szuka: szukała kobiety, którą poznała w szpitalu w czasie wojny zimowej, zaraz po śmierci męża. Ta kobieta, z zawodu skrzypaczka, powiedziała Vabu, że gdyby chciała zacząć wszystko od nowa, może wraz z małą Enki dołączyć do jej wędrownego cyrku, który tamtego roku zimował w Ämmänsaari. – Jakby wyczuwając nasz sceptycyzm, Otrera dodała pospiesznie: – Wiem, że to brzmi niezwykajnie, ale Vabu nie miała się do kogo zwrócić. Straciła wszystkich ludzi, których kochała, i teraz była odpowiedzialna za siedem osieroconych dziewczynek, za mnie, Tyyne i pięć innych. A ta skrzypaczka powiedziała jej, że cyrk przyjmuje młode kobiety, które nie mają dokąd pójść, i uczy je czegoś więcej niż akrobatyka.

Uczy je, jak poradzić sobie na świecie, tak by nie musiały się na nikogo zdawać.

Och, rzeczywiście, kiedy w końcu to znalazłyśmy, okazało się, że to raj! – Otrera wreszcie się uśmiechnęła, delektując się maleńką jaśniejszą częścią

przeszłości. – Konie, muzyka i przebrania... to było tak zupełnie inne życie, tak egzotyczne dla takiej małej dziewczynki jak ja. Kontorsjoniści i akrobaci umieją robić takie niewiarygodne rzeczy. Pamiętam, jak patrzyłam na nich i myślałam, jak to możliwe robić takie rzeczy ze swoim ciałem? I oczywiście – spojrzała na nas porozumiewawczo – były to same kobiety.

Wyraźnie ciesząc się naszym zaabsorbowaniem opowieścią, Otrera wstała i podeszła do piecyka dołożyć drewna. W jej krokach pojawiła się jakaś sprężystość; od tyłu, w dżinsach i butach na obcasach na pewno nie wyglądała na osiemdziesięciolatkę.

Za jej plecami spojrzałam na Nicka, ale stwierdziłam, że jest pochłonięty odgłosami dobiegającymi z głębi domu. Były to przyciszone dźwięki...

postukiwania garnków... nawet gry na pianinie... jednak wpatrywał się w drzwi prowadzące na korytarz, jakby cały czas spodziewał się zasadzki.

Otrera wróciła do nas, obróciła krzesło i usiadła normalnie. Teraz była bardziej surowa, jej emocje znowu uciekły w daleką przeszłość.

– Oczywiście wiecie, do czego zmierzam – powiedziała. – Wędrowny cyrk był bałtyckim oddziałem Amazonek.

Byłam tak poruszona, że nie mogłam się powstrzymać.

– A więc rzeczywiście jesteście Amazonkami? – krzyknęłam.

Otrera uśmiechnęła się zagadkowo.

– My też jesteśmy, tak. Od pokoleń bałtycki oddział żył jak Cyganie, nigdy się nie przywiązywał do jednego miejsca i rzadko kontaktował się z siostrami Amazonkami w innych miejscach na świecie. Wojna, oczywiście, bardzo zmieniła ich życie...

Na chwilę przerwała nam młoda kobieta w sportowym staniku, która wsunęła do środka głowę i powiedziała coś po fińsku.

– Ach, tak. – Otrera dała dziewczynie znak, by wyszła. – Ktoś chce z wami rozmawiać przed kolacją. Ale najpierw dokończę swoją historię. Jak widzicie, to Vabu Rusi przekonała bałtyckie Amazonki, czyli nasz oddział, że czas się osiedlić i pomyśleć strategicznie o naszym ewentualnym wkładzie we współczesny świat.

My, nowe pokolenie, nie chciałyśmy tylko występować za pieniądze i wdawać się w przypadkowe bijatyki. Chciałyśmy połączyć siły z innymi oddziałami Amazonek, by walczyć o wolność i bezpieczeństwo kobiet na całym świecie. Więc po zakończeniu drugiej wojny światowej zaczęłyśmy

organizować się i wzmacniać kontakty z siostrami w innych krajach.

Odniosłyśmy taki sukces w optymalizowaniu misji naszej organizacji i umożliwianiu komunikacji pomiędzy różnymi oddziałami, że dwadzieścia pięć lat temu międzynarodowa centrala Amazonek ostatecznie przeniosła się tutaj.

– Ile w sumie macie oddziałów? – spytał Nick.

Otrera pokręciła lekko głową.

– Oczywiście nie mogę zdradzić żadnych szczegółów, ale pozwolę sobie zapewnić, że mamy swoich ludzi od Alaski po Fidżi. Każdy z naszych oddziałów ma własny sposób organizacji i własną królową. Nie wierzymy w centralizację, ale musimy działać razem. Niełatwo to pogodzić. Handel żywym towarem, gwałt i inne potworności nie uznają granic ani jurysdykcji, i my też nie. Mamy jednak nadzieję, że młode kobiety żyjące w otwartych, tolerancyjnych społeczeństwach, takich jak twoje, Diano, w przyszłości będą nas potrzebować mniej. Że same staniecie się Amazonkami. Musicie się nauczyć wolności, wyszkolić w wolności. – Uśmiechnęła się cierpko. – Musicie się tylko odzwyczaić od państwa i jego fałszywej deklaracji, że was chroni. Nie łkajcie przynęty. Haczyk rozerwie wam wewnętrzności. No ale chodźcie. – Wstała i podeszła do drzwi naprzeciwko nas.

Wymieniliśmy z Nickiem zdumione spojrzenia i podążyliśmy za naszą gospodynią na drugą stronę korytarza do ogromnej biblioteki z wielkim fortepianem na środku. Stało tam też kilka kanap, a dokoła nich szczelnie zapchane półki na książki. Jediną obecną tam osobą była krótko ostrzyżona kobieta siedząca przy fortepianie, z zamkniętymi oczyma grająca melancholijną sonatę.

Była to Katherine Kent.

ROZDZIAŁ 39

*My byśmy nie mogły żyć z waszymi kobietami, bo nie mamy tych samych co one zwyczajów. My strzelamy z łuku, rzucamy pociski i jeździmy konno; wasze zaś kobiety nie czynią nic z tego, cośmy wymieniły, tylko wykonują roboty kobiece.*²³

HERODOT, *Dzieje*

Zaskoczona widokiem swojej oksfordzkiej mentorki tu, w tym niezwykłym miejscu na odludziu, czekałam w milczeniu, aż skończy utwór. Zdałam sobie sprawę, że najbardziej mną wstrząsnęła nie sama obecność Katherine tutaj, wśród Amazonek, lecz jej intymny sposób gry na fortepianie. Dotykała klawiszy, jakby były wrażliwymi częściami ludzkiej istoty. Nigdy jej nie podejrzewałam o taką subtelność.

Gdy wreszcie położyła ręce na kolanach, siedziała kilka minut z pochyloną głową, po czym podniosła na mnie wzrok ze smutnym uśmiechem.

– Bardzo się starałam uniknąć tej chwili. Ale nie doceniałam cię.

Gdzieś w głębi poczułam nadchodzący grzmot gniewu.

– Jak przystało na kogoś, kto rzadko się myli w kwestii ludzi czy czegokolwiek, na pewno sama wybrałaś odpowiedni moment.

Katherine wstała powoli.

– Uważałam, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli nie będziesz wiedziała. Wiedza może być niebezpieczna...

– Nie tak niebezpieczna jak niewiedza.

Otrera stanęła między nami.

– Diano, musisz zrozumieć, że to była dla nas trudna sytuacja. Mamy sztywne reguły, które zakazują nam rozmawiania z kimkolwiek o tym, kim jesteśmy, zwłaszcza przez telefon. W tych okolicznościach Katherine zrobiła to, co uznała za słuszne: uważnie śledziła rozwój sytuacji, niczego nie ujawniając.

Pamiętaj, że nie wiedziałyśmy o zeszycie twojej babci, dopóki nie

spotkałaś się w Kalkriese z doktor Jäger. Nigdy nie powiedziałaś Katherine, jak zdołałaś odczytać napisy w algierskiej świątyni w ciągu zaledwie pięciu dni. Była przerażona, że nasz tajemny język można tak łatwo przetłumaczyć na angielski.

Nick położył rękę na moim ramieniu, jakby chciał upomnieć się o swoje prawa do dorzucenia trzech groszy.

– Więc postanowiłyście wysadzić świątynię – powiedział z goryczą – i przy okazji pozbyć się nas obojga.

– Nie! – zagrzmiała Otrera, patrząc na niego z wyrzutem. – Akcję przeprowadził oddział północnoafrykański. Na pewno nie wiedziały, że jesteście na dole. Specjalnie wysłały ostrzeżenie o podłożeniu bomby, żeby najpierw wszystkich ewakuowano.

Katherine wyszła z za fortepianu. Wydawała mi się teraz mniejsza niż zawsze, nie budziła takiej grozy, wydawała się bardziej ludzka.

– Zawsze wiedziałyśmy, że świątynia tam jest – powiedziała – i byliśmy czujne, odkąd al-Aqrab ją odkrył. Ale dopiero kiedy mi zostawiłaś wiadomość o odczytaniu napisów, zrozumiłyśmy, jakim zagrożeniem jest dla nas ta budowla.

– Szukała na mojej twarzy oznak zrozumienia, może nawet wybaczenia. – Jeśli to jakieś pocieszenie, świątynia nadal tam jest. Tylko że pełna piasku. – Podeszła do mnie i pomyślałam, że wyciągnie rękę i mnie dotknie. – Nie zamierzałyśmy cię skrzywdzić, ale trzeba było cię powstrzymać. Nieświadomie pomagałaś Reznikowi.

Później, po tym jak jego ludzie ukradli ci na Krecie laptop, musiałyśmy go odzyskać, na wypadek gdyby znajdował się w nim klucz do odczytania naszego języka... tak jak musiałyśmy uniemożliwić ci korzystanie z telefonu, ponieważ dzięki niemu Reznik cię śledził. Po Nauplionie byłam pewna, że się poddasz i wrócisz do domu. Ale jak powiedziałam – uśmiechnęła się i zobaczyłam w jej oczach rzadko obecny błysk podziwu – nie doceniałam cię.

– Przepraszam, że powiem coś oczywistego – wtrącił się Nick – ale dlaczego nie zmieniacie sposobu komunikacji? Starożytne symbole, papierowe broszury, żadnych komórek... to wszystko trąci amatorszczyzną. Nie czas przejść na coś cyfrowego?

Otrera wyprostowała się zirytowana. Na wysokim obcasach dorównywała mi wzrostem, a wiek najwyraźniej ani trochę nie zaszkodził jej autorytetowi.

– Kontaktujemy się w ten sposób od czasów Gutenberga. Sami widzieliście, z jakim zagrożeniem wiąże się używanie telefonu. Jeśli chcesz przeżyć, zwłaszcza teraz, w dobie nadzoru od kołyski po grób, musisz być analogowy. Niech mi pan nie mówi, że nie jest świadom faktu, że wasz rząd bezprawnie nadzoruje komunikację cyfrową. – Nozdrza Otrery się rozděły, a potem rozłożyła ramiona, jakby chciała nam uświadomić obecność tego pokoju z jego zabytkowymi lampami i zniszczonymi tomami. – Te drukowane książki – podjęła – nie wspominając o samochodach sprzed ery komputerów i starych zegarkach kieszonkowych, przetrwają wieki. Wiele razy bezmyślny pęd do modernizowania podsuwał lepsze metody. Że nie wspomnę o takiej możliwości, że impuls elektromagnetyczny może usmażyć wszystkie obwody elektryczne i spowodować, że każda osoba poniżej dwudziestego piątego roku życia będzie szaleć i ślinić się w domu wiariatów, całkowicie odcięta od jedyne go świata, jaki zna. – Otrera z obrzydzeniem otaksowała Nicka wzrokiem, jakby miała na myśli jego osobiście. – Nie, mniejsza o nadchodzącą apokalipsę, o której większość ludzi w ogóle nie myśli, ale niech pan sobie postawi takie pytanie: Kto jest bardziej amatorski, bardziej bezbronny – ci, co się zdają na maszyny, które trzeba podłączać do prądu albo się do nich logować, albo w jakiś inny sposób połączyć, by stały się czymś więcej niż bezużytecznym kawałkiem plastiku... czy ci, którzy nauczyli się żyć bez nich?

Otrera przerwała, by spojrzeć na nas oboje znacząco. Mimo wszystko wyraźnie się cieszyła, że ma okazję podzielić się swoimi poglądami, i podjęła po chwili, szybko wyrzucając słowa: – Przyjechaliście szukać nowoczesnej fortecy z maszynami, skanerami spojówki w każdych drzwiach, prawda? Jakiejś pentagońskiej kryjówki z ludźmi w pomarańczowych kombinezonach jeżdżącymi dokoła w wózkach golfowych? – Wygięła usta w przewrotnym uśmiechu. – No cóż, przykro mi, ale nie prowadzimy szablonowego tajnego stowarzyszenia zgodnego z wyobrażeniami mężczyzn. My tu rąbiemy drewno, by się ogrzać. Jeśli pan sądzi, że to amatorszczyzna, mogę panu powiedzieć tylko jedno: jest pan bardziej bezbronny, niż sądzi.

W tym momencie Katherine poruszyła się niecierpliwie i powiedziała do mnie i do Nicka: – Oczywiście nieustannie staramy się ulepszać nasz system, i niedługo katalogi będą przeżytkiem. Od jakiegoś czasu zespół do spraw

komunikacji pracuje nad nowym systemem...

– Gołębie pocztowe? – podsunął Nick.

Otrera zmrużyła oczy.

– Śmiech ignoranta. Owszem, używamy gołębi pocztowych do komunikacji, ale tylko wewnętrznej, w obrębie regionu.

– Ale rzecz w tym – podjęła Katherine, z irytacją zaciskając wargi – że ostatnie kilka tygodni było dla nas katastrofalne. Jeśli Reznik czy jemu podobni położą łapę na naszych sklasyfikowanych okólnikach i na środkach do ich odszyfrowania, zdołają udokumentować naszą działalność w przeszłości i prawdopodobnie przewidzieć nasze przyszłe ruchy. Gdy nasz elitarny zespół włamał się do domu Reznika, by wykraść twój laptop, Diano, znalazł na jego biurku kolekcję naszych wewnętrznych publikacji. To potwierdziło nasze podejrzenia, że rzeczywiście zdołał dotrzeć do naszych kanałów komunikacyjnych.

– Katherine spojrzała na mnie ponuro. – Jedyne, czego potrzebuje, to twój zeszyt, i wtedy będzie miał wszystko, by odszyfrować nasze rozmowy.

– Tamtej nocy po przyjęciu u Reznika – powiedziałam – kiedy wasze blond cudowne dziecko wabiło mnie na portfel i paszport, co by się stało, gdybym poszła dalej? To była pułapka?

Otrera i Katherine wymieniły spojrzenia. W końcu ta pierwsza odpowiedziała wymijająco: – Naszym celem było bezpieczne odstawienie cię do Oksfordu jak najszybciej.

– A co z doktor Jäger w Kalkriese? – pytałam dalej. – Dlaczego nie była ze mną szczerą i nie wyjaśniła tego wszystkiego? Czy miała może nadzieję, że mnie zabije?

Znałam Katherine na tyle, by wiedzieć, kiedy się skręca z zakłopotania.

– Kyme mieszka w tym domu całe życie. Zrobi wszystko, by to się nie zmieniło. Miała nadzieję, że po prostu pojedziesz do Oksfordu i zostawisz wyjaśnianie sprawy mnie...

– I może tak by się stało – zauważyłam – gdybym zdołała się z tobą skontaktować. Ale twój telefon...

– Jest odłączony. Tak. – Katherine zniecierpliwiona wzniosła oczy do nieba.

– Przecież nie mogłam ryzykować, że do mnie zadzwonisz i zaczniesz zadawać pytania. To by mnie zdekonspirowało.

Potrząsnęłam głową.

– Kyme mogła chociaż dać mi jakąś wskazówkę, że jest po mojej stronie.

– Wierz mi, była strasznie nieszczęśliwa, gdy ją powiadomiłyśmy, że śledzą cię cyngle Reznika, i kazałyśmy jej nie wypuszczać cię, dopóki oni nie zostaną unieszkodliwieni. Gdybyś nie uciekła, wszystko by się ułożyło, a nasz niemiecki oddział nie... – Zerknęła na twarz Nicka.

– Nie złamałby mi nosa? – podsunął.

– Właśnie. – Katherine cofnęła się o krok. – Nasz niemiecki oddział nie miał o tobie informacji. Pojawiły się ratować Dianę i nie zdawały sobie sprawy... – Obejrzała się na Otrere, nagle wzburzona.

Dźwięk staromodnego dzwonu przerwał niezręczny moment.

– Kolacja! – powiedziała Otrera z wyraźną ulgą.

Nick ani drgnął.

– Dlaczego nas tu dzisiaj zaprosiłyście? – spytał. – Jakoś nie słyszę przeprosin.

Otrera posłała mu spojrzenie, pod którym niejeden by się wzdrygnął.

– Jeszcze nigdy nie zaprosiłyśmy do tego domu mężczyzny. Ty jesteś pierwszy. Miej to na uwadze, Niccolo.

Nick drgnął na dźwięk swojego prawdziwego imienia, ale Otrera tylko odwróciła się do mnie i powiedziała z wyniosłą dobrotliwością wszechmocnego despoty: – Zeszyt twojej babci. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że chciałybyśmy, by został tu z nami.

Poczułam rozczarowanie. Od chwili przybycia czekałam, aż wypłynie temat babci. Nie chciałam naciskać, zaczekałam, aż Otrera przejdzie przez przeszłość własnym tempem. Teraz, niestety, wyglądało na to, że jedyną jej troską pozostał zeszyt. Nadszedł czas, by uznać, że moja infantylna nadzieja na spotkanie dzisiaj z babcią była właśnie infantylna.

– Rozumiem – odparła. – Ale Reznik postawił mi ultimatum. Jeśli nie oddam zeszytu jemu, dopadnie ludzi, których kocham. I tak się składa – wyjęłam z torebki zniszczony dokument i podałam go Otrerze – że ten zeszyt nie jest już słownikiem waszego języka. Jedyna wiadomość, która się w nim ostała, to „Suomussalmi Vabu Rusi”, a ponieważ Reznik już wie, że tu jesteśmy, nie ma sensu tego zeszytu przed nim ukrywać. Niemniej, jeśli zobaczy, że jest on tak kompletnie bezużyteczny, będzie na mnie wściekły bez względu na to, czy dam mu go czy nie.

Otrera wertowała zeszyt ze zmarszczonymi brwiami.

– To niepokojące wieści. Nie wiedziałam, że postawił ci ultimatum ani że wie, iż tu jesteście. – Podniosła na nas wzrok. – Skąd macie te informacje?

– Stąd, że dzisiaj wieczorem śledziły nas dwa samochody – odrzekł Nick. – Zdołaliśmy się ich pozbyć, ale one gdzieś tam są i nas szukają.

– Rozumiem. – Otrera podała zeszyt Katherine. – To zmienia sytuację.

Przykro mi, nie mamy już czasu na kolację.

Jadalnia znajdowała się na tyłach domu i w przeciwieństwie do salonu i pustej biblioteki było w niej ciepło i tłoczno. Głównym meblem był długi stół, taki jak w holu jadalnym w Oksfordzie, z miejscem na co najmniej pięćdziesiąt osób usadzonych na drewnianych ławach po każdej stronie. Przy najdalszym końcu stołu umieszczono coś w rodzaju tronu ze zdobnie rzeźbionym oparciem.

– Normalnie w domu jest pełno ludzi – wyjaśniła Otrera, zamykając za nami drzwi – ale z powodu dwóch osobnych zagrożeń po rosyjskiej stronie, a także opóźnień na lotnisku Arlanda, jest nas tu dzisiaj tylko garstka. To są nasze uczennice. – Prowadząc nas przez całe pomieszczenie, Orlanda wskazała nieustanny strumień młodych kobiet niosących z pobliskiej kuchni parujące półmiski i naręcza drewna. – Co roku ratujemy tysiące dziewcząt i niektóre z nich decydują się zostać z nami. W tej chwili mamy czterysta uczennic na całym świecie podzielonych na poszczególne oddziały.

Wskazała patykowatą młodą kobietę ubraną w dżinsowy kombinezon i z dumą kiwnęła jej głową.

– To jest Lilli. Jako siedmiolatka została uprowadzona z domu dziecka w Estonii i sprzedana do domu publicznego. Ale uratowałyśmy ją, tak jak wiele innych. Mam nadzieję, że jej wybaczycie. – Otrera spojrzała na nas znacząco przez ramię. – Lilli jest gwałtowna, ale ma dobre zamiary. Szkolimy ją na naszą następną królową i dlatego od czasu do czasu wysyłamy ją na misje poza region. – Może zdając sobie sprawę, że ujawniła więcej, niż powinna, Otrera ściągnęła brwi i dodała: – Królowa jest naszą najbardziej narażoną agentką, to ona podejmuje największe ryzyko. Pierwsza na placu boju, ostatnia się wycofuje. Gdyby wszystkie narody były wierne tej zasadzie, gwarantuję, że mielibyśmy na świecie o wiele mniej wojen. Spójrzcie na Lilli. – Otrera raz jeszcze ruchem głowy wskazała młodą kobietę. – Nie szkolimy jej, by się chowała w klimatyzowanym bunkrze i prowadziła swoich

żołnierzy za pomocą guzików. Nigdy nie wypowie wojny, by oderwać naszą uwagę od własnych fuszerek. Nie wyśle też swoich sióstr do bitwy z niedostatecznym wyposażeniem, bo jeśli coś się nie uda, zginie jako pierwsza.

Zdumiona długim żarliwym wstępem, przyjrzałam się Lilli uważniej. Na głowie miała czerwoną bandanę, spod której zwisały dwa blond warkocze. Dopiero gdy rzuciła mi ukradkowe spojrzenie z drugiego końca pomieszczenia, rozpoznałam ją.

– To ona! – szepnęłam do Nicka. – Mysz, która mnie wabiła w Stambule.

Złodziejka na rolkach z Nauplionu!

– Pitana! Pentezylea! – Otrera ruszyła niecierpliwie w stronę czterech kobiet stojących u szczytu stołu i rozmawiających nad miską orzechów. – Musimy działać. Reznik nadchodzi.

Kobiety odwróciły się do nas, patrząc podejrzliwie. Nie były wyższe ode mnie, ale coś w ich budowie, w posturze zdradzało nadzwyczajną wewnętrzną siłę.

Jedna miała buty do kolan i zamszową kurtkę. Na opalonej twarzy rzucała się w oczy blada blizna przecinająca lewy łuk brwiowy. Druga była ubrana cała na czarno, a jej wysportowane ciało opinały skórzane spodnie i obcisły golf. Kontrast pomiędzy jej ciemnym młodzieńczym ciałem a dumną linią siwizny na skroni był uderzający. Mogła przecież farbować włosy i uchodzić za kobietę w moim wieku, ale takie sztuczki najwyraźniej były obce Amazonkom.

Cała czwórka nosiła się z pewnością siebie kobiet w świetnej kondycji fizycznej, i ich widok wzbudził we mnie emocje, których nie czułam, odkąd podróżowałam z babcią przez świat Amazonek w fantazyjnych rysunkach i przejmujących opowieściach. Te emocje tak silnie się łączyły z prawdziwymi wspomnieniami z dzieciństwa, że mogłam niemal sobie przypomnieć prawdziwe zapachy i dźwięki złotego królestwa stukoczących kopyt i pędzących rydwanów.

Otrera pominęła wstęp i szybko przedstawiła sytuację. Na koniec powiedziała: – Zakładamy, że to Reznik, ale nie mamy dowodów.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Najwyraźniej wiadomości je poruszyły, ale w ich milczeniu było coś jeszcze. Widziałam po ich oczach, że są wściekłe, ale nie tylko na nas, lecz także na Otrerę. Zdałam sobie sprawę, że dla nich

jesteśmy tu niepożądanymi gośćmi. Prawdopodobnie były przeciwne zapraszaniu nas, a teraz okazuje się, że miały rację.

– Dziwię się, że nie wiedziałyście, że Reznik tu jest – powiedział Nick, niezrażony chłodnym przyjęciem. – Obserwowałyście nas cały dzień. – Spojrzał na nie po kolei. – Która z was prowadziła KTM? Czy tutaj zimą taka maszyna nie przyciąga nadmiernej uwagi?

Jego bezczelne zachowanie jeszcze bardziej rozzłościło kobiety. W końcu ta w czarnym golfie powiedziała z ciężkim słowiańskim akcentem: – Finowie nie boją się silnych kobiet. Tylko słabi mężczyźni chcą, żeby kobiety były słabe. A ty? – Spojrzeniem ciemnych oczu otaksowała ciało Nicka, zatrzymując się na znaczniejszych mięśniach. – Boisz się kobiety, która może skopać ci tyłek?

– Wolałbym, żebyś skopała tyłek komuś innemu – odparł. – Nie ma ludzi, którzy bardziej na to zasługują? – Posłał mi przejmujące spojrzenie, które mówiło: lepiej tych pań bardziej nie prowokować.

– Możesz myśleć, że jesteśmy buntowniczkami, dzikuskami – powiedziała kobieta z blizną na łuku brwiowym. Mówiła wyzywająco, z melodyjnym szwedzkim akcentem. – Ale prawda jest taka, że to my jesteśmy prawem. Nie jęczącym, neutralizującym, bezsilnym prawem siedzącym w wielkich tomiszczach na niby-mahoniowych półkach, ale prawem, które żyje w ludzkich sercach.

Prawem, które mówi, że złych ludzi trzeba karać. Prawem, które mówi, że siła nie idzie przed prawem i że mordercy i gwałciciele nie mogą chodzić na wolności.

– Niektórzy policjanci – przerwała kobieta w czerni – modlą się, byśmy znalazły gada, zanim oni to zrobią. – Zmrużyła oczy w przerażającym uśmiechu. – My nie zwalniamy warunkowo. I nie spowalnia nas gigantyczna, żarłoczna biurokracja.

– Jestem cały za ograniczeniem władzy państwa – powiedział Nick – ale czy nie boicie się, że wasza samozwańcza sprawiedliwość pochłonie paru niewinnych?

Na to wreszcie wtrąciła się Otrera, mówiąc z nieugiętą stanowczością: – Może popełniamy błędy, ale nie takie. Ci, którzy gwałcą cudze prawa, tracą swoje. Ale teraz nie czas na rozważania polityczne. Pitana. – Spojrzała uważnie na kobietę z blizną. – Potrzebny nam plan.

– Szkoda – odezwał się Nick, ignorując zniecierpliwienie Otrery – że dzisiaj brakuje tylu osób. – Ruchem głowy wskazał tron u szczytu długiego stołu. – Kto tam zasiada? Wasza królowa? Ciekawe, jak ma na imię? – Przyglądał się Amazonkom uważnie. – Myrina?

Po jego słowach zapadła cisza tak głęboka, że niemal słyszałam, jak na górze zamykają się szuflady.

– Chodźcie! – Otrera stanowczo chwyciła za ramię Nicka i mnie. – Coś wam pokażę. Katherine, zostań tutaj.

Gdy odchodziliśmy, Otrera pokręciła głową i powiedziała: – Niełatwo nam otwierać dom dla obcych.

Widziałam, jak Nick się krzywi.

– A my jesteśmy obcy?

Otrera popatrzyła na niego uważnie.

– Twój ojciec po odejściu z Oksfordu zmienił nazwisko. Nie miałyśmy pojęcia, kim jesteś. – Przerwała, by przeprowadzić nas przez tylne drzwi ze staromodnym rygłem. – Dopiero po maskaradzie u Reznika zaczęłyśmy podejrzewać prawdę. Ktoś zauważył cię w tłumie i pomyślał, że wyglądasz...

W krótkiej ciszy po niedokończonym zdaniu Otrery przypomniałam sobie kobietę kota, która patrzyła na mnie z niewytłumaczalną nienawiścią w łazience Reznika, a która później – według słów Nicka – wzięła udział we włamaniu. Nawet wtedy, w tym całym zamęcie, który się rozpełtał dokoła mnie, jej ciemne, przenikliwe oczy wydały mi się znajome. Teraz wreszcie mi zaświtało, gdzie je widziałam. Były to oczy mężczyzny, który siedł tuż za mną.

– Ale i tak wasze agentki pobiły mnie w hotelu Idingshof – zauważył Nick, gdy podążaliśmy za Otrerą ciemnym, śmierdzącym stęchlizną korytarzem zawieszonym odzieżą wierzchnią i obuwiem.

Otrera włączyła światło.

– Nasz niemiecki oddział jest bardzo skuteczny. Zrobiły to, co uznały za konieczne. Potem w każdym razie wiedziałyśmy, kim jesteś.

– Skąd? Bo biłem się jak mój ojciec?

Otrera zaczęła schodzić wąskimi piwnicznymi schodami.

– Jak sądzisz? – rzuciła przez ramię. – Mamy laboratorium. Trzeba im tylko dostarczyć kroplę krwi.

– To na pewno nie było trudne. – Nick wyprzedził mnie i podążył zaraz za

nią w dół schodami, najwyraźniej nie dzielając moich obaw co do eksplorowania podziemia. – I potem co? Macie moje DNA, wiecie, kim są moi rodzice. Co dalej?

Pokażecie mi karton z moimi starymi misiami? To właśnie się robi na dole?

Zamiast odpowiedzieć, Otrera dalej prowadziła nas przez wąskie piwniczne magazyny z włóczyniami, łukami, toporami i butami zimowymi, albo wiszącymi na ścianach, albo opartymi o nie. Gdy mijaliśmy drzwi trochę uchylone, oboje z Nickiem zatrzymaliśmy się, by zajrzeć do środka. Wszystkie ściany tamtego pomieszczenia były pokryte ekranami telewizyjnymi, a na każdym leciał inny serwis wiadomości. O dziwo, jedynym dźwiękiem dochodzącym z tego pokoju i jego burzy migających obrazów był rytmiczny trucht postawnej kobiety biegnącej na bieżni ze słuchawkami na uszach, uważnie obserwującej zmieniające się ekrany.

Otrera zauważyła, że zgubiła swój orszak, i wróciła do nas z wymuszonym uśmiechem.

– Oczywiście musimy wiedzieć, co się dzieje – wyjaśniła, głównie zwracając się do Nicka. – Ale nie mamy w tym domu komputerów podłączonych do sieci.

Nasz zespół researchowy jest w stu procentach mobilny i korzysta wyłącznie z przypadkowych kawiarenek internetowych. Ale chodźcie ze mną, proszę. Nie mamy dużo czasu.

Ruszyliśmy dalej i Otrera wyjęła wielki klucz z kieszeni spodni, i stanęła na końcu zbrojowni, by otworzyć potężne drzwi.

– To nasze sanktuarium – powiedziała, pchając drzwi ramieniem i włączając w środku światło.

Weszliśmy za nią do ogromnego, słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym panowała temperatura jak w grobowcu – ogóle wrażenie było podobne.

Jedyne światło pochodziło z oświetlonych półek na ścianach, a ciemność w pozostałej części sanktuarium wydawała się tak wszechogarniająca, że dopiero po chwili się zorientowałam, że na środku kamiennej podłogi stoi ogromna opancerzona skrzynia. Szeroka na co najmniej półtora metra i głęboka na prawie metr, była zamknięta na kłódkę, sądząc z wyglądu, średniowieczną, i chociaż Otrera niecierpliwie machała na nas ręką, i

Nickowi, i mnie bardzo ciężko było oderwać od niej oczy.

– Co w niej jest? – spytał Nick. – Skarb Amazonek?

Widząc, że nie zdoła nas odciągnąć od zagadkowej skrzyni, Otrera wróciła do nas, obejmując się rękoma w obronie przed zimnem.

– Nie to, co myślicie. – Spojrzała na nas z przejęciem, niemal nerwowo. – To nie jest złoto.

Serce mi załomotało.

– Ale to jest skarb króla Priama?

Zawahała się.

– Tak uważamy. – Położyła dłoń na pokrywie kufra, jakby chciała się upewnić, czy jest zamknięty. – Tylko królowa ma klucz.

Chociaż widziałam, że temat jest dla niej niewygodny, nie mogłam odejść.

Oto ja, wierna wyznawczyni Amazonek, stałam na wyciągnięcie ręki od skarbu, który nawet ja uważałam za legendę... To było zbyt cudowne. Tak więc kiwnęłam głową i powiedziałam do Otrery: – Rozumiem. Ale jednocześnie muszę poruszyć kwestię strzeżenia historii w ten sposób. Zakładając, że król Priam rzeczywiście powierzył Amazonkom najcenniejsze artefakty trojańskiej cywilizacji... cóż, dlaczego to zrobił? Pewnie chciał zadbać, żeby nie zostały zniszczone. I był mądry. Grecy unicestwili Trojan tak całkowicie, że nawet nie mamy pewności, jakim językiem się posługiwali. Po dziś dzień istota trojańskiej cywilizacji jest jedną z największych zagadek świata starożytnego. Wręcz przez całe wieki naukowcy uważali, że Troja i wojna trojańska to tylko mity. Czy to właśnie król Priam miał na myśli, gdy poprosił Amazonki, by strzegły jego skarbu? Żeby jego królestwo wymazano z historii na trzy tysiące lat? Nie! – Uderzyłam dłonią w wieko kufra i zauważyłam, że Otrera podskakuje na ten dźwięk. – Jestem pewna, że jego najgorętszym życzeniem było, by świat te wszystkie rzeczy poznał. Bo jeśli mają sobie gnić w zamarzniętej piwnicy gdzieś na końcu świata, to lepiej by było, gdyby je zniszczyli ci cholerni Grecy!

Otrera wzdrygnęła się na mój krzyk, po czym odpowiedziała sztywno: – Nie zapraszałam was tu na dół, by omawiać kwestię mitologii. Jak widzicie, to jest miejsce wspomnień i refleksji. – Wskazała ręką oświetlone półki dokoła nas, i dopiero wtedy zauważyłam, że stojącymi na nich przedmiotami są brązowe urny różnej wielkości i kształtu. – Tu spoczywa Vabu Rusi i

wszystkie jej dziewczęta. Ja jestem ostatnia. Chodźcie. – Wzięła mnie za łokieć i podprowadziła do jednej z półek, na której stało siedem urn. Na ścianie za nimi wisiało oprawione czarno-białe zdjęcie posępnej damy siedzącej w fotelu w otoczeniu siedmiu młodych kobiet.

– Zobacz. – Otrera wskazała dziewczynę na zdjęciu. – Rozpoznajesz tego aniołka?

Przysunęłam się bliżej, spodziewając się, że tą dziewczynką jest sama Otrera. Tymczasem zobaczyłam twarz, której pogodne oczy rozpoznałam od razu.

– Moja siostra Tyyne – powiedziała Otrera. – Była twoją babcią.

Ta wiadomość okazała się dla mnie takim wstrząsem, że nie mogłam powstrzymać łez. Nie chodziło dokładnie o zdjęcie ani o fakt, że z tego powodu Otrera nas tu zaprosiła... Przede wszystkim poczułam nieoczekiwany ciężar nieodwracalności. Babcia nie żyła. Podejrzewałam to od chwili, gdy dostałam pocztą bransoletę, ale teraz miałam pewność. Tu stała urna z jej prochami.

Dotknęłam jej z ogromnym poczuciem straty.

Przytłoczona, chciałam objąć Otrerę i podziękować jej za tę chwilę.

Ubiegłszy mnie, wsunęła dłoń do kieszeni spodni, wyjęła niewielką zaklejoną kopertę i podała ją mnie, jakby chciała w ten sposób nie dopuścić, bym się do niej zbliżyła.

– Weź to! – powiedziała, najwyraźniej spiesząc się, by domknąć transakcję.

– Pisanie do ludzi z zewnątrz jest niezgodne z naszymi zasadami. Ale Tyyne, czy też Kara, jak ją tu nazywałyśmy, lubiła łamać zasady. Kazała mi przysiąc, że jeśli kiedykolwiek przyjedziesz do Suomussalmi, szukając jej, przywitam cię jak rodzinę i dam ci ten list.

Nick objął mnie w geście pokrzepienia, może wyczuwając, jaka jestem przytłoczona.

– Nazwałaś nas obcymi – powiedział – ale jesteśmy waszymi krewnymi, nawet jeśli nie myślicie o nas w ten sposób. Muszą być inni tacy jak my, zwłaszcza mężczyźni tacy jak ja, dzieci płci męskiej, którzy próbują was odszukać.

Otrera pokręciła głową.

– To niezwykle rzadkie, by któraś z nas obcowała z mężczyzną. Nikt nie

chce ryzykować, że urodzi chłopca i będzie musiał dokonać straszliwego wyboru pomiędzy dzieckiem a siostrami. Ale czasami natura bierze górę. –

Uśmiechnęła się do nas, jakby chciała powiedzieć, że rozumie siłę romantycznych uczuć, nawet jeśli sama przez całe życie jej nie uległa. Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. – A właśnie, coś mi się przypomniało. – Wyciągnęła do mnie dłoń. – Bransoleta.

Tyney ci ją dała, a zatem należy do ciebie. Ale nie chciała, żebyś ją nosiła jak biżuterię. Ona symbolizuje pakt, Diano, towarzyszą jej reguły i obowiązki. Twoja należy do oryginalnych szakali z brązu. Zostało ich tylko kilka. Niektóre z nas noszą bransolety z żelaza lub ze srebra, a niektóre repliki z brązu, coraz częściej rezygnujemy z metalu. Dzisiaj większość młodszych agentek decyduje się na piętno albo tatuaż. Królowa ciągle nosi szakala z brązu, ale zdejmuje bransoletę na czas misji. – Otrera spojrzała znacząco na Nicka. – W każdym razie teraz tak robi.

Kiedy poznał ją twój ojciec, była jeszcze w terminie i zawsze nosiła bransoletę.

Domyślam się, że to ją zdradziło.

Poczułam, jak ramię Nicka się napięło.

– Poprawka: jej nic nie zdradziło, to ona zdradziła mnie. Czy to część testu na królową? Przedłożyć siostry nad dziecko? Myrina najwyraźniej zdała z wyróżnieniem.

Cierpliwość Otrery się skończyła. Kobieta odwróciła się do mnie z groźną miną.

– Poproszę. – Wzięła mnie za ramię, podciągnęła mi rękaw i jednym wprawnym ruchem zdjęła szakala z mojego nadgarstka. Potem podała mi go, z powagą kiwnąwszy głową. – Gdybyś kiedykolwiek chciała znowu ją włożyć, skontaktuj się z Katherine Kent.

W sumie nie wiedziałam, co zrobić z bransoletą.

– Myślisz, że tego chciała moja babcia? – spytałam. – Żebym została jedną z was?

Otrera posłała mi tajemnicze spojrzenie z ukosa i ruszyła z powrotem do wyjścia.

– Nie wiem. Jak powiedziałam, Tyney lubiła łamać zasady. A kiedy wróciła do nas po tych wszystkich latach, była przerażona. Ale i tak była najlepszą nauczycielką, jaką kiedykolwiek miały nasze dziewczęta. Nieprzewidywalną,

owszem. – Otrera uśmiechnęła się do mnie przez ramię. – Tobie tego na pewno nie muszę mówić, Diano. Była genialną nauczycielką i powinnaś wiedzieć, że jej ostatnie lata z nami były bardzo pracowite i bardzo satysfakcjonujące.

– Jak umarła? – spytałam.

Stanęła, by spojrzeć na mnie z całym uśmiechem.

– Tak jak zawsze chciała: jadąc na koniu.

– Mówiła o mnie cokolwiek?

Otrera znowu ruszyła do wyjścia.

– Nieustannie. Ale przeczytaj list. A kiedy go przeczytasz, zniszcz go, proszę.

– Zaczekaj! – powiedział Nick. – A co ze mną? Nie dostanę listu?

Otrera stanęła i pociągnęła ciężkie drzwi.

– Ludzkie serca to skomplikowane, nieprzewidywalne mechanizmy.

– Ona tu jest, prawda? – Spojrzał na dom ponad nami. – Dlaczego nie chce mnie poznać? Czy szlachetnej królowej Myrinie zawadza przeszłość?

Opierając się o otwarte drzwi, Otrera odwróciła się, by na niego spojrzeć, na jej twarzy widziałam współczucie i srogość.

– To, co zrobiła twojemu ojcu, nie było gorsze od rzeczy, które mężczyźni robią kobietom od początku świata. Ciesz się, że zostawiła cię przy życiu. – I z tymi słowy wyłączyła światło i czekała, aż dołączymy do niej na schodach. – Oczyszćcie umysł. Musimy się przygotować do bitwy.

Pozostałe wciąż siedziały w jadalni. Gdy tylko weszliśmy, podeszła do nas Pitana. W swoich wysokich butach i z blizną na brwi wyglądała jak herszt piratów.

– Coś nowego? – spytała Otrera.

Pitana w odpowiedzi krótko kiwnęła głową.

– Awarie i opóźnienia. Do rana nikt z zespołu do nas nie dotrze. Jeśli Reznik przyjdzie dzisiejszej nocy, nie możemy go zaatakować bezpośrednio, dopóki się nie dowiemy, czym dysponuje.

– Akurat dzisiejszej nocy – Otrera westchnęła głęboko. – Więc jaki mamy plan?

Pitana odwróciła się do Słowianki w czerni, która wcześniej szydziła z Nicka.

– Pen?

Pentezylea wystąpiła do przodu, patrząc wyzywająco.

– To zależy od tej dwójki – powiedziała, patrząc to na Nicka, to na mnie z ostrożnym wyczekiwaniem – i czy są skłonni walczyć u naszego boku.

ROZDZIAŁ 40

A w sprawiedliwy sąd boży nie wierzysz?²⁴

EURYPIDES, *Andromacha*

Odjechaliśmy spod domu wstrząśnięci i milczący. To wszystko było takie nowe, takie oszalamiające. Tylko dwie rzeczy były pewne: babcia miała nadzieję, że kiedyś ją odnajdę, i odnalazłam. Nie mogłam się doczekać, aż otworzę list, który mi zostawiła, a jednocześnie trochę się bałam, jakie emocje może on rozpętać.

– Nie bądź smutna – powiedział Nick, obejmując mnie. – Ona by chciała, żebyś była szczęśliwa. Zdołała wrócić do domu dzięki twoim oszczędnościom ze świnki.

Wytarłam oczy.

– Szkoda tylko, że nie wiedziałam... zamiast się tak na nią złościć cały czas.

Kiedy mówiła o mężczyznach w zielonych ubraniach, nie miała na myśli lekarzy, tylko rosyjskich partyzantów, morderców. Ależ ona musiała mieć potworne wspomnienia...

– Ale jak to dobrze, że miała też ciebie. Dałaś jej szczęśliwy kawałek świata, w którym mogła się na jakiś czas ukryć przed tym wszystkim.

Za szybami samochodu śnieg padał na milczący las, wtaczał się na nas kłębami w bladym świetle reflektorów. Wszystko wydawało się złowieszcze i nierzeczywiste. Znaleźliśmy Amazonki, a ja wreszcie poznałam prawdę o babci, ale jakim kosztem?

– A ty? – Spojrzałam na profil Nicka w niebieskiej poświacie z deski rozdzielczej. – Jak się czujesz?

– Będzie dobrze – odparł bez przekonania. – Kiedy już to wszystko się skończy.

Nagle zauważyliśmy nieruchomy ciemny kształt blokujący drogę przed nami. Ciężarówka dostawcza. Zwalniając, Nick zmienił światła, by lepiej widzieć, ale śnieg padał tak gęsty, że tylko nas oślepiły.

– No to już – powiedział ponuro, zatrzymując się z poślizgiem na oblodzonej drodze. – Gotowa?

Z chwili na chwilę wypełniał mnie coraz większy, mdlący strach. A potem nagle zostaliśmy zalani blaskiem – oślepiające jasne snopy światła z dwóch innych samochodów nadjeżdżających za naszym. Uniemożliwiły nam zawrócenie.

– Błagam. – Nick odwrócił się do mnie, jego rysy twarzy zniekształciło bezwzględne światło. – Nie prowokuj ich. Graj swoją rolę.

Gdy tylko wysiedliśmy z samochodu, z tamtych pojazdów wytoczyło się kilkunastu mężczyzn w czarnych kombinezonach bojowych. Szybko nas otoczyli.

Połowa z nich mierzyła do nas z broni. Pozostali niejako nie musieli, bo wyraz ich twarzy był zimny i twardy jak broń.

– Jak miło – powiedział Reznik, swobodnym krokiem wychodząc z cienia.

Ubrany w mundur bojowy jak pozostali, był komunistyczny watażka czuł się jak u siebie na tych mroźnych pustkowiach, gdy płatki śniegu spadały na jego żołnierską fryzurę.

– Jesteście śliczną parą. Mam kilka waszych ładnych zdjęć. – Zatrzymał się tuż przed nami, uśmiechnął się tym swoim wyważonym, wymuszonym uśmiechem, który tak mnie wytrącał z równowagi przy naszym pierwszym spotkaniu. Uśmiech wyrachowanego zabójcy. – Książę Aqrab i jego amazońska księżniczka. *Complimenti*. Wyprowadziliście mnie w pole. Nie zdawałem sobie sprawy, że Amazonki mogą być takie – otaksował mnie wzrokiem z ubawioną wzgardą – bezmięśnie. No dobrze. – Reznik obejrzał się przez ramię. – Widzisz?

Mówiłem ci, że znajdziemy ich razem.

I wtedy zauważyłam, kto stoi za nim.

James Moselane.

Skulony z zimna i mrużący oczy przed zacinającym śniegiem, mój stary przyjaciel wyglądał tak żałośnie, tak mało entuzjastycznie, że w pierwszej chwili uznałam, że jest więźniem Reznika. Ale potem zauważyłam, że James również ma broń.

– Co jest? – krzyknęłam, tak zbulwersowana, że niemal zapomniałam o swoim strachu. – To jakiś absurd! Ty wiesz, że nie jestem Amazonką.

James zrobił znużoną minę i powiedział, głównie do Nicka: – Opuśćcie, oddajcie to. Bądźmy dorośli.

Obejrzałam się na Nicka, wyczuwając, że hamuje się, by nie walnąć Jamesa pięścią w twarz.

– Trzymaj. – Wyjęłam z torebki *Historię Amazonum*. – I tak chcieliśmy to oddać...

Reznik chwycił rękopis i natychmiast cisnął nim na bok.

– Nie to gówno – warknął. – Zeszyt!

– Nie mam go – wydukałam. – Zostawiliśmy go profesorowi Seppänenowi...

– Jakiemu Seppänenowi? Kto to jest, do kurwy nędzy?!

Zerknęłam na Nicka. Przeciwiczyliśmy tę historię z Pitaną, a ona uznała, że bardziej wiarygodnie zabrzmiała w moich ustach.

– To specjalista od języków starożytnych – wyjaśniłam, szcękając zębami ze strachu, zimna i potrzeby bycia przekonującą. – Właśnie zjedliśmy z nim kolację...

– Gdzie?

Machnęłam ręką w stronę ciemności za naszymi plecami.

– Kawałek dalej tą drogą.

Reznik przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Następnie odwrócił się do Jamesa.

– Co myślisz?

Nie ośmieliłam się oderwać wzroku od Reznika. Czy James znał mnie na tyle dobrze, by się zorientować, że kłamię? Jeśli nawet się zorientował, to nic nie powiedział.

– Dobra! – Machnął na swoich ludzi. – Jedziemy...

– Czekać! – James podszedł do niego i chwilę rozmawiali z ożywieniem.

Byłam pewna, że słyszę, jak James mówi „Mieliśmy umowę!”, na co Reznik burczał coś niechętnie, aż wreszcie warknął ze złością i odwrócił się, by wydać rozkaz czterem swoim zbirom.

Ci natychmiast podeszli do Nicka, chwycili go za ramiona i odciągnęli ode mnie. Szarpałam ich za ręce i krzyczałam, żeby go puścili, ale Reznik powstrzymał mnie miażdżącym uchwytem. Gdy nadal się wrywałam,

uderzył mnie w twarz wierzchem dłoni.

To był cios paralizujący i na kilka sekund mój świat poczerniał. Jak przez mgłę usłyszałam, że Nick mnie woła, ale nie miałam powietrza, żeby mu odpowiedzieć.

– Straciłem w Kalkriese dwóch swoich najlepszych ludzi – syknął Reznik, prosto w moją twarz. – To nie był dobry tydzień. Wy wszystkie jesteście takie same, amazońskie suki...

– Proszę – wychrypiałam, próbując złapać oddech. – Nie rób mu krzywdy! Reznik parsknął ubawiony.

– Czyż to nie wzruszające? Zakochana Amazonka. Od razu się robi jeszcze zabawniej. – Strzelił palcami, a mężczyźni zerwali z Nicka kurtkę, a potem sweter, aż został tylko w spodniach i koszulce. – Jak ci się to podoba? – spytał mnie. Oczy wychodziły mu z orbit z potrzeby dominacji. – Wasza gorąca randka szybko stygnie. Zobaczmy... dziewięćdziesiąt kilogramów, metr osiemdziesiąt trzy, trzydzieści pięć lat, minus dziesięć stopni. – Pokiwał głową, udając, że liczy, po czym znowu strzelił palcami.

– Przestań! – krzyknęłam, gdy mężczyźni zaczęli zdzierać z Nicka T-shirt. – Zabijecie go!

– To ty go zabijesz, jeśli nie...

Nick rzucił się na jednego ze strażników – trzymającego pistolet maszynowy przy piersi. Mężczyzna padł, sycząc z bólu, i trzymając się za gardło, a broń zmieniła właściciela. Stało się to tak szybko, że nie nadążałam ze śledzeniem ruchów. W jednej sekundzie pozostali trzej strażnicy cofnęli się, nieporadnie gotując się do strzału.

– Nie! – wrzasnął Nick, mierząc do każdego z nich po kolei. – Bez krwi.

Dobra? Bez krwi? Załatwmy to na spokojnie. Nie chcecie wkurzyć mojego ojca, prawda?

Przez kilka pełnych napięcia minut las był tak cichy, że słysząc było wilki z oddali. Potem Reznik mnie puścił i ruchem ręki nakazał wszystkim zachować spokój.

– Tylko się bawimy. Wracamy do interesów. Nie ma co wkurwiać al-Aqraba. – Niecierpliwym gestem ponaglił mężczyznę trzymającego ubrania Nicka. – Oddaj mu kurtkę.

Reznik był zbyt zajęty wydawaniem rozkazów, żeby zauważyć, że James, blady z wściekłości, podnosi broń i mierzy do Nicka.

Rzuciłam się naprzód i szarpnęłam w dół ramię Jamesa, ale pistolet już wypalił z piekielnym, rozdzierającym uszy hukiem. Reznik doskoczył do nas i wyrwał dymiącą broń Jamesowi, miotając przekleństwa.

Przerazona podbiegłam do Nicka, który padł na kolana z jękiem, ściskając się za biodro, gdzie rozlewała się czerwona plama. Na widok krwi szarpnęły mną mdłości, ale rzuciłam się na śnieg obok niego, zdjęłam z siebie kurtkę i owinęłam nią jego ramiona, żeby go ochronić przed zimnem.

– Musi jechać do szpitala! – krzyknęłam. – Błagam!

– Chcesz jechać do szpitala? – burknął Reznik. – Jasne! Jestem starym romantykiem. Możecie spędzić razem noc w kostnicy. Może nawet zapną was w jednym worku.

– Nie bądź debilem – wycodził Nick przez zęby, wciąż trzymając się kurczowo za biodro. – Przecież chcesz zeszyt, prawda? Diana już ci powiedziała: musisz jechać tą drogą. Ale potrzebujesz jej na przewodnika.

– Nie! – Objęłam go ramionami. – Nie zostawię cię tak!

Nick spojrzał na mnie bałagalnie.

– Musisz. Liczę na ciebie.

– Dość! – Reznik ściągnął moją kurtkę z ramion Nicka i szarpnął mnie za włosy, powodując potworną falę bólu. Następnie wykrzyczał rozkazy do jednego ze swoich ludzi, a on podszedł do naszego auta, wsiadł za kierownicę i zjechał do rowu.

Reznik odwrócił się do Jamesa.

– Ty idioto pierdolony. Teraz mamy od chuja sprzątaną. Módl się, żeby al-Aqrab nie dowiedział się, kto to zrobił. I lepiej kup sobie bilet w jedną stronę na Marsa, mały lordzie.

Patrzyłam wściekle na Jamesa, czując obrzydzenie do tego gada. Choć Reznik dawno zabrał mu broń, James stał z nieco podniesionym ramieniem, jak skamieniały.

– Nie chciałem go postrzelić – wyszeptał tak cicho, że ledwie go było słychać. – Chciałem tylko...

– Za późno! – Reznik po drodze zdzielił go w tył głowy. – Chodźmy po ten zeszyt. Później zrobimy coś z ciałem.

I tak zostawiliśmy Nicka: skulonego w zakrwawionym śniegu. Następną rzeczą, jaką zobaczyłam, to brudne siedzenie w samochodzie, do którego wepchnęli mnie głową do przodu.

– To wszystko twoja wina – powiedział Reznik, wsiadając za mną. – Gdybyś od razu dała mi ten zeszyt – chwycił dłonią moją twarz i popatrzył mi w oczy z kpiącym uśmiechem – dalej byśmy się wszyscy przyjaźnili.

Nie odzywałam się. Tylko tyle mogłam zrobić, żeby nie zwymiotować, gdy pędziliśmy drogą, zostawiając za sobą Nicka w mroźnych ciemnościach.

Nie pamiętam drogi. Z bezmyślną pewnością powiedziałam kierowcy, gdzie dokładnie ma jechać, ale w mojej głowie pędziła tylko jedna myśl –

Nick cały we krwi, uciekającej z jego ciała równie szybko jak ciepło, bezbronny wobec arktycznej nocy. Gdy odjeżdżaliśmy, dygotał, i jeszcze będzie trochę dygotał, walcząc z hipotermią. Potem przestanie. I wtedy muszę po niego wrócić, żeby go uratować. Jeśli nie wrócę, jego ciało zgaśnie, jeden organ po drugim, aż nie zostanie w nim ani odrobina życia.

Gdy wreszcie wjechaliśmy na wyboisty trakt prowadzący do kryjówki Amazonek, byłam tak oszalała z niecierpliwości, że pochyliłam się do przodu, by ponaglić kierowcę.

– Jedź, jedź! Szybciej! – W błyskach świateł reflektorów było już widać niszczącą fasadę i zabite okna, a upiorny efekt wzmacniały nieregularne błyski z naszych reflektorów i z samochodów jadących za nami.

– To tutaj? – Reznik wychylił się do przodu i patrzył na zniszczony budynek.

– To pusty dom. – Popatrzył na mnie, a w jego oczach zamigotał gniew. – Ty mała kurwo...

Byłam zbyt zestresowana, by opanować wściekłość.

– Nick tam zamarza na śmierć! – krzyknęłam. – Po co bym miała cię okłamywać?

Wysiadłszy z wozu, Reznik zebrał grupę swoich ludzi, a trzem kierowcom kazał trzymać się z tyłu i nie wyłączać silników. Potem wcisnął koniec lufy swojego pistoletu w moje plecy i kazał mi podejść kamiennymi stopniami do drzwi.

Nie miałam pojęcia, co czeka na nas wewnątrz. Pitana nie zdradziła tej części planu Nickowi i mnie. Jak garstka Amazonek – z czego większość stanowiły młódki, nie wspominając o ponadosiemdziesięcioletniej Otrerze – miała sobie poradzić z bandą dobrze uzbrojonych bandziorów?

Gdy kilkakrotnie zapukałam bez rezultatu, Reznik odepchnął mnie na bok i załomotał w drzwi pięścią. Ponieważ nadal nie było odpowiedzi,

nacisnął klamkę... a ona ustąpiła. Gdy dołączył do nas James, Reznik chwycił mnie za ramię.

– Do środka, już! – syknął, popychając mnie, bym weszła pierwsza.

Z ostrożnym „Halo? Profesorze?” – przestąpiłam przez próg i weszłam do ciemnego domu. Ponieważ samochody na zewnątrz nie wyłączyły reflektorów, gdy pchnęłam drzwi, powitał mnie tylko własny cień rozciągnięty na drewnianej podłodze. Hol był prawie pusty. Zniknęły wszystkie meble, w tym stojak na broń.

Został tylko stojak na parasole.

I tak już na ostatnich nogach niemal krzyknęłam z frustracji. Amazonki zniknęły. Ich siedziba była zagrożona, a planowana zasadzka okazała się tylko sposobem, żeby się nas pozbyć. Poczułam, jak jakiś ciężar uciska mi klatkę piersiową. Jeszcze nigdy nie czułam się tak opuszczona. W porównaniu z tym zbladła nawet zdrada Jamesa.

Reznik znowu dźgnął mnie mocno lufą pistoletu.

– I gdzie to jest?

– Nie wiem. – Rozejrzałam się, próbując obmyślić, co zrobić. – Jest tak późno. Pewnie profesor Seppänen poszedł już spać.

Reznik odwrócił się do swoich ludzi i kazał im przeszukać dom. Dwóch zostało wysłanych do pokoju zebrań, dwóch do biblioteki, a reszta na górę.

Następnie ruchem głowy wskazał jadalnię, która znajdowała się dokładnie przed nami, a drzwi prowadzące do niej były lekko uchylone.

– Co tam jest?

– Nie wiem – odparłam. Zostaliśmy tylko w trójkę: ja, Reznik i James.

W głowie wirowały mi różne pomysły na ucieczkę.

– Panie przodem. – Reznik chwycił mnie pewnie za ramię i wbijając mi lufę pistoletu w żebra, poprowadził przed sobą.

W jadalni było prawie ciemno. Reflektory z zewnątrz, które tak jasno oświetliły wejście, okazały się tu bezradne i wyłoniły z mroku tylko jakiś metr długiego stołu, który nocą wydawał się ciągnąć w nieskończoność na wszystkie strony.

Nagle usłyszeliśmy hałas na górze, dokładnie nad naszymi głowami.

Zabrzmiało to jak pospieszna szamotanina... potem stłumiony krzyk... i cisza.

Reznik, zeszywniały, wyciągnął walkie-talkie i rzucił pytanie. Nie

doczekał się odpowiedzi.

– Włącz światła! – Pchnął mnie pistoletem. Słyszałam w jego głosie, że zaczyna mieć obawy co do tego miejsca i nie rozwiął ich fakt, że żadne ze światel się nie włączyło mimo moich prób. – Spróbuj jeszcze raz! – warknął.

– Ćśśś... – syknął przysadzisty zbir w czapeczce narciarskiej i z pistoletem w dłoni. Należał do czwórki przeszukującej pomieszczenia na dole i teraz do nas dołączył.

Wszyscy nasłuchiwali z natężeniem.

W domu panowała absolutna cisza. Jedynym odgłosem, który zakłócał wrażenie całkowitego opuszczenia, było słabe rżenie dobiegające z zewnątrz. Na ten dźwięk Reznik zaklął szpetnie.

– Na dwór! – rozkazał, wypychając wszystkich. – Na dwór! Natychmiast!

Gdy jednak mężczyźni zaczęli się wycofywać, frontowe drzwi się zatrzasnęły, a my znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach. Zbyt zszokowana, by kierować się czymkolwiek innym niż instynkt, wykręciłam się z uchwytu Reznika i odsunęłam od nich. Przyłgnęłam do ściany. Ledwie zarejestrowałam ból wywołany uderzeniem głowy o wieszak na płaszcz. Słyszałam przekleństwa i tupot ciężkich butów, gdy zbiry Reznika próbowały odnaleźć drzwi, i nagle...

Fala oślepiającego światła z góry i straszliwy szalony świst przytłoczył nas na kilka sekund. W życiu nie słyszałam nic podobnego.

Zasłaniając oczy przed ostrym światłem, po chwili rozpoznałam ciała leżące na podłodze przy drzwiach, przyszpilone do podłogi. Był to groteskowy, obrzydliwy widok. Większość strzał wystawała z głów i twarzy, powyżej kamizelek kuloodpornych. Na podłodze już zbierała się w kałuże krew wypływająca z makabrycznych ran.

Jedynymi mężczyznami, których nie ugodziły strzały, byli Reznik i James, którzy przyłgnęli do ściany jadalni, ukryci, tak jak ja, przed wzrokiem łuczniczek z galerii nad nami.

Minęła dłuższa chwila, nim Reznik pojął, że wszyscy jego ludzie nie żyją, zarówno ci na górze, jak i ci na dole, że przy życiu pozostała tylko nasza trójka.

Kiedy jego wzrok padł na mnie, twarz tak mu wykręciła wściekłość, że przestał przypominać istotę ludzką.

– Oszukałaś mnie! – warknął, ruszając na mnie pod ścianą. Trzymał się

przy tym z daleka od pola rażenia łuczniczek.

Nawet nie miałam czasu zastanowić się, jakie ma zamiary. Pistolet w jego dłoni i wściekłość na twarzy wystarczyły, bym sięgnęła do stojaka na parasole. Na szczęście zardzewiały stary rapier wciąż tam był.

Nieprzygotowany na broń w moim ręku Reznik parł do przodu, jakby nie zauważył zagrożenia.

– Rusz się! – warknął do Jamesa, który wciąż stał skamieniały od wstrząsu. – Weźmiemy ją na zakładnika! – Wciąż mierząc do mnie z broni, Reznik wolną ręką sięgnął do mojego ramienia, ale zdołałam zatrzymać go rapierem.

– Ani się waż! – powiedziałam głosem tak spokojnym, że zaskoczył nawet mnie. Jakoś gdy trzymałam broń tak dobrze sobie znaną, znowu mogłam jasno myśleć. – Wracam do Nicka...

– Ni chuja! – Reznik ramieniem odsunął ostrze i wycelował pistolet w moją twarz. – Idziesz ze mną.

W tym momencie w drzwiach do jadalni, dokładnie za jego plecami pojawiła się kobieta z maczetą. Pitana. Nie zaatakowała Reznika, tylko cofnęła się bezszelestnie, gdy zdała sobie sprawę, co mi grozi.

To wystarczyło. Reznik obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, co przyciągnęło moją uwagę, a ja zaatakowałam i rozbroiłam go cięciem w nadgarstek. Krzycząc z bólu i zaskoczenia, chwycił się za zranione miejsce drugą ręką. Pistolet upadł na podłogę ze stukotem, dokładnie pomiędzy nas.

Rycząc z wściekłości, Reznik schylił się po niego, ale ja kopniakiem go odsunęłam. Tak się skupiłam na trzymaniu Reznika na dystans, że nie pojęłam, co James zamierza, dopóki nie rzucił się po pistolet.

– Co ty wyczyniasz, do cholery?! – krzyknęłam, kiedy wymierzył we mnie i zaczął cofać się do wyjścia, przechodząc nad martwymi ciałami.

– Ruszaj się! – James gorączkowymi ruchami ponaglił Reznika. – Wychodzimy...

Zdanie zakończył okrzykiem bólu. Po raz drugi pistolet upadł na ziemię ze stukotem. Strzała z góry trafiła Jamesa w rękę, przebiła dłoń, a on zgiął się wpół z jękiem udreki.

– Panowie! – ryknął władczy głos.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Otrereę – moją straszliwą i piękną cioteczną babkę – stojącą na galerii z podniesionym łukiem. Cięciwa jeszcze

wibrowała po doskonałym strzale. Wokół niej stanęła grupa młodych Amazonek, wśród nich Lilli.

Otrera rozłożyła ramiona, nie wypuszczając łuku z dłoni.

– Chcieliście nas znaleźć. Oto jesteśmy.

Nie czekałam na reakcję Reznika. Już bez sekundy wahania rzuciłam się po pistolet na podłogę. Prawie się nie zatrzymując, wypadłam przez drzwi wejściowe, a tak chciałam się wydostać, że potknęłam się o próg i upadłam na czworaki na szorstkich schodkach.

Wstałam, wciąż ściskając pistolet, ale poczułam, jak czyjaś ręka chwyta mnie za kitkę, i zrozumiałam, że za sobą mam Reznika. Zrobiłam szybki obrót, uderzyłam go w twarz pistoletem i zdołałam wyrwać włosy z jego garści. Z jego łuku brwiowego tryskała krew, a ja odwróciłam się i ruszyłam biegiem.

Pomimo rany Reznik podążył za mną po schodkach i zatoczył się na śniegu.

– Pistolet! – warknął głosem silnym jak zawsze. – Daj mi pistolet!

Na wściekłe parsknięcie i szybki tętent kopyt oboje podskoczyliśmy ze strachu. Koń i jeździec, tworząc jedną okazałą czarną postać, wypadli w galopie z lasu i wbili się dokładnie między nas – tak blisko, że długi czarny płaszcz jeźdźca smagnął mnie po policzku. Widziałam jej twarz tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, bym rozpoznała Pentezyleę, Słowiankę, która zaplanowała zasadzkę.

Piszcząc triumfalnie, Reznik schylił się po coś, co ona wrzuciła w śnieg, przejeżdżając obok niego. Rewolwer.

Chciwie zacisnął palce na chwycie, ale ja się jakoś nie bałam. Ty tępaku, pomyślałam, odsuwając się od niego. Nie znasz zasady numer cztery Amazonek?

Nigdy nie zabijaj nieuzbrojonego przeciwnika, chyba że nie masz wyboru.

Zanim Reznik zdołał oddać strzał, Pentezylea obróciła się w siodle, podniosła broń o długiej lufie, którą wcześniej miała schowaną pod połą płaszcz... i ogłuszający huk odrzucił Reznika i jego rewolwer prosto w zaspę.

Widziałam teraz tylko jego ręce i nogi, ale wiedziałam, że ani one, ani sam Reznik już nigdy się nie poruszą.

– Morg! – Oszalały krzyk wyrwał mnie z szoku. W drzwiach domu stał

James i machał rękami jak szalony. – Wracaj! Proszę!

Zrobiłam w tył zwrot i puściłam się biegiem.

Ściskając oburącz pistolet, pędziłam drogą. Spodziewając się, że zwyrodniali kierowcy Reznika siedzą zabarykadowani w swoich samochodach, uzbrojeni i zdesperowani, z ulgą odkryłam ich nieobecność. I samochody osobowe, i furgonetka były puste, drzwi po lewej stały otworem, a jedyny ślad po trzech pozostałych zbirach Reznika stanowiły krwawe bruzdy w śniegu tam, gdzie ich ciągnięto.

Wsiadłam do ostatniego wozu – nowiutkiego SUV-a ze skórzaną tapicerką – po omacku szukałam kluczyków i wreszcie je znalazłam na podłodze, brudne od krwi i stopniałego śniegu. W zdenerwowaniu ledwie panowałam nad rękoma i nogami, ale zdołałam uruchomić samochód, wrzucić wsteczny i jak najszybciej ruszyć tyłem po krętej drodze.

Gdy wróciłam na szosę, pognałam trasą, którą nadjechaliśmy, dusząc się z pośpiechu. W głowie miałam tylko Nicka czekającego na mnie w bolesti.

Obraz jego ciała skulonego na śniegu w milczącej udręce był tak silny, że cały ten czas miałam go przed oczyma. A gdy wreszcie zbliżyłam się do miejsca, w którym go zostawiliśmy, spodziewałam się, że ujrzę go klęczącego na poboczu, skulonego z zimna.

Ale Nicka nie było.

Wysiadłam z samochodu, obróciłam się dokoła kilka razy, z całych sił wykrzykując jego imię, a lodowata kula paniki w moim żołądku robiła się coraz większa. Śnieg już nie padał, a las był całkowicie cichy – na pewno na tyle cichy, żeby przekonać mnie, że nikt nie odpowiada na moje wołania.

Podbiegłam do naszego wynajętego samochodu zepchniętego do rowu, otworzyłam drzwi w nadziei, że Nick się schował w środku. Ale tam go też nie było.

Wtedy przyszło mi do głowy, by obejrzeć ślady na śniegu... ślady, czy ktoś szedł albo może się czołgał... ale w blasku reflektorów, które były moim jedynym źródłem światła, wszystko robiło się tak jaskrawe, że dopiero po chwili rozróżniłam, że rzeczywiście na śniegu widnieje świeży ślad – pojedynczy ślad opon – prowadzący w kierunku Suomussalmi.

Poczułam przyływ nadziei. Jakiś motor zabrał Nicka?

Wsiadłam do samochodu, ruszyłam jak szybko się dało, podążając za śladem opon. Dopiero gdy dotarłam do granic wioski, inne ślady zaczęły się

plątać z tym moim, ale dzięki późnej porze i skromnemu ruchowi zdołałam nim podążać aż do celu, jedyne go logicznego.

ROZDZIAŁ 41

*Widząc cię łzami zalaną, kiedyś niejeden tam powie: Oto jest żona Hektora, co w bitwach wszystkich przewyższał Trojan słynących z władania końmi, w czas walki o Iliont.*²⁵

HOMER, *Iliada*

W sennym szpitalu na nocnej zmianie pracowała garstka ludzi. Gdy stanęłam w drzwiach oddziału ratunkowego, cały personel spojrzął na mnie. Po ich szeroko otwartych oczach zorientowałam się, że nie wyglądam najlepiej.

Gdy tylko upewniłam się, że Nick rzeczywiście tu jest, życzliwa pielęgniarka zaprowadziła mnie do niewielkiej poczekalni z kilkoma pustymi krzesłami.

– W termosie jest ciepła woda na herbatę – powiedziała. – Powiadomię doktora Huusko, że pani jest.

– Jak on się czuje? – spytałam, wpatrując się w jej twarz, by wydobyć z niej wszystkie informacje. – Nic mu nie jest?

Odwróciła wzrok.

– Doktor Huusko z panią porozmawia.

Nie miałam pojęcia, jak długo tam siedzę, niecierpliwie czekając na informacje. Przed sobą miałam grzejnik, gorący w dotyku, ale i tak cała dygotałam.

Wydarzenia tej nocy przemroziły mnie do szpiku kości, z szoku i wyczerpania niemal wpadłam w katatonię. Nie zdobyłam się nawet na to, by wstać i umyć ręce, choć ciągle miałam na nich krew Nicka.

Gdy wreszcie pojawił się doktor Huusko, nie podszedł do mnie od razu, tylko najpierw przystanął i przyglądał mi się z daleka. A gdy wreszcie się odezwał, to głosem tak głębokim, że brzmiał jak grzmot z głębi ziemi.

– Lepiej, żeby mi pani opowiedziała jakąś dobrą historię.

Wstałam na sztywnych nogach, na próżno wypatrując na twarzy doktora

jakiegoś łagodnego punktu. Był to rosły jak dąb mężczyzna, wyglądający na takiego, który wytrzymał już wiele sztormów, burz lodowych i uderzeń piorunów, jednego z tych, dla których takie ludzkie istoty jak ja były tylko przelotnych utrapieniem.

– Proszę, niech mi pan powie, że wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Słowa niemal więzły mi w gardle.

Doktor Huusko wskazał swój stetoskop.

– To nie kryształowa kula – powiedział. – To nauka. Ale nauka jest po naszej stronie. – Wreszcie podszedł do mnie. – Gdybym nie był racjonalistą, powiedziałbym, że pani chłopak ma anioła stróża. – Pokazał mi to, co trzymał w ręku.

Była to bransoleta babci. W każdym razie tak się domyśliłam, bo głowę szakala miała tak zniekształconą, że nie wyglądał on już jak zwierzę.

– Miał to w kieszeni spodni – wyjaśnił lekarz. – To zatrzymało kulę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pewnie ten przedmiot ocalił mu życie.

– Ale on krwawił – wyszeptałam, powstrzymując łzy oszołomienia i ulgi.

Doktor Huusko spojrzał na mnie rozczarowany.

– Oczywiście, że krwawił! Jak pani sądzi, jak to jest, kiedy taki przedmiot wciśnie się w tkanki z siłą kilkuset kilogramów?

Spojrzałam w oczy doktora Huusko, czekając niecierpliwie, aż potwierdzi, że Nickowi nic nie grozi.

– Więc wyzdrowieje?

Ale teraz rysy twarzy lekarza znowu stwardniały.

– Jest w śpiączce. Zobaczymy. Był w stanie silnej hipotermii. Serce mu się zatrzymało. Nie wiem na jak długo. Niewykluczone, że doszło do uszkodzenia mózgu. – Krzaczaste brwi doktora Huusko ściągnęły się jeszcze bardziej. – Wobec braku dopływu tlenu do mózgu...

Nie zemdlałam, ale przez kilka sekund widziałam tylko czerń.

– Mogę go zobaczyć?

– Kiedy jego stan będzie stabilny. – Doktor Huusko wyjął coś z kieszeni fartucha. Komórkę Nicka. – To znaleźliśmy w innej jego kieszeni. Może chciałaby pani do kogoś zadzwonić. Kobieta, która go tu przywiozła, powiedziała, że jest jego matką. Ale nic poza tym nie chciała powiedzieć. Próbowaliśmy ją zatrzymać, ale... – skrzywił się – nie chciała zostać.

Chodziłam po korytarzu tak smutna i wstrząśnięta, że nie miałam siły

płakać.

W końcu usiadłam w pustej stołówce z komórką Nicka i zmiażdżoną bransoletą na stole przede mną. Jedyna świetlówka bzyczała nad pustym kontuarem, od czasu do czasu połyskując, jakby miała się zaraz przepalić. Nie wiedzieć czemu przypomniła mi się moja przyczepa w Algierii i na chwilę dopadły mnie bezsensowne myśli, żeby cofnąć czas do chwili, gdy Nick i ja ciągle się kłóciliśmy i kiedy nie przyszłoby mi do głowy, że kiedykolwiek będę siedzieć w szpitalu i płakać nad nim.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze i w końcu zdołałam odegnąć te bezużyteczne myśli i skupić się na telefonie. Chociaż ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę, to wydzwanianie do obcych, sytuacja była na tyle poważna, że tego wymagała.

Przejrzałam nieskończoną listę kontaktów i nikogo nie skojarzyłam, aż wreszcie przyszło mi do głowy, by sprawdzić szybkie wybieranie i w ten sposób dowiedzieć się, kogo Nick uważa za osoby najbliższe. O dziwo, u szczytu listu znajdował się kontakt o nazwie „Biuro do dyskusji”. Dalej „Cudowne dziecko”

i „Goldfinger”. W końcu porzuciłam rozważania i wybrałam pierwszy numer.

Odebrano dopiero po dłuższej chwili. Już się przygotowałam na starcie z automatyczną sekretarką w Dubaju, gdy usłyszałam senny męski głos: – Czas najwyższy.

– Mówi Diana Morgan – odezwałam się szybko. – Dzwonię w imieniu Kamala al-Aqraba. Pewnie pan go zna.

Po drugiej stronie rozległo się głośnie szuranie. Potem mężczyzna spytał głosem zmartwionym i gniewnym jednocześnie: – Co się stało? Skąd pani dzwoni?

Rozejrzałam się po pustej stołówce.

– Z Finlandii. Ze szpitala w Suomussalmi. – Przerwałam, by uspokoić głos. – Obawiam się, że doszło...

– Czy mój syn żyje?

To pytanie ścięło mnie z nóg.

– Ach, pan jest...

– Proszę odpowiedzieć.

Wrogi ton pana al-Aqraba wytrząsała ze mnie odrobinę odwagi.

– Tak, ale nie wiadomo... – Znowu głos mnie zawiódł. – Doznał silnej hipotermii...

– Proszę zostać na miejscu. Już jadę. – Pan al-Aqrab zakończył rozmowę.

I tam znalazł mnie doktor Huusko – leżącą na komórcie Nicka w pustej stołówce. Tak mi było ciężko na sercu, że nie miałam siły się ruszyć.

– Proszę spojrzeć. – Podsunął mi szary wydruk zdjęcia. Widniała na nim kobieta idąca zamaszystym krokiem, wkładająca kask motocyklowy, gdy mijiała szklane drzwi szpitala. – Ta osoba przywiozła tu pani chłopaka. Zna ją pani?

Pochyliłam się, by baczniej przyjrzeć się fotografii. Zrobiono ją z góry, ale od razu rozpoznałam srebrne krótko ostrzyżone włosy. Anioł stróż Nicka to wściekła kobieta kot ze Stambułu. Cały wieczór próbowała nas unikać, pozostając na górze, ale Los i tak ją znalazł i wystawił na próbę. Czy tym razem zdała z wyróżnieniem? To kwestia punktu widzenia. Łamiąc zasadę, w myśl której powinna jako pierwsza stanąć na polu walki, królowa bałtyckich Amazonek zostawiła swoje siostry ze zbirami Reznika, by ratować swego syna.

– No i? – spytał doktor Huusko.

Pokręciłam głową, nie patrząc mu w oczy.

– Niestety, nie.

– Proszę pójść ze mną. – Lekarz dał mi znak, bym wstała. – Wpuszczę panią do niego. Nadal jest w śpiączce, ale mózg to silny organ.

Można by pomyśleć, że leżący samotnie w szpitalnym łóżku Nick jest podłączony do absolutnie każdej aparatury dostępnej w szpitalu. I był tak śmiertelnie blady, że nie poznałabym go, gdybym nie wiedziała, że to on.

Podeszłam do łóżka, delikatnie położyłam na jego dłoni swoją, omijając wężyk kroplówki. Nie zareagował. Nie wykonał też żadnego dostrzegalnego ruchu, gdy pochyliłam się, by pocałować go w policzek.

Doktor Huusko w klasyczny sposób zbadał Nickowi puls, ignorując wszystkie kosztowne maszyny.

– To silny mężczyzna o silnym sercu – powiedział, notując coś w karcie.

Nagle odwrócił się twarzą do mnie, a spojrzenie jego oczu wydawało się trochę mniej srogie. – Nie wiem, co wam się stało. I chyba nie chcę wiedzieć. Ale policja na pewno będzie chciała zadać kilka pytań. Lepiej niech pani zacznie obmyślać odpowiedzi.

W końcu zostałam sama z Nickiem, położyłam się na wąskim łóżku jak najbliżej niego. Mimo wszystkich przeżyć i zabiegów wciąż pachniał sobą.

Próbowałam sobie przypomnieć dzisiejszy poranek, kiedy się obudziłam obok niego w naszym ciepłym kokonie hotelowych kołder. Miałam silne poczucie, że wszystko, co znajduje się poza naszym małym gniazdkiem, już się naprawdę nie liczy. Wreszcie znalazłam centrum swojego wszechświata.

– Tak bardzo cię kocham – wyszeptałam mu do ucha. Miałam nadzieję, że te słowa do niego dotrą, gdziekolwiek się znajduje. – Wróć, proszę. Tak mi przykro.

To ja chciałam jechać do Finlandii, to ja się uparłam szukać babci do końca.

A kiedy się zrobiło groźnie, zawahałam się i zmarnowałam okazję, podczas gdy Nick zabrał się za zbirów Reznika.

„Jak to możliwe, że nie chcesz się nauczyć bronić ludzi, których kochasz?” – spytał mnie w mykeńskich ruinach. – „Pokażę ci kilka prostych sztuczek”.

Wściekłość nie pozwoliła mi go słuchać. A teraz wielka niebieska maszyna wzięła tę moją arogancję i walnęła mnie nią prosto w twarz z oszałamiającą precyzją.

Pan al-Aqrab pojawił się o świcie. Kiedy usłyszałam burkliwe żądania i pełne oburzenia krzyki protestu na korytarzu, uznałam, że to policja przyjechała mnie przesłuchać. Nagle jednak drzwi do sali pchnięto gwałtownie i do środka weszło czterech mężczyzn, a za nimi doktor Huusko i dwie zdenerwowane pielęgniarki.

Ze swoim surowym biznesmeńskim sposobem bycia pan al-Aqrab tak bardzo nie przypominał człowieka, którego przed tygodniem widziałam w recepcji Çırağan Palace w czapeczce bejbolowej, że musiałam sięgnąć do poważnej twarzy ze zdjęcia w zbiorach pana Telemakhosa, by przekonać się, że to naprawdę on.

Ubrany w garnitur i krawat niemal identyczny jak u jego trzech współpracowników, stanął na środku sali, nie zauważając mojej obecności, po czym podszedł do łóżka Nicka z grymasem bezsilnej wściekłości.

– Kto to zrobił? – Takie było jego pierwsze pytanie skierowane w przestrzeń.

– Reznik i James Moselane – odparłam, oglądając się na doktora Huusko.
– Śledzili nas i przyjechali za nami aż tutaj.

Pan al-Aqrab zaklął pod nosem.

Czekałam chwilę, spodziewając się, że spróbuje porozmawiać z Nickiem, albo chociaż go dotknie. Ponieważ nic takiego nie zrobił, odezwałam się ponownie: – To nie powinno nas specjalnie dziwić, prawda? Czyż nie taki był plan od samego początku? Że mieliśmy posłużyć za przynętę?

Pan al-Aqrab odwrócił się do mnie powoli, jakby ledwie trzymał nerwy na wodzy.

– A pani to...?

– Diana Morgan. – Wyciągnęłam rękę. Nie przyjął jej, a w mojej głowie pękła bańka bezsilnej wściekłości. – Na pewno mnie pan pamięta z raportu detektywistycznego. Wyobrażam sobie, że pan i pański – ruchem głowy wskazałam jego ludzi stojących z miną zdradzającą utajoną agresję – wydział śledczy wie o mnie więcej niż moi rodzice.

– Zgadza się. – Pan al-Aqrab sięgnął do kieszeni. – Ile jestem pani winien? Cofnęłam się o krok.

– Za co dokładnie?

Wyciągnął książeczkę czekową.

– Za to, żeby niezwłocznie wyszła pani przez te drzwi – kiwnął przez ramię złotym piórem – i wymazała to wszystko z pamięci.

Chociaż ton naszej rozmowy trudno byłoby uznać za cywilizowany, jego grubiaństwo tak mną wstrząsnęło, że zakreśliło mi się w głowie.

– Nie wzięłabym od pana ani grosza – powiedziałam, z trudem dobywając głosu – choćbym miała zebrać na ulicy. To pan zrobił to wszystko Nickowi.

I gdyby nie jego matka, która go wyciągnęła z zasy i przywiozła tutaj, już by nie żył.

Mówiłam z wściekłą pasją, a al-Aqrab zachwiał się, a potem wyprostował i poprawił krawat.

– To nie czas ani miejsce... – Kiwnął na kogoś i wtedy zobaczyłam, że za plecami doktora Huusko czeka zespół medyczny.

– Co wy robicie? – spytałam, przysuwając się do Nicka.

Ale było aż zbyt oczywiste, co robią.

Próbowałam odciąć im drogę.

– Nie zabierajcie go! Proszę! Doktor Huusko ma wszystko... – Widząc, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, odwróciłam się do al-Aqraba i podniosłam głos: – Nie dość mu pan narobił? Na dworze jest mróz. – Ponieważ dalej

mnie ignorował, stanęłam mu na drodze i wymusiłam uwagę. – Dobra. Zabiera go pan do Dubaju. – Tak się zdenerwowałam, że nie byłam w stanie mówić ciszej. – Ja też jadę.

Al-Aqrab nie mógłby spojrzeć na mnie z większym zbulwersowaniem.

– Pani? Dlaczego?

Obejrzałam się na Nicka, walcząc ze wzbierającymi łzami.

– Bo jak on się obudzi, spyta o mnie.

Kolejne pogardliwie spojrzenie ściągnęło mnie na ziemię.

– Wątpię. A teraz proszę wybaczyć...

Zespół medyczny bez wahania odłączył Nicka od całego wyposażenia sali i sprawnie podłączył do własnych przenośnych urządzeń. Gdy pchali łóżko korytarzem, pobiegłam za nimi.

– Nie żartuję – mówiłam do al-Aqraba. – Niech się pan nie waży... – chwyciłam stelaż łóżka. – Stójcie! Pan nie rozumie!

W gładki, swobodny sposób pan al-Aqrab zdołał mnie odczepić od łóżka.

Zespół medyczny ruszył korytarzem i po chwili zniknął za rogiem.

– Ależ rozumiem – zapewnił pan al-Aqrab, kładąc mi na ramieniu rękę protekcyjnym gestem. – Nick jest moim synem. Tak właśnie działa na kobiety. – Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej zwitek banknotów i wcisnął mi go do ręki. – Proszę. Niech pani sobie kupi coś ładnego od niego. On na pewno by tego chciał.

W porannym słońcu jechałam SUV-em Reznika z powrotem drogą Raate.

Stwierdziłam, że naszego samochodu z wypożyczalni nie ma już w rowie i że wszystkie ślady dramatycznych wydarzeń zostały zasypane przez świeży śnieg.

Zniknął nasz bagaż, moja kurtka, *Historia Amazonum*, list babci... nie został nawet ślad stopy.

Jadąc dalej, zdołałam odnaleźć drogę do kryjówki Amazonek, pomimo że w świetle dnia wszystko wyglądało inaczej i zniknęły prowizoryczne znaki drogowe.

Gdy toczyłam się krętą drogą dojazdową, od razu się zorientowałam, że podjęłam tę eskapadę na próżno. Na podjeździe nie tylko nie było żadnych pojazdów – pozostała tylko plątanina częściowo zamazanych śladów opon – ale zniknął też cały budynek. W miejscu, gdzie stał smutny stary dom, teraz leżał stos osmalonych gruzów.

Wysiadłam z samochodu, obeszłam całość w śniegu po kolana, szukając jakichś oznak życia. Z wypalonych szczątków sterczały jeszcze chude sylwetki kominów, ale nie dojrzałam żadnych dających się zidentyfikować przedmiotów.

Stałam tam, wpatrując się w ruiny, i poczułam dziwne otępienie. Czego oczekiwałam? Że Amazonki ciągle tu będą, pieczołowicie szorując podłogi zaplamione krwią?

Obchodząc fundamenty, zauważyłam starą szarą stodołę w głębi lasu. Był to długi wysoki budynek – może nawet większy niż dom. Dobrzełam do niego przez śnieg i z ostrożną ciekawością otworzyłam drzwi.

Wewnątrz zobaczyłam kilkanaście pustych boksów dla koni i stosy brudnego siana na ziemi. Przede wszystkim przewrócona taczka i rozerwany worek z paszą sugerowały pospieszną ewakuację.

W głębi stajni ujrzałam kolejne otwarte drzwi. Po ich drugiej stronie znajdowało się wielkie puste pomieszczenie z betonową podłogą. W pierwszym momencie pomyślałam, że coś szalenie ważnego trzymano w tym wielkim pomieszczeniu z katedrowym sklepieniem – coś, co zniknęło. Ale potem zauważyłam trzy liny zwisające z belek pod sufitem i... trapezy.

Przypomniałam sobie, jak Otrera opisywała mi cyrk wędrowny, którym kiedyś był bałtycki oddział Amazonek, i zrozumiałam, że w tym miejscu rzeczywiście odbywało się coś wyjątkowego: kobiece szkolenia. Ani jedno lustro czy mata nie łagodziły jego surowości; to nie była sala widowiskowa, tylko miejsce skupienia, wysiłku i bólu.

Graffiti zdobiące ściany potwierdzało moje podejrzenia. Większość sporządzono w językach, których nie znałam, ale dwa były po angielsku. Jedno mówiło: „Ludzie, którzy dla chwilowego poczucia bezpieczeństwa rezygnują z wolności, nie zasługują ani na wolność, ani na poczucie bezpieczeństwa”.

A drugie: „Naród owiec będzie miał rząd wilków”.

Podeszłam do drążka na ścianie, chwyciłam chłodny metal i próbowałam się podciągnąć. Nie dałam rady. Robiłam to jako dziecko, bawiąc się w Amazonki z Rebecą w ogrodzie, ale potem... ochoczo słuchałam tych, którzy twierdzili, że kobiety nie muszą robić takich rzeczy.

Gdy szłam z powrotem przez stajnię, zaglądałam wszędzie w poszukiwaniu jakichś zapomnianych rzeczy – jakiejś małej pamiątki, która

pomogłaby mi przetrwać. Ale wszystko zniknęło. W końcu zgarnęłam garść ziarna wysypanego z rozerwanego worka i wsadziłam je do kieszeni.

Gdzie są teraz bałtyckie siostry? I co się stało z Jamesem? Poszedł z dymem jak inne amazońskie tajemnice w tym domu?

Zadrżałam na wspomnienie krwawego zakończenia wojny Reznika z Amazonkami i odwróciłam się do wyjścia. I wtedy zobaczyłam coś wiszącego na gwoździu przy drzwiach. Moja kurtka. Zaskoczona, zdjęłam ją i obejrzałam.

I oczywiście w kieszeniach znalazłam wszystkie rzeczy, które uznałam już za stracone: pieniądze, paszport, po raz kolejny... i list babci.

Usiadłam na przewróconej taczce i od razu otworzyłam kopertę. List nie był długi, a drżące pismo sugerowało, że babcia już słabła, gdy go pisała.

Diano, ile masz teraz lat? Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądasz, ale to trudne, bo nie wiem, jak długo będziesz mnie szukać. Chciałam z Tobą raz jeszcze porozmawiać i wyjaśnić wszystko, i dowiedzieć się, co robisz, ale teraz już za późno. Katherine Kent mówi, że jesteś szczęśliwa. To mi zapewnia spokój.

Zamierzam Ci przekazać swoją bransoletę z szakalem, ale nie zakładaj, że chcę, byś została Amazonką. Chcę tylko, byś miała wybór. Zbyt wiele kobiet wychowuje się, nie mając wyboru. Moim najgorętszym pragnieniem związanym z Tobą jest to, byś żyła w wolności. Pamiętaj, by trwać przy swoich wyborach. Nie trać wiary w nie. I nie daj sobie wmawiać, że nie masz wyboru. Pamiętaj: odwaga nie ma wieku.

Nie wiem, gdzie będę, gdy przeczytasz ten list, ale jeśli zdołam, odnajdę Cię i wyszepczę Ci coś do ucha. Przede wszystkim wyszepczę: nigdy się nie poddawaj.

Koniec końców dobroć zawsze prześcignie zło.

Kocham Cię ogromnie.

Kara

CZĘŚĆ VI

EKWINOKCJUM

ROZDZIAŁ 42

*Odys rozstał się w mgnieniu z żebraczym łachmanem.
Wskoczył na próg wysoki z łukiem i kołczanem, W którym wiele strzał było, nastrzępionych pióry;
Wysypawszy je u nóg, zagabł gachów z góry: „A więc się już rozstrzygnie, mamy bój stanowczy!
Teraz cel mam, jakiego nie miał żaden łowczy!,
Zobaczę, czy weń trafię, Febowi na chwałę”.
Rzekł – i w Antinoosa puścił gorzką strzałę.²⁶*

HOMER, *Odyseja*

OKSFORD, ANGLIA

Zalane deszczem i obojętne senne wieże powitały mnie, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Listopadowe powietrze było odrobinę chłodniejsze niż trzy tygodnie temu, a wszyscy wyglądali odrobinę żałośniej, gdy przemykali z jednego budynku do drugiego, ściskając książki pod pachą. Poza tym wszystko wydawało się z grubsza takie samo. Pedel ledwie oderwał wzrok od stron sportowych, gdy zatrzymałam się na portierni po pocztę.

– Witaj, Frank – powiedziałam, przekopując swoją przegródkę, zdumiona skromnością korespondencji po długiej w moim odczuciu nieobecności. – Jest coś nowego?

Potrząsnął obwisłymi policzkami z udawanym współczuciem.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Dzisiaj ma być słońce. Ale zobaczymy.

A, zapomniałbym. – Frank wyciągnął rękę, by zerwać karteczkę z tablicy z komunikatami. – W nocy dzwonił James Moselane. Powiedział, że to pilne.

Zostawił numer.

Chwilę wpatrywaliśmy się w cyfry zapisane ołówkiem.

– Szwajcaria? – spytałam, w zdumieniu rozpoznając numer kierunkowy.

Frank wzruszył ramionami.

– Mówił tylko, że pilne. Proszę. – Podał mi karteczkę z krzywą miną, pragnąc się jak najszybciej pozbyć problemu. – Lepiej niech pani od razu do

niego zadzwoni.

Gabinet profesora Larkina przywitał mnie równie nieprzyjaźnie jak portiernia. W powietrzu wisiała mgiełka przykurzonego porzucenia, a w akwariu brzuszkami do góry pływały biedne gupiki. Rzuciłam pocztę na biurko i przede wszystkim poszłam do łazienki, gdzie spuściłam w toalecie numer Jamesa wraz z gupikami. Wróciłam trochę spokojniejsza, włączyłam wszystkie lampki i nastawiłam czajnik, szykując się na długie popołudnie walki ze swoim przygnębieniem i przywracanie porządku w życiu.

Przez cały weekend szukałam swoich rodziców w każdym pensjonacie w Kornwalii i wreszcie znalazłam ich w herbaciarni w Falmouth. Razem wróciliśmy wczoraj wieczorem do Cotswolds, całą drogę rozmawiając o babci. Po osiemnastu latach trzymania wszystkiego za murem nerwowego milczenia moich rodziców zalała teraz taka fala wspomnień, że ledwie wiedzieli, którego się chwycić. Razem ustaliliśmy, co już wiemy, i uzupełniliśmy to informacjami, które zdobyłam w Finlandii. Wyłonił się z tego obraz babci jako kobiety zniszczonej stratą i cierpieniem, a jednocześnie o wiele silniejszej i zdecydowanie o wiele zdrowszej psychicznie, niż do tej pory rodzice sądzili.

Chociaż wyczerpana i zrozpaczona, chętnie zostałam u rodziców na jakiś czas, ukrywając się w odświeżonym świecie wspomnień. Ale nie mogłam się ukryć na wieki. Musiałam się spotkać ze studentami, musiałam udobruchać kolegów. Tej bitwy nie mogłam już odkładać.

Tak więc w poniedziałek rano wsiadłam do pociągu jadącego do Oksfordu, tak dobrze mi znanego, mając nadzieję, że od razu wrócę do dawnej rutyny. Gdy jednak usiadłam jak zwykle na swoim miejscu przy oknie, czułam się, jakby wszystko dookoła mnie się zmieniło – kolory były ciemniejsze, powietrze dziwnie nieruchome. Nawet dźwięki wydawane przez innych ludzi zmieniły się z durowych na mollowe.

Zanim wyjechałam z Finlandii, próbowałam zadzwonić pod drugi z numerów na liście szybkiego wybierania Nicka. Ale był wyłączony. Za każdym razem słyszałam jedynie krótką automatyczną informację po arabsku. Nie rozumiałam słów, ale przesłanie było jednoznaczne: zostałam odcięta.

Kiedy przeczesywałam Kornwalię w poszukiwaniu rodziców, łapałam każde połączenie z Internetem, jakie zdołałam znaleźć, szukając

bezpośredniego numeru do biur Fundacji Aqrab w Dubaju. Gdy wreszcie takowy znalazłam, zanotowałam go na karteczce z założeniem, że zadzwonię, gdy tylko wrócę do Oksfordu.

Wpatrując się teraz w ten numer, gotowa wykonać swoją wielką rozmowę z zabytkowego telefonu profesora Larkina, poczułam pewną odrazę na wspomnienie starcia z panem al-Aqrabem. Ale nie mogłam pozwolić, żeby mnie to dalej opóźniało. Tak się martwiłam o Nicka, że nie mogłam jeść, nie mogłam spać – czułam się, jakby moja dusza była na wojnie z moim ciałem i wyzywała je od zdrajców, że uciekło do Oksfordu zamiast przeczesywać ulice Dubaju.

Telefon zadzwonił tylko raz, nim recepcjonistka odebrała i przełączyła mnie do Francuza, który – pewnie w jakimś narożnym biurze z widokiem na Zatokę Perską – dobitnie wyjaśnił mi, że Fundacja Aqrab i rodzina Aqrab to dwa zupełnie różne byty. „Nie mam żadnych informacji do przekazania – powtarzał, najwyraźniej wypełniając postanowienia protokołu biurowego – ale mogę panią przełączyć do naszego biura prasowego, jeśli chce pani zdobyć więcej informacji na temat naszej fundacji”.

Gdy tylko się rozłączyłam, telefon zadzwonił.

– Słucham? – powiedziałam z nadzieją, myślami wciąż w Dubaju.

– Morg! – Radość Jamesa wypływająca z faktu, że mnie złapał, wręcz wybuchła. – Słuchaj, strasznie, strasznie mi przykro. Naprawdę! Nienawidzisz mnie, prawda? Nie mogę mieć do ciebie pretensji. Ale posłuchaj... przez wzgląd na dawne czasy. – Zdołał ściszyć głos. – Mam kłopoty. Twoje zaprzyjaźnione lesbijki nieźle mnie urządziły. Możemy porozmawiać? Słuchasz mnie?

Ponieważ nie odpowiadałam, James zaśmiał się nerwowo.

– Świetnie. Może tak: pieniądze. Wiem, że u ciebie się nie przelewa. Podaj swoją cenę. Musisz tylko przyjechać do Genewy – jeszcze bardziej ściszył głos – i powiedzieć tym palantom, że nie zabiłem Reznika. Dobra? Jestem na komendzie głównej policji. Jestem, kurwa, w kajdankach! Morg!

Rozłączyłam się.

Gdy telefon znowu zadzwonił, wyjęłam wtyczkę z gniazdka.

Najwyraźniej Amazonki doskonale wiedziały, co zrobić z Jamesem i ciałem Reznika, i szczerze mówiąc, nie czułam najmniejszej potrzeby, żeby stawać na drodze ich sprawiedliwości.

Moje zobowiązania dydaktyczne, jak się okazało, zostały przejęte przez jakiegoś prymusa doktoranta i wszyscy, z którymi rozmawiałam, sprawiali wrażenie wyjątkowo niechętnie nastawionych do skomplikowanego przywracania poprzedniego stanu rzeczy. Najwyraźniej profesor Vandenbosch – kierownik katedry, który dawno temu postawił sobie za punkt honoru zrobić ze mną porządek – osobiście podpisał dokumenty. Pojawiła się nawet sugestia, że ten pracowity mój zastępca teraz był prawowitym lokatorem mieszkania profesora Larkina i że powinnam sobie poszukać innej kwatery. Rozumiałam ten punkt widzenia, oczywiście, skoro porzuciłam swoje obowiązki na trzy tygodnie, ale nie miałam ochoty oddawać bez walki swojej ciężko wywalczonej grzędy.

Sytuacji nie poprawiał fakt, że Katherine Kent nie wróciła jeszcze z Finlandii. Od razu zaszłam do jej gabinetu, ale na moje pukanie nikt nie odpowiedział, a pedel nie miał pojęcia, kiedy ona wróci. „Z profesor Kent nigdy nie wiadomo – powiedział do mnie z porozumiewawczym uśmiechem. – Myślę, że ona pracuje dla MI5. Ale nikt mi nie wierzy”.

We wtorkowe popołudnie wróciłam do kolegium po oczyszczającym treningu szermierki i stwierdziłam, że drzwi do mojego mieszkania stoją otworem.

Najpierw pomyślałam, że to pewnie sprzątaczką, ale ponieważ nie słyszałam odkurzacza ani stukania śmietników, tylko ciszę, poczułam znajomy dreszcz na plecach.

Jak najciszej otworzyłam swoją torbę treningową i wyjęłam floret. Był co prawda stworzony wyłącznie do sportu, miał giętkie ostrze i tępy koniec, ale był lepszy niż nic. We właściwych rękach nawet sportowy floret może być śmiertcioną bronią.

Wzięłam głęboki oddech, pchnęłam w końcu drzwi... i stanęłam twarzą w twarz z Rebeccą.

– Boże! – pisnęła, chwytając się za serce na mój widok. – Chcesz mnie zabić?

Opuściłam floret i padłyśmy sobie w ramiona.

– Co ty tu robisz? – spytałam po chwili. – Nie mówiłam ci, żebyś odpłynęła z Telemakhosem?

Rebecca cofnęła się i otarła łzy.

– Jeśli takiej przyjaciółki chcesz, daj ogłoszenie do gazety. Potrzebujesz

pomocy, to jestem. Dostałam kurierem kopertę z twoimi kluczami i pomyślałam, że z nich skorzystam.

Wymieniłyśmy wrażenia nad single malt w Grand Café. Ani Rebecca, ani ja nie należałyśmy do regularnych konsumentów whisky, ale obie poczułyśmy, że trzeba to zmienić. Siedząc na wysokich stołkach przy barze, pracowałyśmy razem nad rozwikłaniem płątaniny ludzi i wydarzeń, które nas rozdzieliły... a teraz połączyły. Naturalnie James Moselane zdominował tę wielobarwną mieszankę przyjaciół i wrogów.

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć – powiedziała w końcu Rebecca. – Pomyśleć, że kiedyś wielbiłyśmy tę gnidę. Jak sądzisz, co z nim zrobią? Zgnije w więzieniu? Odetną mu głowę mieczem? Czy w Szwajcarii kiedyś nie było takiego zwyczaju?

Wzruszyłam ramionami i zakołysałam drinkiem.

– Nie mam pojęcia, jak im się udało obarczyć Jamesa winą za śmierć Reznika, ale wiesz co? Zasłużył sobie. Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczę, mogę mu oddać tę piłeczkę golfową.

Gdy wreszcie poszłyśmy razem do domu, ramię w ramię, Rebecca wiedziała wszystko, co należało wiedzieć na temat moich potwornych przeżyć w Niemczech i Finlandii. I chociaż ozdabiała moją pełną żalu relację zachęcającymi uwagami typu: „Wyzdrowieje, na pewno” i „Oczywiście, że cię kocha!”, znałam ją na tyle, by wyczuć, że podziela mój strach, że już nigdy nie zobaczę Nicka.

– Może pojedziesz ze mną do İkitzepe? – spytała, dopasowując do mnie krok na nierównym bruku. – To cudownie ekscytujące miejsce, a doktor Özlem mówi, że strasznie potrzebują ludzi. – Rebecca spojrzała na mnie, by sprawdzić, czy w ogóle przyswajam jej słowa. – Mówię ci, zwolnienie z Knossos to była najlepsza rzecz, jaka mi się przydarzyła. A ty? Czy nie czas zostawić Oksford?

Pokręciłam głową.

– Dopiero jak skończę kurs samoobrony.

I wtedy ją zobaczyłam. Przed wejściem do college'u stała ciężarówka dostawcza, a obok niej postać, którą znałam aż za dobrze. W swoich długich butach i obcisłym ubraniu moja amazońska przyjaciółka Lilli wyglądała na tle średniowiecznej ulicy jak przekorny iglak rosnący na skale.

Na nasz widok skinęła mi głową, jakbyśmy miały sekretne porozumienie,

obeszła ciężarówkę i wsiadła do niej od strony pasażera.

– Czekaj! – krzyknęłam, rzucając się do przodu, ale za późno. Ciężarówka już jechała ulicą i zaraz zniknęła, skręciwszy w Oriel Square. Stałyśmy z Rebeccą przed wejściem do college’u oszołomione.

– No naprawdę! – Przeszłam przez bramę i pospiesznie minęłam portiernię.

Przed oczami przesuwały mi się wizje kolekcji monet i szczątków starożytnych naczyń profesora Larkina. – Co zabrały tym razem?

Tak się spieszyłam do mieszkania, że nie zauważyłam, że Frank mnie woła.

Musiał wyjść na dziedziniec bez marynarki i w szelkach.

– Była przesyłka dla pani! – zawołał, wyraźnie niezadowolony, że ktoś go wyciąga z jego samczej jaskini. – Lepiej niech ją pani od razu zabierze. Nie mam jak się ruszyć.

Nie przesadzał. Na portierni stały trzy drewniane skrzynie wielkości pralek, a były tak ciężkie, że trzeba by kilku ludzi, by je ruszyć.

– Dopiero co przyszły – mówił dalej Frank. – Do pani osobiście. Oni nie chcieli ich zostawić, dopóki pani nie było.

– Jacy oni? – spytałam, ciekawa, co dokładnie Lilli mu powiedziała. Ale Frank już wisiał na telefonie i próbował znaleźć nam jakichś silnych pomocników.

Pół godziny później trzy skrzynie stanęły w mieszkaniu profesora Larkina.

– Nie jestem pewna, czy należy je otworzyć – powiedziała Rebecca, zagryzając wargę. – Pamiętasz puszkę Pandory? Te nieszczęścia, co spadły na ludzi i tak dalej?

Przetrząsałam szuflady biurka, szukając czegoś, co by posłużyło za łom.

– Może jestem optymistką, ale jakoś sobie nie wyobrażam, że jeszcze zostały jakieś nieszczęścia do zrzucenia na ludzkość.

Musiałam pożyczyć młotek i dłuto od kręcącego głową Franka, i dopiero za ich pomocą podważyłam wieko skrzyni oznaczonej numerem jeden. Kilka skrzypiących gwoździ później zajrzałyśmy z Rebeccą w trociny, porażone widokiem skórzanej teczki na wierzchu.

– Zobaczmy.

Wzięłam teczkę, która jak się okazało, zawierała przydługie, napisane na

maszynie tekst, na szczęście po angielsku.

– To historia Myriny – powiedziała Rebecca nad moim ramieniem – pierwszej Amazonki, założycielki naszego siostrzeństwa. Och! Pan Telemakhos będzie zachwycony!

Przeglądałam kartki, szukając ewentualnego wyjaśnienia, ale oczywiście go nie było. Jak Amazonki, to musi być milczenie.

Odłożyłam teczkę i wsunęłam ręce w trociny, poszperałam trochę, podczas gdy Rebecca patrzyła z szeroko otwartymi oczami. Cokolwiek jeszcze było w skrzyni, zabezpieczono to wyjątkowo dobrze, i musiałam kopać głęboko, zanim natknęłam się na coś twardego.

– Zaczekaj! – Rebecca odsunęła mnie, gdy tylko zobaczyła, że z wysiłkiem próbuję podnieść ten przedmiot. – Zachowajmy ostrożność.

Wkrótce Rebecca dołączyła do wykopalisk, a podłoga w gabinecie profesora Larkina pokryła się kupkami trocin. A gdy przedmiot wreszcie został odsłonięty, nie wyjęła go, tylko nachyliła się nad krawędzią skrzyni i przyjrzała się.

– To jest antyczne – powiedziała. – Na pewno.

Stałyśmy chwilę w milczeniu, wpatrując się w glinianą tablicę. W końcu przyniosłam lampkę i trzymałam ją nad skrzynią, żebyśmy lepiej widziały.

– To nie alfabet Amazonek, prawda? – spytała Rebecca po chwili.

– Nie. – Przysunęłam lampkę tak blisko, jak mi pozwolił na to kabel. – Myślę, że to pismo luwijskie. – I gdy tylko to powiedziałam, wtyczka wyskoczyła z gniazdka, pogrążając nas nagle w ciemności. Ale wizja, która pojawiła się w mojej głowie, była jasna jak dzień. – Och, Bex! – wyszeptałam, czując zapomniany już dreszcz ekscytacji badacza. – Czy to możliwe?

I wtedy zadzwonił telefon.

– Dzwoni jakiś dziennikarz – powiedział Frank, odpowiednio podejrzliwie – i chce rozmawiać z osobą odpowiedzialną za odnalezienie trojańskich tablic. To pani?

ROZDZIAŁ 43

RZEKA ISTER

Talla urodziła się w czasie pełni księżyca.

Była zdrowa i głodna i miała oczy swojego ojca. Całymi dniami Myrina nie robiła nic innego, tylko leżała z nią w ramionach, patrząc w maleńkie oczka, ilekroć się otwierały.

– Widziałas go? – szeptała, dając Talli do potrzymania koniec palca. – Czy twój ojciec patrzy na nas? Myślę, że patrzy.

Całą jesień wędrowały w górę Ister. Północne ziemie okazały się światem bez wystawności, bez jakiegokolwiek wyrafinowania. Ludzie, których spotykały, byli prości i łatwi do zrozumienia. Czasami okazywali się przyjaźni, czasami nie; w ich zachowaniu nie było nic zagadkowego.

Do tej pory Myrina i jej siostry nie napotkały ani wiedźm, ani wilkołaków.

Wręcz ilekroć przybywały do nowej osady, stawało się oczywiste, że to one są nienaturalne: kobiety o innych twarzach, innych włosach, innych ubraniach, ale przede wszystkim o innych zwyczajach...

Kobiety bez mężczyzn.

Postanowiły spędzić zimę w dolinie, w miejscu, gdzie rywalizowałyby z nimi niezbyt wielu myśliwych. Tu zbudowały chaty dla siebie i schronienie dla koni i schowały cenne tablice króla Priama w kłębach słomy pod podłogą.

Nie było dnia, żeby nie rozmawiały o przeszłości. Miały jedno wspólne marzenie, a mianowicie o żyznej i przyjaznej krainie, w której mogłyby uprawiać ziemię i polować w spokoju bez ciągłego strachu, że to, co mają, znowu zostanie im zabrane.

– Gdy tam dotrzemy... – mówiły do siebie i do innych, i nikt nie wątpił, że pewnego dnia tak się stanie.

– Ona gdzieś tam jest, czeka na nas – twierdziła zawsze Lilli, uśmiechając

się do horyzontu, którego nie widziała. – Będziemy miały swoją wioskę, a wręcz swoje miasto. Miasto kobiet.

Przez długą zimę spędzały wieczory przy ogniu, skulone pod skórą, układając miasto słowami. Od czasu do czasu padało pytanie o mężczyzn, ale ponieważ żadna sobie nie wyobrażała, że kiedykolwiek zapragnie stosunków intymnych z nieumiejącymi się wysławić samcami wędrującymi po tych północnych ziemiach, zwykle odpowiedzią był śmiech.

– Nigdy was nie poproszę – powiedziała kiedyś Myrina do sióstr, poprawiając ogień drągiem – byście żyły bez takich przyjemności. Ale naprawdę uważam, że mężczyźni i kobiety są tak różni, że nie powinniśmy próbować żyć w nie swoich światach. Jeśli musisz, idź pobaraszkować z pasterzem pod gwiazdzistym niebem, ale nie próbuj dzielić z nim światła dziennego. Bo słońce działa na mężczyzn jak eliksir: mąci im wzrok, przesłania wartość kobiety i wtedy ośmielają się myśleć, że powinni nami rządzić. Nawet najmiłszy z mężczyzn – pochyliła głowę, gdy odezwały się wspomnienia – uzna, że wyświadcza nam przysługę, trzymając nas pod kluczem.

– Na pewno nie wszyscy mężczyźni są despotycznymi panami – zaprotestowała Pitana, zajęta rzeźbieniem drewnianej zabawki dla Talli. – Ja w każdym razie pamiętam, jak się kiedyś uśmiechałaś. – Spojrzała na Myrinę, oceniając jej nastrój. – Chciałabym wiedzieć, jak to jest tak się uśmiechać. Wydaje mi się, że mężczyźni wyciągają takie nasze strony, które by niszczały, gdybyśmy żyły bez nich.

– Gdyby nie Trojanie – poparła ją Klito – Kara i ja dalej byśmy żyły w niewoli w Mykenach. Na pewno niektórzy mężczyźni zasługują na tytuł oswobodzicieli.

– Nie przeczę – odparła Myrina. – Wielu dobrych mężczyzn, jestem pewna, straciło życie, a w każdym razie szczęście, przez kobietę. Dlatego właśnie mówię, że najlepsze, co możemy dla nich zrobić, to zostawić ich w spokoju. My także odniesiemy korzyści z takiej ostrożności. Bo prymitywna reakcja mężczyzny na naszą moc to nakładanie nam jarzma. On nazwie to miłością i opieką, bo tak mówi przebiegły tyran. A kiedy mu uwierzymy i ochoczo nakładamy jarzmo sobie i naszym siostrom – westchnęła głęboko i pokręciła głowę – wtedy nasza tragedia staje się jego ostatecznym triumfem.

– To prawda – przyznała Kara, która przygotowywała się na nowe życie z

większym zapalem niż reszta. – Miłość jest zdradziecka. Dajemy mężczyznom siłę, ale oni się nie odwzajemniają. Nawet te z nas, które uważają się za wyższe duchem, gubią się, gdy samiec puszy piórka. Czy to jakieś trujące czary rzucają na nas? – Rozejrzała się po pozostałych, szukając potwierdzenia.

– I znowu ja jestem szczęściarą – powiedziała Lilli z uśmiechem, kołysząc w ramionach małą Tallę. – Nie widzę tych trujących piór, które prowadzą was na manowce. Uważajcie się za szczęściary, siostry, że macie pośród siebie chociaż jedną, która nie zboczy z kursu.

– Proponuję więc – odezwała się Myrina, gdy wreszcie dyskusja przygasła, a ona zaczęła karmić Tallę – byśmy do naszego miasta nie wpuszczały mężczyzn, żeby jakiś pierzasty kogut nie próbował nas styranizować. My wszystkie będziemy mogły przychodzić i odchodzić oczywiście i spędzać noce, jak chcemy. Żadna zazdrosna Bogini Księżycyca nam tego nie zabierze. –

Wskazała wypukłą bliznę na piersi, wieczne przypomnienie inicjacji w świątyni Bogini Księżycyca. – Od teraz te blizny będą oznaczać wolność, nie zniewolenie. Nasze dni będą należały tylko do nas, będą poświęcone pracowitości i doskonaleniu. Dopóki słońce będzie na niebie, żaden mężczyzna i żadne kamienne bóstwo nie będzie nas ograniczać.

Z upływem czasu było ich coraz więcej. Nawet w krainie lasów i gór nie brakowało kobiet, które chciały zamienić męża na konia i uździenicę. Zawsze w ruchu, Myrina i jej rosnące grono sióstr nie chciały się osiedlać, dopóki nie znajdą doskonałego miejsca na swoje miasto.

Talli przypadło zakwestionowanie sensu wędrówki.

– Nie możemy wiecznie być myśliwymi – powiedziała pewnego dnia, gdy wszystkie zebrały się wokół jelenia piekącego się na rożnie. – Ciocia Lilli ma rację, musimy też sadzić i zbierać plony. Wiem, że nie chcemy zakładać miasta, żeby go znowu nie przenosić, ale czyż tak się nie dzieje na świecie? Fala przyplynie i odpłynie, a my będziemy w innym miejscu. – Spojrzała po zebranych. – Nie bądźmy niewolnicami sztywnej idei...

Myrina uciszyła córkę znużonym gestem.

– W przyszłych czasach na pewno nie będzie brakowało wrogów. Żeby przetrwać, musimy być zawsze gotowe, zawsze mieć gibkie stopy...

– I będziemy! – krzyknęła Talla, wyrzucając w górę ramiona. – Ale nawet najsilniejszy biegacz musi odpocząć. Nie naśladujmy tych zwierząt, które

wycieńczone wydają ostatnie tchnienie. Możemy być Amazonkami, ale nie możemy po wieki żyć w galopie.

Tak więc osiedlały się na jakiś czas i ruszały dalej, i znowu się osiedlały, nigdy do końca nie zapuściły korzeni w jednym miejscu, zawsze tylko przechodziły. A dokądkolwiek przybyły, gliniane trojańskie tablice – których żadna z nich nie umiała odczytać – służyły za symbol obietnicy złożonej królowi Priamowi i sobie: nie zapomnieć.

Przez lata ciężko pracowały, by pamiętać pismo, którego nauczyła ich Kyme, ale przede wszystkim nieustannie opowiadały historie. Nawet gdy czas płynął, a ich grupa podzieliła się na wiele innych, każdy oddział kurczowo trzymał się historii, która była ich wspólnym korzeniem. Bo wiedziały, że w tej historii leży mądrość, która ochroni ziarno przed żarłocznym szkodnikiem – zapowiedź nowego i lepszego świata.

ROZDZIAŁ 44

*Czyż będzie gdzie drugi Lakedajmon i Troja?*²⁷

EURYPIDES, *Trojanki*

OKSFORD, ANGLIA

W Sheldonian Theatre huczało od spekulacji. Rzadko się zdarzało, by skromna dziedzina filologii klasycznej przyciągała uwagę światowych mediów, ale konferencja prasowa była taką właśnie okazją. Niespełna przed miesiącem pan Ludwig obiecał mi, że zmienię historię. Mimo że kłamał, okazało się, że miał absolutną rację, pomyślałam, wchodząc na podest.

– Dziękuję panu, profesorze Vandenbosch. – Uśmiechnęłam się do biednego starego obgadywacza, który musiał w niespełna dwadzieścia cztery godziny sklecić pochwalne wprowadzenie wymieniające moje kwalifikacje, zalety osobiste oraz nieocenioną wartość dla oksfordzkiego zespołu naukowego... a w zasadzie od dzisiaj dla ogólnoswiatowego. Pomimo drobnego skurczu mięśni w kąciку oka, gdy mówił do pań i panów z mediów, szacowny szef katedry wypadł mile przekonująco w roli mojego oddanego przyjaciela i współpracownika.

Przez poprzednie trzy dni, od czasu przybycia skrzyń, profesor Vandenbosch i wszyscy inni zaangażowani w kwestie świata starożytnego urządzili mi prawdziwą łaźnię pytań, oskarżeń, obelg, a on był szczególnie rozczarowany, kiedy to wszystko przetrwałam. Najpierw sam się namaścił na filar całej sprawy, ale szybko został przesunięty na ławkę rezerwowych przez dziennikarzy i władze, które nie miały cierpliwości dla jego protekcyjnego pośrednictwa. W końcu wkroczył prorektor i z dnia na dzień zorganizowano konferencję prasową.

– Jak już wiecie – podjęłam, patrząc na kołyszące się morze twarzy –

anonimowy szwajcarski kolekcjoner powierzył mi dwanaście glinianych tablic zapisanych pismem luwijskim. Tym językiem posługiwano się w państwie Hetytów w drugim i pierwszym tysiącleciu przed naszą erą. Moja robocza teoria brzmi tak: tablice zawierają historyczne zapisy ze starożytnej Troi, zapisy, które zostały wyniesione z miasta przed jego zniszczeniem ponad trzy tysiące lat temu.

Znaczenie takich zapisów jest nieocenione. Jak wszyscy wiecie, legendarna Troja nieustannie intryguje nie tylko uczonych, lecz także wszystkich, którzy się interesują cywilizacjami starożytnymi. Mam nadzieję, że te tablice położą podwaliny pod rewizję naszej wiedzy o mieście króla Priama.

Zamierzałam powiedzieć więcej, ale gdy tylko przerwałam, w górę wyskoczył las rąk, walcząc o moją uwagę. Skupiając się na zasadniczej grupie ważniaków na widowni – starannie wskazanych mi przez prorektora – odpowiedziałam na kilka pytań w szybkim tempie, nie zostawiając miejsca na kontynuację.

– Powiedziała pani, że ofiarodawcą jest anonimowy szwajcarski kolekcjoner – zaczął londyński reporter o chropawym głosie i ulizanych siwych włosach. – Może nam pani podać więcej szczegółów?

– Obawiam się, że nie. Zgodziłam się strzec anonimowości ofiarodawcy.

– Doktor Morgan. – Następna była dziennikarka, której twarz rozpoznałam z telewizji. – Kiedy przeglądam pani artykuły i badania, widzę dużo – skrzywiła się – Amazonek, a niewiele Troi. Czy odbyła się jakaś debata wokół kwestii, czy ma pani właściwe kwalifikacje do tego nowego zadania?

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Skoro przeanalizowała pani mój dorobek, na pewno już pani wie, że język luwijski nie jest mi obcy.

– Co dokładnie jest napisane na tablicach? – spytał Amerykanin w niemodnym i pomiętym garniturze, jedyny z tej grupy, który wydawał się trochę przyjazny.

– Dostałam je dopiero trzy dni temu – odparłam. – Ale na ile się zorientowałam, mamy do czynienia z historycznymi zapisami wymieniającymi konkretne wydarzenia oraz imiona.

Chciałam kontynuować, ale zatrzymał mnie francuski pitbul z obłądem w oku. Po prostu nie mógł zaczekać na swoją kolej.

– W zeszłym tygodniu – szczerzył nie tylko do mnie, ale do wszystkich – doszło do innych tak zwanych incydentów w kręgach handlarzy artefaktami. Znany kolekcjoner Grigor Reznik został zabity w magazynie na lotnisku w Genewie.

Podobno zastrzelił go syn konkurencyjnego kolekcjonera w czasie nielegalnej wymiany artefaktów. Spekuluje się, że Reznik był poprzednim właścicielem trojańskich tablic. Poza tym trzy dni temu starożytny rękopis *Historia Amazonum*

został anonimowo zwrócony do rumuńskiego archiwum, z którego wcześniej ktoś go wykradł. Podobno to również zrobił Reznik. – Francuz utkwiał we mnie oskarżycielskie spojrzenie. – Jaką rolę odegrała pani w tych wydarzeniach?

Mało się nie udławiłam.

– O żadnej z tych spraw nic do tej pory nie wiedziałam – odparłam, siłąc się na spokój. – Ale szczerze wątpię, by trojańskie tablice przez te wszystkie lata leżały w genewskim magazynie. Następne pytanie proszę!

Zanim najbardziej napastliwi dziennikarze się mną nasycili, ręce trzęsły mi się tak bardzo, że musiałam je skrzyżować na piersi. Do ostatniego momentu miałam nadzieję, że zobaczę Katherine Kent, że nagle zmaterializuje się na tej konferencji. Najwyraźniej jednak tę bitwę musiałam stoczyć sama.

Podejrzewałam, że to moja mała przemowa do Otrery w Suomussalmi miała kluczowe znaczenie w przekonaniu Amazonek, że czas ujawnić ich skarb. Ich wiara we mnie była tak głęboko poruszająca, że w sumie nie wiedziałam, jak zareagować. Byłam jednak przekonana, że muszę dopilnować, by tablice zastały zabezpieczone, a ich tekst przetłumaczony i opublikowany. Anonimowy przeciek do prasy z tego samego dnia, gdy dostarczono mi skrzynie, potwierdził moje przekonanie, że nie mam być kolejnym strażnikiem tablic, tylko mam przywrócić pamięć o zaginionym mieście króla Priama.

– Ostatnie pytanie? – Znowu rozejrzałam się po tłumie, próbując dokonać wyboru spośród dziesiątek ochoczych rąk. Pośród ludzi stojących pod ścianami zauważyłam kilku mężczyzn w szarych garniturach, tak dyskretnie obecnych, że dostrzegłam ich dopiero w tej chwili.

Służby specjalne? Na tę myśl zeszytniałam ze strachu. Przyszli mnie

przesłuchać w sprawie Reznika? Albo Jamesa?

Znowu na nich zerknęłam i zastanowiłam się, czy zamierzają mnie aresztować od razu po konferencji prasowej i czy powinnam podjąć próbę ucieczki... Ale wtedy wreszcie zauważyłam jego, stojącego dokładnie pośrodku tej grupy, a wyglądał równie surowo jak tydzień temu, kiedy wdarł się do sali szpitalnej swojego syna i wykopał mnie jak psią zabawkę. On też chciał mi zadać pytanie.

– Pan al-Aqrab? – Usłyszałam swój głos przez głośniki.

Na dźwięk tego nazwiska przez salę przeszedł wstrząs, wszyscy wyciągali szyje, żeby zobaczyć potwora z Babilonu, który tak nieoczekiwanie pojawił się pośród nich.

– Doktor Morgan – zaczął al-Aqrab, na pewno świadom fleszy rozbłyskujących dokoła niego. – Chciałbym pani pogratulować ocalenia i ożywienia tej zapomnianej części dziejów. Niewątpliwie oznacza to punkt zwrotny w relacji pani uniwersytetu i mojej fundacji. W przeszłości stosunki między nami niestety wyglądały różnie. – Przerwał, by do wszystkich dotarło znaczenie jego słów, po czym podjął: – Wiem, że już się pani kontaktowała z władzami tureckimi, i muszę panią pochwalić za wykazanie się tą inicjatywą.

Mając to na względzie, proszę powiedzieć, kogo pani uważa za prawnego właściciela tych tablic? Czy staną się teraz, jak wiele dawnych skarbów, własnością – wyciągnął ramiona w oskarżycielskim geście – Zjednoczonego Królestwa?

Pytanie wywołało serię wstrząsów wtórnych, przy czym fotoreporterzy zabiegali o zrobienie zdjęcia dnia. Ledwie zarejestrowałam poruszenie. Jedyne, o czym myślałam, to Nick. Na pewno pan al-Aqrab nie stawiałby się tutaj, gdyby jego syn nadal był w stanie krytycznym.

– Tablice zostały powierzone mnie osobiście – odparłam wreszcie, z opóźnieniem zarejestrowawszy, że wszyscy czekają na moją odpowiedź – i uważam za swój obowiązek zapewnienie im bezpieczeństwa. Uważam jednak, że nikt nie może być właścicielem historii innych ludzi, nawet jeśli ci inni ludzie od dawna nie żyją. Przechowywanie trojańskich artefaktów jakiegokolwiek rodzaju tutaj, w Wielkiej Brytanii, tak daleko od miejsca ich pochodzenia, byłoby powrotem do przestarzałych praktyk. –

Wyprostowałam się, starając się przebić przez niezadowolone prostety

uczonych grożące mi zagłuszeniem. – Darczyńca na mnie scedował obowiązek wybrania przyszłej siedziby tablic, a moim zamiarem jest jak najszybsze ich przewiezienie do miejsca pochodzenia.

Byłam pewna, że w rosnącej fali gniewu słyszę, jak profesor Vandenbosch krzyczy: „Bzdura!”.

Pan al-Aqrab rozejrzał się, najwyraźniej zadowolony ze zgiełku.

– A gdybym zaproponował zbudowanie dla nich muzeum?

W pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza, a wszystkie głowy znowu zwróciły się w moją stronę, jakby Sheldonian Theatre był pełen owiec patrzących na rozładowywanie ciężarówki z paszą, która może zostanie później skierowana do rzeźni, a może nie.

– W Troi już istnieją muzea... – zaczęłam.

– Miałem na myśli bezpieczne muzeum, doktor Morgan. Nadzorowane przez człowieka, którego chyba pani zna, przez doktora Murata Özlema. Co pani na to? – Pan al-Aqrab się uśmiechnął, co całkowicie odmieniło jego twarz. – Czy nie czas na joint venture?

– Zdecydowanie będziemy musieli wyjaśnić to z władzami tureckimi – powiedziałam. – Ale... to bardzo hojnie z pańskiej strony. Może powinniśmy zaplanować spotkanie.

Cała dzungla rąk wyskoczyła w górę. Profesor Vandenbosch już wstawał z krzesła, by wkroczyć i przejąć kontrolę nad podestem i mikrofonem.

Nie wiedząc, czy powinnam wysłuchać następnego pytania, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że pan al-Aqrab i jego kohorta kierują się do drzwi, uznając najwyraźniej swoje sprawy za zakończone.

W nagłym ataku widzenia tunelowego wszystko inne dokoła mnie stało się szare. Nie obchodziło mnie, co się stanie. Nie mogłam pozwolić, żeby ten człowiek znowu tak mnie zostawił i sobie poszedł.

– Dziękuję – powiedziałam do mikrofonu. – Profesor Vandenbosch z radością odpowie na pozostałe państwa pytania. – Zeszłam z podestu i pospieszyłam środkowym przejściem, nie odrywając wzroku od drzwi. Nie biegłam, ale niewiele brakowało.

Gdy wypadłam na zewnątrz, niespodziewana lodowata ulewa oszołomiła mnie na tyle, że pan al-Aqrab diabolicznie pomachał mi na pożegnanie, wsiadł do czarnej limuzyny i odjechał, a ja stałam przemoczona i przemarznięta.

Jak sparaliżowana wpatrywałam się w ledwie widoczną przez deszcz Broad Street. Po prostu nie byłam w stanie ruszyć nogą.

– Musisz wybaczyć mojemu tacie – odezwał się głos za moimi plecami. – W przeprosinach nigdy nie był najlepszy.

Zrobiłam w tył zwrot i ujrzałam Nicka. Stał, równie przemoczony jak ja, ale i tak się uśmiechał. Jego uśmiech jednak zbladł, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy.

– Ej, bogini – powiedział, sięgając ręką do mojego policzka. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

I wreszcie znalazłam się w jego ramionach, przywarłam do jego ciepła każdą dygocącą uncją swojej osoby. Tak rozpaczliwie pragnęłam upewnić się, że jest cały, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go pocałować. Dopiero po chwili poczułam, że jego usta znalazły moje i rozgromiły wszystkie moje strachy.

– Nie martw się – wyszeptał po chwili. – Nic mi nie jest. I nie zniknę znowu, obiecuję. No chyba że będziesz chciała.

Nie byłam gotowa na śmiech.

– Byłam taka nieszczęśliwa – wymamrotałam, wtulając twarz w zagłębienie jego szyi. – Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Nick chwycił moją głowę w dłoń.

– Bo musiałem zobaczyć twoje oczy...

W tej samej chwili drzwi do Sheldonian Theatre otworzyły się gwałtownie i wypadła z nich mnogość dalszych pytań.

– Och, nie – jęknęłam. – Nie chcę tam wracać.

Nick się roześmiał.

– A dlaczego nie? – Odwrócił mnie twarzą do tłumu. – Napnij łuk, Diano.

Jestem tuż za tobą.

Nick zarezerwował pokój w Claridge'u w Londynie, ale nigdy tam nie dotarliśmy. Piechotą uciekłszy przed tłumem postkonferencyjnym, pomknęliśmy przez New College Lane, pod Mostem Westchnień i uskoczyliśmy w najbliższy zaułek. Ciągnąc Nicka za rękę, poprowadziłam go przez ciemny labirynt zniszczonych murów, aż dotarliśmy do najpodstępniejszej kryjówki w Oksfordzie: Bath Place Hotel. Po grzecznym zameldowaniu się i już z kluczem w dłoni wpadliśmy do swojego pokoju, zdzierając z siebie mokre rzeczy z korybanckim entuzjazmem. Dopiero na

widok szwów na biodrze Nicka przypomniałam sobie o jego niedawnym zetknięciu ze śmiercią.

– Zaczekaj! – krzyknęłam zdyszana. – Nic ci nie jest? Może powinniśmy...

– Co? – Przyciągnął mnie do siebie, nie odrywając ode mnie wzroku. – Zaczekać do zachodu słońca? Jeśli ty jesteś gotowa łamać reguły, to ja też.

Pchnęłam go na łóżko i całując, usiadłam na nim.

– Od teraz obowiązuje tylko jedna reguła – wyszeptałam, rozkoszując się nim. – Że pozostajesz przy życiu.

Później, gdy leżeliśmy w stanie spoconej szczęśliwości, Nick spojrzał na mnie ze zdumioną miną i rzekł: – Chwila moment. Czy ty aby nie masz mieszkania w Oksfordzie?

– Tak – westchnęłam. – Ale w tej chwili jest tam Bex. I moi rodzice przejazdem. Prawdę mówiąc – zerknęłam na zegarek – za godzinę mamy się wszyscy spotkać na herbacie.

– Jestem zaproszony?

Roześmiałam się i wtuliłam w niego.

– Na własne ryzyko. Pamiętaj, mój ojciec był kiedyś dyrektorem szkoły.

Umie zadawać pytania.

Nick pocałował mnie w czoło.

– Jestem gotów stawić mu czoło. Wiem, że jestem ucieleśnieniem największych strachów twoich rodziców. Z genów po upartym dubajskim biznesmenie i amazońskiej motoklistce Bóg raczy wiedzieć, jakie wyjdą wnuki.

Nie do końca wiedząc, jak odczytywać jego słowa, delikatnie dotknęłam jego rany.

– Mój szakal przyjął na siebie tę kulę. I moi rodzice też tak zrobią.

Nick milczał przez chwilę. Wreszcie niezwykle uroczyście powiedział: – Może teraz jest właściwy moment, żebyś spytała, czy się z tobą ożenię.

Byłam tak zdumiona, tak przejęta, że zaczęłam się śmiać. A gdy on do mnie nie dołączył, usiadłam i spojrzałam na niego.

– Jesteś taki wspaniały. Ale wiesz, naukowcy nie oświadczają się miliardrom.

– Nic się nie martw. – Też usiadł i uśmiechnął się do mnie blado. – Mój ojciec uważa, i ja się z nim zgadzam, że najpewniejszy sposób, żeby zniszczyć mężczyznę, to płacić mu za nicnierobienie. Muszę pracować i

opłacać swoje rachunki jak wszyscy inni. – Teraz już uśmiechał się szerzej. – Ale nie martwi mnie to za bardzo. Zamierzam połączyć siły ze światowej sławy filologiem. I jeśli ona mi się nie oświadczy, zostanę po prostu jej chłopakiem na pokaz. – Ponieważ nic nie mówiłam, przyciągnął mnie do siebie i powiedział już z większą powagą: – Daj spokój, pomóż mi. Jak mam cię prosić, żebyś dzieliła ze mną dni i noce aż po kres naszych dni... i nie rozgniewać babci? Wiem, że ona siedzi gdzieś tam w amazońskim niebie i wygraża mi pięścią. – Sięgnął do swojej kurtki leżącej na nocnym stoliku i wyjął pudełeczko na biżuterię. – Ale mam nadzieję, że zdołam ją udobruchać tym.

– Och, Nick – powiedziała, czując się odrobinę skrępowana – nie musisz mi nic dawać, naprawdę.

– Wiem, wiem. – Podniósł ręce w obronnych geście. – Żadnych pierścionków, żadnych brylantów, żadnych patriarchalnych zadatków. Kumam. Ale – wepchnął mi pudełeczko do ręki – mogłabyś chociaż zajrzeć.

– Dobra, w takim razie, ale naprawdę nie powinieneś... – Otworzyłam pudełeczko.

Było puste.

Zdumiona podniosłam niebieską satynową wyściółkę, by sprawdzić, czy coś się kryje pod spodem. Ale i tam nic nie było.

Podniosłam wzrok i stwierdziłam, że Nick się cieszy moim zakłopotaniem.

– To na szakala – powiedział w końcu. – Mała budka dla naszego najlepszego przyjaciela.

Zbyt szczęśliwa, by wydobyć głos, pochyliłam się i pocałowałam go.

– Spokojnie! – powiedział ze śmiechem. – Takie obcowanie w świetle dziennym to dla babci nowość. Nie chcę, żeby mi znowu rozbito nos.

Wymknęłam się z łóżka, by znaleźć swoją najnowszą torebkę i zdeformowanego szakala, z którym ciągle chodziłam. Nick patrzył, jak wracam i odkładałam bransoletę na jej nowe satynowe łożo. Gdy tylko zamknęłam wieczko, wciągnął mnie do łóżka z demonicznym śmiechem.

– Teraz jesteś moja!

– Uwważaj. – Podniosłam pudełeczko w udawanym ostrzeżeniu. – To nie jest żaden dom starców. Może mojego szakala oślepiła kula, ale ciągle może ugryźć.

– Na pewno mam taką nadzieję. – Znowu mnie do siebie przytulił. – Jak chcesz spędzić następne pół godziny? Ciągle ci jeszcze nie opowiedziałem o zabójczej przejażdżce do szpitala Suomussalmi z rękoma przymarznętymi do kevlarowej talii mojej matki... ale to raczej rozmowa na obiad.

– A ja ci nie opowiedziałam o imienniczce twojej matki, pierwszej Myrinie.

– Zerknęłam na torebkę, zastanawiając się, czy czas pokazać Nickowi skórzaną teczkę z pieczołowicie zapisanymi wspomnieniami małej grupki sióstr, które trzy tysiące lat temu tak jak my wędrowały z Algierii przez Troję, szukając wolności w północnej dżicy. – Jeśli ci szczęście dopisze, może przeczytam ci to po obiedzie.

– Mam pomysł. Może zwabisz mnie znowu pod prysznic?

Posłałam mu długie spojrzenie.

– A pamiętasz, co się stało ostatnim razem?

– O tak. – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. – Ale i tak warto było.

Do czytania historii ze skórzanej teczki zabraliśmy się dopiero dwa tygodnie później, gdy byliśmy znowu w Turcji i omawialiśmy lokalizację nowego trojańskiego muzeum z rozradowanym doktorem Özlemem i niebywale zadowolonym z siebie panem Telemakhosem. Wiedziałam, że Nick traktuje temat Amazonek równie poważnie jak ja i że ta nasza wspólna prehistoria będzie wzmacniać naszą miłość w przyszłości.

Bo na naszej drodze – owszem, nawet na naszej – nie zabraknie wrogów ani brzemiennych w skutki zwrotów, ale szakał ze swojego królewskiego mieszkania zapewniał nas, że dopóki będziemy razem, całą trójką, nigdy za daleko się nie oddalimy od szczęścia, które, jak się okazało, było najważniejszym darem, jaki dostałam od babci.

OD AUTORKI

Czy Amazonki rzeczywiście istniały? Oczywiście, że tak. Czy były dokładnie takie, jak je widzimy przedstawione w starożytnej literaturze i sztuce?

Pewnie nie. Podobnie jak wiele innych mitycznych postaci i zdarzeń Amazonki są snem, strachem, kuszącą konstelacją idei i emocji skupionych wokół miejsca kobiet we wczesnośródziemnomorskim świecie. Czy kobiety chwyciły za broń, by bronić swoich domów i ukochanych? Wydaje się niemożliwe, żeby tego nie robiły. Czy tworzyły całe armie, by walczyć z prehistorycznymi greckimi siłami wojskowymi?

To się wydaje mało prawdopodobne. Ale od zarania dziejów bazarze pragnęli oczarować swoich słuchaczy nadzwyczajnymi łajdakami i odrąbanymi członkami.

A dla starożytnych Greków Amazonki były materiałem na bestseller. Czy te niesamowite kobiety nadal żyją pośród nas? Na pewno, w każdej z nas. Czasami nie zdajemy sobie sprawy z istnienia naszej wewnętrznej Amazonki, dopóki życie nie wymierzy nam nokautującego ciosu... ale ona tam jest, czeka, by użyć nam swojej siły, jestem tego pewna.

Zadedykowałam tę książkę mojej wspaniałej teściowej, Shirley Fortier, którą rak zaatakował w tym samym miesiącu, gdy skończyłam ostateczną wersję tekstu.

Choć na samym początku zrzuciło ją z siodła i siły jej były o wiele mniej liczne, walczyła do śmierci z niesamowitą odwagą, której istnienia w niej nawet nie podejrzewaliśmy. Bardzo za nią tęsknimy i nigdy jej nie zapomnimy.

Jeśli chodzi o oryginalne Amazonki z greckiej mitologii, podania opisujące ich czyny są tak obfite i mgliste – i często sprzeczne – że nie ma szans na zebranie wszystkich nici w jedną wyczerpującą opowieść. Ja na pewno nie próbowałam tego robić, i mam nadzieję, że czytelnicy są świadomi, że traktuję tradycję w sposób żartobliwy i że ta książka w żaden

sposób nie może zastąpić miarodajnych poważnych opracowań na ten temat. Zachęcam więc do samodzielnego dalszego polowania na Amazonki: szybki galop do lokalnej biblioteki, śmiała eskapada do najbliższej księgarni i rozkoszowanie się starożytnymi mitami, które są nam dostępne nawet teraz, po tylu tysiącletniach, w tylu tak różnych, intrygujących interpretacjach.

O ile wydarzenia i postaci opisane w książce są prawdopodobnie w dużym stopniu fikcyjne, zadałam sobie wiele trudu, by dochować wierności źródłom historycznym. Kilku znakomitych specjalistów zechciało przeczytać rękopis w trakcie prac i przekazało mi wiele cennych uwag. Do osób, którym jestem bezgranicznie wdzięczna, zalicza się mój drogi przyjaciel dr Thomas R. Martin, Jeremiaś O'Connor, profesor filologii klasycznej w College of Holy Cross – z ręką na sercu polecam jego powszechnie znane publikacje *Ancient Greece* oraz *Ancient Rome* każdej osobie zainteresowanej pasjonującą, niewymagającą wstawania z fotela przygodą w naszej zdumiewającej przeszłości.

Jestem też przeogromnie wdzięczna swojemu wieloletniemu przyjacielowi dr. Timothy'emu J. Moore'owi z Washington University w St. Louis, którego kapitalna, imponująca energia od samego początku zachęcała mnie do miłych spotkań z pierwszorzędnymi filologami i który swoim bezpardonowym, porażającym podejściem do mentorstwa bardziej mnie zahartował niż wszelkie wsparcie okraszone słodkimi uśmiechami.

Moja bliska przyjaciółka Mette Korsgaard, starszy redaktor w Gyldendal Business, i doktor Peter Pentz, kustosz Duńskiego Muzeum Narodowego, byli tak mili, że spojrzeli na moją książkę z punktu widzenia archeologa. Biorąc do serca ich porady, powinnam podkreślić, że jeśli chodzi o interpretację starożytnych znalezisk, opinie specjalistów często są podzielone. Niektórzy badacze na pewno się nie zgodzą z wyborami, których dokonałam w opisywaniu przeszłości – sceptycyzm jest w końcu warunkiem zasadniczym właściwej nauki – ale nie musi to oznaczać, że coś się nie zdarzyło tak, jak to przedstawiłam. Mam nadzieję oczywiście, że wnikliwi czytelnicy użyją mojej książki jako trampoliny do skoku w nurt wielu nierozwiązanych zagadek przeszłości i do naporu na historię, filologię i archeologię, by pogłębić naszą wiedzę o świecie starożytnym.

Powinnam też zauważyć, że to dr Pentz jako pierwszy uświadomił mi

ogromne wysiłki podjęte przez Duńskie Muzeum Narodowe w wielkiej, coraz większej batalii o zwrot artefaktów. Tym, którzy chcieliby poczytać więcej na ten fascynujący temat, polecam wspaniałą książkę Sharon Waxman pod tytułem *Loot*, jak również *The Medici Conspiracy* pióra Petera Watsona i Cecیلیi Todescini. Obie prace obfitują w szczegóły i owoce uważnych badań, a jednocześnie czyta się je jak doskonałe książki sensacyjne.

Dziękuję również za pomoc mojej przyjaciółce Heather Epps ze Storrington w West Sussex, która zechciała przeczytać rękopis, mając na uwadze zastosowanie brytyjskiej odmiany języka angielskiego i która łaskawie zniosła wszystkie moje amerykańskie i drobne uszczypliwości pod adresem ekscentryczności brytyjskich arystokratów i uczonych. Miałam wielkie szczęście być wizytującym doktorantem w Corpus Christi College w Oksfordzie, gdy dziesięć lat temu kończyłam doktorat, i ufam, że czytelnik – pomimo udręk Diany Morgan – wyczuje przeogromny podziw i wdzięczność, które zachowuję wobec tego wspaniałego miejsca i jego wyjątkowo utalentowanych pracowników.

Na moją wdzięczność zasłużył także dyrektor Raatteen Portti Museum Marko Seppänen oraz Tyyne Martikainen z Finlandii. To dzięki ich wieloletnim wysiłkom i wiedzy mogłam w pełni pojąć ogrom tragedii wojny zimowej, która zniszczyła życie tylu tysięcy Finów i Rosjan. Od czasu, gdy jako koproducent pracowałam nad filmem dokumentalnym *Fire and Ice. The Winter War of Finland and Russia*, postanowiłam szerzyć świadomość wielkiej pracy wykonywanej przez Tyyne Martikainen i jej fińskich oraz rosyjskich kolegów, którzy nie ustają w wysiłkach zmierzających do wyśledzenia losów wszystkich fińskich cywilów, którzy zostali wówczas pojmani i zesłani do obozów.

Zawsze powtarzam moim studentom, że aby z dobrej historii powstała dobra książka, nie wystarczy jeden umysł. W moim wypadku to na pewno prawda. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak wyglądałyby wyprawy Diany i Myriny bez mądrych rad wspaniałych redaktorów, którzy pomogli mi nadać dwóm surowym historiom strawną postać. Co bym zrobiła bez żartobliwej mądrości dr Cordelii Borchardt z Fischer/Krüger, kojącego zdrowego rozsądku Iris Tupholme i Lorissy Sengary z HarperCollins Canada czy bez nieustrudzonych umiejętności Dany Isaacson z Ballantine/Random House.

Strach się bać. I na pewno wiele razy zbłądziłabym na manowce jałowych pomysłów bez cudownie cierplivej redaktorki z Ballantine Susanny Porter, której sokole oko i biegle wyczucie znowu zaprowadziły mnie bezpiecznie do celu.

Rzecz jasna w powstaniu tej książki odegrało dużą rolę tylu ludzi, że nie zdołam im należycie tu podziękować. Wspaniały zespół w Ballantine we wszystkim znajduje radość i zawsze służy pomocą. Oprócz Susanny Porter i Dany Isaacson chciałabym podziękować Libby McGuire, Jennifer Hershey, Kim Hovey, Vincentowi La Scali, Priyance Krishnan, Susan Turner, Kristin Fassler, Ashley Woodfolk, Toby'emu Ernstowi, Susan Corcoran i Lisie Barnes za ich cierplive wsparcie i optymizm. I tu dodatkowe podziękowania kieruję do Paola Pepego, który stworzył taką oszałamiającą okładkę.

Winna też jestem specjalne podziękowania moim przyjaciółom w Gyldendal w Kopenhadze. Merete Borre i Vivi Vestergaard wysłuchały życzliwie wielu nieporadnych pomysłów, nie ustając w zachętach i pozytywnym nastawieniu.

Dziękuję również wspaniałej duńskiej tłumaczce Ulli Oxvig, a także Anne Hjermitslev i Line Miller w Gyldendal za niestrudzoną pracę do szczęśliwego końca. No i dziękuję też ogromnie Harveyowi Macaulayowi z Imperiet, który jak zwykle za pierwszym razem utrafił z duńską okładką.

Od narodzin *Julii* w 2008 roku Maja Nikolic, Maria Aughavin, Victoria Doherty-Munro, Chelsey Heller, Angharad Kowal i Stephen Barr z Writers House są dla mnie jak rodzina. Nie wyobrażam sobie swojego pisarskiego życia bez fantastycznego agenta Dana Lazara, człowieka niezrównanej prawości i obycia.

Tego, co zawdzięczam tym wspaniałym ludziom, nie da się zamknąć w prostym „dziękuję”.

Nie wspomniałam jeszcze o udziale mojej mamy w tej książce. Na to po prostu już nie mam miejsca. Ale zapewniam, że była ze mną, gdy jechałyśmy na wielbłądach przez Saharę i brnęłam przez błoto w Kalkriese, przewidywała każdy mój krok i cały czas mnie zachęcała. Bez jej wsparcia i niepojętego poświęcenia nigdy nie zrealizowałabym swoich marzeń o pisaniu. Co gorsza, nigdy w ogóle bym się nie ośmieliła żywić takich nadziei.

Ale nawet z tą armią niesamowitych ludzi za plecami nie byłabym tym, kim jestem, ani nie miałabym sił robić tego, co robię, gdyby nie bezcenna

miłość mojej córeczki i kochającego męża Jonathana. Może zdenerwuję tymi słowami moje tajemne siostry, ale tak między nami, jeśli szczęście tak ci dopisze, że zdobędziesz mężczyznę idealnego, to zrzucenie kolczugi i przejście na amazońskie pół etatu nie jest jednak takie złe.

-
- [1](#) Przeł. L. Siemieński.
 - [2](#) Przeł. J. Petruk.
 - [3](#) Przeł. K. Morawski.
 - [4](#) Przeł. S. Srebrny.
 - [5](#) Przeł. S. Gołębiowski.
 - [6](#) Przeł. K. Morawski.
 - [7](#) Przeł. A. Kamieńska.
 - [8](#) Przeł. S. Srebrny.
 - [9](#) Przeł. K. Korus.
 - [10](#) Przeł. Z. Kubiak.
 - [11](#) Przeł. S. Srebrny.
 - [12](#) Przeł. J. Kasprowicz.
 - [13](#) Przeł. J. Łanowski.
 - [14](#) Homer, *Iliada*, przeł. K. Jeżewska.
 - [15](#) Przeł. J. Łanowski.
 - [16](#) Por. W. Szekspir, *Romeo i Julia*, przeł. S. Barańczak.
 - [17](#) Przeł. S. Hebanowski.
 - [18](#) Przeł. S. Hammer.
 - [19](#) Przeł. E. Raczyński.
 - [20](#) Przeł. T. Płóciennik.
 - [21](#) Przeł. T. Płóciennik.
 - [22](#) Przeł. J. Ozga-Michalski.
 - [23](#) Przeł. S. Hammer.
 - [24](#) Przeł. J. Łanowski.
 - [25](#) Przeł. K. Jeżewska.
 - [26](#) Przeł. Ł. Siemieński.
 - [27](#) Przeł. J. Kasprowicz.